

DOSKONALE PRZEMYŚLANA, PRECYZYJNIE SKONSTRUOWANA POWIEŚĆ
USA Today

DAVID BALDACCI



WŁADZA ABSOLUTNA

DAVID BALDACCI

WŁADZA ABSOLUTNA

przełożył

MICHAŁ MADALIŃSKI



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lekko trzymał kierownicę, a auto, bez świateł, toczyło się chwilę i zatrzymało. Kilka ostatnich ziaren żwiru zgrzytnęło pod bieżnikiem opony i w końcu otuliła go cisza. Przez chwilę przyzwyczajał się do otoczenia, po czym wyciągnął zużytą, lecz wciąż sprawną lornetkę. Obraz domu powoli się wyostrzył. Pewny siebie, usadowił się w fotelu wygodniej. Mięśnie jego szczupłego ciała były twarde jak zawsze. Nieduży worek żeglarski leżał na przednim siedzeniu. Wnętrze samochodu było ciemne, ale czyste.

Samochód został skradziony, nikt się nie domyśli skąd.

Dwie miniaturowe palemki zwisały pod lusterkiem wstecznym. Spojrzał na nie i uśmiechnął się niewesoło. Wkrótce sam znajdzie się pod palmami. Spokojna, błękitna, przejrzysta woda, przymglone zachody słońca w kolorze łososiowatym i takie same wschody. Musi ruszać. Już czas. Mówił to sobie przy wielu okazjach, tym razem był tego pewien.

Jako sześćdziesięciosześcioletek Luther Whitney mógł spokojnie korzystać ze swojej emerytury, a w jego kieszeni spoczywała legitymacja AARP - Amerykańskiego Stowarzyszenia Emerytów. W tym wieku większość mężczyzn przekwalifikowuje się na dziadków, pólatawowych wychowawców dzieci swoich dzieci, wyleguje się na kanapach, dając odpoczynek zmęczonym członkom, i przestaje rujnować sobie układ krążenia stresami życia.

Luther nigdy w życiu się nie przekwalifikowywał. Jego zawód polegał na włamywaniu się do domów innych ludzi albo firm, zazwyczaj w nocy, tak jak teraz, i wynoszeniu z nich wszystkiego, co dało się bez większych kłopotów zabrać. Taka decyzja życiowa, rzecz jasna, miała swoją cenę.

Wprawdzie Whitney niewątpliwie był na bakier z prawem, ale nigdy nie pociągnął za spust ani nikogo nie pchnął nożem - czy to ze złości, czy ze strachu - jeśli nie liczyć pewnej wyjątkowej, w najwyższym stopniu kłopotliwej wojny, która niegdyś toczyła się na Półwyspie Koreańskim. A jedyne w życiu ciosy zadał w barach, i to tylko w samoobronie, gdy w głowach zanadto szumiało. Przepiękna przeczka przeciwko mieniu nie przestają być, co prawda, przestępstwami, lecz mienie można odkupić. W ogólnym rozrachunku jedynymi poszkodowanymi były towarzystwa ubezpieczeniowe, a kogo tak naprawdę one obchodzą?

A wśród klienteli, u której się zaopatrywał, nie było takich, którym byłoby przykro. Nikt z powodu jego nocnej wizyty nie odwołał obecności na bankiecie ani nie odmówił sobie kupna u projektanta mody sukni za dziesięć tysięcy dolarów czy też luksusowego samochodu. Zabierał tylko tym, których było na to stać. Uważał, że niczym nie różni się od licznej armii tych speców, którzy nieustannie naciągają bogaczy w inny sposób - przekonując ich do kupowania rzeczy zupełnie niepotrzebnych. Ci ludzie po prostu wyciągają pieniądze, nic w zamian nie dając. Tyle że Luter nigdy nie próbował udawać, że nie zajmuje się grabieżą. Stawiał sprawę jasno.

Ładnych parę lat spośród tych ponad sześćdziesięciu spędził w rozmaitych instytucjach resocjalizacyjnych, zwykłych i o zaostrożonym rygorze, rozsianych po Wschodnim Wybrzeżu. W czasach gdy odsiadywał wyroki, nazywano je po prostu zakładami karnymi. W ciągu ostatnich dwudziestu lat więzienia przekształciły się z miejsc odbywania kary w instytucje, których zadaniem jest zmusić

morderców, gwałcicieli i innych wykolejeńców do niejkiej poprawy, zanim odeśle się ich z powrotem na łono społeczeństwa. Ostatnio jednak liberalne tendencje znalazły się w odwrocie i surowe ustawy karne oraz nowe więzienia zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu.

Miał na swym koncie trzy wyroki za ciężkie przestępstwa w trzech stanach. To uniemożliwiło mu powrót do normalnego społeczeństwa, nawet gdyby tego chciał. I tak miał szczęście. Sprawował się zawsze wzorowo i nigdy nie odsiedział pełnego wyroku. Mimo to lata odsiadki wycięły mu spory kawał z życiorysu. Ważny kawał, teraz zdawał sobie z tego jasno sprawę. Ale nic na to nie poradzi.

Miał wielką nadzieję, że czwarty raz nie pójdzie siedzieć. Wyszlifował swoje umiejętności do tego stopnia, że były to nadzieje uzasadnione. Nie była to tylko sprawa ambicji profesjonalisty. Znał konsekwencje ewentualnej wpadki - murowane dwadzieścia lat. A opuszczanie więzienia po osiemdziesiątce nie wydawało mu się zabawne, nawet gdyby pociągnął tak długo. Dla niego dwadzieścia lat to wyrok śmierci. Równie dobrze mógłby dostać czapę, co jest praktykowane w stanie Wirginia wobec szczególnie niepoprawnych jednostek. Obywatele tego wielce zasłużonego w historii stanu byli na ogół ludźmi bogobojnymi, a religijny fundamentalizm w połączeniu z zasadą „oko za oko” doprowadziły do utrzymania kary śmierci. Wymiarowi sprawiedliwości Wirginii udało się wysłać do celi śmierci więcej przestępców niż gdziekolwiek indziej w Ameryce, oprócz dwóch stanów. Liderzy w tej konkurencji, Teksas i Floryda, byli także spadkobiercami moralnych tradycji Południa. Ale przecież jemu, zwykłemu włamywaczowi, nic takiego nie grozi; nawet zacni Wirginijczycy tak daleko by się nie posunęli.

Whitney nie lękał się stanąć twarzą w twarz z Bogiem, który zapewne wyda na niego wyrok znacznie surowszy niż wszystko, cokolwiek mogliby tu wymyślić jego ziemscy wyznawcy. Założywszy więc, że jego życie pozagrobowe będzie z pewnością dalekie od sielanki, miał szczególnie na względzie dalszy ciąg swojego żywota doczesnego. Wieloletnia odsiadka nie wchodziła w rachubę. Wiedział, co ryzykuje, nie mógł jednak oderwać wzroku od tego domu, który zasługiwał raczej na miano rezydencji. Był nim pochłonięty od kilku miesięcy. Dziś nadejdzie spełnienie tej fascynacji.

„The Coppers”.

Wille w tej okolicy leżały na posesjach tak rozległych i były tak luksusowe, że miały prawo do własnych nazw. Whitney nie przeoczył ironicznej wymowy nazwy celu swojego dzisiejszego skoku*.

* *Coppers może znaczyć także „gliny”, „gliniarze”.*

Middleton, stan Wirginia. Trzy kwadransy jazdy żwirówką na zachód z Waszyngtonu. Okolica wielkich posiadłości, gdzie jaguar nie wzbudza zainteresowania, a konie są tak drogie, że za cenę każdego z nich można by żywić, przez rok mieszkańców całej kamienicy w centrum miasta. Okolica, gdzie ludzie mają wolnego czasu więcej niż czegokolwiek innego z wyjątkiem pieniędzy.

Sam się sobie dziwił, że właściwie nie zazdrościł tym ludziom. Uczucie tego rodzaju nie majaczyło nawet na horyzoncie, gdy myślał o swych zamożniejszych bliźnich. Przecież niemal od urodzenia cieszył się umiejętnością, która pozwalała mu dyskretnie pozbawiać ich najcenniejszych dóbr. W szkole średniej z zapalem uprawiał sport, zwłaszcza lekką atletykę i futbol amerykański. To zacięcie nie opuszczało go przez całe życie. Zmieniła się jedynie dyscyplina, którą uprawiał.

Nic w życiu nie mogło się równać z tym wyrzutem adrenaliny do krwi, który towarzyszył każdemu skokowi. Tak właśnie musi czuć się odbijający, kiedy nonszalanckim truchtem obiega bazy, bez pośpiechu, wiedząc, że świeżo otarta skórzana piłka wylądowała gdzieś daleko, na ulicy. Tłumy ma u stóp, wlepione w siebie pięćdziesiąt tysięcy par oczu, powietrze całego świata jakby wessane w jedną przestrzeń, a potem gwałtowny zamach pałki, którą dzierży jeden człowiek.

To właśnie przyciągało Luthera, to zmuszało go do obserwacji przez lornetkę miejsca, gdzie znajdzie

potencjalny łup. Mimo ryzyka, mimo siódmego krzyżyka na karku i mimo szkód, jakie wyrządził swojej rodzinie. Żona rozwiodła się z nim

dawno temu, zresztą teraz już nie żyła. Córka gardziła nim. Została prokuratorem głównie po to, żeby takich ludzi jak on wsadzać za kratki; żeby wypchnąć go ze swojego życia na dobre. Nie sądził, by zasługiwał na coś lepszego.

Metodycznie lustrował teren. Wzrok miał nadal bez zarzutu. Wiedział o tym. Nawet w nocy mógł na nim polegać, jak niegdyś. Od czasu do czasu mrugnął do niego robaczek świętojański. Poza tym żywego ducha. Nasłuchiwał przez chwilę muzyki cykad, ale wkrótce przestał na nią zwracać uwagę. Była wszechobecna.

Wiejska okolica oznaczała też uprawy rolne. Łan zboża o ciężkich kłosach w rześkim jesiennym chłódzie powinien dawno już zostać zżęty przez minikombajn prowadzony przez miejscowego ogrodnika, który pewnie nie mówi słowa po angielsku. Luther zmówił bezgłośnie modlitwę dziękczynną, bo właściciel „The Coppers”, choć przejął się rolą właściciela ziemskiego i swoją ziemię uprawiał, najwidoczniej nie potrzebował jej plonów - co teraz pozwalało Lutherowi przedostać się niezauważenie do samego celu.

Ruszył jeszcze kawaleczek i tyłem wjechał w boczną drogę gruntową, która kończyła się w kępie gęstych drzew. Stalowoszare włosy przykrył czarną narciarką, ogorzałą twarz zasmarował już przedtem czarnym kremem maskującym. Wyglądał jak komandos, którym niegdyś był. W dwie minuty dotarł do skraju pola i zniknął w gęstwinie.

Na szczęście ziemia nie była pokryta zeszlými źdźbłami, więc jego tenisówki nie wydawały najłżejszego odgłosu. Ważna sprawa, bo każdy dźwięk niósł się tu daleko. Patrzył prosto przed siebie, a stopy, wytrenowane przez dziesięciolecia, same wyszukiwały sobie drogę w wąskich bruzdach, wyczuwając nierówności gruntu. Noc była chłodna, zwłaszcza jeśli przypomnieć sobie tępy żar minionego lata, kolejnego upalnego „lata stulecia”, ale nie na tyle chłodna, żeby oddech zamieniał się w małe obłoczki pary, które mogłyby zostać zauważone z oddali przez kogoś ciekawskiego lub cierpiącego na bezsenność.

W ciągu ostatniego miesiąca przećwiczył tę operację wielokrotnie, zawsze zatrzymując się na skraju pola, przed wejściem na miedzę. Każdy szczegół został setki razy przepracowany w głowie, aż precyzyjny scenariusz każdego ruchu, oczekiwania, znów ruchu wrył mu się głęboko w pamięć.

Nauczył się, lata go tego nauczyły, że to właśnie przygotowanie operacji jest sprawą kluczową. Jeśli umiejętnie przewidzi się każdą ewentualność i zaplanuje stosowną reakcję - sukces w życiu ma się w kieszeni, czy jest się przestępcą, czy kimkolwiek innym. Ostatnie cztery skoki poszły jak z płatka, jak operacje na zautomatyzowanej taśmie produkcyjnej, gdzie każdy element trafia precyzyjnie na właściwe miejsce we właściwym czasie.

Dziś przerwie się to pasmo sukcesów, i to z takim impetem, że Luther zapomni o wszystkich swoich udanych skokach.

Przykucnął na skraju frontowego trawnika i jeszcze raz rozejrzał się uważnie; żadnego powodu do pośpiechu. Psów nie ma, to dobrze, jeden kłopot mniej. Człowiek, choćby nie wiem jak młody i sprawny, po prostu nie prześcignie psa. Ale to głównie hałas, który robią, przyprawia o zimny pot takich ludzi jak Luther. Żadnego alarmu zewnętrznego, za to wkrótce będzie miał do czynienia z niezwykle wyszukaną instalacją wewnętrzną, na której rozbrojenie będzie miał trzydzieści trzy sekundy, zakładając, że dziesięć sekund zajmie mu usunięcie płytki zakrywającej centralkę sterującą.

Gęste krzewy ocieniały klinkierowy chodnik, sytuacja wymarzona dla włamywacza. Sprawdził po

kolei okna domu, wszystkie ciemne, wszystkie ciche. Żadnych fotokomórek. Dwa dni temu obserwował samochód z przyczepą kempingową, który wywiózł gospodarzy na południe. Wiedział dobrze, dokąd się udała rodzina i służba. Najbliższa posiadłość odległa była dobrą milę. Żadnych świadków.

Wziął głęboki wdech, czuł, jak adrenalina pompuje mu energię do żył. Zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach, ale brutalna prawda jest taka, że nie da się wziąć pod uwagę wszystkiego.

Chwycił taśmy plecaka i pomknął długimi, płynnymi susami przez trawnik. Nie minęło dziesięć sekund i stał przed solidnymi drewnianymi drzwiami frontowymi, których sforsowanie nie stanowiło żadnego problemu.

Wyciągnął z kieszeni kurtki kopię klucza i wsunął do dziurki, ale nie do końca.

Nasłuchiwał jeszcze parę sekund. Nic, tak jak się spodziewał. Zsunął z ramion plecak i zmienił buty, żeby nie zostawić śladów błota. Przygotował automatyczny śrubokręt na baterię - pozwoli mu dziesięć razy szybciej odsłonić obwody elektroniczne, które musi wprowadzić w błąd, niż zdołałby zrobić ręcznym wkrętakiem.

Następny element wyposażenia, który został ostrożnie wyciągnięty z plecaka, ważył dokładnie sześć uncji, był tylko nieco większy niż kieszonkowy kalkulator i - obok własnej córki - był najlepszą rzeczą, jaką miał w życiu. „Cwaniak”, bo tak zwał go właściciel, towarzyszył Lutherowi w jego trzech ostatnich skokach i nie zawiódł. Luther tak go polubił, że zaczął dobierać cele skoków pod kątem wykorzystania tego urządzenia.

Pięć cyfr, które składały się na hasło domowej instalacji alarmowej, Luther poznał wcześniej i wprowadził do pamięci komputera. Nie znał jeszcze ich właściwej kombinacji, lecz ta przeszkoda już wkrótce zostanie usunięta przez małego towarzysza z kością układu scalonego w środku, a przynajmniej powinna zostać usunięta, jeśli chce uniknąć dziurawiącego bębni wycia, które natychmiast wydobędzie się z czterech syren umiejscowionych na czterech narożnikach tej liczącej dziesięć tysięcy stóp kwadratowych fortecy, do której się właśnie wdzierał. Dodatkowa atrakcja, jaką zapewnia ten bezimienny stróż, z którym za chwilę się zmierzy, to automatyczne powiadomienie policji przez telefon. Przypiął „cwaniaka” do paska, tak by wisiał bezpiecznie z boku, i wetknął klucz głębiej w dziurkę. Wszedł bez trudu, a Luther przygotował się na następny dźwięk, który usłyszy - ciche pikanie instalacji, ostrzegające intruza przed nieuchronnym losem, jeśli właściwe hasło nie zostanie wprowadzone przed upływem oznaczonego czasu i ani milisekundy później.

Włożył plastikowe rękawiczki, wzmocnione dodatkową warstwą na czubkach palców i po wewnętrznej stronie dłoni. Nie miał zwyczaju zostawiać po sobie żadnych śladów. Odetchnął głęboko, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Przenikliwy pikanie alarmu odezwało się natychmiast. Wślizgnął się do ogromnego holu i stanął przed tablicą centralki instalacji alarmowej.

Elektryczny śrubokręt ruszył bezszmerowo. Sześć metalowych wkrętów spadło Lutherowi na dłoń i wylądowało bezpiecznie w pojemniku przy pasku. Cieniutkie przewody wystające z „cwaniaka” połyskiwały w smudze księżycowego blasku, która sączyła się przez okienko przy drzwiach. Luther precyzyjnymi ruchami chirurga, manipulującego w otwartej klatce piersiowej, odnalazł właściwe miejsce, przyczepił zaciski przewodów i włączył zasilanie swojego urządzenia.

Z drugiej strony holu wypatrzyło go szkarłatne oko detektora podczerwieni. Czekало cierpliwie, aż mózg instalacji alarmowej uzna intruza za swojego (albo obcego).

Bursztynowożółte cyfry zmieniały się na ekranie „cwaniaka” szybciej, niż mogło je uchwycić oko; natomiast sekundy, które pozostały jeszcze do dyspozycji migały w prawym, górnym rogu.

Minęło pięć sekund, na ekraniku „cwaniaka” pojawiły się liczby 5, 13, 9, 3, 11 i zamarły.

Pisk ucichł, czerwone światelko znikło, zastąpione przez przyjazną zieleń. Luther zabrał się do roboty. Odczepił przewody, przykręcił płytkę, spakował sprzęt i starannie zamknął drzwi frontowe.

Sypialnia mieściła się na drugim piętrze, dokąd można było dostać się windą z głównego holu po prawej stronie, ale Luther wybrał schody. Im mniej jest zależny od przedmiotów martwych, nad którymi nie ma całkowitej kontroli, tym lepiej. Nie uśmiechało mu się ugrzęźnięcie w windzie na parę tygodni.

Spojrzał na detektor ruchu umiejscowiony na suficie, jego obiektyw teraz już się uspokoił.

Drzwi sypialni nie były zamknięte na klucz. Kilka sekund poświęcił na rozejrzenie się w świetle ślepej latarki. Obok drzwi druga tabliczka sterowania systemu jarzyła się zielonymi diodami, które rozpraszały ciemności.

Dom został zbudowany mniej niż pięć lat temu. Luther sprawdził to w wydziale ksiąg wieczystych sądu, a nawet udało mu się zdobyć dostęp do jego planów w miejscowym urzędzie nadzoru budowlanego, bo ze względu na rozmiary, potrzebne było specjalne pozwolenie na budowę ze strony władz lokalnych, tak jakby one kiedykolwiek bogaczowi czegoś zabraniały.

W planach nie znalazł nic nadzwyczajnego. Duży, solidny dom, wart bez wątpienia swojej wielomilionowej ceny, zapłaconej przez właściciela gotówką.

Luther odwiedził już raz ten dom, w biały dzień, kiedy roilo się tu od ludzi. Był w tym samym pokoju i zobaczył wszystko, co chciał. I dlatego właśnie wrócił tu dzisiaj.

Na szafce nocnej, obok wielkiego łoża z baldachimem stał mały srebrny zegar, leżał najnowszy romans i staroświecki srebrny nóż do papieru z grubą skórzaną rączką.

Wszystko w tym pokoju było duże i drogie. Trzy wielkie szafy, każda z nich wielkości salonu w domu Luthera. W dwóch znajdowała się damska odzież, obuwie, torebki i wszelkie kobiece akcesoria, jakie tylko można sobie wyobrazić. Luther rzucił okiem na oprawne w ramki zdjęcia na szafce nocnej i skrzywił się, widząc dwudziestoletnią „małą kobietkę” u boku siedemdziesięcioparoletniego męża.

Jest wiele rodzajów loterii na świecie i nie wszystkie obejmuje monopol państwowy.

Niektóre fotografie ukazywały wdzięki pani domu z najdalej posuniętą otwartością (z pewnością służące uwielbiały sprzątać ten pokój). Rzut oka do szafy ujawnił, że miała tendencję do ubierania się jak zwykła dziwka.

Spojrzał na olbrzymie lustro i badawczo obejrzał jego ozdobną, rzeźbioną ramę. Solidna, artystyczna robota. Cenił takie rzemiosło. Następnie cofnął się i zbadał wzrokiem ściany wokół lustra. Było wbudowane bezpośrednio w ścianę, przynajmniej na to wyglądało, ale Luther wiedział, że we wgłębieniach sześć cali od góry i od dołu starannie ukryto zawiasy. Pójdzie łatwo, jeśli nie ma tu oddzielnej instalacji alarmowej. Luther nauczył się nigdy nie liczyć na to, że coś pójdzie łatwo. Jego podręczny generator pary potrzebował chwil, żeby się rozgrzać. Wkrótce obłoczek pary zaczął unosić się wokół lustra, zamazując odbicie Luthera, który w ten sposób badał, czy w kłębach pary nie błysnie czerwona kreska promienia z czujnika. Nie ma nic. Właścicielowi pewnie wydawało się, że główna instalacja alarmowa wystarczy: są detektory ruchu, czujniki na szybach i w podłodze - po co podwójne zabezpieczenia? O konieczności podwójnych zabezpieczeń wiedzą w lotnictwie i w wojsku, lecz właściciele prywatnych rezydencji ich nie doceniali. Główna instalacja alarmowa nie powstrzyma prawdziwego fachowca, a kiedy jest już w środku, może poruszać się po domu swobodnie.

Jeszcze raz spojrział na lustro. Miał do czynienia z takim modelem parę lat temu. Zgarnął wtedy pięćdziesiąt patyków. Po drugiej stronie tego lustra powinno czekać z dziesięć razy tyle.

Z zamknięciem wbudowanym w rzeźbioną ramę mógłby poradzić sobie za pomocą brutalnej siły i łomu, ale takie zabiegi wymagają czasu. I - co ważniejsze - zostawiłyby wyraźny ślad. Mimo że dom miał

być pusty przez następnych kilka tygodni, ostrożności nigdy za wiele. Wolał, żeby po jego wyjściu dom wyglądał - przynajmniej na pozór - tak samo, jak przed wizytą. Nawet kiedy wróca, mogą nie od razu sprawdzić swój skarbiec. Tak czy inaczej, nie musi korzystać z brutalnych metod.

Podszedł szybko do wielkoekranowego telewizora pod ścianą. Ta część sypialni urządzona była na kącik wypoczynkowy. Stały tam dwa fotele obite wzorzystym perkalem i stolik-ława. Leżały na nim trzy piloty. Jeden do telewizora, drugi do wideo i trzeci, który może oszczędzić mu całonocnej pracy. Każdy pilot miał znak firmowy, wszystkie były do siebie podobne, ale prosty eksperyment wykazał, że dwa z nich uruchamiały telewizor i wideo, a jeden - nie. Podszedł do lustra, skierował na nie pilota i nacisnął czerwony guzik. Normalnie oznaczałoby to rozpoczęcie nagrywania na kasecie wideo. Dziś, w tym pokoju, oznaczało, że bank otwiera swoje podwoje dla jedyne go, szczęśliwego klienta.

Luther uważnie obserwował, jak drzwi odchylają się bezszelestnie na widocznych teraz, niewymagających smarowania zawiasach. Ze starego nawyku odłożył pilota dokładnie w to samo miejsce. Wyciągnął z plecaka miękką torbę sportową i wszedł do skarbcza.

Zdziwił się bardzo, gdy światło latarki padło na wyściełany fotel, stojący pośrodku. Pomieszczenie miało na oko rozmiary sześć na sześć stóp. Na fotelu leżał identyczny pilot, widocznie na wypadek, gdyby ktoś zatrasnął się w środku przez pomyłkę. Następnie jego spojrzenie powędrowało ku półkom po obu stronach.

Gotówka, ułożona w schludne pliki, poszła na pierwszy ogień. Następnie zawartość podłużnych pudełek, biżuteria - z pewnością nie sztuczna. Luther naliczył coś ze dwieście tysięcy w obligacjach i innych papierach wartościowych, dwa pudełeczka starych monet i jeszcze jedno ze znaczkami. Na widok jednego z nich Luther z trudem przełknął ślinę. Zostawił czyste czek i teczki pełne dokumentów prawniczych, dla niego bezwartościowych. Pobieżny szacunek przekroczył już dwa miliony. Czterokrotnie więcej, niż przewidywał.

Rozejrzał się jeszcze raz, uważając, żeby nie przeoczyć jakiegoś zakamarka. Ściany solidne, muszą być ogniotrwałe, pomyślał, albo przynajmniej tak odporne na ogień, jak to w ogóle możliwe. Pomieszczenie nie jest hermetyczne, powietrze świeże, nie zastałe. Można by się tu zamelinować na długo. Temu spostrzeżeniu Luther nie poświęcił tyle uwagi, ile należało.

Limuzyna posuwała się drogą szybko, furgonetka za nią, kierowcy obu pojazdów wykazywali się nie lada umiejętnościami, prowadząc je bez świateł.

W obszernym tylnym przedziale limuzyny siedział mężczyzna i dwie kobiety. Jednej z nich brakowało niewiele, żeby określić ją jako zalaną. Usiłowała właśnie rozebrać mężczyznę i siebie jednocześnie, nie bacząc na łagodne i dobrodusze protesty ofiary.

Druga kobieta siedziała naprzeciwko nich z zaciśniętymi ustami i ostentacyjnie starała się ignorować żaloszny spektakl, na który składały się głównie pensjonarski chichot i sapanie. W rzeczywistości jednak uważnie obserwowała każdy szczegół zmagania tej pary. Pilnowała rozłożonego na kolanach terminarza, w którym notatki i terminy spotkań walczyły o czas i uwagę siedzącego naprzeciw mężczyzny, a on tymczasem wykorzystywał okazję, że jego towarzyszką zajęła się ściąganiem szpilek, by nalać sobie drinka. Jego tolerancja na alkohol była niewiarygodna. Mógł wypić dwukrotnie więcej, niż wypił dotąd, bez żadnych zewnętrznych oznak - bełkotliwej mowy czy niezbornych ruchów, które zaszkodziłyby człowiekowi na jego stanowisku. To, co działo się w jego wewnętrznej maszynerii, to zupełnie inna historia, ale tego nie mogła wiedzieć.

Musiała go podziwiać, jego obsesję, szaleństwa, umiejętność równoczesnego kreowania własnego

wizerunku przepojonego czystością i mocą, normalnością i wielkością. Kochały się w nim wszystkie Amerykanki - młode, stare i w średnim wieku, urzeczone jego klasyczną urodą, niewzruszoną pewnością siebie i tym, co w ich oczach reprezentował. A on odpowiadał na to powszechne uwielbienie namiętnością, która ją zdumiewała.

Niestety namiętność ta nie kierowała się w jej stronę, mimo wysyłanych przez nią dyskretnych sygnałów, dotknięć, które trwały o ułamek sekundy za długo, mimo starań, żeby pokazywać mu się rano, kiedy wyglądała najlepiej, mimo seksualnych aluzji podczas ich narad strategicznych. Jakby była jednym z kumpli. Ale ma jeszcze dużo czasu. A dopóki nie nadejdzie czas - a nadejdzie na pewno - musi być cierpliwa. Nie wiedziała, że jej szef wytrąbił dziś znacznie więcej alkoholu niż zazwyczaj. Gdyby zdawała sobie z tego sprawę, pewnie wyperswadowałaby mu tę kobietę, tę jazdę i to, co miało nastąpić tej nocy. On też miał pewien próg odporności na alkohol, choć ona nie miała pojęcia, co się może stać, kiedy ten próg zostanie przekroczony.

Miała się dowiedzieć.

Wyjrzała przez okno. To za długo trwa. Nienawidziła improwizacji. Skrzywiła się z niesmakiem.

Luther usłyszał samochody na podjeździe frontowym. Rzut oka przez okno potwierdził, że się nie przesłyszał. W ułamku sekundy stwierdził, że ma odcięty odwrót, i obmyślił plan dalszej akcji.

Przeskoczył do drugiego okna i zobaczył, jak pojazdy objeżdżają dom, żeby zniknąć na tyłach. Naliczył cztery osoby wysiadające z limuzyny i jedną z furgonetki. Złapał torbę, włączył domową instalację alarmową, błogosławiąc w duchu swoją pamięć do liczb, wślizgnął się do skarbca i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, aż zamek zaskoczył. Wcisnął się w najdalszy kąt klitki. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak cierpliwie czekać.

Przeklinał swojego pecha. Wszystko szło jak po maśle! Dwadzieścia lat! Dwadzieścia cholernych lat! Otrząsnął się z ponurych myśli, z wysiłkiem unormował oddech. To jest jak latanie. Im dłużej to robisz, tym większa szansa, że przytrafi ci się coś paskudnego. Trzeba po prostu czekać, co będzie, i mieć nadzieję, że przybysze nie będą nagle potrzebować czegoś z domowego banku, który teraz stanowił jego schronienie.

Usłyszał wybuch śmiechu, potem harmider głosów, równocześnie rozległ się głośny pisk instalacji alarmowej, który zabrzmiał jakby tuż nad jego głową. Najwidoczniej jakieś drobne kłopoty z hasłem. Krople potu pojawiły się na czole Luthera, kiedy wyobraził sobie, że alarm się uruchamia i zwała się tu policja, żeby przeszukać dom „na wszelki wypadek” i rozpoczyna od jego przytulnego gniazda.

Nasłuchując, zastanawiał się, jak zareagowałby, gdyby drzwi z lustrem się otworzyły i światło wdarło się do środka. Zaglądają obce twarze, wycelowana broń, ktoś odczytuje mu jego prawa. Niemal się roześmiał. Cholerny szczur w cholernej pułapce. Bez odwrotu. Od trzydziestu lat nie miał papierosa w ustach, lecz teraz rozpaczliwie pragnął się zaciągnąć. Taki wybrał sobie zawód. Może w ogóle nie wejdą na górę. Cicho postawił torbę na podłodze, rozprostował nogi, żeby nie zdrętwiały, i czekał.

Ciężkie kroki na stopniach z litego dębu. Kimkolwiek są, nie zależy im na tym, żeby zachowywać się cicho. To dobrze i źle zarazem. Naliczył cztery, być może pięć osób. Skręcili w lewo i zmierzali w jego kierunku.

Drzwi sypialni otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Luther poszukał w pamięci. Wszystkie swoje rzeczy zabrał, a resztę odłożył na miejsce. Dotykał tylko pilota, odłożył go dokładnie według śladów na kurzu. Zauważyć coś mógłby tylko najwyższej klasy specjalista. Teraz Luther słyszał tylko trzy głosy. Mężczyzna i dwie kobiety. Jedna z kobiet najwyraźniej podpita, druga niezwykle zaaferowana. Po chwili pani Zaaferowana znikła, drzwi trzasnęły, ale nie słyszał dźwięku klucza w zamku. Pani Podpita i

mężczyzna zostali sami. Gdzie są pozostali? Dokąd poszła pani Zaaferowana? Chichoty trwały. Kroki zbliżyły się do lustra. Luther skulił się w kącie, mając nadzieję, że zasłoni go fotel, ale niewielką.

Oślepiła go nagła jasność. Szok przejścia od atramentowej czerni do pełnego światła aż zaparł mu dech w piersiach. Mrugał gwałtownie, żeby przyzwyczaić wzrok do jasności. Jego źrenice w ułamku sekundy z rozwartych w pełni zmniejszyły się do rozmiarów łebka od szpilki. Ale oprócz światła nic - cisza, żadnych krzyków, twarzy, broni. Odczytywanie praw musi jeszcze poczekać.

Wreszcie, po upływie całej minuty, Luther wyjrzał zza fotela i doznał kolejnego wstrząsu. Drzwi skarbcza znikły, patrzył prosto na tę cholerną sypialnię. Prawie zbiło go to z nóg, ale się opanował. Nagle zrozumiał, skąd tu ten fotel.

Rozpoznał obydwie osoby obecne w pokoju. Kobiętę widział już dzisiaj na zdjęciach - młoda żonka z upodobaniem do frywolnej bielizny.

Mężczyzna natomiast był mu znany zupełnie skądinąd. Nie był to w żadnym razie pan domu. Luther ze zdumienia wolno pokręcił głową i westchnął. Nie do wiary. Ręce mu zadrżały i poczuł, że robi mu się niedobrze. Opanował falę mdłości i spojrzał do sypialni.

Drzwi sejfu stanowiła lustrzana szyba. Kiedy w sypialni było jasno, a tu, w skarbcu ciemno - siedziało się tu jak przed gigantycznym ekranem telewizyjnym.

Nagle zobaczył i znów zaparło mu dech w piersiach - naszyjnik, który miała na sobie kobieta. Dwieście patyków, na jego wprawne oko, może więcej. Taki drobiażdżek, który chowa się do domowego skarbcza przed udaniem się na spoczynek. Odetchnął, widząc, jak kobieta zdejmuje go i od niechcenia rzuca na podłogę. Dwieście patoli na podłodze!

Rozzłościło go to na tyle, że zdobył się na odwagę i wstał, po czym powolutku podszedł do fotela i ostrożnie usiadł. A więc to tutaj staruszek siadywał i podglądał, jak jego kobietka rżnie się z młodziami, co to zarabiają grosze, pracując na czarno.

Rozejrzał się nieco odprężony, ale nadal nasłuchiwał uważnie; byli jeszcze tamci goście. Co miał robić? Trzydzieści lat pracy w złodziejskim fachu i nigdy nie przytrafiło mu się coś takiego. Postanowił zrobić jedyne, co mógł w tej sytuacji. Zagłębił się w skórzanym fotelu i czekał na początek przedstawienia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzy przecznice od potężnej białej bryły Kapitolu Jack Graham otworzył drzwi wejściowe swojego mieszkania, rzucił płaszcz na podłogę i podszedł prosto do lodówki. Z piwem w ręku zwałił się na sfatygowaną kanapę w salonie. Popijając, omiół wzrokiem pokój. Zupełnie tu inaczej niż tam, gdzie był przed chwilą. Potrzymał piwo w ustach i przełknął. Mięśnie jego kwadratowej zuchwy napięły się i rozluźniły. Dokuczliwe ukłucia wątpliwości z wolna odpływały, ale pojawią się znowu, jak zawsze.

Kolejne ważne przyjęcie wieczorne z kobietą, która ma wkrótce zostać jego żoną, z jej rodziną oraz gronem jej znajomych. Ludzie tak wyrafinowani najwyraźniej nie mają zwyczajnych przyjaciół, z którymi spędza się po prostu czas. Każdy pełni jakąś funkcję, całość to coś więcej niż suma części składowych. A przynajmniej takie są założenia. Jack miał własną opinię na ten temat.

Obficie reprezentowane były zarówno przemysł, jak i finanse: bankowcy wyspecjalizowani w inwestycjach i biznesmeni, legitymujący się nazwiskami z pierwszych stron „Wall Street Journal”, na które Jack rzucał okiem, zanim zagłębił się w wiadomości sportowe. Obecni byli politycy, skrzętnie

gromadzący na przyszłość głosy i dolary, a także czteroosobowa poważna delegacja środowisk dobroczynnych.

Artyści i pseudoartyści z Zachodniego Wybrzeża przylecieli prywatnymi odrzutowcami. Najmodniejsze ciuchy i pracowicie rozdmuchiwana sława prawdziwych twórców zjednywała im zainteresowanie otoczenia. Cały wieczór spędzili, wymyślając koncepcje, wierząc, że znajdą się inni, którzy w pocie czoła zajmą się szczegółami ich realizacji.

Do kompletu znalazło się jeszcze dwóch wszędobylskich prawników, z których jednym był on. A na dodatek zabłąkany lekarz.

Skończył piwo i włączył telewizor. Zrzucił buty, a skarpetki za czterdzieści dolarów, które kupiła mu narzeczona, rzucił beztrzesko na abażur lampy. Jak takdalej pójdzie, to ona zmusi go do noszenia szelek za dwieście dolców i ręcznie malowanych krawatów. Cholera! Rozcierając sobie stopy, poważnie zastanawiał się nad drugim piwem. Telewizji, mimo najszczerzych usiłowań, nie udało się wzbudzić jego zainteresowania. Odgarnął z oczu gęste czarne włosy i po raz setny pomyślał o tym, dokąd zmierza jego życie, ostatnio z prędkością rakiety kosmicznej.

Służbowa limuzyna Jennifer Baldwin zawiozła jego i ją do jej miejskiego domu w północno-zachodniej części Waszyngtonu, dokąd Jack prawdopodobnie przeprowadzi się po ślubie. Ona nie znosiła jego mieszkania. Udało mu się wyłgać z zostania na noc, bo prawdę mówiąc, nie wytrzymałby z nią ani minuty dłużej. Do ślubu zostało zaledwie sześć miesięcy, z punktu widzenia panny młodej tyle co nic, a on siedział tu i miał poważne wątpliwości.

Jennifer Ryce Baldwin to piękna, inteligentna, ambitna i utalentowana dziewczyna. Stoją za nią poważne pieniądze i ma wyraźną ochotę wyjść za niego. Jej stary jest właścicielem jednego z największych biznesów w kraju. Domy handlowe, biurowce, stacje radiowe, całe gałęzie usług - czego tylko tknąć, we wszystkim ma udziały, a do tego idzie mu lepiej niż komukolwiek innemu. Właśnie teraz zrujnował się na ponad tysiąc nieruchomości rozrzuconych w dwudziestu sześciu stanach. Jej pradziad ze strony ojca był jednym z pierwszych rekinów przemysłowych Środkowego Zachodu, a do rodziny jej matki należał niegdyś niezły kawałek śródmieścia Bostonu.

Nie było ani jednego faceta, Jack to wiedział, który by mu nie zazdrościł jak cholera. Trafił główną wygraną na loterii. Cóż, skoro jakoś wcale nie czuł się szczęściarzem.

Wykręcił się w fotelu i spróbował rozmasować bolący bark. Nie ćwiczył od tygodnia. Nawet teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat, miał tę samą żelazną kondycję, którą się cieszył w szkole średniej i która pozwalała mu w każdej sportowej dyscyplinie górować bezapelacyjnie nad kolegami, a potem, w college'u, w znacznie ostrzejszej konkurencji wywalczyć drugie miejsce na mistrzostwach Ameryki w zapasach w wadze ciężkiej, a złoty medal na mistrzostwach akademickich.

Podyplomowe studium prawa na Uniwersytecie Wirginii skończył z drugą lokatą i od razu zatrudnił się, jako obrońca z urzędu, w wymiarze sprawiedliwości Dystryktu Kolumbii.

Wszyscy koledzy zaraz po studiach załapali się na radców prawnych w wielkich firmach. Dzwonili do niego regularnie, namawiając go na wizytę u psychiatry. Pięć lat jako obrońca z urzędu. Wziął następne piwo. Lodówka była teraz zupełnie pusta.

Pierwszy rok był ciężki, dopiero zaczynał i więcej spraw przegrał niż wygrał. Do diabła, większość jego tak zwanych klientów miała na sumieniu sprawy, o których nawet nie śniło się prokuratorowi. Ale w drugim roku dopuszczono go do poważniejszych przestępstw i wówczas zorientował się, że nie każdy, kto pojawia się w drzwiach jego biura, jest winien wszystkiego, o co go oskarżają. Nie przejmował się oczywistymi sprawami. Uzyskiwał najlepszy możliwy wyrok, oskarżony szedł za kratki i tyle. Nigdy nie

wydawało mu się, że jego praca polega na tym, aby przekonać przysięgłych, że winowajca jest niewinny. Ale jeśli trafił się ktoś, w kogo niewinność święcie wierzył, a takich było więcej niż kilku, i z roku na rok przybywało, w miarę jak rosła jego renoma, wtedy powiedzieć o nim, że poruszał niebo i ziemię, byłoby za mało. W każdą z takich spraw łądował całą swoją młodzieńczą energię, wrodzony talent i zdrowy rozsądek i w końcu zaczęło to procentować.

Wtedy zaczął wygrywać naprawdę poważne procesy.

W roli adwokata czuł się naturalnie, krzyżowy ogień pytań przychodził mu równie łatwo, jak niegdyś walka na macie i rozłożenie na łopatki znacznie cięższego przeciwnika. Zdawało mu się, że wróciły szkolne czasy, że góruje nad innymi, nawet nad najbardziej doświadczonymi oskarżycielami. Sędziowie zaczęli to dostrzegać. Szanowano go, a nawet lubiano.

Potem spotkał w sądzie Jennifer. Była zastępcą szefa do spraw rozwoju i marketingu w Baldwin Enterprises i po troszeczkę udawało się jej go przekonywać, że zrobił już swoje na rzecz biednych, upośledzonych i pokrzywdzonych i powinien wreszcie pomyśleć o sobie i swojej przyszłości, i może w tej przyszłości znalazłoby się miejsce i dla niej. Gdy wreszcie zrezygnował z pracy w wymiarze sprawiedliwości, pożegnano go z wszystkimi honorami.

Czasami przypominał sobie, że jest jeszcze mnóstwo biednych, upośledzonych i pokrzywdzonych, którzy potrzebują pomocy. Wiedział, że już nigdy nie będzie czuł tego dreszczyku, jaki wiązał się z pracą obrońcy z urzędu, cóż, życie idzie naprzód, przychodzi czas, kiedy nawet tacy mali chłopcy jak Jack Graham muszą dorosnąć. Może to właśnie ten czas.

Wyłączył telewizor, wziął torebkę nachos i poszedł do sypialni, omijając sterty brudnej bielizny porozrzucane po podłodze. Nie mógł winić Jennifer, że nie lubi jego mieszkania, rzeczywiście był z niego fletuch. Ale najbardziej martwiła go niezachwiana pewność, że nawet gdyby u niego było nieskazitelnie czysto, to i tak Jennifer nigdy nie zgodziłaby się tu zamieszkać. Po pierwsze nieodpowiednie sąsiedztwo - Capitol Hill, świetnie, ale nie ta „lepsza” część Capitol Hill, właściwie całkiem nie ta.

Poza tym wielkość. Jej dom w mieście musi mieć jakieś pięć tysięcy stóp kwadratowych, nie licząc pomieszczeń dla służby i podwójnego garażu na jej jaguara oraz fabrycznie nowego range rovera, tak jakby ktoś, kto mieszka w Waszyngtonie, gdzie wiecznie są korki na ulicach, potrzebował wehikułu, który zdolny jest wjechać po pionowej ścianie na szczyt wysokości dwudziestu tysięcy stóp.

On miał cztery izby, licząc łazienkę. Dotarł do sypialni, ściągnął ubranie i zwałił się na łóżko. W przeciwległym kącie pokoju, na plakietce, która przedtem wisiała w jego biurze - czuł się nią skrępowany, więc ją zdjął - można było przeczytać, że został przyjęty na członka Patton, Shaw & Lord. PS&L jest kancelarią prawniczą numer jeden przy Kapitolu. Zajmuje się obsługą prawną setek najpotężniejszych przedsiębiorstw. Wśród tych przedsiębiorstw było także jedno należące do jego przyszłego teścia, z wielomilionowym rachunkiem. Przejęcie obsługi prawnej tego przedsiębiorstwa przez PS&L było uważane za zasługę Jacka, co z kolei gwarantowało mu utrzymanie członkostwa w firmie. Członkostwo Patton, Shaw & Lord warte było, przeciętnie, przynajmniej pół miliona dolarów rocznie. Dla Baldwinów taka kwota to drobnostka, ale on nie jest Baldwinem. Przynajmniej na razie.

Przykrył się kocem, blok był niedograny, łyknął dwie aspiryny i popił zwietrzałą colą, która stała na szafce nocnej. Myślał wciąż o powrocie do pracy obrońcy w sprawach karnych, jedna-dwie sprawy od czasu do czasu. Tę całą obsługę transakcji można wytrzymać, ale to nudna robota, a kiedy umowa jest już podpisana, nie ma żadnego poruszenia, żadnego wybuchu euforii, który towarzyszy wygranej w dużym procesie karnym, kiedy stawką jest czyjaś wolność. Rozejrzył się po ciasnej, zabałaganionej sypialni.

Wyciągał dobrze ponad sto tysięcy rocznie i większość tego oszczędzał, głównie dlatego, że po prostu

nie odczuwał potrzeby kupowania czegokolwiek. Własność mu ciążyła. Ten absolutnie niekonsumpcyjny stosunek do życia martwił jego kolegów, którzy się pourządzali, pożenili, a o ich sukcesie zawodowym świadczyły domy z pomocą domową na stałe, saaby w garażu i drugie dziecko w drodze.

To też był problem z Jennifer. Nie pozostawiła najmniejszej wątpliwości, że tupot małych stopek to nie jest coś, co ma w planach na najbliższą przyszłość. Jej kariera w kompanii ojca ma pierwszeństwo w jej umyśle i sercu, Jack sądził, że chyba nawet przed nim. On natomiast nie miał ochoty kibicować na meczach drużyny szkolnej syna, siedząc w fotelu na kółkach, nawet jeśli byłby na tyle bogaty, żeby wynająć kogoś do pchania tego fotela. To była bitwa, którą naprawdę trzeba będzie rozegrać, i Jack zastanawiał się w tej chwili, czy w ogóle warto ją rozgrywać.

Przewrócił się na bok i próbował zamknąć oczy. Okno zatrzęszczało pod naporem wiatru; spojrzął w tę stronę.

Wtedy ją zobaczył.

Tam, na skrzynce, w której trzymał część swojej kolekcji starych trofeów sportowych i nagród z czasów szkoły i studiów. Sięgnął ręką w półciemności, cofnął ją, znów się zdecydował.

Oprawiona w ramki fotografia. Nie po raz pierwszy po nią sięgał. To był prawie rytuał, zwłaszcza odkąd zaręczył się z Jennifer Baldwin. Nie martwił się tym, że narzeczona natknie się na tę właśnie spośród jego rzeczy, ponieważ absolutnie odmawiała przekroczenia progu jego sypialni. Jeśli chodzili razem do łóżka, to jedynie w jej domu, gdzie Jack leżał na wznak, gapiąc się na sufit na wysokości dwunastu stóp, pokryty malowidłami przedstawiającymi starożytnych jeźdźców i młode dziewczęta, podczas gdy Jennifer sprawiała sobie przyjemność, aż wreszcie opadała na niego i odwracała, żeby mógł się przetoczyć na nią i zakończyć. Albo w domu jej rodziców na wsi, gdzie sklepienie było jeszcze wyżej, a na nim kopia fresków z trzynastowiecznego kościoła w Rzymie, co powodowało, że Jack miał wrażenie, że Bóg przygląda mu się, jak ujeżdża go całkiem naga Jennifer Ryce Baldwin, i że będzie się smażył w piekle przez wieczność za te parę chwil zmysłowej przyjemności.

Kobieta na fotografii miała jedwabiste, brązowe włosy, wijące się lekko na końcach. Uśmiechała się do Jacka, a on przypomniał sobie dzień, kiedy zrobił to zdjęcie.

Daleka wyprawa rowerowa wśród dostojnych krajobrazów hrabstwa Albemerle. Właśnie zaczynał studia podyplomowe, ona studiowała na drugim roku w college'u Uniwersytetu Jeffersona. To była ich trzecia randka, lecz zdawało się, że spędzili razem całe życie.

Kate Whitney.

Wypowiedział jej imię i nazwisko powoli; ręka odruchowo odrysowywała krzywiznę jej uśmiechu. Pojedynczy dołeczek w lewym policzku sprawiał, że buzia wydawała się lekko skrzywiona. W wielkich oczach o migdałowym kształcie czaił się chochlik, zdradzając, że zawsze gotowa jest rzucić się w coś nowego, zawsze trzyma rękę na pulsie.

Jack odwrócił się na wznak i postawił sobie zdjęcie na piersi, tak że ona patrzyła mu prosto w oczy. Nigdy nie potrafił myśleć o Kate, żeby nie zobaczyć przed oczami wyobraźni jej ojca, z jego bystrym dowcipem i chytrym uśmiechem, które odziedziczyła po nim córka.

Ku zdumieniu i dezaprobachie Kate, Jack i jej ojciec od razu przypadli sobie do gustu. Staruszek nieustannie był o włos od kryminału, ale jakoś udawało mu się wywinąć. Luther Whitney oberwał od społeczeństwa sporo ciężkich ciosów, ale dalej robił swoje. Jack to szanował, mimo że nie pochwałał wyboru profesji. Zresztą nigdy nie poruszano tego tematu. Luther był świadom, że Jack zna jego przeszłość. Jakżeby inaczej, skoro znał Kate?

Jack często odwiedzał Luthera w jego małym mieszkanku w szeregowcu, w tej okolicy Arlington,

która pamiętała lepsze czasy. Całe godziny spędzali, sącząc piwo i snując opowieści, to znaczy mówił głównie Luther, a Jack słuchał.

Widząc skromny segment z małym kwiatowo-warzywnym ogródkiem na tyłach, Jack zastanawiał się często, na co poszły owoce tej przemilczanej przestępczej działalności przyjaciela. Zdziwiłby się, gdyby wiedział, że Luther odłożył do skarpety większość swoich nielegalnych dochodów, a sam miał niewielkie potrzeby i utrzymywał się głównie z prac dorywczych.

Kate nigdy ojca nie odwiedzała, a on nie próbował się z nią kontaktować. Jack chciał go poznać i udało mu się to, niemal przypadkowo, wbrew zasadniczym i głośno wyrażanym sprzeciwom Kate. Uśmiech na jej twarzy gościł prawie zawsze, ale nigdy, kiedy mówiła o ojcu.

Rozstali się w trakcie pierwszego roku jego praktyki adwokackiej.

Przyczyny były proste: nie potrafiła zrozumieć, dlaczego postanowił reprezentować ludzi, którzy złamali prawo, i nie mogła znieść tego, że lubił jej ojca. Przed zerwaniem życie płynęło im sielankowo.

Po dyplomie przeprowadzili się do Dystryktu Kolumbii, a ona zapisała się na studia prawnicze w Georgetown. Przychodziła na jego pierwsze rozprawy, kiedy ze ściśniętym ze strachu żołądkiem i gardłem z trudem szukał swojego miejsca na sali rozpraw. Pomagała mu przy sprawach, sprawdzała poszlaki, odnajdywała świadków i przekonywała ich, żeby zeznawali. Lecz w miarę jak przestępstwa, o które oskarżano jego klientów, stawały się coraz cięższe, jej chęć niesienia pomocy słabła.

Pamiętał ich ostatnie spotkanie, siedział z nią w tym właśnie pokoju i prosił, błagał, żeby od niego nie odchodziła. Ale zrobiła to cztery lata temu i nie widział jej od tego czasu ani nie zamienił z nią słowa.

Doszło do niego, że zatrudniła się w prokuraturze stanu Wirginia, w Alexandra, gdzie niewątpliwie wsadzała za kratki jego byłych klientów. Poza tym nic o niej nie wiedział.

Ale kiedy tak leżał, a ona patrzyła na niego z uśmiechem, z którego mógł wyczytać milion razy więcej rzeczy, niż kiedykolwiek wyczytał z uśmiechu kobiety mającej za pół roku zostać jego żoną, zastanawiał się, czy nadal tak musi być, czy ma sobie komplikować życie znacznie bardziej, niż kiedykolwiek zamierzał. Złapał słuchawkę telefonu i wybrał numer.

Cztery dzwonki i usłyszał jej głos z taśmy. Był w nim jakiś ton, którego nie pamiętał, chyba coś nowego. Już miał zostawić wiadomość, coś zabawnego, absurdalnego, lecz gdy usłyszał brzęczyk sygnalizujący początek nagrania, spanikował i odłożył słuchawkę, trzęsącymi rękami, z trudem łapiąc oddech. Pokręcił głową. Chryste! Wygrał pięć spraw o morderstwo pierwszego stopnia, a dygotał jak cholerny szesnastolatek przed pierwszą randką.

Jack odstawił fotografię i wyobraził sobie, co Kate robi właśnie w tej chwili. Pewnie siedzi jeszcze w biurze, rozważając, ile lat wyciąć z życia jakiemuś nieszczęśnikowi.

Potem zadumał się nad Lutherem. Czyżby w tej chwili był po niewłaściwej stronie czyichś drzwi? Czy właśnie wymykał się z kolejnym workiem niezarobionego bogactwa na plecach?

Co za rodzinka, Luther i Kate Whitney. Tak różni i tak bardzo podobni. Skupieni na tym, co ich interesuje, bardziej niż ktokolwiek inny, ale ich zainteresowania są od siebie tak odległe jak dwie galaktyki. Tego ostatniego wieczoru, gdy Kate opuściła jego życie, poszedł odwiedzić Luthera i pożegnać się z nim przy ostatnim piwie. Usiedli w dobrze utrzymanym ogródku, patrząc na powojnik i bluszcz pnące się po ceglanych murze. Zapach bzów i róż otulał ich szczelnie jak sieć.

Staruszek przyjął to spokojnie, zadał parę pytań i życzył Jackowi wszystkiego najlepszego. Niektóre sprawy się nie układają, Luther rozumiał to równie dobrze jak każdy. Lecz gdy Jack wychodził, zauważył w oku starego człowieka błysk, a potem drzwi się zamknęły za tym etapem jego życia.

Zgasił wreszcie światło i zamknął powieki, wiedząc, że kolejne jutro już nadchodzi. Jeden dzień bliżej

do tej głównej wygranej na loterii. Nie spało mu się z tym dobrze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Luther zeszytywniał w fotelu. Ubranie kobiety leżało teraz zwinięte w kłębek na podłodze. Miała takie ciało, że na jego widok inne kobiety, które nie mogły się takim poszczycić, dostawały napadów wściekłości. Każda wypukłość znajdowała się tam, gdzie powinna. W talii Luther zdołałby ją objąć dwiema dłońmi, piersi miała pełne i krągłe, duże, zwłaszcza przy jej wzroście. Nogi były szczupłe i wymodelowane przez setki godzin tenisa i aerobiku.

Mężczyzna, rozebrany do spodenek, siedział na krawędzi łóżka, popijał jeszcze jednego drinka i obserwował kobietę, jak nie spiesząc się, zdejmowała bieliznę. Jej tyłeczek był krągły i jędrny, kremowa biel kontrastowała z opalenizną przywiezioną z Hawajów.

Zbliżała się do niego powoli, potknęła się, on ją złapał i przytrzymał, a ona zaczęła ocierać się o jego klatkę piersiową. Chwycił ją mocno za piersi, a potem zaczął je uderzać otwartą dłonią, raz po raz. Luther aż się skręcił z bólu na ten widok, na białej skórze piersi wykwitły czerwone ślady. Lecz albo kobieta była zbyt pijana, żeby odczuwać ból, albo lubiła być traktowana w ten sposób, bo uśmiech z jej twarzy nie zniknął. Luther znów poczuł skurcz w żołądku, gdy palce mężczyzny zagłębiły się w miękkim cieple.

Obserwował oczy mężczyzny i nie spodobało mu się to, co w nich zobaczył. Coś z nim było niezupełnie w porządku, prawdę mówiąc całkiem źle. Luther pokręcił głową z niedowierzaniem, nie podejrzewał tego człowieka o coś takiego.

Kobieta wreszcie się zniecierpliwiła i popchnęła go na łóżko. Siadła na nim okrakiem i Luther zobaczył to, co było zarezerwowane dla jej ginekologa lub męża. Usiłowała ściągnąć mężczyźnie spodenki gwałtownymi ruchami stóp. Wreszcie szorty znalazły się na podłodze. Uniosła się, ale on brutalnie zepchnął ją na bok i wszedł na nią. Chwycił ją za nogi i zadarł je prostopadle do góry. Luther spojrzał niżej; mężczyzna niewątpliwie był podniecony. Ale zanim zanurzył się między jej nogi, chwycił jej piersi i ścisnął, widocznie zbyt mocno, bo Luther usłyszał wreszcie okrzyk bólu. Uderzyła go otwartą dłonią w twarz. On gwałtownie oddał jej policzek, z nienawiścią. Luther zobaczył strużkę krwi ściekającą z kącika umalowanych szminką warg.

- Ty zaszary skurwysynu. - Sturlała się z łóżka i usiadła na podłodze, rozcierając sobie usta i zlizując krew. Jej zamroczony umysł rozjaśnił się nagle. Pierwsze słowa tego wieczoru, które Luther usłyszał wyraźnie. Jak obuchem w łeb.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale Lutherowi ten uśmiech wcale się nie spodobał, przypominał grymas dzikiej bestii czającej się do śmiertelnego skoku. W życiu widział wielu pijanych facetów, bił się z niejednym o zupełne głupstwa. Ten gość był niebezpieczny.

- Zaszary skurwysynu - powiedziała znów, trochę spokojniej i nieco bełkotliwie. Wstała, a on pchnął ją tak, że upadła mocno na podłogę. Luther podniósł się, pięści zacisnęły się odruchowo. Co za kutas, żeby bić taką drobną kobitkę. Powstrzymała go świadomość, że jeśli otworzy te drzwi, to już się nie wywinie.

Usiadł z powrotem, jego dłonie zaciskały się i rozwierały, a on patrzył i zastanawiał się, gdzie, u diabła, podziela się reszta przybyszów. Miał nadzieję, że pojawią się, zanim to, co się dzieje, całkiem wymknie się spod kontroli.

Kobieta zaczęła wstawać z podłogi, powoli odzyskując przytomność. Mężczyzna uśmiechnął się do niej i z wolna wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją. A potem popełniła błąd. Jej kolano podskoczyło i

trafiło go między nogi, tak że zgiął się wpół. Minęło mu wszelkie podniecenie. Leżał na podłodze, dysząc ciężko, a ona złapała swoje figi i zaczęła je naciągać. Złapał ją za kostkę i szarpnął, majtki zostały na wysokości kolan.

- Ty mała pizdo! - wystękał, z trudem łapiąc oddech, cały czas trzymając ją za kostkę. Wierząca, ale on nie puszczał. - Ty mała, jebana kurewko. - Luther zorientował się, że znów stoi przed drzwiami, poderwany siłą nienawiści w głosie mężczyzny.

Mężczyzna w bólu gramolił się na nogi. Jego wyraz twarzy zmroził Lutherowi krew w żyłach. Ręce mężczyzny sięgnęły do szyi kobiety i zacisnęły się. Jej mózg, zamroczony alkoholem, nagle odzyskał sprawność. Oczy, teraz pełne już tylko strachu, strzelały na prawo i lewo, uścisk na jej szyi się wzmagał, a oddech słabł.

Wierząca i szarpała się, ale on ważył blisko dwa razy tyle co ona i nawet nie drgnął.

Luther rzucił okiem na pilota. Mógł otworzyć drzwi. Mógł to powstrzymać. Ale zupełnie jakby wrósł w ziemię. Patrzył bezradnie przez szkło, pot ściekał mu z czoła, oddech rwał się, klatka piersiowa unosiła gwałtownie. Obiema rękami wsparł się o szklaną płytę.

Całkiem wstrzymał oddech, gdy wzrok kobiety spoczął na szafce nocnej. Jednym rozpaczliwym ruchem chwyciła nóż do papieru i zadała na ślepo cios, trafiając mężczyznę w ramię.

Ten zacharczał z bólu, puścił ją i złapał się za zakrwawione ramię. Przez jedną koszmarną sekundę przyglądał się swojej ranie z niedowierzaniem. Ta kobieta zrobiła mu coś takiego.

Kiedy z powrotem podniósł wzrok, Luther prawie poczuł mordercze warknięcie, zanim rzeczywiście wydobyło się z ust mężczyzny.

I wtedy ją uderzył, Luther nigdy nie widział, żeby mężczyzna z taką siłą uderzył kobietę. Twarda pięść zetknęła się z kruchym ciałem, z nosa i ust poleciała krew, a z nią prawdopodobnie parę zębów.

Czy to z powodu tej całej wody, którą miała w sobie, czy z innego, Luther nie wiedział, ale cios, który zwałiby z nóg normalnego człowieka, zaledwie ją rozdrażnił. Wstała chwiejnie. Spojrzała w lustro i Luther zobaczył wyraz zgrozy na jej twarzy, gdy ujrzała nagle, co się stało z jej urodą. Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy, dotknęła opuchniętego nosa, włożyła do ust palec, badając uszczerbki w uzębieniu. Wyglądała jak rozmazany portret, jej główny atut zniknął.

Kiedy znów odwróciła się w stronę mężczyzny, Luther zobaczył, że mięśnie pleców ma napięte jak stal. Z całej siły kopnęła mężczyznę jeszcze raz w krocze. W jednej chwili osłabł, był załatwiony na dobre. Odwrócił się na wznak, jęcząc. Z twarzą we krwi, z oczami, w których lęk zastąpiła żądza mordu, opadła na kolana i wzniosła rękę z nożem do papieru nad jego głową. Luther zrobił krok do drzwi.

Mężczyzna, widząc, że jego życie wisi na włosku, gdy nóż opadał na jego pierś, wrzasnął z całych sił, jakie mu jeszcze pozostały. Wołanie nie zostało bez odpowiedzi. Luther spojrzał na drzwi sypialni, które rozwarły się na oścież.

Dwóch mężczyzn, ostrzyżonych na jeża, w garniturach opiętych na potężnych sylwetkach, wpadło do pokoju z bronią w ręku. Nim Luther zdążył zrobić kolejny krok, ocenili sytuację i podjęli decyzję.

Oba rewolwery wypaliły niemal jednocześnie.

Kate Whitney siedziała w swoim biurze, przeglądając akta jeszcze raz.

Facet był recydywistą, siedział już czterokrotnie, poza tym sześć razy go zatrzymywano, lecz nie został skazany, ponieważ albo świadkowie byli tak zastraszeni, że bali się zeznawać, albo skończyli gdzieś w pojemniku na śmieci. Ta kreatura to chodząca bomba zegarowa, gotowa wybuchnąć, gdy nadarzy się kolejna ofiara. Wszystkie dotychczasowe były kobietami.

Obecnie oskarżony był o popełnienie zabójstwa w trakcie napadu rabunkowego i gwałt, co według praw stanu Wirginia mogło podlegać karze śmierci. I tym razem postanowiła o nią wystąpić. Nigdy dotąd nie wniosła o taką karę, ale jeśli ktokolwiek zasługiwał na śmierć, to właśnie ten facet, a stanowy wymiar sprawiedliwości nie cofnie się tym razem.

Dlaczego zostawiać go przy życiu, jeśli on bestialsko pozbawił go dziewiętnastoletnią uczennicę college'u, która popełniła ten błąd, że w biały dzień udała się do domu towarowego, by kupić sobie parę butów?

Przetarła oczy, ściągnęła gumką włosy w niedbałą kitkę. Rozejrzała się po swoim niewielkim, skromnym biurze. Wszędzie piętrzyły się stosy akt. Setny raz zastanawiała się, czy ten świat się opamięta. Oczywiście, że nie. Będzie raczej coraz gorzej, a ona może robić tylko tyle, ile zdoła, żeby tamować ten strumień krwi. Zacznie od wniosku o śmierć dla Rogera Simmonsa juniora, dwadzieścia dwa lata, najbardziej zatwardziałego kryminalisty, z jakim miała do czynienia, a w swojej niedługiej karierze miała do czynienia z nieliczną ich armią. Pamiętała, jakim spojrzeniem obrzucił ją na sali rozpraw. Zero wyrzutów sumienia, troski, jakichkolwiek uczuć pozytywnych. I jeszcze zupełny brak nadziei, nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę jego życiorys, dzieciństwo jak z horroru. Ale to nie jej problem. Przynajmniej to nie jest jej problem.

Pokręciła głową i sprawdziła godzinę na zegarku: już po północy. Poszła nalać sobie jeszcze trochę kawy, powoli się rozluźniała. Ostatni pracownicy prokuratury wyszli pięć godzin temu, sprzątaczek też nie było już od trzech godzin. Chodziła boso. Gdyby dzisiaj Charlie Manson był na wolności i robił to, co kiedyś, należałby do łagodniejszych przestępców; amator w porównaniu z potworami, które dziś szaleją po mieście.

Wracając do swojego biura, zatrzymała się na moment, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w szybie okiennej. Zrobiła to bez szczególnej intencji. W jej pracy wygląd zewnętrzny nie miał żadnego znaczenia, a nie umówiła się z nikim, do cholery, już od ponad roku. Ale nie mogła oderwać wzroku. Była wysoka i szczupła, trochę za chuda, ale nawyk przebiegania czterech mil dziennie wszedł jej w krew, mimo że dzienna dawka kalorii spadała. Odżywiała się głównie kiepską kawą i krakersami, natomiast udało jej się ograniczyć liczbę wypalanych codziennie papierosów do dwóch i miała nadzieję całkowicie rzucić palenie.

Czuła się winna, że nie dba o ciało i żyje w bezustannym stresie, przechodząc od jednej koszarnej zbrodni do następnej, jeszcze gorszej, ale jakie miała wyjście? Rzucić to, bo nie udaje jej się utrzymywać wyglądu dziewczyny z okładki „Cosmopolitan”? Pocieszała się, że one na swój wygląd ciężko pracują po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Natomiast jej praca polega na tym, żeby ludzie, którzy łamią prawo, krzywdzą drugich, zostali ukarani. Ona spędza życie znacznie produktywniej.

Odgarnęła włosy; trzeba iść do fryzjera, ale skąd wziąć na to czas? Brzemie życia, coraz trudniejsze do dźwigania, nie zostawiło jeszcze śladów na jej twarzy. Miała twarz - jak na dwadzieścia dziewięć lat, w tym cztery ostatnie wypełnione ciężką pracą po dziewiętnaście godzin dziennie i niezliczonymi procesami sądowymi - w zupełnie dobrym stanie.

Królową piękności może nie była, ale niewątpliwie miała dobre geny. Nagle przypomniał jej się ojciec i zdecydowała, że jeśli chodzi o sprawy genetyki, to wcale z nią nie jest tak świetnie. Człowiek, który okrada innych, a potem udaje, że wiecie normalny żywot. Człowiek, który oszukał wszystkich, nawet swoją żonę i córkę. Człowiek, na którym nie można polegać, na którego nie można liczyć.

Usiadła przy biurku, pociągnęła łyk gorącej kawy, dosypała cukru i popatrzyła na pana Simmonsa, mieszając w filiżance czarny płyn, który jak co noc trzymał ją na chodzie.

Podniosła słuchawkę, zadzwoniła do domu, żeby odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki. Było ich pięć: dwie od kolegów po fachu, jedna od policjanta, który prowadził dochodzenie przeciwko Simmonsowi, i jedna od wywiadowcy, który miał zwyczaj dzwonić do niej o najdłuższych godzinach z na ogół beużytecznymi informacjami. Powinna zmienić numer telefonu. Ostatnim nagraniem był głuchy telefon. Ale wydawało jej się, że słyszy cichy oddech po drugiej stronie, może jakieś wyszeptane słowo. Było w nim coś znajomego, ale nie potrafiła określić co. Niektórzy nie mają nic lepszego do roboty.

Kofeina zaczęła działać, Kate znów skupiła się nad aktami. Rzuciła okiem na półkę z książkami. Na górze stała stara fotografia jej zmarłej matki i jedenastoletniej Kate. Ze zdjęcia wycięto Luthera Whitneya. Ziejąca luka koło matki i córki. Wielkie nic.

- Rany boskie! - Prezydent Stanów Zjednoczonych usiadł, jedną ręką zakrywając swoje zwiotczone i obolałe genitalia, a w drugiej trzymając nóż do papieru, którym o mały włos nie został zamordowany. Na nożu była nie tylko jego krew. - Rany boskie, Bill, tyją, kurwa, zabiłeś! - Adresat tego okrzyku pochylał się właśnie, żeby pomóc mu się podnieść, a jego towarzysz sprawdzał stan kobiety; niewiele miał do roboty, biorąc pod uwagę, że dwa pociski dużego kalibru trafiły ją w czoło.

- Przepraszam, sir, nie było czasu. Przepraszam, sir.

Bill Burton był agentem Secret Service od ośmiu lat, a poprzednie dziesięć przesłużył w policji stanu Maryland. Miał dyplom college'u z historii i magisterium z prawa karnego, przed chwilą jednym pociskiem rozwalil głowę pięknej młodej kobiecie i, mimo całego intensywnego i wieloletniego szkolenia, trząsł się jak przedszkolak, który przestraszył się czegoś we śnie.

Zabił już raz na służbie - w czasie rutynowej kontroli drogowej. Ale wtedy denat był uzbrojony, miał urazę do mundurowych, ścisnął glocka i miał szczerzy zamiar odstrzelić Burtonowi głowę.

Popatrzył na drobne, nagie ciało i pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Jego towarzysz, Tim Collin, spojrzał na niego i złapał go za ramię. Burton przełknął z trudem i skinął głową. Już się bierze w garść.

Ostrożnie pomogli wstać Alanowi J. Richmondowi, czterdziestemu czwartemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych, politycznemu herosowi i przywódcy zarówno młodych, jak i tych w średnim wieku i starych, w obecnej chwili po prostu gołemu i zalanemu. Prezydent popatrzył na nich, początkowa zgroza ustępowała pod wpływem alkoholu, który robił swoje.

- Nie żyje? - Mowa była lekko bełkotliwa, a zrenice raz po raz uciekały w głąb głowy.

- Tak, sir - odparł służbiście Collin. Prezydentowi się odpowiada, pijany czy nie.

Burton wycofał się na drugi plan. Ponownie rzucił spojrzenie na kobietę, ukradkiem, potem znów popatrzył na prezydenta. Taką mają robotę. Chronić cholernego prezydenta. Cokolwiek by to znaczyło, musi chronić to życie. Prezydent nie może zginąć zaszlachtowany jak świnia przez jakąś pijaną dziwkę.

Usta prezydenta wygięły się w coś na kształt uśmiechu, choć ani Collins, ani Burton później nie będą tego pamiętali. Prezydent zaczął się podnosić.

- Gdzie są moje ciuchy?

- Tutaj, sir. - Burton pochylał się, żeby je podnieść. Były mocno poplamione. Cały pokój był poplamiony. Nią.

- No, podnieść mnie, przygotować, cholera jasna. Mam zdaje się gdzieś do kogoś przemawiać, no nie?

- Roześmiał się przenikliwie. Burton popatrzył na Collina, a Collin na Burtona. Obaj spojrzeli na prezydenta, który zwałił się na łóżko i stracił przytomność.

Kiedy rozległy się strzały, Gloria Russel, szefowa personelu Białego Domu, znajdowała się w łazience na pierwszym piętrze, w miejscu jak najdalszym od feralnej sypialni.

Towarzyszyła prezydentowi w wielu jego wypadach, ale zamiast się do nich przyzwyczaić, za każdym razem żywiła coraz większy niesmak. Wyobrażanie sobie, że jej szef, najpotężniejszy człowiek, jakiego nosi ziemia, przelatuje te wszystkie szacowne kurwy, te polityczne dziwki, przechodziło wszelkie pojęcie, ale nauczyła się nie zwracać na to uwagi. Prawie.

Z powrotem wciągnęła rajstopy, pchnęła drzwi i zbiegła na dół po dwa stopnie, nie bacząc na szpilki. W drzwiach sypialni zatrzymał ją agent Burton.

- Proszę pani, lepiej tego nie oglądać, nie wygląda to najładniej.

Odepchnęła go na bok, ale w progu zatrzymała się z własnej woli. Pierwszą myślą było wybiec stąd, w dół po schodach, do wozu, uciec stąd, z tego stanu, z tego pożałowania godnego kraju. Nie było jej szkoda Christy Sullivan, ta kurewka zasługiwała na taki koniec. Marzyła o tym, żeby przetrzął ją prezydent. Przez dwa lata robiła, co mogła, żeby dopiąć swego. Cóż, czasem nie udaje się dostać tego, czego się chce, czasem dostaje się dużo więcej. Opanowała się i zwróciła do agenta Collina.

- Co tu się, do cholery, stało?

Tim Collin był młody, twardy i oddany człowiekowi, którego miał za zadanie chronić. Był przygotowany na śmierć w obronie prezydenta i nie było najmniejszych wątpliwości, że poszedłby na to, gdyby zaszła taka konieczność. Związły i spójny meldunek nie zajął mu nawet minuty. Burton potwierdził relację.

- To była sprawa życia i śmierci prezydenta, pani Russel. Nie było innego sposobu. - Burton odruchowo spojrział na prezydenta, który leżał na łóżku w błogiej nieświadomości wszystkiego. Co bardziej strategiczne części ciała głowy państwa zostały przykryte prześcieradłem.

- Chcecie mi powiedzieć, że niczego nie słyszeliście? Żadnych odgłosów przemocy, zanim do tego doszło? - Machnęła ręką w kierunku zdewastowanego wnętrza.

Agenci spojrzeli jeden na drugiego. Rozmaite dźwięki dochodziły z tych sypialni, w których znajdował się ich szef. Niektóre można by określić jako odgłosy przemocy, inne nie. Ale zawsze okazywało się, że wszystko jest w porządku. Kobiety schodzące ze schodów i poprawiające swoją garderobę uśmiechały się błogo, jakby właśnie dotknęły papieża. Potem dumnie pojawiał się prezydent, z wypiętą piersią, jak kogut, władca haremu kur.

- Nic nadzwyczajnego - odparł Burton - dopiero potem prezydent krzyknął, a my otworzyliśmy drzwi. Nóż był najwyżej trzy cale od jego piersi. Na nic oprócz kuli nie było czasu.

Wyprostował się, wyprężył i patrzył jej prosto w oczy. On i Collin wypełnili swój obowiązek, a ta kobieta nie ma prawa tego kwestionować. Nie mają sobie nic do zarzucenia.

- I w tym pokoju był jakiś cholerny nóż?! - Spojrzała na Burтона z niedowierzaniem.

- Gdyby to ode mnie zależało, nie jeździlibyśmy na te... na te wypadki. Prawie nigdy prezydent nie pozwala nam sprawdzić niczego wcześniej. Nie mieliśmy możliwości przeszukania pokoju. - Popatrzył na nią.

- On tu rządzi, jest w końcu prezydentem, proszę pani - zakończył, jakby to przesądzało sprawę. Co do tego panna Russell nie miała wątpliwości, Burton dobrze o tym wiedział.

Gloria Russell rozejrzała się po pokoju, notując wszystko w pamięci. Na Uniwersytecie Stanforda była mianowanym profesorem ekonomii o ugruntowanej pozycji, zanim trzy lata temu włączyła się w walkę wyborczą Alana Richmonda. Emanowała z niego taka siła. Młody, odnoszący sukcesy, dynamiczny; każdy chciał się załapać na jego wózek, więc kiedy zwrócił się do niej z propozycją, związała z nim swój los. Jakżeby mogła odmówić?

Od trzech lat była szefową personelu prezydenta, dobrze umotywowane pogłoski mówiły, że zostanie

sekretarzem stanu, jeśli Richmond zostanie wybrany na drugą kadencję, co miał, jak się wydawało, w kieszeni. A może, kto wie, stworzyliby duet Richmond-Russel, ona na wiceprezydenta? To byłaby wspaniała kombinacja. Ona - świetny strateg, on - utalentowany i doświadczony żołnierz liniowy. Czekala ich świetlana przyszłość. A teraz? A teraz w domu, w którym miało nikogo nie być, leżał trup i pijany prezydent.

Miała wrażenie, że ten ekspres, który unosił ją w przyszłość, zatrzymuje się ze zgrzytem. Nie, nie może na to pozwolić. Nie z powodu tego ludzkiego śmiecia. Nigdy!

Burton poruszył się.

- Czy już mam dzwonić po policję?

Russell popatrzyła na niego, jakby postradał zmysły.

- Burton, pozwól, bym ci przypomniała, że twoja praca polega wyłącznie na ochronie interesów prezydenta i nic, absolutnie nic, nie ma wyższego priorytetu. Jasne?

- Ale proszę pani, ta kobieta nie żyje. Myślę, że...

- Racja. Ty i Collin ją zastrzeliliście i nie żyje. - Słowa zawisły w powietrzu. Collin pocierał rękę, która odruchowo sięgnęła pod marynarkę po broń. Wlepił wzrok w świętej pamięci panią Sullivan, jakby chciał ją wskrzesić.

Burton ściągnął łopatki i przysunął się do niej o cal bliżej, żeby podkreślić dzielącą ich różnicę wzrostu.

- Gdybyśmy nie strzelali, prezydent by nie żył. Właśnie na tym polega nasza praca. Chronić życie i zdrowie prezydenta.

- Znów racja, Burton. I teraz, kiedy zapobiegliście jego śmierci, jak zamierzacie wyjaśnić policji i pani prezydentowej, swoim zwierzchnikom i adwokatom, środkom masowego przekazu i Kongresowi, rynkom finansowym i całemu krajowi, a także reszcie tego przekłętego świata, skąd, do jasnej cholery, prezydent tu się wziął? Co tu robił? I jakie okoliczności doprowadziły do tego, że ty i agent Collin musieliście zastrzelić żonę jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli Stanów Zjednoczonych? Bo jak zadzwonisz na policję, jak zadzwonisz do kogokolwiek, to właśnie na takie pytania będziemy musieli odpowiadać. Jeśli jesteś gotów przyjąć całkowitą odpowiedzialność za taki krok, to proszę bardzo, podnoś tę słuchawkę i dzwoń, dokąd chcesz.

Burton zmienił się na twarzy. Cofnął się o krok. Przewaga wzrostu stała się bezużyteczna. Collina zamurowało, biernie przyglądał się starciu tej dwójki. Jeszcze nie widział, żeby ktoś w ten sposób rozmawiał z Billem Burtonem - potężnym facetem, który mógł skrócić kark panny Russell jednym leniwym ruchem ręki. Ale to akurat absolutnie nic by mu nie dało.

Burton jeszcze raz spojrzał na ciało. Jak coś takiego wytłumaczyć, żeby nie narobić nikomu kłopotów? Odpowiedź jest prosta: nie da się.

Gloria Russell uważnie przyglądała się jego twarzy. Popatrzył na nią. Starannie unikał jej spojrzenia. Wygrała. Uśmiechnęła się dobrotliwie i skinęła głową. Rządy znalazły się w jej ręku.

- Idź, zrób kawy, cały dzbanek, już - rozkazała Burtonowi, bez zwłoki delektując się tą historyczną zmianą ról. - A potem przypilnuj drzwi frontowych, na wypadek jakichś nocnych niezapowiedzianych gości.

- Collin, idź do samochodów i pogadaj z Johnsonem i Varneyem. O tym nic im nie mów. Na razie powiedz im, że zdarzył się wypadek, ale prezydentowi nic się nie stało. Tylko tyle. I mają się nie ruszać. Zrozumiano? Zawołam, jak będziecie mi potrzebni. Muszę to przemyśleć.

Burton i Collin skinęli głowami i ruszyli. Szkolono ich, by wykonywali rozkazy wydawane tonem

nieznoszącym sprzeciwu. A do tego Burton nie mógł przejść do porządku dziennego nad tym strzałem. Za żadne pieniądze nie zrobiłby tego jeszcze raz.

Luther nie poruszył się od momentu, kiedy padły strzały. Bał się. Wstrząs wreszcie minął, ale wzrok mu wciąż wędrował w kierunku tego, co kiedyś było żywą, oddychającą istotą ludzką. W ciągu wszystkich lat swojej kryminalnej kariery tylko raz widział, jak ginie człowiek. Trzykrotny recydywista, pedofil, który dostał nożem od niesympatycznego towarzysza z celi. Ogarnęły go teraz zupełnie inne uczucia, jakby był samotnym pasażerem na statku, który zawija do nieznanego portu. Nic mu tu niczego nie przypominało. Zaszkożyć mógł każdy dźwięk, ale Luther powoli usiadł z powrotem na fotel, bo drżące nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Przyglądał się, jak Gloria Russell kręci się po pokoju, zatrzymuje przy zmarłej, ale jej nie dotyka. Potem bierze do ręki nóż do papieru, trzyma go za koniec ostrza przez chusteczkę. Długo i uważnie przypatrywała się narzędziu, które omal nie pozbawiło życia jej szefa i sprawiło, że druga osoba pożegnała się z życiem. Ostrożnie odłożyła nóż na szafkę nocną, a chusteczkę schowała do kieszeni. Rzuciła okiem na skręcone zwłoki, które jeszcze niedawno były Christiną Sullivan.

Nie mogła nie podziwiać sprytu Richmonda w realizowaniu swojej pozaprotokolarnej działalności. Wszystkie jego „osoby towarzyszące” dysponowały majątkiem i wysoką pozycją społeczną, wszystkie były mężatkami. To gwarantowało, że jego romanse nie przedostaną się na łamy prasy brukowej. Kobiety, które brał do łóżka, miały tyle samo do stracenia, jeśli nie więcej niż on, i dobrze o tym wiedziały.

Ech, ta prasa. Russell uśmiechnęła się. W dzisiejszych czasach prezydent żyje pod nieustanną obserwacją. Nie może się wysikać, wypalić cygara ani beknąć, żeby opinia publiczna się o tym nie dowiedziała z najintymniejszymi szczegółami. A przynajmniej tak się opinii publicznej wydaje. To przekonanie wynika z tego, że przecenia się możliwości prasy, jeśli chodzi o wygrzebywanie najdrobniejszych okrucich sensacji. Nikt nie rozumie, że wprawdzie urząd prezydenta w ciągu ostatnich lat utracił, być może, nieco ze swej ogromnej potęgi - w miarę jak problemy tego niespokojnego globu osiągnęły rozmiary przerastające możliwości pojmwania jednego człowieka - lecz prezydenta otaczali ludzie absolutnie lojalni i w najwyższym stopniu kompetentni. W porównaniu z ich poziomem umiejętności i biegłością w działaniach konspiracyjnych, te wymuskane, jak spod sztancy dziennikarzyny - którym wydawało się, że na trop jakiejś mocnej historii można wpaść, siedząc w pięciogwiazdkowej restauracji, sącząc wino i zadając podchwytliwe pytania jakiemuś kongresmanowi, który się rozgadał, bo jego jedynym marzeniem jest znaleźć się w wieczornym wydaniu dziennika - to druga liga. Prawda jest taka, że jeśli prezydent Alan Richmond miał na to ochotę, mógł poruszać się bez obawy, że komukolwiek uda się go wyśledzić. Potrafił zniknąć z pola widzenia publiczności na tak długo, jak sobie tego życzył. A ten przywilej sprowadzał się do jednego wspólnego mianownika.

Secret Service. Najlepsi z najlepszych. Wiedziała, że tu w tym domu ma ze sobą dwóch najzdolniejszych jej przedstawicieli. I po raz pierwszy fakt ten szefową personelu napawał troską.

Usiadła w fotelu i zamknęła oczy.

Luther obserwował jej twarz. Inteligentna, atrakcyjna, ale i bardzo twarda. Na czole pojawiała się i znikła zmarszczka, prawie pozwalając odgadnąć jej rozterki. Czas płynął, a ona ani drgnęła. W końcu otworzyła oczy i przeczesala wzrokiem pokój, nie przeoczywszy ani szczegółu.

Luther mimowolnie skurczył się w fotelu, kiedy jej wzrok padł na niego jak snop światła z reflektora na więziennym dziedzińcu. Jej oczy spoczęły na łóżku i zatrzymały się. Przez całą długą minutę przyglądała się śpiącemu mężczyźnie, a na jej twarzy pojawił się wyraz, którego Luther nie mógł pojąć. Coś między uśmiechem a grymasem.

Wstała, podeszła do łóżka i opuściła wzrok na mężczyznę. Człowieka Narodu, tak przynajmniej uważał naród. Wielkiego człowieka, człowieka stulecia. W tej chwili raczej na wielkiego człowieka nie wyglądał. Rozłożone nogi zwisały z łóżka, stopy prawie dotykały podłogi, niezgrabna pozycja, zwłaszcza dla kogoś nagiego.

Przyglądała się uważnie prezydentowi, zatrzymując się na niektórych partiach, co wydawało się Luthrowi zdumiewające, jeśli wziąć pod uwagę to, co leżało na podłodze. Spodziewał się raczej wycia policyjnych syren, widoku policjantów w mundurach, po cywilnemu, lekarzy sądowych i oficjeli prezydenckich przepychających się w ciasnym pokoju, wozów transmisyjnych przed domem i tak dalej. Najwidoczniej ta kobieta miała inny plan.

Luther widział Głorię Russell mnóstwo razy w CNN, w dziennikach innych sieci telewizyjnych i w gazetach, a raz także osobiście, na święcie 4 czerwca, przy obelisku Waszyngtona. Miała zdecydowane rysy. Długi, orli nos i wydatne kości policzkowe były dziedzictwem przodka z plemienia Czirokezów. Włosy kruczoczarne, proste, do ramion. Oczy duże i tak ciemnobłękitne, że przypominały głębiny oceanu, dwie bliźniacze sadzawki, w których łatwo mógł się utopić ktoś nieostrożny.

Luther ostrożnie poprawił się w fotelu. Jedną rzecz oglądać tę kobietę w dystyngowanych wnętrzach Białego Domu, jak rozprawia o meandrach aktualnej polityki, a całkiem inną widzieć ją w sypialni, gdzie leży trup kobiety, jak przygląda się pijanemu, nagiemu mężczyźnie, przywódcy Wolnego Świata. Był to spektakl, którego Luther nie miał zamiaru oglądać, ale od którego nie mógł oderwać oczu.

Russell rzuciła okiem na drzwi, podeszła do nich szybkim krokiem, wyjęła chusteczkę i przekręciła klucz w zamku. Prędko wróciła i dalej przyglądała się prezydentowi. Wyciągnęła rękę i Luther na moment zamarł w oczekiwaniu, ale ona po prostu pogładziła prezydenta po twarzy. Luther rozluźnił się, ale zeszywniał znowu, gdy jej ręka zsunęła się na klatkę piersiową, pieszcząc porastające ją gęsto włosy, potem opadła jeszcze niżej, na płaski brzuch, który unosił się i opadał z oddechem głębokiego snu.

Gloria powędrowała ręką jeszcze niżej i zsunęła prześcieradło, które opadło na podłogę. Sięgnęła do krocza i zatrzymała się tam. Potem uklękła przed prezydentem. Wreszcie Luther musiał zamknąć oczy. Nie miał skłonności do podglądactwa, w przeciwieństwie do właściciela tego domu.

Minęło kilkanaście długich minut, wśród łatwych do przewidzenia odgłosów.

Potem cisza.

Luther otworzył oczy. Prezydent spał nadal, ale pewna znacząca część jego anatomii w pełni się rozbudziła. Kobieta zrzuciła rajstopy i ułożyła je starannie na krześle. Następnie ostrożnie dosiadła prezydenta.

Luther znów zamknął oczy. Zastanowił się, czy ci na dole słyszą skrzypienie łóżka. Prawdopodobnie nie, dom ma grube mury. A nawet gdyby słyszeli, co mogliby zrobić?

Noc trwała, wreszcie Luther usłyszał lekkie westchnienie nieprzytomnego mężczyzny i niski jęk kobiety. Nie otwierał oczu. Nie był pewien dlaczego. Zdaje się, że ze zwykłego strachu i z niesmaku wywołanego brakiem szacunku dla nieżywej kobiety.

Gdy wreszcie otworzył oczy, Russell patrzyła prosto na niego. Serce mu zadrzało, póki mózg nie powiedział, że wszystko w porządku. Wślizgnęła się szybko w rajstopy. Potem pewnym siebie gestem umalowała usta.

Uśmiech przylgnął jej do twarzy, policzki miała zaróżowione. Odmłodniała. Luther rzucił okiem na prezydenta. Spał jak zabity. Ostatnie pół godziny jego umysł zarejestrował pewnie jako szczególnie realistyczny i przyjemny sen. Luther powrócił spojrzeniem do Glorii Russell.

Przerażało go, że ona tak patrzy prosto na niego, z tej komnaty śmierci, nie wiedząc, że on to widzi. Z

jej twarzy biła moc. I miała jeszcze coś, wyraz, który Luther już widział u kogoś w tym pokoju. Ta kobieta też jest niebezpieczna.

- Oczyszczyć to pomieszczenie dokładnie, z wyjątkiem tego. - Russell wskazała ciało pani Sullivan. - Czekajcie. On prawdopodobnie na niej leżał. Burton, masz sprawdzić każdy cal jej skóry i wszystko, co choć w przybliżeniu wygląda na coś, co do niej nie należy, ma zniknąć. Potem ją ubierzcie. - W rękawiczkach Burton ruszył wykonać rozkaz.

Collin siedział przy prezydencie i wlewał mu do gardła kolejną kawę. Kofeina nieco usuwała zamroczenie, ale tylko czas mógł zrobić to skutecznie. Russell usiadła koło niego. Wzięła prezydenta za rękę. Był już całkowicie ubrany, chociaż włosy miał nadal w nieładzie. Ramię go bolało, mimo że mu je zabandażowali. Jego stan zdrowia był bez zarzutu, wygoi się szybko.

- Panie prezydencie? Alan? ALAN?! - Russell wzięła jego twarz w dłonie i skierowała w swoją stronę.

Czy on czuł, co ona z nim robiła? Wątpiła w to. Tak rozpaczliwie chciał się dziś przespać z kobietą. Chciał wejść w nią. Dała mu swoje ciało, bez żadnych pytań. Formalnie rzecz biorąc, popełniła gwałt. Formalnie. W rzeczywistości spełniła jego marzenia. Nieistotne, że nie pamiętał tego wydarzenia, jej poświęcenia. Ale za to dobrze będzie wiedział, co ona zrobi dla niego teraz.

Wzrok prezydenta to ogniskował się, to znów rozmywał. Collin rozcierał mu kark. Prezydent z trudem dochodził do siebie. Gloria Russell zerknęła na zegarek. Druga w nocy. Muszą wracać. Uderzyła go w twarz, niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Poczula, że Collin sztywnieje. Boże, te typy mają klapki na oczach.

- Alan, odbyłeś z nią stosunek?

- Coo...

- Miałeś z nią stosunek?

- Co... nie... chyba nie. Nie pamięć...

- Dajcie mu jeszcze kawy, wlejcie mu w to cholerne gardło, jeśli będziecie musieli, ale niech przetrzeźwieje. - Colin skinął głową i zabrał się do roboty. Russell podeszła do Burtona, którego ręce w rękawiczkach zręcznie i skrupulatnie badały skórę zmarłej pani Sullivan.

Burton brał udział w niezliczonych śledztwach policyjnych. Wiedział dokładnie, czego ekipa dochodzeniowa będzie szukać i gdzie. Nigdy nie sądził, że będzie musiał użyć tej swojej wiedzy, aby powstrzymać śledztwo, ale też nigdy nie podejrzewał, że może się wydarzyć coś takiego, jak to, co się wydarzyło.

Rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, które powierzchnie trzeba sprawdzić i oczyścić, z jakich innych pomieszczeń w domu korzystali. Ponownie zajął się denatką i zaczął ostrożnie wsuwać jej majtki. Poczul klepnięcie w ramię.

- Sprawdź ją. - Burton podniósł oczy. Chciał coś powiedzieć.

- Sprawdź ją! - Russell zmarszczyła brwi. Burton widział wielokrotnie, jak marszczy brwi w obecności personelu Białego Domu. Wszyscy bali się jej jak ognia. On jej się nie obawiał, ale zawsze dotąd sprytnie jej unikał. Powoli zrobił to, co mu kazała. Następnie ułożył ciało w tej pozycji, co przedtem. Wynik zakomunikował przeczącym ruchem głowy.

- Jesteś pewien? - Russell nie wyglądała na przekonaną, choć z jej dzisiejszego interludium z prezydentem mogła się domyślać, że nie wszedł w tę kobietę, a jeśli nawet, to nie skończył. Ale mogą być jakieś ślady. Strach bierze, jak się pomyśli, co oni dziś potrafią odczytać z najdrobniejszych śladów.

- Nie jestem żadnym cholernym ginekologiem. Nic nie widzę, a chyba bym coś zobaczył, gdyby było, no,

ale nie mam ze sobą mikroskopu. - Russell musiała dać za wygraną. Jeszcze mnóstwo do roboty, a czasu niewiele.

- Co mówili Johnson i Varney?

Collins zerknął na nią ze swojego stanowiska przy prezydencie, który przelykał czwartą filiżankę kawy.

- Zastanawiali się, co tu się, u diabła, stało, jeśli o to pani chodzi.

- Nie powiedzia...

- Powiedziałem im to, co mi pani kazała powiedzieć, i tyle. - Spojrzał na nią. - To dobre chłopaki, panno Russell. Są przy prezydencie od czasów kampanii. Z nimi nie będzie kłopotów. Okay?

Gloria Russell obdarzyła Collina uśmiechem. Przystojny chłopak i, co ważniejsze, lojalny. Bardzo się przyda. Problemy mogą być z Burtonem. Jest starszy, mądrzejszy i, zdaniem Glorii Russell, przemądrzały. Ale ona ma mocny atut. To on i Collin pociągnęli za cyngiel. Owszem, w ramach pełnionej służby, ale wiadomo? Siedzieli w tym po uszy.

Luther obserwował gorączkową krzątaninę z podziwem, który w tej sytuacji napawał go poczuciem winy. Ci faceci znali się na robocie, byli metodyczni, uważni, z głową, nie przeoczyli niczego. Stróże prawa i kryminaliści niewiele się od siebie różnią. Umiejętności i metody są mniej więcej te same, jedynie cel inny, ale to w końcu cel jest najważniejszy, nieprawdaż?

Martwa kobieta była już całkowicie ubrana i leżała dokładnie w miejscu, gdzie upadła. Colin właśnie kończył obrabiać jej paznokcie. Pod każdy wstrzykiwał odrobinę roztworu i usuwał go małym odsysaczem, wraz ze wszelkimi śladami skóry prezydenta czy jakimikolwiek innymi kompromitującymi pozostałościami.

Na łóżku zmieniono pościel. Pełne dowodów winy prześcieradła i poszewki zapakowano do torby, a ich miejscem przeznaczenia było palenisko. Collin zdążył już przejrzeć pomieszczenia na dole i ostrożnie otworzył zamek drzwi frontowych.

Wszystko, co zostało przez nich dotknięte, z wyjątkiem jednego obiektu, wytarto do czysta. Burton właśnie jeździł odkurzaczem po dywanie. Miał wyjść ostatni, tyłem, skrupulatnie usuwając ostatnie ślady.

Nie mogli zaradzić siniakom na szyi kobiety i innym mikroślodom na jej skórze. Lekarz sądowy niewątpliwie zwróci na nie uwagę, mimo wszelkich ich usiłowań, ale nic nie mogło wskazywać na prezydenta, chyba że policja zidentyfikowałaby prezydenta jako podejrzanego, co było zupełnie niemożliwe.

Wyobraźni policyjnej trzeba było pozostawić wyjaśnienie sprzeczności między usiłowaniem uduszenia a śmiercią przez zastrzelenie.

Luther przyglądał się, jak robią bałagan w pokoju. Aż się mimowolnie uśmiechnął. Pozorują włamanie z kradzieżą. Naszyjnik i kolekcję pierścionków wsadzono do torby. Ma to wyglądać, jakby kobieta zaskoczyła włamywacza w domu, a on ją zabił. Nie wiedzą, że sześć stóp od nich prawdziwy włamywacz obserwuje i słyszy wszystko, co robią.

Naoczny świadek!

Luther nigdy nie był naocznym świadkiem włamania, w którym nie brał udziału. Przestępcy nienawidzą naocznych świadków. Ci ludzie nienawidziliby Luthera, gdyby wiedzieli, że tu jest. Zabiliby go, nie ma najmniejszej wątpliwości. Prezydent. Za wiele do stracenia. Kryminalista w podeszłym wieku, trzykrotnie skazany, można go poświęcić dla sprawy. Dla Człowieka Narodu.

Prezydent, nadal zamroczony, wstał z pomocą Burtona i powoli schodził po schodach. Russell odprowadzała ich wzrokiem. Collin ostrożnie podniósł nóż do papieru i właśnie miał go oczyścić, gdy

Russell złapała go gwałtownie za rękę. Luther aż podskoczył.

- Nie rób tego. - Collin nie był tak bystry jak Burton, a już z pewnością odstawał od Glorii Russell. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Proszę pani, na tym są jego odciski palców. I jej też, i jeszcze mnóstwo innego świństwa, wie pani, o co chodzi. Rączka jest ze skóry, to wsiąkło.

- Agencie Collin, prezydent zatrudnił mnie do sporządzania planów strategicznych i taktycznych. To, co wam wydaje się oczywiste, według mnie wymaga namysłu. Dopóki nie przemyślę tego, proszę nie wycierać tego przedmiotu. Proszę wsadzić go do odpowiedniego pojemnika i dać mnie.

Collin zaczął protestować, ale jej wrogie spojrzenie natychmiast go usadziło. Starannie zapakował nóż w torebkę polietylenową i wręczył jej.

- Niech pani będzie z tym ostrożna, panno Russell.

- Tim, zawsze jestem ostrożna.

Obdarzyła go kolejnym uśmiechem. Odpowiedział tym samym. Nigdy dotąd nie zwróciła się do niego po imieniu, nie wiedział nawet, że je zna. Na dodatek po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że szefowa personelu jest bardzo przystojną kobietą.

- Tak jest, proszę pani. - Zaczął pakować sprzęt.

Russell popatrzyła na zakrwawione siedem cali metalu, które omal nie położyły kresu jej aspiracjom politycznym. Gdyby prezydent został zabity, żadne tuszowanie sprawy by nie pomogło. Paskudne słowo „tuszowanie”, ale jakże niezbędne w świecie wielkiej polityki. Wzdrygnęła się lekko na myśl o tytułach w gazetach. „Prezydent zamordowany przez żonę bliskiego przyjaciela w sypialni jego domu. Władze partii obciążają odpowiedzialnością Glorię Russell, szefową personelu”. Ale to się nie zdarzyło. Nie mogło się zdarzyć.

To, co teraz trzyma w rękach, jest warte więcej niż góra plutonu, więcej niż cała ropa Arabii Saudyjskiej.

Kto wie? Może dzięki temu powstanie duet wyborczy Russell-Richmond? Możliwości są absolutnie nieograniczone. Uśmiechnęła się i zaczęła chować zapakowane narzędzie do swojej torebki, ale nigdy się ono tam nie znalazło.

Rozległ się krzyk, który zmusił Luthera do gwałtownego odwrócenia głowy. Kark zabolął go tak, że mało i on nie krzyknął. Prezydent wbiegł przez drzwi sypialni. Z wytrzeszczonymi oczami, lecz wciąż pijany. Wspomnienie ostatnich paru godzin wróciło, jakby wylądował mu na głowie boeing 747.

Burton, sapiąc, wpadł za nim. Prezydent biegł w kierunku ciała, Russell i Collin zatrzymali go w pół drogi.

- O Boże! Ona nie żyje. Zabiłem ją. Boże jedyny, pomóż mi! Zabiłem ją! - Wrzeszczał, płakał i znowu wrzeszczał. Próbował się przebić przez dwuosobowy mur, ale nie starczyło mu sił. Z tyłu ciągnął go Burton.

Nagle z konwulsyjną siłą wyrwał się i rzucił przez pokój. Wpadł na ścianę, osunął na szafkę nocną i wreszcie prezydent Stanów Zjednoczonych runął na podłogę, zwinął jak embrion i zaczął skomleć u boku kobiety, z którą miał się kochać tej nocy.

Luther przyglądał się z niesmakiem. Potarł sobie kark i wolno pokręcił głową. Wypadki tej nocy były tak niewiarygodne, że aż trudne do zniesienia.

Prezydent powoli usiadł. Burton wyglądał, jakby czuł to samo co Luther, ale nic nie powiedział. Collin zerkał na Russell, czekając na instrukcje. Russell uchwyciła to spojrzenie. Z zadowoleniem przyjęła ten subtelny objaw podporządkowania.

- Glorio?

- Słucham, Alan. - Alan? Protokół poszedł na bok. Luther widział, jakim wzrokiem panna Russell patrzyła na nóż. A także wiedział coś, o czym nie miał pojęcia nikt w pokoju.

- Wszystko będzie dobrze? Załatw to, Glorio. Proszę. O Boże, Glorio!

Położyła mu rękę na ramieniu, najbardziej dodającym otuchy gestem, na jaki ją było stać. Tak jak to robiła podczas tych tysięcy mil zakurzonych dróg kampanii wyborczej. - Wszystko jest pod kontrolą, Alan. Mam WSZYSTKO pod kontrolą. - Prezydent był stanowczo zbyt pijany, żeby uchwycić znaczenie tych słów, lecz jej było wszystko jedno. Odtąd już było jej wszystko jedno, co on sobie myśli.

Burton nagle poprawił sobie w uchu słuchawkę i przez chwilę się koncentrował. Potem zwrócił się do Russell:

- Lepiej stąd spadajmy. Varney właśnie usłyszał radiowóz na drodze.

- Alarm? - spytała lekko wyprowadzona z równowagi.

Burton pokręcił głową.

- To najpewniej zwykły patrol, ale jeśli coś zobaczy... - Nie musiał dodawać nic więcej.

Jak na ironię, ich limuzyna w tej krainie bogactwa stanowiła najlepszy kamuflaż. Dziękowała Bogu za to, że wpadła na pomysł, by na te wypadki wypożyczać limuzyny bez kierowców. Nawet jeśli ktoś widział wóz, to nazwiska podane w wypożyczalni były fałszywe, opłatę i kaucję płacono gotówką, samochód zwracano po kilku godzinach. Żadnych twarzy, które można skojarzyć z transakcją. Samochód trzeba będzie dokładnie wyczyścić. Dla policji będzie to ślepy zaułek, nawet jeśli wiedziałby, czego szukać, co jest w najwyższym stopniu wątpliwe.

- Chodźmy! - Gloria Russell wpadła w lekką panikę. Prezydenta podniesiono, nadal szlochał. Wyszła z nim. Collin złapał torby. Zatrzymał się na moment.

Luther przelknął z trudem.

Collin odwrócił się, z szafki nocnej chwycił torebkę Glorii Russell, którą upuściła tam, gdy prezydent wpadł do sypialni. Burton uruchomił mały odkurzacz, zakończył porządki i wyszedł, zgasiwszy światło. W świetle Luthera znów zapadł atramentowy mrok.

Po raz pierwszy znalazł się sam na sam w pomieszczeniu ze zmarłą. Na reszcie towarzystwa najwidoczniej zakrwawiona postać na podłodze nie robiła żadnego wrażenia. Przechodzili nad nią jak nad jakimś przedmiotem. Ale Luther nie przyzwyczaił się do śmierci odległej zaledwie o osiem stóp.

Nie wiedział już zakrwawionej odzieży i zwłok, ale wiedział, że tam są. Nie mógł powstrzymać żalu. Może i nie należała do najlepszych na tym świecie. „Kurewka z forsą”, tak prawdopodobnie będzie brzmiało jej nieoficjalne epitafium. Owszem, zdradzała męża, choć jemu chyba to wcale nie przeszkadzało. Ale nie zasługiwała na taką śmierć. Nie zasługiwała na to, żeby ją ten facet tak tłukł. Zabiłby ją i tak, nie było wątpliwości. Gdyby nie ten rozpaczliwy kontrakt, prezydent by ją zamordował.

Facetów z Secret Service nie mógł właściwie winić. Takie mają obowiązki i wykonali je. Miała pecha, że wybrała sobie takiego faceta. Może lepiej, że stało się tak, jak się stało. Gdyby była o ułamek sekundy szybsza, a agenci wolniejsi, miałyby szansę spędzić resztę życia w więzieniu. A może za zabójstwo prezydenta dostaje się karę śmierci?

Zamach? Czy tak by się to nazywało? Jeśli jest się kimś ważnym i zostanie się zamordowanym, to wtedy to się nazywa zamach. Natomiast jeśli jesteś zwykłym zjadaczem chleba, to po prostu zostajesz zwyczajnie zamordowany. Tak czy siak nie ma cię już wśród żywych. Wygląda więc na to, że śmierć równa wszystkich.

Luther usiadł z powrotem w fotelu. Nogi miał zmęczone. Zmusił się do relaksu. Wkrótce będzie się

stąd zmywał.

Musi być gotów do biegu.

Ma wiele do przemyślenia. Nie wiedząc o tym, uczynili z Luthera Whitneya podejrzanego numer jeden w tym, co zostanie bez wątplenia uznane za odrażającą i haniebną zbrodnię. Majątek ofiary gwarantował, że dla znalezienia sprawcy zostanie uruchomiona ogromna machina policyjno-dochodzeniowa. Ale oczywiście nikt nie będzie szukał pod adresem 1600 Pennsylvania Avenue. Będą szukali gdzie indziej i mimo ogromnej ostrożności Luthera mogą go znaleźć. Jest dobry, bardzo dobry, ale nigdy dotąd nie miał do czynienia z siłami, jakie ruszą do akcji tym razem.

Szybko przebiegł w myślach cały swój plan, który doprowadził go tutaj. Nie widział żadnych oczywistych usterek, ale to właśnie te niedostrzegane zwykle prowadzą do wypadki. Żeby się uspokoić, przełknął ślinę, zacisnął pięści i rozluźnił je, rozprostował nogi. Nie wszystko naraz. Po kolei. Najpierw musi się stąd wydostać. Wiele rzeczy może tu pójść nie po myśli, a jedna lub dwie na pewno.

Poczekał jeszcze dwie minuty. Odliczał sekundy w głowie, wyobrażał sobie, jak ładują się do samochodów, wypatrują, czy nie jedzie radiowóz, ruszają.

Ostrożnie otworzył torbę. Wewnątrz miał większość tego, co znajdowało się w tym pomieszczeniu. Prawie zapomniał o tym, że znalazł się tutaj, żeby kraść i że dokonał kradzieży. Jego samochód znajdował się dobre ćwierć mili stąd. Kawał drogi. Dzięki Bogu, że rzucił palenie tyle lat temu i że codziennie ćwiczy. Będzie mu potrzebna cała pojemność płuc, do ostatka. Z iloma agentami Secret Service ma do czynienia? Co najmniej z czterema. Cholera!

Nacisnął guzik na pilocie. Lustrzane drzwi otworzyły się powoli i Luther wszedł do sypialni. Nacisnął przycisk jeszcze raz i rzucił pilota na fotel, a drzwi wróciły na miejsce.

Przyjrzał się oknu. To była zapasowa droga ucieczki. W torbie miał zwój niezwykle mocnej nylonowej linki długiej na sto stóp, z węzłami co sześć cali. Ominął ciało szerokim łukiem, uważając, by nie nastąpić na jedną ze szkarłatnych plam, których położenie zaprogramował w pamięci. W ciągu paru sekund był przy szafce nocnej i szperał pod nią.

Namacał palcami torebkę z polietylenu. Zsunęła się za szafkę, kiedy prezydent wpadł do pokoju. Szybko podszedł do okna i wyjrzał ostrożnie. Limuzyna i furgonetka jeszcze stały. Niedobrze.

Przeszedł na drugą stronę pokoju, wyjął linę, umocował ją do nogi ciężkiej komody, przeciągnął do tego okna, które wychodziło na niewidoczną z drogi stronę domu, ostrożnie otworzył okno, modląc się w duchu, żeby zawiasy były dobrze naoliwione. Żadnego skrzyknięcia, dzięki Bogu.

Jak zwykle ubawiło go, że alarm podłączony jest tylko do okien na parterze, co zresztą było normą. Tak jakby nie można było wejść przez okno na piętrze. Rozwinął linę, która jak wąż spłynęła po ceglanej ścianie.

Gloria Russell spojrzała na masywną fasadę budynku. Widać wielką forszę. Forszę i pozycję, na którą Christine Sullivan wcale nie zasługiwała. Dorobiła się jej cymbałami, artystycznym pokazywaniem tyłka i tą pospolitą gębą, która nie wiadomo dlaczego obudziła w podstarzałym Walterze Sullivanie jakieś emocje. Za pół roku o niej zapomni. Jego życie pełne bogactwa i potęgi, niewzruszonych jak skała, potoczy się dalej.

Nagle coś jej się przypomniało.

Już wysiadała z limuzyny, gdy Collin złapał ją za ramię. Trzymał w ręku i pokazywał jej skórzaną torebkę, którą kupiła w Georgetown za sto dolarów, a która teraz była warta dla niej więcej niż wszystkie skarby świata. Usiadła z powrotem, uspokoiła oddech. Uśmiechnęła się do Collina, prawie zarumieniła. Prezydent, w stanie półkatatonii, niczego nie zauważył.

Wtedy Gloria Russell zajrzała do torebki, ot tak, żeby się upewnić. Ze wszystkich sił musiała się powstrzymać od głośnego jęku.

Collins ruszył biegiem ku schodom, całkowicie zdezorientowany Burton za nim.

Luther był w połowie ściany, kiedy usłyszał, że biegną.

Jeszcze dziesięć stóp.

Wpadli w drzwi.

Jeszcze sześć stóp.

W osłupieniu obaj agenci Secret Service zauważyli linę. Burton rzucił się do niej.

Dwie stopy i Luther puścił się, uderzył w ziemię i ruszył biegiem.

Burton doskoczył do okna. Collin odepchnął szafkę nocną - ani śladu. Dołączył do Burтона przy oknie. Luther już zniknął za rogiem. Burton zaczął wylazić przez okno, ale Collin go powstrzymał. Szybciej będzie wrócić tą samą drogą, którą przyszl. Wypadli przez drzwi.

Luther z trzaskiem przepychał się przez łań kukurydzy, nie przejmując się już teraz śladami, martwiąc się tylko o to, by dożyć do rana. Torba spowalniała nieco jego ruchy, ale za ciężko pracował ostatnie parę miesięcy, żeby zostać z pustymi rękami.

Wyprysnął spod opiekuńczej osłony kukurydzy i dotarł do najbardziej ryzykownego miejsca - sturządów otwartej przestrzeni. Na szczęście księżyc się schował za gęstniejącymi chmurami, a latarni, jak to na wsi, nie było. W czarnym kombinezonie będzie prawie niewidoczny. Ale ludzkie oko potrafi dostrzec ruch w ciemności, a on będzie się poruszał najszybciej jak potrafi.

Obaj agenci wskoczyli na moment do furgonetki. Pojawili się z agentem Varneyem i rzucili się w pościg.

Gloria Russell opuściła szybę i wyglądała za nimi z wyrazem szoku na twarzy. Nawet prezydent ożywił się nieco, ale szybko go uspokoiła, więc znów zapadł w drzemkę.

Collin i Burton nałożyli na oczy gogle noktowizyjne, ich pole widzenia wyglądało teraz jak kiepska gra komputerowa. Źródła ciepła czerwone, wszystko inne w ciemnej zieleni.

Agent Travis Varney, wysoki i wysportowany, i tylko mgliście zorientowany, o co chodzi, gnał pierwszy. Biegł lekkim krokiem akademickiego mistrza w biegach długodystansowych, którym zresztą nigdy był.

Varney, od trzech lat w służbie, był kawalerem całkowicie oddanym swojej profesji i traktował Burтона jak zastępczego ojca, w miejsce prawdziwego, który zginął w Wietnamie. Szukali kogoś, kto coś zrobił w tym domu. Coś, co dotyczyło prezydenta, a więc dotyczyło i jego. On i Leroy Johnson wiedzieli, po co prezydent przyjechał dziś do tego domu. Widzieli przez moment kobietę, która wsiadała do oczekującej limuzyny w umówionym miejscu, w bezludnej okolicy, jakieś dziesięć mil na zachód stąd. Wcale ich to nie dziwiło.

Prezydenci poprzednich pokoleń zapewne mieli zbliżone upodobania, może nawet wszyscy. To odpowiedzialne stanowisko, ciągły stres, napięcia, kryzysy. A ten prezydent jest wyjątkowo męski. Z biednej rodziny z Południa, odniósł sukces w interesach, wycofał się z nich i zajął polityką. Owszem, jest żonaty i ma troje dzieci, ale co z tego? Od takiego mężczyzny nie można oczekiwać, że ograniczy się do jednej tylko roli, do jednej osoby przez całe życie. Zwłaszcza kiedy niezwykle pociągające kobiety wręcz rzucają się na niego. Żaden mężczyzna nie oprze się takiej pokusie. Varney był przekonany, że nawet nie można by tego wymagać.

Prawda wygląda tak, że prezydent nie próbował się opierać. Ale myśl ta nawet nie zagościła w głowie agenta Varneya, który podziwiał i szanował prezydenta. I biada temu, kto skrzywdził jego szefa. Varney

nigdy nikogo nie zabił, ale bez wątpienia zrobiłby to, gdyby miał uzasadniony powód.

Luther słyszał ścigających. Ruszyli za nim w pościg szybciej, niż przewidywał. Miał nad nimi wystarczającą przewagę. Zrobili duży bład, że nie gonią go furgonetką. Cieszył się, że nie są tacy sprytni. Gdyby byli, nie dożyłby świtu.

Przez las pobiegł skróttem, który zauważył, kiedy sprawdzał wcześniej. Zarobił na tym jakąś minutę. Oddech miał urywany, jak serie z karabinu maszynowego. Ubranie zdawało mu się ciężać, nogi, jak w dzieciennym śnie, poruszały się jakby w zwolnionym tempie.

Wreszcie wyskoczył spośród drzew i zobaczył swój samochód i jeszcze raz podziękował Bogu za to, że ustawił go przodem do wyjazdu.

Sto jardów z tyłu, w noktowizorach Burtona i Collina pojawiła się wreszcie jeszcze jedna oprócz Varneya sylwetka. Szybko biegnący mężczyzna. Dłonie powędrowały im do kabur pod pachami. Żadna broń krótka nie jest skuteczna na taki dystans, ale co robić.

Zagrał silnik, Burton i Collin pędzili, jakby ściągało ich tornado.

Varney nadal ich wyprzedzał, był trochę po lewej. Może on miał lepszą linię strzału, ale czy otworzy ogień? Coś im powiedziało, że nie. Nie uczono go strzelać do uciekających, na dodatek nieatakujących osoby, którą przysięgał ochraniać. Varney nie wiedział, że ścigany jest teraz znacznie groźniejszy dla prezydenta, niż gdyby siedział przy nim, celując mu w skroń z magnum kalibru .44.

Tu już nie chodzi tylko o to, czy nie przestanie bić serce prezydenta. Tu stawką jest cała instytucja prezydentury, która ponieść może niepowetowane straty. Na straty pójdą też dwaj agenci Secret Service, którzy wprawdzie żywili przekonanie, że nie popełnili nic złego, ale byli dość inteligentni, by wiedzieć, że cała wina spadnie na nich.

Po pierwsze, jak wyjaśnią obecność prezydenta w tym miejscu? I ta szefowa personelu, która bez wątpienia pociągnie za sobą na dno każdego, kto choć odrobinę związany jest z tą sprawą.

Burton nie był biegaczem, ale przyspieszył kroku, kiedy te myśli przebiegły mu przez głowę, i młodszy Collin z trudem dotrzymywał mu kroku. Lecz Burton wiedział, że jest już za późno. Nogi zaczęły zwalniać, gdy samochód ruszył i zaczął się od nich oddalać. Jeszcze moment i był już ponad dwieście jardów od nich, na drodze.

Burton zatrzymał się, uklęknął, złożył do strzału, ale widział jedynie kłęb kurzu za pędzącym autem. Światła pozycyjne znikły i już nie było do czego celować.

Odwrócił się i popatrzył na Collina. Zaczęło do nich docierać, co się naprawdę wydarzyło. Burton powoli podniósł się i schował broń. Zdjął gogle noktowizyjne, Collin tak samo.

Popatrzyli na siebie.

Burton ciężko dyszał, członki mu drżały. Ciało reagowało na miniony wysiłek, gruczoły przestały pompować adrenalinę. Już po wszystkim, niestety.

Podbiegł do nich Varney. Burton nie był na tyle zmęczony, by nie zauważyć z ukłuciem zazdrości, a jednocześnie lekką dumą, że młody człowiek nie jest nawet zadyszany. Trzeba dopilnować, żeby Varney i Johnson nie ucierpieli z powodu tej sprawy. Nie zasłużyli na to.

On i Collin są skończeni i tyle. Martwił się o Collina, ale nic tu nie mógł poradzić. Ale kiedy Varney przemówił, pojawił się promyk nadziei.

- Szefie, mam jego numer rejestracyjny.

- Gdzie on, do diabła, siedział? - Gloria Russell rozglądała się po sypialni z niedowierzaniem. - Gdzie? Pod łóżkiem do cholery?

Próbowała zmusić Burtona do spuszczenia wzroku. Facet nie schował się pod łóżkiem ani w żadnej z szaf. Burton sprawdzał te wszystkie miejsca, kiedy czyścił pokój. Powiedział jej to bez ogródek.

- Jezu, on nas pewnie cały czas widział. - Burton skończył zdanie i rozejrzał się wokół, jakby obawiał się jeszcze jakichś ukrytych oczu. Jego wzrok zatrzymał się na lustrze, przesunął się dalej i wrócił z powrotem.

Popatrzył w dół, na wykładzinę przed lustrem.

Czyścił ten kawałek odkurzaczem kilka razy. Ta wykładzina już z racji swojej ceny była gruba i puszysta, ale po tym czyszczeniu zrobiła się jeszcze o ćwierć cala grubsza. Nikt po tym kawałku nie chodził, odkąd wrócili do sypialni.

A teraz jego oczy odkryły niewyraźne ślady stóp. Nie zauważył ich przedtem, ponieważ teraz ten cały fragment był matowy, jakby po dywanie coś przeciągnięto... Wyjął rękawiczki, dopadł lustro i starannie badał jego krawędzie. Krzyknął do Collina, żeby przyniósł narzędzia, a tymczasem Gloria Russell patrzyła, nic nie rozumiejąc.

Burton wsunął łom mniej więcej w połowie krawędzi lustra i obaj z Collinem pchnęli narzędzie całą swoją masą. Zamek nie był zbyt mocny, bezpieczeństwo sejfu polegało raczej na tym, że nikt miał się nie domyślić jego istnienia.

Rozległ się trzask, potem zgrzyt, później jeszcze stuknięcie i drzwi się otworzyły.

Burton wskoczył do środka, Collin za nim. Włącznik światła był na ścianie. Pomieszczenie się rozjaśniło, a mężczyźni rozglądali się wokół.

Russell zajrzała do środka. Zobaczyła fotel. Rozglądała się, a twarz jej stężała, gdy zobaczyła od środka lustrzane drzwi. Patrzyła wprost na łóżko. Łóżko, na którym parę chwil temu... Potarła sobie skronie, jakby rozboleła ją głowa. Burton spojrzał na nią bezradnie.

- Musiał tu być cały czas. Cały ten cholerny czas. To, kurwa, nie do wiary. Nieźle się musiał obłowić. Gotówka, kosztowności.

- A gówno mnie to obchodzi! - wrzasnęła Gloria Russell. - Ten facet wszystko widział i słyszał, a wy go wypuściliście.

- Mamy jego numer rejestracyjny. - Collin liczył na jeszcze jeden uśmiech w nagrodę. Nie dostał.

- No i co z tego? Myślicie, że będzie czekał, aż go sprawdzimy w kartotece i zapukamy do drzwi?

Russell usiadła na łóżku. W głowie jej się kręciło. Ten facet był tam i wszystko widział, w tym i ją... z prezydentem.

Potrząsnęła głową. Sytuacja niedobra, ale pod kontrolą, nagle stała się niepojętą klęską, całkowicie nie do opanowania. Ten skurwiel ma też i nóż do papieru. Odciski palców, krew, wszystko - prościutki szlak do Białego Domu.

Popatrzyła w lustro, w którym jeszcze niedawno widziała swoje odbicie, gdy siedziała na prezydencie. A on patrzył, widział ją. Odruchowo zapięła zakiet. Rozboleł ją nagle brzuch. Uwiesiła się na ramie łóżka.

Ze skarbca wynurzył się Burton.

- Zaraz, przecież on popełnił przestępstwo. Ściągnie sobie na łeb kłopoty jeśli pójdzie z tym do glin. - Ta myśl przyszła Burtonowi do głowy, kiedy przeszukiwał skarbiec.

Mógłby myśleć odrobinę więcej. Russell opanowała odruch wymiotny.

- Nie musi się udawać na policję, Burton. Czy kiedykolwiek słyszałeś o takim cholernym wynalazku jak telefon? Prawdopodobnie już dzwoni do „Washington Post”. DO CHOLERY! Potem rzucają się na to brukowe popołudniówki, a pod koniec zobaczymy go w „Oprah and Sally”, w transmisji z jakiejś odległej wyspy, na którą się udał na wypoczynek, oczywiście z zasłoniętą twarzą. A potem książka, a jeszcze

później film. Niech to szlag!

Burton oczywiście nie ma pojęcia o nożu do papieru. Russell wyobraziła sobie pewną paczuszkę, która przybywa do biura Donalda Grahama w „Post”, do gmachu Edgara J. Hoovera, albo do biura prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych, albo do biura przewodniczącego mniejszości senackiej. Wszyscy ci możliwi odbiorcy mogli spowodować maksymalne szkody polityczne, nie wspominając już o konsekwencjach prawnych.

Liścik dołączony do paczuszki proponowałby porównanie odcisków palców na tym przedmiocie oraz śladów krwi z odciskami i krwią prezydenta Stanów Zjednoczonych. Może brzmiałoby to jak żart, ale oni by to sprawdzili. Oczywiście, że by sprawdzili. Odciski Richmonda są w kartotece. Jego DNA będzie się zgadzało doskonale. Znajdą ciało ofiary, sprawdzą jej krew i pojawi się więcej pytań bez odpowiedzi, niż komukolwiek by się śniło.

Już po nich, wszystkich. I ten skurwysyn siedział tutaj i czekał na swoją szansę. Nie wiedział, że dzisiejsza noc przyniesie mu największą wygraną w życiu. Żadne tam zwyczajne dolary. Będzie mógł wykończyć prezydenta, zrujnować, rozwalić w drobny mak, bez żadnej nadziei na ratunek. Taka okazja nie zdarza się często. Bernstein i Woodward zostali obwołani supermenami, bohaterami.

Watergate wysiada przy tym, co się rozpęta. To już stanowczo za dużo jak dla niej.

Russell ledwie dowlokła się do łazienki. Burton popatrzył na zwłoki, potem na Collina. Nie odezwali się, ale serca waliły im coraz szybciej, w miarę jak docierała do nich groza sytuacji. Ponieważ nie zdołali wymyślić nic mądrzejszego, obaj poszli po sprzęt i skrupulatnie jeszcze raz oczyścili pokój, a Russell tymczasem opróżniła zawartość żołądka. W ciągu godziny byli w drodze.

Po cichu zamknął za sobą drzwi.

Podejrzewał, że ma przed sobą najwyżej parę dni, może mniej. Zaryzykował i zapalił światło, szybko omiół wzrokiem swój salon.

Jego życie w ciągu jednej chwili zmieniło się z normalnego, lub prawie normalnego, w zupełny horror.

Luther zdjął plecak, zgasił światło i wyjrzał przez okno.

Nic, cisza. Dzisiejsza ucieczka była najbardziej denerwującym przejściem w jego życiu, gorszym nawet niż napaść wrzeszczących Koreańczyków z Północy. Ręce jeszcze mu się trzęsły. Przez całą drogę powrotną każdy mijający go samochód wydawał się świecić mu prosto w twarz, odkrywając jego tajemnicę. Dwukrotnie minęły go wozy policyjne, wywołując strużki potu na jego czole i wstrzymywany oddech.

Wszystko i wszyscy byli teraz przeciwko niemu.

Samochód postawił na parkingu policyjnym, gdziezymane są auta znalezione lub skonfiskowane. „Pożyczył” go stąd wieczorem. To świetne miejsce na zdobycie pojazdu na robotę, łatwo było zwrócić wóz, zanim brak zwróci czyjąkolwiek uwagę. Jeśli ktoś spisał numer, policja odkryje, że wóz był jej własnością, i tu wszelki ślad zginie. To mogłoby być zabawne, ale Lutherowi wcale nie było tym razem do śmiechu. Tablica rejestracyjna zaprowadzi ich donikąd, ale mogą znaleźć się inne ślady.

Wątpił, żeby mu się przyjrzeni. Nawet jeśli go widzieli, zauważyli jedynie wzrost i budowę ciała. Jego wiek, rasa i rysy twarzy nadal pozostają tajemnicą, a bez nich daleko nie zajdą. Z powodu tempa biegu z pewnością pomyślał, że jest młodszy. Nie był pewien jednej rzeczy, jadąc do domu, myślał o tym, jak jej zaradzić. Na razie spakował wszystko ze swego dobytku, dorobek ostatnich trzydziestu lat życia, co zmieściło się do dwóch toreb. Już tu nie wróci.

Jutro rano podejmie całe oszczędności z banku, to mu zapewni środki, żeby uciec stąd jak najdalej. W

ciągu swojego długiego życia nieraz stawiał czoło niebezpieczeństwu. Ale kiedy w sprawę był zamieszany prezydent Stanów Zjednoczonych, tylko ktoś pozbawiony mózgu nie wiałby gdzie pieprz rośnie.

Koniec życia w tym kraju.

Plaże jakiejś odległej wysepki wzywają go trochę wcześniej, niż to planował, ale trudno. Łup dzisiejszej nocy został bezpiecznie ulokowany. Na razie jest beużyteczny, prawdę mówiąc śmiertelnie niebezpieczny, równie dobrze mógłby być radioaktywny. Takie jest życie. Trzy miesiące pracy, żeby w zamian omal nie dostać kulki w łeb. Zamknął drzwi na klucz i zniknął w mroku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Była siódma rano, gdy otworzyły się złociste drzwi windy i Jack wkroczył w przestrzeń o wystroju wnętrza przemyślanym w najdrobniejszych szczegółach, która była holem recepcyjnym kancelarii Patton, Shaw & Lord.

Lucinda jeszcze nie przyszła, więc główne biurko recepcji, solidna konstrukcja z drewna tekowego o wadze jakichś tysiąca funtów, a cenie około dwudziestu dolarów za każdy ów funt, pozostawało nieobsadzone.

Szedł szerokimi korytarzami w łagodnym świetle roztaczanym przez neoklasyczne kinkiety, skręcił w prawo, potem w lewo i już otwierał solidne dębowe drzwi swojego gabinetu. W tle rozlegały się pojedyncze dzwonki telefonów, odgłosy budzącego się do interesów miasta.

Sześć pięter, grubo ponad sto tysięcy stóp kwadratowych wnętrza, urządzonego przez profesjonalnych architektów, jeden z najlepszych adresów w śródmieściu, siedziba ponad dwustu wysoko wynagradzanych prawników, z biblioteką na dwóch kondygnacjach, w pełni wyposażoną salą gimnastyczną, sauną, prysznicami damskimi i męskimi wraz z szatniami, dziesięcioma salami konferencyjnymi z solidnymi rozsuwanymi drzwiami, kilkaset osób personelu pomocniczego, a co najważniejsze lista klientów, której zazdrościły wszystkie poważne firmy prawnicze w kraju - oto imperium Patton, Shaw & Lord.

Firma przetrwała trudny schyłek lat osiemdziesiątych, a potem nabrała wiatru w żagle, gdy recesja wreszcie się skończyła. Teraz pruć naprzód, a wielu jej konkurentów odpadło. Była naładowana najlepszymi prawnikami dosłownie każdej specjalności, a przynajmniej tych specjalności, w których najlepiej się zarabia. Wielu podkupiono z innych przodujących kancelarii, zwabiono premiami i obietnicami.

Trzem głównym wspólnikom zaproponowano pracę w administracji rządowej na najwyższych stanowiskach. Firma zapewniła im odprawy w wysokości ponad dwóch milionów dolarów na głowę, dając do zrozumienia, że po zakończeniu rządowego angażu oczekuje ich na powrót w kieracie, ale wraz z nowymi zleceniami na dziesiątki milionów dolarów, zdobytymi dzięki ich nowym kontaktom w kraju i za granicą.

Niepisana, lecz ściśle przestrzegana reguła firmy głosiła, że nie przyjmuje się żadnego nowego klienta, którego sprawa nie przyniesie honorarium w minimalnej wysokości stu tysięcy dolarów. Komitet zarządzający uznał, że drobniejsze sprawy to strata czasu dla firmy. I przestrzeganie tej reguły nie sprawiało trudności. Firma kwitnie. Do stolicy kraju ludzie przyjeżdżają po najlepsze i nie mają nic przeciwko temu, by za ten przywilej płacić.

To przyjemna praca, jeśli uda się ją dostać, uznał Jack. Firma zrobiła tylko jeden wyjątek od tej reguły,

a było to dla jedyne go klienta, jakiego miał Jack poza Baldwinami. Powiedział sobie, że będzie sprawdzał tę regułę coraz częściej. Jeśli ma tu tkwić, chce, żeby to było na jego warunkach, tak dalece, jak to możliwe. Wiedział, że z początku jego zwyczajstwa będą drobne, ale godził się z tym.

Usiadł przy biurku, zdjął pokrywkę z plastikowej filiżanki z kawą i zajął do „Posta”. Patton, Shaw & Lord mieli pięć kuchenek i trzy „kuchenkowe” na pełnych etatach, z własnymi komputerami. Firma zużywała prawdopodobnie pięćset dzbanków kawy dziennie, a Jack przynosił swoją z małej knajpki na rogu, bo nie znosił tego świństwa, które tu podawano. Była to specjalna, importowana mieszanka, kosztowała fortunę i smakowała jak połączenie kurzu z morskimi wodorostami.

Przechylił się z krzesłem do tyłu i rozejrzył po gabinecie. Był duży, jak na samodzielnego pracownika dużej firmy przystało, mniej więcej czternaście na czternaście stóp, z ładnym widokiem na Connecticut Avenue.

Kiedy był obrońcą z urzędu, miał wspólny pokój z trzema innymi adwokatami i protokolantem. Nie było tam okna, tylko wielki plakat przedstawiający plażę na Hawajach, który Jack przypiął pinezkami pewnego obrzydliwie zimnego poranka. Kawa tam smakowała Jackowi znacznie bardziej.

Kiedy zostanie wspólnikiem, dostanie nową siedzibę, dwukrotnie większą, może nie od razu, ale na pewno. Prowadząc sprawy Baldwinów, znalazł się na czwartym miejscu pod względem przysparzanych firmie dochodów, a ci trzej lepsi od niego byli wszyscy po pięćdziesiątce lub sześćdziesiątce i bardziej interesowały ich pola golfowe niż własne gabinety. Spojrzył na zegarek. Czas się przygotować.

Zwykle był jednym z pierwszych w biurze, ale już za chwilę zacznie się ruch. Firma Patton, Shaw & Lord była na szczycie listy najlepiej płaćących pracodawców, ale za dużą forszę wymagała wielkiego wysiłku i długich godzin pracy. Klientami były ogromne firmy i takie też były ich wymagania. W tej lidze pomyłka mogła oznaczać wyrzucenie na śmietnik kontraktu zbrojeniowego na cztery miliardy dolarów albo bankructwo miasta.

Wszyscy samodzielni pracownicy i młodszy wspólnicy, których znał w firmie, mieli kłopoty z żołądkiem, jedna czwarta poddawała się psychoterapii takiego czy innego typu. Jack oglądał ich blade oblicza i sflaczałe ciała, gdy codziennie maszerowali nieskazitelnymi korytarzami PS&L, by podjąć kolejną pracę Herkulesa. Takie były koszty uzyskania płacy, która plasowała ich w górnych pięciu procentach wśród najemnych fachowców w kraju.

On jedyny wśród nich był bezpieczny. Zdobywanie klientów to w tym fachu najważniejsza sprawa. Pracował w firmie od roku, jako radca prawny przedsiębiorstw był nowicjuszem, a zyskał szacunek najważniejszych i najbardziej doświadczonych członków firmy.

To wszystko powinno było wywoływać poczucie winy i niezасłużonego sukcesu i wywoływałyoby, gdyby nie to, że kompletnie mu nie zależało na dochodach.

Wepchnął ostatniego miniaturowego pączka do ust, pochylił nad biurkiem i otworzył akta. Doradztwo prawne dla firm to często monotonna praca, a jego poziom umiejętności był taki, że zadania, jakie otrzymywał, nie były najbardziej ekscytujące na świecie. Przeglądy dzierżaw gruntów, przygotowywanie umów, tworzenie spółek z o. o., szkicowanie listów intencyjnych i dokumentów prywatnych, z tego składała się całodzienna praca, a dni wydawały się coraz to dłuższe i dłuższe. Ale uczył się szybko - musiał, jeśli chciał się utrzymać w tym świecie, w którym jego umiejętności, tak cenne na sali sądowej, okazały się bezużyteczne.

Jego kancelaria nie zajmowała się działalnością procesową, jako że sprawy notarialne i podatkowe są znacznie bardziej lukratywne. Kiedy dochodziło do procesu, zlecano prowadzenie spraw w sądzie elitarnym firmom, które specjalizowały się w tego rodzaju pracy, a które w zamian wszelkie zadania

nieprocesowe, jakie się u nich pojawiały, przekazywały do Pattona, Shawa & Lorda. Taki układ okazał się najkorzystniejszy dla wszystkich zainteresowanych.

Jack obiecywał sobie kiedyś, że nigdy nie będzie prawnikiem „od papierkowej roboty”, jak weterani sali sądowej określali wszelkie sprawy niezwiązane z polem bitwy procesu sądowego. Ale obietnice zrodzone z młodzieńczej naiwności musiały zejść na drugi plan pod wpływem wymagań twardej rzeczywistości.

Do przerwy obiadowej przełożył dwa stosy papierów z tacy „do załatwienia” na tacę „załatwione”, podyktował parę listów i przyjął cztery telefony od Jennifer - przypominała mu o kolacji w Białym Domu, na którą udawali się dziś wieczorem.

Jej ojciec otrzymywał tytuł Biznesmena Roku przyznany mu przez jakąś organizację. To, że takie wydarzenie uznano za warte uroczystości w Białym Domu, wiele mówiło o bliskich związkach prezydenta z wielkim biznesem. Ale przynajmniej Jack będzie mógł z bliska zobaczyć tego człowieka. Spotkanie z nim pewnie jeszcze nie wchodzi w grę, ale kto wie.

- Masz chwilę? - Barry Alvis wetknął przez uchylone drzwi swoją łysiejącą głowę. Był tak zwanym starszym specjalistą, co oznaczało, że więcej niż trzykrotnie nie udało mu się zostać współnikiem i wyglądało na to, że nigdy nie dokona tej sztuki. Był prawnikiem bardzo pracowitym i wybitnie inteligentnym, każda firma chciałaby takiego mieć. Niestety, kompletnie nie umiał bajerować klientów, co powodowało, że nie przyciągał nowych zleceń. Osiągnął tyle, ile mógł i poddał się łagodną rezygnacją. Miał pensję sto czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, był dość pracowity, by dostawać jeszcze piętnaście w formie premii. Żona siedziała w domu, dzieciaki uczyły się w prywatnych szkołach, jeździł najnowszym modelem bimmera, nikt od niego nie oczekiwał, że rozwinie skrzydła. Nie miał powodów do narzekań.

Nie należało się spodziewać, żeby ten doświadczony prawnik z dziesięcioletnim stażem, zajmujący się sporządzaniem umów, darzył szczególną sympatią Jacka Grahama. I rzeczywiście, nie znosił go serdecznie.

Jack pozdrowił go gestem. Wiedział, że Alvis go nie lubi i rozumiał dlaczego, ale miał to gdzieś. Mógłby zrobić szum wokół drobnych świństek, jakie tamten mu robił, ale bardziej sobie cenił święty spokój.

- Jack, zaczął się kołowrót w sprawie fuzji Bishopa. - Jack nie miał pojęcia, o co chodzi, Z tego, co wiedział, ta operacja, prawdziwe utrapienie, wzięła w łeb. Wyciągnął notatnik, ręce mu się zatrzęsły.

- Zdawało mi się, że Raymond Bishop rozmyślił się w sprawie małżeństwa z TCC.

Alvis usiadł, a gruby na czternaście cali segregator, który przyniósł z sobą, położył Jackowi na biurku.

- Umowy trafia szlag, a potem wstają z grobu, żeby cię straszyć. Potrzebne są twoje uwagi na temat dokumentów dotyczących finansowania wtórnego. Na jutro po południu.

Jack omal nie wypuścił pióra z ręki.

- To jest czternaście porozumień, ponad pięćset stron, Barry. Kiedy się o tym dowiedziałeś?

Alvis wstał, a Jack zauważył zaczątki uśmiechu w kąciku jego ust.

- Piętnaście porozumień i Shirley mówi, że naliczyła sześćset trzynaście stron, bez interlinii, nie licząc materiałów dowodowych.

Dzięki Jack, Patton, Shaw & Lord doceniają twoje zaangażowanie. - Odwrócił się. - Och, baw się dobrze dziś u prezydenta i pozdrów pannę Baldwin.

Wymaszerował.

Jack spojrzął na stertę leżącą przed nim i potarł skronie. Zastanawiał się, kiedy ten mały skurwiel

naprawdę dowiedział się, że sprawa Bishopa została wskrzeszona. Coś mu mówiło, że to nie było dziś rano.

Sprawdził czas. Przywołał sekretarkę, odwołał wszystkie zajęcia na resztę dnia, złapał ważące osiem funtów akta i udał się do sali konferencyjnej numer dziewięć, najmniejszej i najbardziej oddalonej w firmie, gdzie mógł się ukryć i pracować. Najpierw sześć godzin intensywnej pracy, potem na przyjęcie, później powrót, praca przez całą noc, sauna, prysznic i golenie tutaj, potem dokończenie roboty i uwagi mogą być na biurku Alvisa do trzeciej, najpóźniej do czwartej. Drobnostka. Cholera.

Cztery porozumienia później Jack zjadł ostatniego chrupka i skończył colę, zarzucił kurtkę i zbiegł pięć pięter do holu.

Taksówka wysadziła go pod blokiem.

Przed wejściem parkował jaguar. Tablica rejestracyjna z napisem „SUKCES” zamiast numeru powiedziała mu, że jego wybranka czeka na górze. Musi być na niego wściekła. Nie zniżała się do wizyt w jego mieszkaniu, jeśli nie była na niego zła.

Spojrzał na zegarek. Jest trochę spóźniony, ale wyrobi się. Otworzył drzwi frontowe. Potarł policzki, może uda się bez golenia. Siedziała na kanapie, przykrywszy ją uprzednio prześcieradłem. Musiał przyznać, że wyglądała oszalamiająco, błękitna krew, nie ma co mówić, cokolwiek to dziś miałyby oznaczać. Wstała i spojrzała na niego ponuro.

- Jesteś spóźniony.

- Wiem. Rozumiesz, mam szefa.

- To żadne tłumaczenie, ja też pracuję.

- Taa, ale twój szef nosi to samo nazwisko co ty i córeczka owinęła go sobie wokół ślicznego małego paluszka.

- Mama i tata już pojechali. Limuzyna będzie tu za dwadzieścia minut.

- Kupa czasu. - Jack rozebrał się i wskoczył pod prysznic. Odsunął zasłonkę. - Jenn, możesz wyciągnąć moją granatową dwurzędówkę? - Wkroczyła do łazienki i rozejrzała się ze źle ukrywanym niesmakiem.

- W zaproszeniu powiedziano „smoking i czarna muszka”.

- „Smoking i czarna muszka nieobowiązkowo” - poprawił ją, starając wypłukać sobie mydło z oczu.

- Jack, nie rób tego. To Biały Dom, na litość boską, prezydent.

- Jeśli piszą „nieobowiązkowo”, to znaczy, że dają ci wybór - smoking albo nie. Korzystam z mojego prawa do rezygnacji z czarnej muszki. Poza tym nie mam smokingu. - Wyszczерzył do niej zęby w uśmiechu i zasunął zasłonkę.

- Miałeś kupić.

- Zapomniałem. O rany, Jenn, nie marudź. Nikt nie będzie mnie oglądał, kogo to obchodzi, w czym przyjdę.

- Bardzo panu dziękuję, panie Graham. Prosiłam o taki drobiazg.

- Wiesz, jaki majątek kosztuje coś takiego?

Mydło szczypało w oczy. Pomyślał o Barrym Alvisie, całonocnej pracy, która go czekała, i o tym, że będzie musiał wytłumaczyć to Jennifer, a potem jej ojcu i głos mu zabrzmiał złością. - I jak myślisz, ile razy włożę na siebie takie cholerstwo? Dwa, trzy razy do roku?

- Po ślubie będziemy chodzili na przyjęcia, gdzie smoking JEST obowiązkowy. To dobra inwestycja.

- Wolałbym wydać swoje oszczędności na karty baseballowe. - Wysunął głowę zza zasłonki, żeby jej pokazać, że żartuje, ale wyszła.

Natarł się kąpielowym ręcznikiem, owinął go sobie wokół bioder i przeszedł do maleńkiej sypialni, gdzie znalazł nowy smoking zawieszony na drzwiach od szafy. Pojawiła się Jennifer, promieniejąca uśmiechem.

- Z pozdrowieniami od firmy Baldwin. To od Armaniego. Będziesz wyglądał cudownie.

- Skąd znasz mój rozmiar?

- Masz dokładnie czterdzieści dwa L. Mógłbyś być modelem. Prywatny model Jennifer Baldwin. - Objęła go od tyłu uperfumowanymi ramionami i ścisnęła. Poczuł na plecach jej piersi i zaklął w duchu, że nie ma czasu.

Choć raz bez tych cholernych fresków, cherubinów i rydwanów na suficie, może wtedy byłoby inaczej.

Popatrzył tęsknie na małe łóżko ze skłębioną pościelą. I całą noc będzie musiał pracować. Niech szlag trafi Barry'ego Alvisa i tego niezdecydowanego Raymonda Bishopa.

Dlaczego za każdym razem, gdy widział Jennifer Baldwin, miał nadzieję, że tym razem będzie między nimi inaczej. Inaczej, znaczy lepiej. Że ona się zmieni albo on, albo oboje spotkają się gdzieś w połowie drogi? Jest taka piękna, ma wszystko, o czym można marzyć. Jezu, czego jeszcze mu trzeba?

Limuzyna sunęła bez trudu wśród słabego ruchu. Po siódmej wieczorem, w dzień powszedni, centrum Waszyngtonu było pustawe.

Jack przyjrzał się narzeczonej. Cienki, ale bardzo drogi płaszcz nie ukrywał smukłej szyi. Nienagannie rzeźbione rysy pokrywała nieskazitelna skóra. Od czasu do czasu posyłała mu olśniewający uśmiech. Bujne kasztanowate włosy upięła wysoko na głowie, zazwyczaj nosiła je rozpuszczone. Wyglądała jak jedna z supermodelek.

Przysunął się do niej. Uśmiechnęła się, sprawdziła makijaż, który był bez zarzutu, i poklepała Jacka po dłoni.

Pogłaskał ją po udzie, podsuwając wyżej spódnicę, ale odepchnęła jego rękę.

- Może potem - wyszeptała, żeby kierowca nie usłyszał.

Jack uśmiechnął się i bezgłośnie powiedział, że potem może go boleć głowa. Roześmiała się, a wtedy sobie przypomniał, że dziś nie będzie żadnego „potem”.

Opadł na miękkie wyściełane oparcie i zaczął wyglądać przez okno. Nigdy nie był w Białym Domu, Jennifer była, dwa razy. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej, on tak. Skubnął muszkę i przygładził włosy, gdy skręcali w Executive Drive.

Strażnicy Białego Domu obrzucili ich uważnym spojrzeniem, Jennifer, jak zwykle, przyciągała spojrzenia wszystkich mężczyzn i kobiet w zasięgu wzroku. Kiedy się pochyliła, żeby poprawić sobie bucik na wysokim obcasie, nieomal się wyslizgnęła ze swojej sukienki za pięć tysięcy dolarów i tym samym uszczęśliwiła kilkunastu pracowników Białego Domu. Jack widział skinięcia głów mężczyzn, porozumiewawcze mrugnięcia i zawistne spojrzenia. Następnie weszli do środka i okazali swoje ozdobne zaproszenia sierżantowi piechoty morskiej, który przeprowadził ich przez korytarze na parterze, a następnie powiódł po schodach na górę do Pokoju Wschodniego.

- Niech to szlag trafi! - Prezydent schylił się, żeby podnieść egzemplarz swojego przemówienia, i ból przeszył mu ramię. - Chyba mam naruszone ścięgno, Glorio.

Gloria Russell siedziała w jednym z tych głębokich pluszowych foteli, w które żona prezydenta wyposażyła Gabinet Ovalny.

Ma kobieta dobry smak, i niewiele ponadto. Przyjemnie na nią popatrzeć, choć intelektualistka z niej nie jest. Ot, cenna dekoracja na zebraniach wyborczych.

Pochodzenie rodzinne bez zarzutu: stare bogactwo, szacowni przodkowie. Związki prezydenta z konserwatywną arystokracją pieniądza i wpływów w tym kraju nie szkodziły jego notowaniom w kołach liberalnych, głównie dzięki jego charyzmie i umiejętnościom budowania kompromisów. No i uroda, czynnik, który znaczył więcej, niż ktokolwiek zechciałby przyznać.

Prezydent, który ma odnosić sukcesy, musi umieć wygrywać, a ten osiągał wyniki porównywalne z Tedem Williamsem.

- Chyba muszę wezwać lekarza. - Prezydent nie miał najlepszego nastroju, ale i Russell daleko było do pogody ducha.

- Alan, no i jak zamierzasz wyjaśnić prasie, skąd masz ranę ciętą na ramieniu?

- A gdzie, do cholery, tajemnica lekarska? - Russell przewróciła oczami. Pomimo swoich talentów oratorskich potrafił czasem mówić głupoty.

- Jesteś osobą publiczną, wszystko, co ciebie dotyczy, jest jawne.

- No, nie wszystko. - Uśmiechnął się do siebie.

- Przecież sprawa nie jest zakończona, nie wiesz? Jeszcze daleko do końca, Alan. - Russell wypaliła dziś trzy paczki papierosów i wypila dwa dzbanki kawy. W każdej chwili ich świat i jej kariera mogły się rozpaść z trzaskiem. Policja u drzwi. Z trudem powstrzymywała się, by nie uciec stąd z krzykiem. Raz po raz zalewały ją fale mdłości. Zagryzała wargi, zaciskała dłonie na poręczach fotela. Obrazy zeszłej nocy nie dawały się odegnać.

Prezydent przejrzał tekst, ucząc się fragmentów na pamięć, reszta będzie improwizacją. Pamięć miał fenomenalną, cenny dar, który służył mu niezawodnie podczas kampanii i w ciągu pierwszych trzech lat prezydentury. Nie lubił teleprompterów, zazwyczaj z nich nie korzystał, chyba że sprawa była wyjątkowo skomplikowana, co - niestety - zdarzało się coraz częściej.

- Chyba po to cię mam, co, Glorio? Żebyś wszystko naprawiała.

Popatrzył na nią.

Zastanowiła się na moment, czy wiedział. Czy wiedział, co z nim robiła? Jej ciało zeszytywniało, a potem odprężyło się. Nie mógł wiedzieć, nie, to niemożliwe. Pamiętała jego pijackie jęki. Och, Boże, jak flaszka potrafi zmienić człowieka.

- Oczywiście, że tak, Alan, ale trzeba podjąć kilka decyzji. Trzeba opracować jakieś plany, w zależności od tego, czemu będziemy musieli stawić czoło.

- Nie mogę podwoływać spotkań. Poza tym ten facet nic nam nie może zrobić.

Russell pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Nie byłabym taka pewna.

- Oczywiście, że nie, Glorio! Pomyśl tylko. Musiałby się przyznać do włamania. Wyobrażasz sobie, że zgłasza tę historię do wiadomości wieczornych? Wsadzą go, zanim się obejrzy. - Prezydent roześmiał się.

- Nic mi nie grozi. Ten facet nic mi nie może zrobić, Glorio. Nigdy w życiu.

Wypracowali strategię działania w drodze powrotnej do miasta. Ich stanowisko będzie proste - kategoryczne zaprzeczanie. Pozwolą, by absurdalność zarzutów, jeśli kiedykolwiek zostałyby postawione, ujawniła się w całej pełni i skompromitowała tych, co je wysunęli. A była to historia absurdalna, choć absolutnie prawdziwa. Wyrazy współczucia z Białego Domu dla biednego, niezrównoważonego psychicznie przestępcy i jego okrytej hańbą rodziny.

Jest, oczywiście, jeszcze jedna możliwość, ale Russell postanowiła na razie niekomunikować jej prezydentowi. Prawdę mówiąc, uważała, że jest to ewentualność najbardziej prawdopodobna.

- Zaszły tam dziwniejsze rzeczy.

- Nie takie dziwne. Miejsce oczyszczono, tak? Nic nie znajdują, z wyjątkiem ciała.

- Tak jest. - Russell oblizała wargi. Prezydent nie wie, że naoczny świadek zbrodni ma nóż do papieru z odciskami palców i śladami krwi.

I nie powinien się o tym dowiedzieć. Wstała i zaczęła się przechadzać.

- Oczywiście nic nie mogę powiedzieć o ewentualnych śladach stosunku płciowego. Ale tego nie powinni z tobą kojarzyć.

- O Jezusa, nawet nie pamiętam, czy do czegoś doszło. Ale zdaje się, że tak. - Nie mogła powstrzymać uśmiechu na tę uwagę prezydenta. Popatrzył na nią uważnie.

- Co z Burtonem i Collinem?

- A co ma być?

- Rozmawiałaś z nimi. - Wiedziała, o co mu chodzi.

- Mają równie dużo do stracenia jak ty, Alan, nie uważasz?

- Jak i my, Glorio. My. - Poprawił muszkę przed lustrem. - Domyślamy się, kim mógł być ten ciekawski?

- Chłopcy szukają samochodu.

- Jak myślisz, kiedy się zorientują, że ona zaginęła?

- Jest tak ciepło, że pewnie niedługo.

- Bardzo śmieszne, Glorio.

- Będą jej szukać. Wezwą jej męża, wejdą do domu. Może pojutrze, może za dwa dni, najwyżej trzy.

- A potem policja rozpocznie śledztwo.

- Nic na to nie poradzimy.

- Ale ty będziesz trzymała rękę na pulsie? - Cień z troskania przemknął przez czoło prezydenta, gdy pomyślał chwilę o nadchodzących wydarzeniach. Czy pieprzył się z Christy Sullivan? Miał nadzieję, że tak. Przynajmniej ta noc nie byłaby całkiem stracona.

- Tak. Jeśli będzie to możliwe bez wzbudzania podejrzeń.

- To nie powinno być trudne. Masz pretekst, Walter Sullivan jest moim bliskim przyjacielem i politycznym sprzymierzeńcem. Moje osobiste zainteresowanie będzie więc całkowicie zrozumiałe. Przemyśl to wszystko, Glorio. Za to ci płacę.

Co ci nie przeszkadzało spać z jego żoną, myślała Russell. Też mi przyjaciel.

- Wszystko wzięłam pod uwagę, Alan.

Zapaliła papierosa i wydmuchnęła powoli dym. Dobrze. Musi wyprzedzać go o krok. Mały kroczek i wystarczy. Nie będzie łatwo, on jest inteligentny, ale i arogancki. Aroganci przeceniają własne talenty, a nie doceniają cudzych.

Prezydent Gloria Russell, to przyjemnie brzmi. Może tylko p.o. prezydenta, ale zawsze.

- Czy nikt nie wiedział, że ona się z tobą spotyka?

- Dam głowę, że była dyskretna, Glorio. Christy może nie miała za wiele w głowie, jej zalety ulokowane były nieco niżej, ale rozumiała, gdzie jej interes. - Prezydent mrugnął do swojej szefowej personelu. - Gdyby małżonek dowiedział się, że mu przyprawia rogi, z prezydentem czy nie, osiemset milionów przeszłoby jej koło nosa.

Na podstawie lustra i fotela Russell domyśliła się, że Walter Sullivan nie tylko nie miał nic przeciwko rogom, lecz nawet lubił się przyglądać procesowi ich przyprawiania, ale ktoś mógł przewidzieć jego reakcję, gdy sprawa odbywała się bez jego wiedzy i zgody. Dzięki Bogu, że to nie Sullivan siedział tam w ciemności. To nie osiemdziesięcioletni Walter Sullivan zszedł po linie i prześcignął trzech agentów Secret

Service.

- A więc to tylko jeden facet, który nam nic nie może zrobić. Jesteśmy bezpieczni.
- Jeden wystarczy, żeby zburzyć domek z kart.
- Tak? W tym domku mieszka sporo ludzi, pamiętaj o tym.
- Pamiętam szefie, zawsze.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wsunęła głowę asystentka Glorii.

- Pięć minut, panie prezydencie.

Prezydent kiwnął głową i odprawił ją gestem dłoni.

- Potrzebna mi dziś ta impreza jak dziura w moście.
- Baldwin poważnie przyczynił się do powodzenia twojej kampanii, tak jak i wszyscy jego przyjaciele.
- Nie musisz mi wyjaśniać, na czym polega polityczna wdzięczność, kochaneczko. - Russell wstała i podeszła do niego. Wzięła go pod zdrowe ramię.

- Alan, zrobię wszystko, co będzie trzeba, żeby chronić twoje interesy. Przebrniesz przez to, ale musimy ściśle współpracować. Stanowimy zespół, Alan, zespół na śmierć i życie. Nie uda im się nas pokonać, nigdy, jeśli będziemy działać razem.

Prezydent patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem obdarzył ją uśmiechem, który zwykle pojawiał się na pierwszych stronach gazet. Cmoknął ją w policzek i przytulił. Przywarła do niego.

- Uwielbiam cię, Glorio, prawdziwy z ciebie kumpel. - Podniósł swoje przemówienie. - Czas na przedstawienie. - Odwrócił się i wyszedł. Russell popatrzyła na jego szerokie plecy, potarła policzek i poszła za nim.

Jack przyglądał się okrzyczanej elegancji ogromnego Pokoju Wschodniego. Wypełniała go śmietanka władzy i bogactwa tego kraju. Czytywał publikowane listy zaproszonych na takie przyjęcia, dziś sam znalazł się na tej liście!

Wokół niego wrzała gorączkowa aktywność, mógł tylko stać z głupią miną i przyglądać się. Wypatrzył swoją narzeczoną, jak dopadła jakiegoś kongresmana z Zachodu, niewątpliwie zajęta załatwianiem koncernowi Baldwin Enterprises jakiegoś ustawodawczego wsparcia.

Wysoki Ransome Baldwin, z białą grzywą i stentorowym głosem, robił obchód, ściskając solidnie dłonie wszystkich polityków, których miał już w kieszeni, i tych, których jeszcze nie miał.

Ceremonia wręczenia nagrody nie trwała na szczęście długo. Jack rzucił okiem na zegarek. Wkrótce będzie musiał się stąd zwijać. Jennifer coś wspominała o prywatnym przyjęciu w hotelu Willard o jedenastej. Jak pech to pech.

Właśnie miał odstawić drinka i odciągnąć Jennifer gdzieś na bok, by jej wyjaśnić, że musi wyjść wcześniej, gdy podszedł do niej prezydent, dołączył do niego jej ojciec i wszyscy troje skierowali się w jego stronę.

Jack odstawił drinka i odchrząknął. Miał nadzieję, że nie wyjdzie na kompletnego głupka. Jennifer i jej ojciec rozmawiali z prezydentem jak starzy znajomi. Śmiali się, żartowali, szturchali łokciami, jakby to był kuzyn Ned z Oklahomy. Ale to nie kuzyn Ned, tylko prezydent Stanów Zjednoczonych. Na litość boską!

- A więc to pan jest tym szczęściarzem? - Uśmiech prezydenta był sympatyczny. Ucisnęli sobie dłonie. Dorównywał wzrostem Jackowi. Widać było, że dba o kondycję, co Jack podziwiał.

- Jack Graham, panie prezydencie. To zaszczyt pana poznać.

- Mam wrażenie, że cię znam, Jack, Jennifer tyle mi o tobie opowiadała. Na ogół dobrze. - Błysnął

zębami.

- Jack jest współnikiem u Pattona, Shawa & Lorda. - Jennifer nie puszczała prezydenckiego ramienia. Spojrzała na Jacka i uśmiechnęła się rezolutnie.

- No, jeszcze nie współnikiem.

- To tylko kwestia czasu - zahuczał głos Ransoma Baldwina. - Mając za klienta Baldwin Enterprises, możesz dyktować swoją cenę każdej firmie prawniczej w tym kraju. Pamiętaj o tym i nie daj się robić w konia Sandy'emu Lordowi.

- Słuchaj go, Jack. Przemawia przez niego doświadczenie. - Prezydent wznosił swoją szklankę w toaście i mimowolnie cofnął rękę. Jennifer, zakłopotana, puściła ramię.- Przepraszam, Jennifer. Za dużo tenisa. Znow mam problemy z tą cholerną ręką. No cóż, Ransom, wygląda na to, że hodujesz sobie następcę.

- O, będzie musiał zdobyć rękę mojej córki, żeby dostać królestwo. Może to Jack będzie królową, a Jenn królem. Równouprawnienie, co? - Ransom roześmiał się tubalnie.

Jack poczuł, że się czerwieni.

- Jestem zwykłym prawnikiem, Ransom, nie szukam pustego tronu, żeby na nim zasiąść. Różne rzeczy można robić w życiu.

Jack wziął swojego drinka. Nie szło tak, jakby chciał. Poczul się zepchnięty do defensywy. Ransom jest taki cholernie bojowy. Jack chrupnął kostkę lodu. A co Ransom Baldwin naprawdę myśli o swoim przyszłym zięciu? Zwłaszcza teraz? Ciekawe, że tak naprawdę Jacka to nic a nic nie obchodzi.

Ransom przestał się śmiać i popatrzył na niego chmurnie. Jennifer przekrzywiła głowę jak zwykle, kiedy powiedział coś, co ona uważała za niewłaściwe, czyli prawie zawsze. Prezydent popatrzył na całą trójkę, uśmiechnął się, usprawiedliwił i odszedł w kierunku kobiety, która stała w kącie.

Jack popatrzył za nim. Widział tę kobietę w telewizji, jak wszyscy, kiedy broniła poglądów prezydenta w tysiącach spraw. Gloria Russell nie wyglądała dziś na zadowoloną, ale w tych trudnych czasach zadowolenie było pewnie rzadkością w jej sytuacji.

No, no. Poznał prezydenta, uścisnął mu rękę. Miejmy nadzieję, że ramię mu szybko wydobrzeje. Odciągnął Jennifer na bok i przeprosił, że musi już wychodzić. Nie była zachwycona.

- To jest nie do przyjęcia, Jack. Czy zdajesz sobie sprawę, co znaczy dla taty dzisiejszy wieczór?

- O rany, jestem tylko najemnym pracownikiem. Dyspozycyjność, te rzeczy.

- Cóż za pomysł! Wiesz doskonale, że to bzdura. Prowadzisz sprawy prawne warte cztery miliony dolarów. Nikt w tej twojej firmie nie może wymagać od ciebie takich rzeczy, a co dopiero jakiś pracownik, nawet nie współnik.

- Jenn, to nic takiego. Bawiłem się świetnie. Twój tata dostał tę swoją nagrodę. Teraz muszę wracać do pracy. Alvis jest w porządku. Owszem, czasem podłoży mi świnię, ale sam haruje równie ciężko, a może i ciężej. Każdy musi dźwigać swój garb.

- To nie w porządku, Jack. Mnie to nie odpowiada.

- Jenn, to moja praca. Powiedziałem, żebyś się nie przejmowała, więc się nie przejmuj. Zobaczymy się jutro. Wezmę taksówkę.

- Tata będzie rozczarowany.

- Tata nawet nie zauważy, że mnie nie ma. Będzie zajęty wysłuchiowaniem hymnów na swoją cześć. Wypij jednego za moje zdrowie. I pamiętasz, mówiłaś o „potem”? Liczę, że co się odwlecze, to nie uciecze. Może tym razem u mnie, tak dla odmiany?

Pozwoliła się pocałować. Ale gdy Jack wyszedł, popędziła do ojca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kate Whitney wjechała na parking przy swoim bloku. Gdy wspinała się po schodach, torba z zakupami obijała się jej o jedną nogę, wypchany neseser biurowy o drugą. Bloki o standardzie odpowiadającym jej dochodom są wyposażone w windy, lecz nie w takie, które działają bezawaryjnie.

Przebrała się szybko w strój do joggingu, sprawdziła, co się nagrało na automatycznej sekretarce, i wyszła znowu. Zrobiła parę ćwiczeń rozciągających przed statuą generała Granta i ruszyła do biegu.

Skierowała się na zachód, obok Muzeum Awiacji i Lotów Kosmicznych, obok Smithsonian Castle z jego wieżami i blankami w stylu dwunastowiecznej architektury włoskiej, tak, że przypominał bardziej dom szalonego naukowca niż cokolwiek innego. Długim, regularnym krokiem przecięła Mall w najszerszym miejscu i dwukrotnie okrążyła obelisk Waszyngtona.

Teraz oddech jej nieco przyspieszył, pot przesiąkł przez T-shirt i zaczął plamić bluzę z napisem Wydział Prawa Georgetown. Gdy biegła po obwodzie Tidal Basin, zaczął robić się tłok. Wczesną jesienią tłumnie przybywali do stolicy - samolotami, autobusami i samochodami - goście z całego kraju, którzy chcieli uniknąć koszmarnych waszyngtońskich upałów i letniego turystycznego szczytu.

Uskoczyła w bok, żeby nie wpaść na dziecko, które nagle pojawiło się na ścieżce, i zderzyła się z biegnącym z naprzeciwka. Przewrócili się oboje, splątani rękami i nogami.

- Cholera! - Mężczyzna pozbierał się pierwszy i aż podskoczył. Zaczęła się podnosić, spojrzała na niego z przeprosinami na ustach i nagle usiadła z powrotem. Mijały sekundy, a tabuny obwieszonych kamerami mieszkańców stanów Arkansas i Iowa plątały się wokół nich.

- Cześć, Kate. - Jack podał jej rękę, pomógł wstać i doprowadził pod jedną z bezlistnych teraz wiśni, które okalały Tidal Basin. Pomnik Jeffersona tkwił wielki i przytłaczający po drugiej stronie spokojnej wody, wysoka sylwetka trzeciego prezydenta tego kraju widoczna była wyraźnie wewnątrz rotundy. Noga w kostce zaczęła puchnąć. Zdjęła but, skarpetkę i zaczęła rozcierać bolące miejsce.

- Nie sądziłam, że nadal biegasz.

Popatrzyła na niego. Nic się nie zmienił. Śladu łysiny, brzucha czy zmarszczek na twarzy. Czas się zatrzymał dla Jacka Grahama. Musiała to przyznać, wyglądał świetnie. Za to ona to kompletna i bezapelacyjna katastrofa.

Przeklęła się w duchu za to, że nie poszła do fryzjera, po czym znów się przeklęła za tę myśl. Kropla potu spływała jej po nosie, wytarła ją nerwowym gestem ręki.

- To samo myślałem o tobie. Wydawało mi się, że prokuratorów nie wypuszczają do domu przed północą. Zaniedbujemy się w pracy?

- Jakbyś zgadł. - Masowała kostkę, która zaczynała coraz bardziej boleć. Pochylił się i ujął jej stopę. Cofnęła ją. Popatrzył jej w oczy.

- Pamiętasz, to był prawie mój drugi zawód, a ty byłaś moją najlepszą i jedyną pacjentką. Nigdy nie widziałem kobiety o tak delikatnych kostkach, a reszta wygląda tak zdrowo. - Odprężyła się i pozwoliła mu masować stopę i wkrótce poczuła, że nie stracił fachowej ręki. Naprawdę myśli, że zdrowo wyglądam. Zmarszczyła się. W końcu to ona go rzuciła. I miała absolutną rację, prawda?

- Słyszałam o wejściu do Pattona, Shawa & Lorda. Gratulacje.

- A tam! Każdy głupi by się tam dostał, mając takiego klienta. - Uśmiechnął się.

- Taak, czytałam o zaręczynach. Kolejne gratulacje. - Nie uśmiechnął się. Ciekawe dlaczego. Delikatnie włożył jej skarpetkę i but. Popatrzył na nią.

- Nie będziesz mogła biegać dzień czy dwa, nieźle spuchło. Mam tu zaraz samochód. Podrzucę cię.
- Mogę wziąć taksówkę.

- Bardziej ufasz waszyngtońskiemu taryfiarzowi niż mnie? - Udał obrażonego. - A poza tym, chyba nie masz kieszeni. Zamierzasz ubiegać się o darmowy kurs? Życzę powodzenia.

Popatrzyła na swoje szorty. Klucz od domu miała w skarpetce. Zauważył to. Zaśmiał się, widząc, jak zmagą się z dylematem. Zacisnęła usta, wysunęła czubek języka i oblizała dolną wargę. Przypomniał sobie ten jej dawny zwyczaj. Nie widział tego przez lata, a wydawało się, jakby to było wczoraj.

- Udzieliłbym ci pożyczki, ale sam jestem bez centa.

Wstała i oparła się na jego ramieniu, sprawdzając kostkę.

- Myślałam, że prywatna praktyka daje jakieś dochody.
- Owszem, ale wiesz przecież, że nigdy nie umiałem gospodarować pieniędzmi. - To prawda, gdy byli razem, to ona prowadziła rachunki. Tyle że nie było tego wiele. Trzymał ją pod rękę, prowadząc do dziesięcioletniego subaru. Popatrzyła na wóz w zdumieniu.

- Jeszcze się go nie pozbyłeś?

- Co ty, wiesz; ile mil ma na liczniku? A ile wspomnień! Widzisz tę plamę, tutaj? To twój ulubiony rozek lodów śmietankowych Dairy Queen z polewą karmelową, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty, wieczór przed moim egzaminem końcowym z prawa podatkowego. Nie mogłaś spać, a ja już nie mogłem się uczyć. Pamiętasz? Za szybko wzięłaś ten zakręt.

- Masz wyjątkowo wybiórczą pamięć. Jeśli sobie dobrze przypominam, to ty wylałaś mi swój mleczny koktajl na plecy, ponieważ narzekałam na upał.

- A tak, to też. - Roześmieli się oboje i wsiedli.

Przyjrzała się plamie badawczo, rozejrzała po wnętrzu. Opadły ją wspomnienia. Rzuciła okiem na tylne siedzenie. Gdyby ta przestrzeń umiała mówić! Popatrzyła na niego i poczuła, że się rumieni.

Jechali niezbyt zatłoczonymi ulicami na wschód. Kate czuła się spięta, ale nie za bardzo, jakby tych czterech lat nie było i po prostu wskoczyli do auta, żeby podjechać na kawę albo śniadanie w jednej z tych kafejek rozrzuconych po Capitol Hill. To było dawno temu - musiała sobie przypomnieć. To nie terazniejszość. Terazniejszość jest zupełnie inna. Uchyliła okno.

Jack jednym okiem śledził drogę przed sobą, a drugim zerkał na nią. Ich spotkanie nie było przypadkowe. Biegła po Mall, tą samą drogą, odkąd przeprowadzili się do Waszyngtonu i zamieszkali razem w tym małym mieszkanku koło Eastern Market. Przychodził tutaj trzy razy w tygodniu, w różnych godzinach, wcześniej, później, przeczesując tłum wzrokiem w czasie biegu, wypatrując tej twarzy z fotografii w ramce. Nie chciał, by skręciła nogę w kostce, ale dzięki temu siedziała w jego samochodzie i wiozł ją do domu.

Kate odrzuciła włosy do tyłu i związała w koński ogon gumką, którą nosiła na nadgarstku.

- Jak się pracuje?
- W porządku. - Nie chciał rozmawiać o pracy. - Jak twój stary?
- To ty go lepiej znasz. - Nie chciała rozmawiać o ojcu.
- Nie widziałem go od...
- No to szczęściarz z ciebie. - Zamilkła.

Jack pokręcił głową nad swoją głupotą, która kazała mu poruszyć temat Luthera. Miał nadzieję, że może pogodzili się ze sobą w ciągu tych lat. Najwidoczniej do tego nie doszło.

- Słyszałem wielkie pochwały na twój temat w prokuraturze.
- Owszem.

- Mówię poważnie.
- Od kiedy?
- Każdy kiedyś dorasta, Kate.
- Chyba nie, Jacku R. Grahamie. O Boże, nie.

Skręcił w ulicę Konstytucji w kierunku Union Station. Nagle złapał się na tym, co robi. Wiedział, jak się do niej jedzie, a nie miał zamiaru tego ujawniać.

- Którędy jedziemy?
- Och, przepraszam. Dookoła Kapitolu, przez Maryland i w lewo, w trzecią ulicę.
- Lubisz tę dzielnicę?
- Przy moich zarobkach muszę. A ty, niech zgadnę. Pewnie w centrum Georgetown, w jednym z tych luksusowych domów federalnych ze służbą, nie?

Wzruszył ramionami.

- Nie przeprowadziłem się. Mieszkam cały czas tam, gdzie wtedy.

Wlepiała w niego wzrok.

- Jack, a co robisz ze swoimi pieniędzmi?
- Kupuję, co mi potrzeba, a tak się składa, że nie potrzeba mi wiele. - Z kolei on się w nią wpatrzył. - Co powiesz na rożek lodów śmietankowych Dairy Queen z polewą karmelową?

- W tym mieście nie ma czegoś takiego. Szukałam.

Zawrócił na środku ulicy, wyszczerzył zęby do trąbiących na niego kierowców i dodał gazu.

- Najwidoczniej szanowna pani nie szukała za dokładnie.

Pół godziny później wjeżdżał na parking przed jej domem. Obiegnął samochód, żeby pomóc jej przy wysiadaniu. Kostka Kate zeszytniała jeszcze bardziej. Rożek z polewą karmelową był prawie skończony.

- Pomogę ci wejść na górę.

- Nie trzeba.

- Uszkodziłem ci kostkę. Pomóż mi uwolnić się od poczucia winy.

- Wiemy, o co chodzi, Jack. - Ten ton znał bardzo dobrze, nawet po czterech latach nie miał wątpliwości. Uśmiechnął się niewyraźnie i cofnął. Była w połowie schodów, poruszała się powoli, on sadowił się z powrotem w samochodzie, gdy odwróciła się.

- Jack? - Popatrzył w górę. - Dzięki za lody. - Weszła do budynku. Odjeżdżając, Jack nie zauważył mężczyzny stojącego w cieniu kępy drzew przy wjeździe na parking.

Luther wynurzył się spod drzew i popatrzył na blok.

Jego wygląd zewnętrzny w ciągu dwóch dni zmienił się drastycznie. Miał szczęście, że zarost rośnie mu szybko. Włosy miał ścięte bardzo krótko, a to, co zostało, przykrył czapką. Okulary przeciwsłoneczne zasłaniały wyraziste oczy, a obszerny płaszcz maskował szczupłą sylwetkę.

Chciał ją zobaczyć ostatni raz przed wyjazdem. Zdziwił się niezmiernie, widząc Jacka, ale w końcu od dawna nie miał pojęcia, co u niej słyhać. Ucieszył się. Lubił Jacka.

Opatulił się płaszczem. Wiatr się wzmagał, a chłód był ostrzejszy, niż zwykle bywa w Waszyngtonie we wrześniu. Wpatrywał się w okno mieszkania córki.

Mieszkanie numer czternaście. Znał je dobrze, był w nim parę razy, bez jej wiedzy oczywiście. Standardowy zamek drzwi frontowych to dla niego igraszka. Lokatorowi z kluczem otwieranie go zajmowało więcej czasu niż jemu. Siadywał w fotelu w jej salonie i przypatrywał się rozmaitym drobiazgom, które budziły wspomnienia, czasami dobre, ale głównie te powiązane z rozczarowaniem.

Czasem po prostu zamykał oczy i badał unoszące się w powietrzu zapachy. Wiedział, jakich używa perfum, bardzo dyskretnych i bardzo niewiele. Umeblowanie było solidne i mocno zużyte. Lodówka zazwyczaj pusta. Krzywił się, widząc skromną i znoszoną zawartość jej szafy. Rzeczy miała poukładane schludnie, ale bez pedanterii. Po wnętrzu widać było, że jest zamieszkane.

Dostawała mnóstwo telefonów. Słuchał ich, niektóre sprawiały, że żałował, iż nie wybrała sobie innej profesji. Jako przestępca dobrze zdawał sobie sprawę, ile naprawdę szalonych kreatur hula na wolności. Ale chyba już za późno, żeby doradzać jedynacze zmianę zawodu.

Był świadom, że jego związek z latoroślą jest co najmniej dziwny, ale Luther wymyślił sobie, że na nic lepszego nie zasługuje. Nie było go przy niej, gdy tego potrzebowała, dlaczego teraz ona miałaby być przy nim? Ale nie potrafił całkiem zrezygnować z łączących ich więzów, nawet jeśli ona się ich wypierała.

Przyspieszył kroku, wreszcie zaczął biec, żeby złapać autobus jadący w kierunku przystanku metra przy Union Station. Luther zawsze był najbardziej niezależnym z ludzi, nigdy nie polegał na nikim. Był samotnikiem i lubił to. Teraz czuł się wyjątkowo samotny i tym razem nie było to przyjemne.

Zaczęło padać. Wyglądał przez tylną szybę autobusu przeciskającego się w kierunku wielkiego dworca kolejowego, który uchronił się przed likwidacją przy ambitnej przebudowie centrum handlowego. Kropelki wody pokryły gładką powierzchnię szyby i zmąciły widok tego, co pozostawało z tyłu. Żałował, ale naprawdę nie miał powrotu. Ostatni skok. Tak! Naprawdę ostatni, pod każdym względem.

Poprawił się na siedzeniu, naciągnął mocniej czapkę, wydmuchnął nos w chusteczkę, wziął wyrzuconą przez kogoś starą gazetę i przeglądał tytuły. Zastanawiał się, kiedy ją znajda. Kiedy to się stanie, dowie się o tym natychmiast, każdy w tym mieście będzie wiedział, że Christine Sullivan nie żyje. Kiedy ginie bogacz, jest o tym na pierwszych stronach. Biedacy i przeciętniacy mogą się znaleźć najwyżej w rubryce miejskiej. Christy Sullivan bez wątpienia znajdzie się na pierwszej stronie, na samym froncie.

Rzucił gazetę na podłogę, wcisnął się w siedzenie. Musi jeszcze zobaczyć się z prawnikiem, a potem może zniknąć. Ale ten autobus się wleczę, zamknął oczy, ale nie zasnął. Siedział znowu w salonie swojej córki, ale tym razem ona była przy nim. **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

Luther siedział przy małym stoliku konferencyjnym w prosto umeblowanym pokoju. Krzesła i stół były stare i odrapane. Dywan był równie stary i niezbyt czysty. Poza aktami Luthera na stole leżało parę wizytówek. Wziął jedną z nich i przeczytał: „Usługi prawne, kancelaria zarejestrowana”. Ci ludzie nie należeli do czołówki w tym biznesie, daleko im było do potęg ze śródmieścia. Absolwenci trzeciorzędnych uczelni prawniczych, bez szans na praktykę w dobrych, starych firmach, ciągnęli profesjonalny wózek, mając nadzieję, że szczęście im dopisze. Ale ich marzenia o wielkich gabinetach, wielkiej klienteli i, co najważniejsze, wielkich pieniądzach blakły z każdym rokiem. Lutherowi nie byli potrzebni ci z czołówki. Wymagał jedynie kogoś z dyplomem prawnika i odpowiednimi formularzami.

- Wszystko jest w zupełnym porządku, panie Whitney. - Chłopak wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat, wciąż pełen nadziei i energii. Ta kancelaria nie jest jego punktem docelowym. Nadal najwyraźniej w to wierzył. W zmęczonej, znekanej, oklapniętej twarzy starszego mężczyzny, który siedział z tyłu, nie widać już było tej nadziei. - To pan Jerry Burns, kierownik kancelarii, będzie drugim świadkiem pańskiego testamentu. Mamy uprawnienia notarialne, więc nie musimy iść z tym do sądu. - Pojawiła się kobieta około czterdziestki, z marsową miną, niosąc pieczęć notarialną i pióro. - Phyllis jest naszym notariuszem, panie Whitney. - Wszyscy usiedli. - Czy chce pan, bym odczytał panu testament na głos?

Jerry Burns siedział przy stole ze śmiertelnie znudzoną miną, patrzył w przestrzeń i marzył o tym, gdzie chciałby w tej chwili być. Jerry Burns, kierownik kancelarii. Sprawiał wrażenie, że wolałby rozrzucić łopatą obornik na jakiejś farmie na środkowym zachodzie. Spojrzał na młodszego kolegę z niesmakiem.

- Czytałem go - odparł Luther.

- Dobra - powiedział Jerry Burns. - To bierzmy się wreszcie do roboty.

Piętnaście minut później Luther opuścił podwoje ozdobione napisem „Usługiprawnicze, kancelaria zarejestrowana” z dwoma egzemplarzami swojej ostatniej woli w kieszeni płaszcza.

Pięprzeni prawnicy, nie można się odlać, wysrać ani umrzeć bez nich. To dlatego, że prawnicy tworzą prawo. Wszystkich trzymają za jaja. Pomyślał o Jacku i uśmiechnął się. Jack nie jest taki. Jack jest inny. Potem pomyślał o córce i uśmiech się rozpląnął. Kate też nie jest taka. Ale Kate go nienawidzi.

Zatrzymał się przy sklepie fotograficznym i nabył polaroida. Nie miał zamiaru dawać nikomu do wywoływania tych zdjęć, które zamierzał zrobić. Wrócił do hotelu. Godzinę później miał dwadzieścia cztery fotografie. Zawinał je w papier i umieścił w tekturowej teczce, którą schował głęboko w swoim plecaku.

Usiadł i wyglądał przez okno. Była prawie północ, gdy wreszcie ruszył się i położył do łóżka. W głowie mu łomotało, a żołądek go bolał z braku jedzenia. Problem polegał na tym, że nie mógł niczego przelknąć. Za każdym razem, gdy próbował coś zjeść, pojawiał mu się przed oczami obraz tamtej kobiety. Jak nagle zakończyło się jej życie. Przycisnął rękami brzuch, czując, jak wzbiera kolejna fala mdłości. Niby taki z niego twardy facet, a nie potrafi przejść do porządku dziennego nad czyjąś śmiercią, śmiercią kogoś, kto powinien żyć jeszcze długo.

Wczesnym rankiem opuścił skromny hotelik ukryty wśród rozrzuconych domków północno-zachodniej części Waszyngtonu.

Złapał taksówkę i kazał się wieźć do stacji Metro Center okrężną drogą pod pretekstem, że chce zrobić po drodze kilka pamiątkowych fotografii. Taksówkarz nie widział w tym nic dziwnego i automatycznie ruszył trasą przemierzaną tysiące razy w czasie sezonu turystycznego, który co prawda już się skończył, ale czy w tym mieście kiedykolwiek sezon turystyczny naprawdę się kończy?

Zanosilo się na deszcz, ale któż mógł wiedzieć, czy będzie padało, czy nie. Nieprzewidywalne kaprysy pogody raz sprowadzały na miasto ulewę, a raz sprawiały, że przechodziła bokiem, do Atlantyku. Luther patrzył w ciemne chmury, przez które nie mogło przebić się wschodzące słońce.

Czy za sześć miesięcy będzie jeszcze żył? Może. Niewykluczone, że go znajdą mimo wszelkich środków ostrożności. Ale planował cieszyć się tym, co mu zostało.

Metro zawiozło go na waszyngtońskie lotnisko krajowe. Wsiadł do autobusu jadącego do głównego terminalu. Swój bagaż nadał już na samolot American Airlines, którym polecą do Dallas/Fort Worth, gdzie zmieni linię lotniczą i skieruje się do Miami. Tam zostanie na noc i kolejnym samolotem wyleci do Puerto Rico, skąd ostatecznie dostanie się na Barbados. Wszystko opłacił gotówką, według paszportu nazywał się Arthur Lanis, 65 lat, z Michigan, USA. Miał pół tuzina podobnych dokumentów tożsamości, wszystkie zrobione profesjonalnie, wyglądające bez zarzutu i fałszywe. Paszport był ważny jeszcze osiem lat i wskazywał, że wiele podróżuje. Planował dużo latać w następnym roku.

Usadowił się w poczekalni i udawał, że czyta gazetę. Panował tłok i hałas, normalny powszedni dzień na ruchliwym lotnisku. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad gazety, żeby sprawdzić, czy nikt się nim nie interesuje bardziej, niż powinien, ale nic nie zauważył. Miał na tyle duże doświadczenie, że na pewno

coś by zwróciło jego uwagę. Zapowiedziano jego lot, wręczono mu kartę pokładową, powlókł się rampą w kierunku smukłego bolidu, który w ciągu trzech godzin dostarczy go do serca Teksasu.

Lot do Dallas/Fort Worth jest jednym z najbardziej obłożonych pasażerami lotów American Airlines, lecz niespodziewanie Luther miał obok siebie puste miejsce. Zdjął płaszcz i położył na wolnym siedzeniu, żeby nie zachęcało nikogo do jego zajęcia. Usadził się i wyjrzał przez okno.

Gdy samolot kołował w stronę pasa startowego, przez moment pokazał się czubek obelisku Waszyngtona, wynurzający się z lepkiej, skłębionej mgły mokrego i zimnego wrześnieowego poranka. Niecałą milę stamtąd jego córka niedługo wstanie i pojedzie do pracy, gdy tymczasem jej ojciec wznosi się gdzieś w chmury, żeby zacząć nowe życie trochę wcześniej, niż planował, i z niezupełnie spokojną głową.

Samolot nabierał wysokości, a on spoglądał na ziemię daleko w dole, na wijący się Potomac, aż znikły mu z oczu. Myślami wrócił na chwilę do swojej już od dawna nie żyjącej żony, a potem do pełnej życia córki.

Podniósł wzrok na uśmiechniętą i promieniejącą profesjonalną energią twarz stewardesy, powiedział, że woli kawę, a po chwili zabrał się do śniadania, które przed nim postawiła. Wypił parujący płyn. Przecierając okulary, zauważył, że oczy łatwo mu łzawią. Rozejrzał się ukradkiem, większość pasażerów kończyła śniadanie lub odchyłała siedzenia, szykując się do krótkiej drzemki przed lądowaniem.

Odstawił tacę, odpiął pas i poszedł do toalety. Przejrzał się w lustrze. Oczy miał opuchnięte i zaczerwienione. Worki pod oczami, postarzał się wyraźnie w ciągu tych trzydziestu sześciu godzin.

Obmył twarz wodą, pozwolił kroplom ściekać, zamoczył jeszcze raz. Przetarł oczy. Bolały. Oparł się o maleńką umywalkę, próbując powstrzymać drżenie mięśni.

Wbrew wszelkim wysiłkom, umysł wciąż odbiegał do tego pokoju, gdzie widział tak okrutnie bić kobietę. Prezydent Stanów Zjednoczonych jest pijakiem, erotomanem i damskim bokserem. Uśmiecha się do kamer, całuje dzieci, flirtuje żartobliwie z zachwyconymi tym starszymi paniami, uczestniczy w spotkaniach na szczycie, podróżuje po całym świecie, wszystkim mówi, jak mają żyć, co mają robić i jak mają to robić, a sam jest pieprzonym kutasem, który rżnie mężatki, potem je tłucze, a wreszcie kończą zamordowane.

Co za zestaw.

Wiedział teraz o wiele za dużo.

Luther czuł się bardzo samotnie. I bardzo źle.

A najbardziej przykre jest to, że temu chamowi cała sprawa ujdzie na sucho.

Dzwonił telefon. Kate spojrzała na budzik. Jedenasta. Zazwyczaj nie podnosiła słuchawki. Ale coś pociągnęło jej rękę i odebrała, zanim włączyła się automatyczna sekretarka.

- Halo.

- Dlaczego już wyszłaś z pracy?

- Jack?

- Jak tam kostka?

- Dobrze. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, która jest godzina?

- Sprawdzam, jak się czuje pacjent. Lekarze nigdy nie śpią.

- Twój pacjent ma się dobrze. Dziękuję za troskę. - Uśmiechnęła się mimo woli.

- Rożek z polewą karmelową. Ten specyfik mnie nigdy nie zawiódł.

- Ach, więc byli inni pacjenci?

- Mój adwokat nie radzi mi odpowiadać na to pytanie.

- Cwaniak z niego.

Jack mógł sobie wyobrazić, jak siedzi u siebie, jednym palcem kręci pasmo włosów, tak samo jak wtedy, kiedy uczyli się razem, on prawa ubezpieczeniowego, ona francuskiego.

- Włosy i tak kręcą ci się na końcach, nie musisz im pomagać.

Cofnęła palec, uśmiechnęła się, po czym zachmurzyła. To zdanie przywołało masę wspomnień, nie zawsze przyjemnych.

- Jack, jest późno. Jutro mam rozprawę.

Wstał i zaczął się przechadzać z aparatem bezprzewodowym w rękę, myśląc gorączkowo. Cokolwiek, byle ją zatrzymać przy telefonie jeszcze parę sekund. Czuł się winny, jakby chciał coś chyłkiem zwędzić. Mimowolnie obejrzał się przez ramię. Nikogo nie zobaczył.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Okay.

- I przykro mi, że ci uszkodziłem kostkę.

- Już mnie za to przepraszałeś.

- Taak. Więc, jak się masz? Znaczą, oprócz kostki?

- Jack, naprawdę muszę się trochę przespać.

Miał nadzieję, że to powie.

- Dobra, więc opowiesz mi przy lunchu.

- Mówiłam ci, jutro jestem w sądzie.

- Po rozprawie.

- Jack, podejrzewam, że to nie jest dobry pomysł. Właściwie, to jestem całkiem pewna, że kiepski.

Zastanawiał się, co przez to rozumie. Miał fatalny nawyk nadmiernego analizowania jej wypowiedzi.

- O rany, Kate. To tylko lunch. Przecież nie proszę cię o rękę. - Zaśmiał się, ale wiedział, że pokpił sprawę.

Kate przestała bawić się włosami. Ona też wstała. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze w przedpokoju. Poprawiła koszulę nocną. Dostrzegła zmarszczki na czole.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Bardzo przepraszam, nie to miałem na myśli. Ja stawiam. Muszę na coś wydać te wszystkie pieniądze. - Ćwiczył sobie tę rozmowę przez ostatnie dwie godziny. Każde możliwe pytanie, odpowiedź, zmiana tematu. Miało pójść gładko, ona pełna zrozumienia. Zgrana para. Jak dotąd absolutnie nic nie poszło zgodnie z planem. Postanowił uciec się do planu rezerwowego. Zaczął błagać.

- Proszę, Kate. Naprawdę chcę z tobą pogadać.

Usiadła z powrotem, podkurczyła nogi pod siebie, pomasaowała długie palce stóp. Wzięła głęboki oddech. Minione lata nie zmieniły jej tak, jak jej się wydawało. Czy to dobrze, czy źle? Teraz nie znajduje na to pytanie odpowiedzi.

- Kiedy i gdzie?

- U Mortona?

- Lunch!?

Mógł sobie wyobrazić niedowierzanie na jej twarzy na myśl o tej superdrogiej restauracji. Na myśl o tym, w jakim świecie on się teraz obraca.

- Dobra, niech będzie ten barek na starym mieście, koło Founder's Park, około drugiej, co? Nie będzie już tłoku.

- To lepiej. Ale nie obiecuję. Zadzwoń, jeśli nie dam rady.

Powoli odetchnął.

- Dzięki, Kate.

Rozłączył się i opadł na kanapę. Co on robi? Co będzie robił na tym lunchu? Co powie? Co ona powie? Nie chciał się kłócić. Nie kłamał, po prostu chciał z nią pogadać, zobaczyć ją. I tyle. Powtarzał to sobie. Poszedł do łazienki, wsadził głowę pod zimną wodę, wziął piwo i wyszedł na dach, usiadł przy basenie, w ciemności przyglądając się samolotom, jak nad Potomakiem podchodzą do lądowania na lotnisko krajowe.

Dwa bliźniacze, czerwone światła na obelisku Waszyngtona mrugały ku niemu uspokajająco. Osiem pięter niżej ulice były ciche, jeśli nie liczyć od czasu do czasu syreny radiowozu czy karetki pogotowia.

Jack popatrzył na spokojną powierzchnię basenu, włożył stopę do zimnej teraz wody i obserwował rozchodzące się fale. Wypił piwo, zszedł na dół i zasnął na fotelu w salonie, przy włączonym telewizorze. Nie usłyszał dzwonka telefonu ani wiadomości nagrywanej na sekretarkę. Prawie dwa tysiące mil stąd Luther Whitney odwiesił słuchawkę i zapalił swojego pierwszego od trzydziestu lat papierosa.

Ciężarówka Federal Express wolno sunęła pustą wiejską drogą, kierowca sprawdzał pordzewiałe i poprzekrzywiane skrzynki na listy, szukając właściwego adresu. Jeszcze nigdy tu niczego nie doręczał. Nawet zawrócić nie ma gdzie.

Skręcił w podjazd ostatniego domu i zaczął się wycofywać. Przypadkowo podniósł wzrok i zobaczył adres na małym kawałku deski koło drzwi. Pokręcił głową i uśmiechnął się. Czasami ma się to szczęście.

Dom był mały i niespecjalnie dobrze utrzymany. Sfatygowane aluminiowe żaluzje w oknach, popularne jakieś dwadzieścia lat przed urodzeniem się kierowcy, obwisły smętnie, jakby się zmęczyły i chciały odpocząć.

Starsza kobieta, która otworzyła drzwi, ubrana była w ciepłą wełnianą sukienkę, a na ramiona zarzuciła jeszcze gruby sweter. Nogi opuchnięte w kostkach i zaczerwienione zdradzały, że ma kłopoty z krążeniem, i pewnie mnóstwo innych dolegliwości. Chyba była zaskoczona przesyłką, ale podpisała gorliwie odbiór.

Kierowca zerknął na podpis w kwitariuszu: Edwina Broome. Wsiadł do szoferki i odjechał. Kobieta patrzyła za nim chwilę, po czym zamknęła drzwi.

Krótkofalówka zaskrzeczała.

Fred Barnes pracował w tym fachu od siedmiu lat. Patrolując tę zamożną okolicę, oglądał wielkie domy, wypielęgnowane ogrody, tu i ówdzie luksusowy samochód, pasażerów przypominających manekiny, wysiadających na nieskazitelny asfalt podjazdu za masywną bramą. Nigdy nie był wewnątrz takiego domu i przypuszczalnie nie będzie.

Spojrzał na piętrzący się przed nim budynek. Pewnie ze cztery albo pięć milionów dolarów. Więcej pieniędzy, niż mógłby zarobić przez całe życie, nawet gdyby żył dziesięć razy. Czasami przychodziło mu do głowy, że to niesprawiedliwe.

Zameldował się przez walkie-talkie. Rozejrzył się po posesji. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi, tyle tylko, że właściciel zadzwonił i zażądał, by wysłać patrol.

Zimne powietrze na twarzy sprawiło, że Barnes pomyślał o filiżance gorącej kawy z drożdżówką i ośmiu godzinach snu, aż do następnego nocnego wyjazdu, żeby pilnować majątków bogaczy. Zarobki nie takie złe, chociaż żadnych dodatkowych dochodów. Żona też pracuje na pełnym etacie, przy trzech

dzieciakach jakoś to wystarcza. Ale komu dziś lekko? Popatrzył na garaż na pięć samochodów, basen i korty tenisowe. No, może niektórym!

Skręcił za róg i zobaczył zwisającą linę. Myśli o kawie i drożdżówce z kremem znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ukłękł, ręką sięgnął po mikrofon. Zameldował głosem łamiącym się ze zdenerwowania. Prawdziwa policja będzie za parę minut. Może na nich poczekać albo samemu rozpoznać sytuację. Za jedyne osiem dolarów na godzinę wołał zostać na miejscu.

Najpierw przyjechał szef białym kombi ze znakami firmowymi na drzwiach. Trzydzieści sekund później pierwszy z pięciu radiowozów wtoczył się asfaltowym podjazdem, wkrótce stały jeden za drugim przed domem.

Dwóch policjantów zajęło miejsca przy oknie. Pewnie włamywaczy już dawno nie ma, ale w policyjnym fachu lepiej nie polegać na domysłach.

Czterech funkcjonariuszy podeszło od frontu, jeszcze dwóch obstawiło tyły. Dwójkami weszli do środka, stwierdzili, że drzwi frontowe były otwarte, alarm wyłączony. Rozejrzeli się po parterze i ostrożnie zaczęli posuwać się szerokimi schodami w górę, zwracając uwagę na najlżejsze poruszenie czy szmer.

Zanim znaleźli się na podeście piętra, nozdrza sierżanta dowodzącego ekipą powiedziały mu, że to nie jest zwykłe włamanie w celach rabunkowych.

Cztery minuty później stali w kółeczku przed czymś, co niedawno było młodą, piękną kobietą. Zdrowe rumieńce na twarzach mężczyzn zastąpiła zielonkawa biel.

Sierżant, pod pięćdziesiątkę, ojciec trojga dzieci, popatrzył przez otwarte okno. Dzięki Bogu, pomyślał, bo nawet mimo to trudno było wytrzymać w środku. Jeszcze raz popatrzył na ciało i szybko ruszył do okna, żeby łąpczywie wciągnąć parę haustów rześkiego powietrza.

Jego córka jest mniej więcej w tym wieku. Przez chwilę wyobraził ją sobie na tej podłodze. Pomyślał, że chciałby tylko jednego: być przy tym, gdy złapią tego, kto dokonał tej bestialskiej zbrodni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Seth Frank próbował równocześnie skończyć kawałek tosta i zawiązać swojej sześciolatniej córeczce kokardę we włosach przed wyjściem do szkoły, kiedy żona odebrała telefon. Jej wzrok powiedział mu wszystko. Ona zajęła się kokardą. Seth przytrzymał ramieniem słuchawkę, zawiązując krawat i cały czas słuchając spokojnego, beznamietnego głosu dyspozytora. Dwie minuty później siedział za kierownicą, z policyjnym kogutem przyczepionym nie wiadomo po co na dachu służbowego forda, i wkrótce błękitne światło błyskało złowieszczo, kiedy gnał pustymi teraz bocznymi podmiejskimi drogami.

Jego wysoka, grubokoścista sylwetka rozpoczęła już swoją nieuniknioną podróż ku otyłości, a kędzierzawe czarne włosy czasy świetności miały już za sobą. W wieku czterdziestu jeden lat, żonaty, ojciec trzech córek, które z każdym dniem stawały się coraz bardziej skomplikowane i trudne do zrozumienia, zdawał sobie sprawę, że w życiu niewiele rzeczy ma sens. Lecz ogólnie rzecz biorąc, był człowiekiem szczęśliwym. Życie oszczędziło mu nokautujących ciosów. Jak dotąd. Był w służbie prawa na tyle długo, żeby wiedzieć, jak nagle takie rzeczy potrafią się zmienić.

Początkowo przydzielono go do służby w nowojorskim Bronksie, więc gdy przenieśli się w wiejską okolicę Wirginii, a on dostał awans na detektywa, jego małżonka była wniebowzięta. Przynajmniej obecnie przybywał na miejsce zbrodni po tym, jak sprawcy już je opuścili. Sypiała teraz lepiej, wiedząc,

że żaden telefon już nie zniszczy jej życia. To wszystko, o czym może marzyć żona gliniarza.

Frank wrzucił do ust pasek gumy owocowej i żuł powoli, a zwarte rzędy sosen migały za oknem. Na początku marzył, że zostanie kompozytorem rockowym. Ale spóźnił się na szczyt lat sześćdziesiątych, a mdłe teksty lat siedemdziesiątych nie inspirowały jego talentu muzycznego. Kolejną jego ambicją było zostać wziętym adwokatem, ale realizację tego zamysłu uniemożliwiły idiotyczne egzaminy LSAT*, na których nie potrafił uzyskać wymaganej liczby punktów, żeby dostać się nawet na drugorzędną uczelnię. Więc został gliną, „krawężnikiem” w najgorszych dzielnicach Nowego Jorku, gdzie określenie „życie ludzkie jest cenną wartością” nie znaczyło kompletnie nic i widział dosłownie wszystkie sposoby, w jaki jedna osoba może pozbawić życia drugą. Dochrapał się wreszcie stanowiska detektywa w wydziale zabójstw i po kilku latach uznał, że lubiłby tę pracę i wyzwania, jakie ze sobą niesie, gdyby trupów było mniej niż siedem tygodniowo. Więc przeniósł się na południe, do Wirginii, gdzie był kimś na kształt grubej ryby w małym i spokojnym stawie, gdzie mógł oddawać się życiu rodzinnemu, zamiast gonić za marzeniami, i gdzie szansa złapania zabójcy była większa.

* Law School Admission Test, państwowy egzamin wstępny na studia prawnicze.

Był starszym detektywem wydziału zabójstw hrabstwa Middleton, co brzmiało dumnie, choć nieco na wyrost, jako że hrabstwo Middleton zatrudniało tylko jednego detektywa od zabójstw. Bo i te wiejskie kresy Wirginii nie stawiały przed wydziałem zabójstw specjalnych wyzwań. Poziom dochodów na głowę mieszkańca tych okolic należał do najwyższych w kraju. Owszem morderstwa się zdarzały, ale poza historiami typu pani zabija pana lub vice versa, albo też dzieci strzelają do rodziców, żeby odziedziczyć spadek, nie działo się tu nic ciekawego. Winnych łatwo ustalić, więcej biegania niż główkowania. Telefon dyspozytora zapowiadał, że to wszystko się zmienia.

Droga, wijąc się, opuściła tereny zalesione i przecinała pogrodzone łąki, gdzie szczupłonie araby w zadumie obserwowały budzący się ranek. Za imponującymi bramami i długimi, krętymi podjazdami znajdowały się rezydencje tych nielicznych wybrańców losu, którzy w Middleton nie byli wcale tacy nieliczni. Frank nie łudził się, że w tej sprawie otrzyma wielką pomoc ze strony sąsiadów. Tutejsi mieszkańcy, kiedy już zamykali się w swoich fortecach, nie widzieli ani nie słyszeli niczego, co się działo na zewnątrz. Niewątpliwie to właśnie im odpowiadało i za ten przywilej płacili niemałe pieniądze.

Zbliżając się do majątku Sullivanów, Frank poprawił krawat, przeglądając się w lusterku wstecznym, i przyglądał parę niesfornych kosmyków. Nie przepadał za tymi bogaczami, ale i nie żywił do nich szczególnej niechęci. Stanowili fragmenty układanki. Zagadki dalekiej od zabawy, której rozwiązanie jest najbardziej satysfakcjonującą częścią jego roboty. Bo wśród tych wszystkich kombinacji, prowokacji, fałszywych tropów i zwyczajnych błędów kryje się najbanalniejsza z prawd: jeśli zabiłeś, prędzej czy później cię znajdę i zostaniesz ukarany. Jaka to będzie kara, Frank nie dbał. Dbał jedynie o to, żeby ten ktoś stanął przed sądem, został skazany i odbył karę. Bogacz, biedak czy taki pośrodku. Może i jego umiejętności stępiły się nieco, ale instynkt nadal go nie zawodził. I na dłuższą metę to właśnie instynkt doprowadzał go do końca.

Skręcając w podjazd pod dom, zauważył kombajn wgrzający się w przyległy łąn. Operator maszyny z zainteresowaniem przyglądał się krzątaniu policji. Wieści wkrótce rozejdą się wśród miejscowej klasy robotniczej. Ten człowiek nie mógł wiedzieć, że właśnie niszczy ślady, ślady ucieczki z miejsca zbrodni. Nie wiedział tego i Seth Frank, gdy wysiadał z samochodu, narzucał marynarkę i spieszenie podążał ku drzwiom frontowym.

Z rękami głęboko w kieszeniach omiatał powoli wzrokiem pokój, rejestrując każdy szczegół na podłodze, ścianach, suficie, potem wrócił ku lustrzanym drzwiom i wreszcie do zwłok, które leżały tu od

kilku dni.

- Rób dużo zdjęć, Stu, zdaje się, że będą nam potrzebne - powiedział Seth Frank. Fotograf wydziału kryminalistyki poruszał się po pokoju metodycznie wokół ciała, starając się oddać na kliszy każdy aspekt tego pokoju i jego jedynej rezydentki. Następnie miejsce zbrodni zostanie dokładnie zarejestrowane na kasecie wideo, wraz z komentarzem.

Taśma nie musi się znaleźć w sądzie, ale jest bezcennym materiałem w śledztwie. Jak futboliści i trenerzy oglądają filmy z meczów, tak detektywi coraz częściej analizują nagrania wideo, by znajdować dodatkowe wskazówki, które można dostrzec dopiero przy ósmym, dziesiątym czy setnym oglądaniu.

Lina nadal przywiązana do komody znikiała za oknem. Ale teraz pokrywał ją czarny proszek daktyloskopijny. Niewiele ujawni. Nikt nie spuszcza się po linie bez rękawiczek.

Sam Magruder, funkcjonariusz dyżurny, odszedł od okna, przez które się wychylał, łapczywie wciągając powietrze. Rudowłosy, blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, o pulchnej, gładko wygolonej twarzy, miał poważne trudności z utrzymaniem dzisiejszego śniadania na miejscu. Przyniesiono duży wentylator i otwarto na oścież wszystkie okna. Cały personel ekipy kryminalistycznej miał na twarzach lekkie maski, ale smród był i tak trudny do wytrzymania. Memento dla żyjących. Dziś piękno i życie, jutro proch.

Frank sprawdził notatki Magrudera, zauważył zielonkawy odcień na jego twarzy.

- Sam, jeśli nie będziesz wciąż się wychylał przez okno, zmysł węchu przyzwyczai się w ciągu czterech minut. Pogarszasz tylko sprawę.

- Wiem o tym, Seth. Mózg mi to mówi, ale mój nos nie chce słuchać.

- Kiedy zadzwonił mąż?

- Dziś rano, o siódmej czterdzieści pięć czasu miejscowego.

Frank próbował rozszyfrować bazgraninę policjanta.

- I gdzie on jest?

- Na Barbadosie.

Frank przechylił głowę.

- Od dawna?

- Sprawdzamy.

- Koniecznie.

- Ile wizytówek zostawili, Laurie? - Frank obejrzał się na swojego technika, Laurie Simons.

Podniosła wzrok, ale uciekła przed jego spojrzeniem.

- Nic nie mogę znaleźć, Seth.

Frank podszedł do niej.

- Nie wygłupiaj się, Laurie, jej odciski muszą być wszędzie. A mąż? Pokojówka? Musi tu być pełno.

- Nic nie widzę.

- Chrzanisz.

Simons, która traktowała swoją pracę bardzo serio i była najlepszym specjalistą od daktyloskopii, z jakim Frank kiedykolwiek pracował, nawet w Nowym Jorku, zrobiła przeproszącą minę. Proszek węglowy wszędzie i nic? Wbrew utartej opinii mnóstwo przestępców zostawia swoje odciski na miejscu zbrodni. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Laurie Simons wiedziała. Niestety tu nic nie znajdowała. Miejmy nadzieję, że odkryją coś podczas analiz laboratoryjnych. Są odciski utajone, których nie można zobaczyć, choćby nie wiadomo jak je oświetlać. Dlatego nazywa się je utajonymi. Posypuje się proszkiem i nagrywa na taśmę wszystko, czego przestępcy mogli dotknąć. I liczy się na szczęście.

- Zapakowałam parę rzeczy, żeby zabrać do laboratorium. Zastosuję ninhydrynę, a resztę potraktuję cyjanopaniem. Może coś dla ciebie będę miała. - Simons wróciła do roboty ze zwykłą sobie pilnością.

Frank pokręcił głową. Cyjanopan, czyli klej cyjanoakrylowy, to środek pozwalający zdjąć odciski z takich rzeczy, że nie chce się wierzyć. Problem polega na tym, że na te magiczne rezultaty trzeba długo czekać, proces trwa cholernie długo. A czasu nie ma.

- Laurie, musimy się spieszyć, ptaszki i tak nas nieźle wyprzedzają.

Popatrzyła na niego.

- Mam jeszcze inny ester cyjanoakrylowy, który chciałabym wypróbować. Działa szybciej. Albo mogę przyspieszyć spalanie cyjanopanu. - Uśmiechnęła się.

- Pewnie. Ostatnim razem, jak spróbowałam, musieliśmy ewakuować cały cholerny budynek.

- Nie twierdę, że życie jest lekkie, Seth.

Magruder odchrząknął.

- Wygląda na to, że mamy do czynienia z jakimiś profesjonalistami.

Seth popatrzył na policjanta surowo.

- To nie profesjonalisci, Sam, to przestępcy, mordercy. Nie chodzili do jakiegoś cholernego college'u, żeby się uczyć, jak to robić.

- Tak jest, sir.

- To na pewno właścicielka tego domu?

Magruder wskazał palcem fotografię na nocnym stoliku.

- Christine Sullivan. Oczywiście identyfikacja będzie konieczna.

- Są świadkowie?

- Na razie żadnych. Jeszcze nie przesłuchaliśmy sąsiadów. Zrobimy to do południa.

Frank skrupulatnie notował, następnie sporządził szkic pokoju i jego zawartości. Dobry adwokat potrafi z każdego nieprzygotowanego świadka oskarżenia zrobić idiotę. Brak przygotowania znaczy, że winny pozostanie na wolności.

Frank dostał swoją pierwszą i jedyną lekcję na temat przygotowania do zeznań, kiedy był jeszcze żółtodziobem w policji. Był wtedy pierwszy na miejscu zbrodni. Nigdy w życiu nie był bardziej zakłopotany i przygnębiony niż wtedy, gdy opuścił miejsce dla świadków, a jego zeznanie zostało rozniesione na strzepy i właściwie stało się podstawą uniewinnienia sprawcy. Gdyby w sądzie mógł mieć swoją trzydziestkęsemkę, byłoby jednego adwokata mniej na świecie.

Frank podszedł do zastępcy lekarza sądowego, muskularnego mężczyzny, który pocąc się obficie mimo porannego chłodu, zdejmował spódnicę z ciała. Frank ukląkł przy nim i przyjrzał się małej dłoni zapakowanej w torebkę foliową, potem spojrział na twarz. Wyglądała na posiniaczoną. Odzież przesiąknięta była płynem. Po śmierci natychmiast puszczają zwieracze. Kombinacja odorów nie była przyjemna. Na szczęście nie było much, mimo otwartego okna.

- Jakież przybliżone dane?

- Mój termometr na wiele się nie przyda, sam rozumiesz. Siedemdziesiąt dwie do osiemdziesięciu czterech godzin. Będę wiedział coś bliżej, jak ją pokroję. - Wyprostował się. - Rany postrzałowe głowy - dodał, chociaż przyczyna śmierci nie budziła niczyjej wątpliwości.

- Zauważyłem ślady na szyi.

Lekarz przez chwilę popatrzył na Franka uważnie i wzruszył ramionami.

- Są, rzeczywiście. Nie wiem jeszcze, co to może być.

- Byłbym wdzięczny za szybkie informacje.

- Jasne. Niewiele mamy takich morderstw. Dostanie pierwszeństwo. - Lekarz jeszcze raz spojrzął na Franka. - Mam nadzieję, że lubisz mieć do czynienia z prasą. Zlecają się tu jak pszczoły do miodu.

- Raczej jak hieny.

- Nie lubię tego gówna, jestem za stary. Można ją zabrać.

Lekarz sądowy spakował się i wyszedł.

Frank podniósł drobną rękę w torebce do oczu, popatrzył na profesjonalnie wymanikiowane paznokcie. Zauważył, że dwa z nich są złamane, a skórki ponadrywane, co wskazywałoby na walkę przed śmiercią. Ciało było silnie wzdęte, bakterie robiły swoje, proces gnilny postępował szybko. Stężenie pośmiertne minęło, co oznaczało, że nie żyje od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Kończyny zginały się łatwo, tkanki miękkie ciała już się rozpuszczały. Frank westchnął. Ona naprawdę leży tu już od jakiegoś czasu. To dobrze dla sprawców, źle dla stróżów prawa.

Nadal zdumiewało go, jak śmierć zmienia wygląd człowieka. Opuchnięte szczątki, ledwie można rozpoznać, że to człowiek, a parę dni temu... Gdyby jego zmysł węchu nie przestał reagować, nie mógłby robić tego, co robił. I tak zbierało mu się na mdłości. Ale tak to bywa, gdy jesteś detektywem w wydziale zabójstw. Wszyscy twoi klienci nie żyją.

Delikatnie podniósł jej głowę, odwracając w różne strony do światła. Dwie rany wlotowe po prawej stronie, jedna wylotowa, wielka, o poszarpanych brzegach, po lewej. Wygląda na duży kaliber. Stu już obfotografował rany pod różnymi kątami, w tym także dokładnie z góry. Na podstawie kolistych otarć wokół ran i braku oparzeń lub tatuażu z materiału miotającego na skórze Frank wywnioskował, że strzały oddano z odległości ponad dwóch stóp. Przy strzałach z lufą przytkniętą do skóry albo z odległości mniejszej niż dwa cale rany wlotowe są mniejsze i w tkankach, wzdłuż toru pocisku, znaleźć można pozostałości prochu. Sekcja ostatecznie to potwierdzi. Następnie obejrzał kontuzję prawej strony szczęki. Była częściowo zamaskowana przez naturalny proces rozkładu ciała, ale Frank widział dość trupów, żeby zauważyć, co trzeba. Powierzchnia skóry w tym miejscu stanowiła dziwną kombinację zieleni, brązu i czerni. To musiał być potężny cios. Mężczyzna. To dziwne. Zawołał Stu i kazał mu zrobić zdjęcia tego miejsca wraz ze skalą kolorów. Następnie odłożył głowę z szacunkiem należnym zmarłej osobie, nawet w takich warunkach.

Podczas sekcji, która nastąpi potem, nie będzie już takich względów.

Powoli uniół spódnicę. Bielizna nietknięta. Protokół z sekcji odpowie na oczywiste pytanie.

Frank kręcił się po pokoju, podczas gdy ekipa kryminalistyczna kontynuowała robotę. Mieszkanie w takiej zamożnej, choć wiejskiej okolicy ma jeszcze jeden plus. Dochody z podatków są więcej niż wystarczające, żeby utrzymać niewielki, ale pierwszorzędny wydział kryminalistyki, wyposażony w najnowsze osiągnięcia techniki, które, przynajmniej teoretycznie, mają ułatwiać chwytanie będących na bakier z prawem

Ofiara upadła na swój lewy bok, w stronę przeciwną niż drzwi. Kolana podkurczone, lewa ręka wyprostowana, druga na prawym biodrze. Twarz skierowana na wschód, prostopadle do prawego boku łóżka. Ułożona prawie w pozycji embrionalnej. Od początku do końca, z powrotem do początków. Nikt nie wie, w jaki sposób w końcu opuści ten świat, prawda?

Z pomocą Simons zrobił pomiary lokalizacji ciała, miarka skrzypiała przy rozwijaniu. Brzmiało to jakoś świętokradczo w tej komnacie śmierci. Popatrzył na drzwi i na pozycję zwłok. Zrobili z Simons wstępne pomiary trajektorii pocisków. Strzały najprawdopodobniej padły od drzwi, choć w domniemanej sytuacji zaskoczenia włamywaczy na gorącym uczynku wydawałoby się, że powinno być odwrotnie. Jednakże był jeszcze jeden dowód, który potwierdzi, jak biegł tor pocisków.

Frank znów ukląkł koło zwłok. Na dywanie nie było znać śladów przeciągania ciała, a plamy krwi i rozpryski wskazywały na to, że denatka upadła w tym miejscu, w którym zginęła. Frank ostrożnie przewrócił ciało, znów uniósł sukienkę. Po śmierci krew gromadzi się w najniższych partiach ciała, tworząc plamy opadowe. Po czterech - sześciu godzinach plamy opadowe utrwalają swoje położenie. W rezultacie późniejsze zmiany pozycji ciała nie powodują ich przesunięcia. Frank ułożył ciało z powrotem. Wszystko wskazuje na to, że Christine Sullivan umarła w tym miejscu. Także rozpryski potwierdzały wniosek, że zmarła prawdopodobnie była zwrócona do łóżka, gdy spotkała ją śmierć. Jeśli tak, to na co, do diabła, patrzyła? Zazwyczaj osoba, która ma zostać zastrzelona, patrzy na swojego zabójcę, błaga o darowanie życia. Christine Sullivan z pewnością by błagała, Frank nie miał żadnych wątpliwości. Detektyw popatrzył na luksusowe otoczenie. Miała po co żyć.

Frank uważnie przyglądał się wykładzinie dywanowej, z twarzą pochyloną tuż nad jej powierzchnią. Rozpryski rozkładały się nierówno, tak jakby coś leżało przed zmarłą albo trochę z boku od niej. To może się później okazać ważne. Wiele pisano w fachowych publikacjach o układzie rozprysków. Frank doceniał użyteczność tych publikacji, ale starał się nie wczytywać w nie za bardzo. Ale jeśli coś częściowo osłoniło dywan przed rozpryskami krwi, to chciałby wiedzieć co. Zdziwił go także brak plam na sukience. To też może się okazać ważne.

Simons rozpakowała zestaw używany przy zgwałceniach i z pomocą Franka pobrała próbki z pochwy ofiary. Następnie wyczesali starannie włosy, zarówno te na głowie, jak i łonowe, w poszukiwaniu obcych substancji. Zapakowali do toreb odzież zmarłej.

Frank drobiazgowo oglądał ciało. Rzucił okiem na Simons. Czytała w jego myślach.

- Nic tu nie będzie, Seth.

- Pokaż mi, Laurie.

Simons potulnie rozpakowała zestaw do zdejmowania odcisków i posypała proszkiem nadgarstki ofiary, piersi i wewnętrzne strony ramion. Po chwili popatrzyła na Franka i powoli pokręciła głową. Spakowała wszystko.

Patrzył, jak ciało owijają białą płachtą, wkładają do zapinanej na suwak torby foliowej i wynoszą do karetki, która cicho odtransportuje Christine Sullivan tam, gdzie nikt nie chciałby się znaleźć.

Następnie zbadał wnętrze sejfów. Zauważył fotel i pilota. Kurz na podłodze został poruszony. Simons już zbadala ten teren. Na siedzeniu fotela była smuga kurzu. Do skarbca włamano się siłą, na drzwiach i ścianie widniały ślady narzędzia. Wytną fragmenty, jako dowód, na wypadek gdyby znaleziono narzędzie. Frank popatrzył przez drzwi i pokręcił głową. Lustro weneckie. Coś podobnego. I to w sypialni. Nie może się doczekać, żeby poznać pana domu.

Wrócił do pokoju, spojrział na zdjęcie na nocnej szafce. Popatrzył na Simons.

- To już zrobione, Seth. - Skinął głową i wziął fotografię do ręki. Ładna kobietka, pomyślał do siebie, naprawdę ładna, w tym stylu masz-mnie-bierz-mnie. Zdjęcie było zrobione w tej sypialni, zmarła siedziała w fotelu koło łóżka. Wtem zauważył ślad na ścianie. Ściany były murowane, z prawdziwym tynkiem, nie płyty gipsowe jak zazwyczaj, ale ślad był głęboki. Frank zauważył, że szafka nocna była przesunięta, na grubej wykładzinie widać było ślad, gdzie przedtem stała.

- Tak jakby ktoś to potrącił - zwrócił się do Magruder.

- Może w czasie walki.

- Pewnie tak.

- Znaleźliście kulę?

- Jedna jest w niej, Seth.

- Chodzi mi o tę drugą, Sam. - Frank potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. Magruder pokazał na ścianę za łóżkiem, gdzie ledwie było widać mały otwór.

Frank skinął głową.

- Wytnijcie ten fragment i niech chłopcy z laboratorium go wyciągną. Nie róbcie tego sami, bo wszystko popsujecie. - Dwukrotnie w zeszłym roku ekspertyza balistyczna okazała się bezwartościowa, bo nadgorliwi mundurowi wyskrobali kule ze ściany, rujnując ślady toru pocisku.

- Łuski?

Magruder pokręcił głową.

- Jeśli nawet broń mordercy wyrzucała łuski, to podniósł je i zabrał.

Zwrócił się do Simon.

- Są jakieś skarby z odkurzacza? - Odkurzacz ekipy kryminalistycznej był potężną maszyną, wyposażoną w zestaw filtrów. Przeczesano nim wykładzinę i inne miejsca w pokoju w poszukiwaniu włókien, włosów i innych drobnych przedmiotów, które mogą oddać wielkie usługi, bo sprawcy, nie widząc ich, nie mogli ich usunąć.

Magruder spróbował zażartować.

- Mój dywan powinien być tak czysty.

Frank spojrzał na ekipę.

- Ludzie, więc nie znaleźliśmy ani śladu, tak?

Popatrzyli po sobie, nie wiedząc, czy Frank żartuje. Nadal się zastanawiali, gdy wyszedł z pokoju i zszedł na dół.

Przedstawiciel firmy instalującej urządzenia alarmowe rozmawiał z policjantem przy drzwiach frontowych. Członek ekipy kryminalistycznej pakował metalową płytkę i przewody do plastikowych torebek na dowody rzeczowe. Pokazali Frankowi niewielkie odpryski farby i mikroskopijny opilek metalu, które wskazywały, że płytka przykrywająca centralkę była odkręcana. Facet od alarmów z podziwem wyrażał się o zręczności włamywacza. Dołączył do nich Magruder, któremu na policzki powoli wracała naturalna barwa.

- Prawdopodobnie używali licznika. Na to przynajmniej wygląda.

- Co to takiego?

- Komputerowa metoda ładowania ogromnej liczby kombinacji cyfrowych do układu rozpoznawczego systemu alarmowego, dopóki nie znajdą właściwej kombinacji. Wie pan, w ten sam sposób obrabiają bankomaty.

Frank popatrzył na rozbebeszony panel sterowania i z powrotem na faceta.

- Zaskoczony jestem, że do ochrony takiego obiektu nie zastosowano bardziej wyszukanej instalacji.

- To jest wyszukana instalacja. - Facet przybrał obronny ton.

- Co drugi bandzior ma teraz komputer.

- Taak. Ale ten system ma piętnastocyfrową podstawę, nie dziesięciu, i tylko czterdzieści trzy sekundy opóźnienia. Jak nie trafi, alarm odpala.

Frank potarł się po nosie. Najchętniej wróciłby do domu i wziął prysznic. Odór śmierci podgrzewanej przez kilka dni w ciepłym pokoju pozostawia nieusuwalne piętno na ubraniu, włosach i skórze. I w nozdrzach.

- No i?

- No i taki przenośny model, który można ze sobą wziąć na skok, nie da rady załadować tylu kombinacji w ciągu trzydziestu sekund, jeśli podstawa jest piętnastocyfrowa. Jest zbyt wiele możliwości.

Nikt nie targa ze sobą na skok peceta.

Włączył się funkcjonariusz dyżurny.

- Dlaczego trzydzieści sekund?

Odpowiedział Frank.

- Potrzeba trochę czasu na odkręcenie płytki, Sam. - Ponownie zwrócił się do faceta od alarmów. -

Więc co pan myśli?

- Myślę, że jeśli rozbroił system takim licznikiem, to musiał mieć już jakieś informacje i wyeliminować część kombinacji. Może połowę, może więcej. Chodzi o to, że albo mieli supersprzęt, albo coś wykombinowali, co pozwoliło im to zrobić szybciej, w każdym razie tu nie ma mowy o tanim sprzęcie i o jakimś pajacu z ulicy, który zwędził w sklepie kalkulator i tu przyszedł. Komputery produkują dziś coraz mniejsze i coraz szybsze, ale gdybym ja był na miejscu tych koleśków, to wolałbym mieć większy margines bezpieczeństwa, rozumie pan? W tej ich robocie nie ma szans na powtórkę.

Frank popatrzył na firmowy garnitur faceta i z powrotem na centralkę. Facet na pewno wie, o czym mówi. On sam podejrzewał coś takiego, kiedy zobaczył, że drzwi nie były sforsowane siłą.

- Chodzi o to, że technicznie możemy wyeliminować ten cały problem. Mamy systemy, które nie reagują na wpychanie im wielkiej liczby kombinacji. Komputer wtedy zdaje się psu na budę. Problem polega na tym, że te systemy są tak czułe, że uruchamiają się, kiedy właściciel się pomyli i nie poda właściwej kombinacji za pierwszym czy drugim razem. Jest tyle fałszywych alarmów, że posterunki policji zaczęły nas obciążać kosztami wyjazdów do nich. Błędne koło.

Frank mu podziękował i rozejrzał się po pomieszczeniach na dole. Ci sprawcy najwidoczniej wiedzieli, co robią. To nie będzie szybkie śledztwo. Dobrze zaplanowana robota. Ale najpewniej nie brali pod uwagę zastrzelenia pani domu.

Frank nagle oparł się o futrynę i zamyślił się nad słowem użytym przez jego przyjaciela, lekarza sądowego: RANY.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był za wcześnie. Jego zegarek wskazywał pierwszą trzydzieści pięć. Zszedł nad basen przystani i obserwował robotników czyszczących Kwitnącą Wiśnię, statek wycieczkowy zbudowany na wzór starych parowców z Missisipi. On i Kate wybrali się nim na wycieczkę pewnego popołudnia, kiedy wyjątkowo nie mieli pracy. W tym pierwszym roku mieszkania razem starali się zaliczyć wszystkie atrakcje turystyczne. To był równie ciepły dzień jak dzisiejszy, ale bardziej słoneczny. Dziś szare chmury toczyły się z zachodu, o tej porze roku wkrótce rozpełta się popołudniowa burza.

Usiadł na zszarzałej od słońca, wiatru i deszczu ławeczce obok budki komendanta portu i przyglądał się mewom leniwie kołyszącym się na pomarszczonej wodzie. Ze swojego punktu obserwacyjnego mógł widzieć Kapitol. Posąg Wolności, pozbawiony stutrzydziestoletniej powłoki brudu wskutek przeprowadzonych ostatnio zabiegów renowacyjnych, wznosił się majestatycznie na szczycie słynnej kopuły. Ludzie w tym mieście też pokrywają się patyną, pomyślał Jack, takie to już miejsce.

W myślach pojawił się Jackowi Sandy Lord, wspólnik przysparzający firmie najwięcej dochodów, rozpierany przez ambicję i własne ego. Sandy to prawie instytucja w politycznych i prawnych kręgach Waszyngtonu. Jego imię wypowiadano z taką czcią, jakby właśnie przed chwilą zstąpił z góry Syjon z własną wersją Dziesięciorga Przykazań, z których pierwsze brzmiałoby najpewniej „Będziesz przysparzał

firmie Patton, Shaw & LORD pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy”.

Właśnie nazwisko Sandy'ego Lorda przyciągnęło Ransoma Baldwina do tej firmy. Lord był jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym przykładem potęgi, jaką może osiągnąć prawnik w stolicy. Teraz ma swój czas, swój „show”; jego możliwości zdają się nieograniczone.

Jack wiedział, że praktycznie każdy rozwój wypadków jest dla Lorda korzystny, przynajmniej jeśli brać pod uwagę tradycyjne standardy. To, czy obejmują one także jego osobiste szczęście, nie było już takie pewne. Jack nie był też pewien, czego spodziewać się po dzisiejszym lunchu. Pewien był tylko tego, że chce się zobaczyć z Kate Whitney. I to bardzo.

Coś spowodowało, że się odwrócił, nie bardzo wiedział co. Ale ona stała tam, przy wejściu na pomost i przyglądała mu się, jak patrzy w dal. Długa spódnica powiewała na wietrze wokół jej nóg, słońcu udało się przedrzeć przez ciemniejące chmury i rzucić plamę światła na jej twarz, na drugie pasma kasztanowatych włosów, które odgarniała z oczu. Na łydkach lśniła jeszcze letnia opalenizna, luźna bluzka okrywała piegowate ramiona. Zobaczył półksiężycowate znamię, które tak lubił gładzić, kiedy spała po akcie miłosnym, a on się jej przyglądał.

Uśmiechnęła się i podeszła. Musiała pójść do domu i przebrać się. Nie był to z pewnością jej strój z sali rozpraw, podkreślał kobiecość Kate Whitney znacznie bardziej, niż byłoby to do przyjęcia przed majestatem sądu.

Usiedli, zamówili posiłek i spędzili kilka minut, to wyglądając na zmianę przez okno i obserwując, jak wiatr chłosta drzewa dookoła i grozi deszczem, to znów rzucając sobie zakłopotane spojrzenia, jakby byli na pierwszej randce i nie mieli śmiałości popatrzeć sobie w oczy.

- Cieszę się, że wygoszparowałaś trochę czasu, Kate.

Obruszyła się.

- Lubię to miejsce. Nie byłam tu już dawno. Miło jest czasem się wyrwać. Zwykle jem w biurze.

- Krakersy z kawą? - Uśmiechnął się i popatrzył na jej zęby. Ten jeden zabawny, trochę krzywy, jakby dawał kukuśniaka sąsiadowi. To jego ulubiony ząb. Chyba jedyna usterka, jaką u niej zauważył.

- Krakersy z kawą. - Oddała uśmiech. - Ale ograniczam palenie. Maks dwa dziennie.

- Gratuluję. - Zaczęło padać, a w miarę trwania posiłku ich rozmowa weszła na znajome tory. Czas minął szybko. Po drodze do samochodów trzymał jej nad głową marynarkę, ale deszcz wzmógł się i wkrótce ociekali wodą. Otworzył jej drzwi, po czym obiegł auto i wskoczył na miejsce obok kierowcy.

- Muszę wracać.

- Oj, daj spokój, przemokliśmy do suchej nitki, jest po trzeciej i jest piątek. Oporządkujmy się i chodźmy do kina. Albo nie, jedźmy za miasto. Pamiętasz „Gospodę windsorską”?

Popatrzyła na niego.

- Jack, tak dla porządku, czy omówiłeś tę sprawę ze swoją narzeczoną?

Spuścił wzrok. Co ma powiedzieć? Że nie kocha Jennifer Baldwin, mimo że się jej oświadczył? W tej chwili właściwie nie mógł sobie przypomnieć, żeby się kiedykolwiek jej oświadczał. Że kocha tę kobietę, która siedzi obok niego? Z tymi mokrymi włosami zwisającymi na twarz i patrzącą na niego, jakby był niespełna rozumu? Bo i jest niespełna rozumu. Ale ponieważ powoływanie się na niepoczytalność nie wydawało mu się w tej chwili najlepszym wyjściem z sytuacji, wybrał inne, prawdę, albo wyjaśnienie najbliższe prawdy na tę chwilę.

- Po prostu chciałbym spędzić z tobą trochę czasu, Kate. To wszystko. Nie ma w tym nic złego.

- Jest, Jack. Wszystko. - Włożyła klucz do stacyjki, ale powstrzymał jej rękę.

- Nie chcę się kłócić.

- Jack, podjąłeś decyzję. Teraz jest trochę za późno.

Aż się skrzywił z niedowierzania.

- Że co? Ja podjąłem? Ja ponad cztery lata temu postanowiłem się z tobą ożenić. Taką podjąłem decyzję. To ty podjęłaś decyzję o zerwaniu.

Odsunęła z oczu mokre włosy.

- W porządku, to ja podjęłam decyzję. No i co z tego?

Ściągnął z szyi przemoczony krawat i wsadził go do kieszeni, popatrzył na tablicę rozdzielczą. Ona rzuciła okiem na nieruchomy szybkościomierz, potem na niego.

- Jack, lunch był bardzo przyjemny. Miło było się z tobą zobaczyć. Ale to wszystko, na co możemy sobie pozwolić. Przykro mi. - Zagryzła wargę, nie zobaczył tego, bo właśnie wysiadał z samochodu. Wetknął jeszcze głowę z powrotem do środka.

- Niech ci się dobrze żyje, Kate. Gdyby ci kiedykolwiek było czegoś potrzebna, zadzwoń.

Patrzyła na jego szerokie ramiona, jak szedł w strugach deszczu, wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Siedziała dłuższą chwilę i czuła, jak łza spływa jej powoli po policzku. Ze złością otarła ją, wrzuciła bieg i odjechała w przeciwnym kierunku.

Jack podniósł słuchawkę, a potem powoli odłożył ją na widełki. O co mu właściwie chodzi? Przyszedł do biura o szóstej rano, przewalił całą pilną robotę i zabrał się do różnych drugorzędnych spraw, które czekały już od tygodni. Wyjrzał przez okno. Promienie słoneczne odbijały się od betonowych i ceglanych ścian. Przetarł oczy i opuścił rolety.

Kate nie wskoczy nagle znów w jego życie. W ogóle nie miała takiego zamiaru, musi się z tym faktem pogodzić. Noc spędził na wałkowaniu w głowie wszystkich możliwych scenariuszy rozwoju wypadków, nie pomijając najbardziej nieprawdopodobnych. Wzruszył ramionami. Zdarza się. Czasami po prostu nie wychodzi. Nawet jeśli pragnie się z całych sił. Nikogo, kto przestał kochać, nie da się zmusić, żeby kochał nadal. Trzeba dalej pchać swój wózek. Ma po co żyć. Musi się cieszyć tym, co ma. Tym, co będzie miał. Wszyscy mu mówią, jakie wspaniałości go czekają, może trzeba się nimi zacząć cieszyć.

Załatwił jeszcze dwie sprawy, jedną dotyczącą jakiegoś przedsięwzięcia joint-venture, niewymagającą żadnego wysiłku umysłowego, i drugą, zleconą przez jedyne go klienta, jakiego miał poza Baldwinem, Tarra Crimsona.

Crimson, właściciel małej firmy audio-wizualnej, był geniuszem grafiki komputerowej i wideo i zarabiał niezły szmal, instalując w firmach i hotelach urządzenia do prowadzenia telewideo konferencji. Ponadto jeździł na motocyklu, ubierał się w dzinsy z obciętymi nogawkami, palił wszystko, co mu wpadło w rękę, nawet od czasu do czasu papierosa, i wyglądał jak narkoman w ostatnim stadium choroby.

Poznali się, kiedy Jack po raz pierwszy występował w roli oskarżyciela i skarżył Tarra o chuligańską rozróbę po pijanemu. Sprawę przegrał. Tarr pojawił się w sądzie ubrany w trzyczęściowy garnitur, z neseserkiem, ze starannie przystrzyżonymi włosami i brodą i przekonująco argumentował, że funkcjonariusz, który zeznawał jako świadek oskarżenia, był uprzedzony, ponieważ do zajścia doszło przed halą, gdzie odbywał się koncert zespołu Grateful Dead, że wynik badania alkomatem nie może służyć za dowód w sądzie, ponieważ funkcjonariusz nie udzielił wymaganego ustnego ostrzeżenia, i wreszcie, że urządzenie było niesprawne. Sędzia, przywalony ponad setką spraw o chuligaństwo podczas tego koncertu, umorzył sprawę i pouczył funkcjonariusza, aby w przyszłości ściśle przestrzegał regulaminu. Jack patrzył na to wszystko w oszołomieniu, wykrztusił parę słów, potknął się, wracając na miejsce, a potem poszli z Tarrem na piwo i szybko zostali przyjaciółmi. Pomijając nieczęste i błahe

potyczki z prawem, Crimson był dobrym, choć niezbyt mile widzianym klientem Pattona, Shawa & Lorda. Gdyby Jack miał tu cokolwiek do powiedzenia, takich Tarrów Crimsonów pokazałoby się tu więcej. Ożywiłoby to trochę atmosferę.

Godzinę później odezwał się brzęczyk komputerowego terminarza, Jack sprawdził czas i narzucił marynarkę.

Ruszył szybko korytarzem. Lunch z Sandym Lordem za dwadzieścia minut. Jackowi nie bardzo odpowiadało, że będzie z tym facetem sam. O Sandym Lordzie mówiło się niejedno, a Jack podejrzewał, że tkwi w tym ziarno prawdy. Zażył sobie zjeść lunch z Jackiem Grahamem, tak przekazała dziś Jackowi sekretarka. A życzenie Sandy'ego Lorda jest rozkazem. Sekretarka przypomniała mu o tym na ucho, co trochę Jacka zniechęciło.

Za dwadzieścia minut, ale najpierw Jack musiał sprawdzić u Alvisa, co ze sprawą Bishopa. Uśmiechnął się, jak przypomniał sobie minę Barry'ego, kiedy położył mu na biurku gotowe brudnopisy dokumentów pół godziny przed wyznaczonym terminem.

- No, wygląda to nieźle. Zdaje się, że dałem ci naprawdę mało czasu. Na ogół tego nie robię. - Odwrócił wzrok. - Doceniam twoje tempo pracy. Przepraszam, jeśli ci popsulem jakieś plany.

- Nie przejmuj się Barry, za to mi tu płacą. - Jack odwrócił się do wyjścia.

Barry wstał zza biurka.

- Jack, hm, nie mieliśmy jeszcze okazji pogadać, odkąd tu przyszedłeś. Takie cholerne tempo. Zjedźmy razem lunch któregoś dnia. Niedługo.

- Świetnie, Barry, niech nasze sekretarki ustalą jakiś termin.

Jack uświadomił sobie, że z Barry'ego Alvisa wcale nie taki zły gość. Oczywiście wykorzystał go, ale co z tego? W porównaniu z tym, co wyprawiają starsi współpracownicy ze swoimi podwładnymi, to i tak nie było wiele. Poza tym Barry jest świetnym fachowcem od prawa handlowego i Jack może się od niego wiele nauczyć.

Jack minął sekretariat Barry'ego. Sheili nie było. Ona i Barry pracowali razem od samego początku jego kariery w firmie. Była wierna i oddana Barry'emu, co dziś rzadko się spotyka.

Nagle Jack zauważył stos pudeł pod ścianą. Zapukał do drzwi Barry'ego, nikt nie odpowiedział. Rozejrzał się dookoła i otworzył drzwi. Zamknął oczy i jeszcze raz je otworzył. Regały puste, na tapecie jaśniejsze prostokąty po dyplomach i certyfikatach.

Co jest grane, do jasnej cholery? Zamknął drzwi, odwrócił się i wpadł na Sheilę.

Zazwyczaj służbista i opanowana w obejściu, każdy kosmyk włosów na swoim miejscu, okulary równo na nosie, dziś Sheila wyglądała na ofiarę katastrofy. Popatrzyła na Jacka, ogień pojawił się w jej jasnych, zielonych oczach, i zagaśł. Odwróciła się do niego plecami, pomaszerowała do swojej klitki i zaczęła pakować pudła. Jack patrzył na nią w osłupieniu.

- Sheila, co tu się dzieje? Gdzie Barry? - Nie zareagowała. Jej ręce pracowały coraz szybciej i wreszcie dosłownie wrzucały przedmioty do pudeł. Jack podszedł i spojrzał z góry na drobną kobietkę.

- Sheila? Co tu jest, do cholery, grane? Sheila! - Złapał ją za rękę. Uderzyła go dłonią w policzek, co zszokowało ją samą do tego stopnia, że nagle usiadła. Jej głowa opadła powoli na blat biurka i tam już pozostała. Zaczęła cicho szlochać.

Jack rozejrzał się jeszcze raz dookoła. Barry umarł? Jakiś koszmarny wypadek, a nikt sobie nie zadał trudu, żeby mu powiedzieć? Czy ta przeklęta firma tak już się rozrosła, że ludzie przestali się ze sobą komunikować? Czy przeczyta o tym w biuletynie firmowym? Popatrzył na swoje ręce. Dygotały.

Przysiadł na krawędzi biurka, łagodnie położył Sheilę rękę na ramieniu w nadziei, że jej doda otuchy,

ale bez widocznego sukcesu. Rozejrzał się bezradnie, łkanie nie milkło, przeciwnie, stawało się coraz rozpaczliwsze. Wreszcie pojawiły się dwie sekretarki z sąsiedztwa i cicho odprowadziły Sheilę. Każda z nich obdarzyła Jacka niezbyt życzliwym spojrzeniem.

Co takiego zrobił? Popatrzył na zegarek. Musi się spotkać z Lordem za dziesięć minut. Nagle zaczął niecierpliwie wyglądać tego lunchu. Lord wie wszystko, co dzieje się w firmie, i to na ogół z wyprzedzeniem. Jack rzucił się korytarzem prawie sprintem, z powiewającymi połami marynarki. W głowie załęgła mu się myśl, myśl horrendalna, lecz możliwa. Przyspieszył biegu.

Lokal „U Fillmore'a” był waszyngtońską atrakcją stosunkowo świeżej daty. Drzwi z litego mahoni, ciężkie mosiężne okucia, dywany i kotary ręcznie tkane i niezwykle drogie. Telefon, faks, kopiarka udostępniane na życzenie, z czego korzystano nieustannie. Kunsztownie rzeźbione stoły i miękko wyściełane krzesła gościły prawdziwą śmietankę waszyngtońskich kręgów biznesu i polityki. Ceny gwarantowały, że klientela taka pozostanie.

Było pełno, ale w atmosferze nie wyczuwało się żadnego pośpiechu. Bywalcy lokalu zwykli dyktować własne prawa i poruszać się zgodnie z własnym rytmem. Czasami sama ich obecność przy jakimś stoliku, uniesienie brwi, stłumione kasznięcie, wiele mówiące spojrzenie były ich całodzienną pracą i mogły przynieść ogromne korzyści im samym albo tym, których reprezentowali. Pieniądze i władza przenikały się w tym pomieszczeniu, układały we wzory, łączyły i rozdzielały.

Kelnerzy w wykrochmalonych koszulach i starannie zawiązanych muszkach pojawiali się i znikali w odpowiednich momentach. Goście byli dopieszczani, wysłuchiwani, obsługiwani i zostawiani samym sobie dokładnie wtedy, kiedy należało. A napiwki odzwierciedlały ich uznanie.

Był to ulubiony lokal Sandy'ego Lorda. Pobieżnie rzucił okiem w kartę, natomiast metodycznie przeczesał wzrokiem rozległą salę w poszukiwaniu potencjalnych klientów. Poprawił swoje potężne cielsko na krześle i starannie przyklepał parę szpakowatych włosów. Kłopot z tym, że znajomych twarzy coraz mniej wokół w miarę upływu czasu. Śmierć i emerytury zbierają swoje żniwo. W tym lokalu nie ma żadnych starych kumpli, a pewnie i w całym mieście.

Wystukał numer na swojej komórce i sprawdził wiadomości na automatycznej sekretarce. Walter Sullivan nie dzwonił. Jeśli kontrakt Sullivana wypali, Lord będzie miał za klienta całe państwo z byłego bloku wschodniego.

Całe cholerne państwo! Ile można policzyć państwu za usługi prawne? Zazwyczaj mnóstwo. Problem z byłymi krajami komunistycznymi polega na tym, że nie mają pieniędzy, chyba że za pieniądze uznać ruble, kupony, kopiejki czy co tam oni mają, a co nadaje się tylko na papier toaletowy.

Tak naprawdę to Lord się tym nie kłopotał. Ekskomuchy mają pod dostatkiem surowców, na które Sullivanowi aż ślinka cieknie. I właśnie dlatego Lord spędził tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, trzy przeraźliwe miesiące. W miejscach, gdzie wódkę pije się od dziesiątej rano do późnej nocy. Ale warto było, jeśli Sullivanowi się uda.

Lord nauczył się na nikogo nie liczyć. Ale jeśli ten biznes ma się w ogóle komuś udać, to jedynie Walterowi Sullivanowi. Wszystko, czego tknął, nabierało natychmiast wymiarów globalnych, a dla konkurentów zostawały jedynie smętne resztki. Z osiemdziesiątką na karku, staruszek nie miał zamiaru zwalniać tempa. Pracował po piętnaście godzin dziennie, ożenił się z dwudziestoparoletnim kociakiem, którego wyciągnął z jakiegoś kina. W tej chwili siedział na Barbados, dokąd wywiózł ze sobą trzech najwyższego szczebla polityków, żeby omówić interesy i zabawić się trochę. Sullivan zadzwoni. A krótka, ale treściwa lista klientów Sandy'ego wzbogaci się o jedną pozycję, ale za to jaką!

Praca po obu stronach barykady. Lord uśmiechnął się i rzucił okiem na zegarek. Dla zwyczajnego

prawnika byłby to poważny problem etyczny. Dla Lorda była to nieistotna trudność w powiększeniu honorariów o blisko dwanaście milionów dolarów rocznie. Rocznie! Klienci mogą odstąpić od sporu. W pełni poinformowani klienci. Albo klienci poinformowani tylko do tego stopnia, żeby podjąć „właściwą” decyzję.

Lord zwrócił uwagę na dziewczynę w spódnicy tak krótkiej, że aż wzbudzającej bolesną tęsknotę, i na wysokich obcasach, która kołysząc biodrami, szła przez salę.

Uśmiechnęła się do niego, uniósł lekko brwi, jego ulubiona mina, ponieważ mogła oznaczać wszystko. Była przedstawicielką pewnej wielkiej firmy z Szesnastej Ulicy do spraw kontaktów z Kongresem. Nie dbał o to, gdzie pracowała. Była doskonała w łóżku, a o to dbał, i to bardzo.

Jej widok nasunął mu sporo miłych wspomnień. Będzie musiał wkrótce do niej zadzwonić. Zrobił notatkę w tej sprawie w swoim elektronicznym terminarzu. Potem zwrócił uwagę, podobnie jak większość dam w tej sali, na wysoką, kanciastą sylwetkę Jacka Grahama, który kroczył wprost ku niemu.

Lord wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Jack jej nie uściśnął.

- Co się, kurwa, stało z Barrym Alvisem?

Lord przybrał na to jedną ze swoich min sygnalizujących całkowite osłupienie i usiadł. Pojawił się kelner, ale został odprawiony krótkim ruchem dłoni. Lord typtał na Jacka, który nadal stał.

- Jesteś z tych, co się nie patyczkują, co? Walisz prosto z mostu? Czasami taka strategia skutkuje, czasami nie.

- To nie przelewki, Sandy, chcę wiedzieć, co tu jest grane. Gabinet Barry'ego pusty, jego sekretarka patrzy na mnie, jakbym osobiście kazał go wykończyć. Żądam wyjaśnień. - Głos Jacka podniósł się, kilka spojrzeń skierowało się w jego stronę.

- Cokolwiek chodzi ci po głowie, jestem pewien, że możemy przedyskutować to w nieco bardziej cywilizowanej formie, niż próbujesz narzucić. Usiądź i zacznij się zachowywać jak współnik najlepszej, do cholery, kancelarii prawniczej w tym mieście.

Mierzyl się wzrokiem przez pełne pięć sekund. Wreszcie Jack usiadł.

- Czego się napijesz?

- Piwa.

Kelner pojawił się znowu i odszedł z zamówieniem na piwo i ulubiony dzin z tonikiem Sandy'ego. Sandy zapalił raleigha i od niechcienia patrzył przez okno lub na Jacka.

- Więc wiesz o Barrym.

- Wiem tylko, że go nie ma. Dlaczego go nie ma, chciałbym się dowiedzieć od ciebie.

- O czym tu mówić? Został zwolniony. Z dniem dzisiejszym.

- Dlaczego?

- A co cię to tak interesuje?

- Barry i ja współpracowaliśmy.

- Ale nie byliście przyjaciółmi.

- Nie mieliśmy okazji jeszcze się zaprzyjaźnić.

- Po co, na litość boską, miałbyś się przyjaźnić z Barry Alvisem? Facet nie miał szans nigdy zostać współnikiem, dałbym sobie głowę uciąć.

- Jest rewelacyjnym prawnikiem.

- Nie. Formalnie rzecz biorąc, był wysoko kwalifikowanym radcą prawnym w dziedzinie prawa handlowego i podatkowego, ze specjalizacją w zakresie ochrony zdrowia. Nigdy nie przysporzył nam ani centa i nie zanosilo się na to. Tak więc nie był, jak mówisz, „rewelacyjnym prawnikiem”.

- Cholera jasna, wiesz, o co mi chodzi. Należał do bardzo cennych aktywów firmy. Ktoś musi robić całą małą robotę.

- Mamy mniej więcej dwustu prawników świetnie przygotowanych do tej małej roboty. Z drugiej strony mamy tylko tuzin, albo coś koło tego, ludzi, którzy przysparzają nam nowych klientów. To nie jest właściwa proporcja. Mnóstwo żołnierzy, mało oficerów. Zaliczyłeś Barry'ego Alvisa do naszych aktywów, my

zaś uważaliśmy go za poważne obciążenie dla firmy. Dostawał wysoką pensję. My, wspólnicy, mamy inną koncepcję zarabiania pieniędzy. Dlatego też uznaliśmy, że czas przerwać nasz związek.

- I chcesz mi powiedzieć, że odbyło się to bez małego szturchnięcia ze strony Baldwinów?

Oblicze Lorda wyrażało autentyczne zaskoczenie. Prawnik z trzydziestopięcioletnim stażem sypania ludziom piaskiem w oczy musiał być skończonym kłamcą.

- A cóż, do diabła, mógłby Baldwinów obchodzić Barry Alvis?

Jack przyglądał się badawczo pulchnej twarzy przez całą minutę, po czym z wolna odetchnął. Rozejrzał się po sali, czując się nagle głupio. A jeśli Lord kłamie? Znów popatrzył na swojego rozmówcę, ale ten miał kamienną twarz. Dlaczego miałby kłamać? Jackowi przyszło do głowy kilka wyjaśnień, ale żadne z nich nie miało większego sensu. Czyżby się mylił? Czyżby zrobił z siebie kompletnego dumia przed obliczem najpotężniejszego ze wspólników firmy?

Głos Lorda był teraz łagodniejszy, prawie kojący.

- Barry Alvis został zwolniony w ramach trwającej reorganizacji. Potrzeba nam fachowców, którzy mogą wykonywać robotę i przysparzać dochodów. Do cholery, takich jak ty. Po prostu. Barry nie był pierwszy i nie będzie ostatni. - Lord przerwał i popatrzył na Jacka życzliwie.

- Czy jest coś, czego mi nie mówisz? Będziemy niedługo wspólnikami, nie możesz nic taić przed wspólnikiem.

Sandy zachichotał w duchu. Nie było ani jednej naprawdę ważnej dla niego rzeczy, którą by ujawnił komukolwiek z pozostałych wspólników kancelarii.

Jack miał ochotę gryźć, ale postanowił się powstrzymać.

- Jeszcze nie jestem wspólnikiem, Sandy.

- Czysta formalność.

- Lepiej nie zapeszyć.

Lord poprawił się na krześle z irytacją, machnął dłonią z papierosem, jakby coś odpędzał. Więc może pogłoska, że Jack zamysła wyskoczyć z łodzi, jest prawdziwa. Ta pogłoska przyprowadziła Lorda tutaj, na lunch z młodym prawnikiem. Mierzyli się wzrokiem. Uśmiech przemknął w kąciку ust Jacka. Cztery miliony. Z tego dziesięć procent prosto na konto PS&L. Następne dwieście patyków dla Sandy'ego Lorda. Nie żeby bez nich umarł z głodu, ale piechotą nie chodzą. Miał reputację rozrzutnika. A prawnicy nie idą na emeryturę. Pracują, aż padną. Najlepsi zarabiają dużo forsy, ale w porównaniu z dyrektorami korporacji, gwiazdami rocka i aktorami, stanowią, jeśli chodzi o dochody, drugą ligę.

- Myślałem, że podoba ci się w naszym sklepiku.

- Podoba.

- Więc?

- Co „więc”?

Wzrok Sandy'ego znów omiółł salę. Zauważył kolejną znajomą, odziana była w wytworny obcisły kostium, pod którym, jak Sandy przypuszczał, nic nie miała. Przelknął resztę dzinu z tonikiem i spojrzał na Jacka. Irytował się coraz bardziej. Durny żółtodziób i gnojek.

- Byłeś już tutaj ?

Jack pokręcił głową, przeglądając opasłe menu, w którym szukał hamburgera z frytkami, ale nie mógł go znaleźć. Lord wyrwał mu jadłospis z ręki i nachylił się, ciężko dysząc Jackowi prosto w twarz.

- No dobra, to czemu się nie rozejrzysz dookoła?

Jack odchylił się w swoim krześle, ale Lord jeszcze się przysunął, pokładając się na kunsztownie rzeźbionym stole.

- Bywałem już w restauracjach, możesz mi wierzyć.

- Jednakże nie w tej, prawda? Widzisz tę młodą damę, o tam? - Zaskakująco szczupłym palcem przeciął powietrze. Spojrzenie Jacka pobiegło w kierunku kongresowej łączniczki. - Pieprzyłem tę cizię pięciokrotnie w ciągu ostatniego półrocza. - Lord nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, gdy zobaczył w oczach Jacka zrozumiały podziw dla obiektu ich konwersacji.

- A teraz zadaj sobie pytanie, dlaczego taka istota zniza się do sypiania z takim wielkim workiem sadła jak ja?

- Może żal jej ciebie? - Jack uśmiechnął się. Lord pozostał poważny.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, to znaczy, że twoja naiwność graniczy z głupotą. Czy naprawdę wierzysz w to, że kobiety w tym mieście są bardziej niewinne niż mężczyźni? A niby dlaczego miałyby być? To, że mają cycki i noszą sukienki, nie znaczy, że nie będą dążyć do tego, czego chcą, i używać w tym celu wszelkich środków, jakimi dysponują. Widzisz, synku, sypia ze mną dlatego, że ja mogę jej dać coś, czego ona chce, nie, nie w łóżku. Ona to wie, ja to wiem. Mam tutaj wejścia, które dostępne są tylko nielicznym. Więc w zamian pozwala, żebym ją pieprzył. Sprawiedliwa handlowa transakcja, zawarta przez dwie inteligentne strony. I co ty na to?

- Co ja na co?

Lord opadł na oparcie, zapalił nowego papierosa i wydmuchnął równiutkie kółko pod sufit. Skubnął się wargę i zachichotał do siebie.

- Co cię tak cieszy, Sandy?

- Właśnie myślałem o tym, że w czasach studenckich musieliście mieć z kolegami niezły ubaw, jak patrzyliście na ludzi takich jak ja. Zdawało wam się, że nigdy nie staniecie się tacy. Że będziecie bronili przed sądem nielegalnych imigrantów, domagających się azylu politycznego, albo składali apelację w sprawie jakiegoś gnojka skazanego na karę śmierci, bo zaszlachtował za mało ludzi, a poza tym mama dawała mu klapsy, jak był mały. No, gadaj prawdę, miałeś ubaw, co?

Jack rozluźnił krawat, pociągnął łyk piwa. Widział już Lorda w akcji. Podejrzewał jakiś fortel.

- Jesteś jednym z najlepszych prawników, jakich znam, Sandy, każdy to potwierdzi.

- Gówno prawda. Nie zajmuję się prawem od lat.

- Widać ci to służy.

- A co tobie służy, Jack?

Jack poczuł lekki, ale wyraźny skurcz żołądka, kiedy usłyszał swoje imię w ustach Lorda. Znamionowało to zażyłość, która go zaskoczyła. Wspólnik? Jack nabrał powietrza i otrząsnął się.

- Któż wie, kto kim zostanie, gdy dorośnie?

- Ale ty już dorosłeś, Jack, i już najwyższy czas wziąć odpowiedzialność na własne barki. Więc jak będzie?

- Nie nadążam za tobą.

Lord nachylił się znowu, pięści zacisnął jak bokser wagi ciężkiej. Jack się napiął, przez moment wydawało się, że nastąpi atak.

- Uważasz mnie za kutasa, co?

Jack wziął do ręki menu.

- Co byś polecał?

- No, dawaj chłopcze, myślisz, że jestem zachłannym, egocentrycznym, żądnym władzy kutasem, którego gównem obchodzi wszystko i wszyscy, co nie mogą się mu przydać. Prawda, Jack? - Głos Lorda brzmiał coraz donośniej, tłuste cielsko omal nie spadło z krzesła. Wyrwał Jackowi jadłospis i położył na stole.

Jack nerwowo rozejrzał się po sali, ale wydawało się, że nikt nie zwraca na nich uwagi, co oznaczało, że żadne słowo z ich rozmowy nie zostało uronione. Czerwone oczka Lorda zogniskowały się na oczach Jacka, przyciągając je ku sobie.

- Taki jestem. Właśnie taki dokładnie jestem, Jack.

Lord rozsiadł się z powrotem na krzesło, triumfująco. Wyszczrzył zęby. Jack zapragnął się uśmiechnąć wbrew odrazie, którą czuł. Rozluźnił się trochę.

Jakby wyczuwając moment słabszego napięcia, Lord przysunął się z krzesłem do Jacka, spychając go w kąt. Przez chwilę Jack serio zastanawiał się, czy nie przyłożyć staruszkowi. Bez przesady.

- Tak jest. Mam te wszystkie cechy, Jack, te wszystkie i o wiele, wiele więcej. Ale wiesz co, Jack? Taki jestem. Nie próbuję tego ukrywać ani usprawiedliwiać. Każdy gnojek, który ma ze mną do czynienia, jest dokładnie uprzedzony, kim jestem i jaki jestem. Wierzę w to, co robię. Nie wciskam żadnego kitu. - Lord wziął głęboki wdech i wypuścił powoli powietrze. Jack pokręcił głową, chcąc sobie w niej rozjaśnić. Popatrzył w sufit. Znowu freski.

- A co z tobą, Jack?

- Co ze mną?

- Kim jesteś, Jack? W co wierzysz, jeśli wierzysz w cokolwiek?

- Mam za sobą dwanaście lat katolickiej szkoły, to chyba w coś wierzę.

Lord pokręcił głową ze znużeniem.

- Rozczarowujesz mnie, Jack. Słyszałem, że bystry z ciebie chłopak. Ale albo moje informacje są błędne, albo masz ten spłoszony uśmiech na gębce, bo boisz się tego, co mógłbyś powiedzieć.

Jack chwycił nadgarstek Lorda jak obcęgi.

- Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

Lord uśmiechnął się i łagodnie poklepał Jacka po dłoni, aż rozluźnił uchwyt.

- Podobają ci się takie lokale? Mając Baldwina za klienta, będziesz jadał w takich miejscach dotąd, aż twoje tętnice będą twarde jak gład od cholesterolu. Za jakieś czterdzieści lat wyciągniesz kopyta w jakimś grajdołku na karaibskiej plaży i pozostawisz po sobie jakąś młodą i nagle bogatą mniej więcej trzecią żonkę, ale umrzesz szczęśliwy, wierz mi.

- Wszystko mi jedno, gdzie jadam.

Pięść Lorda twardo spadła na stół. Tym razem kilka głów się odwróciło. Maître d'hôtel spojrział w ich kierunku, próbując ukryć zainteresowanie za gęstymi węsami i kompetentną miną.

- I właśnie, do cholery, o to chodzi, synku, o całą tę twoją cholerną ambiwalencję. - Uciszył się i usiadł, ale nadal nachylał się do Jacka, spychając go w kąt. - Lokale różnią się między sobą i to bardzo. Możesz wejść w świat luksusu, masz klucz do tych drzwi, wiesz. Twoim kluczem jest Baldwin i ta jego ładna córeczka. Pytanie brzmi: otworzysz te drzwi czy nie otworzysz? A wątpliwość ta, co ciekawe, prowadzi nas do pierwszego pytania. W co ty wierzysz, Jack? Bo jeśli nie wierzysz w to - Lord gestem pokazał wszystko dookoła - jeśli nie chcesz zostać Sandy Lordem następnej generacji, jeśli nie możesz w

nocy spać i śmiejesz się albo przeklinasz moje upodobania, uprzedzenia i małe dziwactwa, całe moje palantstwo, jeśli tak to nazywasz, jeśli naprawdę i rzeczywiście sądzisz, że jesteś ponad to, jeśli zupełnie nie masz ochoty na pannę Baldwin i jeśli nie widzisz ani jednej pozycji w tym cholernym jadłospisie, na którą miałbyś apetyt, to dlaczego mi nie powiesz, żebym się odpierdolił? I nie wstaniesz i nie wyjdiesz przez drzwi z podniesioną głową, z czystym sumieniem i nieskalaną wiarą? Bo szczerze mówiąc, ta gra jest zbyt ważna i wymaga zbyt wielkiego wysiłku, żeby wziął się do niej ktoś, kto nie jest jej oddany całym sercem i duszą.

Lord oklapł z powrotem na swoim krześle, jego cielsko rozlało się szeroko.

Na zewnątrz trwał przepiękny jesienny dzień. Nic nie mąciło doskonałości błękitu nieba, łagodny wietrzyk rozwiewał porozrzucone gazety. Mogło się wydawać, że tempo życia stolicy na moment zwolniło odrobinę. W parku LaFayette'a, dalej przy tej samej ulicy, zagorzali miłośnicy kąpieli słonecznych wylegiwali się w trawie, licząc na jeszcze trochę opalenizny, zanim jesień zapanuje na dobre. Gońcy na rowerach, korzystając z przerwy, myszkowali w nadziei, że uda im się podejrzeć jakieś odsłonięte nogi albo rozpiętą bluzkę.

W sali restauracyjnej Jack Graham i Sandy Lord mierzyli się wzrokiem.

- Nie lubisz owijać w bawełnę, co?

- Nie mam na to czasu, Jack. Nie mam czasu od dwudziestu lat. Gdybym nie był przekonany, że zniesiesz prawdę bez ogródek, dałbym spokój.

- I co chciałbyś ode mnie usłyszeć?

- Chcę tylko wiedzieć, czy wchodzisz w to, czy nie. Prawda jest taka, że mając Baldwina za klienta, mogłeś iść do każdej firmy w mieście. Wybrałeś nas, jak zakładam dlatego, że podobało ci się to, co u nas zobaczyłeś.

- Baldwin was zarekomendował.

- Mądry gość. Mnóstwo ludzi pójdzie za nim. Jesteś u nas od roku. Jeśli postanowisz zostać, przyjmiemy cię na wspólnika. Mówiąc szczerze, te dwanaście miesięcy stażu to była czysta formalność, po prostu trzeba było zobaczyć, czy pasujesz. Kiedy to się stanie, przestaną dla ciebie istnieć kłopoty finansowe, że nie wspomnę o poważnych pieniążkach twojej przyszłej żony. Twoim głównym zajęciem będzie zadowalanie Baldwina, rozwijanie interesów z nim związanych i zdobywanie nowych klientów.

Ponieważ, Jack, spójrzmy prawdzie w oczy, prawnik jest wart tyle i tylko tyle, ile są warci klienci, których kontroluje. Tego cię nie uczyli na studiach, a to najważniejsza lekcja, jaką musisz opanować. Nigdy, przenigdy nie trać z oczu tego prostego faktu. Nawet praca jest w stosunku do tego drugorzędna. Zawsze znajdą się durnie do czarnej roboty. Dostaniesz *carte blanche* na łapanie nowych klientów. Nikt cię nie będzie nadzorował poza Baldwinem. Nie będziesz musiał się zajmować żadnymi szczegółami prac dla Baldwina, mamy innych, którzy to dla ciebie zrobią. Koniec końców, nie takie złe życie.

Jack opuścił wzrok na swoje ręce. Przed oczami pojawiła mu się twarz Jennifer. Jakże doskonała, niewinna. Pomyślał o drętwych godzinach w biurze obrońców z urzędu. Jego myśli ostatecznie zwróciły się ku Kate, i zatrzymały nagle. Co go tam czeka? Odpowiedź brzmi: nic. Podniósł wzrok.

- Idiotyczne pytanie. Czy nadal będę mógł praktykować prawo?

- Jeśli będziesz miał na to ochotę. - Lord przypatrywał mu się bacznie. - Czy mam to uznać za „tak”?

Jack zajrzał do menu.

- Te kraby będą chyba niezłe.

Sandy wydmuchnął dym pod sufit, uśmiechnął się.

- Przepadam za nimi, Jack. Po prostu przepadam.

Dwie godziny później Sandy stał w kącie swojego gigantycznego biura i wyglądał na zatłoczoną ulicę w dole, a równocześnie brał udział w telekonferencji przez głośnomówiący telefon.

Wszedł Dan Kirksen, wykrochmalona koszula z monogramem ukrywała szczupłe ciało człowieka, który uprawia jogging. Kirksen jest w firmie wspólnikiem zarządzającym. Trzyma pewną ręką wszystkich w firmie, z wyjątkiem Sandy'ego Lorda. A teraz, być może, także Jacka Grahama.

Lord spojrział na niego bez zainteresowania. Kirksen usiadł i czekał cierpliwie, aż wszyscy uczestnicy telekonferencji się pożegnali. Lord wyłączył telefon i opadł na swoją wielką sofę. Podniósł oczy na sufit i zapalił. Kirksen, fanatyk zdrowego trybu życia, odsunął się parę cali.

- Czego chcesz? - Wzrok Lorda spoczął wreszcie na chudej, gładko ogolonej twarzy Kirksena. Ten facet kontrolował konsekwentnie blisko sześćset tysięcy dolarów w interesach, co gwarantowało mu trwałą i bezpieczną przystań w PS&L, lecz nie powstrzymywało Lorda od jawnego okazywania mu swojej niechęci.

- Ciekawi jesteśmy, jak przebiegł lunch?

- Nie mam czasu na pogrywki, o co chodzi, Danny?

- Chodzą niepokojące pogłoski, a teraz, kiedy trzeba było skończyć z Alvinem po telefonie panny Baldwin...

Lord machnął ręką.

- Wszystko załatwione. Kocha nas i zostaje. A ja straciłem dwie godziny.

- Chodzi o wielkie pieniądze, Sandy, i my, my wszyscy, uważaliśmy, że lepiej będzie, że to zrobi najmocniejsze wrażenie, jeśli ty...

- Taa. Rozumiem, co to pieniądze, Kirksen, lepiej niż ty. Rozumiem, co to pieniądze. Jasne? No a Jack zostaje z nami. Przy odrobinie szczęścia podwoi swój połów w ciągu dziesięciu lat i wszyscy będziemy mogli przejść na wcześniejszą emeryturę. - Lord patrzył na Kirksena, który wydawał się kurczyć pod jego spojrzeniem. - Facet ma jaja. Solidniejsze niż którykolwiek z moich wspólników. - Przez twarz Kirksena przemknął bolesny grymas. - Prawdę mówiąc, podoba mi się ten chłopak. - Lord znów wyjrzał przez okno, popatrzył na kolumnę przedszkolaków, uczepionych liny przy przechodzeniu przez jezdnię dziesięć pięter w dole.

- A więc mogę zakomunikować komitetowi pomyslnie wiadomości?

- Możesz zakomunikować, co ci się żywnie podoba. Tylko zapamiętaj jedno: już nigdy nie zawracajcie mi głowy takimi bzdurami, dopóki to nie jest coś naprawdę, naprawdę ważnego. Zrozumiano? - Lord spojrział jeszcze raz na Kirksena i odwrócił wzrok do okna. Sullivan wciąż nie dzwoni. Niedobrze. Widział, jak jego nowy klient - państwo - odpływa w dal, jak drobne sylwetki dzieci znikające za rogiem. I już nie ma śladu.

- Dziękuję, Sandy.

- Dobra.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Walter Sullivan wpatrywał się w twarz, a raczej w to, co z niej pozostało. Stopy odsłonięte, do dużego palca przyczepiona prosektoryjna plakietka identyfikacyjna. Jego świta pozostała za drzwiami. To była jego chwila sam na sam z nią. Formalna identyfikacja zwłok już się odbyła. Policjanci poszli uzupełnić akta, reporterzy nadać korespondencje do swoich redakcji. A Walter Sullivan, jeden z najpotężniejszych

ludzi swojej epoki, pod którego dotknięciem, od czternastego roku życia, wszystko zamieniało się w pieniądze, nagle poczuł się wyzuty z energii, z wszelkiej woli życia.

Prasa miała używanie, kiedy owdowiawszy po czterdziestu siedmiu latach małżeństwa, pokazał się z Christy. Ale jak człowiek ma prawie osiemdziesiąt lat, to chce mieć przy sobie kogoś młodego i pełnego życia. Przeżył już śmierć tylu osób, że chciał mieć przy sobie kogoś, kto na pewno przeżyje jego. Umierali kolejni najbliżsi, a jemu kończyła się wytrzymałość na żal i smutek. Starość to niełatwa sprawa, nawet dla kogoś tak bogatego.

Ale Christy Sullivan go nie przeżyła. Nie może zostawić tak tej sprawy, musi coś zrobić.

Gdy tylko Walter Sullivan opuścił kostnicę, pracownik techniczny wszedł i wypchnął wózek ze zwłokami pani Sullivan do prosektorium. Tam ją zważą i zmierzają. Zostanie sfotografowana, najpierw w ubraniu, a potem nago. Następnie ją prześwietlą, zdejmą odciski palców, przeprowadzą oględziny zewnętrzne, których celem jest zebranie jak największej liczby dowodów rzeczowych i poszlakowych. Pobrane płyny fizjologiczne zostaną wysłane do laboratorium toksykologicznego, by przeprowadzono testy na obecność narkotyków, alkoholu i innych substancji. Rozcięcie w kształcie litery „Y” rozplata jej ciało od ramion po podbrzusze. Przerażliwy widok, nawet dla weterana. Każdy narząd zostanie poddany analizie, zważony, będzie poszukiwać się śladów odbytego stosunku, urazów. Każda obca drobinka, ślad spermy, włoszek zostanie wysłany na badanie DNA.

Badania obejmą też czaszkę. Piłą zostanie wykonane cięcie poprzeczne. Następnie wykonana będzie kraniotomia frontalna, a z wydobytego mózgu wyciągnie się pocisk, który powęduje do ekspertyzy balistycznej.

Treść żołądka zostanie sprawdzona w laboratorium toksykologicznym, ślady obcych substancji wytropione we krwi i moczu. Pokażą, że zawartość alkoholu we krwi ponad dwukrotnie przekracza poziom progu nietrzeźwości według prawa stanu Wirginia. Fakt ten nie ujdzie uwagi Setha Franka.

Protokół sekcji określi przyczyny i mechanizm śmierci, poda wszystkie istotne wyniki i oficjalną opinię lekarza sądowego. Kiedy będzie już po wszystkim, Walter Sullivan dostanie swoją żonę z powrotem.

Protokół, wraz z kompletem fotografii, rentgenogramami, odciskami palców, sprawozdaniami laboratorium i wszelkimi załącznikami utworzy teczkę akt sprawy, która zostanie przekazana detektywowi prowadzącemu śledztwo.

Walter Sullivan wreszcie wstał, przykrył ciało żony i wyszedł.

Spoza jeszcze jednego lustra weneckiego oczy detektywa odprowadziły go do drzwi. Następnie Seth Frank nałożył kapelusz i po cichu wyszedł.

Sala konferencyjna numer jeden, największa w firmie, umiejscowiona była na honorowym miejscu, tuż za holem recepcyjnym. Właśnie w tej chwili, za masywnymi przesuwanymi drzwiami, zgromadzili się na zebraniu wszyscy wspólnicy firmy.

Pomiędzy Sandym Lordem i Alem Bundem usiadł Jack Graham, jeszcze nie przyjęty oficjalnie na wspólnika, lecz dziś względy formalne zeszyły na drugi plan, a poza tym Lord nalegał na jego obecność.

Hostessy nalały kawę i poroznosiły pączki i drożdżówki, po czym wycofały się, zamykając za sobą drzwi.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Dana Kirksena, który łyknął soku owocowego, afektowanie osuszył usta serwetką i wstał.

- Jestem pewien, że słyszeliście panowie o tej strasznej tragedii, jaka spadła na jednego z naszych naj...

- Kirksen zerknął pośpiesznie na Lorda - a właściwie na naszego najważniejszego klienta. - Jack rozejrzał się po twarzach ludzi siedzących wokół sześćdziesięciostopowego stołu z marmurowym blatem. Większość skierowana była ku Kirksenowi, niektóre pochylały się ku sąsiadom, żeby szeptem uzyskać informację o wydarzeniu. Jack widział tytuły w gazetach. Nigdy nie pracował przy żadnej sprawie Sullivana, ale wiedział, że jego interesy mają taką skalę, iż dostarczają pełnoetatowego zatrudnienia jakimś czterdziestu prawnikom w firmie. To największy klient Pattona, Shawa & Lorda, po nim długo, długo nic i dopiero następni. Kirksen ciągnął:

- Policja prowadzi śledztwo wnikliwie. Jak dotąd jednak sprawa nie ruszyła z miejsca. - Kirksen przerwał, znów zerknął na Lorda i kontynuował. - Jak się panowie domyślacie, jest to niezwykle przykry okres dla Waltera. Aby mu nie utrudniać teraz życia, zwracam się z apelem do wszystkich naszych prawników, żeby zwracali szczególną uwagę na wszystkie sprawy związane z jego interesami, szli mu jak najbardziej na rękę i w zarodku likwidowali wszelkie problemy. Ponadto, wprawdzie jesteście przekonani, że było to najzwyczajniejsze włamanie, niemające żadnego związku z interesami Waltera, lecz zwracamy się do wszystkich panów, abyście byli uczuleni na wszelkie nietypowe oznaki w jakichkolwiek sprawach, w które jesteście zaangażowani w imieniu Waltera. O każdym podejrzanym działaniu prosimy donosić mnie lub Sandy'emu.

Kilka głów zwróciło się ku Lordowi, który wpatrywał się w sufit, co było jego stałym zwyczajem; popielniczka przed nim zawierała trzy niedopałki, a szklanka obok resztki krwawej mary.

Odezwął się Ron Day, z sekcji prawa międzynarodowego. Schludnie przystrzyżone włosy okalały sówią twarz, zasłoniętą częściowo owalnymi okularami w delikatnej oprawce.

- Czy tu nie chodzi o terrorystów? Prowadzę sprawę sieci bliskowschodnich joint-ventures dla filii Sullivana w Kuwejcie, a ci ludzie rządzą się własnymi prawami, wiem coś o tym. Czy mam się niepokoić o swoje bezpieczeństwo? Lecę dziś wieczorem do Rijadu.

Lord okręcił swoją głowę prawie dookoła, żeby popatrzeć ciężkim wzrokiem na Daya. Czasami dziwił się graniczącemu z głupotą brakowi przenikliwości wielu swoich współników. Day był aktywnym współnikiem, którego główną, a zdaniem Lorda jedyną, zaletą było to, że znał biegle siedem języków i umiał podlizywać się Saudyjczykom.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym, Ron. Jeśli to międzynarodowy spisek, to nie jesteś dość ważny, żeby sobie tobą zwracali głowę, a jeśli rzeczywiście mają cię na oku, to będziesz martwy, zanim w ogóle zauważysz, że coś ci grozi.

Przy stole na moment zapanowała nieco zakłopotane rozbawienie. Day bawił się krawatem.

- Dzięki, że mnie uspokoiłeś, Sandy.

- Nie ma za co, Ron.

Kirksen chrząknął.

- Nie miejcie wątpliwości, że wszystko, co można zrobić dla wyjaśnienia tej odrażającej zbrodni, zostanie zrobione. Mówi się, że sam prezydent wyznaczy specjalną grupę operacyjną, która zajmie się sprawą. Jak wiecie, Walter Sullivan pełnił rozmaite odpowiedzialne funkcje w wielu kolejnych administracjach rządowych i jest jednym z najbliższych przyjaciół prezydenta. Myślę, że możemy być spokojni, iż sprawcy już wkrótce znajdą się pod kluczem. - Kirksen usiadł.

Lord rozejrzał się po siedzących wokół stołu, uniósł brwi i zgniótł ostatniego papierosa. Wszyscy wstali.

Seth Frank okręcił się z krzesłem dookoła. Jego gabinet był klitką o wymiarach sześć stóp na sześć,

jedyne przestronniejsze pomieszczenie w małym budyneczku kwatery głównej przypadło szeryfowi. Raport lekarza sądowego leżał na biurku. Było dopiero wpół do ósmej rano, ale Frank zdążył już trzykrotnie przeczytać go od deski do deski.

Przypatrywał się sekcji. Detektyw musi przy niej być, i to z wielu powodów. Uczestniczył już w bardzo wielu, ale nigdy do końca nie przyzwyczał się do tego, że przy zmarłym się majstruje, dłubie w nim, jak w jakimś preparacie na zajęciach z biologii w college'u. I chociaż nie robiło mu się już niedobrze w trakcie, po zakończeniu sekcji musiał dwie czy trzy godziny pojeździć samochodem, żeby uspokoić nerwy na tyle, by móc zabrać się znów do pracy.

Raport był gruby i gęsto zadrukowany. Christy Sullivan nie żyła przynajmniej od siedemdziesięciu dwóch godzin, raczej dłużej. Obrzmienie i napęcznienie ciała, rozwój bakterii i procesy gnilne w jej narządach wewnętrznych wskazywały na to dość dokładnie. Pokój był ciepły, co przyspieszyło pośmiertne procesy rozkładu, a z kolei niezwykle utrudniało dokładne określenie momentu śmierci. Mimo to lekarz sądowy był pewien swego - nie mniej niż trzy dni. Dodatkowe informacje prowadziły go do przekonania, że śmierć spotkała Christine Sullivan w poniedziałek wieczorem, czyli dokładnie w podanym czasie.

Frank zmarszczył czoło. Ponad trzy dni, to znaczy, że trop był już bardzo zwietrzały. W dwa dni można odbyć podróż dookoła świata. Ktoś, kto chciał się ukryć, w trzy, cztery dni zniknie z powierzchni ziemi. A teraz Christina Sullivan nie żyła już od paru tygodni, a jego śledztwo nie posunęło się ani o krok. Nie przypominał sobie sprawy, w której zupełnie nie znaleziono by śladów.

Z tego, co zdołali ustalić, nie było w rezydencji Sullivanów nikogo poza ofiarą i sprawcą morderstwa. Ogłoszenia o poszukiwaniu świadków zamieszczono w prasie i rozplakatowano w bankach i domach handlowych. Nikt się nie zgłosił.

Rozmawiali z każdym właścicielem domu w promieniu trzech mil. Wszyscy byli wstrząśnięci i przerażeni. Frank widział to po drganiu powiek i nerwowym zacieraniu dłoni. Środki bezpieczeństwa w tym małym hrabstwie zostaną wzmocnione jak nigdy. Tylko emocje, żadnych pożytecznych informacji. Przesłuchano

dokładnie również służbę w okolicznych posiadłościach. I też nic. Telefonicznie rozmawiano z domowym personelem Sullivana, który towarzyszył mu na Barbados - z podobnie mizernymi skutkami. Poza tym wszyscy mieli żelazne alibi. Oczywiście zawsze można się do czegoś dokopać. O tym Frank nie zamierzał zapominać.

Nie wiedzieli również zbyt dokładnie, jak wyglądał ostatni dzień życia Christiny Sullivan. Została zamordowana we własnym domu, przypuszczalnie późno w nocy. Zakładając, że był to poniedziałek, co robiła cały dzień? Frank był przekonany, że te informacje dałyby mu cenne punkty oparcia.

Tamtego poniedziałku o wpół do dziesiątej widziano Christine Sullivan w centrum Waszyngtonu, w luksusowym salonie piękności, gdzie wizyta kosztuje tyle, że gdyby Frank chciał tam posłać swoją żonę, musiałby się liczyć z wyłożeniem swoich dwutygodniowych zarobków. Czy Christine Sullivan szykowała się na jakieś wieczorne rozrywki, czy też taka wizyta należała do regularnych zajęć kogoś z jej statusem majątkowym, należało jeszcze ustalić. Tak czy inaczej, nie udało się niczego dowiedzieć o poczynaniach pani Sullivan po jej wyjściu z salonu około południa.

Skoro ta dziewczyna została tutaj, gdy reszta pojechała na słoneczne wyspy, to znaczy, że miała jakiś powód, myślał Frank. Jeśli miała spędzić z kimś tę noc, to Frank bardzo chciałby z nim pogadać, a może i nałożyć mu kajdanki.

Tak się składa, że zabójstwo popełnione podczas włamania nie stanowi w świetle prawa Wirginii

morderstwa pierwszego stopnia, natomiast morderstwo w czasie napadu rabunkowego z bronią w ręku - tak. A więc jeśli ktoś napadł z bronią w ręku i zabił - może zostać skazany na karę śmierci. Jeśli ktoś się włamał i zabił - może najwyżej dostać dożywocie - co biorąc pod uwagę barbarzyńskie warunki panujące w większości więzień stanowych, nie jest aż taką gratką.

Christine Sullivan nosiła dużo biżuterii. Raporty, które otrzymał, potwierdzały, że była miłośniczką brylantów, szmaragdów, szafirów; obnosiła się z nimi, można powiedzieć.

Nie znaleziono przy niej żadnej biżuterii, chociaż widać było na skórze ślady po pierścionkach. Sullivan stwierdził także, że zginął brylantowy naszyjnik żony. Właściciel salonu piękności pamiętał, że miała na sobie w poniedziałek ten właśnie naszyjnik.

Dobry oskarżyciel mógł z tego zrobić sprawę o napad rabunkowy, Frank był tego pewien. Sprawcy czyhali na nią, żeby zabić z premedytacją. Dlaczego uczciwi obywatele Wirginii mają płacić dwadzieścia tysięcy dolców rocznie za wikt, opierunek i dach nad głową dla kogoś mordującego z zimną krwią? Włamanie? Zbrojny rabunek? Kogo, kurwa, to naprawdę obchodzi? Kobieta nie żyje.

Rozwalona przez jakiegoś krwiożerczego szaleńca. Subtelne rozróżnienia prawne nie pasowały Frankowi. Jak wielu ludzi z aparatu ścigania, uważał, że wymiar sprawiedliwości faworyzuje obronę oskarżonego. Często odnosił wrażenie, iż taka prosta rzecz, iż ktoś złamał prawo - ginie w gąszczu skomplikowanych układów, formalnych kruczków i gadaninie cwanych adwokatów. Że zapomina się, że ktoś został zraniony, zgwałcony czy zabity. A to po prostu jest nie do przyjęcia. Nie mógł zmienić systemu, ale mógł go nadszarpnąć po brzegach.

Przyciągnął raport bliżej, sięgnął po okulary do czytania. Wziął następny łyk mocnej, czarnej kawy. Przyczyna zgonu: boczne rany postrzałowe mózgowcaszki, spowodowane przez dwa pociski dużego kalibru, jeden typu dum-dum z miękkim wierzchołkiem, który utkwiał w tkankach, a drugi nieznanego typu z niezidentyfikowanej broni, który spowodował ranę przelotową. Co w normalnym języku znaczyło, że rozwalono jej głowę. W raporcie napisano także, że powodem śmierci było zabójstwo, co było jedyną oczywistą rzeczą w tej całej sprawie. Zauważył, że miał rację, wyciągając wnioski co do dystansu, z którego strzelano. Nie było śladów prochu w ranach. Strzały padły z odległości ponad dwóch stóp; Frank podejrzewał, że około sześciu, ale to było tylko przypuszczenie. Samobójstwa i tak nie brano pod uwagę. Lecz płatni mordercy z reguły lubią przytknąć lufę do skroni. Zmniejszają w ten sposób prawdopodobieństwo błędu.

Frank przysunął się do biurka. Dlaczego więcej niż jeden strzał? Kobieta zginęła na miejscu od pierwszego pocisku. Czy morderca był sadystą strzelającym raz za razem do trupa? A są tylko dwie rany, trochę za mało, jak na szaleńca, który ładuje cały magazynek w ofiarę. I sprawa pocisków. Jedna kula dum-dum i jedna zupełnie tajemnicza.

Podniósł torebkę, którą sam podpisywał. Tylko jeden pocisk wyciągnięto z ciała. Wszedł poniżej prawej skroni, zdeformował się i rozprysnął od uderzenia, przebił kości czaszki, wywołał falę uderzeniową w miękkich tkankach mózgu.

Ostrożnie dotknął kuli, a właściwie resztek, jakie z niej pozostały. Straszny pocisk, skonstruowany w ten sposób, że spłaszcza się od uderzenia, a następnie rozdziera na strzępy wszystko na swojej drodze. W ciele Christine Sullivan zadziałał zgodnie z przeznaczeniem. Niestety kule dum-dum są dzisiaj powszechnie stosowane. A zniekształcenia pocisku są tak duże, że eksperci od balistyki nic nie wskórają.

Drugi pocisk wszedł pół cala poniżej pierwszego, przewiercił cały mózg i wyszedł z drugiej strony, zostawiając szeroki otwór, znacznie większy niż rana wejściowa. Uszkodzenia kości i innych tkanek były znaczne.

Miejsce, gdzie zatrzymał się pocisk, zgotowało im wszystkim niezłą niespodziankę. Półcalowy otwór w ścianie nad łóżkiem. W takich sytuacjach wycina się kawałek tynku i personel laboratorium przy użyciu specjalnych narzędzi wyciąga pocisk, uważając, żeby zachować rysy od gwintowania lufy na pocisku, co pozwoli później ustalić rodzaj broni, z której strzelano, a być może, przy odrobinie szczęścia, zidentyfikować konkretny egzemplarz. Identyfikacja balistyczna daje wyniki równie pewne jak daktyloskopijne.

Lecz w tym wypadku wszystko na nic, bo otwór był, ale pocisku w nim ani śladu, ani nigdzie w pokoju. Kiedy zatelefonowano z laboratorium, żeby zakomunikować mu znalezisko, a właściwie jego brak, pofatygował się osobiście, żeby to zobaczyć. Od dawna tak się nie zirytował.

Po co zadali sobie trud i wydłubowali pocisk, kiedy jeden i tak został w ciele? Co mogła powiedzieć druga kula, czego nie powiedziała pierwsza? Możliwości są różne.

Frank zrobił parę notatek. Brakujący pocisk mógł być innego kalibru lub typu, co nasuwało przypuszczenie, że zabójców było dwóch. Mimo bujnej wyobraźni Frank nie wierzył, by jedna osoba trzymała broń w każdej ręce i strzelała z obu naraz. Czyli prawdopodobnie jest dwóch podejrzanych. To wyjaśniałoby także różnice w ranie wlotowej, wewnętrznych obrażeniach i ranie wylotowej. Rana wylotowa kuli dum-dum była znacznie większa niż druga. Więc drugi pocisk nie był spiłowany ani o miękkim wierzchołku. Przeleciał prosto przez głowę, zostawiając za sobą tunel o średnicy o połowę mniejszej niż mały palec. Deformacja pocisku była najpewniej minimalna, co i tak nie miało znaczenia, bo go i tak, cholera, nie znaleźli.

Popatrzył na swoje pierwsze notatki z miejsca zbrodni. Był w fazie zbierania informacji. Miał nadzieję, że nie utknie w niej na zawsze. Ale w tej sprawie nie musiał obawiać się przedawnienia.

Spojrzał na raport jeszcze raz i znowu zmarszczył czoło.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Dziesięć minut potem siedział naprzeciwko lekarza sądowego w jego gabinecie.

Potęzny mężczyzna dłużej przy paznokciach starym skalpelem, wreszcie podniósł wzrok na Franka.

- Ślady uduszenia. A raczej próby uduszenia. Rozumiesz, tchawica nie została zmiądzona, chociaż jest lekkie obrzmienie tkanek i znalazłem drobne pęknięcie kości gnykowej. Stwierdziłem również ślady wybroczyn w spojówkach. Wszystko jest w protokole.

Frank zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Wybroczyny, małe pęknięcia naczyń krwionośnych w spojówce, czyli błonie śluzowej oczu i powiek, mogły zostać spowodowane duszeniem.

Frank pochylił się do przodu, spojrzał na tytuły naukowe oprawione w ramkina ścianach, głoszące, że mężczyzna, który siedział naprzeciwko, jest wybitnym przedstawicielem medycyny sądowej.

- Mężczyzna czy kobieta?

Lekarz wzruszył ramionami na takie pytanie.

- Trudno powiedzieć. Ludzka skóra nie jest dobrą powierzchnią do zdejmowania odcisków palców, przecież wiesz. Właściwie to niemożliwe, z wyjątkiem niektórych partii, a po połowie dnia znika nawet to, co było. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby kobieta próbowała udusić drugą gołymi rękami, ale zdarza się. Nie trzeba wielkiej siły, żeby zmiądzyc tchawicę, ale duszenie gołymi rękami to raczej męska specjalność. Miałem do czynienia z setką spraw z uduszeniem i nigdy nie spotkałem się z wypadkiem, żeby zrobiła to kobieta. Poza tym ktoś dusił od przodu. Musiał być diabelnie pewny swojej przewagi fizycznej. Więc jeśli mam zgadywać, to zgaduję, że był to facet.

- Raport mówi także o siniakach i otarciach lewej strony szczęki, wybitych zębach i urazach wewnętrznych jamy ustnej.

- Wygląda na to, że ktoś jej zdrowo przyłożył. Jeden kiel prawie przebił jej policzek.

Frank spojrział do teczki z aktami.

- A co myślisz o drugim pocisku?

- Urazy, jakie spowodował, wskazują na duży kaliber, podobnie jak pierwszy.

- A co myślisz o pierwszym?

- Może być wszystko. Kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem lub czterdzieści jeden. Mógłby być też kaliber dziewięć milimetrów. Jezu, widziałeś ten pocisk. To cholerstwo jest rozplaszczone, jakby było z plasteliny, a połowa rozprysnęła się w tkance mózgowej. Żadnych śladów, rys. Nawet gdy znajdziesz podejrzaną broń, nic tu nie dopasujesz.

- Gdybyśmy znaleźli ten drugi, coś byśmy mieli.

- Albo i nie. Ktokolwiek go wydlubał ze ściany, to z pewnością zniszczył wszystkie ślady. Balistycy nie byliby zachwyceni.

- Tak, ale na pocisku znalazłyby się zapewne jakieś ślady włosów, krwi i skóry zmarłej. Lubię mieć w rękach coś konkretnego.

Lekarz potarł policzek w zamyśleniu.

- Tak, to prawda. Ale najpierw go musisz znaleźć.

- Czego najpewniej nie da się zrobić. - Frank uśmiechnął się.

- Nigdy nie wiadomo.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie, obaj doskonale wiedzieli, że drugi pocisk się nie odnajdzie. Nawet gdyby go znaleźli, nie mogliby go połączyć z tą zbrodnią, dopóki nie wykryliby na nim jakichś śladów zmarłej albo nie znaleźliby broni, którą by połączyli jakoś z miejscem zbrodni. Gorzej być nie może.

- Znalazłeś jakieś łuski?

Frank pokręcił głową.

- Więc nie masz też śladów iglicy, Seth.

- Nigdy nie mówiłem, że pójdzie łatwo. Przy okazji, czy chłopcy z władz stanowych bardzo cię naciskają?

Lekarz uśmiechnął się.

- Cisza przed burzą. Może gdyby to był Walter Sullivan, to kto wie? Wysłałem swój raport do Richmond.

Wtedy Frank zadał jedyne pytanie, które przyszedł tutaj naprawdę zadać.

- Dlaczego dwa strzały?

Lekarz przestał skubać skórki, odłożył skalpel i popatrzył na Franka.

- A dlaczego nie? - Zmrużył oczy. Był specjalistą znacznie bardziej kompetentnym, niż wymagało tego jego stanowisko w cichym i spokojnym hrabstwie. Był jednym z blisko pięciuset lekarzy sądowych w tym stanie i miał kwitnącą praktykę prywatną jako internista, ale osobiście fascynował się pracą policyjną i medycyną sądową. Zanim osiedlił się w Wirginii, żeby wieść spokojny żywot, przez prawie dwadzieścia lat pełnił funkcję zastępcy koronera w Los Angeles. Jeśli chodzi o zabójstwa, trudno znaleźć gorsze miejsce niż Los Angeles. Middleton to rajski ogród w porównaniu z nim. Ale tym razem zanosilo się na to, że połamie sobie zęby.

Frank przyglądał mu się z napięciem.

- Pierwszy strzał był śmiertelny. Każdy by się zorientował. Więc po co oddano drugi? Nie robi się takich rzeczy, i to z wielu powodów. Po pierwsze dodatkowy hałas. Po drugie, po co tracić czas. I na

dodatek po co zostawiać więcej pocisków. Czy Sullivan ich zaskoczyła? Więc dlaczego strzały padły od drzwi do środka pokoju, a nie na odwrót?

Dlaczego linia strzału szła z góry na dół? Klęczała? Chyba tak, albo mordercy byli wyjątkowo wysocy. Jeśli była na kolanach, to dlaczego? Egzekucja? Ale strzały nie padły z bliska. No i te ślady na szyi. Po co ktoś by ją dusił, potem przestał, wyciągnął broń i rozwalił jej głowę? A potem jeszcze raz? Jeden pocisk zabrano. Po co? Druga broń? Dlaczego chcieli to ukryć? Jakie to ma znaczenie?

Frank wstał i zaczął krążyć po pokoju, z rękami głęboko w kieszeniach, zawsze tak robił, gdy intensywnie myślał.

- I to miejsce zbrodni: tak cholernie czyste, że nie chce się wierzyć. Nic nie zostało. Dosłownie ani śladu. Żadnych włókien, płynów, włosów, nic. Dziwię się, że nie zrobili jej trepanacji czaszki i nie wyciągnęli kuli. Powiedzmy, że ten gość to włamywacz albo chce żebyśmy w to uwierzyli. Ale skarbiec został wyczyszczony. Około czterech i pół miliona wyfrunęło. I co tam robiła pani Sullivan. Miała się opalać na Barbadosie. Znała tego faceta? Puszczala się gdzieś na boku? Czy to ma jakiś związek ze sprawą? No i po jaką cholere bawić się z drzwiami frontowymi, przechytrzyć system alarmowy, a potem uciekać po linie przez okno? Za każdym razem, jak zadaję sobie jedno pytanie, wyskakują następne. - Frank usiadł z powrotem, patrząc nieco nieprzytomnie na swojego rozmówcę.

Lekarz oparł się wygodnie na krześle, sięgnął po teczkę z aktami i przez minutę w niej szperał. Zdjął okulary, przetaił je rękawem, zaczął skubać kącik warg kciukiem i palcem wskazującym.

Frankowi zadrżały nozdrza.

- Co?

- Mówiłeś, że na miejscu zbrodni nic nie zostało. Myślałem o tym. Masz rację. Było zbyt czysto. - Lekarz, nie spiesząc się, zapalił pall maila, bez filtra, jak zauważył Frank. Każdy medyk sądowy, z którym pracował, palił. Lekarz puścił kółko z dymu z wyraźną przyjemnością.

- Jej paznokcie były zbyt czyste. - Frank zrobił zdezorientowaną minę. - To znaczy, nie znalazłem brudu, resztek lakieru do paznokci, chociaż miała pomalowane, jaskrawoczerwono, żadnych normalnych rzeczy, których można by się spodziewać. Nic. Wyczyszczone, rozumiesz. - Przerwał i ciągnął dalej. - Znalazłem też resztki płynu. - Znow przerwał. - Płynu do czyszczenia.

Frank pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Była rano w salonie piękności. Manikiur i te rzeczy.

Lekarz pokręcił głową.

- To byłoby jeszcze więcej pod paznokciami, a nie mniej, tych wszystkich chemikaliów, których używają.

- Więc co chcesz powiedzieć? Że specjalnie przepłukiwali jej paznokcie?

Lekarz skinął głową.

- Ktoś naprawdę się postarał, żeby usunąć cały materiał do identyfikacji.

- Co oznacza, że miał hopla na tym punkcie, że go zidentyfikują.

- Większość sprawców ma, Seth.

- Do pewnego stopnia. Ale czyszczenie paznokci i zostawianie miejsca w takim stanie, że nasz mocarny odkurzacz pozostał zupełnie pusty, to lekka przesada.

Frank przerzucił raport.

- Znalazłeś także ślady oleju na dłoniach?

Lekarz znow skinął głową i badawczo popatrzył na detektywa.

- Jakieś świństwo do konserwacji skóry.

- A więc trzymała coś w ręku i zostały resztki na skórze?

- Tak. Chociaż nie możemy być całkiem pewni, kiedy ten olej znalazł się na jej rękach. - Nałożył z powrotem okulary.

- Myślisz, że знаła tego kogoś?

- Nie ma dowodów wskazujących na to, chyba że sama zaprosiła kogoś, by obrabował dom.

Lekarzowi nagle wpadło coś do głowy.

- Może to ona nagrała włamanie. Rozumiesz? Ma dość starszka, znalazła sobie nowego kochasia, każe mu upozorować włamanie i znikają oboje bez śladu.

- A on coś pokręcił i władował jej dwie kulki w głowę? - Frank zaczął zastanawiać się nad tą hipotezą.

- Pasuje do tego, co mamy, Seth.

Frank pokręcił głową.

- Moje wszystkie informacje mówią, że nieboszczce nie szło tylko o forszę. Ona uwielbiała być panią Sullivan. To więcej niż forsa, rozumiesz. Poklepywali ją po ramionach, a pewnie i po tyłku, najślawniejsi ludzie z całego świata. Niezły awans jak na kogoś, kto podawał hamburgery w Burger Kingu.

- Żartujesz?

Frank pokręcił głową.

- Osiemdziesięcioletni miliarderzy mają czasem dziwne pomysły.

Znasz ten kawał? Gdzie siada ośmiusetfuntowy goryl? Gdzie mu się żywnie podoba.

Lekarz wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił głową. Miliarder? Co można zrobić z miliardem dolarów? Popatrzył na swój notatnik na biurku. Wydmuchnął dym i zajrzał znów do raportu, potem popatrzył na Franka. Odchrząknął.

- Myślę, że ten drugi pocisk miał stalowy płaszcz.

Frank rozluźnił krawat i oparł się łokciami na biurku.

- W porządku.

- Przeleciał przez całą czaszkę i zostawił ranę wylotową dwukrotnie większą od wejściowej.

- Więc twierdzisz, że na pewno były dwie sztuki broni.

- Niekoniecznie, bo facet mógł załadować dwa rodzaje amunicji do jednego gnata. To ci się nie podoba, jak widzę, Seth.

- Jeszcze godzinę temu nawet by się podobało, teraz nie.

- Więc raczej mamy dwóch sprawców.

- Dwóch i dwie sztuki broni. A jak duża jest nasza pani?

Lekarz nie musiał sięgać do notatek.

- Sześćdziesiąt dwa cale wzrostu, sto pięć funtów wagi.

- Więc mamy drobną dziewczynę i dwóch sprawców, najpewniej mężczyzn, ze sprzętem ciężkiego kalibru, którzy najpierw próbują ją udusić, bijają, a później obaj strzelają.

Lekarz prawie się uśmiechnął.

- Jesteś pewien, że do duszenia i bicia doszło przed śmiercią?

Lekarz zrobił obrażoną minę.

- Bez wątplenia. Niezły bałagan, co?

Frank kartkował raport i robił notatki w trakcie.

- Tak to można określić. Brak śladów gwałtu lub usiłowania. Nic?

Lekarz nie odpowiedział. Wreszcie Frank popatrzył na niego, zdjął okulary, odłożył na biurko, odchylił się na oparcie krzesła i pociągnął łyk czarnej kawy, którą został uprzednio poczęstowany.

- Raport nie wspomina o jakichkolwiek próbach napastowania seksualnego - przypomniał przyjacielowi.

Lekarz wreszcie się odezwał.

- Raport podaje prawdę. Żadnego gwałtu. Żadnych śladów spermy, dowodów penetracji, otarć. To wszystko doprowadza mnie do konkluzji, oficjalnej, że nie doszło do próby gwałtu.

- Więc? Co ci się nie podoba w tej konkluzji? - Frank spojrzał wyczekująco.

Lekarz sądowy wziął łyk kawy, przeciągnął się odrobinę, aż poczuł miłe trzaski w starzejących się stawach.

- Czy twoja żona chodzi na badanie kontrolne do ginekologa?

- Jasne, chyba każda kobieta chodzi.

- Różnie bywa - odparł sucho lekarz i ciągnął: - Po takim badaniu, niezależnie od tego, jak dobry jest ginekolog, zostaje lekka opuchlizna i drobne urazy w drogach rodnych. Nie ma na to rady. Jeśli badanie ma być dokładne, wymaga głębokiej ingerencji.

Frank odstawił kawę i poprawił się na krześle.

- Co zamierzasz mi powiedzieć? Że miała wizytę ginekologa w środku nocy, zanim dostała w łeb?

- Objawy są niewyraźne, nawet bardzo, ale są. - Przerwał i starannie dobierał słowa. - Myślałem o tym, odkąd oddałem ten protokół. Rozumiesz, to może być nic ważnego. Mogła sobie zrobić to sama, rozumiesz? Ale z tego, jak to wygląda, nie sędzę. Myślę, że ktoś ją badał wkrótce po śmierci. Może dwie godziny później, może wcześniej.

- Badał ją, po co? Czego szukał? Patrzył, czy coś się zdarzyło? - Frank nie próbował ukryć niedowierzania.

Lekarz patrzył mu nieruchomo w oczy.

- A po co można badać kobietę w tych partiach i w tej sytuacji?

Frank spoglądał na rozmówcę przez dłuższą chwilę. Ta informacja tylko wzmagała ból w skroniach. Potrząsnął głową, prawie się uśmiechnął. Jedno wyjaśnisz, wyskakują trzy niespodzianki. Skrobnął parę notatek, ściągnął brwi, z roztargnieniem popijał kawę, nie zwracając uwagi na to, co robi.

Stary lekarz przyglądał się Frankowi. Ta sprawa to twardy orzech do zgryzienia, ale jak dotąd detektyw spisuje się nieźle. Naciska te guziki, co trzeba, zadaje dobre pytania. Jest zdezorientowany, ale to normalny etap w tym procesie. Detektywi są często zdezorientowani, taką mają pracę. Ci dobrzy do końca nie są niczego pewni. Ale nie są zdezorientowani bez przerwy. Wreszcie, jeśli mają szczęście i są skrupulatni, doprowadzają do przełomu i wtedy wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsce. Lekarz sądowy miał nadzieję, że jest to jedna z takich spraw. Na razie nie wyglądała dobrze.

- Była nieźle zalana, kiedy ją to spotkało. - Frank przeglądał sprawozdanie laboratorium.

- Dwadzieścia jeden setnych. Nie miałem takiej zawartości alkoholu we krwi od czasów pijatyk studenckich.

Frank uśmiechnął się.

- Ja się zastanawiam, gdzie tak popiła.

- W takim domu na pewno znajdziesz pełno gorzały.

- Taak. Ale gdzie są brudne kieliszki, otwarte butelki, puste butelki?

- Może urznęła się gdzie indziej?

- A jak dostała się do domu?

Lekarz zastanowił się chwilę, potarł zaspane oczy.

- Przyjechała. Widziałem ludzi bardziej pijanych siadających za kółkiem.

- Chyba w prosektorium, co? Ta teoria pada, bo żaden z samochodów w garażu nie był używany od chwili, kiedy domownicy wyjechali na Karaiby.

- Skąd możesz wiedzieć? Po trzech dniach każdy silnik jest zimny.

Frank przerzucił kartki notatnika, znalazł to, czego szukał, i podał notatnik przyjacielowi.

- Sullivan ma szofera na etacie. Starszy facet, Bernie Kopeti. Zna swoje samochody, jest skrupulatny jak poborca podatkowy, prowadzi szczegółowe notatki dotyczące samochodów Sullivana. Zapisuje codziennie stan liczników, nie do wiary. Na moje żądanie sprawdził wszystkie auta w garażu, jak należy przypuszczać jedyne, jakie miała do dyspozycji. Żadnego nie brakowało, żadnym nie przejechano ani mili od czasu wyjazdu męża na Karaiby. Christine Sullivan nie przyjechała do domu żadnym z nich. Więc jak się tam dostała?

- Taryfą?

Frank pokręcił głową.

- Rozmawialiśmy z każdą firmą taksówkową, jaka działa na tym terenie. Tamtej nocy nie było kursu do rezydencji Sullivana. Chyba trudno zapomnieć taki pałac?

- Chyba że to taksjarsz ją załatwił i siedzi cicho.

- Chcesz powiedzieć, że zaprosiła taksjarsza do domu?

- Chcę powiedzieć, że była zalana i najpewniej nie miała pojęcia, co robi.

- A co w takim razie zrobić z takimi drobiazgami jak rozbrojony system alarmowy i lina zwisająca przez okno? I że przed chwilą mówiliśmy o dwóch sprawcach? Jeszcze nie widziałem taryfy z dwoma taksjarszami.

Jakaś myśl przyszła do głowy Frankowi. Nagryzmolił coś w notesie. Lekarz odchylił się na oparcie krzesła i rozłożył ręce.

- Nowe podejrzenia?

Frank skończył pisać.

- Może.

Lekarz spojrział na niego przenikliwie.

- A jak wyglądają zeznania męża? Jednego z najbardziej nadzianych gości w tym kraju.

- Na świecie. - Frank odłożył notatnik, podniósł raport, dopił resztkę kawy. - Ona rozmyśliła się i postanowiła zostać, kiedy jechali na lotnisko. Powiedziała, że zatrzyma się w mieście, w ich apartamencie w hotelu Watergate. Potwierdzono to. Ich odrzutowiec miał ją zabrać za trzy dni i wysadzić w posiadłości Sullivana koło Bridgetown, na Barbadosie. Gdy nie stawiła się na lotnisku, Sullivan zaniepokoił się i zaczął wydzwaniać. Taka jest jego opowieść.

- Wyjaśniała mu, dlaczego zmienia plany?

- Tego mi nie powiedział.

- Tacy nadziani goście mogą zapłacić za wszystko. Stać ich na to, żeby zorganizować pozorne włamanie, kiedy sami siedzą cztery tysiące mil stąd, bujają się na hamaku i popijają soczek. Myślisz, że to do niego podobne?

Frank się wpatrywał w sufit przez dłuższą chwilę. Jego myśli powędrowały do Waltera Sullivana siedzącego w milczeniu przy swojej żonie w kostnicy. Jak on wyglądał, kiedy myślał, że nikt na niego nie patrzy. Frank popatrzył na lekarza sądowego.

- Nie, niepodobne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Bill Burton z wolna odłożył gazetę, trzecią, jaką miał dzisiaj w ręku. Każda zawierała relacje z postępów śledztwa w sprawie zamordowania Christine Sullivan. Wciąż podawano te same fakty co w pierwszych relacjach. Najwidoczniej nic nowego nie znaleziono.

Rozmawiał z Varneyem i Johnsonem. W czasie weekendu, u siebie, przy kielbaskach z grilla. Tylko on, Collin i tych dwóch kolegów. W skarbcu był jakiś facet, ogłuszył prezydenta, zabił panią i zwiął, mimo wszelkich wysiłków Burтона i Collina. Historia ta nie najlepiej pasowała do rzeczywistych wypadków z tamtej nocy, ale obaj agenci bez zastrzeżeń uwierzyli w wersję Burтона. Obaj także wyrazili swój gniew i oburzenie z tego powodu, że ktoś podniósł rękę na człowieka, którego przysięgali chronić. Ten drań zasługuje na każdą karę. Nie puszcza pary z ust, żeby nie zaszkodzić prezydentowi. Prezydent jest ofiarą całej tej sytuacji. Są lojalnymi i oddanymi ludźmi prezydenta. Dla nich prezydent mógłby siadywać po prawicy Pana Boga, a nawet sam zajmować główny tron. Ich człowiek jest równie bezpieczny, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Kiedy wyszli, Burton siedział w swoim ogródku za domem, sącząc piwo. Gdyby tylko wiedzieli. Kłopot w tym, że on wie. Wie. I nic nie może na to poradzić. Bill Burton przez całe życie był uczciwy i nie w smak była mu jego nowa rola matacza i kombinatora.

Burton przełknął swoją drugą filiżankę kawy i sprawdził czas. Wraca na posterunek za piętnaście minut. Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę i rozejrzał się po kwaterze Secret Service.

Zawsze marzył o tym stanowisku. Członek elitarniej jednostki. Oddziału ochrony najważniejszego człowieka na tej planecie. Spokój, zaradność, siła i inteligencja agenta; atmosfera koleżeństwa. Świadomość, że w każdej chwili oczekuje się od ciebie poświęcenia życia dla tego właśnie człowieka, dla dobra ogółu. Że masz szansę dokonać aktu najwyższej szlachetności w tym świecie, coraz bardziej pozbawionym wszelkich śladów cnoty. Wszystko to pozwalało agentowi Williamowi Jamesowi Burtonowi wstawać rano z uśmiechem i zdrowo spać w nocy. Teraz to prysło. Po prostu spełnił swój obowiązek, ale wszystko prysło. Pokręcił głową, zaciągnął się mocno papierosem.

Siedzą na beczce prochu. Im więcej wyjaśniała mu Gloria Russell, tym mniej możliwe wydawało mu się pozytywne rozwiązanie.

Z samochodem całkowita kłapa. Dochodzenie prowadzone z najwyższą dyskrecją zaprowadziło ich prosto na parking depozytowy policji stanowej. Zbyt niebezpieczne było szukanie dalej. Russell trafił szlag. Do cholery z nią. Powiedziała, że wszystko ma pod kontrolą. Bzdety.

Złożył starannie gazetę i odłożył dla pozostałych agentów.

Pieprzona Russell. Im więcej Burton o tym myślał, tym większa ogarniała go wściekłość. Ale co się stało, to się nie odstanie. Siedzą w tym po same uszy. Dotknął lewej strony marynarki. Jego trzystapięćdziesiątkasiódemka, zalana w cemencie wraz z dziewiątką Collina, spoczywała na dnie rzeki Severn w najbardziej odległym miejscu, jakie udało im się znaleźć. Inny uznałby to może za nadmiar ostrożności, ale Burton wyznawał zasadę, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Policja ma jeden pocisk, z którego nic im nie przyjdzie, a drugiego nigdy nie znajdą. A nawet gdyby im się udało, lufa jego magnum będzie czysta jak łąza. Nie ma obaw, by ekspertyza balistyczna lokalnej wirginijskiej policji mogła go przygwoździć.

Ale prędzej czy później dopadną ich. Ten człowiek na pewno kiedyś, gdzieś ujawni swoje rewelacje i cały świat będzie trąbił o tym, co się stało. To tylko kwestia czasu. Prezydent Stanów Zjednoczonych to

babiarz, który tak znęcał się nad swoją panienką, że próbowała go zabić, więc agenci Burton i Collin musieli ją rozwalić.

A potem to całe udawanie. Właśnie przez to krzywił się za każdym razem, gdy widział swoje odbicie w lustrze. Oszustwo. Kłamstwo. Teraz milcząc, kłamiał. Ale czyż nie kłamał przez cały czas? Te nocne schadzki? Czyż nie kłamał codziennie rano, witając się z Pierwszą Damą? Albo kiedy bawił się z ich dwójką dzieciaków w ogrodzie na tyłach? Nie mówiąc im, że ich mąż i ojciec nie jest nawet w przybliżeniu taki miły i dobry, jak im się prawdopodobnie wydaje? Jak wydaje się całemu krajowi.

Burton z największym zainteresowaniem o wynikach sekcji czytał dzięki uprzejmości lokalnej policji, która udostępniła te dane na prośbę prezydenta, tak bardzo poruszonego tragedią. Pieprzyć go i tyle.

Roztrzaskana szczęka i ślady duszenia. To nie urazy od jego i Collina strzałów. Miała powód, żeby go zabić. Lecz on przecież nie mógł do tego dopuścić, w żadnym razie nie mógł do tego dopuścić. Prawda? Nie, tego nie można byłoby usprawiedliwić. Niewiele dziś jest pewników, ale ten jeden jest, jak cholera, niepodważalny.

Postąpił słusznie. Mówił to sobie z tysiąc razy. Całe swoje dorosłe życie szkolił się, żeby tak właśnie postąpić. Zwykły człowiek nie zrozumie, nigdy nie zdoła pojąć, co agent myśli i czuje, gdy coś złego dzieje się w czasie jego służby.

Dawno temu rozmawiał z jednym z agentów Kennedy'ego. Facet nigdy nie dał sobie spokoju z Dallas. Szedł tuż przy limuzynie prezydenta i nic nie mógł zrobić. Na jego oczach głowa Kennedy'ego rozleciała się na kawałki. Nic nie mógł zrobić, ale nigdy się z tym nie pogodził. Można było przedsięwziąć inne środki ostrożności. Skręcić w lewo zamiast w prawo, obserwować budynki dokładniej, niż to zrobiono. Przeczesywać tłum wnikliwiej. Ten facet od Kennedy'ego nigdy nie doszedł do siebie. Porzucił służbę, rozwiódł się i kończył swoją ziemską wędrówkę w jakiejś zapadłej dziurze w Missisipi, lecz właściwie nie ruszył się z Dallas przez ostatnie dwadzieścia lat swojego życia.

Coś takiego nie przydarzy się Billowi Burtonowi. I dlatego pociągnął spust. I tak samo postąpiłby dzisiaj. Zabiłby ją, zabijałby tyle razy, ile byłoby trzeba. Pociągnąć za spust i patrzeć, jak sto osiemdziesiąt gramów ołowiu wali w skroń z prędkością ponad tysiąca stu stóp na sekundę, zabiera młode życie. To był jej wybór, nie jego. Trup. Wrócił do pracy. Dopóki jeszcze mógł.

Szefowa personelu Białego Domu Russell podążyła żywo korytarzem. Właśnie zakończyła instruowanie prezydenckiego sekretarza prasowego, jak ma właściwie naświetlać konflikt rosyjsko-ukraiński. W tej sprawie względy czysto polityczne nakazują popierać Rosję, ale za prezydentury Richmonda względy czysto polityczne rzadko kierowały państwowym procesem decyzyjnym. Rosyjski niedźwiedź dysponuje teraz, co prawda, wszystkimi międzykontynentalnymi raketami jądrowymi, ale Ukraina ma znacznie lepsze szanse zostać głównym partnerem handlowym krajów zachodnich. Tym, co przechyla szalę na korzyść Kijowa, jest fakt, że Walter Sullivan, dobry, a obecnie pogrążony w żałobie, przyjaciel prezydenta, jest w trakcie dogrywania poważnej umowy z Ukrainą. Umowy, która przyniesie mu na czysto około dwa miliardy dolarów w ciągu najbliższych czterech lat i dziesięć razy tyle powiązanych z nim amerykańskim korporacjom ponadnarodowym. Sullivan i jego przyjaciele różnymi kanałami zasilili kampanię wyborczą Richmonda kwotą około dwunastu milionów dolarów i zapewnili mu wszelkie poparcie, jakiego tylko potrzebował w wyścigu do Gabinetu Ovalnego. Teraz w żaden sposób nie mógł tych wysiłków pozostawić bez odpłaty. Z czego wynika, że Stany Zjednoczone poprą Ukrainę.

Russell spojrzała na zegarek, dziękując Bogu w głębi ducha, że mogła wyliczyć jeszcze inne, niezależne przyczyny, przemawiające za tym, by wziąć stronę Kijowa, a nie Moskwy, chociaż była przekonana, że

nawet gdyby ich nie było, Richmond zrobiłby to samo. Zawsze wynagradzał lojalność. Za przysługę należy się wdzięczność. A prezydent miał okazję wyrazić swą wdzięczność na potężną, globalną skalę. Jeden problem z głowy, usiadła przy biurku i skupiła uwagę na pozostałych pozycjach rozrastającej się listy sytuacji kryzysowych.

Po piętnastu minutach politycznej zonglerki Russell wstała i powoli podeszła do okna. Natężenie ruchu na tej najślawniejszej ulicy Kapitolu było nadal duże. Życie w Waszyngtonie od dwustu lat toczyło się podobnym torem. Różne frakcje pompujące pieniądze, intelekt i zasoby ludzkie do tego politycznego biznesu, który w ogólnych zarysach polega na tym, żeby wykiwać innych, zanim oni wykiwają ciebie. Russell znała się na regułach tej gry. Lubiła ją i była w niej doskonała. Czuła się tu w swoim żywiole, szczęśliwa jak nigdy.

Swego czasu brak męża i dzieci zaczynał ją niepokoić. Sukcesy zawodowe stały się nudne i pozbawione głębi. Wtedy w jej życiu pojawił się Alan Richmond. Przywrócił jej siły witalne. Sprawił, że ujrzała możliwość wspięcia się na kolejny, wyższy pułap. Być może taki pułap, którego nie osiągnęła dotąd żadna kobieta. Ta myśl nabierała w jej głowie takiej wagi, że czasem aż drżała z niecierpliwości.

I nagle ten cholerny kawałek stali może zrujnować wszystko. Gdzie to jest? Dlaczego ten facet się nie ujawnia? Musi, na pewno musi wiedzieć, co takiego zabrał. Jeśli chce pieniędzy, dostanie je. Lewych funduszy ma tyle, że wystarczy na zaspokojenie najbardziej wygórowanych żądań, a Russell spodziewała się, że będą wygórowane.

Czy on wie, że prezydent jest zupełnie nieświadomy sytuacji? To pytanie przyprawiało Russell o ból głowy. Co będzie, jeśli on spróbuje skontaktować się z prezydentem bezpośrednio, a nie z nią? Zaczęła się trząść i opadła na krzesło przy oknie, oblana zimnym potem. Richmond od razu zdałby sobie sprawę, dlaczego zachowała tę rzecz, nie może tu być żadnej wątpliwości. Jest arogancki, ale nie głupi. A wtedy ją wykończy. Po prostu. A ona będzie zdana na jego łaskę. Nic jej nie pomoże ujawnianie skandalicznych informacji na jego temat. Nikt jej nie uwierzy. Znajdzie się na politycznym wysypisku śmieci, przekłeta i, co najgorsze, zapomniana.

Musi odnaleźć włamywacza. Przekazać mu jakoś wiadomość, że ma się z nią skontaktować. Jest tylko jedna osoba, która może jej w tym pomóc. Wyprostowała się, wzięła w garść i wróciła do pracy. Nie ma czasu na panikę. Teraz musi być mocniejsza niż kiedykolwiek w życiu. Nadal ma szansę, ciągle może kierować tym, co się dzieje, jeśli tylko zapanuje nad nerwami i zrobi użytek z tego pierwszorzędnego umysłu, którym Bóg ją obdarzył. Wylezie z tego bagna. Wie, od czego musi zacząć.

Przez kogoś, kto zna Glorię Russell, metoda, którą postanowiła się posłużyć, mogłaby zostać uznana za wyjątkowo do niej niepasującą. Ale ci, którzy twierdzili, że dobrze znają szefową personelu, mylili się. Zawsze stawiała na pierwszym miejscu karierę zawodową, z uszczerbkiem dla pozostałych sfer, w tym dla życia osobistego, do którego należą też związki z płcią przeciwną. Lecz Gloria Russell uważała się za kobietę bardzo ponętą; prawdę mówiąc, jej rzeczywista kobiecość stała w jaskrawej sprzeczności z oficjalną maską. Fakt, że lata mijają, i to szybko, jedynie wzmagał jej niepokój, który zaczynała odczuwać w związku z tym zaburzeniem równowagi w jej życiu. Właściwie nie planowała niczego, zwłaszcza w świetle nadciągającej katastrofy, ale była przekonana, że zna najlepszą drogę do realizacji jej misji taktycznej. A jednocześnie drogę do potwierdzenia swojej atrakcyjności seksualnej. Nie da się uciec od własnych uczuć, tak jak od własnego cienia. Więc po co próbować?

Dwie godziny później zgasiła światło i wezwała samochód. Następnie sprawdziła grafik dyżurów agentów Secret Service na dzisiaj i podniosła słuchawkę telefonu. Za trzy minuty agent Collin stał przed nią z rękami założonymi z przodu, zwyczajem wszystkich agentów. Kazała mu poczekać. Poprawiła

makijaż, ułożyła wargi w regularny owal i pomalowała usta. Kątem oka taksowała wysokiego, szczupłego mężczyznę, który stał przy jej biurku. Wygląd jak model z okładki, nie ma kobiety, która nie zwróciłaby na niego uwagi. Na dodatek ten zawód, życie wśród czyhających niebezpieczeństw, a i sam mógłby być niebezpieczny - to wszystko stanowi komplet, któremu nie można się oprzeć. Tak jak dziewczynkom w szkole średniej imponują tylko „zli chłopcy”, choćby po to, żeby przy nich na moment zapomnieć o nudzie własnej egzystencji. Tim Collin, jak przypuszczała z dużą dozą rozsądku, musiał w swoim stosunkowo krótkim życiu złamać już niejedno kobiece serce.

Miała dziś wolny wieczór, co za rzadkość. Odsunęła krzesło do tyłu i wsunęła stopy w szpilki. Nie zauważyła, jak agenta Collin rzucił okiem na jej nogi, po czym szybko skierował wzrok znów przed siebie. Gdyby to zauważyła, byłaby pewnie zadowolona. Z oczywistych względów.

- Tim, prezydent ma w przyszłym tygodniu konferencję prasową w budynku sądu w Middleton.

- Tak, proszę pani, o dziewiątej trzydzieści pięć rano. Ustalam właśnie wstępne warunki pracy. - Wpatrywał się wprost przed siebie.

- Czy nie wydaje ci się to trochę niezwykle?

Collin spojrzał na nią.

- Jak to, proszę pani?

- Jest już po godzinach, możesz mówić do mnie Glorio.

Collin, zakłopotany, przestąpił z nogi na nogę. Uśmiechnęła się do niego, widząc jego skrępowanie.

- Rozumiesz, o co chodzi z tą konferencją, prawda?

- Pan prezydent będzie mówił o - Collin przełknął głośno - o zabójstwie pani Sullivan.

- Tak jest. Prezydent poświęca konferencję prasową śmierci prywatnego obywatela. Czy nie wydaje ci się to dziwne? Coś takiego zdarza się po raz pierwszy w historii prezydentury, Tim.

- Nie wiedziałem, proszę pa... Glorio.

- Spędzasz z nim ostatnio dużo czasu. Czy zauważyłeś w jego zachowaniu cokolwiek dziwnego?

- Na przykład?

- Na przykład, że wydaje się nadmiernie zestresowany albo zmartwiony? Więcej niż zazwyczaj?

Collin wolno pokręcił głową, nie wiedząc, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Obawiam się, że możemy mieć mały problem, Tim. Myślę, że prezydent może potrzebować naszej pomocy. Jesteś gotowy mu pomóc, prawda?

- On jest prezydentem, proszę pani. Opiekowanie się nim to moja praca.

Odchyliła się jeszcze bardziej do tyłu i poszperała w torbie. Powiedziała:

- Jesteś zajęty dziś wieczorem, Tim? Kończysz służbę o dziewiątej, tak? - Skinął głową. - Wiesz, gdzie mieszkam. Bądź u mnie o dziesiątej. Chcę porozmawiać z tobą na osobności na ten temat. Nie masz nic przeciwko temu, żeby pomóc mnie i prezydentowi?

Oczy Collina przykleiły się do nóg, które teraz wyłoniły się spod spódnicy szefowej personelu do alarmująco wysokiego poziomu.

- Przyjdę, Glorio.

Zapukał jeszcze raz. Nikogo. Rolety zaciągnięte, żadnego światła wewnątrz. Albo śpi, albo go nie ma. Jack sprawdził godzinę. Dziewiąta. Wiedział, że Luther prawie nigdy nie kładzie się przed drugą czy trzecią w nocy. Stary ford stał na pojeździe. Drzwi małego garażu były zamknięte. Jack zajrzał do skrzynki na listy przy drzwiach. Pękała w szwach. To niedobry znak. Luther ma teraz ile, sześćdziesiąt pięć? Jack obejrzał się dookoła i przechylił ceramiczną donicę koło drzwi. Uśmiechnął się. Zapasowy

klucz leżał tam, gdzie zwykle. Rozejrzał się wokół jeszcze raz, po czym włożył klucz do zamka i otworzył drzwi.

Salon był czysty i pusty. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

- Luther!?

Przeszedł do przedpokoju, przypominając sobie nieskomplikowany rozkład wnętrza. Sypialnia po lewej, łazienka po prawej, kuchnia w głębi, mała weranda przy drzwiach kuchennych, ogródek za domem. Luthera ani śladu. Jedyne w małej sypialni dostrzegł jakieś ślady aktywności. Ubrania porozrzucone po podłodze, torba ciśnięta na łóżko. Na nocnym stoliku ramka zawierająca różne zdjęcia: Kate popatrzyła na niego, kiedy usiadł na łóżku. Odwrócił się szybko. Małeńkie pokoiki na górze były puste. Nasłuchiwał chwilę uważnie. Nic.

Usiadł na plastikowym krzeselku w kuchni, rozejrzał się. Nie zapalał światła, siedział po ciemku. Pochylił się i sięgnął do lodówki. Roześmiał się. Wyjrzały na niego dwa kartony po sześć puszek budweisera. Na starego Luthera zawsze można liczyć, jeśli chodzi o zimne piwo.

W ogrodzie czarna rozpacz. Paprocie powiędły nawet w cieniu sporego dębu, a powojnik pnący się po ogrodzeniu wysechł na wiór. Jack popatrzył na klomb Luthera, jego dumę, i stwierdził, że ofiar waszyngtońskiego upału jest znacznie więcej.

Usiadł, przytknął butelkę piwa do ust. Luthera najwidoczniej nie ma już od jakiegoś czasu. Więc? Jest dorosły. Mógł wyjechać, kiedy chciał i dokąd chciał. Coś mu się tu nie podoba. Ale to już parę lat. Zwyczaj się zmieniają. Znow się zastanowił. Luther nie zmienia zwyczajów. To do niego nie pasuje. Solidny jak skała, można na nim polegać. Jack nie znał takiego drugiego. Poza tym dość pedantyczny, pomimo pozornego luzactwa. Nieodebrana poczta, zwiędłe kwiaty, samochód niewstawiony do garażu. Z własnej woli nie zostawiłby tak rzeczy. Z własnej woli.

Jack skończył piwo, wszedł z powrotem do środka. Na automatycznej sekretarce nie nagrano żadnej wiadomości. Wrócił do sypialenki. Zapach długo niewietrzonego pomieszczenia uderzył go znowu. Przeszukał pomieszczenie jeszcze raz. Szkoda, że nie jest detektywem. Potem roześmiał się do siebie. Luther najprawdopodobniej wygrzewa się na jakiejś wysepce, a on tu bawi się w zatroskanego rodzica. Luther jest najbardziej zaradnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. A poza tym, co mu do niego? Rodzina Whitneyów nie powinna go więcej interesować, ani ojciec, ani córka. Właściwie po co tu przyszedł? Przypomnieć sobie stare czasy? Spróbować dotrzeć do Kate przez jej starego? To najbardziej nierealny plan, jaki można sobie wyobrazić. Wyszedł, zamknął drzwi na klucz, odłożył go na miejsce. Obejrzał się na dom jeszcze raz przez ramię i poszedł do samochodu.

Dom Glorii Russell mieścił się na końcu ślepej uliczki w cichej, zamożnej części przedmieścia Bethesda, w bok od River Street. Zajmując się konsultingiem na rzecz wielu największych w kraju korporacji, zarabiała niemałe pieniądze. Jeśli dodać do tego sporą pensję profesorską i obecnie jeszcze wynagrodzenie szefowej personelu, oraz nieźle trafione inwestycje na giełdzie, to należało Glorię Russell uznać za kobietę dobrze sytuowaną. Lubiła otaczać się pięknymi rzeczami. Wejścia strzegły dwa stare drzewa, oplecione bujnym, wiekowym bluszczem. Ogród przed domem, otoczony murkiem z cegieł, urządzone był jak do garden party, ze stolikami i parasolami. Mała fontanna bulgotała i szumiała w ciemności, rozjaśnionej jedynie słabym światłem padającym z wykuszu okiennego na froncie domu.

Gloria Russell siedziała przy jednym z ogrodowych stolików, gdy agent Collin podjechał swoim kabrioletem, sztywny jakby kij połknął, marynarka, spodnie w kant, krawat starannie zawiązany. Szefowa personelu nie przebrała się jeszcze. Uśmiechała się do niego, kiedy wchodzili razem do domu.

- Co pijesz? Zapewne burbona z wodą. - Russell popatrzyła na młodego mężczyznę, pociągając z

wolna trzeci już kieliszek białego wina. Długo nie miała młodego mężczyzny. Chyba za długo, pomyślała, wypity alkohol szumiał jej w głowie.

- Piwo, jeśli masz.

- Już się robi. - Zatrzymała się, żeby zrzucić z nóg szpilki i bosy podreptała do kuchni. Collin rozejrzał się po rozległej przestrzeni salonu, po fachowo udrapowanych zasłonach, grubych, chropowatych tapetach, dobranych ze smakiem antykach i zastanawiał się, co właściwie tutaj robi. Miał nadzieję, że pośpieszy się z tym piwem. Był wybitnym sportowcem, świetnie zbudowanym, kobiety uwodziły go niejednokrotnie. Już od czasów szkoły średniej, ale teraz to już nie szkoła, a Gloria Russell to nie główna cheerleaderka. Uznał, że nie da rady przetrwać tej nocy, jeśli się solidnie nie wstawi. Chciał powiedzieć Burtonowi o wszystkim, ale coś go powstrzymało. Burton zachowywał się dziwnie. Przecież nie zrobili nic złego. Wiedział, że okoliczności były kłopotliwe i że akcja, która normalnie przyniosłaby im wyrazy uznania z całego kraju, musi pozostać tajemnicą. Przykro mu było, że zabił tę kobietę, ale nie miał wyjścia. Tragedie zawsze się zdarzają. Wypadło na nią. Na los Christine Sullivan.

Pociągnął piwa i otaksował wzrokiem tyłek szefowej personelu, gdy odwrócona tyłem poprawiała poduszki na szerokiej kanapie, zanim usiadła. Uśmiechała się do niego, delikatnie sączyła wino.

- Jak długo jesteś w służbie, Tim?

- Cztery lata.

- Szybko awansujesz. Prezydent sporo myśli o tobie.

- Bardzo mi miło, naprawdę.

- Usiądźmy wygodniej. - Russell wstała i popatrzyła na niego. Poprowadziła go z salonu długim wąskim korytarzem przez dwuskrzydłowe drzwi do obszernej bawialni. Światła zapaliły się same, a Collin zauważył, że za następną parą dwuskrzydłowych drzwi wyraźnie widać łóżko szefowej personelu.

- Nie masz nic przeciwko temu, jeśli wyjdę na chwileczkę się przebrać? Od rana jestem w tym kostiumie.

Collin popatrzył, jak weszła do sypialni. Nie domknęła drzwi. Z miejsca, gdzie siedział, mógł widzieć fragment sypialni. Odwrócił głowę, spróbował skupić uwagę na ozdobach antycznego parawanu przed kominkiem, który wkrótce będzie świadkiem burzliwej aktywności. Dopił piwo i zachciało mu się następnego. Oparł się na grubych poduszkach. Próbował nie słuchać odgłosów z sypialni, ale trudno mu było się powstrzymać. Dał za wygraną, odwrócił głowę i popatrzył wprost przez uchylone drzwi. Z ukłuciem rozczarowania nie zobaczył nic. Z początku. Potem się pokazała.

Był to tylko moment, sięgała przez skraj łóżka po jakiś szczegół ubrania. Szefowa personelu Gloria Russell paraduje przed nim nago, Collin aż zadrżał, chociaż spodziewał się tego lub czegoś w tym rodzaju.

A więc plan zajęć na dzisiejszy wieczór potwierdzony. Collin odwrócił głowę trochę wolniej, niż zapewne powinien. Oblizal denko puszkę od piwa, wchłaniając ostatnie krople bursztynowego płynu. Nowy pistolet uwierał go w zębra. Zazwyczaj ciężar metalu napawał go poczuciem bezpieczeństwa. Dziś tylko bolało.

Zastanawiał się nad regułami dotyczącymi nawiązywania prywatnych kontaktów. Wiadomo było, że członkowie Pierwszej Rodziny często zaprzyjaźniają się ze swoimi agentami Secret Service. Plotkowano na ten temat, ale oficjalna polityka była w tym punkcie jasna. Gdyby Collina odkryto w tym domu z nagą szefową personelu, byłby skończony.

Myślał szybko. Mógłby wyjść teraz, złożyć raport Burtonowi. Ale jak by to wyglądało? Russell wszystkiemu by zaprzeczyła. Collin wyszedłby na idiotę i karierę miałby z głowy tak czy inaczej.

Ściągnęła go tu pod jakimś pretekstem. Powiedziała, że prezydent potrzebuje jego pomocy. Zastanawiał się, komu właściwie ma pomagać. I po raz pierwszy w życiu agent Collin poczuł się schwytyany w pułapkę. W pułapkę, w której jego kondycja, jego szybki refleks i broń na nic się nie zdadzą.

Intelektualnie go przerastała. W oficjalnej hierarchii władzy znajdował się w stosunku do niej tak nisko, jakby siedział w jakiejś bezdennej czeluści, z której nawet przez teleskop nie dojrzałby jej obcasów. Zanosił się na długą noc.

Walter Sullivan chodził tam i z powrotem, a Sandy Lord mu się przyglądał. Eksponowane stanowisko w narożniku biurka Lorda zajmowała butelka szkockiej. Na zewnątrz panowała ciemność zmacona mdłym światłem latarni. Pogoda znów zrobiła się ciepła i Lord zarządził, by w firmie Patton, Shaw & Lord dla dzisiejszego specjalnego gościa włączyć klimatyzację. Ów gość przerwał swoją przechadzkę po gabinecie i wyjrzał na ulicę. Parę przecznic dalej widniał znany wszystkim budynek, dom Alana Richmonda, gdzie tkwił klucz do wielkich planów Sullivana i Lorda. Sullivan dziś nie myślał o interesach. Ale Lord owszem. Był jednak stanowczo za cwany, żeby to okazać. Dziś jest tu tylko po to, by nieść słowa otuchy swojemu przyjacielowi i klientowi. By wysłuchać zwierzeń, smutków, pomóc Sullivanowi odżałować stratę tej jego małej dziwki. Im prędzej się wygada, tym lepiej. Tym szybciej będzie można zabrać się do naprawdę ważnych spraw. Do biznesu.

- To był piękny pogrzeb, na długo zapadnie ludziom w pamięć. - Lord uważnie dobierał słowa. Walter Sullivan był jego starym przyjacielem, ale przyjaźń zbudowana na fundamencie relacji klient - adwokat może doznać niespodziewanych zwrotów. Lord denerwował się przy Sullivanie, przy nikim innym go to nie spotykało. Nigdy nie miał pewności, że nad wszystkim panuje, wiedział, że ten człowiek dorównuje mu, a może nawet go przewyższa.

- Tak, był piękny. - Sullivan nadal wyglądał na ulicę. Był pewien, że udało mu się wreszcie przekonać policję, że to lustro nie miało związku ze zbrodnią. Czy udało mu się całkowicie, to inna sprawa. W każdym razie był to nieco żenujący moment, zwłaszcza dla człowieka, który nie nawykł do takich sytuacji. Ten detektyw, Sullivan nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, nie okazywał należytego szacunku, a to rozgniewało starszego pana. Zasluguje przecież na ogólny szacunek. Sprawy nie polepszał fakt, że Sullivan nie miał najmniejszego zaufania do kompetencji lokalnej policji.

Pokręcił głową, gdy jego myśli powróciły do tego lustra. Przynajmniej sprawa nie trafiła do prasy. Tego by już nie zniósł. To lustro to był jej pomysł. Ale, musiał przyznać, zgodził się łatwo. Teraz, kiedy patrzył wstecz, pomysł wydawał mu się nedorzeczny. Z początku fascynowało go podglądanie żony z innymi mężczyznami. Był już w tym wieku, że sam nie mógł jej zadowolić, a nie mógł jej odmawiać prawa do fizycznych przyjemności. Ale teraz to wszystko zdawało mu się absurdalne, nawet całe to małżeństwo. Próba odzyskania młodości. Powinien pamiętać, że natura nie da się przebłagać, i nic tu nie poradzą wszystkie pieniądze świata. Czuł się zażenowany i zły.

- Chyba nie mam zaufania do detektywa, który prowadzi tę sprawę. Jak możemy nakłonić władze federalne do zajęcia się tą sprawą?

Lord zdjął okulary, wziął cygaro z pudełka schowanego w szufladzie biurka i powoli je odwijał.

- Zabójstwo prywatnego obywatela nie wchodzi w kompetencje władz federalnych.

- Richmond się tym interesuje.

- Pic na wodę, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Sullivan pokręcił swoją potężną głową.

- Nie. Wygląda na autentycznie przejętego.

- Może. Ale nie licz na to, że będzie się tym długo przejmował. Ma tysiąc spraw na głowie.

- Chcę, żeby znaleziono winnych, Sandy.

- Rozumiem to, Walter. Rozumiem to jak nikt inny. Złapią ich. Musisz być cierpliwy. Ci faceci to nie byli pierwsi lepsi z ulicy. Wiedzieli, co robią. Ale każdy popełnia błędy. Trafiają przed sąd, zapamiętaj moje słowa.

- I co wtedy? Dożywocie, tak? - Sullivan prawie szydził.

- Prawdopodobnie to nie będzie sprawa o morderstwo pierwszego stopnia, więc dostaną dożywocie. Ale bez szans na przedterminowe zwolnienie, Walter, wierz mi. Nigdy już nie zaczerpną powietrza poza murami. A małe ukłucie w ramię może stać się czymś naprawdę pożądanym po paru latach dostawania w tylek noc w noc.

Sullivan usiadł i popatrzył na swojego przyjaciela. Walter Sullivan nie chce brać udziału w żadnym procesie. Nie chce żadnego roztrząsania szczegółów zbrodni. Skrzywił się na myśl o tym. Obcy poznają intymne szczegóły z życia jego i jego zmarłej żony. Tego by nie zniósł. Chce tylko, żeby tych ludzi złapali. Resztę już zorganizuje. Lord powiedział, że Wirginia posadzi ich na dożywocie. Postanowił zaoszczędzić budżetowi stanowemu kosztów długoletniego przetrzymywania morderców.

Usadowiła się wygodnie na kanapie, bosa stopy podkuliła pod luźną bawełnianą tunikę sięgającą za kolano. Bujny biust wyjrzał na niego, gdy tkanina nagle się odchyliła. Wziął sobie jeszcze dwa piwa, a jej nalał następny kieliszek wina z butelki. W głowie mu teraz lekko szumiało, jakby mały ogieniek się rozpałił w środku. Krawat rozluźniony, marynarka i broń odłożone na kanapę naprzeciwko. Wzięła pistolet do ręki, kiedy go odkładał.

- Jaki ciężki!

- Można się przyzwyczaić. - Nie zadała pytania, które stawiano mu zazwyczaj w takiej sytuacji. Wiedziała, że zabił już kogoś.

- Czy naprawdę zasłoniłbyś prezydenta własną piersią, gdyby do niego strzelano? - Przypatrywała mu się spod wółprzymkniętych powiek. Musi się trzymać, powtarzała sobie. Ale to nie powstrzyma jej od zaciągnięcia młodego mężczyzny do łóżka. Czowała, że kontrola nad sytuacją wymyka jej się z rąk. Tytanicznym wysiłkiem próbowała ją odzyskać. Co ona najlepszego, do licha, robi? W takim kryzysowym momencie zachowuje się jak dziwka. Nie musiała w ten sposób podchodzić do sprawy. Wiedziała to. To uczucie, pochodzące z innej części jej istoty, od lat spychanej na drugi plan, teraz zakłócało proces podejmowania decyzji. Nie może na to pozwolić, nie w tym momencie.

Powinna się przebrać, wrócić do salonu, a jeszcze lepiej do gabinetu, gdzie ciemna dębowa boazeria i ściany obstawione książkami okiełznałyby te niesforne popędy.

Przyglądał się jej pewnym wzrokiem.

- Tak. - Podniosła się już, żeby się przebrać, ale zatrzymała się.

- Ciebie też bym zasłonił, Glorio.

- Mnie? - Głos jej zadrgał. Znów na niego popatrzyła, usiadła z powrotem, zmieniła plany, patrzyła szeroko otwartymi oczami.

- Bez namysłu. Agentów Secret Service jest na pięćki. Szefowa Personelu tylko jeden. Tak to działa. - Spuścił wzrok i dodał łagodnie:

- To nie zabawa, Glorio.

Wrócił z następnym piwem i zauważył, że przysunęła się bliżej, tak by kolanem dotykać jego uda, gdy usiadł. Wyciągnęła nogi i położyła na stoliku przed nimi. Szata podesunęła się wyżej, odsłaniając długie,

szczupłe łydki i pełne, kremowobiałe uda; to były nogi dojrzałej kobiety, ale cholernie atrakcyjnej kobiety. Oczy Collina wędrowały niespiesznie po obnażonej skórze.

- Wiesz, zawsze was podziwiałam. Znaczy wszystkich agentów. - Wyglądała na prawie zmieszaną. - Wiem, czasami traktuje się was jak powietrze. Chciałbym, żebyś wiedział, że was cenię.

- To dobra praca. Nie zamieniłbym jej na nic innego. - Duszkiem wypił następne piwo i poczuł się lepiej. Odprężył się.

Uśmiechnęła się do niego.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

- Zawsze do usług, Glorio. - Poziom pewności siebie wzrósł proporcjonalnie do ilości pochłoniętego alkoholu. Skończył ostatnie piwo, a ona niepewnym palcem pokazała na barek koło drzwi. Zmieszał drinki im obojgu i usiadł z powrotem.

- Wydaje mi się, że mogę ci zaufać, Tim.

- Na pewno.

- Mam nadzieję, że nie zrozumiesz tego źle, ale Burtona nie jestem taka pewna.

- Bill to nasz najlepszy człowiek.

Dotknęła jego ramienia i pozostawiła rękę.

- Nie o to mi chodzi. Wiem, że jest dobry. Czasem tylko nie wiem, co o nim myśleć. Trudno mi to wyjaśnić. Instynkt mi to mówi.

- Trzeba wierzyć instynktom. Ja wierzę. - Popatrzył na nią. Uśmiechnęła się do niego. Wygląda młodziej, dużo młodziej, jakby właśnie skończyła college, gotowa iść w świat.

- Mój instynkt mówi mi, że na tobie mogę polegać.

- Na pewno. - Dopił drinka.

- Zawsze?

Popatrzył jej w oczy, stuknął swoją pustą szklanką w jej kieliszek.

- Zawsze.

Powieki mu ciążyły. Myśli pobiegły do czasów szkoły średniej. Strzelił gola decydującego o mistrzostwie stanu. Cindy Purket patrzyła na niego tak samo. Z tym samym wyrazem - „bierz wszystko” - na twarzy.

Położył dłoń na jej udzie, przesunął w górę i w dół. Ciało po kobiecemu miękkie. Nie opierała się, przysunęła się jeszcze odrobinę. Potem jego ręka skryła się pod tuniką, wędrowała po nadal płaskim brzuchu, musnęła brzeg piersi i pojawiła się z powrotem. Druga ręka objęła ją w talii i przyciągnęła bliżej, dłoń opadła na pośladek i mocno uchwyciła. Wciągnęła głośno powietrze, a potem powoli wypuściła i oparła się o niego. Poczul ciepło jej piersi. Opuściła dłoń do jego twardniejącego krocza i ścisnęła, po czym leniwie przycisnęła wargi do jego ust, powoli cofnęła się i popatrzyła mu w oczy, opuszczając powieki i otwierając szeroko oczy w powolnym rytmie.

Łyknęła drinka i powoli, z ociąganiem wysunęła się z tuniki. Rzucił się do niej, zanurzył ręce pod stanik, aż poczuł, że zapięcie puszcza, ciężkie piersi uwolniły się, skrył w nich twarz. Potem zdarł z niej ostatni element bielizny, roześmiała się, kiedy biustonosz pofrunął pod ścianę. Wstrzymała oddech, gdy podniósł ją bez wysiłku i zaniósł do sypialni.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wspaniały, Jenn. - Jack patrzył na kamienno-ceglany pałacyk, który miał ponad dwieście stóp od końca do końca i więcej pokoi niż gmach college'u. Zastanawiał się, po co ich tyle. Kręty podjazd kończył się przy garażu na cztery samochody, umieszczonym na tyłach. Trawniki były tak wypielęgnowane, że Jack miał wrażenie, że patrzy na jadesitową taflę. Teren za domem był uformowany w trzy terasy, każda mieściła własny basen. To był standard ludzi bardzo bogatych: korty tenisowe, stajnie, piętnaście akrów powierzchni - prawdziwe latyfundium, jak na warunki północnej Wirginii. Można poszaleć.

Pośredniczka kupna-sprzedazy nieruchomości czekała przy drzwiach frontowych, jej ostatni model mercedesa stał zaparkowany przy wielkiej kamiennej fontannie, pokrytej różami wielkości pięści wyrzeźbionymi w granicie. Sprawnie rachowała i przeliczała kwoty prowizji. Ach, cóż za wspaniała młoda para! Powiedziała to tyle razy, że Jackowi aż dudniło w skroniach.

Jennifer Baldwin wzięła go pod rękę i dwie godziny później skończyli obchód. Jack dotarł do krańców trawnika, gdzie zaczynał się starodrzew, a w nim wiązy, świerki, klony, sosny i dęby. Jack podziwiał czerwienie, żółcie i brązy jesiennych liści tańczących na wietrze.

- A więc ile? - Uznał, że ma prawo zadać to pytanie, chociaż już był pewien, że posiadłość jest absolutnie poza ich zasięgiem. W każdym razie jego zasięgiem. Musiał przyznać, że jest tu pięknie. I wygodnie.

Najwyżej trzydzieści minut w godzinach szczytu od jego biura. Ale nie dadzą rady. Popatrzył wyczekująco na narzeczoną.

Spuściła wzrok, potem popatrzyła mu w oczy.

- Trzy miliony osiemset.

Twarz Jacka poszarzała.

- Trzy miliony osiemset tysięcy? Dolarów?

- Jack, to jest warte trzy razy tyle.

- To dlaczego sprzedają za trzy miliony osiemset? Nie stać nas na to, Jenn. Zapomnij o tym.

W odpowiedzi przewróciła oczami. Pomachała uspokajająco do pośredniczki, która usiadła w samochodzie, przygotowując umowę.

- Jenn, wyciągam sto dwadzieścia patyków rocznie. Ty jakieś drugie tyle, może trochę więcej.

- Kiedy zostaniesz współnikiem...

- Owszem. Moje zarobki wzrosną, ale nie aż tak. Nie damy rady spłacić hipoteki. Myślałem, że wprowadzimy się do ciebie.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla małżeństwa.

- Nieodpowiednie? Masz cholerny pałac. - Podeszedł do pomalowanej na zielono ławki i usiadł. Stała przed nim, z rękami założonymi na piersiach i determinacją na obliczu. Letnia opalenizna zaczynała blednąć. Miała na sobie beżowy męski filcowy kapelusz, spod którego długie włosy spadały jej na ramiona. Spodnie były skrojone idealnie do jej elegancko szczupłej sylwetki. Wypolerowane skórzane kowbojki znikwały w wąskich nogawkach.

- Nie będziemy obciążać hipoteki, Jack.

Popatrzył na nią.

- Co ty powiesz? Dają nam to wszystko w prezencie, bo jesteśmy taką wspaniałą młodą parą?

- Tatusz zapłaci gotówką, a my go spłacimy.

Tylko na to czekał.

- Spłacimy go? Jak, do cholery, mamy go spłacić?

- Zaproponował bardzo dogodny plan spłat, który bierze pod uwagę przyszłe oczekiwane zarobki. Na

litość boską, Jack, mogłabym za to zapłacić zakumulowanymi odsetkami z któregoś z moich funduszków powierniczych, ale wiem, że byś się sprzeciwił. - Usiadła koło niego. - Pomyślałam, że tak jak proponuję, będzie lepiej. Wiem, jaki ty jesteś czuły na punkcie baldwinowskiej forsy. Spłacimy to tatusiowi. To nie prezent. To pożyczka, oprocentowana. Sprzedam swój dom. Dostanę jakieś osiem stów na rękę. Ty też włożysz w to jakieś pieniądze. To nie darmo. - Wesóło przytknęła mu palec wskazujący do piersi, szykując decydujący argument. Obejrzała się na dom. - Jest piękny, co, Jack? Będziemy tu szczęśliwi. Stworzony jak dla nas.

Jack popatrzył jeszcze raz. Gruba kołdra bluszczu okalała wejście. Solidny, prawdziwy dom. Tchnął spokojem i wygodą. Może z niego korzystać już od tej chwili. Piękny, musi to przyznać. Czy w pięknych rzeczach jest coś złego? Jako wspólnik wyciągnie jakieś czterysta patyków. A jak zacznie ściągać nowych klientów, kto wie? Lord dostaje pięć razy tyle, a to tylko jego „podstawa”. Ile zarabia naprawdę? A jeszcze akcje od klientów.

Zarobki wspólników były ściśle tajne i nigdy o nich w firmie nie rozmawiano, nawet w najzupełniej nieformalnych okolicznościach. Jednakże Jack odgadł hasło komputerowe chroniące dostęp do danych wspólników. Brzmiało „żądza”. Jakaś sekretarka musiała się niezłe bawić. Dwa miliony. Zaledwie trzydzieści dwa lata. Popatrzył na trawnik przed domem rozmiarów pokładu lotniskowca. Przebiegła mu przez głowę wizja.

- Mnóstwo miejsca, żeby pograć z dziećmiakami w nogę. - Popatrzył na nią, uśmiechnął się.

Przysunęła się, wzięła go za rękę.

- No, miejsca a miejsca. - Oddała uśmiech, pocałowała go. To zajmie trochę czasu, pomyślała. Ale uda jej się wreszcie zdobyć kontrolę nad Jackiem Grahamem. To wyzwanie jest tak różne od tych mięczaków i lizusów, z którymi miała dotąd do czynienia. Uwielbia wyzwania.

Pośredniczka, obserwująca ich uważnie, odetchnęła z ulgą i skończyła pisać umowę.

Na wysokości trzydziestu sześciu tysięcy stóp nad ziemią Walter Sullivan rozparł się wygodnie w swoim fotelu i wyrzwał w ciemność przez okno 747. W miarę jak przesuwali się ze wschodu na zachód, Sullivan dodawał godziny do swojego dnia, ale nigdy nie przejmował się strefami czasowymi. Im był starszy, tym mniej snu potrzebował, a od początku nie potrzebował go wiele.

Człowiek, który siedział naprzeciwko niego, wykorzystywał okazję, żeby dokładnie przyjrzeć się starszemu mężczyźnie. Sullivan znany był w całym świecie jako biznesmen przestrzegający prawa, choć lubiący czasem postraszyć albo popchnąć to i owo swoją potęgą. Przestrzegający prawa. To kluczowe określenie przebiegało przez głowę Michaela McCarty'ego. Przestrzegający prawa biznesmeni na ogół nie mają ani potrzeby, ani ochoty na rozmowy z dżentelmenami profesji McCarty'ego. Ale kiedy najtajniejszymi kanałami otrzymasz sygnał, że chce się z tobą spotkać najbogatszy człowiek na świecie, wtedy udajesz się na spotkanie. McCarty nie został jednym z najlepszych płatnych zabójców na świecie z powodu szczególnego upodobania do tej pracy. Powodem było szczególne upodobanie do pieniędzy i luksusów, jakie te pieniądze zapewniały.

Atutem McCarty'ego było to, że sam wyglądał na biznesmena, absolwenta uczelni z Ivy League, co nie odbiegało od prawdy, bo uzyskał dyplom z polityki międzynarodowej w Dartmouth. Z gęstymi, kręconymi ciemnymi włosami, szerokimi ramionami i twarzą bez zmarszczek mógł być odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą albo wziętym gwiazdorem filmowym. To, że zarabiał na życie zabijaniem ludzi po stawce ponad milion dolarów za głowę, nie zepsuło jego młodzieńczej aparycji ani nie stłumiło ochoty na życie.

Walter wreszcie na niego popatrzył. McCarty, mimo niewzruszonego zaufania do własnych zdolności i zimnej krwi w każdej sytuacji, zaczął się denerwować pod badawczym spojrzeniem miliardera. Z jednej elity do drugiej.

- Chcę, żeby pan kogoś dla mnie zabił - powiedział Sullivan po prostu. - Niestety na razie nie wiem, kim jest ta osoba. Ale przy odrobinie szczęścia pewnego dnia się dowiem. Dopóki jednak to nie nastąpi, będzie pan w stałym pogotowiu i pańskie usługi będą do mojej dyspozycji w każdej chwili, w razie gdybym ich potrzebował.

McCarty uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jest pan zapewne świadomy mojej reputacji, panie Sullivan. Na moje usługi jest olbrzymi popyt. Moja praca wymaga jazdy po całym świecie. Gdybym miał poświęcić cały czas dla pana, aż nadarzy się okazja, wtedy musiałbym zrezygnować z innych zleceń. Obawiam się, że moje konto bankowe, jak również moja reputacja ucierpiałyby na tym.

- Sto tysięcy dolarów dziennej diety, dopóki nie nadarzy się okazja, panie McCarty. Kiedy pomyślnie wykona pan zadanie, otrzyma pan swoją podwójną stawkę. Nie mam wpływu na podtrzymanie pańskiej reputacji, ale ufam, że proponowane warunki zapobiegną jakiegokolwiek uszczerbkowi w pańskim statusie finansowym.

Oczy McCarty'ego rozszerzyły się odrobinę, po czym odzyskał panowanie nad sobą.

- Bez wątpienia, panie Sullivan.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że mam zaufanie nie tylko do pańskich umiejętności eliminowania podmiotów, ale również do pańskiej dyskrecji.

McCarty ukrył uśmiech. Zabrano go do samolotu Sullivana w Istambule o północy czasu miejscowego. Załoga nie miała pojęcia, kim jest. Nigdy nie został zidentyfikowany, dlatego nie miało znaczenia, czy ktokolwiek go rozpozna. To, że Sullivan spotkał się z nim osobiście, eliminowało jedną sprawę - pośrednika, który miałby Sullivana w ręku. McCarty ze swej strony nie miał absolutnie żadnego powodu, żeby sypnąć Sullivana, i wszelką motywację, żeby tego nie robić.

- Otrzyma pan szczegółowe dane, gdy tylko je zdobędziemy. Osiedli się pan w Waszyngtonie, w śródmieściu, aczkolwiek zadanie może wymagać od pana podróży w dowolny punkt na świecie. Ma pan się przeprowadzić niezwłocznie. Poinformuje mnie pan o swoim miejscu pobytu i będzie się pan ze mną kontaktował codziennie poufnym kanałem komunikacyjnym, który zorganizuję. Będzie pan pokrywał swoje wydatki z diety, którą panu przyznałem. Należności będą przekazywane telegraficznie na dowolne konto, które pan poda. Moje samoloty będą do pańskiej dyspozycji, gdyby zaszła taka potrzeba. Zrozumiano?

McCarty skinął głową, nieco przytłoczony serią rozkazów swojego klienta. Ale jak człowiek zostaje miliarderm, to musi być trochę władczy, nie? Poza tym McCarty czytał o Christine Sullivan. Nie można mieć pretensji do staruszka, że się trochę wkurzył.

Sullivan przycisnęła guzik w poręczy fotela.

- Thomas? Za ile będziemy w kraju?

Odpowiedź przyszła szybko.

- Za pięć godzin piętnaście minut, panie Sullivan, jeśli utrzymamy obecną prędkość i pułap.

- No to utrzymajcie.

- Tak jest, sir.

Sullivan nacisnął inny przycisk i steward podał im taki obiad, jakiego McCarty nigdy dotąd nie jadł w samolocie. Sullivan nie odzywał się, póki nie skończyli jeść, po czym przeszli do salonu. Sullivan

odprawił gestem stewarda, który znikł w tyle samolotu.

- Jeszcze jedna rzecz, panie McCarty. Czy kiedykolwiek zdarzyło się panu nie podołać zadaniu?

McCarty zmrugał oczyma, gdy wpatrzył się w swojego nowego zleceniodawcę. Po raz pierwszy widać było, że dystyngowany absolwent renomowanej uczelni jest niezwykle niebezpieczny.

- Raz, panie Sullivan. Izraelczycy. Czasami wydaje się, że mają nadludzkie możliwości.

- Proszę, żeby się to panu nie zdarzyło drugi raz, panie McCarty. Dziękuję panu.

Seth Frank błędził po domu Sullivanów. Żółte policyjne taśmy wciąż były rozpięte na zewnątrz i łopotwały miękko na wzmagającym się wietrze, który pędził gęstniejące, ciemne chmury. Zanosilo się na ulewę. Sullivan mieszkał w swoim apartamencie w Watergate, w śródmieściu. Służba domowa pozostawała w rezydencji chlebodawcy na Fisher Island, na Florydzie, obsługując członków rodziny Sullivana. Frank osobiście przesłuchiwał już wszystkich. Mają tu zostać przywiezieni na dalsze szczegółowe przesłuchania.

Przez chwilę podziwiał otoczenie. Jakby zwiedzał muzeum. Co za forsa. Wszystko aż nią ociekało, od antyków wysokiej klasy aż do obrazów olejnych z autentycznymi sygnaturami, porozwieszanych tu i ówdzie. Wszystko w tym domu to oryginały.

Zawędrował do kuchni, a potem do jadalni. Stół przypominał most przerzucony przez jasnoniebieski dywan rozpościerający się na połyskującym parkiecie. Stopy aż zapadły się w grubą, ciężką szczotkę. Usiadł na szczycie stołu, z nieustająco błędzącymi oczyma. Z tego, co mogli wywnioskować, w tym pomieszczeniu nic się nie zdarzyło. Czas ucieka, a postępy są mniej niż skromne.

Za oknem słońce na moment przedarło się przez ciężkie chmury i Frank dokonał pierwszego przełomu w dochodzeniu. Nie zauważyłby tego, gdyby nie oddał się podziwianiu sztukaterii na obrzeżach sufitu. Piękna robota, jego ojciec był rzemieślnikiem, doceniłby ją.

Wtedy właśnie zaobserwował tęczę na suficie. Podziwiał właśnie równoległe smugi kolorów, i zastanowiło go, skąd się wzięły. Jak w ludowej opowieści zaczął szukać skarbu na końcu barwnego zjawiska. Zajęło mu to chwilę, ale znalazł. Ukląkł szybko przy jednej z nóg stołu i zajrzał pod nią. Stół, antyk z połowy ubiegłego stulecia, ważył tyle co ciężarówka z naczepą. Kilkakrotnie się przykładał, aż pot wystąpił mu na czole, zanim wyciągnął to spod nogi.

Usiadł na podłodze i przyjrzał się swojemu znalezisku, które mogło okazać się na wagę złota. Mała podkładka ze srebrnej folii, używana przy praniu dywanów do ochrony nóg mebli, żeby wilgoć ich nie uszkodziła, a także chroniąca mokry włos przed zafarbowaniem od politur. Promienie słoneczne odbite od jej lustrzanej powierzchni rozszczepiły się w śliczną tęczę. Takich samych używała u niego w domu żona, kiedy w przewidywaniu wizyty teściów postanawiała zrobić generalne porządki.

Wyciągnął notatnik. Służba przybędzie na lotnisko Dullesa jutro o dziesiątej rano. Frank nie sądził, żeby w takim domu takie kawałki folii jak ten, który trzymał, pozostawały na miejscu dłużej niż to konieczne. Może to nic nie znaczy. A może wszystko. Najpewniej coś pośrodku, jeśli będzie miał dużo, dużo szczęścia.

Znów opadł na podłogę i powąchał dywan, przeczesał palcami włosie. Te dzisiejsze preparaty, żadnych śladów. Bez zapachu, wysychają w parę godzin. Już niedługo dowie się, kiedy to było; może coś z tego wyniknie. Mógłby wezwać Sullivana, ale z jakiegoś powodu chciał wyciągnąć informację od kogoś innego niż właściciel domu. Staruszek nie znajdował się na czele jego listy podejrzanych, ale Frank był na tyle inteligentny, żeby mieć świadomość, że Sullivan pozostaje na tej liście. Czy przesunie się na niej w górę, czy w dół, zależy od tego, czego się Frank dowie dziś, jutro czy w przyszłym tygodniu. Do takiej

prostej zasady to się sprowadza. To dobrze, bo jak dotąd nic w sprawie śmierci Christine Sullivan nie było proste. Opuszczał pokój, myśląc o nieoczekiwanych tęczach i o nieoczekiwanych zwrotach w policyjnych śledztwach.

Burton przeglądał tłum, Collin stał tuż przy nim. Alan Richmond podążył w stronę zaimprovizowanego podium na stopniach budynku sądowego w Middleton, wielkiego gmachu z cegły z jaskrawo białymi elementami dekoracji architektonicznej, szarymi cementowymi schodami i flagą amerykańską, która powiewała i łopotała w porannym wietrze. Punktualnie o dziewiętej trzydzieści pięć prezydent zaczął przemawiać. Za nim stał, z miną niedostępną i pozbawioną emocji, Walter Sullivan, a obok niego ociężały Herbert Sanderson Lord.

Collin przesunął się odrobinę w stronę tłumy reporterów u podnóża schodów, którzy rozdzielili się i ustawili, jak dwie drużyny koszykarzy czatujących na piłkę. Z domu szefowej personelu wyszedł o trzeciej nad ranem. Co to była za noc. Co to był za tydzień! Na pozór bezlitosna i pozbawiona uczuć Gloria Russell pokazała Collinowi swoją ukrytą stronę, stronę, która pociągała go niezwykle mocno. Wciąż wydawało mu się, że to tylko sen. Spał z szefową personelu prezydenta. Takie rzeczy się nie zdarzają. Ale zdarzyło się agentowi Timowi Collinowi. I zdarzy się znowu. Zaplanowali, że zobaczą się dziś wieczorem. Muszą uważać, ale oboje są z natury ostrożni. Do czego to doprowadzi, Collin nie wiedział.

Urodzony i wychowany w Lawrence w stanie Kansas, Collin przyswoił sobie solidny zestaw wartości cenionych na Środkowym Zachodzie, na których mógł się oprzeć. Umawiasz się z dziewczyną, zakochujesz, żenisz i masz czwórkę czy piątkę dzieci. Wyłącznie w tej kolejności. Tutaj nic takiego nie obowiązywało. Wiedział jedynie, że chce być z nią znowu. Popatrzył w bok i spostrzegł ją - stała z tyłu, za prezydentem, z jego lewej strony. Ciemne okulary, włosy lekko targane przez wiatr, zdawała się sprawować kontrolę nad wszystkim, co ją otacza.

Burton prawie nie spuszczał oka z tłumy, ale kiedy rzucił krótkie spojrzenie swojemu partnerowi, zauważył, że ten przypatruje się szefowej personelu. Burton zafrasował się. Collin to dobry agent, wywiązywał się ze swojej roboty doskonale, wręcz był nadgorliwy. Nie on jeden w służbie ma tę cechę, w ich pracy to żadna wada. Ale wzrok ma mieć wbity w tłum, to stamtąd może coś grozić. Co jest, do cholery, grane? Zerknął w bok na Russell, ale ona wpatrywała się wprost przed siebie, najwidoczniej obojętna na ludzi, których obowiązkiem jest ją chronić. Burton jeszcze raz popatrzył na Collina. Chłopak nareszcie przegląda tłum, z lewa na prawo, z prawa na lewo, czasami rzuca okiem w górę, czasem wprost przed siebie. Bez żadnego powtarzalnego planu, ewentualny zamachowiec nie ma na co liczyć. Ale Burton nie mógł zapomnieć spojrzenia, jakie kolega posłał szefowej personelu. Za szklami okularów słonecznych Burton zobaczył coś, co mu się nie spodobało.

Alan Richmond skończył przemówienie, spoglądając w bezchmurne niebo, wiatr tymczasem mierzwił mu nieskazitelnie wymodelowaną fryzurę. Wyglądał, jakby szukał pomocy boskiej, ale tak naprawdę to starał się przypomnieć sobie, czy spotkanie z ambasadorem Japonii ma o drugiej, czy o trzeciej dziś po południu. To jego natchnione, prawie wizjonerskie spojrzenie dobrze wyjdzie w wieczornych wiadomościach.

Odwrócił się do Waltera Sullivana i obdarzył nieutulonego w żalu małżonka uściskiem odpowiednim dla człowieka jego kalibru.

- Wielki Boże, tak mi przykro, Walterze. Moje najszczerze, najszczerze kondolencje. Jeśli tylko jest coś, co mógłbym dla ciebie, wiesz przecież.

Sullivan uchwycił się dłoni, którą mu podał, nogi zaczęły mu drżeć, aż dwóch członków jego obstawy

dyskretnie wsparło go szybkim ruchem mięśni ramion.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Mów do mnie Alan, proszę, Walterze. Jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi.

- Dziękuję, Alanie, nie masz pojęcia, jak bardzo doceniam to, że poświęciłeś tyle czasu. Christy byłaby wzruszona twoimi dzisiejszymi słowami.

Jedynie Gloria Russell, która obserwowała obu rozmówców z bliska, zauważyła cień drwiącego uśmiechu, jaki pojawił się w kąciку ust jej przełożonego. Znikł zresztą natychmiast.

- Wiem, że żadne moje słowa nie uczynią zadość sprawiedliwości, Walterze. Coraz więcej rzeczy na tym świecie nie ma sensu i celu. Gdyby Christine się nie rozchorowała, poleciałaby z tobą i to by się nie wydarzyło. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego dochodzi do takich rzeczy, nikt nie potrafi. Ale chcę, żebyś wiedział, że jestem przy tobie i pomogę ci, kiedy tylko zajdzie potrzeba. O każdej porze, w każdym miejscu. Tak wiele razem przeszliśmy. A ty tak bardzo pomogłeś mi w ciężkich czasach.

- Twoja przyjaźń, Alanie, zawsze była dla mnie cenna. Nie zapomnę tego.

Richmond otoczył ramieniem plecy staruszka. Na długich tykach dyndały koło nich mikrofony. Osaczały ich mimo zbiorowych wysiłków obstawy obu mężczyzn.

- Walter, zajmę się tą sprawą. Wiem, że niektórzy powiedzą, że to nie mój interes i że na moim stanowisku nie mogę się w takie rzeczy angażować osobiście. Ale do licha z tym, Walterze, jesteś moim przyjacielem i nie pozwolę, żeby ta sprawa się gdzieś rozmyła. Znajdziemy winnych i zapłacą nam za to.

Obaj mężczyźni objęli się jeszcze raz, kamerzyści nie tracili czasu. Wysoka na dwadzieścia stóp antena stercząca z dachu wozu transmisyjnego posłusznie wysłała w świat ten rozczulający moment. Jeszcze jeden przykład, że prezydent Alan Richmond jest więcej niż prezydentem. Personel Białego Domu odpowiedzialny za popularność prezydenta mógł spokojnie myśleć o wynikach przedwyborczych sondaży.

Skakanie z kanału na kanał: MTV, Grand Ole Opry, QVC, CNN, Pro Wrestling i znów CNN. Mężczyzna aż unosi się na łóżku, gasi papierosa, odkłada pilota. Konferencja prasowa prezydenta. Prezydent poważny, wstrząśnięty - jak tego wymaga taka odrażająca zbrodnia, zabójstwo Christine Sullivan, żony miliardera Waltera Sullivana, jednego z najbliższych przyjaciół prezydenta. Zbrodnia, która jest symbolem rosnącego bezprawia w tym kraju. Czy prezydent także robiłby tyle szumu, gdyby ofiarą była biedna Murzynka, Latynoska czy Azjatka, znaleziona z podejrzanym gardłem w zaułku w południowo-wschodnim rejonie Dystryktu Kolumbii - o to nie pytano. Prezydent mówi pewnym, zdecydowanym tonem, ze śladami gniewu. Przemocy trzeba położyć kres. Ludzie muszą czuć się bezpiecznie w swoich mieszkaniach czy też w swoich rezydencjach, jak w tym szczególnym wypadku. Wystąpienie robi wrażenie. Cóż za mądry i troskliwy prezydent. Dziennikarze łykali ten kit i zadawali jedynie słuszne pytania.

Telewizja pokazała też szefową personelu, Głorię Russell, ubraną w czerń, jak kiwa aprobująco głową, gdy prezydent porusza kluczowe kwestie w swoich poglądach na zbrodnię i karę. W następnych wyborach głosy policyjnej braci oraz emerytów prezydent ma w kieszeni. Dla czterdziestu milionów głosów warto narażać się na trudy porannych przejazdów. Richmond wiedział, co robi.

Mimo początkowych obaw i wątpliwości, czy należy okazywać zbyt duże zainteresowanie tym wydarzeniem, które znali aż za dobrze, Gloria Russell promieniała zadowoleniem. Nie byłaby taka zachwycona, gdyby wiedziała, kto ogląda ich na ekranie właśnie w tej sekundzie. Czyje oczy wwiercają się w ich twarze, w miarę jak wspomnienia tej nocy, nigdy głęboko nie pogrzebane, wylewają się na powierzchnię i wybuchają jak pożar szybu naftowego, siejąc wokół żar i zniszczenie.

Lot na Barbados obył się bez atrakcji. Airbus to ogromny statek, który potężne silniki bez trudu oderwały od ziemi w San Juan na Puerto Rico i w ciągu paru minut wyniosły na pułap trzydziestu sześciu tysięcy stóp. Samolot był wypełniony, ponieważ San Juan to punkt przesiadkowy dla turystów zmierzających ku gromadce wysp, stanowiącej wakacyjną mekkę Amerykanów. Pasażerowie z Oregonu, Nowego Jorku i wszelkich miejsc leżących pomiędzy tymi dwoma punktami przyglądali się wałowi czarnych chmur, gdy samolot pochylił się na lewe skrzydło i odwrócił tyłem do tych pozostałości nieco przedwcześniejszej zwrotnikowej burzy, która nawet nie pretendowała do miana huraganu.

Metalowe schody podjechały i opuścili samolot. Samochód, maleńki jak na amerykańskie standardy, zabrał piątkę z nich i po niewłaściwej stronie szosy zdążył do Bridgetown, stolicy tej byłej kolonii brytyjskiej, gdzie wpływy kolonialne pozostały nadal wyraźne w mowie, ubiorze i drobnych dziwactwach. Z melodyjnym akcentem kierowca objaśniał im najważniejsze cuda maleńkiej wysepki, szczególnie polecając wyprawę pirackim żaglowcem, jako że statek pod czarną banderą z trupią czaszką nadal pływał po tutejszych wzburzonych morzach. Na jego pokładzie bladych, ale przysmażających się powoli na czerwono turystów pojono ponczem rumowym w takich ilościach, że przed popołudniowym zawinięciem do portu wszyscy byli całkiem zalani albo bardzo chorzy, albo jedno i drugie.

Na tylnym siedzeniu dwa małżeństwa z Des Moines z podnieceniem szczebiotały o tym, jak spędzą czas na wyspie. Starszy mężczyzna, który usiadł na przednim siedzeniu, wyglądał przez przednią szybę, a myślami był jakieś dwa tysiące mil na północ. Raz czy dwa sprawdził, dokąd jada, instynktownie pragnąc zachować orientację w terenie. Wyraźniejszych punktów orientacyjnych brakowało. Wyspa ma zaledwie dwadzieścia mil długości i czternaście szerokości. Prawie niezmienny upał na poziomie dwudziestu ośmiu stopni Celsjusza łagodzony jest niską wilgotnością i stałym wiatrem, wiejącym mocno ze wschodu: na jego szum przestaje się w końcu zwracać uwagę, ale wnika on do podświadomości i jest tam stale obecny, jak wyblakły, ale wciąż robiący wrażenie sen.

Hotel standardu amerykańskiego Hiltona postawiono na sztucznej plaży, która wystawała w morze u jednego z krańców wyspy. Obsługa była dobrze wyszkolona, uprzejma i nie narzucająca się. Podczas gdy większość gości z lubością korzystała z opiekuńczości obsługi, jeden z klientów z premedytacją unikał wszelkiego kontaktu i wychodził z pokoju tylko po to, by włóczyć się po odludnych zakątkach białej plaży albo górach po atlantyckiej stronie wyspy. Resztę czasu spędzał samotnie w swoim pokoju, jedynie przy lampce nocnej i telewizorze, wśród niesprzątniętych tac po posiłkach i wyplatanych mebli.

Pierwszego dnia Luther złapał taksówkę przed hotelem i kazał się wieźć na północ, prawie na krawędź wyspy, gdzie na szczycie jednego z licznych wzgórz stała rezydencja Sullivana. To, że Luther wybrał Barbados, nie było kwestią czystego przypadku.

- Pan zna pana Sullivana? Nie ma go. Wrócił do Ameryki. - Melodyjny akcent taksówkarza wyrwał Luthera z transu. Ciężką kutą bramę osadzono w ogrodzeniu u podnóża trawiastego wzgórza, za nią biegł kręty podjazd prowadzący w górę do pałacu, który swoim łososiowym tynkiem i osiemnastostopowymi marmurowymi kolumnami dziwnie pasował do bujnej zieleni, jak ogromny różowy kwiat wykwitający z masy krzewów.

- Byłem kiedyś u niego - odpowiedział Luther. - W Stanach. - Taksiarz spojrział nań z szacunkiem. - Czy ktoś jest w domu? Ktoś ze służby?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Wszyscy pojechali. Dziś rano.

Z oczywistej przyczyny. Znaleziono panią domu.

Następne kilka dni Luther spędził na szerokiej białej plaży, obserwując, jak statki wycieczkowe

wypluwają swoich pasażerów do wolnocłowych sklepów w centrum miasta. Tubylecy w dredach na głowach krążyli z neserami wypchanymi zegarkami, paciorkami i najrozmaitszymi podróbkami.

Za pięć dolarów amerykańskich można obejrzeć, jak wyspiarz odcina liść aloesu i płynącą z niego gęstą cieczą napełnia szklaną buteleczkę, aby korzystać z niej później, kiedy słońce przysmaży skórę, która dotąd drzemała nietknięta, ukryta pod garniturami i bluzkami.

Piękno wyspy miało posłużyć Lutherowi do uwolnienia się, przynajmniej do pewnego stopnia, od melancholii. I w końcu ciepłe promienie słoneczne, łagodna bryza i niespieszne tempo życia na wyspie zrobiły swoje: ukoili jego roztrzęsione nerwy do tego stopnia, że od czasu do czasu uśmiechnął się do przechodnia, mruknął coś do barmana i szączył lekkie drinki długo w noc na plaży, przysłuchując się miarowemu dudnieniu przyboju i uwalniając się od swojego koszmaru. Planował ruszyć dalej za parę dni. Dokąd, tego jeszcze nie był pewien.

Luther skakał pilotem po kanałach i zatrzymał się na programie CNN, poczuł się, jak schwyтана na haczyk ryba, którą ściga wędkarz, znów znalazł się w miejscu, skąd chciał uciec przez pół świata.

Później uświadomił sobie, że siedział na łóżku wyprostowany, bez tchu, jakby właśnie otrzymał cios prosto w żołądek.

Russell wygramoliła się z łóżka i podeszła do biurka, szperając w poszukiwaniu papierosów.

- Zabierają ci dziesięć lat życia. - Collin przeturłał się i z przyjemnością ją obserwował.

- Ta robota już to zrobiła. - Zapaliła, zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła dym i z powrotem wpełzła pod kołdrę, siedzeniem wtulając się w Collina, uśmiechając się z ukontentowaniem, kiedy otoczył ją ramionami.

- Ta konferencja prasowa wypadła dobrze, nie uważasz? - Widziała, jak się namyśla. Czytała w nim jak w otwartej księdze. Oni wszyscy byli tacy.

- Jeśli się nie dowiedzą, jak było naprawdę.

Odwróciła się do niego twarzą, palcem pieściła po szyi, kreśliła „v” na jego gładkiej piersi. Pierś Richmonda była owłosiona, niektóre kępki siwiały. Klatka Collina jest gładka jak pupcia niemowlęcia, ale pod skórą wyczuwała twardość mięśni. Bez wysiłku mógłby jej skrócić kark gołymi rękami. Zastanawiała się, jak by to było.

- Wiesz, że mamy problem.

- Tak, facet ma nóż z krwią i odciskami palców prezydenta i zmarłej kobiety. Rzekłbym, że to duży problem.

- Jak myślisz, dlaczego on tego nie ujawnił?

Collin się wzdygnął. Gdyby był na miejscu tego faceta, toby zniknął. Ukrył znalezisko i zwiął. Miliony dolarów. Przy całej swojej lojalności, co Collin mógłby zrobić z taką forszą? Też by zniknął. Na jakiś czas. Spojrzał na nią. Gdyby miał taką forszę, czy ona zechciałaby z nim wyjechać? Może ten gość to jakiś stronnik prezydenta, członek jego partii, może głosował na niego. Tak czy inaczej pewnie nie chce ściągać na siebie kłopotów.

- Może się boi?

- Są sposoby, żeby nie wyjawić swojej tożsamości.

- Może facet nie ma dość oleju w głowie. Albo nie widzi w tym żadnej korzyści. Może go to gównem obchodzi. Wybieraj, co wolisz. Jeśli zamierzałby to ujawnić, to prawdopodobnie już by to zrobił. A jeśli zrobi, to szybko się dowiemy.

Usiadła w łóżku.

- Tim, naprawdę to mnie bardzo niepokoi. - Napięcie w jej głosie sprawiło, że także usiadł. - To ja podjęłam decyzję, żeby zachować nóż w takim stanie. Jeśli prezydent się o tym dowie... - Popatrzyła na niego. Odczytał ze spojrzenia, co chciała mu powiedzieć, i pogłaskał ją po włosach, a potem wziął pod brodę.

- Ode mnie się nie dowie.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, Tim, naprawdę ci ufam. Ale jeśli ten ktoś spróbuje się jakoś skontaktować bezpośrednio z prezydentem?

Collin wyglądał na zdezorientowanego.

- Dlaczego miałby to zrobić?

Russell przesunęła się na krawędź łóżka, jej stopy zwisały kilka cali nad podłogą. Po raz pierwszy Collin zauważył małe czerwone, owalne znamię u nasady karku. Następnie zauważył, że drży, mimo iż w pokoju było ciepło.

- Dlaczego miałby to zrobić, Glorio? - Collin przysuwał się do niej.

Mówiła w kierunku ściany sypialni.

- Czy przyszło ci do głowy, że ten nóż to w tej chwili najdroższy przedmiot na świecie? - Odwróciła się ku niemu, zmierzwiła mu włosy, uśmiechnęła się do jego ogłupiałej miny, którą powoli zastępowało zrozumienie.

- Szantaż?

Skinęła głową.

- Jak mógłby ktoś szantażować prezydenta, do cholery?

Wstała, zarzuciła na ramiona luźny szlafrok i nalała sobie z już prawie pustej karafki.

- Nawet prezydent może być narażony na próby szantażu. Przecież ma więcej do stracenia... albo do zyskania.

Powoli mieszała drinka, usiadła na kanapie i przechyliła szklankę, płyn był ciepły i kojąco spływał do żołądka. Ostatnio pije znacznie więcej niż zwykle. Nie zakłóca to jej sprawności, ale będzie musiała się pilnować, zwłaszcza w tym krytycznym momencie. Ale uznała, że będzie się pilnować od jutra. Dziś, kiedy nad głową wisi jej polityczna katastrofa, a młody przystojny mężczyzna czeka w jej łóżku, może sobie pozwolić na drinka. Czuli się, jakby ubyli jej piętnaście lat. Z każdą chwilą spędzoną z nim czuli się coraz piękniejsza. Nie może zapomnieć o zasadniczym celu tych spotkań, ale dlaczego niby ma odmówić sobie odrobiny przyjemności.

- Czego ode mnie oczekujesz?

Russell na to czekała. Jej młody, przystojny agent Secret Service. Współczesny rycerz w srebrnej zbroi, jak ten, o których czytała jako podłotek. Jej rycerz. Patrzyła na niego, lekko kołysząc szklanką. Drugą ręką powoli zdejmowała z siebie szlafrok, pozwoliła mu upaść na podłogę. Ma dość czasu, zwłaszcza że jest trzydziestosiedmioletnią kobietą, która nigdy nie nawiązała poważnego związku z mężczyzną. Dość czasu na wszystko. Drink oddalał jej lęki, jej urojenia. A także jej ostrożność. Ostrożność, której potrzebuje aż nadto. Ale nie dziś w nocy.

- Jest coś takiego, co mógłbyś dla mnie zrobić. Ale powiem ci rano. - Uśmiechnęła się, położyła na kanapie i wyciągnęła rękę. Posłusznie wstał i podszedł do niej. Po chwili słychać było tylko jęki, westchnienia i monotonne skrzypienie przeciążonej kanapy.

Na ulicy, w pewnym oddaleniu od domu Glorii Russell, Bill Burton siedział w niezwracającym uwagi

chevroletcie swojej żony i popijał z puszką dietetyczną colę. Od czasu do czasu rzucał okiem na dom, który obserwował. Jego partner wszedł tam o 22.14. Burton ujrzał też przez moment szefową personelu w stroju, który nie wskazywał na służbowy charakter tej wizyty. Za pomocą teleobiektywu zrobił dwa zdjęcia tej szczególnej sceny. Russell zamordowałyby, żeby je dostać w swoje ręce. Światła w mieszkaniu zapalały się w kolejnych pokojach, aż wreszcie wszystkie pogasły, z wyjątkiem słabej lampki we wschodniej części domu.

Burton popatrzył na tył samochodu partnera. Chłopak popełnił błąd. Być tutaj. To koniec kariery, być może dla obojga, dla niego i dla Russell. Burton wrócił myślami do tamtej nocy. Russell wrzasnęła, zaglądnąca do torebki. Błysk orientacji na twarzy chłopaka i już gnał z powrotem. Po co? W całym tym zamieszaniu Burton nawet nie spytał. A później pędzili przez zboże za kimś, kogo w ogóle tam nie mogło być, a był, do jasnej cholery.

Miał zapytać chłopaka. Ale mgliście wyczuł jakąś rozwijającą się powoli konspirację. Ponieważ został z niej wykluczony, przypuszczał, że nic dobrego z niej nie wyniknie, zwłaszcza dla niego. Nawet przez moment nie podejrzewał, że Russell zainteresowana jest wyłącznie tym, co jego partner ma w rozporcu. Ona nie z tych, co to, to nie. Wszystko, co robi, jest przemyślane, ma jakiś cel, ważny cel. Dobrze rżnięte mięso z młodym bismem nie może być dla niej ważnym celem.

Minęły jeszcze dwie godziny. Burton popatrzył na zegarek. Za chwilę poderwał się, bo zobaczył, jak Collin otwiera drzwi frontowe, powoli idzie do samochodu, wsiada. Kiedy przejeżdżał, Burton położył się na siedzeniu, czując lekkie wyrzuty sumienia, że śledzi swojego kolegę. Zobaczył miganie kierunkowskazu i ford pojechał w stronę tańszych dzielnic Waszyngtonu.

Burton popatrzył na dom. Zapaliło się światło, to pewnie salon. Jest późno, ale najwidoczniej pani domu dopiero zaczyna. Jej energia i wytrwałość były w Białym Domu legendarne. Burton przez moment zastanowił się, czy w łóżku też odznacza się tymi cechami. Za dwie minuty uliczka opustoszała. Światło w domu paliło się nadal.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Samolot wylądował z hukiem i ostro hamował na betonowej nawierzchni głównego pasa lotniska krajowego, następnie pokołał w lewo, kilkaset jardów od niewielkiego przesmyku rzeki Potomac, w której roili się tłumy weekendowych entuzjastów sportów wodnych, i dotoczył się do bramki numer dziewięć. Funkcjonariusz ochrony lotniska odpowiadał właśnie na pytania grupy podnieconych, obwieszonych kamerami turystów i nie zauważył mężczyzny, który szybkim krokiem przeszedł koło niego. Ale i tak nie poznałby jego prawdziwej tożsamości.

Mężczyzna złapał taksówkę i obserwował pełznący na południe ruch godzin szczytu na George Washington Parkway, w którym znużeni pracownicy przedzierali się do domów. Niebo znów obiecywało deszcze, wiatr smagał trzypasmową Parkway, która meandrowała leniwie zgodnie z biegiem Potomacu. Regularnie, co chwilę wzbijał się w niebo samolot, zataczał łuk w lewo i zniknął szybko w chmurach. Luther rozsiadł się wygodniej, chrupał krakersy, które zostały mu z podróży lotniczej, i zastanawiał się, czy Gloria Russell da się zastraszyć.

Przesłuchania służby domowej Waltera Sullivana przyniosły dwie interesujące informacje. Pierwsza z nich dotyczyła przedsiębiorstwa, przed którego siedzibą Frank właśnie parkował samochód; druga mogła

poczekać. Pralnia Parowa „Metro” mieściła się w długim, szarym betonowym budynku w przemysłowej dzielnicy Springfield, tuż za Beltway. Szyld głosił, że firma działa od 1949 roku. Dla Franka nic to nie znaczyło. Mnóstwo uczciwych przedsiębiorstw z tradycjami było obecnie związanych z przestępczością zorganizowaną, czy to mafią, czy z jej wersjami chińskimi albo rodzimymi. Czyszczenie dywanów u zamożnych klientów to doskonały sposób, żeby sprawdzić system alarmowy, odkryć skrytki na gotówkę czy biżuterię, ustalić zwyczaje domowników. Tego, czy ma do czynienia z samotnikiem, czy z całą organizacją, Frank nie wiedział. Niewykluczone, że pełną parą brnie w ślepy zaułek, ale kto wie. Trzy radiowozy czekają w bezpiecznej odległości. Tak na wszelki wypadek.

- To byli Rogers, Budiziniski i Jerome Pettis. Tak. Trzydziestego sierpnia, dziewiąta rano. Trzy kondygnacje. Co za landara, zszedł im cały dzień, we trzech. - George Patterson sprawdzał zapisy w księdze zleceń, a Frank rozglądał się po ponurawym biurze.

- Mogę z nimi pogadać?

- Z Pettisem tak. Pozostałych dwóch nie ma.

- Zwolnili się?

Patterson skinął głową.

- Od jak dawna u pana pracowali?

Patterson poszperał w rejestrze kadrowym.

- Jerome pracuje u mnie od pięciu lat. To jeden z moich najlepszych ludzi. Rogers robił tu coś ze dwa miesiące. Chyba się stąd wyprowadził. Budiziniski był u nas cztery tygodnie.

- Krótko.

- Taka robota. Wydajesz tysiące dolarów na przyuczanie tych gości, a oni wieją. Wiesz pan, nie bardzo tu można zrobić karierę. Brudna, ciężka robota. A z zarobków raczej nie wyjedzie się na Rivierę, rozumiesz pan, o co mi chodzi?

- Ma pan ich adresy? - Frank wyciągnął swój notatnik.

- No, jak mówiłem, Rogers gdzieś się wyniósł. Pettis jest dziś tu na miejscu, jeśli chce pan z nim pogadać. Ma robotę w McLean za jakieś pół godziny. Na tyłach ładuje swój furgon.

- Kto wyznacza ludzi do poszczególnych domów?

- Ja.

- Zawsze?

Patterson zawahał się.

- No, niektórzy specjalizują się w poszczególnych rodzajach robót.

- Kto się specjalizuje w bogatych domach?

- Jerome. Jak mówiłem, to mój najlepszy człowiek.

- Jak przydzielono mu tych dwóch?

- Nie wiem, to kwestia przypadku. Czasem zależy, kto jest pod ręką.

- Pamiętaj pan, czy któryś z tych trzech był szczególnie zainteresowany wizytą w domu Sullivana?

Patterson pokręcił głową.

- A co z Budiziniskim? Ma pan jego adres?

Patterson zapisał na skrawku papieru.

- To gdzieś za Arlington. Nie wiem, czy jeszcze tam mieszka.

- Chcę mieć ich akta personalne. Numery ubezpieczenia społecznego, daty urodzenia, świadectwa pracy i tak dalej.

- Lorie to panu przygotowuje. To moja siła fachowa od tych spraw.

- Dzięki. Ma pan zdjęcia tych gości?

Patterson popatrzył na Franka jak na wariata.

- Żartujesz pan? Nie prowadzę rekrutacji do FBI, do jasnej cholery.

- Może mi pan podać rysopisy? - Frank nie tracił cierpliwości.

- Mam pod sobą sześćdziesięciu pięciu ludzi i fluktuację rzędu sześćdziesięciu procent. Po przyjęciu na ogół nawet nie widzę faceta na oczy. A w robocie upodabniają się do siebie. Pettis ich będzie pamiętał.

- Czy ma pan jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Patterson pokręcił głową.

- Myśli pan, że któryś z nich mógł zabić tę babkę?

Frank wstał i przeciągnął się.

- Nie wiem. A co pan sądzi?

- Ho, ho, trafiają tu do mnie najróżniejsze typki. Nic już mnie nie zaskoczy.

Frank odwrócił się do wyjścia, ale cofnął jeszcze na chwilę.

- Aha, przy okazji poproszę rejestr wszystkich domów i zakładów, jakie czyściła pańska firma w Middleton w ciągu ostatnich dwóch lat.

Patterson wybuchnął, siedząc w swoim fotelu.

- A to, kurwa, po co?

- Ma pan rejestr?

- Taak, mam.

- No to dobrze. Proszę mnie zawiadomić, jak będzie gotowy. Ma być dokładny.

Jerome Pettis okazał się wysokim, wychudzonym jak szkielet Murzynem trochę po czterdziestce, z nieodłącznym papierosem zwisającym z kącika ust. Frank z przyjemnością patrzył, jak facet metodycznie i z rutyną ładuje na furgon ciężki sprzęt do czyszczenia. Napis na niebieskim kombinezonie głosił, że jest starszym technikiem firmy „Metro”. Nie patrzył na Franka, zajęty był robotą. Wokół, w olbrzymim garażu ładowano inne białe furgony. Paru facetów zagapiło się na Franka, ale szybko wróciło do pracy.

- Pan Patterson powiedział, że ma pan do mnie jakieś pytania.

Frank usadowił się na zderzaku furgonu.

- Tylko kilka. Pan miał zlecenie do domu Waltera Sullivana w Middleton, trzydziestego sierpnia tego roku?

Pettis zmarszczył czoło.

- Sierpień? Cholera jasna, robimy cztery domy dziennie. Skąd mogę pamiętać.

- Ten zajął wam cały dzień. Wielki dom, za Middleton w Wirginii. Byli z panem Rogers i Budiziniski.

Pettis uśmiechnął się.

- Racja. Człowieku, największe domisko, jakie w życiu widziałem, a trochę już sobie obejrzałem.

Frank oddał uśmiech.

- To samo pomyślałem, kiedy go zobaczyłem.

Pettis wyprostował się, zapalił papierosa.

- Problem był z tymi wszystkimi meblami. Trzeba każdy grat przestawić, a ciężkie były, że ledwie dawaliśmy radę.

- A więc byliście tam cały dzień? - Pytanie zabrzmiało podejrzliwie, wbrew intencji Franka.

Pettis zeszytniał, posłał camela i oparł się o drzwi furgonu.

- A czemu to gliny interesują się czyszczeniem dywanów?

- W tym domu zamordowano kobietę. Zdaje się, że weszła w paradę włamywaczom. Nie czyta pan

gazet?

- Tylko sport. I pan się zastanawia, czy ja nie jestem jednym z tych typków?

- Nie. Po prostu zbieram informacje. Interesuje mnie każdy, kto znalazł się ostatnio w pobliżu tego domu. Następny w kolejce jest listonosz.

- Zabawny z pana gliniarz. Myśli pan, że ją zabiłem?

- Myślę, że gdyby pan to zrobił, to miałby pan dość oleju w głowie, żeby się stąd ulotnić, a nie czekać, aż zapukam do pana drzwi. Co mi pan może powiedzieć o tych dwóch gościach, co z panem byli?

Pettis dopalił papierosa i spojrzął na Franka w milczeniu. Frank zaczął zamykać notatnik.

- Jerome, chcesz adwokata?

- A potrzebuję?

- Jeśli chodzi o mnie, to nie. Nie planowałem czytania ci twoich praw, jeśli tym się przejmujesz.

Pettis spuścił wzrok na betonową podłogę, zdeptał niedopałek, ponownie spojrzął na Franka.

- Słuchaj, facet, pracuję u pana Pattersona od dawna. Przychodzę codziennie do pracy, robię swoją robotę, zabieram wypłatę i do domu.

- Więc wygląda na to, że nie masz się czym przejmować.

- W porządku. Ale coś tam kiedyś zrobiłem. Dawno. Możesz to wyciągnąć ze swojego komputera w pięć sekund. Więc nie będę ci wciskał kitu, okay?

- Okay.

- Mam czwórkę dzieci, żony nie ma. Nie włamałem się do tego domu i nie zrobiłem nic tej kobiecie.

- Wierzę ci, Jerome. Znacznie bardziej interesują mnie Rogers i Budiziniski.

Pettis przyglądał się detektywowi przez kilka sekund.

- Chodźmy się przejść.

Wyszli z garażu i podeszli do starego buicka, wielkiego jak łódź, składającego się głównie z rdzy. Pettis wsiadł do środka. Frank za nim.

- Ściany mają uszy, wiesz pan.

Frank pokiwał głową.

- Brian Rogers. Ksywka „Zręczny”, bo dobrze pracował, szybko łapał, o co chodzi.

- Jak wyglądał?

- Biały facet, koło pięćdziesiątki, może starszy. Nie za wysoki, jakieś pięć stóp osiem cali. Gaduła. Ciężko pracował.

- A Budiziniski?

- „Koleś”. Każdy tu ma ksywkę. Ja jestem „Szkielec”, rozumiesz. - Franka to rozśmieszyło. - To był też biały, trochę wyższy. I chyba trochę starszy niż Zręczny. Skryty. Robił, co mu kazano, i nic ponadto.

- Który z nich zajmował się główną sypialnią?

- Razem tam robiliśmy. Trzeba było przestawić łóżko i komodę. Ważyły po parę ton. Jeszcze mnie grzbiet boli. - Jerome wyciągnął z tylnego siedzenia paczkę z jedzeniem. - Nie miałem dziś czasu na śniadanie - wyjaśnił, wyciągając banana i kanapkę z jajkiem.

Frank poprawił się na zarwanym siedzeniu. Było mu niewygodnie, jakiś kawałek metalu uwierał go w plecy. Samochód cuchnął papierosami.

- Czy któryś z nich był przez chwilę sam w sypialni albo w domu?

- Zawsze jest ktoś jeszcze. Tam pracuje pełno ludzi. Nikt nie mógłby wejść sam na górę. Ja nie pilnuję swoich ludzi. To do mnie nie należy, wiesz.

- Jak to się stało, że właśnie Rogers i Budiziniski pojechali z tobą tego dnia? Jerome przez chwilę się

namyślał.

- Nie jestem pewien, kiedy się nad tym zastanawiam. Pewnie dlatego, że byli pod ręką. Na ogół tak bywa.

- Więc jeśli wiedzieli, że będzie z rana wyjazd do tego domu, mogli przyjść pierwsi i do ciebie dołączyć.

- Tak, mogło tak być. Facet, tu się bierze pierwszą z brzegu wolną parę rąk, rozumiesz. To zwykła harówka, nie trzeba wielkiej filozofii.

- Kiedy widziałeś ich po raz ostatni?

Mężczyzna zmarszczył czoło, wgryzł się w banana.

- Parę miesięcy temu, może dawniej. Koleś zwolnił się pierwszy, nie mówił dlaczego. Ludzie przychodzą i odchodzą, cały czas. Pracuję tu dłużej niż ktokolwiek, poza panem Pattersonem. Zręczny miał się gdzieś wyprowadzać.

- Wiesz dokąd?

- Pamiętam, że mówił coś o Kansas. Jakieś roboty budowlane. Był kiedyś cieślą. Wylądował u nas, bo firma, w której pracował, splajtowała. Złota rączka.

Frank zapisał te informacje, a Jerome skończył swoje śniadanie. Wrócili razem do garażu. Frank zajrzał do wnętrza furgonu, na wszystkie te węże, przedłużacze, butelki i ciężki sprzęt.

- Dom Sullivana obsługiwaliście tym samym furgonem?

- To mój samochód od trzech lat. Najlepszy w tej firmie.

- Używasz stale tego samego sprzętu.

- Absolutnie.

- To załatw sobie nowy furgon na jakiś czas.

- Co?! - Jerome z wolna wygramolił się z szoferki.

- Pogadam z Pattersonem. Musimy go zarekwirować.

- Jaja sobie robisz.

- Nie, Jerome, niestety nie.

- Walterze, to jest Jack Graham. Jack, to pan Walter Sullivan. - Sandy Lord ciężko zwałił się na fotel. Jack uściśnął rękę Sullivanowi, po czym usadowili się wokół małego stolika w sali konferencyjnej numer pięć. Była ósma rano, Jack stawiał się w biurze o szóstej mimo dwóch zarwanych nocy. Wypił już trzy filiżanki kawy i właśnie nalewał sobie czwartą ze srebrnego dzbanka.

- Walterze, mówiłem Jackowi o sprawie ukraińskiej. Przedyskutowaliśmy ją w głównych zarysach. Oddźwięk z Kapitolu jest naprawdę pozytywny. Richmond spisał się na medal. Niedźwiedź zdechł. Kijów ma historyczną szansę. Udało się chłopakowi.

- To jeden z moich najlepszych przyjaciół. Tego można oczekiwać po przyjaciołach. Ale wydawało mi się, że mamy już dość prawników do tego kontraktu. Podbijasz rachunek, Sandy? - Sullivan wstał i przez okno oglądał poranne niebo, które zapowiadało szczególnie piękny jesienny dzień nad Kapitołem. Jack spojrzał na niego z ukosa znad notatek z nocnego superintensywnego kursu na temat najnowszego interesu Sullivana. Sullivan sprawiał wrażenie, że całkowicie stracił zainteresowanie ukończeniem tego wielomiliardowego międzynarodowego interesu. Jack nie wiedział, że myśli starca wciąż wracają do kostnicy w Wirginii i do twarzy, którą tam widział.

Jacka zatkało, kiedy Lord z całą ceremonią zaprosił go do grania drugich skrzypiec, zaraz po nim, w tej transakcji, co równało się przeskokowi w hierarchii kilku ważnych współników i rzeszy samodzielnych

radców ze stażem znacznie większym niż Jacka. Miętko wyścielane korytarze już zaczęły się wypełniać twardą niechęcią. Ale Jacka w tym momencie to nie obchodziło. Nie mają Ransoma Baldwina jako klienta. Niezależnie od tego, jakim sposobem to robił, ważne, że przysparzał firmie szmalu, prawdziwego szmalu. Miał już dość poczucia

winy z powodu swojego błyskawicznego awansu. Teraz zamierzał złapać sprawę Sullivana. Lord chce sprawdzić jego umiejętności. Proszę bardzo. Jeśli chce przepchnąć ten interes, Jack tego dokona. Żadne filozoficzne, polityczne, poprawne dyrdymały na nic tu się nie zdadzą. Liczą się tylko rezultaty.

- Jack jest jednym z naszych najlepszych prawników. To także prawny orzeł Baldwina.

Sullivan popatrzył po nich.

- Ransoma Baldwina?

- No.

Sullivan popatrzył na Jacka nieco łaskawszym wzrokiem, po czym znów odwrócił się do okna.

- Jednakże okazja może nam się wymknąć lada chwila - ciągnął Lord. - Musimy ustalić, kto gra i w co, a także zapewnić sobie ścisłą współpracę Kijowa: oni mają wiedzieć, jakie jest ich zdanie.

- A ty sobie z tym nie poradzisz?

Lord popatrzył na Jacka, a potem znowu na Sullivana.

- Oczywiście, że sobie poradzę, ale niech ci się nie wydaje, że możesz teraz abdykować. Masz tu główną rolę. To ty nagrałeś ten interes. Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, twój osobisty i nieprzerwany udział jest absolutnie niezbędny. - Sullivan nadal ani drgnął. - Walter, to będzie ukoronowanie twojej kariery.

- To samo mówiłeś przy poprzedniej okazji.

- Co ja na to poradzę, że ciągle podnosisz poprzeczkę i bijesz własne rekordy? - odparł Lord.

Wreszcie, prawie niezauważalnie, Sullivan się uśmiechnął, po raz pierwszy od tego telefonu ze Stanów, po którym jego życie rozpadło się na kawałki.

Lord odprężył się odrobinę, popatrzył na Jacka. Następny krok ćwiczyli do upadłego.

- Zalecałbym, żebyś tam poleciał z Jackiem. Uściśnij te dłonie, co trzeba, poklepuj po tych ramionach, co trzeba, niech widzą, że wciąż panujesz nad tym tygrysem. Im tego trzeba. Kapitalizm to dla nich wciąż nowa zabawa.

- A rola Jacka?

Lord skinął na Jacka.

Jack wstał, podszedł do okna.

- Panie Sullivan, ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłem, studiując każdy aspekt tej sprawy. Wszyscy pozostali prawnicy pracowali nad poszczególnymi kawałkami. Poza Sandym nie ma jak sądzę, nikogo w firmie, kto wiedziałby tak dobrze jak ja, co pan chce tam osiągnąć.

Sullivan powoli odwrócił się do Jacka.

- To nie lada oświadczenie.

- Bo to i nie lada interes, proszę pana.

- A więc pan wie, co ja chcę osiągnąć?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze, więc niech pan będzie łaskaw mnie oświecić, co też ja, pana zdaniem, chciałbym osiągnąć.

Jack nawet nie mrugnął okiem.

- Ukraina ma przed sobą zaledwie pięć do dziesięciu lat produktywnego życia, po czym przytłoczą ją problemy ekologiczne. Posiada ogromne zasoby naturalne: cynk, magnez, żelazo, węgiel i wszystko to, z

czego korzysta i chce korzystać przemysł ciężki na całym świecie. Problem polega na tym, żeby wyrwać te zasoby z Ukrainy minimalnym kosztem i ryzykiem - biorąc pod uwagę sytuację polityczną w tym rejonie. Pańska ukraińska spółka z ograniczoną odpowiedzialnością demonstruje pańską obecność w tym rejonie, pokazuje, że zaangażował się pan w rozwój tego kraju. W rzeczywistości składa się z jednego biura, telefonu, faksu i paru ukraińskich pracowników kierowanych przez jednego Amerykanina. Całe przedsięwzięcie można by zlikwidować w ciągu kilku dni, ale mimo to na władzach robi wrażenie.

Sullivan opuścił ręce, złożone dotąd na piersi, wyprostował się i upił łyk kawy. Jack ciągnął:

- Należy przekonać Kijów, że to, co pan stamtąd wywozi, będzie równoważone pańskimi inwestycjami w przyszłość Ukrainy, na miejscu. A jak się domyślam, długoterminowe inwestycje to nie jest to, w co pan chciałby się angażować.

- Praktycznie całe swoje dorosłe życie bałem się czerwonych. Mam sześcioro dzieci i czternaścioro wnuków i od czterdziestu lat nie było dnia, żebym się nie zastanawiał, czy świat, w którym mają żyć, nie wyleci w powietrze. W pieriestrojkę i głośność wierzę tak samo jak w dobre wróżki. Za swój patriotyczny obowiązek uważam obdarcie komunistów ze wszystkiego, co się da. Pragnę zostawić ich bez środków, którymi mogliby zagrażać światu, dominować nad nim, co jest ich perspektywicznym celem, niezależnie od chwilowej demokratycznej czkawki, jaką przechodzą.

- Otóż to, proszę pana. Obdarcie to właściwe słowo. Wykopać z ziemi, wywieźć i korzystać z łupów, że tak powiem. Obdrzeć trupa, zanim zgnije... albo zaatakuję. - Jack przerwał, żeby sprawdzić reakcję obu mężczyzn.

Lord gapił się w sufit z nieodgadnioną miną.

Sullivan się poruszył.

- Proszę kontynuować. Dochodzi pan do interesującego problemu.

- Interesujący problem polega na tym, jak doprowadzić do tego interesu przy najmniejszych negatywnych skutkach dla Sullivana i spółki i odnieść maksymalne korzyści. Sami Ukraińcy będą to wszystko wykopywać z ziemi. Pan wystąpi jako pośrednik albo nabywca, wprost od Ukrainy, poprzez swoje spółki zagraniczne, a sprzedawać pan będzie korporacjom ponadnarodowym, które aż się biją o surowce. Kupować pan będzie za kopiejki. Kompanie ponadnarodowe zapłacą panu w dolarach, markach lub jenach. Pan znowu odrobiną tych walut pokropi tu i ówdzie po Ukrainie.

- Słusznie. Za pięć lat, może mniej, kraj będzie wyczyszczony, a ja wyjdę co najmniej z dwoma miliardami na czysto.

Jack znów zerknął na Lorda, który teraz siedział w swoim fotelu wyprostowany i uważnie słuchał. Teraz był gwóźdź programu. Jack wpadł na to dopiero wczoraj. Lord się zachwycił. Teraz przychodzi właściwy test, albo się uda, albo nie. Lord lubił ryzyko, Jack musiał zapewnić mu dreszczyk emocji.

- A czemuż by nie odebrać Ukrainie tego, co powoduje, że jest naprawdę groźna? - Jack zrobił pauzę. - I potroić pana zyski na czysto?

Sullivan przestał się bujać na fotelu.

- Sześć miliardów dolarów?

Jack przytaknął.

- Jak?

- Rakiety. Rakiety balistyczne średniego zasięgu. Ukraina ma ich od cholery i trochę. Rakiety dalekiego zasięgu musieli oddać Rosji, dodam, że bez żadnego odszkodowania. Nie zrobią tego błędu drugi raz.

- Więc co pan proponuje? Że kupię to cholerstwo? Gdybym nawet mógł, co z nimi potem zrobię?

Jack zobaczył, że Lord wreszcie pochyla się do przodu z uwagą, i ciągnął.

- Kupi pan je po najniższej możliwej cenie, za dolary, wyjdzie jakieś pół miliarda, z kwot uzyskanych ze sprzedaży ich surowców. Te dolary są potrzebne Ukrainie, żeby, mogła sprowadzać różne niezbędne towary z rynku światowego.

- A dlaczego po najniższej cenie? Każdy kraj bliskowschodni mnie przeliczytuje.

- Ale Ukraina nie może im sprzedawać broni. Wielka Siódemka nigdy się na to nie zgodzi. Gdyby Kijów się im sprzeciwił, odetną ich od Wspólnoty Europejskiej, a wtedy Ukraina leży.

- A więc kupuję je, a komu sprzedaję?

Jack nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nam. Stanom Zjednoczonym. Ostrożnie licząc, może pan za nie dostać nie mniej niż cztery miliardy. Wzbogacony pluton, który siedzi w tych cackach, jest bezcenny. Reszta Siódemki prawdopodobnie też nie pożałuje paru miliardów, żeby mieć problem z głowy. Wstępne rozeznanie w tej sprawie przyniosło bardzo pozytywne rezultaty. A prezydent Richmond ma teraz silne poparcie w Kongresie i w Departamencie Obrony. Myślę, że nie będzie kłopotu z przekonaniem ich, że Walter Sullivan, prywatny przedsiębiorca, powinien dostać zezwolenie na handel bronią jądrową, zwłaszcza jeśli będą wiedzieli, jakie jest ostateczne przeznaczenie tej broni. A na dodatek, jeśli się uda z Ukrainą, nie ma powodu, żebyśmy nie powtórzyli tego numeru z Rosją. Wszystko opiera się na twoich kontaktach z Kijowem. Mają cię za swojego zbawcę. Nikomu nie sprzedadzą, a tobie tak. Jeśli nawet odsprzedasz to dalej, kogo to obchodzi? Kijowa na pewno nie. Dostaną trochę forsy, a ty zgarniesz zyski jak każdy normalny przedsiębiorca.

Sullivan lekko osłupiał. Zaczął się podnosić, po czym usiadł, żeby jeszcze pomyśleć. Nawet dla niego sumy, które wchodziły w grę, były oszałamiające. Ma dosyć pieniędzy, więcej niż dosyć, lecz zlikwidować sporą część z tego atomowego równania, to znaczy usunąć część zbiorowego zła tego świata, o, to jest coś, co nadaje sens życiu człowieka.

- Czyj to pomysł? - Sullivan popatrzył na Lorda.

Lord pokazał na Jacka.

Sullivan opadł na oparcie fotela i podniósł wzrok na młodego mężczyznę. Wstał ze zdumiewającą lekkością. Miliarder wziął dłoń Jacka w żelazny uścisk.

- Jest pan na najlepszej drodze, żeby daleko zajść, młodzieńcze. Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym do pana dołączył?

Lord promieniał jak dumny ojciec. Jack nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Po wyjściu Sullivana Jack i Sandy usiedli przy stole, nie patrząc jeden na drugiego.

Wreszcie Sandy powiedział:

- Zdaje się, że nie było to łatwe zlecenie. Jak się czujesz?

Jack nie mógł zaradzić uśmiechowi.

- Jakbym się właśnie przespał z najładniejszą dziewczyną z całej klasy, coś w rodzaju łaskotania na całym ciele.

Lord roześmiał się i wstał.

- Jedź lepiej do domu i trochę odpocznij. Sullivan już pewnie dzwoni z samochodu do swojego pilota. To przynajmniej oderwie jego myśli od tej dziwki.

Jack nie słyszał zakończenia zdania, bo spieszenie opuścił pokój. Po raz pierwszy od dawna czuł się dobrze. Żadnych zmartwień, tylko szanse. Niezliczone szanse.

Wieczorem siedział do późna, opowiadając całą rzecz bardzo podekscytowanej Jennifer Baldwin.

Później, po schłodzonym szampanie i półmisku ostryg specjalnie dostarczonych do domu, narzeczeni odbyli niezwykle satysfakcjonujący stosunek. Najlepszy jak dotąd. Przynajmniej raz wysoki strop i freski nie przeszkadzały Jackowi. Właściwie zaczynał je nawet powoli lubić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Biały Dom otrzymuje miliony „nieoficjalnych” przesyłek rocznie. Każda taka przesyłka jest skrupulatnie badana i przekazywana gdzie trzeba. Zadanie to należy do personelu Białego Domu i odbywa się przy oczywistej pomocy i pod nadzorem Secret Service.

Te listy na pierwszy rzut oka wyglądały niewinnie, chociaż jako odbiorca figurowała Gloria Russell, co nie było typowe, bo większość adresowana była do prezydenta lub członków Pierwszej Rodziny, lub też Pierwszego Pupila, którym aktualnie był golden retriever, o imieniu Barney.

Każdy pisany był ręcznie, drukowanymi literami, koperty białe i tanie, zupełnie pospolite. Do rąk Russell dotarły około południa w dniu, który jak dotąd zapowiadał się niezłe. Jeden z nich zawierał wewnątrz pojedynczą kartkę, a drugi coś, czemu przypatrywała się w napięciu przez ładnych parę minut. Na papierze, drukowanymi literami, widniały słowa:

„Pytanie: Co składa się na ciężkie zbrodnie i wykroczenia? Odpowiedź: Nie sądzę, żebyś chciała się dowiedzieć. Do nabycia wartościowy przedmiot, dalszy ciąg nastąpi, podpisano nietajemniczy wielbiciel”.

Wprawdzie się tego spodziewała, a właściwie z utęsknieniem wyczekiwała, lecz serce wciąż waliło jak oszalałe; ślina gdzieś wyparowała i Russell musiała wypić szklanekę wody, potem jeszcze jedną, żeby w ogóle móc wziąć list do trzęsącej się ręki. Sprawdziła drugi list. Fotografia. Widok noża do papieru wzbudził nawał koszmarnych wspomnień. Uchwyciła się poręczy fotela. Wreszcie atak minął. Gdyby szybko nie przyszedł, kwalifikowałyby się do poważnego leczenia.

- Przynajmniej chce negocjować. - Collin odłożył kartkę i zdjęcie i wrócił na swoje krzesło. Zauważył, że jest niezwykle blada, i zastanawiał się, czy ma dość siły, żeby sobie z tym poradzić. Kiedy go wzywała, jej głos też nie brzmiał zbyt dobrze.

- Powiedzmy. Ale może to zasadzka.

Collin pokręcił głową.

- Nie sądzę.

Russell zapadła się głębiej w fotelu, rozcierała skronie, łyknęła kolejny tylenol.

- A czemu nie?

- Po co miałby w ten sposób zastawiać na nas pułapkę? A po co w ogóle miałby to robić? Ma w rękę coś, co może nas pogrzebać. On chce forsy.

- Ma miliony Sullivana.

- Może. Ale nie wiemy, ile tego jest w gotówce. Prawdopodobnie musiał większość zadołować i nie może tego ruszyć. Może to ktoś bardzo chciwy. Pełno takich ludzi chodzi po świecie. - Popatrzył znacząco na szefową personelu, ale ona nie pojęła aluzji.

- Trzeba mi drinka. Możesz przyjść dziś wieczorem?

- Mam służbę.
- Cholera. Nie możesz znaleźć kogoś na zastępstwo?
- Mógłbym, jeśli naciśniesz tu i ówdzie.
- Dobrze, załatwione. Jak myślisz, kiedy on znowu się odezwie?
- Wydaje się, że mu się nie spieszy, chociaż może jest tylko ostrożny. Ja na jego miejscu byłbym.
- Świetnie. Zatem będę palić dwie paczki mentolowych dziennie, dopóki się do nas nie odezwie. Do tej

pory zejść na raka płuc.

- I nie będziesz musiała się martwić tą całą sprawą.
- Zrobiła minę i rzuciła w niego kulka z papieru. Złapał ją.
- Co zrobisz, jeśli będzie chciał pieniędzy? - zapytał.
 - Jeśli nie będzie chciał za dużo, to da się zrobić bez większych trudności.
 - Ile to jest za dużo?
 - Poczekajmy, aż poda swoją cenę. Nie będę się targowała sama ze sobą.

Collin wstał.

- Ty tu rządzisz.

- Tim? - Russell podeszła do niego. - Obejmij mnie na chwilę. - Collin rozejrzał się szybko dookoła.

Drzwi gabinetu zamknięte. Na ogół każdy puka, zanim wejdzie. Na ogół. Objął ją. Poczuł, że ociera się o jego pistolet.

- Tim, jeśli... jeśli będzie chciał czegoś więcej niż pieniędzy... jeśli nie uda nam się dostać tego z powrotem... jeśli nie będziemy pewni, że gra z nami fair...

Collin popatrzył na nią.

- Wtedy zajmę się tym, Glorio. - Dotknął palcem jej warg, odwrócił się i wyszedł.

Na Burtona natknął się w korytarzu.

Burton zmierzył młodszego kolegę wzrokiem od stóp do głów.

- No i jak ona się trzyma?
- W porządku. - Collin nie zatrzymał się.
- Tim?

Collin stanął, odwrócił się.

- Masz służbę wieczorem, tak? - ciągnął Burton.

- Może.

Burton chwycił go za ramię.

- Co tu jest, kurczę, grane, Tim?

Collin zdjął rękę przyjaciela.

- To nie jest czas ani miejsce, Bill.
- Dobra, to podaj czas i miejsce, a będę czekał, bo musimy pogadać.
- O czym?

- Nie rób ze mnie durnia! - Gwałtownie pociągnął Collina w kąt. - Pomyśl trzeźwo, co ty najlepszego robisz z tą kobietą. Gównem ją obchodzisz ty i wszyscy naokoło. Trzęsę się tylko o własną dupę. Poświęci cię, mnie, prezydenta i każdego, żeby chronić ten swój skarb. Nie mam pojęcia, w co cię wplątała, i nie wiem, co oboje szykujecie, ale radzę ci, uważaj. Jesteś moim przyjacielem, a co więcej kolegą agentem. Nie chcę patrzeć, jak pakujesz się w bagno z powodu tej baby.

- Doceniam twoją troskliwość, ale wiem, co robię, Bill.

- Na pewno, Tim? Czy pieprzenie się z szefową personelu wchodzi w zakres obowiązków służbowych

agenta Secret Service? Pokaż mi, gdzie to jest w regulaminie. Chciałbym sam to przeczytać. A skoro już rozmawiamy, to może mnie oświecisz, po co, do jasnej cholery, wracaliśmy do tego domu? Bo nie dostaliśmy tego, i wydaje mi się, że wiem, kto to wziął. Ja też ryzykuję własną dupę, Tim. Jeśli ją nadstawiam, to chciałbym wiedzieć, z jakiego powodu.

Minął ich jakiś sekretarz, przyglądając im się dziwnie. Burton uśmiechnął się do niego i uklonił, po czym wrócił do Collina.

- No, dalej, Tim, co, do cholery, zrobiłbyś na moim miejscu?

Młody człowiek popatrzył na przyjaciela i jego twarz rozluźniła się, tracąc na chwilę swoją służbową marsową minę. Gdyby był na miejscu Burtona, co by zrobił? Odpowiedź była jasna. Tak długo kopałby w tyłek, aż ktoś by mu coś powiedział. Burton to jego przyjaciel, udowodnił to już wiele razy. To, co mówi o Russell, to pewnie prawda. Może i Collin myślał futem, ale nie odebrało mu do reszty rozumu.

- Masz czas na małą kawę, Bill?

- Jasne.

Frank zszedł dwa piętra po schodach, skręcił w prawo i otworzył drzwi laboratorium kryminalistycznego. Mały i rozpaczliwie domagający się odnowienia pokój był zaskakująco uporządkowany, głównie dlatego, że Laurie Simons była chorobliwie pedantyczna. Frank wyobrażał sobie, że jej dom jest równie schludny i wysprzątany mimo dwóch przedszkolaków, którzy wykończyliby każdego. Równo poukładane stosy nowych opakowań na dowody rzeczowe z pomarańczowymi etykietkami stanowiły kolorystyczne urozmaicenie na tle szarych, odrapanych ścian. Starannie oznaczone kartonowe pudełka ustawiono w innym kącie.

Jeszcze dalej znajdował się mały sejf na te przedmioty, które wymagają dodatkowych środków ostrożności.

Patrzył na jej drobne plecy zgarbione nad mikroskopem w głębi pokoju. Spojrzał na zegarek. Od godziny Simons była już po służbie. Stanowiła rzadkość wśród pracowników państwowych, poważnie traktowała swoje obowiązki i nic ją nie obchodziły godziny pracy.

- Dzwoniłaś? - Frank pochylił się nad nią. Na szkiełku dostrzegł jakieś fragmenty nie wiadomo czego. Nie mógł sobie wyobrazić, jak można spędzać dni, gapiąc się w szkiełko, ale miał pełną świadomość, że Laurie Simons wnosi niezwykle ważny wkład w dochodzenie.

Na ogół struktura organizacyjna komendy policji oddziela personel dochodzeniowy, który zbiera dowody rzeczowe na miejscu zbrodni, od personelu laboratoryjnego, który zajmuje się ich badaniem. Jednakże w małych jednostkach często ci sami ludzie siedzą na dwóch stołkach: techników dochodzeniowych i laborantów, zbieraczy i analityków. Simons właśnie do nich należała i z obu funkcji wywiązywała się wzorowo. Urodziła się i wychowała w tym hrabstwie, potem wyjechała na studia i - dzięki Bogu, jak myślał Frank - wróciła.

- Spójrz na to. - Simons pokazała gestem mikroskop.

Frank zdjął okulary, popatrzył i zaraz się wyprostował.

- Laurie, wiesz przecież, że nigdy nie mam pojęcia, na co patrzę. Co to jest?

- To jest próbka włosa wykładziny dywanowej z sypialni Sullivana. Nie pobraliśmy jej od razu, dopiero następnego dnia.

- I co w tym takiego istotnego? - Frank nauczył się uważnie słuchać swojej techniczki.

- Wykładzina w sypialni należy do tych najdroższych, kosztuje jakieś dwieście dolarów za stopę kwadratową. Wykładzina do samej sypialni warta jest jakieś ćwierć bańki.

- Jezu Chryste! - Frank wrzucił kolejny kawałek gumy do ust. Rzucanie palenia pociąga za sobą zepsute zęby i nadwagę. - Dwieście pięćdziesiąt patyków za coś, po czym się depcze?!

- Jest niewiarygodnie trwała, można jeździć po niej czołgiem, a włos się podniesie bez śladu. Leży tam zaledwie dwa lata. Robili wtedy odnawianie.

- Odnawianie? Przecież ten dom jest prawie nowy.

- Wtedy, kiedy Walter Sullivan się ożenił.

- Aha.

- Kobiety lubią, jak wszystko wygląda tak, jak sobie życzą. Prawdę mówiąc, miała niezły gust, jeśli chodzi o wykładziny.

- W porządku, więc o co chodzi z tym jej dobrym gustem?

- Jeszcze raz popatrz na te włókna.

Frank westchnął i posłusznie wykonał polecenie.

- Widzisz koniuszki? Popatrz na przekrój. Zostały ucięte. Prawdopodobnie niezbyt ostrymi nożyczkami. Cięcie jest nierówne, mówię ci, te włókna są wytrzymałe jak stal.

- Obcięte? Po co ktoś by to robił? Gdzie je znalazłaś?

- Te konkretnie zostały zebrane z narzuty na łóżku. Ktokolwiek je ciął, nie zauważył, że parę włókien przykleiło mu się do ręki. Potem otarł rękę o narzutę i proszę.

- Znalazłaś odpowiedni fragment wykładziny?

- Tak. Tuż z lewej strony łóżka, patrząc w jego kierunku, jakieś dziesięć centymetrów w bok. Przyszyty bardzo niewiele, ale widać.

Frank wyprostował się i usiadł na jednym z taboretów koło Simons.

- To nie wszystko, Seth. Na jednym z fragmentów znalazłam ślady rozpuszczalnika. Na przykład wywabiacza do plam.

- To może z ostatniego czyszczenia wykładzin. Albo pokojówka coś rozlała.

Simons pokręciła głową.

- Nie. Firma sprzątająca używa wodnych roztworów piorących. A do czyszczenia plam rozpuszczalnika organicznego. Sprawdzalam. Ten jest mineralny, na bazie ropy naftowej. Pokojówka używałaby tego samego środka, który zalecany jest przez producenta. Organicznego. Mają go w domu pod dostatkiem. A wykładzina jest chemicznie impregnowana, żeby plamy się nie utrwały. Użycie rozpuszczalnika mineralnego tylko pogarsza sprawę. Dlatego pewnie musieli wystrzyc fragment.

- Więc sprawcy zabrali te włókna, bo coś zawierały. A zawierają?

- Te próbki, które mam - nie, ale pewnie przycięli z zapasem dookoła i trafiły mi się czyste egzemplarze.

- Co takiego mogłoby być na wykładzinie, żeby komuś chciało się przycinać włókna? To musiało być coś naprawdę kompromitującego.

Obojgu, Simons i Frankowi, to samo przyszło do głowy, i to już chwilę temu.

- Krew - powiedziała Simons po prostu.

- I to nie krew zabitej. Jeśli pamiętam, jej krwi nie było z tamtej strony - dodał Frank. - Myślę, że trzeba zrobić jeszcze parę testów, Laurie.

Zdjęła torbę z przyrządami z wieszaka.

- Właśnie szykowałam się do wyjścia, ale pomyślałam, że najpierw cię zawołam.

- Mądra dziewczyna.

Dojazd zabrał im pół godziny. Frank odkręcił szybę i teraz wiatr owiewał mu twarz. Przeganiał także dym papierosów. Simons nie ułatwiała mu życia pod tym względem.

Sypialnia pozostawała zaplombowana na polecenie Franka. Gdyby normalny człowiek nie mógł korzystać z jednej sypialni, mogłoby to być dla niego kłopotliwe. Ale ponieważ „The Coppers” było jedną z siedmiu rezydencji, którą Sullivan mógł nazywać domem, i zawierała siedem sypialni, Walter Sullivan nie miał wielu powodów do narzekania.

Frank stał w kącie i patrzył, jak Simons starannie miesza jakieś chemikalia z buteleczek i uzyskaną mieszkankę wlewa do plastikowego rozpylacza. Następnie pomógł jej zatkać ręcznikiem szparę pod drzwiami i okleić okna szarym papierem. Później zaciągnęli ciężkie zasłony, odcinając dosłownie najmniejsze ślady dziennego światła.

Frank obejrzał pokój jeszcze raz - lustro, łóżko, okno, szafy - i wreszcie jego oko spoczęło na nocnej szafce i dziurze w ścianie, skąd usunięto tynk. Potem popatrzył na zdjęcie. Wziął je do ręki. Jeszcze raz uświadomił sobie, że Christine Sullivan była bardzo piękną dziewczyną, zupełnie nieprzypominającą tego wzdętego trupa, którego widział. Na fotografii siedziała w fotelu obok łóżka. Szafka nocna stała z jej lewej strony. Krawędź łóżka zajmowała prawą stronę fotografii. Ten mebel pewnie nieźle się napracował. Sprężynom na pewno przydałby się przegląd techniczny. A teraz zapewne nie będą miały wiele do roboty. Pamiętał wyraz twarzy Sullivana. Niewiele mu zostało.

Odstawił zdjęcie i obserwował płynne ruchy Simons. Jeszcze raz rzucił okiem na fotografię, coś mu nie dawało spokoju, ale cokolwiek to było, wyleciało mu z głowy równie szybko, jak tam wpadło.

- Co to za świństwo, Laurie?

- To się nazywa luminol. Ma wiele nazw handlowych, ale wszystko to ten sam odczynnik. Jestem gotowa.

Skierowała rozpylacz na ten fragment wykładziny, gdzie przystrzyżono włos.

- Dobrze, że nie musisz płacić za ten dywan. - Detektyw się do niej uśmiechnął.

- Nie miałyby dla mnie znaczenia. Ogłosiłabym bankructwo. Mogą mi wejść na pensję od dziś do końca świata. I tak nie wystarczy.

Frank dotknął wyłącznika i pokój zanurzył się w absolutnej czerni. Słychać było syk powietrza, kiedy Simons naciskała na spust rozpylacza. Prawie natychmiast, jak gromada robaczek świętojańskich, niewielki fragment wykładziny zaczął bladoniebiesko świecić, po czym zgasł. Frank zapalił górne światło i popatrzył na Simons.

- A więc mamy czyjaś krew. Bombowe odkrycie, Laurie. Czy jakoś uda ci się zeskrobać tyle, żeby zrobić analizę, dostać grupę krwi, określić DNA?

Simons zrobiła powątpiewającą minę.

- Wytniemy ten fragment, żeby zobaczyć, czy coś wsiąkło, chociaż raczej wątpię. Te impregnowane wykładziny nic nie wchłaniają, a poza tym wszystko zostało zmieszane z rozpuszczalnikiem. Prawdę mówiąc, niewykluczone, że odczynnik zareagował na chemiczny związek rozpuszczalnika. Nie licz za bardzo na sukces.

Frank zaczął myśleć na głos.

- W porządku, jeden sprawca ranny. Niewiele krwi, ale jednak. - Popatrzył, czy Simons to potwierdza, i otrzymał potakujące skiniecie głowy. - Ranny, ale od czego? Nie miała nic w ręku, kiedy ją znaleźliśmy.

Simons czytała mu w myślach.

- Przy takiej gwałtownej śmierci mieliśmy do czynienia z trupim spazmem. Żeby ofierze coś wyciągnąć z ręki, musieliby połamać jej palce.

Frank skończył myśleć.

- A tego rodzaju śladów sekcja nie wykazała.

- Chyba że rozwarła dłoń, kiedy dostała.

- Jak często coś takiego się zdarza?

- Raz wystarczy.

- W porządku, przypuścimy, że miała broń, a teraz ta broń znikła. Jaka to mogła być broń?

Simons namyślała się, pakując swoją torbę.

- Prawdopodobnie można wykluczyć pistolet; jeśliby strzeliła, to byłyby ślady prochu na dłoniach. Nie mogliby ich usunąć bez śladu.

- Dobra. Plus to, że nic nie wiadomo o żadnej broni zarejestrowanej na nią. Jej mąż nie znosi tych rzeczy, nie zezwalał na trzymanie broni w domu.

- W takim razie nie broń palna. Może nóż. Trudno powiedzieć, jaka to była rana, pewnie draśnięcie, powierzchowne. Przyszygli tak niewiele, że to nie mogła być groźna rana.

- Czyli dziabnęła jednego ze sprawców, zapewne w rękę albo w nogę. Potem cofnęli się i zastrzelili ją. A może dźgnęła, gdy umierała? - Frank skorygował swój tok myślenia. - Nie, zginęła na miejscu. Rani jednego z nich w innym pokoju, ucieka tutaj i zostaje zastrzelona. Stojąc nad nią, ranny przestępca plami wykładzinę krwią.

- Tak, ale skarbiec jest tutaj. Bardziej prawdopodobne, że zaskoczyła ich tutaj, w trakcie rabunku.

- Owszem, ale pamiętaj, że strzały padły od drzwi i w dół. Kto kogo zaskoczył? To mnie dęczy.

- Po co brać nóż, jeśli to był nóż.

- Bo jakoś identyfikuje kogoś.

- Odciski? - Nozdrza Simons zdrząły na myśl o nowych dowodach rzeczowych.

Frank skinął głową.

- Tak mi się wydaje.

- Czy świętej pamięci pani Sullivan nosiła przy sobie nóż?

Reakcją Franka było uderzenie dłonią w czoło tak mocno, że Simons aż się skrzywiła, jakby to ją zabolalo. Patrzyła, jak rusza do szafki nocnej i podnosi zdjęcie w ramce. Pokręcił głową z niedowierzaniem i wręczył jej fotografię.

- Masz swój przeklęty nóż.

Simons popatrzyła uważnie. Na szafce nocnej leżał długi nóż do papieru ze skórzaną rękojeścią.

- To wyjaśnia też oleiste pozostałości na jej palcach.

Wychodząc, Frank zatrzymał się na moment przy drzwiach frontowych domu. Popatrzył na panel systemu alarmowego. Po czym uśmiechnął się.

- Laurie, masz lampę fluorescencyjną w bagażniku?

- Mam, a bo co?

- Mogłabyś ją przynieść?

Zdezorientowana Simons wróciła z lampą. Włączyła ją do gniazdka w holu.

- Poświeć na centralkę alarmu.

Na widok tego, co pokazało się w świetle fluorescencyjnym, Frank znów się uśmiechnął.

- Kurczę, jest niezłe.

- Co to znaczy? - Simons patrzyła, marszcząc czoło.

- To znaczy dwie rzeczy. Po pierwsze, na pewno mieli tu wtyczkę, a po drugie, nasze ptaszki są naprawdę pomysłowe.

Frank usiadł w małym pokoju przesłuchań i postanowił nie zapalać kolejnego papierosa, w zamian włożył do ust landrynkę. Popatrzył na ściany z szarych pustaków, tani metalowy stolik, wysiedziane krzesła i uznał, że to wyjątkowo przygnębiające miejsce na to, żeby być przesłuchiwanym. Co było korzystne. Przygnębeni ludzie to ludzie podatni, a ludzie podatni, jeśli nimi odpowiednio pokierować, mają skłonność do mówienia. A Frank chciał słuchać. Mógłby słuchać całymi dniami.

Sprawa była wciąż wyjątkowo mętna, ale pewne elementy zaczynały się przejaśniać.

Kolesz Budiziniski nadal mieszkał w Arlington i obecnie pracował w myjni samochodowej w Falls Church. Przyznał, że był w domu Sullivana, czytał o morderstwie, ale poza tym nic nie wiedział. Frank był skłonny mu wierzyć. Facet nie był specjalnie bystry, nie miał żadnych konfliktów z prawem i całe swoje dorosłe życie spędził na różnych prostych pracach fizycznych, niewątpliwie dlatego, że zakończył edukację na czwartej klasie podstawówki. Mieszkał skromnie, na granicy ubóstwa. Budiziniski do sprawy nic nie wniesie.

Rogers natomiast okazał się cennym tropem. Numer ubezpieczenia społecznego, który podał w kwestionariuszu osobowym, był autentyczny, tyle że należał do pracowniczki Departamentu Stanu, która przebywała od dwóch lat na placówce w Tajlandii. Musiał wiedzieć, że firma czyszcząca wykładziny tego nie sprawdzi. Po co by mieli to robić? Podał adres motelu w Beltsville, w Marylandzie. Nikt o tym nazwisku nie meldował się w tym hotelu w ciągu ostatniego roku i nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi Rogersa, tam nie widziano. Władze stanu Kansas nie miały jego danych. Na domiar wszystkiego nigdy nie zrealizował żadnego z czeków, które otrzymywał jako wynagrodzenie w firmie „Metro”. Sam ten fakt był wiele mówiący.

W jednym z gabinetów właśnie sporządzano portret pamięciowy na podstawie opisu Pettisa. Zostanie rozwieszony w całej okolicy.

To Rogers. Frank czuł to wyraźnie. Był w tym domu i zniknął, zostawiając ślad w postaci fałszywych informacji. Simons właśnie w tej chwili drobiazgowo przeszukiwała furgon Pettisa, bo tam gdzieś na pewno są odciski palców Rogersa. Nie mają odcisków do porównań z miejsca zbrodni, ale jeśli uda im się zidentyfikować Rogersa, to Frank się założy, że był już gdzieś notowany i będzie można powoli formułować oskarżenie. Jeśli osoba, na którą czeka, postanowi współpracować, zrobią wielki krok naprzód.

Jeszcze raz przejrzał listę zatrudnionych w rezydencji Sullivana, chociaż nauczył się jej już prawie na pamięć. Interesowało go naprawdę tylko jedno.

Zeznanie reprezentanta firmy od alarmów wciąż do niego wracało. Znalezienie kodu z pięciu właściwych liczb we właściwej kolejności przy piętnastu miejscach jest nie do zrobienia dla przenośnego komputera w tak krótkim czasie. Żeby to się udało, trzeba wyeliminować część zmiennych. Jak to zrobić? Badanie tarczy wykazało, że na przyciski z cyframi naniesiono pewną substancję chemiczną - Frank nie pamiętał dokładnej nazwy, chociaż Simons ją zidentyfikowała - którą widać tylko w świetle lampy fluorescencyjnej.

Frank zagłębił się w fotelu i wyobraził sobie kamerdynera albo kogokolwiek, do kogo to należało, jak naciska odpowiednie przyciski, pięć po kolei i nastawia alarm. Potem odchodzi, kompletnie nieświadomy, że ma na palcu niewidzialną gołym okiem, bezwonną substancję. A co ważniejsze, zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie pokazał, z jakich cyfr składa się kod zabezpieczający. W świetle lampy fluorescencyjnej przestępcy będą mogli stwierdzić, które cyfry wprowadzono, ponieważ na tych przyciskach substancja będzie rozmazana. Ta informacja wprowadzona do komputera umożliwi mu odgadnięcie właściwej sekwencji bez przekroczenia czasu.

Pozostaje pytanie: kto naniósł tę substancję? Frank z początku brał pod uwagę Rogersa czy jak tam naprawdę miał na nazwisko, który, kiedy był w tym domu, mógł to zrobić, ale więcej przemawiało przeciwko tej koncepcji. Po pierwsze, w domu zawsze było pełno ludzi i każda obca osoba kręcąca się wokół centrali alarmu wzbudziłoby podejrzenie. Po drugie hol wejściowy był pomieszczeniem dużym, otwartym i najbardziej uczęszczanym w całym domu. I wreszcie naniesienie substancji wymagało czasu i uwagi. A Rogers nie miał takich luksusowych warunków. Nawet najłżejsze podejrzenie, przelotny rzut oka i cały plan spaliłby na panewce. Osoba, która to obmyśliła, nie należała do ludzi skłonnych podjąć ryzyko tego rodzaju. Rogers tego nie zrobił. Frank był prawie pewien, że wie, kto to był.

Na pierwszy rzut oka kobieta wydawała się tak chuda, że robiła wrażenie wycieńczonej rakiem. Jednakże bliższe spojrzenie ujawniało rumieńce na policzkach, drobnokościstą budowę i grację w ruchach, które prowadziły do wniosku, że jest bardzo szczupła, ale zupełnie zdrowa.

- Proszę, niech pani usiądzie, pani Broome. Dziękuję, że pani przyszła.

Kobieta skinęła głową i przysiadła na jednym z krzeseł. Miała na sobie kwiecistą spódnicę do pół łydki. Pojedynczy sznur dużych, sztucznych pereł okalał jej szyję. Włosy miała upięte w schludny koczek, pasmo nad czołem zaczynało siwieć, jakby atrament wsiąkał w papier. Biorąc pod uwagę gładką skórę i brak zmarszczek, Frank ocenił jej wiek na jakieś trzydzieści dziewięć. Naprawdę była nieco starsza.

- Myślałam, że już pan skończył ze mną, panie Frank.

- Proszę mówić mi po imieniu. Czy pani pali?

Zaprzeczyła.

- Mam po prostu kilka dodatkowych pytań, rutynowych. Pani nie jest jedyna. Zdaje się, że zwalnia się pani od Sullivana?

Przełknęła z trudem ślinę, spuściła oczy, podniosła.

- Byłam blisko, że tak powiem, z panią Sullivan. Jest mi teraz ciężko, pan rozumie... - Odwróciła twarz.

- Wiem, wiem. To okropne, straszne. - Frank przerwał na chwilę. - Jak długo pracowała pani u Sullivanów?

- Trochę ponad rok.

- Sprzątała pani i...?

- Pomagałam przy sprzątanii. Są nas cztery, to znaczy Sally, Rebecca i ja, a Karen Taylor gotuje. Ja opiekowałam się także rzeczami pani Sullivan. Strojami i tak dalej. Byłam kimś w rodzaju jej asystentki, można by to tak nazwać. Pan Sullivan ma swojego asystenta, Richarda.

- Napije się pani kawy?

Frank nie czekał na odpowiedź. Otworzył drzwi.

- Hej, Molly, możesz przynieść dwie neski? - Czarną? Ze śmietanką? - spytał panią Broome.

- Czarną.

- Dwie czarne, Molly, bądź tak miła.

Zamknął drzwi i usiadł.

- Strasznie tu zimno. Nie mogę się rozgrzać. - Popukał w szorstką ścianę. - Te pustaki nie trzymają ciepła. Więc mówiła pani o pani Sullivan?

- Była dla mnie bardzo miła. To znaczy rozmawiała ze mną. Nie należała, wie pan, do tej klasy, do wyższej klasy, można powiedzieć. Chodziła do tej samej szkoły co ja, tu, w Middleton.

- Mniej więcej w tych samych latach, jak sądzę.

Ta uwaga wywołała uśmiech na jej ustach. Nieświadomym gestem poprawiła niesforny kosmyk

włosów, którego wcale nie było.

- Ja chodziłam tyle wcześniej, że wolałabym się nie przyznawać.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się kawa. Na szczęście była gorąca i świeża. Frank nie kłamał, było zimno.

- Nie powiedziałabym, że naprawdę dobrze pasowała do tych wszystkich ludzi, ale trzymała fason. Nie naśladowała nikogo, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

Frank miał powody przypuszczać, że to prawda. Bądź co bądź, nieodżałowana pani Sullivan pod wieloma względami była kobietą z piekła rodem.

- Czy stosunki między Sullivanami określiłaby pani jako dobre, złe, średnie...?

Nie wahała się.

- Bardzo dobre. Ach, wiem, co ludzie mówią o takiej różnicy wieku i tak dalej, ale ona była dla niego bardzo dobra, a on był dobry dla niej. Naprawdę w to wierzę. Kochał ją, mówię panu. Może bardziej ojcowską miłością, ale to zawsze miłość.

- A ona jego?

Teraz wahanie było zauważalne.

- Musi pan rozumieć, że Christy Sullivan była bardzo młodą dziewczyną, może pod wieloma względami młodszą, niż wskazywałby na to jej wiek. Pan Sullivan otworzył przed nią cały świat nowych możliwości, a ona... - Zamilkła, najwidoczniej niepewna, co mówić dalej.

Frank postanowił nacisnąć.

- A co ze skarbcem w sypialni? Kto o nim wiedział?

- Nie wiem. Ja na pewno nie. Przypuszczam, że pan i pani Sullivan wiedzieli. Służący pana Sullivana, Richard, mógł wiedzieć. Ale nie jestem pewna.

- A więc Christine Sullivan ani jej mąż nigdy nie wspominali pani, że za lustrem jest sejf?

- Nie, skądże. Byłam kimś w rodzaju przyjaciółki, ale przecież nadal należałam do służby. I pracowałam zaledwie rok. Pan Sullivan właściwie nigdy ze mną nie rozmawiał. Takich rzeczy nie mówi się służącej, prawda?

- Pewnie ma pani rację. - Frank był pewien, że kłamie, ale nie miał sposobu, żeby to udowodnić. Christine Sullivan wyglądała na taką, co lubi się pochwalić swoim bogactwem komuś, z kim mogłaby się identyfikować, po to, żeby pokazać, jak daleko zaszła.

- A więc nie wiedziała pani, że lustro jest jednostronne i można przez nie zaglądać do sypialni? - Tym razem była wyraźnie zaskoczona. Frank zauważył rumieniec pod lekkim makijażem. - Wando, czy mogę pani mówić po imieniu? Wando, rozumiesz, że domowa instalacja alarmowa została unieszkodliwiona przez włamywacza? Została unieszkodliwiona w ten sposób, że ktoś wprowadził właściwe hasło. Kto wieczorem nastawiał alarm?

- Richard - odparła bez zwłoki. - A czasami sam pan Sullivan.

- Więc wszyscy w domu znali hasło?

- O, co to, to nie. Tylko Richard. Służy panu Sullivanowi prawie od czterdziestu lat. Poza panem Sullivanem jest jedyną osobą, która знаła hasło, tak przypuszczam.

- Czy kiedykolwiek widziała pani, jak nastawiał alarm?

- Zazwyczaj byłam już w łóżku, gdy uruchamiano instalację.

Frank wpatrywał się w nią.

Wanda Broome otworzyła szeroko oczy.

- Chyba... chyba nie podejrzywasz, że Richard miał z tym cokolwiek wspólnego?

- Cóż, Wando, ktoś, kto jest poza podejrzeniami, w jakiś sposób rozbroił system alarmowy. I oczywiście podejrzenia padają na każdego, kto znał hasło.

Wanda Broome wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Wzięła się jednak w garść.

- Richard ma prawie siedemdziesiąt lat.

- A więc pewnie potrzebuje małego zabezpieczenia na stare lata. Rozumiesz oczywiście, że to, co mówię, ma pozostać w najściślejszej tajemnicy?

Skinęła głową i wytarła nos. Drobnymi łykami popijała kawę, przedtem nietkniętą. Frank ciągnął.

- Dopóki ktoś nie wyjaśni mi, w jaki sposób znaleziono dostęp do systemu alarmowego, będę prowadził dochodzenie w tym kierunku, który wydaje mi się najbardziej sensowny.

Nie spuszczał z niej wzroku. Poprzedni dzień spędził na wyszukiwaniu wszelkich dostępnych informacji o Wandzie Broome. Dość przeciętny życiorys, z jednym drobnym haczykiem. Czterdzieści cztery lata, dwukrotnie rozwiedziona, dwoje dorosłych dzieci. Mieszkała w skrzydle dla służby razem z innymi. Jakies cztery mile stamtąd jej osiemdziesięcioletnia matka mieszkała w skromnym, trochę podniszczonym domu, żyjąc wygodnie z emerytury i renty po mężu kolejarzu. Broome została zatrudniona przez Sullivanów, tak jak mówiła, mniej więcej rok temu. To z początku zwróciło uwagę Franka: była najnowszym członkiem służby domowej, oprócz niej wszyscy pracowali już bardzo długo. To samo w sobie nie znaczyło wiele. Sullivan niewątpliwie bardzo dobrze traktował służbę i wiele można powiedzieć o lojalności długoletnich, dobrze płatnych pracowników. Wanda Broome sprawiała wrażenie, że też potrafi być lojalna. Pytanie tylko: wobec kogo?

Haczyk w życiorysie Wandy Broome polegał na tym, że siedziała w więzieniu, ponad dwadzieścia lat temu, za defraudację popełnioną, gdy pracowała jako księgowa u lekarza w Pittsburghu. Pozostała służba była czysta jak łąka. Czyli potrafiła złamać prawo i spędziła trochę czasu za kratkami. Nazywała się wtedy Wanda Jackson. Rozwiodła się z Jacksonem po wyjściu, a właściwie to on ją rzucił. Od tamtego czasu miała czyste akta. Po zmianie nazwiska i zatarciu dawnego wyroku wskutek przedawnienia, nawet gdyby Sullivan gruntownie ją sprawdzał, niczego by nie znalazł. Wszystko wskazywało na to, że Wanda Broome przez ostatnie dwadzieścia lat była uczciwą, ciężko pracującą obywatelką. Frank zastanawiał się, dlaczego to uległo zmianie.

- Wando, czy coś zapamiętałaś albo czy przychodzi ci do głowy coś, co mogłoby mi pomóc? - Frank starał się otworzyć swój notatnik tak niewinnie, jak to możliwe, i udawał, że coś notuje. Jeśli ona była wtyczką, to nie chciał jednego: żeby pobiegła do Rogersa, a on w rezultacie nie ukrył się jeszcze lepiej. Z drugiej strony, jeśli zmięknie, może da się przeciągnąć na stronę Franka.

Wyobraził ją sobie, jak wyciera kurze w holu wejściowym. To takie łatwe nanieść trochę odczynnika na szmatkę, od niechcenia przetrzeć panel kontrolny systemu. Coś zupełnie naturalnego, nikt, nawet gdyby się jej przyglądał, nie mógłby nabrać podejrzeń. Ot, skrupulatna służąca przy swojej robocie. Potem, gdy wszyscy śpią, mogłaby się zakraść na dół, jeden błysk lampy i po robocie.

Formalnie mogłaby zostać oskarżona o współdziałanie w morderstwie, ponieważ zabójstwo jest prawdopodobnym rezultatem włamania do domu. Lecz Frank był znacznie mniej zainteresowany wysłaniem Wandy Broome do więzienia na sporą część reszty jej życia niż zapudłowaniem tego człowieka, który pociągnął za spust. Ta kobieta, która siedzi naprzeciw niego, nie wykombinowała tego całego planu. Odegrała jedynie epizodyczną, choć ważną rolę. Frank chciał dostać mistrza ceremonii. Mógł nakłonić prokuratora stanowego do układu z Wandą, żeby osiągnąć swój cel.

- Wando? - Frank pochylił się przez stół i patrząc jej w oczy, wziął za rękę. - Czy przychodzi ci do głowy coś jeszcze? Cokolwiek, co pomoże mi złapać tę osobę, która zamordowała twoją przyjaciółkę?

Frank otrzymał w końcu w odpowiedzi lekki przeczący ruch głowy i opadł z powrotem na oparcie. Po tej rundzie nie spodziewał się za wiele, ale osiągnął tyle, ile chciał. Mur zaczął pękać. Nie ostrzeże faceta, tego Frank był pewien. Dotrze do Wandy Broome, po troszeczkę.

Jak miał się przekonać, już zaszedł za daleko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jack rzucił w kąt swój neseser, zwinięty płaszcz cisnął na sofę i siłą powstrzymał się, żeby nie runąć na dywan i nie zapaść w kamienny sen. Na Ukrainę i z powrotem w pięć dni to zabójstwo. Sama siedmiogodzinna różnica czasu wystarczy, ale jak na kogoś, kto podchodzi pod osiemdziesiątkę, Walter Sullivan był niezmordowany.

W mgnieniu oka przepuszczano ich przez wszystkie kontrole graniczne i lotniskowe, traktując z gorliwością i szacunkiem, które wzbudzały bogactwo i reputacja Sullivana. Potem niekończąca się seria spotkań. Zwiedzanie fabryk, kopalń, biur, szpitali, bankiet i popijawa u burmistrza Kijowa. Następnego dnia wizyta u prezydenta Ukrainy. Jadł Sullivanowi z ręki już po godzinie. Kapitalizm i przedsiębiorstwo były w wielkiej cenie w niepodległej republice, a Sullivan był kapitalistą przez duże K. Każdy chciał z nim rozmawiać, uścisnąć mu dłoń, jakby dzięki temu miał uszczknąć coś z tej jego czarodziejskiej mocy robienia niewiarygodnych pieniędzy.

Rezultaty przerosły oczekiwania, Ukraińcy przyjęli ich wizję interesów z entuzjazmem i wdzięcznością. Dolary za rakiety zaproponują później. Taki majątek. Bezużyteczny majątek, który można upłynnić za gotówkę.

Luksusowo wyposażony boeing 747 Sullivana przyleciał z Kijowa na międzynarodowe lotnisko Waszyngton-Baltimore bez międzylądowania, a limuzyna miliardera podrzuciła Jacka do domu. Poczłapał do kuchni. W lodówce znalazł tylko skwaśniałe mleko. Na Ukrainie karmili ich bardzo dobrze, ale jedzenie było za ciężkie dla Jacka, a poza tym pili stanowczo za dużo wódki. Najwidoczniej nie da się tam bez tego prowadzić interesów.

Rozcierał skronie, walcząc z przemożną sennością. Właściwie był zbyt zmęczona, żeby spać. Ale chciało mu się jeść. Sprawdził godzinę.

Wewnętrzny zegar wskazywał jakąś ósmą rano, na zegarku była północ. Waszyngton to nie Nowy Jork z jego nocnym życiem, ale znajdzie się jakiś czynnysklep mimo późnej godziny. Właśnie wciągał na siebie płaszcz, gdy zadzwonił telefon. Sekretarka jest włączona. Jack miał wyjść, ale zawahał się. Wysłuchał nagranych zgłoszenia, potem sygnału.

- Jack?

Głos wyskoczył z głębi przeszłości, jak piłka trzymana pod wodą, która uwolniona leci ku górze i wrywa się na powierzchnię. Rzucił się do słuchawki.

- Luther?

Restauracja była wielkości budki telefonicznej i należała do ulubionych Jacka. Przez całą dobę można tu było zjeść wszystko, cokolwiek przychodziło do głowy. Jennifer nigdy nie przestąpiłaby progu takiej dziury, ale on i Kate bywali tu często. Jeszcze niedawno taka myśl by zakłóciła jego pogodę ducha, ale przecież podjął decyzję i nie zamierza problemu rozważać ponownie. Życie jest dalekie od doskonałości i nie można go spędzić w oczekiwaniu na tę doskonałość. On w każdym razie nie ma takiego zamiaru.

Jack pochłoniął jajecznicę na bekonie i cztery grzanki. Świeża kawa paliła mu przetyk. Po pięciu dniach kawy instant z butelkowanej wody, smakowała cudownie.

Jack popatrzył na człowieka, który siedział naprzeciwko, sącząc swoją kawę, i na zmianę to wyglądał przez brudne okno na ciemną ulicę, to rozglądał się po ciasnym, zadymionym wnętrzu.

Jack odstawił filiżankę.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Ty też, Jack.

- Byłem za granicą.

- Ja też.

To wyjaśniało wygląd ogródka i skrzynki na listy. Nie było powodu do zmartwienia. Jack odsunął talerz i machnął na kelnera, żeby mu dołał kawy.

- Odwiedziłem twój domek któregoś dnia.

- Po co?

Jack spodziewał się tego pytania. Luther Whitney nigdy nie odstępował od szczerzej postawy. Ale co innego spodziewać się, a co innego być gotowym do odpowiedzi. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chyba chciałem się z tobą zobaczyć. Jakiś czas temu. Luther skinął głową ze zrozumieniem.

- Znów spotykasz się z Kate?

Jack przełknął łyk kawy, zanim odpowiedział.

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zdawało mi się, że niedawno widziałem was razem.

- Wpadliśmy na siebie. I tyle.

Jack nie był pewien, ale Luther chyba się zmartwił. Widząc, że Jack mu się uważnie przygląda, uśmiechnął się.

- Dawne czasy. Dzięki tobie wiedziałem, czy u mojej dziewczynki wszystko w porządku. Byłeś moją wtyczką, Jack.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy zwrócić się do niej bezpośrednio, Luther? Wiesz, przecież zawsze można spróbować. Lata mijają.

Luther machnął ręką na tę propozycję i znów zagapił się w okno.

Jack mu się przyjrzał. Twarz chudsza niż zwykle, oczy podpuchnięte. Na czole i wokół oczu więcej zmarszczek, niż pamiętał. No, ale to cztery lata. Luther był w tym wieku, kiedy człowiek starzeje się szybko, z dnia na dzień.

Złapał się na tym, że patrzy Lutherowi w oczy. Te oczy zawsze Jacka fascynowały. Zielone, duże, jak u kobiety. Oczy, które wzbudzają zaufanie i spokój. Jack widział w nich zadowolenie, kiedy oznajmił mu, że zaręczył się z Kate, lecz częściej widywał w nich smutek. A teraz, gdzieś tuż pod powierzchnią, Jack zobaczył dwie rzeczy, których nigdy przedtem w oczach Whitneya nie było. Zobaczył lęk i... nienawiść. I nie wiedział, które z tych uczuć zaniepokoiło go bardziej.

- Luther, masz jakieś kłopoty?

Luther wyciągnął portfel i wbrew protestom Jacka zapłacił za jedzenie.

- Chodźmy się przejść.

Wzięli taksówkę do Mail i w milczeniu podeszli do ławki w pobliżu Smithsonian Castle. Owionęło ich chłodne nocne powietrze, Jack postawił kołnierz płaszcza. Usiadł, a Luther stanął, żeby zapalić papierosa.

- To coś nowego. - Jack spojrział na dym wijący się w czystym powietrzu nocy.

- W moim wieku już wszystko jedno. - Luther rzucił zapalną na ziemię i zagrzebał nogą w pył. Usiadł.

Za ich plecami najsłynniejszy obelisk świata wznosił się na swoje pięćset pięćdziesiąt pięć stóp.

- Jack, chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę.

- W porządku.

- Jeszcze nie usłyszałeś, o co mi chodzi. - Luther nagle wstał. - Przejdźmy się. Kości mi się zastały.

Minęli obelisk Waszyngtona i ruszyli w kierunku Kapitolu. Luther przerwał wreszcie ciszę.

- Jestem w impasie, Jack. Na razie jeszcze nie jest tragicznie, ale może być gorzej i to w każdej chwili.

- Luther nie patrzył na niego, wydawał się patrzeć przed siebie, na potężną kopułę Kapitolu, ale w rzeczywistości nie widział także i jej. - Nie wiem, jak w tej chwili wygląda sytuacja, ale jeśli pójdzie tak, jak się domyślam, to będę potrzebował adwokata i chcę, żebyś to był ty. Nie chcę żadnego cwaniaka ani nowicjusza. Jesteś najlepszym obrońcą, jakiego kiedykolwiek widziałem, a widziałem ich wielu, z bliska, i przekonywałem się o ich zdolnościach na własnej skórze.

- Już się tym nie zajmuję, Luther. Przekładam papierki, zajmuję się interesami. - Do Jacka dotarło, że teraz jest właściwie biznesmenem, a nie prawnikiem. To nie była szczególnie przyjemna myśl.

Luther zdawał się go nie słyszeć.

- Nie chcę nic za darmo. Zapłacę ci. Potrzebuję kogoś, komu mogę ufać, a ty jesteś jedyny, Jack. - Luther zatrzymał się i odwrócił do młodego człowieka, oczekując odpowiedzi.

- Luther, powiesz mi, o co chodzi?

Luther energicznie pokręcił głową.

- Nie, dopóki nie będę musiał. To nie przyniosłoby niczego dobrego ani tobie, ani nikomu innego. - Wpatrywał się w Jacka z napięciem, aż stało się to krępujące.

- Powiem ci, Jack, że jeśli weźmiesz tę sprawę, możesz mieć kłopoty.

- Co masz na myśli?

- W tej sprawie można oberwać. Mocno oberwać, tak że się już nie wstanie.

Jack się zatrzymał.

- Z kim ty się zadałeś, Luther? Jeśli depczą ci po piętach jakieś typy, to może lepiej pójść na układ z policją, uzyskać zapewnienie niekaralności i zniknąć w ramach programu ochrony świadków? Mnóstwo ludzi tak robi, to nic nowego.

Luther roześmiał się w głos. Śmiał się, aż się zakrztusił i zgiął w pół. Jack pomógł mu się wyprostować. Czuł, że starszy pan drży. Nie zdawał sobie sprawy, że trzęsie się z wściekłości. Ten wybuch tak nie pasował do charakteru tego człowieka, że Jackowi aż skóra ścierpła. Uświadomił sobie, że się spocił, mimo że z ust unosiły się obłoczki pary w chłodzie późnej nocy.

Luther doszedł do siebie. Wziął głęboki wdech. Wydawał się prawie zakłopotany.

- Dziękuję za poradę, przyslij mi rachunek. Muszę lecieć.

- Dokąd? Dokąd się, do diabła, wybierasz? Chcę wiedzieć, co tu jest grane, Luther.

- Gdyby coś mi się przytrafiło...

- Do cholery, Luther. Jestem już zmęczony, zachowujesz się jak bohater taniej powieści sensacyjnej.

Oczy Luthera zamieniły się w szparki. Wróciła pewność siebie z domieszką gwałtowności.

- Wszystko, co robię, ma swoje uzasadnienie, Jack. I jeśli nie chcę wywalić całej prawdy, to lepiej przyjmij, że mam cholernie ważny powód, żeby tego nie robić. Teraz może tego nie rozumiesz, ale w ten sposób chcę cię chronić. W ogóle bym cię w to nie mieszał, chcę tylko wiedzieć, czy będziesz mnie bronił w sądzie, kiedy zajdzie potrzeba, jeśli w ogóle zajdzie. Jeśli nie chcesz, zapomnij lepiej tę rozmowę i

zapomnij, że kiedykolwiek mnie znałeś.

- Nie mówisz poważnie.
- Cholernie poważnie, Jack.

Mężczyźni stali, mierząc się wzrokiem przez całą minutę. Drzewa nad głową Luthera straciły już prawie wszystkie liście. Ich gałęzie sterczały w niebo jak zygzaki czarnych zamrożonych błyskawic.

- Będę przy tobie, Luther. - Dłoń Luthera szybko uściśnęła rękę Jacka i w następnej chwili Luther Whitney zniknął w cieniu.

Jack wysiadł z taksówki przed blokiem mieszkalnym. Budka telefoniczna stała po drugiej stronie ulicy.

- Halo? - Głos był zaszpany.
- Kate?

Jack liczył sekundy, aż jej umysł rozjaśnił się trochę i rozpoznała głos.

- Jezu Chryste, Jack, czy wiesz, która godzina?
- Mogę wejść?
- Nie, nie możesz wejść. Wydawało mi się, że to już ustaliliśmy.

Przerwał, wziął się w garść.

- Nie o to chodzi, chodzi o twojego ojca.

Nie potrafił zinterpretować przeciągającej się ciszy.

- Co z nim? - Jej głos nie był tak lodowaty, jak się tego spodziewał.

Może został jeszcze jakiś odprysk. Dorosłe dzieci zawsze obawiają się nocnych telefonów z najgorszą wiadomością. Może byłaby zadowolona z takiej wieści, zamykającej na dobre jakiś rozdział w jej życiu, chociaż już wydawał się zupełnie zamknięty.

- Ma kłopoty.

Wrócił znajomy ton.

- No i co z tego? Jeszcze cię to dziwi?

- Chodzi mi o to, że ma poważne kłopoty. Przed chwilą udało mu się śmiertelnie mnie wystraszyć, chociaż prawdę mówiąc, nie pisał ani słowa.

- Jack, jest późno, i w cokółwiek wpakował się mój ojciec...

- Kate, był przerażony, to znaczy śmiertelnie przerażony. Tak przerażony, że się trząsał.

Znow długa pauza. Jack podążał tokiem jej myśli, gdy zastanawiała się nad człowiekiem, którego oboje znali tak dobrze. Luther Whitney przerażony? Zupełnie bez sensu. Ten facet siedział w najcięższych więzieniach, jakie ma do zaoferowania ten kraj. Zawód, jaki sobie obrał, wymagał stalowych nerwów. Nie był człowiekiem gwałtownym, całe swoje dorosłe życie spędził, ryzykując i narażając się na niebezpieczeństwo.

- Gdzie jesteś? - padło zwięzłe pytanie.
- Po drugiej stronie ulicy.

Jack spojrział w górę i zobaczył szczupłą postać w oknie. Pomachał ręką.

Zapukał, drzwi się otworzyły, zobaczył, jak Kate wycofuje się do kuchni, skąd dobiegł brzęk czajnika, plusk wody i pstryknięcie zapalarki do gazu. Rozglądał się po pokoju i stał przy drzwiach wejściowych, czując się trochę głupio.

Weszła z powrotem. Miała na sobie gruby płaszcz kąpielowy do kostek. Była boso. Jack nie mógł oderwać oczu od jej stóp. Podążyła za jego spojrzeniem, po czym popatrzyła na niego. Podskoczył.

- Jak tam kostka? Wygląda nieźle. - Uśmiechnął się.

- Jack, jest późno, nie zwracajmy sobie głowy. Co się z nim dzieje?

Wszedł do małego salonu i usiadł, a ona naprzeciwko.

- Zadzwoił parę godzin temu. Poszliśmy do tej małej knajpki koło Rynku Wschodniego, a potem spacerowaliśmy. Powiedział, że chciałby mnie prosić o przysługę. Że ma kłopoty. Poważne kłopoty z ludźmi, którzy mogą mu wyrządzić nieodwracalną krzywdę. Naprawdę nieodwracalną.

Czajnik zagwizdał. Zerwała się na równe nogi. Patrzył za nią, widok jej doskonale uformowanej pupy pod grubym szlafrokiem przyniósł falę wspomnień, których chciał się przecież pozbyć.

- O jaką przysługę mu chodziło? - Sączyła herbatę.

Jack swojej nie tknął.

- Powiedział, że potrzebuje adwokata. Że może potrzebować adwokata. Że jeszcze nie wie, jak sprawy się ułożą. Chciał, żebym to ja go bronił.

Odstawiła filiżankę.

- I to wszystko?

- Mało ci?

- Może u uczciwego, szanowanego obywatela to byłoby coś szokującego, ale u niego?

- Mój Boże, Kate, ten facet był przerażony. Nigdy nie widziałem, żeby się czegokolwiek bał, a ty?

- Widziałam go dosyć w życiu i nie chcę więcej oglądać. Taki wybrał styl życia, więc teraz ma.

- To twój ojciec, na litość boską.

- Jack, nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy. - Zaczęła się podnosić.

- A jeśli mu coś się stanie? Wtedy co?

Spojrzała na niego chłodno.

- To się stanie. Nie mój problem.

Jack wstał i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Fajnie. Opowiem ci, jak przebiegł pogrzeb. Właściwie dlaczego miałoby cię to obchodzić? Prześlę ci odpis aktu zgonu na pamiątkę.

Nie podejrzewał, że jest taka szybka, ale policzek bolał go jeszcze przez tydzień, jakby ktoś go polał kwasem.

- Jak śmiesz! - Oczy jej pałały, gdy rozcierał powoli twarz.

Potem wybuchnęła płaczem tak gwałtownym, że łzy popłynęły jej na ubranie.

Cicho, tak łagodnie, jak tylko umiał rzekł:

- Nie gniewaj się, przekazuję tylko wiadomość. Mówiłem Lutherowi i mówię tobie: życie jest za krótkie, żeby sobie tak podsrywać. Straciłem oboje rodziców dawno temu. W porządku, masz powody, żeby faceta nie lubić, niech tam. Twoja sprawa. Ale ten stary cię kocha i zależy mu na tobie, i mimo że schrzanił sobie życie, zasługuje na to, żeby tę miłość szanować. Możesz mnie posłuchać albo nie, kotku, twoja sprawa.

Ruszył ku drzwiom, ale była tam przed nim.

- Nie masz zielonego pojęcia o tej sprawie.

- Okay, nie mam zielonego pojęcia. Połóż się grzecznie do łóżeczka, jestem pewien, że zaśniesz jak dziecko, nie masz przecież na głowie nic poważnego.

Złapała go za płaszcz z taką siłą, że okręciłaby go jak frygę, gdyby nie był od niej cięższy jakieś osiemdziesiąt funtów.

- Miałam dwa lata, kiedy po raz ostatni poszedł siedzieć. Miałam dziewięć, kiedy wyszedł. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki to straszny wstyd dla małej dziewczynki mieć tatę w kryminale? Mieć tatę, który krał

rzeczy należące do innych ludzi? Kiedy dzieci w klasie wstają i mówią, co robi tata? Inni mówią, mój tata jest lekarzem, mój kierowcą ciężarówki, a kiedy dochodzi do ciebie, nauczyciel spuszcza wzrok i mówi klasie, że tatuś Kasi został zabrany daleko, bo zrobił coś złego, i przechodzi do następnego dziecka. Nigdy nie było go przy nas. NIGDY! Mama była cały czas chora z niepokoju o niego. Ale zawsze w niego wierzyła, aż do końca. Ułatwiała mu takie życie.

- Rozwiodła się z nim w końcu, Kate - przypomniał jej łagodnie.

- Tylko dlatego, że nie miała wyboru. I właśnie wtedy, kiedy jej życie mogło się odmienić na lepsze, dostała guza piersi i za pół roku nie żyła. - Kate oparła się o ścianę. Wyglądała na tak zmęczoną, że aż przykro było patrzeć. - I wiesz, co w tym wszystkim jest najgłupsze? Że nigdy nie przestała go kochać. Po tych wszystkich świństwach, jakie jej zrobił. - Kate pokręciła głową, jeszcze nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie powiedziała. Podniosła wzrok na Jacka, jej broda drżała lekko. - Ale to nic, ja mam dość nienawiści za nas obie.

Jack popatrzył na nią i zauważył, że łzy zaczynają płynąć znowu. Pobiegnął do kuchni i wrócił z wilgotnym ręcznikiem. Wytrzeła sobie twarz i ukryła ją w miękkiej tkaninie. Zachwiała się i upadłaby na podłogę, gdyby jej nie chwycił na ręce i nie zaniósł delikatnie na kanapę.

Ukląkł przy niej, nie wiedząc, co robić czy powiedzieć. Więc pozwolił jej płakać, a trwało to długo. Jej ciało na przemian wyprężało się i rozluźniało, aż sam poczuł wielkie zmęczenie i ręce mu zwilgotniały, kiedy tak patrzył na cierpienie jedynej kobiety na świecie, z którą pragnął się ożenić, jedynej kobiety, którą w życiu kochał. Wreszcie objął ją mocno ramionami, położył się obok niej. Jej szczupłe palce wczepiły się mocno w jego płaszcz i oba ciała drżały przy sobie długo, bardzo długo.

Kiedy to minęło, podniosła się powoli, z czerwoną, mokrą twarzą. Była piękna. Oddała mu ręcznik.

- Dziękuję. - Unikała jego wzroku.

- Lepiej sobie pójdę. Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Naprawdę.

- W porządku. - Powiedziała to szybko, prawie za szybko.

- Kate, zostanę, jeśli chcesz. Prześpię się tu, na kanapie.

- Nic mi nie jest.

Przeglądał jej się dłuższą chwilę badawczo, potem powoli wstał i podszedł do drzwi. Obejrzał się. Nadal siedziała ze spuszczoną głową. Położył rękę na klamce.

- Jack?

Odwrócił się szybko, zobaczył, że patrzy na niego.

- Dzięki. Dziękuję, że mi powiedziałeś.

Skinął głową i wyszedł, zmierzając wreszcie do domu po najdłuższym dniu, jaki pamiętał w życiu.

- NIECH TO KREW ZALEJE! Od kiedy? - Seth Frank stał przy samochodzie.

Młody funkcjonariusz straży municypalnej hrabstwa Fairfax nie zdawał sobie sprawy z wagi wydarzenia i zaskoczył go wybuch detektywa.

- Znaleźliśmy ją jakąś godzinę temu, dzieciaki bawiły się przy stawie i zobaczyły samochód, zajrzały i poleciały do domu. Któraś matka nas zawiadomiła.

Frank obszedł auto dookoła i zajrzał od strony przeciwnej kierowcy. Twarz była spokojna, zupełnie inaczej niż u poprzednich zwłok, które widział. Długie włosy w nieładzie spływały na siedzenie i deskę rozdzielczą. Wanda Broome mogłaby spać.

Trzy godziny później czynności śledcze na miejscu wypadku zostały zakończone. Na siedzeniu znaleziono cztery pigułki. Sekcja miała potem potwierdzić, że Wanda Broome zmarła wskutek znacznego

przedawkowania glikozydów naparstnicy z leku, który nabyła na receptę matki, ale którego jej nie dostarczyła. Gdy ją znaleziono na zakurzonej odludnej dróżce prowadzącej dookoła pięcioakrowego stawu, około ośmiu mil od rezydencji Sullivana, tuż przy granicy hrabstwa, nie żyła od dwóch godzin. Jedyne wyraźny dowód rzeczowy, znaleziony na miejscu, Frank wiół ze sobą w plastikowej torebce po uzyskaniu zgody wymiaru sprawiedliwości sąsiedniego hrabstwa. Była to kartka papieru wyrwana z notatnika. Pismo było kobiece, płynne i staranne. Ostatnie słowa Wandy były rozpaczliwym błaganiem o wybaczenie. Krzyk poczucia winy zawarty w jednym zdaniu.

Tak mi przykro.

Frank wracał krętą drogą przez zasnuwane mgłami bagna i bezlistne laski. Spieprzył tę sprawę koncertowo. Ale w życiu nie podejrzewałby, że to kandydatka na samobójczynię. Jej życiorys mówił o woli życia. Frank nie mógł nie żałować tej kobiety, ale i wściekał się na jej głupotę. Mógł ją wybronić, załatwić nadzwyczajne złagodzenie kary. Pomyślał, że instynkt nie mylił go co do jednego: Wanda Broome rzeczywiście była osobą lojalną. Była lojalna wobec Christine Sullivan i nie mogła żyć ze świadomością, że przyczyniła się, wprawdzie nieświadomie, do jej śmierci. Reakcja zrozumiała, choć godna pożałowania. Wraz z jej śmiercią przypadła najlepsza, pewnie jedyna szansa Franka na złowienie wielkiej ryby.

Rozważania o Wandzie Broome zeszyły na dalszy plan, kiedy zaczął się zastanawiać, jak oddać w ręce sprawiedliwości człowieka, który spowodował już śmierć dwóch kobiet.

- A niech to, Tarr, to miało być dzisiaj? - Jack popatrzył na swojego klienta w holu recepcyjnym firmy Patton, Shaw & Lord. Facet wyglądał tutaj tak nie na miejscu jak podwórzowy kundel na wystawie psów rasowych.

- O wpół do jedenastej. Teraz jest za piętnaście dwunasta, czy to znaczy, że mogłem tu posiedzieć przez trzy kwadransy za darmo? Coś mi kiepsko wyglądasz.

Jack obrzucił spojrzeniem swój wygnieciony garnitur i przyglądał ręką rozczochrane włosy.

- Mówię ci, wyglądam znacznie lepiej, niż się czuję.

Uścisnęli sobie dłonie. Tarr wystroił się na spotkanie, co znaczyło, że włożył dzinsy bez dziur i skarpetki do swoich tenisówek. Welwetowa marynarka pamiętała wczesne lata siedemdziesiąte, a włosy, jak zwykle, przypominały kołtun.

- Słuchaj, możemy to przełożyć, Jack. Wiem, co to kac.

- Nie, chodź, skoro się nastawiłeś. Ja muszę tylko coś wrzucić na ruszt. Postawię ci lunch.

Gdy wyszli z holu, Lucinda, sztywna i akurata strażniczka wizerunku firmy, odetchnęła z ulgą. Niejeden wspólnik firmy przeszedł koło jej stanowiska z miną wyrażającą bezgraniczną zgrozę. W tym tygodniu notatki służbowe będą krążyć ze zdwojoną częstotliwością.

- Przepraszam, Tarr. Gonię w piątkę. - Jack rzucił płaszcz na krzesło i usadowił się, patrząc z żalną miną na stos różowych karteczek z wiadomościami piętrzący na biurku się na wysokość sześciu cali.

- Słyszałem, że wojażowałaś za granicę. Mam nadzieję, że się dobrze bawiłaś.

- Niespecjalnie. Jak interesy?

- Bomba. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo będziesz mógł mnie nazwać pełnowartościowym klientem. Może wtedy twoi wspólnicy przestaną mieć kurcze żołądka na mój widok.

- Chrzań ich, Tarr. Płacisz swoje rachunki.

- Lepszy duży klient niż mały, co?

Jack uśmiechnął się.

- Wiesz, jak kręci się ten biznes.
- Wystarczy poznać algorytm, wszędzie to samo.

Jack otworzył akta Tarra i przerzucił je szybko.

- Twoja nowa spółka będzie gotowa na jutro. Siedziba w stanie Delaware, obszar działania obejmujący Dystrykt Kolumbii, tak?

Tarr skinął głową.

- Jak zamierzasz wyposażyć ją w kapitał? Zdaje się, że kontrakty, o które chcesz się ubiegać, mają określony minimalny kapitał obrotowy?

- Znalazłem paru inwestorów. Mam więcej niż to konieczne, jakieś pół miliona dolarów.

- Pamiętaj, jeśli będziesz wypuszczał akcje, musimy wypełnić formularz „D” i zrobić badania pilotażowe w tych stanach, w których chcesz wejść na rynek.

Tarr wyciągnął notatnik.

- Robiliśmy to już przedtem. Mam listę potencjalnych klientów. Te same stany co przedtem. Dostanę zniżkę? - Tarr się uśmiechnął. Lubił Jacka, ale biznes to biznes. Poprzedni radca prawny wyciągnął od niego mnóstwo forsy.

- Tak, tym razem nie musisz płacić za naukę niedoinformowanego, lecz przecenianego prawnika.

Roześmiali się obaj.

- Liczę ci najtaniej, jak się da, Tarr, jak zawsze. A właściwie po co ci ta nowa firma?

- Mam dojścia do nowej techniki w takich rzeczach jak nadzór wideo i inwigilacja.

Jack podniósł wzrok znad notatek.

- Inwigilacja? To chyba coś nie po twojej linii,

- Słuchaj, stary, trzeba chwytać wiatr. Jest recesja, a to oznacza, że firmy ograniczają zatrudnienie jak oszalałe. W tej sytuacji ostatnią rzeczą, na jaką mają ochotę, jest organizacja seminariów i szkolenie pracowników. A to znaczy, że nikomu nie jest potrzebna audiowizualna aparatura do prowadzenia konferencji. Jako operatywny przedsiębiorca muszę szukać nowych możliwości i rynków. Inwigilacja i nadzór wideo to był zawsze świetny biznes w sektorze prywatnym. A teraz wchodzi na teren bezpieczeństwa publicznego.

- To ciekawe pole działania dla człowieka, którego w latach sześćdziesiątych pakowano do aresztu chyba w każdym większym mieście tego kraju.

- No, przyznaję, trochę się protestowało. Szlachetne pobudki. Ale wszyscy kiedyś z tego wyrastamy.

- Powiedz, jak to będzie wyglądało.

- Są dwa sposoby. Po pierwsze satelity na niskich orbitach połączone z posterunkami policji. Można zaprogramować, które rejony mają obserwować. Kiedy coś się dzieje, sygnał jest od razu przesyłany na posterunek, mają dokładną lokalizację i informację o wypadku. W parę minut gliny są na miejscu. Dla nich to skarb. Coraz więcej techniki wojskowej trafia do sektora prywatnego, bo Pentagonowi kurczą się fundusze. Druga metoda polega na instalowaniu wojskowego sprzętu obserwacyjnego, czujników, wykrywaczy itp. na słupach telefonicznych albo pod ziemią z czujnikami na powierzchni, albo na budynkach. Na początek umieszczać się będzie w miejscach najbardziej zagrożonych przestępczością w największych miastach. Będą obserwować i podsłuchiwać. Jak coś się zacznie, kawaleria rusza do boju.

Jack pokręcił głową.

- Czyli podglądactwo zalegalizowane. George Orwell musi się w grobie przewracać. A jak się mają do tego prawa człowieka?

- Jasne, że ACLU* będzie miała pełne ręce roboty na lata. Ale ja tylko sprzedaję to gównno. Poza tym

ponad osiemdziesiąt procent zabójstw w Dystrykcie jest związane z narkotykami. I większość popełniana jest w ściśle określonych rejonach. Takie same prawidłowości występują w większości miast w kraju. To muirowany interes.

* American Civil Liberties Union, organizacja, która bada przestrzeganie praw obywatelskich i zajmuje się ich obroną.

- Chyba że typki się pochowają.

- Nie uciekniesz przed satelitą, Jack.

- A więc podoba ci się to?

Tarr wzruszył ramionami.

- Mam żonę i czworo dzieci. Jestem śmiertelnie przerażony jak wszyscy. Trzeba rozważyć za i przeciw. Jak zwykle. Trochę ograniczyć prawa obywatelskie, żeby ratować życie. Jesteśmy najbardziej zagrożonym przestępczością krajem na ziemi. Mówi się, że na Bliskim Wschodzie jest niebezpiecznie. Ale przy śródmieściu i południowych dzielnicach Los Angeles Bejrut to przedszkole. Trzeba wybrać, nie da się mieć wszystkiego. Jeszcze nikt nie wymyślił nic lepszego.

Jack wzruszył ramionami i wrócił do akt. To, co ten facet mówi, na pewno brzmi rozsądnie. Ale Jackowi nie podobał się pomysł, że będzie obserwowany i podsłuchiwany przez jakieś wszechobecne oczy i uszy.

Po lunchu zajął się zaległą robotą, zadzwonił w połowę miejsc z różowych karteczek i postanowił zostawić resztę do jutra. Wyrzwał przez okno i wrócił myślami do Luthera Whitneya. Mógł tylko zgadywać, w co się wplątał. Najbardziej dziwiło go to, że Luther przecież był zarówno w życiu, jak i w pracy samotnikiem. Kiedy jeszcze Jack był obrońcą z urzędu, przejrzał niektóre stare akta Luthera. Pracował sam. Nawet wtedy, kiedy nie był aresztowany, ale jedynie przesłuchiowano go, zawsze chodziło o sprawy, w których podejrzewano jedną osobę. A więc kogo się bał? Kim są ci inni ludzie? Konflikt z paserem? To do Luthera niepodobne. Za długo robi w tym biznesie, żeby wchodzić w coś takiego. Ofiara? Chce się mścić? Kto się chce mścić na włamywaczu? Gdyby kogoś ranił albo zabił, to co innego, ale Luther nie był do tego zdolny.

Usiadł przy małym stoliku konferencyjnym i wrócił myślami do wczorajszej nocy. Kate mu podziękowała za to, że przyszedł. Może niezupełnie wprost, z wielkim bólem, ale jednak zrobiła to. Co to mogło oznaczać na dłuższą metę? Jack nie miał pojęcia. Jedno było pewne. Jedna noc nie równoważy całego życia w nienawiści. Nienawiści, którą ta kobieta nosi w sobie, co uświadomił sobie dopiero tej nocy. Może to wiele wyjaśnia. Ale czy rzeczywiście chce słuchać tych wyjaśnień? Ile razy ma przez to przechodzić? W tym punkcie jego życia Whitneyowie nie są szczególnie mile widziani. Ale Lutherowi obiecał. Dlaczego to zrobił? Przetarł oczy i poluzował krawat. Musi gdzieś postawić granicę albo przeciąć tę więź. Miał nadzieję, że z danej obietnicy nigdy nie będzie musiał się wywiązać.

Zszedł na dół i wziął z kuchenki wodę mineralną, usiadł z powrotem przy biurku i skończył opracowywać rachunki za zeszły miesiąc. Firma wystawiała Baldwinowi rachunki na blisko trzysta tysięcy miesięcznie, a tempo rosło. Kiedy Jacka nie było, Jennifer przysłała dwie nowe sprawy, które dadzą zajęcie całemu regimentowi pracowników na pół roku. Jack szybko oszacował swój udział w zyskach za kwartał i gwizdnął z niedowierzaniem. Może rzeczywiście stać ich na ten dom. To niemal zbyt łatwe.

Między nim a Jennifer zaczęło się wreszcie naprawdę układać. Rozum mu podpowiadał, żeby tego nie schrzanić. Narząd mieszczący się w klatce piersiowej nie był tak pewny, ale doszedł do wniosku, że najwyższy czas przekazać kierowniczą rolę w życiu rozumowi. Może powinien usiąść z narzeczoną i pogadać o tej wczorajszej nocy. Nie opowiadać wszystkiego, tylko trochę o Kate. Jennifer wiedziała o

niej, bez szczegółów, ale Jack pomyślał, że może omówienie tego z przyszłą żoną to dobry pomysł. Albo wyjdzie z tego coś pozytywnego, albo szlag ją trafi. Jack zaczął lubić ryzyko.

Zadzwoił do biura Jennifer, ale jej nie zastał. Wyszła już na dobre. Sprawdził godzinę. Wpół do szóstej. Jeśli Jennifer Baldwin nie była w delegacji, rzadko wychodziła z biura przed ósmą. Jack sprawdził w swoim terminarzu. Przez cały tydzień nigdzie nie miała się ruszać. Również wczoraj z lotniska się do niej nie dodzwonił. Chyba nie stało się nic złego.

Właśnie zastanawiał się, czy nie wyjść i nie poszukać jej w domu, gdy Dan Kirksen wsadził głowę przez uchylone drzwi.

- Masz chwilę?

Jack się zawahał. Ten facecik i jego nienaganna muszka irytowały Jacka i dobrze wiedział dlaczego. Uprzejmy do przesady Kirksen traktowałby Jacka jak kupę nawozu, gdyby ten nie prowadził milionowych interesów. Na domiar wszystkiego Jack wiedział, że Kirksen mimo wszystko ma na to rozpaczliwą ochotę i żywi nadzieję, że pewnego dnia mu się uda.

- Właśnie miałem wychodzić. Narobiłem się ostatnio.

- Wiem. - Kirksen uśmiechnął się. - Cała firma o tym mówi. Sandy musi uważać, Walter Sullivan jest tobą oczarowany.

Jack uśmiechnął się do siebie. Lord był jedyną osobą, którą Kirksen miał jeszcze większą ochotę kopnąć w dupę niż Jacka. Lord bez Sullivana byłby na widelcu. Jack czytał w myślach współnika zarządzającego.

- Nie sądzę, żeby Sandy miał powody do zmartwienia.

- Oczywiście, że nie. Chodź, to zajmie parę minut. Sala konferencyjna numer jeden. - Kirksen zniknął równie szybko jak się pojawił.

O co, do diabła, może chodzić? Zastanawiał się. Chwycił płaszcz i poszedł korytarzem. Mijając kilku kolegów, zauważył spojrzenia z ukosa, które jeszcze bardziej go zaintrygowały.

Przesuwane drzwi sali konferencyjnej były zamknięte, co było dziwne, chyba że coś się w środku odbywało. Jack odsunął jedno z ciężkich skrzydeł. Ciemność eksplodowała nagle jaskrawymi światłami. Jack patrzył zdumiony na zgromadzenie. Transparent na ścianie naprzeciwko wyjaśnił mu wszystko: „Gratulacje dla Wspólnika!”.

Lord pełnił funkcję szefa ceremonii ze szczytu stołu. Drinki płynęły obficie, obsługa zacznie zamawiać taksówki około dziewiątej. Była Jennifer wraz z rodzicami.

- Jestem z ciebie taka dumna, kochanie. - Wypiła już trochę i jej zamglone oczy mówiły Jackowi, że czeka go noc pełna wrażeń.

- Cóż, trzeba podziękować za to tacie.

- No, no, mój miły. Gdybyś nie odwalał dobrej roboty, tatuś by cię wysłał na zieloną trawkę w pięć minut. Nie bądź taki skromny. Myślisz, że Sandy Lord i Walter Sullivan nie znają się na ludziach? Kochany, przypadłeś do gustu Walterowi Sullivanowi, wziąłeś go przebojem, a niewielu może to o sobie powiedzieć.

Jack przełknął resztę drinka i zamyślił się nad tymi słowami. Brzmiały prawdopodobnie. Z Sullivanem trafił w dziesiątkę, a nie da się ukryć, że Baldwin mógłby zlecić swoje sprawy komukolwiek innemu, gdyby Jack nie dorastał do zadań.

- Może i masz rację.

- Oczywiście, że mam, Jack. Gdyby to był klub futbolowy, to dostałbyś tytuł zawodnika roku. - Jennifer sięgnęła po następnego drinka, a drugą ręką objęła Jacka w pasie.

- A na dodatek teraz będzie cię stać, żeby utrzymać mnie na stopie, do jakiej przywykłam. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Do jakiej przywykłaś. Racja. Od urodzenia. - Skradł jej ukradkowy pocałunek.

- No idź, pogadaj z ludźmi. - Odechnęła go lekko i poszła szukać rodziców.

Jack rozejrzył się po sali. Każdy, dosłownie każdy obecny, był milionerem, a niejeden multimilionerem. Był niewątpliwie najbiedniejszy z nich wszystkich, ale od tej chwili jego perspektywy prawdopodobnie były lepsze niż kogokolwiek innego. Jego podstawowe dochody właśnie wzrosły czterokrotnie. Udział w zyskach za następny rok z łatwością będzie dwukrotnie większy. Uświadomił sobie, że on też jest teraz, formalnie rzecz biorąc, milionerem. Kto by pomyślał? Cztery lata temu milion dolarów wydawało mu się kwotą niewyobrażalną.

Nie zajął się prawem dla pieniędzy. Całe lata harował jak wół za parę dolców. Ale teraz ma prawo do tej forsy, prawda? Typowy amerykański spełniony sen o sukcesie. Ale dlaczego to spełnienie wywołuje poczucie winy?

Poczuł ciężką rękę na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Sandy'ego Lorda wpatrującego się weń przekrwionymi oczkami.

- Niespodzianka, co?

Jack musiał się zgodzić. Sandy zionął mocnym alkoholem i befsztykiem. To przypomniało mu ich pierwszą rozmowę u Fillmore'a, wspomnienie niezbyt przyjemne. Odsunął się dyskretnie od wstawionego współnika.

- Rozejrzyj się po tej sali, chłopcze. Nie ma tu nikogo, może z wyjątkiem twojego uniżonego sługi, kto nie zazdrościłby ci jak cholera.

- Zdaje się, że mnie to trochę przytłacza. To przyszło tak nagle. - Jack mówił bardziej do siebie niż do Lorda.

- Do diabła, takie rzeczy zawsze przychodzą nagle. Ci nieliczni szczęśliwcy, którym udaje się dostać na sam szczyt, trafiają tam błyskawicznie. Nieprawdopodobny sukces jest właśnie nieprawdopodobny. I dlatego daje taka cholerna satysfakcję. A tak przy okazji, pozwól, że uścisknę ci rękę i podziękuję za troskliwą opiekę nad Walterem.

Jack przyjął podaną dłoń i zastanowił się, czy Sandy przejmuje się tym, że może mu ukraść Sullivana. Jeśli tak, dobrze to ukrywał. Może Kirksen chciał wykorzystać okazję, żeby ich poróżnić i dzięki temu wzmocnić swoją pozycję w stosunku do nich obu. Jack pokręcił głową. Niech to szlag! Jest współnikiem od paru minut, a już jego myśli krążą torem biurowych intryg.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Polubiłem faceta.

- Robię małą imprezkę w sobotę. Będzie parę osób, które chciałbym, żebyś poznał. Postaraj się namówić swoją atrakcyjną połówkę. Może jej się trafić parę okazji do nowych interesów. Ta dziewczucha ma do tego smykałkę, jak jej tatuś.

Jack uściskał dłonie wszystkich współników, którzy byli obecni, niektórym po kilka razy. Do dziewiątej zostali wraz z Jennifer odstawieni do domu jej służbową limuzyną. Do pierwszej zdążyli już się kochać dwa razy. Do wpół do drugiej Jennifer zasnęła jak zabita.

Jack nie zasnął.

Stał przy oknie i spoglądał na pojedyncze płatki śniegu opadające w powietrzu. Wczesnozimowy niż roztaczał się nad miastem, chociaż nie zapowiadano obfitych opadów. Myśli Jacka nie zajmowały się jednak kaprysami pogody. Popatrzył na Jennifer. Ubrana w jedwabną koszulkę nocną, wtulała się w satynowe prześcieradła na łóżku rozmiarów całej jego sypialni. Podniósł oczy na starych znajomych na

suficie. Nowy dom będzie gotowy przed Bożym Narodzeniem, chociaż bardzo zasadnicza rodzina Baldwinów z pewnością się nie zgodzi, żeby zamieszkali oficjalnie razem przed ceremonią zaślubin. Odnawiano wnętrza pod bystrym okiem jego narzeczonej, tak aby odpowiadały ich gustom i wyrażały ich indywidualności, cokolwiek by to miało znaczyć. Kiedy przyglądał się średniowiecznym obliczom na suficie, przyszło mu do głowy, że pewnie naśmiewają się z niego.

Właśnie przyjęto go na współnika najbardziej prestiżowej kancelarii prawniczej w stolicy tego kraju, był honorowany przez najbardziej wpływowe osobistości, wszyscy wróżyli mu olśniewającą karierę. Miał wszystko. Od pięknej księżniczki, przez bogatego teścia, po niezrównanego, choć może bezlitosnego mistrza w zawodzie i poważne konto w banku. Mając potężne wsparcie i nieograniczone perspektywy, Jack czuł się tej nocy samotny jak nigdy dotąd. I wbrew wszelkim wysiłkom jego myśli odbiegały nieustannie do starego, przerażonego i gniewnego człowieka i jego emocjonalnie wyczerpanej córki. Patrzył w milczeniu na łagodny taniec płatków śniegu, aż przywitało go zamglone światło poranka.

Stara kobieta patrzyła przez zakurzone żaluzje w oknie salonu na ciemny samochód, który podjeżdża pod dom. Reumatyzm w spuchniętych kolanach z ledwością pozwalał jej wstać i prawie uniemożliwiał domową krzątanię. Grzbiet miała stale pochylony, a płuca odmawiały posłuszeństwa po pięćdziesięciu latach bombardowania nikotyną i substancjami smolistymi. Niewiele jej już zostało, stare ciało dociągnęło ją tak daleko, jak mogło. Dalej, niż doszła jej córka.

Dotknęła palcem listu spoczywającego w kieszeni starego, różowego szlafroka, który nie zakrywał zaczerwienionych, opuchniętych kostek. Domyślała się, że prędzej czy później przyjadą. Odkąd Wanda wróciła z przesłuchania, wiedziała, że coś takiego się stanie, że to tylko kwestia czasu. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy wróciła myślą do ostatnich kilku tygodni.

„To moja wina, mamusi”. Jej córka siadła w maleńkiej kuchni, tej samej, w której jako mała dziewczynka pomagała matce piec ciasteczka i robić przetwory z pomidorów i fasolki szparagowej zebranych z maleńkiego ogródka za domem. Powtarzała to w kółko, opadła na stół, konwulsyjnie łkając. Edwina próbowała przekonywać córkę, ale nie potrafiła rozwiać poczucia winy, które otoczyło szczelnie tę szczupłą kobietę, niegdyś tłuste niemowlę o gęstych czarnych włosach. Pokazała Wandzie ten list, ale nie pomógł. Starej kobiecie nie udało się sprawić, żeby dziecko zrozumiało.

A teraz nie żyje i przyjechała policja. I Edwina musi zrobić to, co do niej należy. Osiemdziesięcioletnia, bogobojna staruszka miała zamiar okłamać policję. Było to jedyne, co mogła zrobić.

- Tak mi przykro z powodu pani córki, pani Broome. - Słowa Franka brzmiały w uszach staruszki szczerze. Łza potoczyła się po jej starszej twarzy.

Edwina Broome popatrzyła na ostatnią wiadomość od córki przez silną lupę, która leżała pod ręką na stole. Spojrzała na szczerze oblicze detektywa.

- Nie mam pojęcia, co mogła mieć na myśli, gdy to pisała.

- Wie pani, że włamano się do domu Sullivana? Że Christine Sullivan została zamordowana przez kogoś, kto to zrobił?

- Usłyszałam w telewizji zaraz, jak się to stało. To straszne. Naprawdę straszne.

- Czy pani córka rozmawiała z panią o tym wydarzeniu?

- No tak, oczywiście. Była tym wszystkim tak zdenerwowana. Bardzo lubiła panią Sullivan, bardzo lubiła. To ją załamało.

- Jak pani myśli, dlaczego odebrała sobie życie?

- Gdybym mogła, proszę pana, na pewno bym powiedziała.

To dwuznaczne oświadczenie zawisło w powietrzu.

- Czy pani córka mówiła pani o swojej pracy cokolwiek, co mogłoby rzucić trochę światła na to morderstwo?

- Nie. Bardzo lubiła tę pracę. Dobrze ją traktowali, tak przynajmniej twierdziła. Mieszkanie w takim wielkim domu to przyjemność.

- Pani Broome, z tego, co wiem, Wanda jakiś czas temu weszła w konflikt z prawem.

- Dawno temu, proszę pana. Bardzo dawno, i od tamtego czasu prowadziła uczciwe życie.

- Nie wątpię - szybko zapewnił Frank.

- Czy Wanda przyprowadziła do pani kogoś w ciągu ostatnich paru miesięcy? Kogoś nieznanego?

Edwina zaprzeczyła. Właściwie to była prawda. Frank spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. Przysłonięte kataraktą oczy patrzyły wprost na niego.

- Z tego, co wiem, pani córka była za granicą, kiedy zdarzył się ten wypadek?

- Była na tej wyspie z całą ekipą Sullivana. Zdaje się, że jeżdżą tam co roku.

- Pani Sullivan nie pojechała.

- Z tego, co wiem, nie, bo zdaje się, że zamordowano ją tutaj w czasie, kiedy oni byli tam, panie detektywie.

Frank prawie się uśmiechnął. Ta starsza pani nie była nawet w przybliżeniu taka głupia, jak udawała.

- Nie domyśla się pani, dlaczego pani Sullivan nie pojechała? Może Wanda coś mówiła?

Edwina pokręciła głową, głaszcząc srebrno-białego kota, który wskoczył jej na kolana.

- No cóż, dziękuję, że odpowiedziała mi pani na kilka pytań. Przykro mi z powodu śmierci pani córki.

- Dziękuję panu, mnie też jest przykro. Bardzo.

Kiedy podnosiła się z wysiłkiem, żeby go odprowadzić do drzwi, list wypadł jej z kieszeni. Sterane serce stanęło na moment, gdy Frank pochylił się, podniósł go i nie patrząc, wręczył jej.

Patrzyła za nim, jak odjeżdżał. Powoli opadła z powrotem na fotel koło kominka i rozłożyła list.

Dobrze знаła ten charakter pisma. „Ja tego nie zrobiłem. Ale nie uwierzyłybyś mi, gdybym ci powiedział, kto to zrobił”.

Edwinie Broome to wystarczało, nie chciała wiedzieć więcej. Luther Whitney był starym przyjacielem, a włamał się do tego właśnie domu namówiony przez Wandę. Jeśli policja ma go dopaść, to nie przy jej pomocy.

Przyjaciel poprosił, ona zrobiła. Boże zmiłuj się, to jedyna rzecz, którą wypada jej zrobić.

Seth Frank i Bill Burton uścisnęli sobie dłonie i usiedli. Znajdowali się w gabinecie Franka, słońce dopiero co weszło.

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, Seth.

- To wydaje mi się trochę niezwykle.

- Cholernie niezwykle, jeśli o mnie chodzi. - Burton uśmiechnął się szeroko. - Pozwolisz zapalić jednego?

- Może mojego? - Obaj wyciągnęli paczki papierosów.

Burton wyciągnął zapalną, po czym usadowił się z powrotem.

- Pracuję w Secret Service już długo i pierwszy raz zetknąłem się z czymś takim. Ale rozumiem, o co chodzi. Stary Sullivan jest jednym z najlepszych przyjaciół prezydenta. Pomógł mu wystartować w polityce. Prawdziwy patron. Wiele razem przeszli. Tak między nami, nie sądzę, żeby prezydent tak

naprawdę chciał czegoś więcej, niż żebyśmy tylko sprawiali wrażenie, że się tym zajmujemy. Nie mamy najmniejszego zamiaru wtrącać się w twoją robotę.

- Tak czy inaczej, nie macie prawa.

- Właśnie, Seth. Właśnie tak. Do diabła, sam pracowałem w policji. Dziesięć lat. Wiem, na czym polega praca dochodzeniowa. Ostatnia rzecz, jakiej ci potrzeba, to ktoś, kto ci będzie zaglądał przez ramię.

Frank się nieco rozluźnił. Były policjant agentem Secret Service. Ten facet zrobił karierę. Według Franka nie można było zrobić większej.

- A więc, co proponujesz?

- Rozumiem swoją rolę w ten sposób, że będę przekazywał informację prezydentowi. Coś nowego w sprawie, to ty dzwonisz do mnie, a ja informuję prezydenta. Sullivan będzie widział, że prezydent jest na bieżąco. Wierz mi, to nie mydlenie oczu. Prezydent jest szczerze zainteresowany tą sprawą. - Burton roześmiał się w duchu.

- I żadnego wtrącania się ze strony federalnych. Żadnego podpowiadania?

- Do cholery, nie jestem z FBI. Ta sprawa ich nie dotyczy. Uważaj mnie za cywilnego wysłannika jakiegoś VIP-a. Nie chcę nic poza zawodową przysługą.

Frank rozejrzał się po pokoju i z wolna oswajał się z sytuacją. Burton podążył za jego spojrzeniem i próbował rozgryźć Franka. Burton znał wielu detektywów. Większość była przeciętnie zdolna, co w połączeniu z lawinowym wzrostem przestępczości prowadziło do bardzo niskiej wykrywalności i jeszcze niższego wskaźnika skazań. Ale poszukiwania w aktach Setha Franka przyniosły ciekawe wyniki. Ten gość pracował niegdyś w policji nowojorskiej, a jego lista zasług była długa na milę. Odkąd przeniósł się do hrabstwa Middleton, nie było ani jednego niewyjaśnionego zabójstwa. Ani jednego. Owszem, to spokojna, wiejska okolica, ale stuprocentowa wykrywalność to jednak coś. To Burтона uspokajało.

- Jeśli zdarzy się coś nagłego, mogę nie mieć jak zawiadomić cię od razu.

- Seth, nie proszę cię o cuda, po prostu parę słów przy okazji. Tylko tyle. - Burton wstał i zgaślił papierosa. - Umowa stoi?

- Zrobię, co będę mógł, Bill.

- To mi wystarczy. - Burton odwrócił się.

- Gdybyś z kolei napotkał jakieś trudności, chciałbyś mieć dostęp do baz danych, te rzeczy, daj znać, twoje próśby dostaną absolutne pierwszeństwo.

- Doceniam to, Bill.

Gdy dwie godziny później Seth Frank podniósł słuchawkę telefonu, usłyszał gruchą ciszę. Żadnego sygnału. Zawiadomiono biuro napraw. Kiedy monter wjeżdżał na policyjny parking, powiedziano mu, że już nie jest potrzebny. Za dwadzieścia minut jakiś monter pojawił się u oficera dyżurnego komendy policji hrabstwa Middleton i uzyskał dostęp do skrzynki z łączami całego budynku.

Godzinę później Seth Frank znów podniósł słuchawkę. Sygnał był w porządku. Wszystko naprawiono. Skrzynka telefoniczna została zaplombowana, ale nawet gdyby można było do niej zajrzeć, skłębiona masa przewodów i innych urządzeń nic laikowi by nie powiedziała.

Kanał komunikacyjny Billa Burтона był teraz otwarty znacznie szerzej, niż sobie wyobrażał Seth Frank.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Alan, myślę, że to błąd. Powinniśmy się zdystansować od tej sprawy, nie próbować przejmować śledztwa. - Russell stała przy biurku prezydenta w Gabinetcie Ovalnym. Richmond siedział, przeglądając dokumenty dotyczące nowych przepisów z zakresu ochrony zdrowia; mówiąc najogólniej, ta sprawa to grząski grunt i nie mógł liczyć, że zbije na niej kapitał polityczny przed wyborami.

- Gloria, zajmij się tym, co do ciebie należy, dobrze? - Richmond był zaabsorbowany pracą. Przewodził zdecydowanie w sondażach przedwyborczych, ale zastanawiał się, jak tę przewagę zwiększyć. Jego potencjalny przeciwnik, Henry Jacobs, był niski, niespecjalnie przystojny i nie miał za grosz talentu oratorskiego. Jego jedyną legitymacją do kandydowania były trzydziestoletnie wysiłki na rzecz poprawy egzystencji ubogich i upośledzonych społecznie. W środkach masowego przekazu wypadł katastroficznie. W tych czasach dobra prezencja przed kamerą i umiejętność radzenia sobie z mikrofonami stała się absolutną koniecznością. Jacobs nie był nawet najlepszy w tej słabej grupie politycznych oponentów, ale dwaj najgroźniejsi kandydaci odpadli w atmosferze skandali, głównie na tle seksualnym. Biorąc to wszystko pod uwagę, Richmond dziwił się, że jego przewaga wynosi zaledwie trzydzieści dwa punkty procentowe, a nie ponad pięćdziesiąt.

Wreszcie oderwał się, żeby spojrzeć na szefową personelu.

- Słuchaj, obiecałem Sullivanowi, że będę trzymał rękę na pulsie. Powiedziałem to, do jasnej cholery, publicznie i dostałem w zamian dwanaście procent więcej w sondażach. Komitet wyborczy mi tylu głosów nie załatwił, mimo że pakuje się w niego tyle forsy. Czy mam zacząć jakąś wojnę, żeby te cholerne sondaże się poprawiły?

- Alan, wybory mamy w kieszeni, oboje to wiemy. Ale musimy tak grać, żeby nie przegrać. Musimy być ostrożni. Ten człowiek jest ciągle na wolności. Co będzie, jak go złapią?

Rozdrażniony Richmond wstał.

- Zapomnij o nim! Gdyby ten facet miał coś w zanadru, to już by dał o sobie znać. A jak go złapią i zacznie śpiewać, to co z tego? Gdybyś przez chwilę się zastanowiła, zrozumiałabyś, że moje zaangażowanie w tej sprawie odbierze jego zeznaniom resztki wiarygodności. Gdybym nie zadeklarował swojego zainteresowania, jakiś wścibski dziennikarz mógłby nastawić uszu, słysząc, że prezydent jest jakoś zamieszany w śmierć Christine Sullivan. Chodzi o to, że niektórzy mogliby pomyśleć, że coś w tym jest. Nie ma dymu bez ognia i tak dalej. Taka logika narobiła już niezłych szkód w przeszłości. Ale teraz, kiedy powiedziałem narodowi, że jestem wzburzony i zrobię wszystko, by sprawca dostał się w ręce sprawiedliwości, to ludzie sobie pomyślą, no tak, facet widział prezydenta w telewizji, jest walnięty i w desperacji próbuje zwalić winę na każdego, kto mu przyjdzie do głowy, nawet na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Teraz żaden wścibski reporter nie zwróci na to nawet uwagi.

Russell usiadła. Albo kopią sobie grób, albo jest to najinteligentniejszy i najryzykowniejszy plan, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. Ale Richmond nie zna wszystkich faktów. Jest bystrym, świetnym taktikiem i wizjonerem. Czy gdyby wiedział o nożu, podjąłby te same kroki? Gdyby wiedział o liście i o fotografii, które otrzymała? Taiła informacje przed szefem, informacje, które mogą zrujnować ich oboje, całkowicie i bezwarunkowo. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że jeśli sprawy wezmą zły obrót, oboje mogą nawet trafić do więzienia. Nie przeżyłaby w więzieniu, to dla niej śmierć. Pobladła na tę myśl.

Aż odskoczyła, gdy Richmond dotknął jej policzka. Uśmiechał się jednym ze swoich rozbrajających uśmiechów, który równocześnie dodawał otuchy i irytował.

- Glorio, przestań martwić się tym facetem i zaprzęgnij szare komórki do roboty nad tym, jak zwiększyć moją przewagę nad Jacobsem.

Idąc korytarzem, nie zauważyła Burtona, przypatrującego się jej z jednego z bocznych przejść. W jego spojrzeniu nie było ani odrobiny sympatii.

Głupia, głupia suka. Miał ochotę zastrzelić ją jak psa. Ręka by mu nie drgnęła. Przez moment naprawdę poważnie się nad tym zastanawiał. Ponad pół życia spędził w ochronie ludzi i mienia, z opinią czystą jak łąka. Widział, co narobiła. Teraz już za późno, zrozumiał to z pełną jasnością. Gdyby wezwał tamtej nocy policję, byłyby kłopoty, ale nie dla niego i Collinsa. Wypełniali swoje obowiązki, a co ważniejsze, wykonywali rozkazy. Dostałoby się prezydentowi i jego kompanowi w spódnicy. Zrobiła go w konia. Dał się wyrolować jak dziecko. A na domiar złego chciała mieć haka na prezydenta, żeby go potem szantażować, i schrzaniła to tak haniebnie, że teraz jakiś skurwiel ma materiały, które załatwią ich wszystkich. Wspaniała kariera w służbie prawa i porządku skończona z powodu niezdrowych ambicji tej suki. Na myśl o żonie i dzieciach, o tym, co by sobie o nimpomyśleli, nogi się pod nim ugięły. Zawsze byli z niego tacy dumni. Zawsze. Widział to codziennie w ich oczach. Nigdy nie traktował tego podziwu jako czegoś, co mu się należy „z urzędu”. Wiedział też, że nie potrafili by bez niego żyć. A teraz wszystko wisi na włosku, wszystko, czego się dopracował w pocie czoła i z narażeniem życia. I to przez tę babę, która kroczy sobie dumnie korytarzem, ciesząc się uznaniem i pozycją, i w każdej chwili może zniszczyć każdego, kto jej podlega.

Zawsze taki opanowany, Burton z trudem się powstrzymywał, żeby jej nie dopaść i nie udusić gołymi rękami. Ale ona dostanie, co się jej należy. Choćby miał to być jego jedyny cel w życiu, postara się, żeby ta kobieta miała za swoje. Straci ją z jej bezpiecznej wieży z kości słoniowej prosto w błoto i gnój rzeczywistości, i będzie się z tego cieszył.

Gloria Russell poprawiała przed lustrem włosy i makijaż. Wiedziała, że zachowuje się jak jakaś zakochana nastolatka, ale w Timie Collinie było tyle naiwności i tyle męskości, że zaczęło to odwracać jej uwagę od pracy, co nigdy w życiu jej się nie przydarzyło. Pomyślała, że przecież mężczyźni, którzy dzierżą władzę, mają swoje skoki w bok. Nie będąc zagorzałą feministką, Russell nie dostrzegała nic złego w naśladowaniu swoich męskich odpowiedników. Prawdę mówiąc, to po prostu jeden z przywilejów, jakie daje jej stanowisko, które zajmuje.

Ściągnęła suknię i bieliznę i wślizgnęła się w swoją najbardziej przezroczystą koszulkę nocną, przywołując na myśl przyczyny, dla których uwodziła młodego agenta. Potrzebowała go z dwóch powodów. Po pierwsze, wiedział o nożu, a ona potrzebowała absolutnej pewności, że będzie trzymał język za zębami, a po drugie, był jej potrzebny, żeby ten dowód rzeczowy odzyskać. Porządne, racjonalne motywy - a mimo to dzisiaj, jak każdej poprzedniej nocy, schodziły na dalszy plan.

Przez większość swojego dorosłego życia na pierwszym miejscu stawiała karierę zawodową. Aktywność seksualną rozpoczęła jako szesnastolatka, ale potem z takim zapalem rzuciła się zdobywać wykształcenie i realizować swoje ambicje zawodowe, którym nie dorównywały nawet wygórowane oczekiwania jej ojca, że minęło dwadzieścia lat, zanim zdała sobie sprawę, że jej seksualne pragnienia pozostawały przez cały ten czas niezaspokojone. Tim Collin napatoczył się we właściwym momencie, miała nadzieję, że też tak uważał. Nie miała złudzeń, że ich związek może dokądkolwiek zaprowadzić. Seksualny apetyt nie był na tyle silny, żeby całkowicie nią zawładnąć, wiedziała, że jej stały partner powinien dorównywać jej pozycją. Ale potrzebowała Tima Collina. Potrzebowała go, żeby wypełnił wielką lukę w jej życiu, która dopiero ostatnio zaczęła jej naprawdę dokuczać.

W tej chwili wydawało jej się, że mogłaby się pieprzyć z nim co noc przez resztę życia i nigdy nie będzie miała dosyć odczuć, jakie przepełniają jej ciało po każdym stosunku. Umysł mógł znajdować tysiące argumentów przeciwko temu związkowi, ale reszta jej ciała przestała go słuchać.

Pukanie do drzwi rozległo się trochę za wcześnie. Skończyła wciągać pończochy, wsunęła wysokie szpilki i pospieszyła do przedpokoju. Otworzyła drzwi wejściowe i poczuła się, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

- Co, do cholery, pan tu robi?

Burton wsunął stopę w szparę uchylonych drzwi i uchwycił skrzydło silną dłonią.

- Musimy pogadać.

Russell mimowolnie spojrzała za niego, wypatrując mężczyzny, z którym miała się kochać tej nocy. Burton zauważył spojrzenie.

- Przykro mi, kochanek dziś nie przyjdzie, szefowo.

Próbowała zatrzaskać drzwi, ale nie udało jej się przesunąć dwustu czterdziestu funtów Burтона ani o cal. Z dziecinną łatwością odepchnęła ją i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Stanął w holu wejściowym, patrząc na Głorię Russell, która rozpaczliwie starała się zrozumieć, co go do niej sprowadziło, a jednocześnie próbowała zakryć strategiczne partie swojego ciała. Nie udawało jej się ani jedno, ani drugie.

- Wynos się, Burton! Jak śmiesz się do mnie wdzierać!? Teraz już przeholowałaś.

Burton minął ją i wszedł do salonu, lekko ją przy tym potrącając.

- Możemy pogadać tutaj albo gdzie indziej. Zależy od pani. - Poszła za nim.

- O czym chcesz gadać? Powiedziałam ci, żebyś się wynosił. Zapomniałeś, gdzie twoje miejsce, prawda?

Odwrócił się do niej.

- Zawsze pani otwiera drzwi tak ubrana? - Rozumiał teraz Collina. Koszulka nocna nie ukrywała niezwykle zmysłowych kształtów szefowej personelu. Mógłby poczuć podniecenie mimo wielkiego przywiązania do żony, której był wierny dwadzieścia cztery lata i z którą spłodził czworo dzieci, gdyby nie to, że ta stojąca naprzeciw niego półnaga kobieta napawała go bezmierną odrazą.

- Niech cię szlag trafi, Burton. Na miejscu!

- To może grozić nam wszystkim, więc proszę narzucić coś na siebie, pogadamy i pójdę sobie. Ale przedtem się nie ruszę.

- Wiesz, co robisz? Mogę zgnieść cię jednym palcem.

- Racja! - Wyciągnął fotografie z kieszeni marynarki i rozrzucił na stoliku. Russell starała się nie zwracać na nie uwagi, ale wreszcie je podniosła. Starła się ulżyć drżącym nogom, opierając się ręką o stolik.

- Stanowicie z Collinem piękną parę. Naprawdę. Wątpię, by środki przekazu to przeoczyły. To może być historia tygodnia. Co pani o tym sądzi? Młody agent Secret Service odbiera rozum szefowej personelu. Można by ją zatytułować „Rznięcie z rozgłosem na cały świat”. Chwytiliwe, co?

Spoliczkowała go. Użyła całej swojej siły, nikt jeszcze tak od niej nie dostał. Całe ramię zabolalo. Jakby uderzyła nieruchomy pień drzewa. Burton wziął jej rękę i wykręcił w bok, aż syknęła z bólu.

- Posłuchaj, damulko, znam każdy pieprzony szczegół z tego, co tu się dzieje. Wszystko. Nóż. Kto go ma. Co ważniejsze, skąd go ma. I najświeższą korespondencję od naszego podglądacza i złodziejaszka. Mamy duży problem, a patrzeć na to, jak pieprzysz wszystko od samego początku, już nie mogę. Trzeba tu zmiany rządów. Zrzucaj te kurewskie fatalaszki, ubierz się i wracaj tu. Za ciężko harowałem nad zdobyciem tego, co mam, żeby to teraz oddać bez walki. A jeśli chcesz, żeby przy okazji uratowałem i twoją chętną dupkę, to rób dokładnie, co ci każę. Zrozumiano? Bo inaczej utnę sobie małą pogawędkę z prezydentem. Wybieraj, szefowo! - Burton wycedził ostatnie słowo z bezgraniczną odrazą.

Puścił ją, ale wciąż stał nad nią jak kolos. Jego potężna sylwetka zdawała się ją przytłaczać i pozbawiać zdolności myślenia. Russell delikatnie rozcierała ramię i patrzyła na niego niemal bojaźliwie. Z wolna docierała do niej cała groza sytuacji.

Pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Zdarzało się jej to coraz częściej. Puściła sobie na twarz strumień zimnej wody, aż mdłości minęły. Wreszcie powlokła się do sypialni.

W głowie jej wirowało. Włożyła długie spodnie i gruby sweter. Pończochy i koszulkę rzuciła na łóżko, wstydząc się nawet na nie spojrzeć. Marzenie o rozkosznej nocy zdruzgotano z przerażającą gwałtownością. Czerwone szpilki zamieniła na parę brązowych mokasynów.

Oklepała sobie policzki, krążenie krwi wracało do normy. Poczula się, jakby ojciec przyłapał ją na macankach z chłopakiem. To jej się kiedyś naprawdę zdarzyło i prawdopodobnie przyczyniło do tego, że tak bezgranicznie poświęciła się karierze zawodowej, zaniedbując inne sfery swojego życia. Czula się wtedy strasznie zażenowana. Ojciec nazwał ją dziwką i sprzął tak, że przez tydzień nie mogła się pokazać w szkole.

Modliła się przez całe życie, żeby nigdy więcej nie czuć się w ten sposób. Aż do dzisiejszego wieczora jej modlitwy były wysłuchane.

Zmusiła się do regularnego oddychania. Wróciła do pokoju i zauważyła, że Burton zdjął marynarkę i postawił na stoliku dzbanek z kawą. Zerknęła na ciężką kaburę i jej śmiercionośną zawartość.

- Ze śmietanką i cukrem, tak?

Udało się jej wytrzymać jego wzrok.

- Tak.

Nalał kawy, a ona usiadła na przeciwko niego. Opuściła wzrok na filiżankę.

- Ile ci powiedział Ti... Collin?

- O was obojgu? Nic. On nie z tych, co by się wygadali. Zdaje się, że mocno go trafiło. Zadurzył się chłopak. Zawróciło mu w głowie. Nieźle.

- Nic nie rozumiesz, wiesz? - Prawie zerwała się z fotela.

Kamienny spokój Burтона doprowadzał ją do szału.

- Rozumiem to i owo. Stoimy nad przepaścią, której dna nawet nie widać. Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, z kim pani sypia. Nie dlatego tu jestem.

Russell opadła na fotel i zmusiła się do wypicia kawy. Żołądek wreszcie się jej uspokajał.

Burton pochylił się i złapał ją za rękę.

- Proszę posłuchać, panno Russell. Nie chce mi się siedzieć tutaj i pleść bzdur w takim stylu, że nie mogę bez pani żyć i chcę panią wyciągnąć z tego bagna, nie chcę też, żeby pani udawała, że mnie pani uwielbia. Widzę tę sprawę następująco: podoba nam się to czy nie, tkwimy w tym po uszy oboje. I żeby się z tego wykaraskać, musimy współpracować. Oferuję pani sojusz. - Burton usiadł i popatrzył na nią.

Russell odstawiła kawę i osuszyła serwetką usta.

- W porządku.

Burton nachylił się ku niej niezwłocznie.

- Tak dla przypomnienia, nóż nadal nosi na sobie odciski palców prezydenta i Christine Sullivan. I ich krew. Tak jest?

- Tak.

- Prokuratowi ślinka by pociekła na coś takiego. Musimy odzyskać nóż.

- Kupimy go. On to chce sprzedać. W następnym liście poda sumę.

Burton rzucił na stół kopertę.

Russell wyciągnęła list i przeczytała go. Drukowane litery jak poprzednio. Wiadomość była zwięzła:

„Wkrótce bliższe dane. Doradzam wstępne kroki w celu zgromadzenia funduszy. Za taki towar proponowana kwota siedmiocyfrowa.

Konsekwencje niewywiązania się zostaną wnikliwie rozważone. Odpowiedź w ogłoszeniach towarzyskich w „Washington Post”.

- Nie lubi się rozpisywać, co? Zwięzłe, ale wiadomo, o co chodzi.

- Burton nalał kolejną filiżankę kawy. Potem popchnął w jej kierunku następną fotografię, którą Russell rozpaczliwie chciała odzyskać.

- Lubi się facet podrażnić, prawda, panno Russell?

- Ale zdaje się jest gotów do interesów.

- Chodzi o wielką forszę. Jest pani na to przygotowana?

- To moje zmartwienie, Burton. Z pieniędzmi nie będzie problemu. - Wracała jej pewność siebie.

- Pewnie nie będzie - zgodził się. - A tak między nami, dlaczego nie pozwoliła pani Collinowi wyczyścić tej rzeczy?

- Nie muszę panu na to odpowiadać.

- Nie, właściwie nie musi pani, pani prezydent.

Russell i Burton uśmiechnęli się do siebie po raz pierwszy. Może się myliła. Może i Burton to utrapienie, ale jest skrupulatny i ostrożny. Zdała sobie teraz sprawę, że te cechy są jej bardziej potrzebne niż naiwność Collina, nawet jeśli towarzyszy jej młode, silne ciało.

- Brakuje jeszcze jednego kawałka układanki, szefowo.

- To znaczy?

- Czy jeśli znajdzie konieczność zabicia tego gościa, nie będzie pani szczególnie wstrząśnięta?

Russell zakrzuszyła się kawą, tak że Burton musiał ją dosłownie walić po plecach, żeby zaczęła normalnie oddychać.

- Zdaje się, że to wystarczy za odpowiedź - podsumował.

- Dlaczego, do diabła, mówi pan o zabijaniu?

- Nie rozumie pani, prawda? A zdawało mi się, że była pani błyskotliwym profesorem na jakiejś uczelni. To taka wieża z kości słoniowej? Trzeba pani szczypty zdrowego chłopskiego rozumu. Niech pani pozwoli, że wyluszczę pani rzecz w prostych słowach. Ten facet był naocznym świadkiem, jak prezydent próbował zamordować Christine Sullivan, a ona chciała mu odplacić pięknym za nadobne, jak my z Collinem wykonaliśmy swoją robotę, zanim zarżnęła prezydenta jak wołu. Świadek naoczny! Niech pani zapamięta! Nawet zanim dowiedziałem się, że zostawiła pani ten mały dowód rzeczowy, miałem świadomość, że jesteśmy umoczeni. Jeśli facet puści farbę, to nastąpi reakcja łańcuchowa. Są rzeczy, których nie uda nam się wyjaśnić, prawda? Ale nic się nie działo i już myślałem, że mamy szczęście, że gość się nie ujawni. A potem dowiedziałem się o tym szantażu i zadałem sobie pytanie, co to wszystko znaczy.

Burton popatrzył na Russell pytająco.

- To znaczy, że chce pieniędzy w zamian za nóż do papieru. To jego wygrana. Cóż innego mogłoby to znaczyć, Burton?

Burton pokręcił głową.

- Nie, nie. To znaczy, że facet bawi się z nami w kotka i myszkę. Rozrywki umysłowe. To znaczy, że mamy naocznego świadka gdzieś tam w świecie, który robi się coraz śmielszy, coraz bezczelniejszy. Na

dodatek to musi być prawdziwy zawodowiec, skoro udało mu się dostać do Sullivanowego gniazdka. A więc to nie taki typ, który byle czego się wystraszy.

- Więc? Czy jeśli będziemy mieli ten nóż z powrotem, nie odzyskamy spokoju? - Russell mglście zaczynała rozumieć, do czego Burton zmierza, ale wciąż nie była pewna.

- Owszem, jeśli nie zatrzyma zdjęć, które prędzej czy później wylądują na pierwszej stronie „Washington Post”. Na pierwszej stronie powiększona fotografia odcisku palca prezydenta na nożu do papieru, który pochodzi z sypialni Christine Sullivan. To mógłby być początek ciekawej serii artykułów. Jest gdzie kopać i w końcu się do czegoś dokopią. Nawet najłżejsza poszlaka wiążąca prezydenta z morderstwem u Sullivanów i pełna kłapa. Jasne, możemy twierdzić, że ten facet to świr, a te zdjęcia to sprytne fotomontaże, i może nam się nawet uda kogoś przekonać. Ale nawet takim zdjęciem w „Post” tak bym się nie przejmował jak innym problemem.

- Jakim? - Russell pochylała się do przodu, mówiła cicho, prawie szeptała, jakby coś straszliwego zaczęło do niej dochodzić.

- Zdaje się, że zapomniała pani, że ten gość widział wszystko, co robiliśmy tamtej nocy. Wszystko. Jak byliśmy ubrani. Zna nazwiska. Jak oczyściliśmy to miejsce, przez co, jestem pewien, policja wciąż drapie się po głowie. Potrafi im powiedzieć, jak przyjechaliśmy i jak odjechaliśmy. Może im kazać sprawdzić ramię prezydenta, czy nie ma na nim śladu po nożu. Może im opowiedzieć, jak wydłubaliśmy pocisk ze ściany i gdzie staliśmy w momencie oddania strzałów. Może im powiedzieć wszystko, co chcieliby wiedzieć. A kiedy już to zrobi, to z początku pomyśla, że wie wszystko o zbrodni, bo sam ją popełnił. Ale potem gliny zdadzą sobie sprawę, że tego nie zrobił jeden człowiek. Zaczną się zastanawiać, skąd wie wiele innych rzeczy. Rzeczy, których nie mógł wymyślić i nie mógł dowiedzieć się w inny sposób. Zaczną się zastanawiać nad tymi wszystkimi drobnymi szczegółami, które teraz nie mają sensu, a które ten facet może im wyjaśnić.

Russell wstała, podeszła do barku i nałała sobie szkockiej. Burtonowi też nałała. Pomyślała o tym, co jej powiedział. Ten facet rzeczywiście widział wszystko. W tym i ją, jak uprawia seks z zamroczonym prezydentem. Szybko odsunęła od siebie tę myśl.

- Po co ma się z tym wychylać, kiedy dostanie forszę?

- A kto powiedział, że ma się wychylać osobiście? A co pani powiedziała tamtej nocy? On to może zrobić na odległość. Pękać ze śmiechu po drodze do banku i obalić cały rząd. Do diabła, może to spisać i przefaksować glinom. Będą musieli wszcząć nowe śledztwo, a kto powiedział, że wtedy nic nie znajdą? Jeśli mają jakikolwiek dowód rzeczowy z tej sypialni, cebulkę włosową, kropelkę śliny, płynu nasiennego, to potrzebują tylko osoby, do której to dopasują. Przedtem nie mieli najmniejszego powodu, żeby spojrzeć w naszym kierunku, ale w takim wypadku, kto wie? Jak uda się dopasować DNA Richmonda, to wszyscy leżymy i kwiczymy. A na domiar złego detektyw, który prowadzi śledztwo, nie jest głupkiem. I mam przeczucie, że powolutku znajdzie naszego skurwiela. A wtedy, kiedy gość będzie miał w perspektywie dożywanie albo czapę, wszystkie wyśpiewa, może mi pani wierzyć. Za wiele w życiu widziałem.

Russell nagle zrobiło się zimno. To, co mówił Burton, brzmiało cholernie rozsądnie. A prezydent był taki przekonujący. Ale żadne z nich nawet nie brało pod uwagę takiego rozwoju wypadków.

- A poza tym nie wiem jak pani, ale ja nie zamierzam spędzić reszty życia w strachu, że ta śmierdząca sprawa kiedyś wylezie.

- Ale jak go znajdziemy? - Burtona rozbawiło, że Russell przyjęła jego plany bez oporu. Życie ludzkie najwidoczniej nie znaczyło wiele dla tej kobiety, gdy szło o jej dobro. Niczego innego się nie spodziewał.

- Gdyby nie ten szantaż, to nie mielibyśmy szans. Teraz będzie musiał jakoś odebrać forszę. I tu jest

jego słaby punkt.

- Zażąda przekazu telegraficznego, jeśli naprawdę jest taki sprytny. Nie będzie szukał torby z pieniędzmi schowanej w pojemniku na śmieci. I nie dowiemy się, gdzie jest nóż, aż ten gość będzie daleko.

- Może tak, może nie. Ja się o to będę martwił. Najważniejsze, żeby pani trochę przeciągnęła sprawę. Jeśli chce załatwić sprawę w dwa dni, proszę zrobić z tego cztery. Każda wiadomość w rubryce towarzyskiej musi brzmieć uczciwie. Zostawiam to pani, pani profesor. Ale musi pani zdobyć dla mnie trochę czasu. - Burton wstał.

Złapała go za ramię.

- Co pan teraz ma zamiar robić?

- Im mniej będzie pani wiedziała, tym lepiej. Ale proszę zrozumieć, że jeśli cała sprawa weźmie w łeb, leżymy wszyscy, w tym i prezydent. I nic nie zdołam zrobić, żeby temu zapobiec. A jeśli o mnie chodzi, to oboje na to zasłużyliście.

- Nie lubi pan owijać w bawełnę, co?

- Zawsze uważałem, że to nie ma sensu. - Włożył płaszcz.

- A tak przy okazji, zdaje sobie pani sprawę, że Richmond ciężko pobił Christine Sullivan? Raport z sekcji wskazuje na to, że próbował ją udusić.

- Tak i zrozumiałam. Czy to coś ważnego?

- Nie ma pani dzieci?

Russell pokręciła głową.

- Ja mam czworo. Dwie córki są niewiele młodsze od Christine Sullivan. Jak się ma dzieci, to myśli się o takich sprawach. Ktoś, kogo się kocha, skatowany przez takiego kutasa jak on. Chciałbym, żeby pani wiedziała, jakiego typu mamy za szefa. I żeby zastanowiła się pani dwa razy, gdyby on miał ochotę na jakieś igraszki.

Kiedy wychodził, siedziała w salonie, oczyma wyobraźni widziała ruiny, w które obróciło się jej życie. Burton wsiadł do samochodu, wyciągnął reporterski magnetofon z kieszeni, cofnął taśmę i puścił nagranie. Rozmowa zarejestrowana bezbłędnie. Uśmiechnął się, zapalił papierosa i wrzucił bieg. Mijając dom szefowej personelu, pomyślał, że jej światła będą się paliły jeszcze długo tej nocy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Laura Simons już straciła nadzieję, że go znajdzie. Furgonetka została dokładnie wysypana proszkiem daktyloskopijnym z zewnątrz i od środka. Przywieziono nawet specjalny laser z Richmond, ale za każdym razem, gdy coś znajdowali, okazywało się, że to odciski kogoś innego. Kogoś, kogo można się było spodziewać. Odciski Pettisa poznawała już na oko. Miał pecha, bo wszystkie łuki linii papilarnych miał pełne, co jest rzadko spotykane, a na dodatek małą bliznę na kciuku, która prawdę mówiąc, doprowadziła do aresztowania go wiele lat temu pod zarzutem udziału w kradzieży samochodu. Przestępcy z bliznami na palcach to najlepsi przyjaciele techników daktyloskopijnych.

Odciski palców Budzinskiego znalazła raz: mokry od rozpuszczalnika palec przycisnął do arkusza dykty z tyłu samochodu, odcisk był tak wyraźny, że sama by lepszego nie zdjęła.

Mówiąc w skrócie, znalazła pięćdziesiąt trzy odciski palców nadające się do wykorzystania i nadal szukała pięćdziesiątego czwartego, który by wreszcie wniósł coś nowego do śledztwa. Siedziała właśnie w

furgonetce i rozglądała się po wnętrzu. Przejrzała wszystkie miejsca, gdzie spodziewałaby się znaleźć odciski. Zajrzała w każdy zakamarek i każdą szparę, posługując się ręcznym laserem, i nie miała już pomysłu, gdzie by tu jeszcze szukać.

Po raz dwudziesty przebiegła w myślach czynności mężczyzn podczas załadunku i prowadzenia pojazdu - lusterko wsteczne to świetne miejsce na odciski - podczas przygotowywania sprzętu, przenoszenia pojemników z płynami do czyszczenia, przeciągania węży, zamykania i otwierania drzwi. Trudności wzmagał fakt, że odciski palców znikają z upływem czasu w zależności od rodzaju powierzchni i mikroklimatu. Ciepło i wilgoć najbardziej sprzyjają ich zachowaniu, susza i chłód przeciwnie.

Otworzyła skrytkę na rękawiczki i przejrzała jeszcze raz jej zawartość. Każdy przedmiot był już zinwentaryzowany i przebadany. Leniwie kartkowała książkęserwisową wozu. Fioletowawe plamy na papierze przypomniały jej, że zapas ninhydryny w laboratorium jest na ukończeniu. Na stronach widniało sporo wpisów, mimo że samochód miał bardzo niewiele awarii w ciągu trzech lat eksploatacji. Najwyraźniej firma rygorystycznie przestrzegała terminów przeglądów i serwisowania. Każdy wpis był starannie datowany. Firma dysponowała własną ekipą mechaników.

Jeden wpis przyciągnął jej uwagę. Wszystkie pozostałe były podpisane nazwiskiem któregoś z mechaników, albo G. Henry'ego, albo H. Thomasa. Ten wpis miał tylko inicjały JP. Jerome Pettis. Dolewano oleju. Wszystko to byłoby strasznie nieciekawe, gdyby nie fakt, że data zgadzała się z terminem czyszczenia wykładzin u Sullivana.

Oddech Simons przyspieszył lekko, skrzyżowała palce na szczęście i wysiadła z furgonetki. Podniosła maskę i popatrzyła na silnik. Poświeciła lampką i w ciągu minuty znalazła. Zatłuszczony kciuk odbił się na powierzchni zbiornika z płynem do spryskiwacza. Właśnie tam każdy oparłby rękę, odkręcając korek wlewu oleju. Od razu poznała, że to nie Pettisa. Ani żadnego z dwóch mechaników. Złapała kartkę z odciskami Budiziniskiego. Była pewna na dziewięćdziesiąt pięć procent, że to nie jego kciuk. I miała rację. Starannie posypała odcisk proszkiem, zdjęła odcisk, wypełniła kartę i prawie biegiem pokonała całą drogę do biura Franka. Był już w płaszczu i kapeluszu, ale rozebrał się od razu.

- Nie żartuj, Laurie.

- Sprawdź, czy Pettis pamięta, by Rogers uzupełniał tego dnia olej.

Frank zadzwonił do firmy, ale Pettis już poszedł do domu. W domu nikt nie podnosił słuchawki.

Simons patrzyła na kartę, jakby to był najcenniejszy skarb na świecie.

- Nieważne. Sprawdź w naszych kartotekach. Zostanę na noc, jeśli będzie trzeba. Trzeba będzie poprosić komendę stanową o dostęp do KSID-u, bo nasz terminal wciąż zepsuty. - Simons miała na myśli Komputerowy System Identyfikacji Daktyloskopijnej, mieszczący się w Richmond. Umożliwiał on porównywanie znalezionych na miejscu zbrodni odcisków z tymi, które znajdowały się w stanowej bazie danych.

Frank zastanowił się przez moment.

- Myślę, że możemy to załatwić szybciej.

- Jak?

Frank podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Z agentem Billesem Burtonem proszę - powiedział do mikrofonu.

Burton wziął Franka do swojego wozu i pojechali do Budynku Hoovera, siedziby FBI. Większość turystów zna ten wielki i raczej brzydki budynek jako miejsce, którego nie można nie zobaczyć podczas zwiedzania stolicy. Mieści się w nim Krajowe Centrum Informacji o Przestępcach, skomputeryzowany system informacyjny prowadzony przez FBI, składający się z czternastu systemów rozproszonych baz

danych i dwóch podsystemów, które razem tworzyły największy na świecie bank danych o znanych przestępcach. Komputerowy System Identyfikacji (KSI), będący jednym z elementów centrum oddawał policji nieocenione usługi. Zbiór dziesiątków milionów kart odcisków palców znacznie zwiększał możliwość, że Frank na coś trafi.

Burton i Frank przekazali kartę ze zdjętym odciskiem technikom FBI, którzy otrzymali wyraźne polecenie traktowania tej sprawy priorytetowo. Teraz czekali na korytarzu, nerwowo popijając kawę.

- To trochę potrwa, Seth. Z komputera wyskoczy prawdopodobnie kilkunastu delikwentów. Technicy dalej muszą identyfikować już ręcznie. Poczekam tutaj i dam ci znać, jak tylko coś wypłynie.

Frank popatrzył na zegarek. Jego najmłodsza pociecha występuje dziś w szkolnym przedstawieniu, które zaczyna się za czterdzieści minut. Ma co prawda jedynie rolę warzywa, ale dla małej dziewczynki może to być rzecz najważniejsza w świecie.

- Na pewno?

- Jasne. Zostaw mi tylko numer, pod którym można cię złapać.

Frank dał mu numer i pospiesznie wybiegł. Ten odcisk może się okazać niczym, należeć do pracownika stacji benzynowej na przykład, ale coś Frankowi mówiło, że tak nie jest. Christine Sullivan nie żyje od pewnego czasu. Taki zimny trop niełatwo jest odgrzać. Ale chyba się udało. Frank się uśmiechnął, nie tylko na myśl o swojej pięciolatce przebranej za ogórka.

Burton popatrzył za nim, uśmiechając się z zupełnie innego powodu. System obecnie używany przez FBI wykorzystywał dodatkowe czynniki podwyższające czułość i wiarygodność przeszukiwania komputerowego. Z komputera wyskoczy tylko jeden, najwyżej dwóch kandydatów. Na dodatek zlecenie Burtona traktowano znacznie bardziej priorytetowo, niż Frank mógłby się spodziewać. Wszystko to dawało Burtonowi czas, cenny czas..

Za chwilę Burton patrzył na nazwisko, które było mu całkowicie obce, ale które zapamięta do końca życia.

LUTHER ALBERT WHITNEY. Urodzony 08.05.1933 r. Numer ubezpieczenia społecznego 179-82-1244. Wzrost pięć stóp osiem cali. Waga sto sześćdziesiąt funtów. Dwucalowa blizna na lewym przedramieniu. Korzystając z dodatkowej bazy danych, Burton uzyskał niezłe informacje o przeszłości tego człowieka.

Trzykrotnie skazany za włamanie, w trzech stanach. Odsiedział wieloletni wyrok, z więzienia wyszedł w połowie lat siedemdziesiątych. Od tamtego czasu nic. A przynajmniej nic, o czym wiedziałyby władze. Burton znał takich ludzi. To profesjonaliści, doskonalący się w swoim fachu. Założy się, że Whitney właśnie do takich należy.

Jeden kłopot. Ostatni znany adres był nowojorski i pochodził sprzed ponad dwudziestu lat. Burton sądził, że facet jest miejscowy. Wszystko na to wskazywało.

Idąc po linii najmniejszego oporu, Burton poszedł do centrali telefonicznej i zaczął wertować książki teleadresowe. Zaczął od Dystryktu Kolumbii, ku jego zaskoczeniu nie znalazł nic. Wziął północną Wirginię. Znalazł trzech Lutherów Whitneyów. Wykonał telefon do komendy policji stanu Wirginia, gdzie miał stare znajomości. Z Wydziałem Komunikacji połączył się przez modem. Jeden Luther Whitney miał dwadzieścia trzy lata, drugi osiemdziesiąt pięć. Trzeci natomiast, Luther Whitney z Arlington, Wschodnia Aleja Waszyngtońska nr 1645, urodził się piątego sierpnia 1933 roku, a jego numer ubezpieczenia społecznego, który w Wirginii używany jest jako numer prawa jazdy, potwierdził, że chodzi o tego samego człowieka. Ale czy to Rogers?

Burton wyciągnął swój notatnik. Frank był bardzo wspaniałomyślny w udostępnianiu Burtonowi akt

sprawy. Trzy sygnały i Jerome Pettis podniósł słuchawkę. Burton wymijająco przedstawił się jako współpracownik Franka i zadał pytanie. Minęło pięć długich sekund, w czasie których Burton starał się trzymać nerwy na wodzy, wsłuchując się w świszczący oddech mężczyzny po drugiej stronie linii. Na odpowiedź warto było poczekać.

- Cholera, rzeczywiście. Silnik o mało się nie zatarł. Ktoś nie dokręcił korka wlewu oleju. Kazałem Rogersowi dolać, bo siedział na kanistrze z olejem, który wozimy z tyłu.

Burton podziękował i rozłączył się. Popatrzył na zegarek. Ma jeszcze czas, zanim będzie musiał skontaktować się z Frankiem. Wprawdzie nie ma szans, żeby Luther Whitney nawet pokazywał się w domu po tym morderstwie, ale Burton chciał lepiej wyczuć faceta, a może i uzyskać jakąś wskazówkę co do miejsca, dokąd zwiął. Najlepszy sposób to odwiedzić jego mieszkanie. Przed policją. Ruszył do samochodu.

Pogoda znów zmieniła się na chłodną i wilgotną, matka Natura igrała sobie z najpotężniejszym miastem na świecie. Wycieraczki zamiatały po szybie. Kate właściwie nie wiedziała, co ją tu przyгнаło. Przez wszystkie te lata była tu tylko jeden raz. A i wtedy nie wysiadła z samochodu, gdy Jack poszedł się z nim zobaczyć. Żeby powiedzieć Lutherowi, że jego jedyne dziecko wychodzi za mąż. Jack nalegał, mimo że ona się opierała, twierdząc, że tego człowieka nic to nie obchodzi. Najwidoczniej obchodziło. Wyszedł na ganek i popatrzył na nią, uśmiechnął się, niezręcznie zawahał, jakby nie wiedząc, czy do niej podejść, zrezygnował, uściśnął dłoń Jackowi, poklepał po plecach, a potem popatrzył na nią jeszcze raz, jakby z aprobatą.

Fakt, że tych dwóch mężczyzn tak się do siebie zbliżyło, bardzo jej przeszkadzał. Ale to nie on doprowadził do zerwania. Tak sobie tłumaczyła za każdym razem, gdy wracała myślami do przeszłości. Lecz oczywiście nie miała racji, to właśnie ten fakt odegrał główną rolę.

Rozmyślnie spoglądała w inną stronę, ręce założyła na piersi, czekała, aż Jack wsiądzie do samochodu i odjadą. Wypatrzyła drobną sylwetkę we wstecznym lusterku. Wydawał się jej znacznie mniejszy niż w jej wspomnieniach, prawie malutki. W jej umyśle ojciec zawsze będzie ogromną, monolityczną postacią, symbolem tego, czego nienawidziła i czego się obawiała, który wypełnia przestrzeń wokół niej i odbiera powietrze do oddychania. Ta istota oczywiście nigdy nie istniała, ale ona uparcie odmawiała przyjęcia tego do wiadomości. Mimo że nie chciała mieć do czynienia z tym człowiekiem, nie mogła odwrócić wzroku. Przez ponad minutę, gdy samochód ruszał i nabierał prędkości, jej oczy zanurzały się w odbiciu mężczyzny, który dał jej życie, a potem je odebrał jej i jej matce.

Samochód odjeżdżał, a on patrzył na nią nadal z miną pełną smutku i rezygnacji, która ją zaskoczyła. Ale szybko znalazła wytłumaczenie, że to jedna z jego sztuczek, żeby wywołać u niej poczucie winy, mimo iż wiedziała, że takie gierki nie leżą w jego charakterze. Nie potrafiła przypisać mu żadnych pozytywnych pobudek. To złodziej. Miał w pogardzie prawo. Barbarzyńca w cywilizowanym społeczeństwie. Nie ma w nim miejsca na szlachetne odruchy.

Potem skręcili za róg i jego odbicie znikło, jakby ktoś je gwałtownie zabrał. Wtedy widziała go ostatni raz. Wydawało się, że wieki temu.

Podjechała pod dom. Reflektory jej samochodu odbiły się w światłach odblaskowych wozu zaparkowanego przed nią, blask poraził jej wzrok. Wyłączyła światła, wzięła głęboki wdech i wyszła w chłód i wilgoć.

Śniegu spadło niewiele, jego pozostałości chrzęściły pod stopami, gdy podchodziła do wejścia.

Zapowiadał się mróz. Oparła się ręką o jego samochód, żeby utrzymać równowagę. Mimo że nie spodziewała się zastać ojca w domu, umyła głowę i uczesała się, włożyła elegancki kostium zarezerwowany na ważne rozprawy w sądzie i umalowała się jak na specjalną okazję. Powiodło jej się w życiu i jeśli przypadkowo staną twarzą w twarz, chce, by wiedział, że pomimo jego zaniedbań ona nie tylko przeżyła, ale kwitnie.

Jack nie zasłużył na ten wczorajszy wylew uczuć. Nie zamierza przed nikim udawać, że kocha tego człowieka, który, tak się składa, jest jej ojcem. Ale nie zamierza też udawać dłużej przed sobą, że los Luthera Whitneya zupełnie jej nie obchodzi. Dlatego przyjechała tu dzisiaj. Jeśli ma kłopoty, to chce się dowiedzieć dlaczego. Co zrobi z tą informacją, nie była pewna.

Nagle zdała sobie sprawę, że oprócz ojca nie ma żadnej rodziny. Jest sama. I mimo pewności, że nigdy nie pokocha ani nawet nie zrozumie swojego ojca, słowa Jacka wracały do niej raz po raz. Wszyscy się starzejemy. Śmierć przyjdzie po jej ojca, jeśli nie w wyniku wypadku, to po prostu z racji wieku, a i po nią też pewnego dnia. Matka to rozumiała, tak jak rozumiała wszystko na świecie, z wyjątkiem jednej rzeczy. Kate nigdy jednak nie oczekiwała, że matka zrozumie jej nienawiść do Luthera. Sama tego nie rozumiała. A nienawiść istniała, czasem tak potężna, że zdawała się ją pochłaniać bez reszty. I tamtej nocy, kiedy siedziała, zastanawiając się, czy pozwolić Jackowi zostać i tulić ją, nawet się z nią kochać, uznała, że takie życie nie jest dobre. Ani dla niej, ani dla nikogo innego. Może oskarżać i wsadzić za kratki złych ludzi, ale nigdy się jej nie uda wyeliminować, zniszczyć, usunąć z pola widzenia tego wszystkiego, czym jest dla niej ojciec. I jest już zmęczona ciągłymi próbami.

Klucz leżał tam, gdzie mówił Jack. Co za ironia, że zatwardziały włamywacz zostawia własny dom tak słabo chroniony. Otworzyła drzwi i powoli weszła do środka, nie zauważając samochodu, który podjechał i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, ani kierowcy, który uważnie i zapisywał numer rejestracyjny jej samochodu.

W domu panował zapach pleśni, charakterystyczny dla dawno nieotwieranych pomieszczeń. Mimo wszystko zastanawiała się czasem, jak może wyglądać jego mieszkanie. Wyobrażała sobie, że jest schludne i uporządkowane, i nie rozczarowała się.

Usiadła w ciemności na fotelu w salonie, nie zdając sobie sprawy, że zajęła ulubione miejsce ojca i nie mając świadomości, że Luther robił to samo, kiedy odwiedzał jej mieszkanie.

Fotografia stała na półce nad kominkiem. Musi mieć prawie trzydzieści lat. Kate, u matki na rękach, okutana od stóp do głów w kocyk, kilka smolistoczarnych kosmyków wymyka się spod różowej czapeczki. Urodziła się z bujną czupryną. Ojciec, z pogodną twarzą, w daszku przeciwsłonecznym na głowie, stoi obok matki i córki, muskularną dłonią dotykając maleńkich rozczapierzonych paluszków Kate.

Matka Kate aż do śmierci trzymała to samo zdjęcie na toaletce. Kate pozbyła się go w dniu jej pogrzebu, przeklinając bliskość ojca i córki, którą ujawniał ten obraz. Właściwie to wyrzuciła je po wizycie ojca, kiedy naskoczyła na niego z furją, która zaskoczyła nawet ją samą. Furją, która coraz bardziej wymykała się spod kontroli, bo cel ataków nie odpowiadał, nie bronił się, stał tylko i przyjmował nawałnicę, wstrzymywaną przez wiele, wiele lat, zbyt wiele, która rozpętała się wreszcie, jakby woda zerwała tamy. A im spokojniejszy był on, tym bardziej wściekła się stawała, wreszcie uderzyła go, nie raz czy dwa, ale biła przez całą zdawałoby się wieczność, obiema rękami, aż ludzie ją odciągnęli i uspokoili. I wtedy ojciec włożył z powrotem kapelusz, położył na stoliku kwiaty, które przyniósł, i z zaczerwienioną od jej ciosów twarzą i mokrymi oczami wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą.

Dopiero teraz przyszło Kate do głowy, że jej ojciec także obchodził tamtego dnia żałobę. Żałobę po

kobiecie, którą prawdopodobnie kochał przez długi kawał swojego życia i która z pewnością kochała jego. Poczula ściśnięcie w gardle, za dużo ostatnio płakała.

Wstała i zaczęła chodzić po domu, zaglądając ostrożnie do pokoiów, wycofując się i coraz bardziej się denerwując. Drzwi sypialni były uchylone, zdecydowała się wreszcie otworzyć je na oścież. Weszła do pokoju i zaryzykowała zapalenie światła. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do jasności, spoczął na szafce nocnej i już nie mogła go stamtąd oderwać. Zbliżyła się i w końcu usiadła na niezasałanym łóżku.

Fotograficzny kolaż był właściwie ołtarzykiem jej poświęconym. Za szybką tkwiły zdjęcia opowiadające jej życie, począwszy od najwcześniejszych lat. Co wieczór, kładąc się spać, ojciec musiał na nią patrzeć. Tym, co nią wstrząsnęło, były zdjęcia z późniejszych lat jej życia. Zakończenie college'u i studiów prawniczych. Z pewnością nie zapraszała ojca na te uroczystości, a były tu zarejestrowane. Żadna z fotografii nie była pozowana. Albo szła, albo machała do kogoś, albo po prostu stała, nie zdając sobie sprawy z obecności obiektywu. Ostatnia fotografia. Schodzi po schodach gmachu sądu w Alexandra. Jej pierwszy dzień w sądzie, nerwowa nie do opisania. Drobne wykroczenie, chleb powszedni sądu rejonowego, ale ten promienny uśmiech na jej twarzy obwieszcza bezdyskusyjne zwycięstwo.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że go nigdy nie zauważyła. A może po prostu nie mogła się do tego przyznać? Popatrzyła na szybę przykrywającą kolaż i zauważyła, że pełno na niej śladów palców przy krawędzi, jakby wciąż był brany do ręki. Na nocnej szafce, ostatnia rzecz oglądana przed zaśnięciem. Musi wyjść. Musi stąd iść. Musi stąd iść i to zaraz!

Zerwała się z łóżka i wpadła prosto na potężnego mężczyznę.

Bill Burton odłożył telefon komórkowy i znów popatrzył na dom. Kate Whitney. Córka. Informator Burтона, znajomy policjant z komendy stanowej, znał ją osobiście. Prokurator stanowy. Uparta, nieustępliwa, zajadła. Z siłą przebicia. Popatrzył na zegarek. Wciąż ma jeszcze dość czasu. Wysiadł z samochodu i szybko przeszedł przez ulicę.

- Jeszcze raz bardzo panią przepraszam. Nie chciałem pani nastraszyć.

- Nastraszyć? Śmiertelnie mnie pan przeraził. - Kate siedziała na krawędzi łóżka, starając się wziąć się w garść, opanować drżenie, chociaż panujący w domu chłód nie pomagał jej w tym. - Proszę mi wybaczyć, ale dlaczegoż to Secret Service interesuje się moim ojcem? - Popatrzyła na Billa Burтона z czymś w rodzaju lęku w oczach. A przynajmniej on zinterpretował to jako lęk. Obserwował ją w sypialni, bystro oceniając jej motywy i zamiary na podstawie nieznaczących ruchów ciała. To umiejętność, którą rozwijał przez lata, wpatrując w niekończące się tłumy, szukając sygnałów ukrytego niebezpieczeństwa. Wrogo nastawiona córka i ojciec. Po latach przyszła go szukać. Przyjaciel powiedział Burtonowi, że ta kobieta, która siedzi teraz naprzeciw niego, była szczególnie nieprzejednana w sprawach o włamania. Wszystko zaczęło mu się układać w głowie, z tego może wyniknąć coś bardzo sprzyjającego jego celom.

- Właściwie nie interesujemy się, panno Whitney. Ale policja z Middleton owszem, i to cholernie się interesuje.

- Middleton?

- Tak, proszę pani. Jestem pewien, że czytała pani o zabójstwie Christine Sullivan. - Zawiesił głos, oczekując na jej reakcję. Była taka, jak się spodziewał. Pełne niedowierzanie.

- Pana zdaniem mój ojciec ma z tym coś wspólnego? - Uzasadnione pytanie. I niewskazujące na postawę obronną. Burton uznał to za rzecz istotną i pozytywną z punktu widzenia jego planów, które zaczęły mu kielkować w głowie, gdy tylko ją zobaczył.

- Detektyw prowadzący tę sprawę tak uważa. Pani ojciec jako pracownik firmy czyszczącej wykładziny, pod fałszywym nazwiskiem, przebywał w tym domu.

Kate wstrzymała oddech. Jej ojciec czyścił wykładziny? Oczywiście, robił rozpoznanie terenu. Wyszukiwał słabych punktów, jak zwykle. Nic się nie zmieniło. Ale morderstwo?

- Nie uwierzę, że zabił tę kobietę.

- Słusznie, ale uwierzy pani, że próbował obrabować ten dom, prawda, panno Whitney? Chodzi mi o to, że to nie byłby pierwszy ani drugi raz.

Kate opuściła wzrok na swoje ręce. Po chwili pokręciła głową.

- Ludzie się zmieniają, proszę pani. Nie wiem, jak bliskie stosunki łączyły panią z ojcem ostatnio - Burton zauważył drobny, ale wyraźny skurcz, który przebiegł jej przez twarz - ale dowody wyraźnie wskazują, że jakoś był w to zamieszany. A ta kobieta nie żyje. Prawdopodobnie udawało się pani doprowadzić do skazania na podstawie słabszych poszlak niż te.

Kate popatrzyła na niego podejrzliwie.

- A skąd pan tyle o mnie wie?

- Jeśli widzę kobietę wślizgującą się do domu człowieka poszukiwanego przez policję, to robię to, co zrobiłby każdy gliniarz. Sprawdzam po numerze rejestracyjnym samochodu. Jest pani znana, panno Whitney. Policja stanowa wyraża się o pani jak najlepiej.

Rozejrzała się dookoła.

- Nie ma go tutaj. Wygląda na to, że dawno go tu nie było.

- Tak, proszę pani. Wiem. Nie wie pani przypadkiem, gdzie on jest, prawda? Nie próbował się z panią kontaktować, nic takiego?

Kate pomyślała o Jacku i o tym, kto go późno w nocy odwiedził.

- Nie. - Odpowiedź była szybka, trochę za szybka na gust Burtona.

- Najlepiej by było, gdyby sam się zgłosił, panno Whitney. Gliny są zmęczone i palec któremuś może drgnąć na spuście. - Burton zrobił znaczącą minę.

- Nie wiem, gdzie się podziewa, panie Burton. Mój ojciec i ja... od lat nie jesteśmy ze sobą blisko.

- Ale przyszła pani tutaj i wiedziała pani, gdzie trzyma zapasowy klucz.

Podniosła głos o oktawę.

- Po raz pierwszy przestąpiłam próg tego domu.

Burton przyjrzał się jej twarzy i uznał, że mówi prawdę.

- Czy może się pani jakoś z nim skontaktować?

- Dlaczego? Naprawdę nie chcę się w to mieszać, panie Burton.

- Cóż, obawiam się, że już jest pani wmieszana. Do pewnego stopnia. Lepiej by było, gdyby pani zgodziła się współpracować.

Kate przewiesiła torebkę przez ramię i wstała.

- Niech pan posłucha, panie Burton, nie zastraszy mnie pan. Za długo siedzę w tej branży. Rozumie mnie pan? Jeśli policja chce tracić czas na przesłuchiwanie mnie, można znaleźć mój numer w książce telefonicznej. W książce instytucji, w rubryce prokuratorzy okręgowi. Do zobaczenia.

Poszła do drzwi.

- Panno Whitney?

Odwróciła się, gotowa do słownej utarczki. Secret Service czy nie, nie da się temu facetowi.

- Jeśli pani ojciec popełnił przestępstwo, powinien stanąć przed sądem i zostać skazany. Jeśli jest niewinny, zostanie wypuszczony. Ten system tak ma działać. Wie o tym pani lepiej niż ja.

Kate już miała odpowiedzieć, kiedy jej wzrok znów padł na kolaż zdjęć. Jej pierwszy dzień w sądzie. Jakby to było sto lat temu, pod wieloma względami znacznie dawniej, niż chciałaby przyznać. Ten

uśmiech, to bujanie w obłokach, które na początku towarzyszy każdemu. Wróciła na ziemię już dawno temu, nie tylko prawo powszechnego ciężenia ją tam sprowadziło.

Jeśli miała odpowiedzieć jakąś ciętą uwagą, to ten uśmiech z fotografii, uśmiech ładnej, młodej kobiety, która ma życie przed sobą, odwiódł ją od tego.

Bill Burton patrzył, jak odwraca się i wychodzi. Spojrzał na fotografię, a potem jeszcze raz na puste drzwi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Do jasnej cholery, nie wolno ci było tego zrobić, Bill. Powiedziałeś, że nie będziesz się wtrącał do śledztwa. - Seth Frank trzasnął szufladą biurka, wpatrując się z wściekłością w potężnego mężczyznę.

Bill Burton przestał chodzić po pokoju i usiadł. Spodziewał się tego wybuchu.

- Masz rację, Seth. Ale, Jezu, byłem gliną przez dziesięć lat. Nie mogłem cię złapać, pojechałem tam tylko na rekonesans, widzę, że wślizguje się tam jakaś spódniczka. Co byś zrobił na moim miejscu?

Frank nie odpowiedział.

- Słuchaj, Seth, możesz mnie kopnąć w dupę, ale mówię ci, kolego, ta babka to nasz as w rękawie. Z jej pomocą przygwoździmy faceta.

Seth odprężył się nieco, złość mijała.

- O co ci chodzi?

- To jego córka. Cholerna córeczka. Jedynaczka. Luther Whitney trzykrotnie wpadał, ale się wycwanił, najwidoczniej z wiekiem był coraz lepszy. Żona się z nim rozwiodła po trzecim wyroku. Nie mogła tego dłużej znieść. Zaczęła sobie wreszcie układać życie, ale po pół roku zmarła na raka piersi.

Przerwał. Seth Frank zamienił się w słuch.

- Mów dalej.

- Mała Kate Whitney jest wstrząśnięta po śmierci matki. Obciąża winą ojca. Całkowicie z nim zrywa. Idzie na studia prawnicze i potem do pracy w prokuraturze, gdzie zdobywa reputację szczególnie twardej w sprawach związanych z kradzieżami, włamaniami, rabunkami. Z reguły dopina swego.

- Skąd masz te wszystkie informacje?

- Kilka telefonów we właściwe miejsca. Ludzie bardzo lubią gadać o cudzych nieszczęściach, wydaje im się wtedy, że im samym powodzi się lepiej.

- No i do czego nas te rodzinne sprawy doprowadzają?

- Seth, to niesamowita okazja. Ta dziewczyna nienawidzi starego. Nienawidzi z całego serca.

- Chcesz ją wykorzystać, żeby nas do niego doprowadziła. Ale skoro się nienawidzą i zerwali ze sobą całkowicie, to jak chcesz to zrobić?

- Cały dowcip polega na tym, że ta nienawiść jest jednostronna. On ją kocha. Kocha ją jak nic i nikogo na świecie. W sypialni ma całą wystawę jej zdjęć. Mówię ci, facet jest ugotowany.

- Jeśli, a wciąż widzę tu wielkie „jeśli”, ona zgodzi się współdziałać, jak się z nim skontaktuje? Przecież nie wróci do domu, żeby czekać na telefon od niej?

- Nie, ale założę się, że zdalnie przesłuchuje nagrania z automatycznej sekretarki. Szkoda, że nie widziałeś jego domu. To pedant. Wszystko na miejscu, rachunki pewnie zapłacone z góry za rok. I nie ma pojęcia, że depczemy mu po piętach. Jeszcze nie. Sprawdza telefony raz, dwa razy dziennie. Na wszelki wypadek.

- Więc ona zostawi mu wiadomość, zaaranżuje spotkanie, a my go przygwoździmy ?

Burton wstał, wyciągnął dwa papierosy z paczki i wręczył jednego Frankowi. Zapalili obaj.

- Tak właśnie to widzę, Seth. Chyba że masz lepszy pomysł.

- Nadal musimy jeszcze ją przekonać. Z tego, co mówiłeś, nie wydawała się zbyt chętna.

- Myślę, że powinieneś z nią pogadać. Beze mnie. Może za bardzo ją przycisnąłem. Mam takie tendencje.

Frank nałożył kapelusz i płaszcz.

- Słuchaj, Bill, nie chciałem na ciebie tak naskoczyć.

Burton się uśmiechnął.

- Jasne, że chciałeś. Na twoim miejscu zachowałbym się tak samo.

- Dziękuję ci za pomoc.

- Do usług.

Seth ruszył do wyjścia.

- Seth, wyświadczył małą przysługę staremu ekspliniarzowi.

- A jaką?

- Pozwól mi być przy tym, jak go złapiecie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zobaczyć jego twarz, kiedy będziecie mu zakładać bransoletki.

- Masz to jak w banku.

Frank wyszedł. Burton usiadł, powoli dokończył papierosa, potem zgasił go w filizance z resztką kawy.

Luther Whitney. Biedny dureń. Nie to miejsce, nie ten czas, nie ci ludzie. Cóż, jeśli to go pocieszy, to nie zauważy, co go czeka. Nawet nie usłyszy strzału. Będzie martwy milisekundę wcześniej, zanim jego synapsy przekażą impuls do mózgu. Tak już jest, ta zwłoka czasem działa na niekorzyść człowieka, a czasem przeciwnie.

Żeby tylko się z tego wykaraskać. Teraz jego jedyne zadanie to wymyślić sposób, jak wyciągnąć z tego bagna prezydenta i szefową personelu. Obawiał się, że to ponad jego siły.

Po raz pierwszy Kate zadzwoniła do prokuratury stanowej, i powiedziała, że nie przyjdzie do pracy bo jest chora. Kołdrę podciągnęła pod brodę, siedziała oparta o poduszki, wpatrując się w blade światło. Jej ciało nadal drżało ze strachu, którego napędził jej Bill Burton. Wciąż widziała jego potężną sylwetkę, blok ociosanego granitu, który chylił się nad nią i może ją zmiążdżyć.

Przypomniała sobie, jak matka czekała do późna na męża, który nie wracał do domu. Czekala na pukanie do drzwi i przybycie ludzi, którzy grzecznie, lecz stanowczo wpraszali się do domu i od progu zadawali pytania, na które nie umiała odpowiedzieć.

Kate wsunęła się głębiej pod kołdrę. Próbując odpędzić następną falę łez, zanurzała się w miękkim materacu, jak w ciepłą wodę, żeby skryć się pod powierzchnią i nie słyszeć ani nie widzieć niczego dookoła.

Nie mogła spać, około pierwszej w nocy zdała sobie sprawę, że zastąpiła swoją matkę w tych nocnych oczekiwaniach, że teraz też gra w tę grę, że czeka na pukanie do drzwi. Ostatnie przejścia odbiły się na jej zdolności myślenia, na jej twarzy i ciele. Była zmęczona, tak zmęczona, jak nigdy dotąd, nawet po najcięższym procesie. Zrobił jej to, tak samo jak matce. Wciągnął w swoją sieć, chociaż chciała się od niego trzymać z daleka. Ale nie mogła. Nie mogła, bo jeszcze coś przyszło jej do głowy około pierwszej w nocy.

Ciągle ją obchodził. Zależało jej na nim. Nie mogła powiedzieć, że go kocha. Co to, to nie. Ale wpadł w kłopoty, poważne kłopoty, jest poszukiwany i prawdopodobnie go znajdą. Wiedziała, że jest sprytny, ale był sam przeciwko armii ludzi. A jeśli popełnił tę zbrodnię, jeśli zabił...? Zasługiwał na karę. Musi zostać ukarany. A jeśli dokonał morderstwa, już nie wyjdzie na wolność. Dla niego to koniec.

Znów usiadła, nie mogąc złapać tchu. Złapała się ręką za gardło, mocno, chcąc zapobiec następnemu atakowi płaczu. Kiedy najgorsze minęło, przewróciła się na bok i wbiła wzrok w fotografię matki.

Został jej tylko on. Prawie się roześmiała. Luther Whitney był teraz jej całą rodziną. Boże, miej ją w swojej opiece.

Położyła się na wznak i czekała. Przyjdą niedługo. Pukanie do drzwi. Będzie musiała otworzyć. Z matki na córkę. Teraz jej kolej.

W tej samej chwili, zaledwie dziesięć minut drogi stamtąd, Luther patrzył na artykuł w gazecie, prawdę mówiąc gapił się weń już od pół godziny. Kawa w filiżance na stoliku wystygła. Mała lodówka terkotała gdzieś z tyłu, w kącie telewizor szumiał wiadomościami CNN. Poza tym w pokoju panowała absolutna cisza.

Wanda Broome była przyjaciółką. Bliską przyjaciółką. Od ich pierwszego spotkania w domu adaptacyjnym dla byłych więźniów po ostatniej odsiadce Luthera i pierwszym i jedynym wyroku Wandy. A teraz ona nie żyje. Odebrała sobie życie, piszą, znaleziono ją w jej samochodzie, połknęła garść pigułek.

Cała seria tragicznych wypadków, jakby zaaranżowana przez kogoś. Nigdy nie prowadził zwykłego, spokojnego życia, ale... nawet dla niego to trochę za dużo. To mógłby być senny koszmar, gdyby nie fakt, że za każdym razem, jak się budzi i patrzy w lustro na swoją ociekającą zimną wodą twarz, widzi coraz więcej siwych włosów i pogłębiające się z dnia na dzień zmarszczki i wie, że z tego koszmaru już się nie obudzi. Nigdy.

Ironia losu polegała na tym, że robota u Sullivana była pomysłem Wandy. Żaloszny, straszny w skutkach pomysł, jak się okazało, który zrodził się w jej bystrym umyśle i do którego bardzo się zapaliła mimo ostrzeżeń Luthera i matki.

Zaplanowali to, a on wykonał. Po prostu. I musi przyznać, że nie trzeba go było zbyt mocno namawiać. To było wyzwanie połączone z ogromnym potencjalnym łupem. Twardy orzech, trudno się było powstrzymać, żeby go nie rozgryźć.

Jak musiała się czuć Wanda, kiedy Christine Sullivan nie wsiadła do tamtego samolotu. Nie miała jak ostrzec Luthera, że horyzont nie jest tak czysty, jak się tego spodziewa.

Była przyjaciółką Christine Sullivan. To szczerza prawda. Ostatnim wspomnieniem normalnych czasów pośród luksusów życia z Sullivanem. Gdzie wszyscy są nie tylko piękni jak Christine Sullivan, ale i wykształceni, wrażliwi, skomplikowani, ze znajomościami, z wszystkimi tymi cechami, których Christine Sullivan nie miała i nigdy mieć nie mogła. Teraz to już na pewno. I dlatego właśnie Christine zaczęła mówić Wandzie rzeczy, których nie powinna była, w tym także, w końcu, to, gdzie znajduje się sejf i co zawiera.

Wanda nie chciała nikomu zrobić nic złego, a już zwłaszcza nie zamierzała skrzywdzić swojej przyjaciółki. W swojej naiwności była przekonana, że Sullivanowie mają tyle, że mogą trochę stracić bez bólu. Luther wiedział, że świat jest inaczej urządony, Wanda pewnie też zdawała sobie z tego sprawę, ale to nie miało znaczenia. Przynajmniej teraz.

Spędziwszy życie w niedostatku, Wanda postawiła wszystko na jedną kartę, podobnie jak kiedyś Christine Sullivan, ale żadna z nich nie miała pojęcia, jak wysoką cenę przyjdzie zapłacić.

Poleciał na Barbados i skontaktowałby się z nią, gdyby już wtedy nie wyjechała. Wysłał list do jej matki. Edwina pokazała go córce. Ale czy Wanda uwierzyła? Nawet jeśli, to Christine Sullivan nie było już wśród żywych. I nic jej nie wskrzesi. Stała się ofiarą, tak zapewne myślała Wanda, ofiarą zachłanności Wandy, jej żądzy posiadania rzeczy, do których nie miała prawa. Luther prawie widział te myśli krążące po głowie swojej przyjaciółki, kiedy tak jechała opustoszałą drogą, kiedy zdejmowała zakrętkę słoiczka z tabletkami, kiedy odpływała w nieświadomość.

I nawet nie mógł przyjść na pogrzeb. Nie mógł powiedzieć Edwinie Broome, jak mu przykro, nie ryzykując wciągnięcia i jej w ten koszmar. Znał Edwinę równie dobrze jak Wandę, w jakimś sensie nawet lepiej. On i Edwina spędzili wiele wieczorów, próbując odwieść Wandę od jej planu, ale im się nie udało. I kiedy powiedziała, że zrobi to bez pomocy Luthera, jeśli będzie musiała, Edwina Broome poprosiła Luthera, żeby zaopiekował się córką. Żeby nie trafiła znów do więzienia. Żeby jej pomógł. Żeby jej pomógł zrobić tę straszną rzecz.

Zajrzał wreszcie do ogłoszeń towarzyskich i po paru sekundach znalazł to, czego szukał. Nie uśmiechnął się jednak. Podobnie jak Bill Burton, Luther za grosz nie ufał Glorii Russell.

Miał nadzieję, iż wierzą, że chodzi mu tylko o pieniądze. Wziął karteczkę i zaczął pisać.

Collin zaparkował samochód dalej na ulicy. Pojedyncze kolorowe liście, ostatnie, jakie zostały, opadały powoli niesione przez leniwy wietrzyk. Ubrany był na luzie, w dzinsy, bawełnianą bluzę i kurtkę skórzaną. Nic nie wypychało kurtki pod pachą. Włosy miał jeszcze mokre po pośpiesznym prysznicu. Nagie kostki wystawały ze skórzanych mokasynów. Wyglądał, jakby zmierzał do uczelnianej czytelnicy, żeby pouczyć się do egzaminu, albo wracał z popołudniowego sobotniego meczu futbolowego.

Zbliżając się do domu Glorii, zaczął się denerwować. Jej telefon zrobił mu niespodziankę. Głos miała normalny, żadnego napięcia, żadnych nerwów. Burton powiedział, że przyjęła to nieźle, biorąc pod uwagę sytuację. Ale wiedział, że Burton ma wrażliwość nosorożca, i dlatego się martwił. Poza tym Burton miał skłonność do niedoceniań wagi spraw. To nie była najelegantsza rzecz na świecie pozwolić mu pójść w zastępstwie na randkę. Ale stawka była ogromna. Burton mu to uświadomił.

Drzwi się otworzyły. Wszedł. Zamknął drzwi. Spojrzał na nią. Uśmiechała się do niego. Ubrana w śnieżnobiałą koszulkę, zbyt krótką i zbyt obcisłą w kluczowych miejscach, stanęła na palcach bosych stóp, żeby go delikatnie pocałować w usta. Wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

Pokazała mu, żeby się położył na łóżku. Stanęła przed nim, zsunęła ramiączka zwiewnej koszulki i pozwoliła jej spłynąć na podłogę. Następnie zsunęła figi wzdłuż nóg. Zaczął się podnosić, ale łagodnie popchnęła go z powrotem.

Powoli usiadła na nim, palcami zmierzwiła mu włosy, zaczęła się o niego ocierać w górę i w dół. Namacała ręką jego członka, delikatnie podrapała go paznokciem. Prawie krzyknął, dzinsy były boleśnie za ciasne. Znów chciał jej dotknąć, ale przytrzymała go. Rozpięła mu pasek i ściągnęła spodnie. Spadły na podłogę. Penis eksplodował na zewnątrz, sterczał ku niej, schowała go, ściskając mocno udami.

Pochyliła usta do jego ust, a potem do ucha.

- Tim, chcesz mnie, prawda? Chcesz się ze mną pieprzyć, bardzo, co?

Jęknął i wyciągnął ręce do jej piersi, ale odepchnęła je.

- Chcesz, prawda?

- Tak.

- Ja ciebie też chciałam, wczoraj wieczorem. A przyszedł on.

- Wiem, przepraszam za to. Rozmawialiśmy i...

- Wiem, wyjaśnił mi. Że nic o nas nie powiedziałaś. Że okazałeś się dżentelmenem. Lubię dżentelmenów.

- To, co jest między nami, to nie jego sprawa.

- Słusznie, Tim. Nie jego sprawa. A teraz chcesz się ze mną pieprzyć, prawda?

- Jezu Chryste, tak, Glorio, jasne, że tak.

- Tak bardzo, że aż boli.

- Że nie wytrzymam. Nie dam rady.

- Jest taki twardy, tak mi z nim dobrze między nogami. Tom, tak dobrze.

- Poczekaj kochanie, poczekaj. Zobaczysz, jak będzie dobrze.

- Wiem, Tim. Tak mi z tobą dobrze. Myślę tylko o tym, żeby się z tobą kochać. Wiesz o tym, prawda?

- Tak. - Collin teraz rzeczywiście z trudem wytrzymał, aż mu w oczach błysnęły łzy. Zlizwała krople, rozbawiona.

- Na pewno mnie chcesz? Jesteś absolutnie pewien?

- Tak!

Collin poczuł, co się święci jeszcze, zanim jego umysł zarejestrował fakt. Jak podmuch zimnego powietrza.

- Wynos się. - Słowa zostały wypowiedziane powoli, z rozmysłem, jakby wyćwiczone, z właściwą intonacją, modulacją. Jakby mówca smakował każdą sylabę. Zeszła z niego, przyciskając tak silnie jego penisa, że Collin stracił oddech.

- Gloria...

Dżinsy uderzyły go w twarz. Kiedy odsunął je i usiadł, jej ciało okrywał od stóp do głów gruby szlafrok. Wyraz twarzy szefowej personelu sprawiał, że pożałował, iż nie wziął ze sobą swojej broni.

- Wynos się z mojego domu, Collin. Natychmiast.

Ubrał się szybko, zawstydzony jej obecnością. Odprowadziła go do wyjścia, wypchnęła przez próg i zatrzasnęła za nim drzwi.

Obejrzał się za siebie, zastanawiając się, czy śmieje się tam, czy płacze, czy też jest obojętna jak gład. Nie chciał jej skrzywdzić. Na pewno ją zawstydził. Nie powinien był tak tego rozegrać. Ale kiedy tak idąc ulicą, przypomniał sobie jej wyraz twarzy, odetchnął z ulgą, że ich krótki związek się zakończył.

- Wyśledź to konto. - Burton sączył dietetyczną colę, żalując, że to nie coś mocniejszego.

- Staram się, Burton. - Russell odłożyła słuchawkę i poprawiała kolczyk w uchu. Collin siedział cicho w kącie. Szefowa personelu traktowała go jak powietrze, odkąd wszedł z Burtonem dwadzieścia minut temu. Nie oczekiwał, by miało się to zmienić.

- Więc do kiedy chce pieniądze?

- Jeśli przekaz telegraficzny nie dotrze na konto przeznaczenia przed zamknięciem banków, nie będzie jutra dla nas wszystkich. - Musnęła wzrokiem Collina i znów popatrzyła na Burtona.

- Cholera.

Russell rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Sądziłam, że zajmujesz się tym, Burton.

Zignorował zaczepkę.

- Jak zamierza podrzucić towar?

- Skoro tylko otrzyma pieniądze, poda nam informację, gdzie się przedmiot znajduje.

- Więc musimy mu zaufać?

- Wygląda na to, że nie mamy innego wyjścia.
- Skąd wie, że dostałaś już ten list? - Burton zaczął chodzić tam i z powrotem.
- Był w mojej skrzynce dziś rano. Pocztę u mnie doręczają po południu.
- W pieprzonej skrzynce na listy! Chcesz powiedzieć, że był pod twoimi drzwiami?
- Wątpię, żeby nie doręczył osobiście takiej wiadomości.
- Skąd wiedziałaś, że coś jest w skrzynce?
- Wystawała kartka. - Russell prawie się uśmiechnęła.
- Ten facet ma jaja, to mu trzeba przyznać.
- Najwidoczniej lepsze niż wy obaj. - Podkreśliła te słowa, patrząc na Collina przez całą minutę.

Skurczył się pod jej spojrzeniem, wbił wzrok w podłogę. Burton uśmiechnął się nieznacznie, widząc, co się dzieje. Dobrze jest, chłopak mu podziękuje za parę tygodni. Za to, że wyciągnął go z pajęczyny czarnej wdowy.

- Nic mnie nie zaskoczy, szefowo. Już nie. - Spojrzał na nią, a potem na Collina.

- Jeśli pieniądze nie dotrą na miejsce, możemy oczekiwać, że ujawni rzecz publicznie. Co wtedy zrobimy?

Spokój szefowej personelu nie był udawany. Uznała, że za sobą ma już płacz, wymioty i że już do końca życia wystarczy jej bólu i wstydu, których doznała. Będzie, co ma być, akceptacja tego stanu rzeczy przyniosła jej ulgę, co zauważyła ze zdziwieniem.

- Ile żąda?

- Pięć milionów - odpowiedziała po prostu.

Burton wybałuszył oczy.

- I masz taką forszę? Skąd?

- To nie twoja sprawa.

Burton nie naciskał. W końcu co go to obchodzi.

- Jasne. A jeśli chodzi o to, o co pytałaś, robimy to i owo. Na twoim miejscu poszukałbym sposobu, żeby te pieniądze jakoś wyciągnąć z powrotem. Pięć milionów nie przyda się trupowi.

- Nie można zabić kogoś, kogo nie można znaleźć - odparła Russell.

- Co racja, to racja, szefowo. - Burton usiadł i zrelacjonował wczorajszą rozmowę z Sethem Frankiem.

Była całkowicie ubrana, kiedy poszła otworzyć. Wydawało jej się, że w szlafroku trudniej będzie znieść przesłuchanie. I nie chciała wyglądać na osobę wrażliwą, podatną na ciosy, szczególnie dlatego, że właśnie tak się czuła.

- Nie bardzo wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Pewnych informacji, to wszystko, panno Whitney. Zdaję sobie sprawę, że jest pani urzędnikiem wymiaru sprawiedliwości i proszę mi wierzyć, nie mam najmniejszej ochoty sprawiać pani kłopotów, ale w tej chwili pani ojciec jest moim podejrzanym numer jeden w bardzo poważnej sprawie.

Usiadli w maleńkim salonie. Frank wyciągnął notes. Kate usiadła wyprostowana na brzegu kanapy, próbując nie tracić spokoju, chociaż jej palce wciąż uciekały do cienkiego łańcuszka na szyi, kręcąc go i płacząc w małe supelki.

- Z tego, co słyszałam, to nie ma pan wiele przeciwko niemu. Gdybym to ja była oskarżycielem publicznym w tej sprawie, uważałabym, że mam za mało, żeby wystąpić o nakaz zatrzymania, nie mówiąc już o wniesieniu aktu oskarżenia.

- Może tak, może nie. - Frank zerkał na jej palce przy łańcuszku. Tak prawdę mówiąc, to wcale nie

przyszedł po informacje. Prawdopodobnie więcej wiedział o jej ojcu niż ona. Ale musiał ją zwabić w pułapkę. Ponieważ jeśli się nad tym zastanowić, nie było to nic innego niż pułapka. Pułapka na kogoś innego. Poza tym przecież ojciec jej nic nie obchodzi. Myśl, że jej nic na tym człowieku nie zależy, trochę uspokajała jego sumienie. - Ale opowiem pani o paru ciekawych zbiegach okoliczności. Mamy odcisk palca pani ojca w furgonetce firmy czyszczącej dywany, który był w domu Sullivana niedługo przed morderstwem. Wiemy, że pani ojciec był w domu i w tej sypialni, gdzie potem popełniono morderstwo. Mamy na to dwóch świadków. Użył fałszywego nazwiska, adresu i numeru ubezpieczenia społecznego, kiedy przyjmował się do tej pracy. A potem słuch po nim zaginął.

Popatrzyła na niego.

- Był karany. Nie chciał używać prawdziwych personaliów z obawy, że nie znajdzie pracy. Mówi pan, że zniknął. Nie pomyślał pan, że mógł wyjechać na urlop? Nawet ekskazańcy mają prawo do wakacji, poruczniku. - Zdała sobie sprawę, że zachowuje się jak obrońca procesowy. Myśl, że broni własnego ojca, wydała się jej niewiarygodna. Poczowała przelotny ból w skroniach. Roztarła je mimowolnie.

- Kolejna ciekawostka to to, że pani ojciec przyjaźnił się z Wandą Broome, służącą Christine Sullivan i jej powierniczką. Mieli tego samego kuratora wiele lat temu w Filadelfii. Najwyraźniej podtrzymywali znajomość przez ten cały okres. Założę się, że Wanda wiedziała o sejfie w sypialni.

- No i co z tego?

- To, że rozmawiałem z Wandą Broome. Widać było, że wie o sprawie znacznie więcej, niż mówi.

- Więc dlaczego nie rozmawia pan z nią, tylko traci czas u mnie? Może ona to zrobiła?

- Przebywała w tym czasie za granicą, są na to setki świadków. - Frank odchrząknął. Zaraz wybuchnie bomba. - I nie mogę z nią już więcej porozmawiać, bo popełniła samobójstwo. Zostawiła list, w którym przeprosza.

Kate wstała i wyjrzała przez okno niewidzącymi wzrokiem. Poczwała chłód.

Frank poczekał parę minut, przyglądając się jej i zastanawiając, jak się musi czuć, słuchając coraz silniejszych dowodów przeciwko człowiekowi, który najpierw przyczynił się do jej zaistnienia, a potem ją opuścił. Czy została w niej jakaś resztką miłości? Detektyw miał nadzieję, że nie. Przynajmniej z zawodowego punktu widzenia. Jako ojciec trójki dzieci wołałby, żeby uczucia tego nie można było zabić.

- Panno Whitney, dobrze się pani czuje?

Kate z wolna odwróciła się od okna.

- Moglibyśmy gdzieś wyjść? Nie miałam nic w ustach, a lodówka świeci pustkami.

Trafili do tej samej knajpki, w której spotkali się Jack i Luther. Nie wiedząc o tym, usiedli przy tym samym stoliku pod oknem. Zamówili dania, Frank zabrał się do jedzenia, ale Kate nie tknęła swojej porcji.

Popatrzył na jej talerz.

- To pani wybrała ten lokal, więc chyba lubi pani ich kuchnię. Wie pani, nie chcę się wtrącać w pani sprawy osobiste, ale mogłaby pani przytyć parę kilo.

Kate spojrzała na niego wreszcie i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Dorabia pan po godzinach jako doradca do spraw zdrowia?

- Mam trzy córki i żonę. Najstarsza córka ma siedemnaście lat i twierdzi, że jest otyła. Waży jakieś sto dziesięć funtów, a jest prawie mojego wzrostu. Gdyby nie miała takich rumianych policzków, pomyślałbym, że cierpi na anoreksję. A moja żona? Jezu, ta wiecznie się odchudza. Moim zdaniem wygląda świetnie, ale widocznie wszystkie zapatrzyły się w jakiś ideał kobiecej sylwetki, który dla mnie jest niepojęty.

- Ja jestem wyjątkiem, nigdy się nie odchudzałam.

- Codziennie powtarzam córkom: zjedz, co masz na talerzu. Niech pani je.

Kate wzięła do ręki widelec i wmusiła w siebie połowę porcji. Potem napiła się herbaty, Frank wychylił ogromną filiżankę kawy, a ich rozmowa wróciła do Luthera Whitneya.

- Jeśli sądzi pan, że dowody są wystarczające, to czemu pan go nie przymknie?

- Była pani u niego w domu. Nie ma go. Prawdopodobnie przysnął zaraz po tym, co się stało.

- Jeśli jest winien. Ma pan słabe poszlaki. Wątpliwości są poważne i można je uznać za uzasadnione.

- Czy mogę być z panią szczerą, Kate?

Skinęła głową.

- Proszę mi powiedzieć tak z ręką na sercu, dlaczego trudno pani uwierzyć, że staruszek kropnął tę kobietę? Ma za sobą trzy wyroki. Całe życie był na bakier z prawem. Przesłuchiowano go jeszcze z tuzin razy na okoliczność włamań, ale nie mogli go dopaść. To profesjonalista. Wspecjalizował się. Zna pani te typy. Życie ludzkie jest dla nich gównem warte.

Kate najpierw dokończyła herbatę. Wspecjalizowany profesjonalista? Jasne, że jej ojciec był zawodowcem. Nie miała wątpliwości, że dokonywał przestępstw przez te wszystkie lata. Miał to we krwi. Nałogowiec. Nieuleczalny.

- Nie zabijał ludzi - powiedziała spokojnie. - Mógł ich okradać, ale nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Fizycznej. To nie jego styl. - Jak dokładnie powiedział Jack? Że jej ojciec był przerażony. Śmiertelnie przerażony, tak bardzo, że aż się trząsał. Policji nigdy się nie bał. A jeśli naprawdę zabił tę kobietę? Może to był odruch, broń wypaliła i kula zakończyła żywot Christine Sullivan. Ułamek sekundy i po wszystkim. Nie było czasu na namysł. Tylko działanie. Żeby nie dać się złapać. Na dobre. Cholera jasna! To niewykluczone. Czy można temu zaprzeczyć? Jeśli jej ojciec zabił tę kobietę, to byłby przerażony, potwornie przerażony.

Mimo całego bólu pamiętała ojca jako chodzącą łagodność. Wielkie dłonie trzymające jej rączki. Przy ludziach był tak małomówny, że zakrawało to na nieuprzejmość. Ale z nią rozmawiał. Z nią, nie obok niej, jak robiła to większość dorosłych. Mówił jej o rzeczach, które interesują małą dziewczynkę. O kwiatach i ptakach, o tym, jak niebo zmienia kolory. O sukienkach i wstążkach do włosów i mlecznych zębach, które się ruszają. Były to krótkie chwile bliskości ojca i córki, rozdzielone niekończącymi się rozłąkami więzienia. Ale potem podrosła i rozmowy te zaczęły wydawać jej się belkotem, gdy profesja tego człowieka, który krył się za wesołymi minami i wielkimi, łagodnymi dłońmi, zaczęła być dla niej ważniejsza niż cokolwiek innego i zdominowała obraz Ludiera Whitneya.

Dałaby głowę, że ten człowiek nie może zabić.

Frank patrzył, jak szybko zamrugła. Chyba trafił.

- Więc mówi pani, że to nieprawdopodobne, by ojciec pani zabił tę kobietę? Ale wspominała pani, że nie utrzymywaliście stosunków?

- Nie mówię, że to nieprawdopodobne. Chciałam po prostu powiedzieć... - Schrząniła sprawę. Przesłuchiwała setki świadków i nie potrafiła sobie przypomnieć nikogo, kto by wypadł tak nieprzekonująco jak ona.

Zacząła pośpiesznie szperać w torebce, szukając swojej paczki bensonów. Widok papierosów zmusił Franka do sięgnięcia po paczkę gumy Juicy Fruit.

Wydmuchnęła dym z daleka od niego, zauważyła gumę.

- Próbujemy rzucić? - Przez twarz przemknął jej wyraz rozbawienia.

- Próbujemy bez skutku. O czym to mówiliśmy?

- Mówiłam panu, nie widziałam ojca od lat. Nie byliśmy ze sobą blisko. Możliwe, że zabił tę kobietę. Wszystko jest możliwe. Ale w sądzie to za mało. Potrzebne są dowody.

- Próbujemy je zebrać.

- Nie ma pan żadnych konkretnych dowodów rzeczowych, które wiążą go z miejscem zbrodni? Odcisków palców? Naocznych świadków? Nic w tym rodzaju.

Frank zawahał się, po czym się zdecydował.

- Nie.

- Znaleźliście jakieś przedmioty pochodzące z kradzieży?

- Na razie nic.

- Jaki wynik ekspertyzy balistycznej?

- Żaden. Jeden pocisk, który się do niczego nie nadaje, i żadnej broni.

Kate rozsiała się wygodniej, w miarę jak rozmowa przeradzała się w analizę prawniczą sprawy.

- Nie ma pan nic, detektywie. Nic!

- Mam instynkt, a on mi mówi, że Luther Whitney był w tym domu i w tej sypialni tamtej nocy. Chciałbym wiedzieć, gdzie jest teraz.

- Nie potrafię panu pomóc w tej sprawie. Mówiłam to już pańskiemu koledze.

- Ale poszła pani do jego domu. Po co?

Kate się wzdrygnęła. Postanowiła nie wspominać o swojej rozmowie z Jackiem. Za nic nie chciała wciągać go w to bagno. Czyżby ukrywała istotne dla dochodzenia informacje? Być może.

- Nie wiem. - Częściowo była to prawda.

- Wydawało mi się, że należy pani, Kate, do osób, które zawsze wiedzą, po co coś robią.

Znów pomyślała o Jacku.

- Zdziwiłby się pan.

Frank uroczyście zamknął swój notatnik i pochylił się ku niej.

- Naprawdę potrzebna mi pani pomoc.

- Do czego?

- Mówię teraz nieoficjalnie, niech sobie pani myśli, co chce. Bardziej interesuje mnie wynik niż kruczki prawne.

- Ciekawe rzeczy mówi pan oskarżycielowi publicznemu.

- Nie twierdzą, że chcę grać wbrew regułom. - Frank wreszcie się poddał i wyciągnął papierosa. - Mówię jedynie, że idę po linii najmniejszego oporu, jeśli to tylko możliwe. Okay?

- Okay.

- Mam informacje, że wprawdzie pani za ojcem nie przepada, lecz on ciągle panią kocha.

- Kto to panu powiedział?

- Boże, jestem detektywem. Prawda czy nie?

- Nie wiem.

- Do cholery, Kate, niech pani nie gra ze mną w ciuciubabkę. Prawda czy nie?

Ze złością zgmiotła niedopałek.

- Prawda! Zadowolony?

- Jeszcze nie, ale może się uda. Mam plan, jak zwabić pani ojca, ale potrzebna mi pani pomoc.

- Nie widzę, jak mogłabym panu pomóc. - Kate wiedziała, co teraz będzie. Zobaczyła to w jego oczach.

Wyłuszczenie sprawy zajęło mu dziesięć minut. Odmówiła trzykrotnie. Pół godziny później nadal

siedzieli razem przy stoliku. Frank rozparł się na krześle, a potem gwałtownie pochylił ku niej.

- Niech pani posłucha, Kate, jeśli pani tego nie zrobi, to nie mamy szans dobrać się do niego. Jeśli jest tak, jak pani mówi, i nie mamy wystarczających dowodów, zostanie zwolniony. Ale jeśli on to zrobił, a nam uda się to udowodnić, to chyba jest pani ostatnią osobą na tym świecie, która mi powie, że on nie powinien ponieść konsekwencji. No, jeśli uważa pani, że nie mam racji, odwiozę panią do domu i zapomnę o tej rozmowie, a pani staruszek może sobie dalej kraść... i może zabijać. - Patrzył jej prosto w oczy. Rozchyliła usta, ale nie powiedziała ani słowa. Jej oczy uciekały w bok, nad jego ramieniem, gdzie zamglony obraz z przeszłości wabił ją, ale nagle znikł.

Prawie trzydziestoletnia Kate Whitney dawno już nie była małą dziewczynką piszczącą z zachwytu, kiedy tata podrzuca ją w powietrze, i powierzającą mu ważne tajemnice, których ojciec nikomu nie zdradzi. Była już dorosłą, dojrzałą kobietą, samodzielną od wielu lat. Na dodatek jest funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości, prokuratorem stanowym, który przysięgał stać na straży prawa i konstytucji stanu Wirginia. Jej obowiązkiem było robić wszystko, żeby ktoś, kto łamie prawo, był sprawiedliwie ukarany, niezależnie od tego, kim jest i z kim jest spokrewniony.

Wreszcie zgodziła się pomóc wydać własnego ojca w ręce policji. Jeśli jest niewinny, powiedziała sobie, chociaż to mało prawdopodobne, to nie spotka go nic złego. Jeśli jest winny, ale brak dowodów jego winy, co jest znacznie prawdopodobniejsze, z tego, co wiedziała o sprawie, to jej ojcu znów uda się przechytrzyć system, a ona mimo to spełni swój obowiązek. Jeśli jest winny i zostanie skazany, to z pewnością spędzi resztę życia w więzieniu. Ale to już od niej nie zależy, nigdy od niej nie zależało. To był wybór, którego jej ojciec dokonał z własnej woli, i nawet miłość małej dziewczynki sprzed lat nie mogła tego zmienić. Społeczeństwo tego od niej wymaga.

Frank przyglądał się jej. Jest piękną młodą kobietą, tym piękniejszą, że najwidoczniej nie zdaje sobie z tego sprawy. Gdyby jego córki osiągnęły chociaż połowę tego co ona, byłby więcej niż zadowolony. Co jeszcze wzmogło jego poczucie winy. Nie był do końca szczery z Kate Whitney. Prawdę mówiąc, bezczelnie skłamał w kluczowym dla sprawy punkcie. Nie był z siebie teraz zadowolony. Stróż prawa i porządku musi od czasu do czasu kłamać, tak jak każdy inny. Nie zmniejszało to jednak wyrzutów sumienia, zwłaszcza że okłamana była osobą, do której detektyw od razu poczuł szacunek, a teraz głęboką litość.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wykonała ten telefon od razu. Frank nie chciał tracić czasu. Oszłomił ją głos nagrany na sekretarce. Słyszała go po raz pierwszy od lat. Spokojny, pewny, miarowy, jak wyćwiczony krok żołnierza piechoty. Zaczęła drżeć pod jego brzmieniem i musiała użyć całej siły woli, żeby przywołać tych kilka słów, które miały go zwabić w pułapkę. Chce się z nim spotkać i porozmawiać. Jak najprędzej. Zastanawiała się, czy stary spryciarz zwęszy podstęp, lecz przypomniało jej się ich ostatnie spotkanie twarzą w twarz i zdała sobie sprawę, że on nie może tego zrobić. Nigdy nie będzie podejrzewał swojej małej dziewczynki, która powierzała mu swoje najcenniejsze tajemnice.

Nie minęła nawet godzina, kiedy telefon zadzwonił. Podnosząc słuchawkę, żalowała z całego serca, że zgodziła się spełnić prośbę Franka. Snucie w restauracji planów złapania podejrzanego o morderstwo to zupełnie coś innego niż udział w bezlitosnej intrydze, której jedynym celem jest wydanie własnego ojca w ręce władz.

- Katie. - Głos mu się lekko łamał. Pobrzmiewał w nim ton niedowierzania.

- Cześć, tatusiu. - Dziękowała Bogu, że te słowa wypłynęły automatycznie. W tej chwili nie czuła się na siłach sformułować najprostszej myśli.

W jej mieszkaniu nie można. On to rozumie. Zbyt osobiste. W jego domu, wiedziała, też nie. Spotkają się na neutralnym gruncie, zaproponował. Oczywiście, jasne. Ona chce porozmawiać, on z pewnością zechce wysłuchać. Rozpaczliwie chce słuchać.

Ustalenie terminu, jutro, o czwartej, w kafejce koło jej biura. O tej porze będzie pusto, cicho spokojnie pogadają. On przyjdzie. Była pewna, że przyjdzie, nic oprócz śmierci by go nie powstrzymało.

Rozłączyła się i wykręciła numer Franka. Podała mu czas i miejsce. Kiedy słuchała samej siebie, poczuła nagle, że dłużej nie wytrzyma. Wypuściła z ręki słuchawkę i wybuchnęła płaczem. Tak gwałtownym, że w konwulsjach upadła napodłogę, każdy mięsień dygotał, a jej szloch wypełnił małe mieszkanie jak hel wypełnia balon.

Frank nie zdążył odłożyć słuchawki i głęboko tego żałował. Krzyknął kilka razy, ale ona go nie słyszała, a nawet gdyby usłyszała, to co? Jej postępowanie było słuszne. Nie ma się czego wstydzić ani czuć się winną. Kiedy wreszcie zrezygnował i odłożył słuchawkę na widełki, poczucie euforii z powodu zbliżającego się końca polowania zgasło jak zdmuchnięta zapalka.

A więc ma odpowiedź na swoje pytanie. Ona wciąż go kocha. Ta myśl dla porucznika Seta Franka była do zniesienia. Sethowi Frankowi, obywatelowi i ojcu, stanęły łzy w oczach. Od tej chwili nigdy już nie będzie lubił swojej pracy.

Burton odłożył słuchawkę. Parę chwil później był w gabinecie Russell.

- Nie chcę wiedzieć, jak to zrobicie. - Russell wyglądała na zaniepokojoną. Burton uśmiechnął się w duchu. Zaczyna trząść tyłkiem, jak przewidywał. Nie chce sobie pobrudzić rączek.

- Musi pani tylko to powiedzieć prezydentowi, gdzie to się odbędzie. I doprowadzić do tego, żeby powiedział o tym od razu Sullivanowi. Musi to zrobić.

Russell wyglądała na zdezorientowaną.

- A po co?

- To moje zmartwienie. Proszę zrobić, co pani kazałem. - Poszedł, zanim zdążyła wybuchnąć złością.

- Czy policja jest pewna, że to ten? - W głosie pobrzmiewało zniecierpliwienie.

- Słuchaj, Alan, zakładam, że gdyby nie byli pewni, to nie podejmowałiby tych wszystkich kroków, żeby go aresztować.

- Popelniali pomyłki już przedtem, Glorio.

- Wszyscy popelniamy.

Prezydent zamknął segregator, który przeglądał, i wstał. Popatrzył przez okno na teren otaczający Biały Dom.

- A więc ten człowiek wkrótce znajdzie się w areszcie? - Odwrócił się do Russell.

- Na to wygląda.

- Dlaczego „wygląda”?

- Najstaranniej sporządzone plany czasem zawodzą.

- Czy Burton wie?

- Burton chyba to wszystko zaaranżował.

Prezydent podszedł do Russell, położył jej ręce na ramionach.

- Co, do diabła, chcesz przez to wszystko powiedzieć?

Russell zrelacjonowała swojemu szefowi wypadki ostatnich dni.

Prezydent podrapał się po brodzie.

- Co ten Burton zamierza? - Pytanie zaadresował bardziej do siebie niż do Russell.

- Czemu go nie wezwiesz i sam nie zapytasz? Szczególnie nalegał na to, żebyś koniecznie przekazał wiadomość Sullivanowi.

- Sullivanowi? Dlaczego, do cholery... - Prezydent nie skończył myśli i zadzwonił po Burtona, lecz powiedziano mu, że nie ma go na służbie. Wzrok prezydenta wwiercał się w szefową personelu.

- Czy Burton zamierza zrobić to, o co go podejrzewam?

- To zależy, o co go podejrzewasz.

- Przestań się bawić w kotka i myszkę, Glorio. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Jeśli chodzi ci o to, że Burton zamierza doprowadzić do tego, by to indywiduum nigdy nie trafiło do aresztu, to tak, przyszło mi coś takiego do głowy.

- Jezu Chryste!

- Miałam mu powiedzieć, żeby się wstrzymał? Że, jak sam powiedziałeś, nie mamy się czego obawiać z jego strony? Że każdy nazwie go wariatem...

- Wiem, co mówiłem. Chodzi tylko o...

- Chodzi tylko o to, że teraz, kiedy rzeczywiście on może zacząć rzucać oskarżenia, a nie widzę powodu, dla którego miałby tego nie zrobić, już nie czujesz się tak pewnie, Alan. Mam rację?

Prezydent obracał w palcach ciężki nóż do papieru, który wziął z biurka. Russell wzdrygnęła się na jego widok. Ten, który leżał na jej biurku, od razu wyrzuciła.

- Alan, czy chcesz, żebym porozumiała się z Burtonem?

- Co? Nie. To przecież tylko spekulacje, prawda?

- Możesz to nazwać, jak ci wygodnie.

Prezydent osunął się bezwładnie w fotelu i wyrzwał z irytacją przez okno.

- Alan? Co mam zrobić? - Patrzyła w tył jego głowy. Jest prezydentem, trzeba go słuchać i czekać cierpliwie, mimo że ma się ochotę udusić faceta gołymi rękami.

Wreszcie obrócił się do niej. Oczy miał ciemne, zimne i rozkazujące.

- Nic. Masz nic nie robić. Skontaktuję się z Sullivanem, podaj mi jeszcze raz czas i miejsce.

Russell pomyślała ponownie to samo, co już wcześniej przyszło jej do głowy. Ale z niego przyjaciel.

Prezydent wziął za telefon. Russell sięgnęła i położyła rękę na słuchawce.

- Alan, w raporcie napisano, że Christine Sullivan miała siniaki na szczęce i została prawie uduszona.

Prezydent nie podniósł głowy.

- Ach, naprawdę?

- Co zaszło w tej sypialni, Alan?

- No cóż, z tych drobnych fragmentów, które sobie przypominam, to chciała się pobawić trochę ostrzej niż ja. Ślady na szyi? - Przerwał i odłożył słuchawkę. - Powiedzmy, że Christy była trochę sadomaso, wiesz, Glorio. Wiesz, niektórzy to lubią.

- Słyszałam o takich rzeczach, Alan, po prostu nie sądziłam, że tobie może to odpowiadać.

- Robiłem to dla niej, Glorio, co mam powiedzieć.

- Więc dlaczego chciała cię zabić?

- Mówiłem ci, chciała się zabawić ostrzej niż ja. Była pijana i straciła panowanie nad sobą. Takie rzeczy się zdarzają.

Gloria popatrzyła przez okno. Spotkanie z Christine Sullivan nie „zdarzyło się” po prostu. Tyle czasu i

wysiłku, ile poświęcono zaplanowaniu tej randki, wkładało się w kampanię polityczną.

- Naprawdę nie chcę o tym mówić, Glorio. Nie planowałem zabicia Christy Sullivan. Co się stało, to się nie odstanie. Martwmy się raczej o przyszłość. Na tym się skupmy, dobra?

- Ty tu rządysz. Ale chyba nie planujesz być na jutrzejszej skromnej uroczystości, co?

Prezydent zachichotał.

- Będę się trzymał z daleka, ale pewnie ucieszy cię wiadomość, że mam zamiar serdecznie pogratulować lokalnej policji jej sprawności i skuteczności. Napisz mi coś na ten temat, dobrze?

- Z przyjemnością. - Russell wymaszerowała, a prezydent został, zastanawiając się, co też roi się w głowie szefowej personelu. Te pytania. Jakby w jakiś sposób zawinił. Jakby śmierć Christine Sullivan to jego wina. On nie pociągał za spust. To ona próbowała go zabić. Będzie musiał przyjrzeć się bliżej szefowej personelu, kiedy to wszystko już minie. A zdaje się, że to długo nie potrwa. Mają go. Na Burтона można liczyć. Zrobi, co do niego należy. W interesie ich wszystkich.

Luther sprawdził czas. Pierwsza. Wziął prysznic, umył zęby, przystrzygł świeżo zapuszczoną brodę. Przyczesał włosy, aż ułożyły się nienagannie. Dziś jego twarz wyglądała lepiej. Telefon od Kate dzwonił cuda. Trzymał słuchawkę przy uchu i odtwarzał nagranie raz za razem, żeby posłuchać jej głosu, słów, których nie spodziewał się usłyszeć. Zaryzykował wyprawę do sklepu z męską konfekcją i kupił sobie nowe spodnie, sportowy płaszcz i markowe skórzane półbuty. Po namyśle zrezygnował z krawata.

Przymierzył nowy płaszcz. Leżał dobrze. Spodnie były trochę za luźne. Schudł ostatnio. Musi się lepiej odżywiać. Może zaprosi córkę na wczesną kolację. Jeśli ona się zgodzi. Musi o tym pomyśleć, ale nie będzie jej za mocno namawiał.

Jack! To na pewno sprawka Jacka. Powiedział jej o ich spotkaniu. Że jej ojciec ma kłopoty. Dlatego zadzwoniła. Oczywiście! Że też od razu na to nie wpadł. Ale co to może oznaczać? Że zależy jej na nim? Obchodzi ją? Poczul drżenie całego ciała. Po tych wszystkich latach. Przeklął bezgłośnie swój rozkład zajęć. Cholerne zajęcia! Ale postanowił i nic nie zmieni jego decyzji. Nawet jego dziewczynka. Trzeba puścić w ruch tę maszynę.

Luther był przekonany, że Richmond nie wie o jego korespondencji z szefową personelu, która miała tylko jedno wyjście: odkupić to, co ma Luther, i upewnić się, że przedmiot ten nie ujrzy już nigdy światła dziennego. Kupić i mieć nadzieję, że on zniknie na zawsze i świat nigdy się nie dowie. Pieniądze już dotarły na rachunek. To będzie ich pierwsza niespodzianka.

Druga, jaką im szykuje, każe im zapomnieć o pieniądzach. A najlepsze, że dla Richmonda będzie to jak grom z jasnego nieba. Będzie skończony. Przy tym, co się rozpęta, Watergate będzie wyglądać jak kaszka z mleczkiem.

Wyciągnął list z kieszeni. Zorganizował to tak, że ona dostanie go dokładnie wtedy, kiedy będzie oczekiwać ostatnich instrukcji. Zapłata. Dostanie za swoje. Wszyscy dostaną. Nie potrafił wymazać z pamięci leniwego stosunku, który ta kobieta odbyła w obecności jeszcze nieostygłych zwłok, jakby ta leżąca na podłodze była tylko kupą śmiecia, niewartą uwagi. I Richmond. Zapijaczony, zapluty skurwiel! Zgrzytnął zębami na wspomnienie. A potem nagle się roześmiał.

Jakkolwiek Jack dogada się w sądzie, będzie dobrze. Dwadzieścia lat, dziesięć lat, dziesięć dni. Nic go już nie obchodziło. Pieprzyć prezydenta i wszystkich dookoła. Pieprzyć całe to miasto, ma ich dosyć.

Ale najpierw spędzi chwilę ze swoją dziewczynką. A potem choćby potop.

Nagle drgnął. Coś mu przyszło do głowy. Coś bolesnego, choć potrafił to zrozumieć. Usiadł na łóżku i pociągnął łyk piwa. A jeśli to nawet prawda, czy może ją winić? Najwyżej upiecze dwie pieczenie na

jednym ogniu. Położył się na łóżku i przyszło mu do głowy, że sprawy, które wyglądają za dobrze, zwykle takie są.

Kiedy przekaz pieniężny dotarł do Banku Dystryktu, włączyła się automatyczna seria zleceń i kwota została natychmiast przekazana na rachunki w pięciu bankach w Dystrykcie Kolumbii i w Wirginii, po milionie na każdy. Stamtąd fundusze ruszyły okreśną drogą, aż wreszcie cała suma znalazła się w jednym miejscu. Ta cała sekwencja operacji zajęła około godziny.

Russell, która zleciła wykonanie operacji z instrukcją przekazywania zwrotnych potwierdzeń przepływu pieniędzy, wkrótce dowie się, co się stało. Nie będzie szczególnie zachwycona. Jeszcze mniej spodoba się jej następna wiadomość, którą otrzyma.

Kawiarenka „Alonzo” została otwarta mniej więcej rok temu. Miała kilka stolików na chodniku pod kolorowymi parasolami, ogrodzonych metalowym niskim płotkiem. Podawano różne gatunki starannie zaparzonej, mocnej kawy. Własne wypieki cieszyły się dużą popularnością wśród rannej i południowej klienteli. Za pięć czwarta po południu tylko jedna osoba siedziała przy stoliku na zewnątrz. W chłodnym powietrzu parasole były złożone i przypominały wiązki gigantycznych słomek do picia.

Kawiarnia mieściła się na parterze nowoczesnego biurowca. Dwie kondygnacje wyżej zwisała na linach platforma ruchomego rusztowania. Trzech robotników wymieniało pękniętą szybę. Cała fasada budynku składała się z lustrzanych tafli, w których odbijał się obraz obszaru na przeciwko. Tafla była ciężka i silni mężczyźni mieli z nią wiele kłopotu.

Kate zawinęła się szczelniej w płaszcz i popijała kawę. Popołudniowe słońce grzało mimo chłodu, ale zachodziło szybko. Długie cienie pełzyły po stolikach. Popatrzyła przez zmrużone powieki na słońce zawieszane tuż nad dachami sfatygowanych szeregowych domków, przeznaczonych do rozbiórki, żeby zrobić miejsce dla nowego osiedla, i poczuła ból w oczach.

Nie zauważyła, że w jednym z segmentów okno na poddaszu jest otwarte. Domek obok miał powybijane szyby. Drzwi frontowe innego były częściowo wyłamane. Popatrzyła na zegarek. Siedzi tu od dwudziestu minut. Dzisiejszy dzień ciągnął się jej niemiłosiernie, co nie zdarzało się w jej wypełnionym obowiązkami życiu. Nie wątpiła, że wokół kryją się dziesiątki funkcjonariuszy policji, gotowych do akcji, skoro tylko on do niej podejdzie. Czy dadzą im szansę powiedzieć coś do siebie? A cóż takiego ona ma do powiedzenia? Cześć, tatusiu, a kuku!/? Potarła sobie skronie i czekała dalej. Przyjdzie punktualnie o czwartej. Niczego się nie będzie spodziewał. Była pewna. Jest za późno, żeby cokolwiek zmienić. Cholernie za późno na cokolwiek.

McCarty nie lubił działać w ten sposób. Absolutnie nie. Zazwyczaj śledził swój cel, nieraz całymi tygodniami, dopóki nie przyswoił sobie nawyków ofiary lepiej niż ona sama. Sam wyrok był wtedy łatwiejszy. Poza tym miał wtedy czas na zaplanowanie drogi ucieczki, opracowanie scenariuszy awaryjnych. Tym razem brakowało czasu na takie luksusy. Wiadomość od Sullivana była lakoniczna. Ten człowiek zapłacił mu już miliony w dietach, a następne dwa doda po wykonaniu zadania. Zarobił dobrze, teraz trzeba się wywiązać. McCarty nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się denerwował, chyba za pierwszym razem, wiele lat temu. A co gorsza, teren aż się roi od policji.

Ale nie przestawał sobie powtarzać, że wszystko pójdzie dobrze. Biorąc pod uwagę warunki, jakie mu postawiono, zaplanował wszystko jak najlepiej. Rozpoznał teren zaraz po telefonie Sullivana. Od razu zauważył szeregowiec przeznaczony do rozbiórki. Siedział tu od czwartej rano. Tylne drzwi domku wychodziły na alejkę. Wynajęty samochód stał zaparkowany na chodniku. Dokładnie piętnaście sekund zajmie mu wyrzucenie karabinu po strzale, bieg po schodach, wskoczenie do samochodu. Będzie całe

dwie mile stąd, zanim policja w ogóle zorientuje się, co się stało. Samolot startuje za czterdzieści pięć minut z prywatnego pasa startowego dziesięć mil na północ od Waszyngtonu. Poleci do Nowego Jorku z jednym pasażerem. A za trochę ponad cztery godziny od obecnej chwili McCarthy będzie jednym z wzorowo obsłużonych pasażerów na pokładzie concorde'a, który podchodzi do lądowania w Londynie.

Sprawił karabin i celownik optyczny po raz dziesiąty, odruchowo strzepnął pyłek z lufy. Przydałby się tłumik, ale jeszcze nie wynaleziono takiego, który spełniałby swoją funkcję na karabinie, zwłaszcza jeśli używa się wzmocnionej amunicji, jak w tym wypadku. Mógł jedynie liczyć na zamieszanie, które nie pozwoli od razu zlokalizować miejsca strzału. Popatrzył na ulicę i sprawdził godzinę. Prawie już.

McCarty nie wiedział, że jeszcze jeden karabin będzie wymierzony w głowę tej samej ofiary. A karabin będzie trzymał strzelec chyba nawet lepszy niż on.

Tim Collin był niegdyś strzelcem wyborowym w piechocie morskiej, a jego dowódca napisał w opinii, że nigdy nie spotkał lepszego strzelca niż Collin. Obiekt tej pochwały mierzył właśnie przez celownik optyczny, po czym odłożył karabin. Rozejrzał się po wnętrzu furgonetki, w której siedział, zaparkowanej przy krawężniku po przeciwnej stronie ulicy niż kafejka i trochę w dół ulicy, co pozwalało na bezpośredni strzał do celu. Jeszcze raz popatrzył przez celownik optyczny, na skrzyżowanych liniach pojawiła się Kate Whitney. Collin odsunął szybę bocznego okna. Znajdował się w cieniu budynku, który stał za nim. Nikt nie mógł zauważyć, co robi. Dodatkową przewagę zapewniały mu dokładne informacje o rozmieszczeniu sił policyjnych. Seth Frank ze swoimi ludźmi zajął miejsce po prawej stronie kawiarni, a reszta siedziała w poczekalni biurowca, w którym mieściła się kawiarnia. Cywilne samochody rozmieszczono w kilku miejscach w górę i w dół ulicy. Jeśli Whitney spróbuje ucieczki, nie zajdzie daleko. Ale Collin wiedział, że Whitney nawet nie ruszy się z miejsca.

Po strzale Collin błyskawicznie rozbierze karabin i ukryje go w furgonetce, pojawi się ze swoim pistoletem i plakieta Secret Service i włączy się do działań policji, która będzie zastanawiać się, co się, do cholery, właściwie stało. Nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzać agenta Secret Service, czy jego samochodu.

Plan Burtona wydawał się młodemu agentowi bardzo sensowny. Collin nie miał nic przeciwko Lutherowi Whitneyowi, ale chodziło tu o znacznie większą stawkę niż życie sześćdziesięciosześcioletniego kryminalisty. Zabicie starego człowieka nie sprawi Collinowi szczególnej przyjemności, ale postara się zapomnieć o tym, gdy tylko wykona zadanie. Takie jest życie. Płacą mu za tę robotę, przysięgał posłuszeństwo, o co jeszcze chodzi? Czy łamie prawo? Formalnie rzecz biorąc, popełnia morderstwo. Formalnie. Ale w rzeczywistości robi to, co trzeba. Prezydent wie o tym, Gloria Russell też, a jego szef, człowiek, którego poważa ponad wszystko, polecił mu to zrobić. Wyszukanie Collina nie pozwala mu lekceważyć poleceń. Poza tym ten facet włamał się przecież do tamtego domu. I tak dostałby dwadzieścia lat. To znaczy nigdy by nie wyszedł. Siedzieć w więzieniu do ponad osiemdziesiątki? Collin po prostu oszczędza mu bólu. Lepsza kulka w łeb niż dwadzieścia lat piekła. Collin, gdyby był w takiej sytuacji, też wybrałby kulę.

Collin popatrzył w górę na robotników mocujących się na platformie z taflą szkła. Jeden z nich pociągał za linę. Powoli szyba zaczęła się podnosić.

Kate podniosła wzrok, który przedtem wbijała we własne ręce. Szedł zgrabnie chodnikiem. Kapelusze z szerokim rondem i szalik osłaniały mu twarz, ale jego chód był nie do pomylenia. Zawsze chciała chodzić tak lekko jak jej ojciec, niemal płynąć nad ziemią, tak bez wysiłku i pewnie. Zaczęła się podnosić, a potem się zawahała. Frank nie powiedział, w którym momencie wkroczy, ale Kate spodziewała się, że nie będzie czekał długo. Luther stanął i popatrzył na nią. Nie był tak blisko córki od ponad dziesięciu lat i nie

bardzo wiedział, co ma dalej robić. Wyczuła jego niepewność i zmusiła się do uśmiechu. Podeszedł do jej stolika i usiadł, plecami do ulicy. Mimo chłodu zdjął kapelusz. Zdjął też okulary przeciwsłoneczne i schował do kieszeni.

McCarty popatrzył przez lunetkę. Siwe włosy znalazły się w centrum celownika. Przesunął bezpiecznik karabinu i położył palec na spuście.

Niecałe sto jardów od niego Collin powtórzył dokładnie to samo. W przeciwieństwie do McCarty'ego, nie musiał się spieszyć, miał tę przewagę, że wiedział, kiedy wkroczy policja. Palec McCarthy'ego naciskał powoli spust. Wcześniej, raz czy dwa, zauważył robotników na platformie, ale jego umysł nie zarejestrował tego faktu. To był dopiero jego drugi błąd, jaki popełnił w swojej karierze zawodowej.

Lustrzana tafla podskoczyła do góry pociągnięta liną. Czerwony i oślepiający odbity blask zachodzącego słońca uderzył McCarty'ego z całą siłą w oczy. Ukłucie bólu w źrenicy, ręka drgnęła mimowolnie, karabin wypalił. McCarty zaklął i odrzucił karabin. Przy tylnych drzwiach był pięć sekund przed planem.

Pocisk uderzył w kij parasola, złamał go, odbił się rykoszetem i utkwił w betonowym chodniku. Oboje, Kate i Luther, padli na ziemię, ojciec instynktownie zasłonił córkę. Parę sekund później Seth Frank i tuzin mundurowych z bronią w ręku utworzyli półkole wokół pary, twarzami na zewnątrz, przeszukując wzrokiem każdy zakamarek ulicy.

- Zablokować cały ten teren! - wrzeszczał Frank do sierżanta, który wyszcze kiwał rozkazy do radiotelefonu. Mundurowi się rozbiegli, samochody ruszyły.

Luthera skuto kajdankami i zaprowadzono do poczekalni biurowca. Podniecony Seth Frank wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym odczytał mu jego prawa. Luther spojrział na córkę. Z początku unikała jego wzroku, lecz po chwili uznała, że on zasługuje przynajmniej na to, żeby na niego popatrzyła. Jego słowa zraniły ją bardziej niż cokolwiek, na co mogła się przygotować.

- Nic ci się nie stało, Kate?

Skinęła głową, a łzy zaczęły płynąć, i tym razem nie udało się jej ich powstrzymać.

Bill Burton stanął w drzwiach poczekalni. Kiedy pojawił się zdezorientowany Collin, Burton, gdyby mógł, spaliłby go na popiół wzrokiem. Sytuacja zmieniła się, gdy Collin szepnął mu coś do ucha.

Trzeba przyznać Burtonowi, że szybko zrozumiał, co się stało. Sullivan od razu zyskał szacunek w jego oczach.

Burton podeszedł do Franka.

Frank popatrzył na niego.

- Masz jakiś pomysł, co tu się, cholera, dzieje?

- Może.

Po raz pierwszy Bill Burton i Luther Whitney stanęli twarzą w twarz. Wspomnienia tamtej nocy znów zaczęły się tłoczyć w głowie Luthera. Ale pozostał spokojny, niewzruszony. Burton nie mógł go nie podziwiać, ale i zaniepokoił się tym. Whitney najwidoczniej wcale nie przejął się aresztowaniem. Jego oczy mówiły Burtonowi - człowiekowi, który brał udział w tysiącach aresztowań, przy których dorodzi ludzie nieraz zachowywali się jak płaczliwe dzieci, gdy widzieli, że pozbawia się ich wolności - wszystko, co należało wiedzieć. Ten facet i tak miał zamiar zgłosić się na policję. Burton miał rację, po prostu kpił sobie z nich. Facet planował opowiedzieć całemu światu, co zobaczył tej nocy. Dlaczego? To Burtona właściwie nie obchodziło.

Nadal patrzył na Luthera, gdy Frank rozmawiał ze swoimi ludźmi. Potem Burton zerknął na skuloną postać w kącie. Luther przedtem przez chwilę szarpał się z policjantami, chcąc do niej podejść, ale mu nie

pozwolili. Policjantka niezręcznie próbowała pocieszyć Kate, ale bez rezultatu. Dwie krople spływały po pomarszczonej twarzy starego człowieka, który musiał być świadkiem szloch wstrząsającego ciałem jego małej dziewczuszki.

Kiedy zauważył Burtona tuż u swojego boku, rzucił mu piorunujące spojrzenie. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Burton też popatrzył na Kate. Podniósł odrobinę brwi, po czym opuścił je, nie odrywając wzroku od dziewczyny, jakby sygnalizując coś tak nieodwołalnego i ostatecznego jak seria wystrzelona w głowę Kate. Burton nieraz wpatrywał się w najgorsze szumowiny, jakie zamieszkiwały to miasto, i potrafił zastraszyć wzrokiem, ale tym, co wzbudzało dreszcz u najtwardszych, była absolutna szczerłość w jego rysach. Luther Whitney nie jest słaby, to widać od razu. Nie należy do mazgajów. Ale ten betonowy mur, który stanowiły nerwy Luthera Whitneya, zaczął pękać. Rozpuścił się prędko, a jego resztki spłynęły w kierunku łkającej kobiety w kącie.

Burton odwrócił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gloria Russell siedziała w swoim salonie i trzymała list w drżącej dłoni. Popatrzyła na zegarek. Przyszedł dokładnie na czas, doręczony przez posłańca, starszego mężczyznę w rozklekotanym subaru z emblematem firmy kurierskiej „Metro Rush Couriers” na drzwiach. Dziękuję pani. Do widzenia. Żegnaj całe moje życie. Spodziewała się wreszcie pozbyć koszmarów, które ją prześladowały od kilku miesięcy. Tyle kłopotów ze zdobyciem pieniędzy. Tyle ryzyka.

Wiatr zaczął huczeć w kominie. Jasny ogień płonął w kominku. Dom wysprzątany skrupulatnie dzięki wysiłkom Mary, pomocy domowej, która właśnie wyszła. Russell zaprosiła na kolację senatora Milesa. Miles może się bardzo przydać w realizacji jej politycznych celów, a wygląda na to, że jej sprzyja. Wszystko miało się wreszcie ułożyć po jej myśli. Znów los się do niej uśmiechał. Ale teraz? Teraz?

Jeszcze raz zerknęła na wiadomość. Nadal nie mogła uwierzyć własnym oczom, jakby ciągnęła ją na dno niewidzialna sieć rybacka.

„Wyrazy wdzięczności za wspaniałomyślny dar. Dzięki też za dodatkowy sznur, który w ten sposób dostałem. Jeśli chodzi o ten przedmiot, o którym mówiliśmy, to nie jest już na sprzedaż. Myślę, że gliny będą wiedziały, co z nim zrobić na procesie. A tak przy okazji - PIEPRZ SIĘ!”.

Z trudem wstała. Dodatkowy sznur? Przez chwilę nie mogło zrozumieć, o co tu chodzi, aż wreszcie rozjaśniło jej się w głowie. Poderwała rękę do twarzy, jakby dotknęła rozżarzonej blachy. Co za idiotyczna, niewybaczalna pomyłka. I ten gość rzuca jej to prosto w twarz i jeszcze każe przelknąć. Od razu pomyślała, by zawiadomić Burtona, ale uświadomiła sobie, że nie będzie go na miejscu. Potem coś jej przyszło do głowy. Podbiegła do telewizora. Dziennik z godziny szóstej właśnie się rozpoczął. Relacjonowano najnowszą sensację. Śmiała operacja policyjna, realizowana wspólnie przez komendę hrabstwa Middleton i komendę miejską Alexandria doprowadziła do ujęcia podejrzanego o morderstwo Christine Sullivan. Niezidentyfikowany strzelec wyborowy oddał strzał w kierunku podejrzanego, lecz chybił.

Russell patrzyła na migawki z posterunku w Middleton. Zobaczyła Luthera Whitneya, jak patrzy prosto przed siebie, nie próbując nawet ukrywać twarzy, i wchodzi po schodach do posterunku. Okazał się znacznie starszy, niż to sobie wyobrażała. Wygląda na kierownika szkoły. I to ten człowiek widział ją,

jak... Nawet nie przyszło jej do głowy, że Luther został aresztowany za zbrodnię, której nie popełnił. Prawdę mówiąc, gdyby nawet przyszło, to też by nic nie zrobiła. Mignął jej na filmie Bill Burton i Collin tuż za jego plecami, jak słuchają oświadczenia dla prasy detektywa Setha Franka.

Przekłete, niekompetentne sukinsyny! Siedzi w areszcie. On w cholernym areszcie, a ona ma tu wiadomość od niego, która gwarantuje, że facet ich wszystkich wykończy. Zaufała Burtonowi i Collinowi, prezydent im zaufała, a oni nawalili. Beznadziejnie nawalili. Nie do wiary, że ten Burton sobie tak spokojnie stoi, kiedy cały świat za chwilę zgaśnie. Zgaśnie jak wypalona gwiazda, a oni w ciągu sekund staną się ludzkimi czarnymi dziurami.

Następna myśl, która przyszła jej do głowy, zaskoczyła nawet ją samą. Pobiegła do łazienki, otworzyła apteczkę i złapała pierwszy z brzegu słoiczek. Ile tabletek wystarczy? Dziesięć? Sto?

Próbowała odkręcić zakrętkę, ale jej trzęsące ręce nie mogły sobie dać z nią rady, wreszcie tabletki wysypały się do umywalki. Wzięła pełną garść i zatrzymała się. Z lustra patrzyło na nią jej odbicie. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się postarzała, od paru miesięcy systematycznie jej stan się pogarszał. Oczy podkrążone, jej jędrne zazwyczaj policzki - zapadnięte, a włosy wydawały się siwieć z zastraszającą prędkością.

Popatrzyła na zielone tabletki w rękę. Nie może tego zrobić. Mimo wszystko, mimo że jej świat popada w ruinę, nie może tego zrobić. Spłukała pigułki, zgasiła światło. Zadzwoiła do biura senatora. Z powodu choroby jest zmuszona odwołać spotkanie. Właśnie położyła się do łóżka, kiedy rozległo się pukanie.

Z początku zdawało się jej, że to odległe bicie w bębny. Czy już mają nakaz? Jakże ma tu kompromitujące materiały? List! Wyciągnęła go z kieszeni i wrzuciła do kominka. Zajął się ogniem, płomień strzelił wysoko. Przyglądała sukienkę, włożyła pantofle i wyszła z pokoju.

Drugie ukłucie bólu przeszło jej klatkę piersiową, gdy wzrok jej padł na Billa Burtona w drzwiach wejściowych. Bez słowa wszedł do środka, zrzucił płaszcz i podszedł prosto do barku.

Zatrzasnęła z hukiem drzwi.

- Świetna robota, Burton. Rewelacja. Cudownie zadbałeś o wszystko. A gdzie twój kumpel? Poszedł do okulisty?

Burton rozsiadł się z drinkiem w dłoni.

- Zamknij się i słuchaj.

Taka uwaga normalnie doprowadziłaby ją do szału. Ale jego ton zmroził ją do szpiku kości. Zauważyła kaburę z bronią. Nagle zdała sobie sprawę, że zadała się z ludźmi, którzy noszą broń. Wydawało jej się, że otaczają ją wszędzie. Rozlegają się strzały. Swoją los powierzyła jakimś niebezpiecznym kreaturom. Usiadła i zagapiła się na niego.

- Collin nawet nie wystrzelił.

- Ale...

- Ale zrobił to ktoś inny. - Łyknął prawie całego drinka. Russell pomyślała, że chętnie by się czegoś napiła, ale postanowiła się wstrzymać.

Popatrzył na nią.

- Walter Sullivan. Ten skubaniec. Nie doceniłem go. Richmond mu powiedział, tak?

Russell przytaknęła.

- Myślisz, że to sprawka Sullivana?

- A któż inny, do cholery!?! Nie udawaj głupiej, nie mamy czasu na głupoty.

Burton wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Russell podeszła do telewizora.

- Ale ten człowiek jest w areszcie. Wyśpiewa policji wszystko. Już myślałam, że to oni pukają.

Burton przerwał przechadzkę.

- Ten facet nie puści pary z gęby. Przynajmniej na razie.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o człowieku, który zrobi wszystko, żeby utrzymać przy życiu swoją córeczkę.

- Ty, ty go postraszyłeś?

- Byłby głupi, gdyby nie zrozumiał.

- Skąd wiesz, że nie zaryzykuje?

- Oczy nie kłamią, droga pani. On wie, co jest grane. Jedno słowo i po córeczce.

- Ale przecież naprawdę byś...

Burton chwycił szefową personelu, podniósł ją w powietrze jak piórko i trzymał tak, że miała oczy na tym samym poziomie co on.

- Zabiję, kurwa, każdego, kto może mi zagrozić, rozumiano? - Rzucił ją z powrotem na fotel. Patrzyła na niego, z twarzy odpłynęła jej ostatnia kropla krwi. - Droga pani, to przez ciebie siedzimy w tym bagnie. Ja chciałem od razu dzwonić po policję. Wykonałem tylko swój obowiązek. Może i zabiłem kobietę, ale każdy sąd na świecie by mnie uniewinnił. A ty, paniusiu, wzięłaś mnie pod włos, a ja, kretyń, dałem się na to nabrać i teraz jestem o włos od zaprzepaszczenia dwudziestu lat życia, i wcale mnie to nie cieszy. Jak nie rozumiesz, to trudno.

Siedzieli przez kilka minut w ciszy. Russell nie umiała powiedzieć Burtonowi o liście, który otrzymała. Co by to zmieniło? On i tak odkrył prawdziwe motywy Whitney, a ona nie chciała przyznać się do horrendalnego błędu, jaki sama popełniła. Jeśli znała Billa Burtona, to wyjąłby pistolet i zastrzelił ją na miejscu. Myśl o gwałtownej śmierci przyspieszyła bicie serca, ciarki ją przeszły.

W końcu udało jej się odzyskać panowanie nad sobą. Z tyłu za nią tykał zegar, jakby odliczał ostatnie momenty jej życia.

- Więc jesteś pewien, że on nie piśnie słówka?

- Niczego nie jestem pewien.

- Ale powiedziałaś...

- Powiedziałem, że facet zrobi wszystko, żeby nie narazić swojej małej na śmierć. Ale ten facet to cwaniak. Jeśli nie da się zastraszyć, to przez następne parę lat będziemy się budzić z widokiem górnej pryczy nad sobą.

- Ale on przecież nie ma jak jej ochronić?

- Gdybym był tego pewien, nie denerwowałbym się tak. Ale mogę się z tobą założyć, że ten gość siedzi teraz w celi i kombinuje, jak by mnie przechytrzyć.

- Więc co mamy robić?

Wziął swój płaszcz.

- Czas pogadać z Richmondem.

Jack przerzucił swoje notatki i rozejrzał się po twarzach wokół stołu konferencyjnego. Jego drużyna do spraw ukraińskich składała się teraz z czterech etatowych specjalistów-prawników, dwóch pracowników administracyjnych i dwóch wspólników. Wieść o tym, że Jack szturmem podbił Sullivana, rozeszła się po firmie szerokim echem. Każdy z obecnych patrzył na Jacka z mieszaniną podziwu, szacunku i pewnego lęku.

- Sam, będziesz koordynował sprzedaż surowców przez Kijów. Nasz tamtejszy przedstawiciel to rzutki

facet, ryzykant, często porusza się na granicy prawa. Miej na niego oko, ale nie przeszkadzaj mu za bardzo.

Sam, wspólnik w firmie od dziesięciu lat, zatrzasnął neseser.

- Sie robi.

- Ben, przejrzałem twoje sprawozdanie na temat wpływów naszego lobby. Zgadzam się, myślę, że powinniśmy mocno naciskać na resort spraw zagranicznych, nie zaszkodzi, jak będą po naszej stronie. - Jack kartkował już następny skoroszyt.

- Mamy mniej więcej miesiąc na uruchomienie tej operacji. Główne nasze zmartwienie to krucha niepodległość Ukrainy. Jeśli chcemy trafić główną wygraną, musimy się pośpieszyć. Najgorsze, co może nas spotkać, to zaanektowanie przez Rosję naszego nowego klienta. Teraz chciałbym, żebyśmy poświęcili parę minut na przyjrzenie się...

Drzwi się otworzyły i zajrzała sekretarka Jacka. Wyglądała na zirytowaną.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam.

- W porządku, Marto, o co chodzi?

- Ktoś do pana na linii.

- Powiedziałem Lucindzie, żeby nie łączyła do mnie rozmów, z wyjątkiem sytuacji alarmowych. Zajmę się wszystkim jutro.

- Zdaje się, że to sytuacja alarmowa.

Jack okręcił się na obrotowym krześle.

- Kto to jest?

- Powiedziała, że nazywa się Kate Whitney.

Pięć minut później Jack siedział już w samochodzie, fabrycznie nowym lexusie 300 metaliku koloru miedzi. Myśli kłębiły mu się w głowie. Kate była bliska hysterii. Z jej słów zrozumiał, że Luther został aresztowany. Nie wiedział za co.

Otworzyła drzwi po pierwszym puknięciu i prawie osunęła się mu w ramiona. Minęło parę minut, zanim zaczęła w miarę normalnie oddychać.

- Kate, co się stało? Gdzie jest Luther? O co jest podejrzany?

Popatrzyła na niego z policzkami tak spuchniętymi i czerwonymi, jakby została pobita.

Kiedy wreszcie zdołała wykrztusić kilka słów, Jack zdębiał.

- Morderstwo? - Rozejrzał się po pokoju, umysł nie nadążał z rejestrowaniem rzeczywistości. - To niemożliwe. Kogo, do cholery, miałby zamordować?

Kate wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy. Popatrzyła mu prosto w oczy. Tym razem mówiła wyraźnie, jakby cięła szkło diamentem.

- Christine Sullivan.

Przez chwilę siedział nieporuszony, po czym zerwał się z fotela. Popatrzył na nią, chciał coś powiedzieć, okazało się, że nie może. Na miękkich nogach podszedł do okna, otworzył je na oścież, wpuścił zimne powietrze. Żołądek mu się skurczył, palący kwas podszedł aż do gardła. Powoli odzyskiwał władzę w nogach. Zamknął okno i usiadł naprzeciwko niej.

Nie przychodziło mu nic do głowy, więc nie próbował nawet mówić. Objął ją ramionami. Znow zaczęła płakać, cicho, niewiele już zostało jej łez. Jack ścisnął ją mocno. Pół godziny temu był na szczycie powodzenia, komenderował swoją małą armią. Szybował jak meteor ku innym galaktykom. Prawo powszechnego ciężenia sprowadziło go boleśnie na ziemię. Luther. Aresztowany? Morderstwo? Christine

Sullivan? Jezu Chryste!

Luther, w pomarańczowym więziennym drelichu, siedział w tym samym pokoju przesłuchań, w którym kiedyś zeznawała Wanda Broome.

Seth Frank usiadł naprzeciwko niego i przyglądał mu się badawczo. Luther patrzy prosto przed siebie. Nie jest zamroczony, ten facet coś kombinuje.

Weszło jeszcze dwóch ludzi. Jeden niósł dyktafon, który umieścił na środku stołu. Włączył go.

- Pali pan? - Frank wyciągnął papierosa.

Luther go przyjął i obaj wydmuchnęli małe obłoczki.

W celu zaprotokołowania Frank jeszcze raz wyrecytował Lutherowi jego prawa i udzielił wymaganego ostrzeżenia. W tej sprawie nie będzie żadnych proceduralnych niedociągnięć.

- A więc zrozumiał pan swoje prawa?

Luther wykonał nieokreślony gest papierosem w powietrzu.

Facet był zupełnie inny, niż Frank się spodziewał. Z akt wynikało, że to zdeklarowany recydywista. Trzy wyroki, ale ostatnie dwadzieścia lat czysty jak łąza. Nie znaczyło to wiele. Ale żadnych napadów, żadnych aktów gwałtu. To również nie musiało wiele znaczyć, ale było coś w tym facecie.

- Proszę odpowiedzieć na to pytanie tak lub nie.

- Tak.

- W porządku. Czy rozumie pan, że został pan aresztowany w związku z morderstwem popełnionym na Christine Sullivan?

- Tak.

- Wie pan, że może zażądać pan, aby był tu obecny pański obrońca. Czy naprawdę pan z tego rezygnuje? Może dostać pan obrońcę z urzędu albo skontaktować się z własnym.

- Rezygnuję.

- I rozumie pan, że ma pan prawo odmówić zeznań? I że wszystko, co pan tutaj teraz powie, może zostać wykorzystane w sądzie przeciwko panu?

- Rozumiem.

Lata doświadczeń nauczyły Franka, że przyznanie się do winy na początku śledztwa może przynieść katastrofę oskarżeniu. Nawet spontaniczne przyznanie się do winy może zostać zmiecione w pył przez obronę, w rezultacie czego wszystkie dowody osiągnięte w wyniku tego przyznania zostają odrzucone jako uzyskane nieczystymi metodami. Sprawca potrafi zaprowadzić cię prosto do zwłok ofiary, a następnego dnia wychodzi na wolność, a jego adwokat śmieje ci się w twarz i ma nadzieję, że jego klient nigdy już nie pokaże się w tej okolicy. Ale Frank miał już swoje dowody. Whitney nie mógł wnieść wiele nowego. Skupił wzrok na zatrzymanym.

- W takim razie chciałbym zadać panu kilka pytań.

- W porządku.

Frank wyrecytował do mikrofonu datę i godzinę, a następnie zapytał Luthera o personalia. I na tym się skończyło. Otworzyły się drzwi. Zajrzał mundurowy.

- Przyszedł jakiś adwokat.

Frank popatrzył na Luthera, wyłączył magnetofon.

- Jaki adwokat?

Luther nie zdążył odpowiedzieć, gdy obok funkcjonariusza przepchnął się Jack.

- Jack Graham, adwokat podejrzanego. Proszę zabrać stąd ten magnetofon, chcę porozmawiać z moim

klientem sam na sam, i to zaraz, panowie.

Luther wlepił w niego wzrok.

- Jack... - zaczął ostro.

- Zamknij się, Luther. - Jack rozejrzał się po policjantach. - No, już!

Mężczyźni zaczęli opróżniać pomieszczenie. Frank i Jack zmierzyli się wzrokiem, po czym drzwi się zamknęły.

- Mów mi, co tu, do cholery, jest grane?

- Jack, trzymaj się od tego z daleka. Nie żartuję.

- To ty do mnie przyszedłeś. Zmusiłeś mnie, żebym ci obiecał, że będę cię bronił. Więc, cholera, jestem.

- Świetnie, wywiązałeś się z obietnicy, teraz jesteś wolny.

- W porządku, wyjdę, ale co ty robisz najlepszego?

- To nie twoja sprawa.

Jack zbliżył twarz do twarzy Luthera.

- I co zrobisz?

Luther podniósł głos po raz pierwszy.

- Przyznaję się do winy! Zrobiłem to.

- Zabiłeś ją?

Luther popatrzył w bok.

- Czy zabiłeś Christine Sullivan? - Luther nie odpowiedział. Jack chwycił go za ramię.

- Zabiłeś ją?

- Tak.

Jack wnikliwie przyglądał się jego twarzy. Potem złapał swoją aktówkę.

- Jestem twoim adwokatem, czy chcesz tego, czy nie. A dopóki nie dowiem się, dlaczego kłamiesz, nie myśl nawet o rozmowie z glinami. Jeśli to zrobisz, doprowadzę do uznania cię za niepoczytalnego.

- Jack, doceniam to, co robisz, ale...

- Słuchaj, Luther. Kate powiedziała mi, co się stało, co zrobiła i dlaczego to zrobiła. Powiem ci wprost, bez owijania w bawełnę. Jeśli cię skaza, twoja córka nigdy już się nie pozbiera. Słyszysz, co mówię?

Luther nie powiedział tego, co miał zamiar powiedzieć. Nagle ciasny pokój skurczył się do rozmiarów próbówki. Nie słyszał wyjścia Jacka. Siedział i patrzył przed siebie. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić.

Jack podszedł do mężczyzn w korytarzu.

- Kto to prowadzi?

Frank popatrzył na niego.

- Porucznik Seth Frank.

- Fajnie, poruczniku. Proszę zaprotokołować, mój klient nie rezygnuje z prawa do obecności obrońcy w czasie przesłuchań. Zrozumiano?

Frank założył ręce na piersi.

- Okay.

- Jaki prokurator zajmuje się tą sprawą?

- Wicoprokurator stanowy, George Gorelick.

- Zakładam, że macie nakaz sądowy?

Frank pochylił się do przodu.

- Sąd w zeszłym tygodniu wydał postanowienie o uznaniu za podejrzanego.

Jack nałożył płaszcz.

- Mam nadzieję.

- Może pan zapomnieć o wyjściu za kaucją, domyśla się pan pewnie.

- Coś mi się wydaje, chłopcy, że tu u was będzie bezpieczniejszy. Pilnujcie go dla mnie, dobrze?

Jack rzucił Frankowi wizytówkę i wyszedł stanowczym krokiem. Jego ostatnia uwaga starła uśmiech z warg Franka. Popatrzył na wizytówkę, potem na pokój przesłuchań, a później na znikającą w korytarzu sylwetkę obrońcy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wzięła prysznic i przebrała się. Zaczesane do tyłu, mokre włosy zwisały luźno do ramion. Miała na sobie gruby granatowy sweter z wycięciem w serek, a pod spodem biały T-shirt. Za luźne dzinsy wisały na szczupłych biodrach. Grube, wełniane skarpetki okrywały jej długie stopy. Jack obserwował te stopy, jak poruszają się w górę i w dół, przemieszczając ich zwinną właścicielkę po pokoju.

Jack się przeciągnął, po czym usiadł z powrotem na krześle. Barki miał jak z drewna. Kate, jakby to wyczuwając, podeszła i zaczęła masować mu kark.

- Nie powiedział mi, że już został formalnie uznany za podejrzanego, tylko że zatrzymują go tylko na przesłuchanie.

- Więc nie powiedział ci całej prawdy. Ale od kiedy gliny mówią prawdę?

- Widzę, że wracasz do stanu umysłu obrońcy sądowego.

Porządnie wymasowała mu ramiona, zrobiło mu to doskonale. Jej mokre włosy musnęły mu twarz, kiedy pochyliła się, z wysiłkiem rozcierając najbardziej napięte mięśnie. Zamknął oczy. W radiu puszczała *Rzekę marzeń* Billy'ego Joela. Jakie są jego marzenia? Jego cel życiowy zdawał się skakać jak zajęczek puszczonego lusterkiem, którego próbował łapać jako dzieciak.

- Jak on się trzyma? - Pytanie Kate sprowadziło go na ziemię. Przełknął resztkę piwa.

- Zdezorientowany. Wykończony. Zdenerwowany. Nigdy go nie widziałem takiego ani nie spodziewałem się zobaczyć. Aha, znaleźli karabin. Na pięterku w którymś w tym domków do rozbiórki naprzeciwko tej kawiarenki, gdzie spotkaliście się z Lutherem. Ten, kto strzelał, jest już z pewnością daleko. Co do tego nie ma wątpliwości. Te cholerne gliny w ogóle się tym nie przejmują.

- Kiedy odbędzie się rozprawa wstępna, formalne postawienie w stan oskarżenia?

- Pojutrze, o dziesiątej. - Wygiął plecy i popatrzył na nią. - Idą na całość, wystąpią o karę śmierci.

Przestała masować i nerwowo zatarła rozgrzane ręce.

- To bzdura. Zabójstwo w trakcie włamania to zbrodnia pierwszej klasy, a najwyżej morderstwo pierwszego stopnia. Powiedz prokuratorowi, żeby sobie poczytał kodeks.

- Hej, to moja działka. - Prawie udało mu się ją rozśmieszyć. - Oskarżyciel przyjął założenie, że włamał się do domu i był w trakcie kradzieży, kiedy ona złapała go na gorącym uczynku. Wykorzystują dowody na fizyczny gwałt, duszenie, pobicie i dwa strzały, żeby oddzielić to od samego włamania. Uważają, że to podpada pod przepisy o szczególnym bestialstwie. Na dodatek zginęła jej biżuteria. A więc podpada to ich zdaniem pod morderstwo podczas napadu z bronią w ręku, co równa się karze śmierci.

Kate usiadła i wytarła dłonie w uda. Nie była umalowana i należała do tych kobiet, które nie potrzebują makijażu. Dziś widać było po niej zmęczenie, zwłaszcza w oczach i pod nimi.

- Co wiesz o Gorelicku? To on będzie próbował iść tą linią.

- Arogancki palant, nadęty, fanatyczny. I niesamowity prawnik procesowy.

- Świetnie. Masz jeszcze piwo? - Jack otworzył następną puszkę i usadowił się obok Kate. Rozmasował jej kontuzjowaną kostkę. Ułożyła się wygodniej na kanapie i odchyliła głowę do tyłu. Było im tak dobrze razem, na luzie, wygodnie ze sobą, jakby te cztery lata w ogóle nie istniały.

- Z tego, co mi mówił Frank, wynikało, że mają dowody, które ledwie wystarczają na wydanie nakazu aresztowania, a absolutnie nie kwalifikują się do postawienia w stan oskarżenia. Nie rozumiem, Jack.

Jack pociągnął łyk piwa. Zsunął jej skarpetki i masował stopy obiema rękami, czując jej delikatne, drobne kości.

- Policja dostała anonimowy donos z numerem rejestracyjnym samochodu, który widziano koło domu Sullivana w noc przestępstwa. Wytropiono go na parkingu policyjnym.

- Więc donos był fałszywy.

- Nie. - Przetarł oczy. - Luther mówił mi, że to najlepsze miejsce na zdobycie samochodu na robotę. Nikt nie zauważa braku auta przez kilka godzin.

Kate nie spojrzała na niego, wyglądała, jakby uważnie studiowała sufit. Jack podążył za jej spojrzeniem. Żadnych fresków, co za ulga.

- Przyjemne rozmówki sobie prowadziliście.

- Daj spokój, Kate.

- Więc kończ.

- Sprawdzili podłogę wozu. Znaleźli włókna z wykładziny w sypialni Sullivana. Także grudki szczególnej ziemi. Tak się składa, że taka sama ziemia występuje na polu przy domu Sullivana. To specjalna mieszanka, którą ogrodnik Sullivana specjalnie przygotowywał, nigdzie nie znajdzie się podobnej. Uciałem sobie pogawędkę z Gorelickiem. Jest cholernie pewny swego. Ja jeszcze nie dostałem raportów. Jutro po nie idę.

- No ale co z tego? Jaki to ma związek z moim ojcem?

- Dostali nakaz rewizji domu i samochodu Luthera. Znaleźli tę samą mieszankę na podłodze samochodu. I grudkę na dywanie w salonie.

Kate powoli otworzyła oczy.

- Był w tym domu podczas czyszczenia tych cholernych dywanów. Stąd mogły się wziąć te włókna.

- A potem pobiegał sobie po zbożu? Daj spokój.

- Ktoś inny mógł nanieść ziemi do domu, a on na to nadepnął.

- I ja bym tak argumentował, gdyby niejedna rzecz.

Usiadła.

- Jaka?

- Oprócz włókien i kurzu znaleźli resztki rozpuszczalnika produkowanego na bazie ropy naftowej. Ślady tego samego rozpuszczalnika znaleziono na wykładzinie w sypialni. Policja uważa, że to sprawca chciał wyczyścić plamy krwi, jego krwi. Mają świadków, którzy gotowi są przysiąc, że takiego rozpuszczalnika nie używano przy czyszczeniu dywanów ani ostatnio, ani wcześniej. A więc te włókienka musiały się przyczepić Lutherowi potem. I to jest dowód nie do obalenia.

Kate osunęła się z powrotem.

- Na dodatek znaleźli hotel, w którym zatrzymał się Luther. Znaleźli fałszywy paszport i na jego podstawie stwierdzili, że był na Barbados. Dwa dni po morderstwie poleciał do Teksasu, potem do Miami, a później na tę wyspę. Najwyraźniej przyczaił się tam na jakiś miesiąc. Udało im się uzyskać zaprzysiężone zeznanie kierowcy taksówki, który wioził Luthera do rezydencji Sullivana na wyspie.

Luther wspomniał, że był w domu Sullivana w Wirginii. Na dodatek mają świadków, którzy zeznali, że przed morderstwem wielokrotnie widziano Luthera i Wandę Broome razem. Jedna kobieta, bliska znajoma Wandy, zeznała, że Wanda wspominała jej, iż bardzo potrzebuje pieniędzy. I że Christine Sullivan mówiła jej o sejfie. Z czego wynika, że Wanda Broome skłamała podczas przesłuchania policyjnego.

Kate wyciągnęła rękę, złapała piwo Jacka, wypila i wytarła usta rękawem.

- Już rozumiem, dlaczego Gorelick był taki pewny siebie. Ale to nadal może być zbieg okoliczności.

- Nie masz racji. Jest to klasyczny przykład sprawy, w której nie ma dowodów bezpośrednich łączących Luthera ze zbrodnią, tylko poszlaki, ale jeśli wspomni się o zbiegu okoliczności, to na bank ława przysięgłych pomyśli: Daj spokój, z kogo chcesz zrobić durnia, ty cwany skurwielu. Będę starał się obalać wszystko, co się da, ale mają parę ciężkich kamieni, żeby nas trafić. A jeśli Gorelick wywlecze poprzednie wyroki twojego tatusia, to możemy być skończeni.

- Uległy przedawnieniu. Sędzia ich nie dopuści, mogą uprzedzić przysięgłych do oskarżonego, a nie mają wartości dowodowej. Nigdy się na to nie zgodzi. - Chociaż mówiła to z przekonaniem, nie była taka pewna. Poza tym czego dziś można być pewnym.

Zadzwoił telefon. Zawahała się, zanim odebrała.

- Czy ktoś wie, że tutaj jesteś?

Potrząsnął głową. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

Głos z tamtej strony brzmiał sucho, profesjonalnie.

- Panno Whitney, mówi Robert Gavin z „Washington Post”. Chciałbym, jeśli pani pozwoli, zadać kilka pytań o pani ojca. Wolałbym zobaczyć się z panią osobiście, jeśli dałoby się to zorganizować.

- Czego pan chce?

- Pani wybaczy, panno Whitney. Pani ojciec jest na pierwszych stronach gazet. Pani jest prokuratorem stanowym. To sensacja nie z tej ziemi, jeśli o mnie chodzi.

Kate rozłączyła się. Jack popatrzył pytająco.

- Kto to?

- Dziennikarz.

- Chryste, ci nie marnują czasu.

Usiadła znowu, tak znużona, że go to uderzyło. Podeszedł do niej, wziął za rękę.

- Znów to się dzieje, Jack. Nigdy nie chciałam mieć z tym nic wspólnego i proszę, jestem w samym centrum. - Głos jej brzmiał, jakby miała się rozpląkać. Nagle zwróciła się ku niemu. Wyglądała na przestraszoną. - Jack, nie możesz wziąć tej sprawy.

- A niby dlaczego, do cholery? Jestem aktywnym członkiem wirginijskiej izby adwokackiej. Prowadziłem dziesiątki spraw o morderstwo. Mam doskonałe kwalifikacje, żeby się jej podjąć.

- Nie o to mi chodzi. Wiem, że masz kwalifikacje. Ale Patton, Shaw & Lord nie zajmują się obroną w sprawach karnych.

- Więc? Kiedyś muszą zacząć.

- Jack, nie żartuj. Sullivan to ich potężny klient. Ty dla niego pracujesz. Czytałam w „Legal Times”.

- Nie ma tu żadnego konfliktu interesów. Nie mam żadnych informacji, które uzyskałam jako radca prawny Sullivana, a które mógłbym wykorzystać w tej sprawie. Poza tym Sullivan nie jest tu stroną. To oskarżenie publiczne.

- Jack, nie pozwolą ci wziąć tej sprawy.

- Dobra, to mam ich gdzieś. Otworzę własny interes.

- Nie możesz tego zrobić. Wszystko teraz układa ci się jak marzenie. Nie psuj tego. Nie przez to.

- A przez co? Bo nic ważniejszego niż ta sprawa nie przychodzi mi teraz do głowy. Wiem, że twój staruszek nie skatował tej kobiety i nie rozwałił jej głowy z pistoletu. Prawdopodobnie włamał się do tego domu, żeby go obrabować, ale nikogo nie zabił, tego jestem pewien. Chcesz wiedzieć coś jeszcze? Jestem zupełnie pewien, że on wie, kto ją zabił, i to właśnie przeraziło go śmiertelnie. Widział coś w tym domu, Kate. Widział KOGOSŁ. - Kate odetchnęła powoli.

Westchnęła i popatrzyła na podłogę. Wstał i nałożył płaszcz. Żartobliwie pociągnął ją za pasek od spodni.

- Kiedy ostatni raz naprawdę coś zjadłaś?

- Nie pamiętam.

- Przypominam sobie czasy, kiedy wypełniałaś te dzinsy w sposób nieco bardziej odpowiadający męskim wyobrażeniom estetycznym.

Uśmiechnęła się tym razem.

- Dzięki.

- Jeszcze nie jest za późno, żeby nad tym popracować.

Rozejrzała się po swoim mieszkaniu. Nic nie miała przeciwko temu, żeby wyjść.

- Co miałaś na myśli?

- Żeberka, kapusta i więcej piwa niż masz w lodówce. Idziesz?

- Wezmę płaszcz.

Jack przytrzymał drzwi lexusa. Zobaczył, że ogląda każdy szczegół luksusowego auta.

- Wziąłem sobie do serca twoją radę. Pomyślałem, że czas zacząć wydawać moje ciężko zarobione pieniądze.

Wsiadł do wozu, kiedy przy prawych drzwiach pojawił się mężczyzna.

Miał na sobie sfatygowany kapelusz, szpakowatą brodę i rzadki wąsik. Brązowe palto miał zapięte pod szyją. W jednym ręku trzymał reporterski minimagnetofon, legitymację prasową w drugim.

- Bob Gavin, panno Whitney. Rozłączyło nam rozmowę. - Popatrzył na Jacka. Zmarszczył czoło. - Pan to Jack Graham. Adwokat Luthera Whitney. Widziałem pana na komendzie.

- Gratulacje, panie Gavin, ma pan sokole oko i uroczy uśmiech. Do widzenia.

Gavin uczeplił się samochodu.

- Chwileczkę, jedną chwileczkę. Opinia publiczna ma prawo do informacji w tej sprawie.

Jack miał coś powiedzieć, ale Kate mu przerwała.

- I uzyska te informacje, panie Gavin. Po to są procesy sądowe. Jestem pewna, że dostanie pan miejsce w pierwszym rządzie. Żegnam.

Lexus ruszył. Gavin pomyślał, że mógłby pobiec do swojego wozu, ale uznał, że nie warto. W wieku czterdziestu sześciu lat, przy jego sflaczałym i nadwężonym ciele, znajdował się w strefie zagrożenia zawałem. I tak wyprzedza resztę. Dorwie ich prędzej czy później. Postawił kołnierz i odmaszerował.

Zbliżała się północ, kiedy lexus wjechał na parking przed blokiem Kate.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, Jack?

- Zdecydowanie nie lubię fresków.

- Co?

- Połóż się spać. Oboje musimy być wypoczęci.

Wysiadła z samochodu, po czym zajrzała z powrotem do środka.

- Jack, martwi mnie jedna rzecz.
- Naprawdę? Tylko jedna?
- Skoro wyjechał z kraju, to po co wracał?

Popatrzył, jak Kate wchodzi do domu, i odjechał. Rzeczywiście, dlaczego Luther wrócił? Był daleko, nikt by go nie znalazł. W ciągu paru miesięcy wszelki ślad by po nim zaginął. Jedno było pewne, jego klient musi odpowiedzieć na wiele pytań.

W domu czekało na niego tyle nagranych wiadomości, że w sekretarce automatycznej skończyła się taśma. Światelko sygnalizujące, że ktoś dzwoni, migało czerwienią bez przerwy. Uznał, że najrozsądniej będzie udawać, że tego nie widzi. Wyjął z gniazdka wtyczkę telefonu, pogasił światła i spróbował zasnąć.

To nie było takie proste.

Przed Kate mógł być taki pewny siebie. Ale kogo chciał oszukać? Angażowanie się w tę sprawę na własną rękę, nie informując nikogo w firmie, to zawodowe samobójstwo. No i co z tego, że by ich poinformował? Wiedział, jaka byłaby odpowiedź. Jego współpracownicy woleliby sobie rękę uciąć, niż mieć Luthera Whitneya za klienta.

Ale on jest prawnikiem, a Luther potrzebował obrońcy. Ważne sprawy rzadko kiedy są proste, lecz właśnie dlatego tak ciężko walczył, żeby odróżnić czarne od białego. Dobrze. Źle. Słusznie. Niesłusznie. To nie takie łatwe dla prawnika, którego stale uczą szukać najróżniejszych odcieni szarości. Być adwokatem każdej sprawy, opowiadać się po tej stronie, po której jest klient aktualnie płacący rachunek. Umiejętność znalezienia argumentów na rzecz każdego poglądu, każdej strony to siła, zaleta, a jeżeli jej nie masz, jesteś stracony.

Każdą sprawę można rozłożyć na czynniki pierwsze, trzeba tylko czasu. Prawnicy są z tego znani. No, ale on podjął decyzję. To proste. Stary przyjaciel walczy o życie i prosi Jacka o pomoc. Dla Jacka nie ma znaczenia, że jego klient nagle stawia opór. Posażni w sprawach kryminalnych nie należą do szczególnie chętnych do współpracy z obrońcą. Luther prosił o pomoc i dostanie ją. W tej sprawie nie ma żadnych szarości. I nie ma odwrotu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dan Kirksen otworzył „Washington Post” i podniósł szklanę z sokiem pomarańczowym. Nie doniósł jej do ust. Gavinowi udało się wysmażyć artykuł o sprawie Sullivana, w którym jedną z sensacji stanowiła wiadomość, że Jack Graham, nowo przyjęty wspólnik firmy Patton, Shaw & Lord, jest obrońcą podejrzanego. Kirksen natychmiast zadzwonił do domu Jacka. Nikt nie podniósł słuchawki. Ubrał się, wezwał samochód i o ósmej rano wszedł do holu firmy. Minął stary gabinet Jacka, gdzie wciąż piętrzyły się pudła i rzeczy osobiste. Nowa kwatery Jacka mieściła się w końcu korytarza, za biurem Lorda. Dwadzieścia na dwadzieścia stóp śliczności, barek, antyki, z okna widoczna panorama miasta. Przyjemniejsze niż moje, pomyślał Kirksen i skrzywił się.

Obrotowy fotel ustawiony tyłem do wejścia. Kirksen nie zadał sobie trudu, żeby zapukać. Wmaszerował i rzucił gazetę na biurko.

Jack okręcił się z wolna. Rzucił okiem na gazetę.

- No, przynajmniej nie przekręcili nazwy firmy. Świetna reklama. To może nam przysporzyć grubych klientów.

Kirksen usiadł, nie odrywając wzroku od Jacka. Mówił wolno i starannie, jakby do dziecka.

- Czyś ty postradał zmysły? Nie zajmujemy się procesami kryminalnymi. Ani nawet cywilnymi.

- No cóż. To nie do końca prawda. Nie zajmowaliśmy się, ale teraz zajmujemy. - Jack z uśmiechem patrzył Kirksenowi w oczy. Moje cztery miliony przeciwko twoim sześciuset tysiącom, koleś. Więc spadaj, kutasie.

- Jack, może niezupełnie zrozumiałeś zasady postępowania w tej firmie przy podejmowaniu się nowych spraw. Poproszę moją sekretarkę, która zaopatrzy cię w odpowiednie regulaminy. Tymczasem ufam, że podejmiesz niezbędne kroki, żeby niezwłocznie wycofać siebie i naszą firmę z tej sprawy. Dziękuję.

Z pogardliwą miną Kirksen wstał, żeby wyjść. Jack wstał także.

- Posłuchaj, Dan, podjąłem się tej sprawy, zamierzam ją prowadzić i nie obchodzi mnie, co ty albo firma macie na ten temat do powiedzenia. I zamknij drzwi, wychodząc. - Kirksen powoli odwrócił się i spojrzał ciężko na Jacka swoimi brązowymi oczami.

- Jack, nie przeciągaj struny. Jestem współnikiem zarządzającym w tej firmie.

- Wiem, kim jesteś, Dan. Więc zarządzaj i zamknij drzwi z tamtej strony.

Bez słowa Kirksen okręcił się na pięcie i wyszedł, zamykając drzwi.

Dudnienie w głowie mu wreszcie ustało. Wrócił do pracy. Właśnie kończył dokumenty. Chciał je wysłać, zanim ktokolwiek mu przeszkodzi. Wydrukował pisma, podpisał je i sam wezwał gońca. Skończywszy, usiadł w fotelu. Była dziewiąta. Musi już ruszać, ma się spotkać z Lutherem o dziesiątej. Pod czaszką aż kipiały pytania do klienta. Potem przypomniał sobie tamtą noc. Tę zimną noc na ławce. Spojrzenie Luthera. Pytania pytaniami, ale czy Jack da radę znieść odpowiedzi?

Według konstytucji stanu Wirginia i obowiązującego w tym stanie kodeksu postępowania karnego strona oskarżająca ma obowiązek ujawnić obrońcy wszystkie dowody przemawiające na korzyść podejrzanego. Zaniedbanie tego stanowi najlepszy sposób gwałtownego zwichnięcia kariery oskarżyciela publicznego, nie mówiąc już o tym, że kończy się to odrzuceniem wyroku skazującego przez drugą instancję i uwolnieniem sprawcy.

Te właśnie przepisy powodowały u Seta Franka poważny ból głowy.

Siedział w swoim gabinecie i myślał o więźniu, który zajmował celę w tym samym budynku. Jego spokój i niegroźna prezencja nie niepokoiły Franka. Niektórzy najgorsi przestępcy, których aresztował, wyglądali na członków chóru kościelnego, a potrafili rozłupać człowiekowi czaszkę ot tak, dla kawału. Gorelick wykonuje dobrą robotę, metodycznie gromadząc wątki, które splecione razem przed ławą przysięgłych zawiązą się w ładną pętelkę na Luthera Whitneya. To także Franka niepokoiło.

Niepokoił się różnymi drobiazgami, które do tej misternej konstrukcji nie pasowały. Rany. Dwa rodzaje broni. Pocisk wydłubany ze ściany. Pomieszczenie wylizane do czysta jak sala operacyjna. Fakt, że facet poleciał na Barbados, a potem wrócił. Luther Whitney to zawodowiec. Frank przez ostatnie cztery dni studiował wszystko, co znalazł na temat Luthera Francisca Whitneya. Facet umknął po przestępstwie, w którym obłowił się niewiarygodnie i które gdyby nie jedno potknięcie, stałoby się zbrodnią doskonałą. Milionowy łup, żadnych śladów

dla glin. Siedzi sobie spokojnie za granicą i, dureń, wraca. Zawodowcy tak nie robią. Frank rozumiałby, gdyby wrócił z powodu córki, ale Frank sprawdził w liniach lotniczych. Luther Whitney, podróżując pod przybranym nazwiskiem, wrócił do Stanów Zjednoczonych na długo przedtem, nim Frank wciągnął do współpracy Kate.

Poza tym czy miał uwierzyć w to, że Luther Whitney miał jakikolwiek powód, żeby dokonywać badania ginekologicznego na zwłokach Christine Sullivan? No i już zupełnie na koniec ktoś próbował faceta zastrzelić. Była to jedna z tych spraw, kiedy Frank miał więcej pytań po dokonaniu aresztowania podejrzanego niż wcześniej.

Potańczał oczy i zaczął macać się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Stadium gumy do żucia miał już dawno za sobą. Spróbuje znowu w przyszłym roku. Podniósł wzrok i zobaczył Billa Burtona.

- Rozumiesz, Seth, nie mogę niczego udowodnić, ale po prostu mówię ci, co wiem na ten temat.

- I jesteś pewien, że prezydent powiedział Sullivanowi?

Burton skinął głową, bawiąc się filiżanką na biurku Franka.

- Właśnie wracam z rozmowy z nim. Chyba powinienem był go uprzedzić, żeby trzymał język za zębami. Przepraszam cię, Seth.

- Przecież to prezydent, do cholery. Nie możesz chyba rozkazywać prezydentowi?

Burton wzruszył ramionami.

- Więc co o tym sądzisz?

- To mi pasuje. I nie zostawię tego tak, żebyś wiedział. Jeśli Sullivan się za tym kryje, dopadnę i jego, nie interesuje mnie, jakie ma powody. Ten strzał mógł trafić kogoś innego.

- No, jak znam Sullivana, to pewnie nie dowiesz się wiele. Strzelec jest już przypuszczalnie na jakiejś wyspie na Pacyfiku ze zmienioną twarzą i setką ludzi, która przysięgnie, że w życiu nie podróżował do Stanów.

Frank skończył coś zapisywać w swoim notatniku. Burton mu się uważnie przyglądał.

- Wyciągnąłeś coś z Whitneya?

- A tam. Jego prawnik kazał mu się zamknąć.

- A kto to taki? - zapytał od niechcienia Burton.

- Jack Graham. Kiedyś był obrońcą z urzędu. Teraz to gruba ryba, wspólnik w jakiejś luksusowej kancelarii prawnej. Jest teraz u Whitneya.

- Dobry jest?

Frank zrobił trójkąt ze słomki do napojów.

- Wie, co robi.

Burton wstał, zabierając się do wyjścia.

- Posiedzenie w sprawie formalnego postawienia w stan oskarżenia jutro o dziesiątej, Bill.

- Bierzesz ze sobą Whitneya?

- Tak. Przyjdziesz?

Burton zatkał sobie uszy.

- Nie chcę nic o tym słyszeć.

- Jak to?

- Nie chcę, żeby cokolwiek przeciekło do Sullivana.

- Myślisz, że mogą znów spróbować?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, a i ty też nie.

Frank popatrzył na niego z natężeniem.

- Pilnuj naszego chłopaka, Seth. Ma randkę w celi śmierci w Greensville.

Frank siedział przy biurku przez dłuższą chwilę. To, co powiedział Burton, nie było pozbawione sensu. Mogą próbować jeszcze raz. Podniósł słuchawkę.

Jack szedł korytarzem do automatu z kawą. Przed nim kroczył potężny mężczyzna, w nienagannie skrojonym garniturze, o zręcznych ruchach. Mężczyzna odwrócił się dokładnie w momencie, kiedy Jack go mijał. Zderzyli się.

- Przepraszam.

Jack rozcierał sobie ramię, którym uderzył się o broń w kaburze.

- Nie szkodzi.

- Pan się nazywa Jack Graham, prawda?

- A kto pyta? - Jack zmierzył faceta wzrokiem. Ma broń, więc najwidoczniej nie reporter. Raczej glina. Sposób trzymania rąk, palce gotowe chwycić za broń w ułamku sekundy. Oczy, które sprawdzają najdrobniejszy szczegół, ale tak, żeby nie zwracać uwagi.

- Bill Burton, Secret Service.

Uścisnęli sobie ręce.

- Jestem kimś w rodzaju prezydenckiej wtyczki.

Jack skupił wzrok na rysach Burтона.

- Ach, tak. Konferencja prasowa. No cóż, pański szef jest pewnie dziś zadowolony.

- Byłby, gdyby nie bałagan w całej reszcie świata. A co do pańskiego podopiecznego, to według mnie, dopóki sąd go nie skaże, jest niewinny.

- Coś takiego. Chce być pan moim rzecznikiem?

Burton uśmiechnął się.

- Nie przejmuj się pan. Miło było porozmawiać.

- Mnie też.

Frank odwiesił słuchawkę. Właśnie ukończył uzgadnianie wszystkich środków ostrożności, jakie uznał za konieczne podczas transportu Luthera. Tym razem był pewien, że przecieku nie będzie.

W skrzynce telefonicznej zdalnie sterowany magnetofon przewinął taśmę do początku i był gotów do nowych nagrań.

Jack postawił dwie kawy na stoliku i popatrzył na Luthera. Usiadł i zajrzał do swojego pustego notatnika.

- Luther, jeśli nie zaczniesz mówić, będę musiał działać na własną rękę.

Luther łyknął mocnej kawy, wyjrzał przez zakratowane okno na samotny, bezlistny dąb rosnący przed komendą. Sypał gęsty, mokry śnieg. Rtęć w termometrach opadała i na ulicach panował nieopisany chaos.

- A co tu mówić, Jack? Pójdź na układ z oskarżeniem, oszczędźcie wszystkim zamieszania z procesem i miejmy to z głowy.

- Zdaje się, że nie bardzo rozumiesz, Luther. Ich warunki są następujące. Chcą cię przywiązać pasami do fotela, założyć do ramienia kroplówkę, wpompować w ciebie troszkę paskudnej trucizny i udawać, że to eksperyment laboratoryjny. Albo, zdaje się, że w stanie Wirginia dają ci wybór i możesz zdecydować się na spalenie mózgu na krześle elektrycznym. Taki proponują układ.

Jack wstał i wyjrzał przez okno. Przez głowę przeleciał mu błyskawicznie obraz błędnego wieczoru przy wesoło płonącym kominku w przestronnym domu, z dużym ogrodem, po którym biegają małe Jacki i Jennifer. Przelknął z trudem, otrząsnął się i wrócił do Luthera.

- Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę. - Luther popatrzył Jackowi w oczy, po raz pierwszy.

- Luther, czy mógłbyś, z łaski swojej, powiedzieć mi, co się stało? Może byłeś w tym domu, może

wyczyściłeś ten sejf, ale nigdy, przenigdy nie uwierzę, że masz cokolwiek wspólnego ze śmiercią tej kobiety. Znam cię, Luther.

Luther uśmiechnął się.

- Czyżby, Jack? To dobrze, może powiesz mi, kim jestem ostatnio.

Jack wrzucił notatnik do neseseru i zatrzasnął go.

- Zamierzam wnosić o uniewinnienie. Może coś ci się odmieni do tego czasu. - Przerwał i dodał łagodnie: - Mam nadzieję, że tak. - Jack poczuł na ramieniu rękę Luthera i odwrócił się.

- Jack. - Przełknął z trudem, zdawało mu się, że język ma wielki jak pięść. - Gdybym mógł ci powiedzieć, to powiedziałbym. Ale z tego nie wyniknęłoby nic dobrego dla ciebie ani dla Kate, ani dla kogokolwiek. Przykro mi.

- Kate? A co ma do tego Kate?

- Do zobaczenia, Jack. - Luther odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno.

Jack popatrzył na przyjaciela, pokręcił głową i zastukał po strażnika.

Śnieg zmienił się z grubych, wirujących płatków w grudki lodu, które uderzając w ogromne szyby, wydawały grzechot, jakby ktoś rzucał garściami żwiru. Kirksen nie zważał na pogodę, patrzył prosto na Lorda. Muszka współnika zarządzającego przekrzywiła się nieco, zobaczył odbicie w szybie i ze złością ją poprawił. Wysokie czoło zaczerwieniło mu się z gniewu i oburzenia. Ten gówniarz dostanie za swoje. Nikt nigdy tak się do niego nie odezwał.

Lord przyglądał się ciemnym bryłom tworzącym pejzaż miasta. W prawym ręku żarzyło się cygaro. Zdjął marynarkę i ogromnym brzuszyskiem dotykał okna. Bliźniacze czerwone paski szelek kontrastowały z bielą koszuli z monogramem. Z zaciekawieniem przyglądał się ciemnej postaci za oknem, rozpaczliwie usiłującej zatrzymać jakąś taksówkę.

- On sabotuje związki naszej firmy, twoje związki z Walterem Sullivanem. Wyobraź sobie, co Walter musiał sobie pomyśleć, gdy przeczytał dziś rano gazetę. Jego radca prawny jako adwokat tego człowieka. O mój Boże!

Lord słuchał jednym uchem. Nie miał wiadomości od Sullivana już od kilku dni. Telefony do jego biura i do domu pozostały bez odpowiedzi. Jakby nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Niepodobne do starego przyjaciela, do tej pory utrzymywał stałe kontakty z tym wąskim gronem, do którego Lord od dawna się zaliczał.

- Sandy, ja proponuję, żebyśmy podjęli przeciwko niemu natychmiastowe działania. Nie można tego tak zostawić. To byłby straszny precedens. Nie obchodzi mnie, że jego klientem jest Baldwin. Do cholery, Baldwin to znajomy Waltera. Musi być tak samo wkurzony tą całą pożałowania godną sytuacją. Od razu możemy zwołać posiedzenie komitetu zarządzającego. I myślę, że szybko dojdziemy do konkluzji.

Lord podniósł wreszcie rękę i uciął wynurzenia Kirksena.

- Sam się tym zajmę.

- Ale, Sandy, jako współnik zarządzający uważam...

Lord odwrócił się i popatrzył na niego. Czerwone oczka umiejscowione po obu stronach bulwiastego nosa przeszły na wylot szczupłą sylwetkę.

- Powiedziałem, że się tym zajmę.

Odwrócił się z powrotem do okna. Zraniona duma Kirksena nie obchodziła go nic a nic. Martwił się tylko faktem, że ktoś próbował zabić człowieka podejrzanego o zamordowanie Christine Sullivan. I że nikt nie może skontaktować się z Walterem Sullivanem.

Jack zaparkował samochód, popatrzył na przeciwległy krawężnik i zamknął oczy. Nie pomogło, znajoma tablica rejestracyjna nie znikła. Wyskoczył z auta i przemknął się z trudem na drugą stronę ruchliwej ulicy.

Włożył klucz do zamka, wziął głęboki wdech i nacisnął klamkę.

Siedziała na krzeselku koło telewizora. Krótka czarna spódnica pasowała do czarnych butów na wysokim obcasie i siatkowych czarnych pończoch. Biała bluzka była rozpięta pod szyją, ukazując szmaragdowy naszyjnik, który rzucał błyski na cały pokój. Sobolowe futro do kostek starannie ułożyła na prześcieradle przykrywającym jego sfatygowaną kanapę. Postukiwała paznokciami w telewizor. Patrzyła na niego w milczeniu. Rubinowe wydatne wargi zacisnęła w prostą poziomą linię.

- Cześć, Jenn.

- Chyba byłeś bardzo zajęty przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, Jack. - Nie uśmiechnęła się, jej paznokcie postukiwały bez przerwy.

- Sama wiesz, takie tempo.

Zdjął płaszcz, rozwiązał krawat i poszedł do kuchni po piwo. Wrócił i usiadł naprzeciwko niej na kanapie.

- Fantastycznie wyglądasz, Jenn. Dostałem dziś nową robotę.

Sięgnęła do swojej torby i rzuciła mu „Washington Post”.

- Wiem - odparła. Jack popatrzył na wielkie litery tytułu. - Firma ci na to nie pozwoli.

- Trudno. Już postanowiłem.

- Wiesz, co mam na myśli. Co, na litość boską, cię opętało?

- Jenn, znam tego gościa, wystarczy? Znam go, to mój przyjaciel. Nie wierzę, że zabił tę kobietę, i będę go bronił. Na tym polega zawód prawnika.

Pochyliła się ku niemu.

- Chodzi o Waltera Sullivana, Jack. Pomyśl o tym.

- Wiem, że o niego chodzi, Jenn. No i co? Luther Whitney nie zasługuje na dobrego obrońcę, bo ktoś powiedział, że zabił żonę Waltera Sullivana? Przepraszam bardzo, ale gdzie tak jest napisane?

- Walter Sullivan to twój klient.

- A Luther Whitney to mój przyjaciel i znam go znacznie dłużej niż Waltera Sullivana.

- Jack, człowiek, którego chcesz bronić, to zwykły kryminalista. Pół życia spędził za kratkami.

- Przez ponad dwadzieścia lat nie miał żadnego wyroku.

- To zatwardziały przestępca.

- Ale nigdy nie miał nic wspólnego z morderstwem.

- Jack, w tym mieście jest więcej adwokatów niż przestępców. Dlaczego nie może się tym zająć ktoś inny?

Jack popatrzył na swoje piwo.

- Napijesz się?

- Odpowiedz na pytanie.

Wstał i rzucił butelką piwa w ścianę.

- Bo mnie o to poprosił, do jasnej cholery.

Jenn popatrzyła na niego, przez twarz przemknął jej grymas strachu, kiedy odłamki szkła spadały na podłogę. Podniosła futro, nałożyła je.

- Popelniasz poważny błąd, ale mam nadzieję, że wrócisz do zdrowych zmysłów, zanim dojdzie do jakichś nieodwracalnych szkód. Mój ojciec mało nie dostał zawału, kiedy o tym przeczytał.

Jack położył jej rękę na ramieniu, odwrócił ją ku sobie i powiedział: - Jenn, ja to muszę zrobić. Myślałem, że będziesz mnie w tym wspierać.

- Jack, przestań wreszcie żłopać to piwo i zastanów się, co masz zamiar zrobić z resztą życia.

Drzwi się za nią zamknęły, a Jack się o nie oparł i tarł sobie czoło tak mocno, że omal nie zaczęła mu schodzić skóra pod palcami.

Przez brudne okno popatrzył, jak tablica rejestracyjna niknie w odmętach śniegu. Usiadł, wpatrując się w tytuł w gazecie.

Luther chce uniknąć procesu, chce iść na układ ze stroną oskarżającą, ale tu żaden układ nie wchodzi w grę. Wszyscy chcą procesu. Wiadomości telewizyjne zrobiły wnikliwą analizę znanych faktów, setki milionów ludzi widziały zdjęcie Luthera. Biura badania opinii publicznej przeprowadzają sondaże na temat winy czy niewinności Luthera. Wypada w nich kiepsko. A Gorelick się oblizuje na myśl, że ta sprawa wywinduje go w ekspresowym tempie na stanowisko prokuratora generalnego. A w stanie Wirginia to stanowisko stanowi często odskocznnię do urzędu gubernatorskiego.

Niski, łysiejący, o tubalnym głosie Gorelick jest niebezpieczny jak atakujący grzechotnik. Uśmiechał się do Jacka podczas ich krótkiego spotkania. Uśmiechał! Mały, protekcyjny skurwiel. Gorelick należy do tych prawników procesowych, którzy potrafią zatruć swojemu przeciwnikowi życie. Brudne sztuczki, wątpliwa etyka zawodowa, uśmiech w oczy, wielka przyjaźń i czekanie na okazję, żeby ci wbić nóż w plecy. Taki jest George Gorelick. I nie cofnie się przed niczym, gra idzie o wielką stawkę, Jack był o tym przekonany.

A Luther milczy. Nadal się boi. I co ma to wspólnego z Kate? Nie tu się nie zgadza. Jack ma wejść jutro na salę rozpraw i wnosić o uniewinnienie, a nie ma na to żadnych dowodów. Na szczęście to winę trzeba udowodnić, to robota dla oskarżyciela publicznego. Problem polega na tym, że ten dowodów ma aż nadto. Jack uszczknie z tego to i owo, ale za klienta ma recydywistę, czego nie zmienia fakt, że przez ostatnie dwadzieścia lat konto Luthera było czyste. To ich nie będzie obchodziło. Bo niby dlaczego by miało? Ten facet zapewnia doskonale zakończenie tej tragicznej historii. Bohater filmu „Do trzech razy sztuka”, w roli głównej Luther Whitney.

Rzucił gazetą przez pokój, posprzątał potłuczone szkło i rozlane piwo. Prawie żałował, że Ransom Baldwin nie miał tego zawału. Może Jennifer nauczyłaby się, że życie nie zawsze układa się według planów, czasami nawet zupełnie na opak. I że właściwie wcale nie powinno. Wcale nie prosił się o ten cały pasztet. Potarł się po karku, poszedł do sypialni i przebrał w dres.

Do YMCA miał dziesięć minut drogi. O dziwo znalazł miejsce do parkowania tuż przy wejściu. Kierowca czarnego wozu, który jechał za nim, nie miał tyle szczęścia. Musiał kilka razy objechać gmach, zanim zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy.

Kierowca przetarł okno po stronie pasażera i obserwował wejście do budynku. Potem zdecydował się, wyszedł z samochodu i przebiegł na drugą stronę. Rozejrzał się, rzucił okiem na błyszczącego lexusa i powoli wszedł do środka.

Trzy sety później Jack ociekał potem. Usiadł na ławce, a kilku nastolatków nadal biegało tam i z powrotem po korcie z niewyczerpaną energią młodości. Jack jęknął, gdy jeden z czarnych chudzielców, ubrany w przydługie szorty, podkoszulek i adidas numer co najmniej czterdzieści sześć, rzucił do niego piłkę. Odrzucił ją z rezygnacją.

- Przepraszam chłopaki, to nie dla mnie.

- Hej, człowieku, zmęczony?

- Nie, tylko stary.

Jack wstał, roztarł zbolące uda i ruszył do wyjścia. W drzwiach budynku poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

Jack prowadził. Obejrzał się na swojego nowego pasażera.

Seth Frank rozglądał się po wnętrzu wozu.

- To podobno świetne wozy. Ile pana kosztował, jeśli wolno spytać?
- Czterdzieści dziewięć pięćset, ze wszystkim.
- O cholera. To grubo powyżej moich rocznych zarobków.
- Moich też, do niedawna.
- Obrońca z urzędu nie zarabia wiele, jak słyszałem.
- Dobrze pan słyszał.

Zamilkli. Frank wiedział, że łamie więcej reguł, niż ich w ogóle spisano, Jack też o tym wiedział. Wreszcie Jack popatrzył na niego.

- Panie poruczniku, zakładam, że nie przyszedł pan do mnie, żeby pogadać o samochodach. Czy potrzebuje pan czegoś ode mnie?

- Gorelick ma od cholery dowodów przeciwko pańskiemu klientowi.
- Może i tak. Może nie. Nie poddaję się walkowerem, jeśli o to panu chodzi.
- Wnosi pan o uniewinnienie?

- Nie, zamierzam go zawieźć prosto do celi śmierci i osobiście wstrzyknąć mu to świństwo. Proszę o kolejne pytanie.

Frank uśmiechnął się.

- W porządku, należało mi się. Myślę, że pan i ja musimy porozmawiać. Pewne rzeczy w tej sprawie nie pasują do siebie. Może to pomóc albo zaszkodzić pańskiemu klientowi, nie wiem. Chce pan posłuchać?

- Okay, ale proszę nie sądzić, że ja zrewanżuję się moimi informacjami.
- Znam lokal, gdzie pieczeń rzymska rozplywa się w ustach, a i kawa jest niegorsza.
- Czy to jakieś miejsce na uboczu? Nie wiem, jak się będzie pan czuł w mundurze.

Frank popatrzył na niego i wyszczerzył zęby.

- Proszę o kolejne pytanie.

Jack zdołał się uśmiechnąć, a następnie pojechał do domu się przebrać.

Jack zamówił następną filiżankę kawy, a Frank jeszcze nie skończył pierwszej. Pieczeń rzymska była rewelacyjna, a lokal położony tak bardzo na uboczu, że Jack właściwie nie wiedział, gdzie są. Jakaś wiejska okolica południowego Marylandu, jak sądził. Rozejrzał się po urządzonym na ludowo wnętrzu, było prawie puste. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Odwrócił się z powrotem do swojego towarzysza.

Frank popatrzył na niego z pewnym rozbawieniem.

- Zdaje się, że jakiś czas temu coś was łączyło z Kate Whitney?

- Powiedziała to panu?

- Ależ skąd. Była na komendzie zaraz po tym, jak pan wyszedł dziś rano. Ojciec nie chciał się z nią widzieć. Rozmawiałem z nią przez chwilę. Powiedziałem jej, że przykro mi, że tak wyszło.

Coś błysnęło w oku Franka, ale ciągnął:

- Nie powinienem był tego robić. Wykorzystywać jej, żeby się dobrać do skóry staremu. Nie robi się ludziom takich rzeczy.

- Ale przyniosło rezultat. Cel uświęca środki.

- Racja. Ale mówmy o panu. Nie jestem jeszcze taki stary, żeby nie dostrzec błysku w oczach kobiety.

Kelnerka przyniosła Jackowi kawę. Pociągnął łyk. Obaj mężczyźni wyglądali przez okno na zasypany śniegiem świat.

- Niech pan posłucha, Jack. Wiem, że przeciwko Lutherowi Whitneyowi prokurator ma jedynie poszlaki. Ale mnóstwo ludzi trafiło za kratki w wyniku procesupozślakowego.

- Nie będę się z tym spierał.

- Prawda jest taka, że jest jeszcze mnóstwo gówna, które nie pasuje do niczego. Kompletnie bez sensu.

- Zamieniam się w słuch.

Frank rozejrzał się po pokoju, a potem znów popatrzył na Jacka.

- Wiem, że ryzykuję, robiąc to, ale nie po to zostałem gliniarzem, żeby wysyłać ludzi za kratki za zbrodnie, których nie popełnili. Wystarczy, że wielu winnych chodzi na wolności.

- A więc co nie pasuje?

- Sam pan zobaczy w raportach, które dostanie. Jestem przekonany, że Luther Whitney włamał się do tego domu i splądrował sejf, ale przypuszczam, że nie zabił Christine Sullivan. Ale...

- Ale myśli pan, poruczniku, że widział, kto to zrobił.

Frank odchylił się na oparcie krzesła i wpatrzył się w Jacka.

- Kiedy to panu przyszło do głowy?

- Niedawno. Mamy jakieś pomysły?

- Myślę, że pański klient został przyłapaný z ręką w pudełku ze słodyczami i musiał schować się w tym pudełku.

Jack zrobił zdezorientowaną minę. Frank prędko wyjaśnił sprawę sejfu z lustrzanymi drzwiami, opowiedział o dowodach rzeczowych i swoich wątpliwościach.

- Więc Luther siedzi w skarbcu i cały czas obserwuje kogoś z panią Sullivan. Potem coś się stało, ona ginie. A Luther widzi, jak ktoś usuwa wszelkie ślady.

- Tak to sobie wyobrażam.

- I nie zgłasza się na policję, bo wsypałby się sam.

- To wiele wyjaśnia.

- Ale nadal nie wiemy, kto to był.

- Pierwszy na liście podejrzanych byłby mąż, gdyby nie...

Jack pomyślał o Walterze Sullivanie.

- Jasne. A kogo innego byśmy się spodziewali na tej liście?

- Kogoś, z kim się umówiła na tę noc.

- Z tego, co mi pan mówił o życiu seksualnym ofiary, to nam zawęża krąg podejrzanych do jakichś paru tysięcy.

- Nie mówiłem, że to będzie łatwe.

- Cóż, coś mi mówi, że to nie był byle kto.

- Dlaczego?

Jack przelknął łyk kawy i popatrzył na swój kawałek szarlotki.

- Niech pan posłucha, poruczniku...

- Proszę mi mówić Seth.

- Okay, Seth, poruszam się tu na wąskiej krawędzi. Wiem, gdzie pracujesz i doceniam informacje, których mi udzieliłeś. Ale...

- Ale nie jesteś absolutnie pewien, że możesz mi zaufać, i w żadnym razie nie chcesz powiedzieć nic, co mogłoby zaszkodzić twojemu klientowi. Zgadłem?

- Coś w tym rodzaju.

- Jasna sprawa.

Zapłacili rachunek i wyszli. W drodze powrotnej znów tak sypało, że wycieraczki ledwie nadążały z odgarnianiem śniegu.

Jack spojrzął na Franka, który patrzył prosto przed siebie zatopiony w myślach albo może po prostu czekał, aż Jack zacznie.

- W porządku. Zaryzykuję. Nie mam wiele do stracenia, prawda?

Frank nadal patrzył prosto przed siebie.

- Ja przynajmniej wiele nie widzę.

- Przypuśćmy na chwilę, że Luther był w tym domu i widział, jak zamordowano tę kobietę.

Frank obejrzał się na Jacka, na twarzy odmalowała mu się ulga.

- Okay.

- Trzeba znać Luthera, jego sposób myślenia, żeby zrozumieć, jak mógł zareagować na coś takiego. To jest człowiek o stalowych nerwach. Wiem także, chociaż może tego nie widać z jego akt, że to człowiek, któremu można absolutnie ufać, na którym można polegać jak na nikim innym. Gdybym miał dzieci i miał je komuś powierzyć, to powierzyłbym Lutherowi, ponieważ wiedziałbym, że pod jego okiem absolutnie nic złego by im się nie mogło stać. On jest niesłychanie kompetentny. Widzi wszystko. Nigdy nie traci panowania nad sytuacją.

- Z wyjątkiem sytuacji, w której córka wabi go w pułapkę.

- Owszem, z tym wyjątkiem. Nie spodziewał się tego. Nigdy w życiu.

- Znam ten rodzaj facetów, Jack. Niektórzy z tych, których zapuszkowałem, byli prawdziwymi ludźmi honoru, poza jedną drobną wadą, że mieli zwyczaj przywłaszczać sobie mienie innych.

- Otóż to. Jeśli Luther widział, że ktoś morduje tę kobietę, to jestem pewien, że znalazłby sposób, aby go doprowadzić w ręce policji. Nie darowałby tego. Nigdy. - Jack wpatrywał się ponuro w szybę przed sobą.

- Chyba że...?

Jack popatrzył na niego.

- Chyba że miałby jakiś cholernie ważny powód. Może znał tę osobę albo wiedział coś o niej.

- Myślisz, że może tu chodzić to kogoś takiego, że nikt by mu nie uwierzył, więc Luther doszedł do wniosku, że nie ma co próbować?

- Jest jeszcze coś, Seth. - Jack przerwał, skręcił za róg i podjechał pod budynek YMCA. - Nigdy nie widziałem, żeby Luther się czegoś bał. Aż do tej sprawy. On się boi. Właściwie to jest przerażony. Z niewiadomego powodu jest zrezygnowany i chce wziąć winę na siebie. Przecież, na litość boską, był już za granicą.

- I wrócił.

- Właśnie, i kompletnie nie mogę pojąć po co. Przy okazji, wiesz, kiedy to było?

Frank poszperał w notatniku.

- Dwudziestego trzeciego października.

- Co takiego się stało, do cholery, między morderstwem Christine Sullivan a dwudziestym trzecim października, że zmusiło go to do powrotu?

Frank bezradnie potrząsnął głową.

- To mogło być cokolwiek.

- Nie, to było coś konkretnego i jeśli się dowiemy co, może zdołamy rozplatać tę całą gmatwaninę.

Frank odłożył notatnik i w roztargnieniu pocierał ręką deskę rozdzielczą. Jack postawił wóz na parkingu i odchylił się w swoim fotelu.

- I boi się nie tylko o siebie. Z jakiegoś powodu boi się też o Kate.

Frank się zdziwił.

- Myślisz, że ktoś groził pannie Whitney?

Jack pokręcił głową.

- Nie, powiedziałaaby mi. Myślę, że ktoś dał jemu do zrozumienia, że albo trzyma język za zębami, albo...

- Myślisz, że to ci sami ludzie, którzy go chcieli sprzątnąć?

- Może. Nie wiem.

- Do cholery, to jeszcze gorszy bajzel, niż był dwa miesiące temu, kiedy myślałem, że większego bajzlu w życiu nie widziałem. Musisz zmusić Luthera do mówienia. Jeśli powie nam, kto załatwił Christine Sullivan, to ja będę wnioskował o wyrok w zawieszeniu w zamian za współpracę. Nie musiałby nic odsiedzieć. A Sullivan pewnie by mu pozwolił zatrzymać to, co gwizdnął, gdybyśmy przygwoździli tego typu.

- Będziesz wnioskował?

- Powiedzmy, że wcisnę to Gorelickowi do gardła. Wystarczy? - Frank wyciągnął do niego rękę. Jack ją uściskał.

- Wystarczy.

Frank wysiadł z samochodu, ale wetknął jeszcze z powrotem głowę.

- Jeśli o mnie chodzi, to dzisiaj się nie spotkaliśmy, a wszystko, co powiedziałaś, zatrzymuję dla siebie, bez wyjątków. Nawet za barierką dla świadków. Mówię poważnie.

- Dzięki, Seth.

Seth Frank powoli podszedł do swojego samochodu, a lexus ruszył ulicą, skręcił za róg i zniknął.

Zrozumiał dobrze, jakim typem człowieka jest Luther Whitney. Co, u licha, może tego rodzaju faceta tak śmiertelnie przestraszyć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Było wpół do ósmej rano, kiedy Jack podjechał na parking komendy policji w Middleton. Ranek był pogodny, ale mroźny. Wśród licznych, pokrytych śniegiem samochodów policyjnych stał czarny wóz z zimną maską, co powiedziało mu, że Seth Frank wstał dziś bardzo wcześnie.

Luther wyglądał dziś inaczej. Pomarańczowy więzienny drelich zastąpiony został przez brązowy garnitur i konserwatywny krawat w prążki zawiązany w elegancki węzeł. Ze starannie ostrzyżonymi, szpakowatymi włosami i pozostałością opalenizny z Barbadosu wyglądał na agenta ubezpieczeniowego albo starszego wspólnika kancelarii notarialnej. Niektórzy adwokaci ubierali klientów w cywilne ubranie dopiero na właściwy proces, by ława przysięgłych mogła zobaczyć, że oskarżony to wcale nie taki zły facet, po prostu ofiara nieporozumienia. Ale Jack zażyczył sobie garnitur od samego początku. To nie była tylko tania sztuczka, uważał, że Luther nie zasługuje na to, żeby paradować w neonowopomarańczowym przebraniu. Owszem, był przestępcą, ale nie z tych, do których nie można

podejść, bo biją albo gryzą. Takie typy powinny nosić pomarańczowy strój choćby po to, żeby się od nich trzymać z daleka.

Jack nawet nie musiał otwierać swojego nesesera. Tok postępowania podczas formalnego postawienia w stan oskarżenia był mu dobrze znany. Odczytane zostaną zarzuty, jakie stawia się podsądnemu. Sędzia zapyta Luthera, czy zrozumiał zarzuty, i wtedy wkroczy Jack ze swoim wnioskiem. Następnie sędziego będzie interesować, czy Luther rozumie, jakie konsekwencje prawne pociąga za sobą wniosek o uniewinnienie i czy Luther zadowolony jest ze swojego pełnomocnika. Jedyne problemy polegały na tym, że Jack miał niejasne przeczucie, że Luther mógł w obliczu sędziego kazać mu iść do diabła i przyznać się do winy.

Bywały takie precedensy. A kto wie? Ten cholerny sędzia mógłby to po prostu przyjąć. Ale sędzia niewątpliwie bardzo ściśle będzie się trzymał kodeksu postępowania karnego, bo w sprawie zagrożonej karą śmierci jakiegokolwiek uchybienie po drodze dawałoby podstawy do apelacji. A sprawy tej wagi ciągną się w sądach apelacyjnych latami. Jack musi po prostu ryzykować.

Przy odrobinie szczęścia cała procedura zajmie pięć minut. Zostanie ustalona data pierwszej rozprawy, na której dopiero zacznie się prawdziwa zabawa.

Ponieważ akt oskarżenia przeciwko Lutherowi został już sporządzony, Luther nie ma prawa do przesłuchań wstępnych. Co nie znaczy, że Jack wiele by na tym skorzystał, ale uzyskałby przynajmniej dostęp do materiałów oskarżyciela i mógłby dobrać się krzyżowym ogniem pytań do niektórych świadków oskarżenia, chociaż sędziowie zwykle starali się uniemożliwić obrońcy wykorzystanie rozprawy wstępnej do zastawienia sieci.

Mógłby również zrezygnować z udziału w posiedzeniu, ale uważał, że wszystko trzeba przeprowadzić porządnie. Zależało mu, żeby jego wniosek o uniewinnienie słyszany był głośno i wyraźnie. Potem zamierzał strzelić w Gorelicka wnioskiem o zmianę miejsca rozprawy i wynieść się z hrabstwa Middleton. Przy odrobinie szczęścia udałoby się wykopać Gorelicka, ku jego gorzkiemu rozczarowaniu, i dostać nowego prokuratora na jego miejsce. Potem trzeba zmusić Luthera do mówienia. Załatwić ochronę dla Kate. Luther wyśpiewa swoją historię i wówczas można by zawrzeć układ stulecia.

Jack popatrzył na Luthera.

- Dobrze wyglądasz - powiedział. Usta Luthera wygięły się bardziej w grymasie drwiny niż w uśmiechu. - Kate chciałaby się z tobą zobaczyć przed posiedzeniem.

Odpowiedź była błyskawiczna.

- Nie.

- Dlaczego? Mój Boże, Luther, chciałeś nawiązać z nią kontakt od zawsze, a teraz, kiedy ona wreszcie tego chce, odcinasz się na amen. Cholera jasna, czasem wcale cię nie rozumiem.

- Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

- Słuchaj, ona bardzo przeprasza za to, co zrobiła. Płakała całusieńki dzień. Luther, ona jest załamana, mówię ci.

Luther obrócił gwałtownie głowę.

- Myślisz, że jestem na nią wściekły?

Jack usiadł. Wreszcie udało mu się zwrócić uwagę Luthera. Powinien był spróbować wcześniej.

- Oczywiście, że tak. A dlaczego miałbyś nie chcieć się z nią widzieć.

Luther spuścił wzrok na drewniany blat stołu i pokręcił głową z niesmakiem.

- Powiedz jej, że się na nią nie gniewam. Postąpiła słusznie. Powiedz jej to.

- Dlaczego sam jej tego nie powiesz?

Luther gwałtownie wstał i obszedł stół. Zatrzymał się przed Jackiem.

- Tutaj jest pełno oczu i uszu, słyszysz? Rozumiesz mnie? Ktoś zobaczy ją tu ze mną, pomyśli, że ona wie coś, czego nie wie. A z tego nic dobrego nie wyniknie, uwierz mi.

- O kim mówisz?

Luther usiadł z powrotem.

- Po prostu przekaż jej to, co powiedziałem. Powiedz jej, że ją kocham, że zawsze kochałem i nigdy nie przestanę. Powiedz jej to, Jack. Nieważne jak.

- A więc myślisz, że ten ktoś mógłby też pomyśleć, że mnie powiedziałeś coś, nawet jeśli nic nie powiedziałeś?

- Mówiłem ci, żebyś nie brał tej sprawy, Jack, ale nie posłuchałeś.

Jack wzruszył ramionami, otworzył neseser i wyciągnął egzemplarz „Washington Post”.

- Popatrz na stronę tytułową.

Luther popatrzył. Nagle ze złością rzucił gazetą w ścianę.

- Pieprzony skurwiel! Pieprzony skurwiel!

Drzwi pomieszczenia otworzyły się gwałtownie i zajął tęgi strażnik, z jedną ręką na wyposażeniu służbowym. Jack gestem pokazał, że wszystko w porządku, i facet powoli się wycofał, nie odrywając wzroku od Luthera. Jack podniósł gazetę. Główny artykuł zawierał zdjęcie Luthera przed komendą policji. Tytuł tłustym drukiem, trzycalowymi literami, zarezerwowanymi dla wydarzeń najwyższej rangi: „Podejrzany o morderstwo żony Sullivana dziś zostanie postawiony w stan oskarżenia”. Jack przejrzał resztę strony. Kolejne ofiary niepokojów etnicznych w byłym Związku Radzieckim. Departament Obrony szykuje się do dalszych ataków na budżet. Oczy Jacka prześlizgnęły się, nie rejestrując, po zdjęciu prezydenta Alana Richmonda w otoczeniu dzieci w jakimś ośrodku pomocy dla ubogich rodzin w południowo-wschodniej części Dystryktu Kolumbii. To był ładny obrazek.

Uśmiechnięta twarz uderzyła Luthera prosto między oczy. Z biednym murzyńskim dzieckiem na rękę, żeby cały świat widział. Pieprzony, obłudny kutas. Pięść waliła Christine Sullivan raz za razem. Krew tryskała w górę. „Pieprzona dupa, pieprzona dziwka”. Ręce zaciskające się na szyi, gotowe udusić. Jej krew spada na jego głowę. Całuje dzieci i morduje kobiety.

- Luther? Luther? - Jack łagodnie położył mu rękę na ramieniu. Stary człowiek dygotał, jak źle wyregulowany silnik, jakby miał się rozlecieć na kawałki, nie mogąc dłużej utrzymać się w rozsypującej się powłoce. Przez jeden koszmarnymoment Jack zastanawiał się, czy Luther jednak nie zabił tej kobiety, skoro doznał takiego wstrząsu. Jego obawy rozproszyły się, gdy tylko Luther na niego spojrział. Spokój powrócił, oczy były czyste i skupione.

- Po prostu powiedz jej, co ci mówiłem, Jack. I miejmy to szybko z głowy.

Budynek sądu w Middleton był oczkiem w głowie hrabstwa. Zbudowany sto dziewięćdziesiąt pięć lat temu przetrwał Brytyjczyków w wojnie z 1812 roku, a także Jankesów i Konfederatów w wojnie secesyjnej. Kosztowna renowacja z 1947 roku tchnęła weń nowe życie i zacięni mieszkańcy miasta oczekiwali, że jeszcze ich prawniki będą go podziwiał, a nawet odwiedzać, miejmy nadzieję jedynie po to, by uregulować mandat za złe parkowanie lub wziąć odpis aktu małżeństwa.

Niegdyś stał samotnie na końcu dwupasmowej ulicy, która stanowiła główną arterię dzielnicy, obecnie sąsiadował z antykwariatami, restauracjami, targiem warzywnym, dużym pensjonatem i stacją obsługi - wszystkimi utrzymanymi w architektonicznej tradycji tej okolicy. W pobliżu tłoczyły się urzędy, w tym także biura najszacowniejszych prawników hrabstwa.

Zazwyczaj cichy, z wyjątkiem piątków będących dniami procesowymi, budynek sądu w Middleton był dzisiaj widownią scen, na których widok dawni ojcowie miasta bez wątpienia przewracali się w grobach. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że duchy Konfederatów z Południa i Unionistów z Północy wstały, by raz na zawsze ustalić ostateczny wynik rozgrywek.

Sześć wozów transmisyjnych z wielkimi literami nazw swoich stacji na białych balach stało dokładnie na wprost wejściowych schodów. Ich maszty nadawcze sterczały w niebo. Tłum napierał na ścianę strażników miejskich, wzmocnioną szeregami umundurowanych na niebiesko funkcjonariuszy policji stanowej Wirginii, którzy z zaciętymi minami patrzyli w milczeniu na masę dziennikarzy podtykających im pod nosy obiektywy, mikrofony i pióra.

Na szczęście, budynek miał boczne wejście, które w tej chwili otoczone było półkolem policjantów z tarczami, uzbrojonych dodatkowo w armatki wodne, tak iż nikt nie śmiał się nawet zbliżyć. Tu podjedzie furgonetka przewożąca Luthera. Niestety, budynek sądu nie ma wewnętrznego garażu. Ale i tak policja była przekonana, że wszystko kontrolą. Luther będzie odkryty zaledwie przez parę sekund.

Ulicę patrolowali funkcjonariusze z karabinami, omiatając wzrokiem wszystko od góry do dołu, szukając błysku metalu, otwartego okna, każdej podejrzaney rzeczy.

Jack wyrzwał przez małe okienko sali rozpraw, które wychodziło z góry na ulicę. Sala była wielka jak aula, miała rzeźbioną ławę dla sądu przysięgłych, wysoką na całe osiem stóp i długą na ponad piętnaście z jednego końca do drugiego. Samotny woźny sądowy siedział przy małym stoliku na wprost ławy, jak mały holownik przed ogromnym transatlantykiem.

Jack sprawdził godzinę, zerknął na tę demonstrację sił bezpieczeństwa, potem popatrzył na przedstawicieli środków masowego przekazu. Dziennikarze to albo najlepsi sojusznicy adwokata, albo jego zmory. Wszystko zależy od tego, co myślą o konkretnym obrońcy i o konkretnym przestępstwie. Dziennikarz może głośno proklamować swoją bezstronność i w najnowszym wydaniu gazety wydać wyrok na oskarżonego znacznie wcześniej niż sąd. Kobiety dziennikarki zwykle sprzyjały obrońcom oskarżonych o gwałt, jako że próbowały uniknąć wrazenia, że są uprzedzone z racji swojej płci. Z podobnych pobudek mężczyźni-dziennikarze traktowali ulgowo kobiety. Luther nie będzie miał takiego szczęścia. Recydywista, który morduje bogatą, młodą kobietę, oberwie ze wszystkich stron, niezależnie od płci pismaka.

Jack już miał z tuzin telefonów od różnych firm producenckich z Los Angeles, które chciały uzyskać wyłączność na historię Luthera, zanim ten w ogóle został postawiony w stan oskarżenia. Chcą mieć prawa do jego historii i zapłacą za to. Dobrze zapłacą. Może trzeba było się zgodzić? Powiedzieć im, okay, płacicie, jak się czegoś dowiem, to dam wam znać, bo teraz, kochani, guzik wiem. Cześć.

Wyrzwał na ulicę. Uzbrojeni strażnicy trochę go uspokoiili. Chociaż ostatnio też było pełno policji, a mimo to strzał padł. Teraz przynajmniej uważają. Widać, że nieźle kontrolują sytuację. Ale nie wzięli pod uwagę jednego. A to coś właśnie zbliżało się ulicą.

Jack odwrócił głowę, kiedy zauważył, jak armia reporterów jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki odwraca się w jedną stronę i rusza hurmem w kierunku kawalkady pojazdów. Jack myślał, że to musi być Walter Sullivan, dopóki nie zobaczył policyjnej eskorty na motocyklach, samochodów Secret Service i amerykańskiej flagi na limuzynie.

Armia, jaką przywiózł ze sobą ten człowiek, przewyższała liczebnością tę, jaka oczekiwała tu na powitanie Luthera Whitneya.

No, teraz przynajmniej nikt się nie odważy próbować, powiedział do siebie Jack. Tylko szaleniec by się na coś porywał.

Patrzył, jak Richmond wysiada z wozu. Za nim postępował agent, z którym kiedyś Jack rozmawiał - Burton. Tak się ten facet nazywa.

Ciężki, poważny facet. Oczami przeczesuje okolicę, jakby miał radar w głowie. Ręka o parę cali od prezydenta, gotowa pchnąć go na ziemię w ułameksekundy. Furgonetki Secret Service stanęły w poprzek ulicy. Jedna wjechała w alejkę z boku budynku sądu. Jack znów popatrzył na prezydenta. Natychmiast zorganizowano prowizoryczne podium i prezydent rozpoczął swoją małą konferencję prasową przy wtórze trzasku aparatów fotograficznych, a pół setki dorosłych ludzi z dyplomami studiów dziennikarskich przepychało się, próbując po trupach dotrzeć jak najbliżej. Paru zwykłych ludzi, najwidoczniej zdrowszych umysłowo, trzymało się z tyłu, niektórzy kamerami wideo rejestrowali ten szczególny moment.

Jack odwrócił się, woźny, czarny mężczyzna, jak bazaltowy posąg stał tuż za nim.

- Robię tu od dwudziestu siedmiu lat i nigdy ten facet tu się nie pojawił. A w tym roku jest już drugi raz. Wyobraź sobie.

Jack uśmiechnął się do niego.

- No cóż, gdyby twój kumpel zainwestował dziesięć milionów w twoją kampanię, to też byś się tym przejął.

- Masz przeciwko sobie same szychy.

- W porządku, dam sobie radę.

- Trzymaj się, chłopie. Na imię mam Samuel. Samuel Long.

- Jack Graham. Więc, co mi powiesz, Samuel? Potraktują tu sprawiedliwie mojego klienta?

- Gdybyś zadał mi to pytanie dwa-trzy lata temu, powiedziałbym tak, absolutnie. - Wyjrzał na tłum za oknem. - Dzisiaj powiem, nie wiem. I to nieważne, w jakim sądzie. Czy Sąd Najwyższy, czy kolegium do spraw wykroczeń. Inne czasy, człowieku. Jest kasetka wideo, na której banda glin wali leżącego pałami, a przysięgli mówią, że to nic takiego. Albo facet wali drugiego cegłą w głowę, a inny sąd twierdzi, że nie próbował go zabić. I nie chodzi tylko o sądy. Wszystko. Wszyscy. Cały ten cholerny świat tak się zmienia, że już nic nie wiadomo.

Obaj popatrzyli przez okno.

Otworzyły się drzwi sali rozpraw i weszła Kate. Jack obejrzał się instynktownie. Nie miała na sobie normalnego uniformu procesowego tylko czarną plisowaną spódnicę ściągniętą w tali wąskim paskiem i prostą bluzkę, zapiętą pod szyję. Włosy zaczesła do tyłu i rozpuściła na ramiona. Policzki zaróżowione od mrozu, płaszcz przerzuciła przez ramię.

Usiedli razem na miejscu przeznaczonym dla obrońcy. Samuel dyskretnie się ulotnił.

- Już prawie czas.

- Wiem.

- Posłuchaj, Kate, tak jak mówiłem ci przez telefon, to nie jest tak, że on cię nie chce znać, on się boi. Boi się o ciebie. Ten facet kocha cię nad życie.

- Jack, jeśli on nie zacznie mówić, to wiesz, co się stanie.

- Może, ale mam parę punktów zaczepienia. Oskarżenie nie ma takich murowanych dowodów, jak się wszystkim wydaje.

- Skąd wiesz.

- Zaufaj mi w tej sprawie. Widziałaś prezydenta?

- Jakżebym mogła przeoczyć. Dla mnie to dobrze. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy wchodziłam.

- Tak, przy nim wszyscy stają się tylko tłem.

- Jest już w środku?

- Zaraz będzie.

Kate otworzyła torebkę i wysuwała paczkę gumy do żucia. Jack odsunął jej trzęsące się palce i wyciągnął jej z paczki jedną drażetkę.

- Mogłabym z nim chociaż pogadać przez telefon?

- Zobaczę, co się da zrobić. Nie sądzę, żeby Frank robił z tym jakiś problem.

Siedzieli oboje i czekali. Dłoń Jacka wślizgnęła się na rękę Kate. Patrzyli na potężną ławę sędziowską, gdzie za kilka chwil wszystko się zacznie. Teraz po prostu czekali. Razem.

Biała furgonetka skręciła za róg, minęła półkole policjantów i zatrzymała się kilka stóp od bocznego wejścia. Seth Frank zatrzymał się dokładnie za furgonetką i wysiadł z krótkofalówką w ręku. Dwóch funkcjonariuszy wyszło z wozu i obserwowało teren. W porządku. Cały tłum kłębi się przed wejściem frontowym, gapiąc się na prezydenta. Dowodzący funkcjonariusz odwrócił się i skinął do drugiego mężczyzny w środku furgonu. Za kilka sekund, z rękami i nogami w kajdanach, pojawił się Luther Whitney, w ciemnym płaszczu na garniturze. Postawił stopy na ziemi i ruszył w stronę sądu, mając z przodu i z tyłu policjanta.

Wtedy właśnie tłum dotarł do narożnika budynku. Podążał w ślad za prezydentem, który kroczył chodnikiem w stronę swojej limuzyny. Kiedy mijiał narożnik gmachu sądu, podniósł wzrok. Jakby wyczuwając jego obecność, Luther, który szedł z oczami wbitymi w ziemię, też popatrzył przed siebie. Ich oczy spotkały się na jeden straszliwy moment. Słowa wyrwały się z warg Luthera, zanim zdążył sobie to uświadomić.

- Pieprzony skurwiel. - Powiedziane to było spokojnie, ale obaj funkcjonariusze coś usłyszeli. Patrzyli w stronę prezydenta, który przechodził zaledwie paręnaście metrów od nich. Byli zaskoczeni. A po chwili mieli już tylko jedno zmartwienie.

Kolana ugięły się pod Lutherem. Najpierw obaj policjanci myśleli, że specjalnie utrudnia im zadanie, ale zobaczyli krew spływającą strumyczkiem po twarzy. Jeden z nich zaklął głośno i chwycił Luthera za ramię. Drugi miał już pistolet w wyciągniętej ręce i celował w kierunku, skąd, jak mu się zdawało, padł strzał. Wydarzenia następnych paru minut większość obecnych zapamiętała jak przez mgłę. Odgłos strzału nie był wyraźnie słyszalny przez krzyki tłumu. Jednakże usłyszeli go agenci Secret Service. Burton powalił Richmonda na ziemię w ciągu sekundy. Dwudziestu ludzi z karabinkami automatycznymi utworzyło kokon wokół nich.

Seth Frank patrzył, jak furgonetka Secret Service wyjeżdża z bocznej uliczki i odcina rozhisteryzowany teraz tłum od prezydenta. Jeden z agentów wynurzył się ze środka z pistoletem maszynowym w ręku i przeglądał ulicę, rzucając urywane komendy do krótkofalówki.

Frank rzucił swoich ludzi do poszukiwań. Każdy cal kwadratowy ma być przeszukany, każde skrzyżowanie zablokowane, każdy budynek sprawdzony od piwnic po dach. Z chwilę przybędą pełne ciężarówki ludzi, ale Frank wiedział skądś, że to wszystko za późno.

Po sekundzie Frank był przy Lutherze. Z niedowierzaniem patrzył na krew wsiąkającą w śnieg, topniejący w szmaragdową kałużę, na której widok robiło się słabo. Wezwano karetkę, będzie za parę minut. Ale i tu Frank wiedział, że jest za późno. Twarz Luthera była już biała, oczy pozbawione wyrazu, palce mocno zaciśnięte. Luther Whitney miał dwa dodatkowe otwory w głowie, a jeden pocisk wywalil jeszcze dziurę w drzwiach furgonetki po tym, jak opuścił ciało Luthera. Ktoś tu chciał mieć całkowitą pewność.

Frank zamknął oczy, a po chwili rozejrzał się dookoła. Prezydenta już podniesiono i upychano pośpiesznie do limuzyny. Za parę sekund limuzyna i furgonetki znikły. Dziennikarze zaczęli się tłoczyć przy miejscu zbrodni, ale Frank machnął na swoich ludzi i dziennikarze natknęli się na mur wściekłych i zakłopotanych funkcjonariuszy policji, którzy dzierżyli swoje pałki i wyraźnie mieli nadzieję, że ktoś tu im podskoczy.

Seth Frank popatrzył na zwłoki. Mimo mrozu zdjął swoją kurtkę i przykrył twarz i tułów Luthera.

Jack był przy oknie parę sekund po tym, jak rozległy się pierwsze krzyki. Puls nagle oszalał, a czoło pokryło się zimnym potem.

- Zostań tu, Kate. - Popatrzył na nią. Zmroziło ją, na jej twarzy było widać, że spodziewa się najgorszego.

Wynurzył się Samuel.

- Co tu się, do diabła dzieje?

- Samuel, przypilnuj jej, proszę.

Samuel kiwnął głową, a Jack rzucił się biegiem do drzwi.

Na zewnątrz kłębiło się więcej mężczyzn z karabinami, niż Jack widział w życiu, poza wojennymi produkcjami Hollywoodu. Pobiegł za róg, do bocznego wejścia i omal nie dostał w głowę pałką od gorliwego policjanta, którego w ostatniej chwili powstrzymał głos Franka.

Jack podszedł niepewnie. Każdy krok w chrzęszczącym śniegu wydawał się trwać miesiąc. Miał wrażenie, że wszystkie oczy skierowane są na niego. Skulona postać pod kurtką. Krew wsiąkająca w przed chwilą jeszcze dziewiczy śnieg. Pełen bólu i równocześnie niesmaku wyraz twarzy detektywa Setha Franka. Każdy szczegół tej sceny będzie do niego wracał w bezsenne noce, może już do końca życia.

Wreszcie Jack ukucnął przy swoim przyjacielu i zaczął odsłaniać kurtkę, ale przestał. Odwrócił się i popatrzył w kierunku, skąd przyszedł. Morze dziennikarzy cofnęło się. Nawet ściana gliniarzy rozstąpiła się, żeby ją przepuścić.

Stała przez długą minutę, bez płaszcza, drząc w przenikliwym wietrze, który wzmagął się w wąskich przestrzeniach między budynkami. Patrzyła prosto przed siebie wzrokiem tak skupionym, że zdawał się rejestrować wszystko i nic równocześnie. Jack zaczął się podnosić, żeby do niej podejść, ale zabrakło mu siły w nogach. Jeszcze parę minut temu silny, zwarty, gotowy do walki, wściekły jak cholera na swojego klienta, który odmawia współpracy, teraz pozbawiony był odrobiny energii. Było mu niedobrze, ale wiedział, że nawet jeśli zwymiotuje, to nic a nic mu to nie pomoże.

Z pomocą Franka wstał chwiejnie i podszedł do niej. Po raz pierwszy w życiu wścibscy reporterzy nie próbowali zadawać żadnych pytań. Fotografowie zapomnieli przycisnąć spusty kamer. Kate ukłękła przy ojcu i łagodnie położyła rękę na nieruchomym ramieniu, słychać było jedynie szum wiatru i dalekie wycie nadjeżdżającej karetki. Na parę minut świat zatrzymał się tuż przed gmachem sądu w Middleton.

Limuzyna mknęła z powrotem do miasta, Alan Richmond przyglądał krawat i nalał sobie coś do picia. Myśli pobiegły mu ku tytułom w popołudniowych i jutrzejszych gazetach. Nieźle na tym skorzysta. Nie zmieni programu zajęć na dzisiaj. Prezydent niewzruszony jak skała. Kule gwizdzą mu wokół głowy, a on nawet nie mrugnie, dalej wykonuje swoją robotę, prowadzi swój naród. Dobre dziesięć punktów w górę w sondażach. Jego żaloszny przeciwnik może się poddać walkowerem. Teraz ma już z głowy. Dwie pieczenie na jednym ogniu. Poszło jak z płatka. Kiedy trafi mu się prawdziwe wyzwanie?

Bill Burton patrzył na prezydenta, gdy limuzyna zbliżała się do granicy Dystryktu Kolumbii. Luther

Whitney właśnie dostał w głowę najsukuteczniejszymi pociskami, jakie Collin mógł znaleźć i załadować do swojego karabinu, a ten typ sączy spokojnie lemoniadę. Burton poczuł bolesny skurcz w żołądku. Nigdy się tego nie pozbędzie. Nigdy nie uda mu się przejść nad tym do porządku dziennego, ale przynajmniej przeżyje resztę życia jako człowiek wolny. Człowiek, którego dzieci darzą szacunkiem, nawet jeśli sam już do siebie tego szacunku nie żywi.

Kiedy tak przyglądał się prezydentowi, przyszło mu do głowy, że ten sukinsyn jest z siebie dumny. Widywał już taki spokój wśród ekstremalnego i wykalkulowanego okrucieństwa. Żadnych wątpliwości, żadnych wyrzutów sumienia z tego powodu, że trzeba było poświęcić ludzkie życie. Zamiast tego fala euforii. Triumfu. Burton pomyślał o śladach na szyi Christine Sullivan. O złamanej szczęce. O krzykach, które słyszał wiele razy zza zamkniętych drzwi. Przywódca narodu.

Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Richmondem. W dniu aresztowania Whitneya. Nie było to przyjemne przeżycie, jeśli nie liczyć widoku skamłającej Russell.

Richmond wpatrywał się wtedy w każde z nich, przeciągle spoglądając zwłaszcza na szefową personelu, która tak wcisnęła się w fotel, jakby chciała wtopić się w tapicerkę. Tamto spotkanie odbyło się w prywatnej części Białego Domu. Tam gdzie nigdy nie wpuszczano zwiedzających. Rodzina prezydenta była na krótkim urlopie z wizytą u krewnych. To było najlepsze wyjście. Głowa Pierwszej Rodziny nie była w najlepszym nastroju.

Z zamkniętymi oczami Richmond powoli chrupał resztki lodu ze swojego drinka, wreszcie wyjrzał przez okno. Nadal miał na sobie garnitur, ale krawat już zdjął. Przemówił wtedy, wciąż wpatrując się w nicość na zewnątrz.

- Jak długo, Burton?

Burton oderwał oczy od podłogi.

- Kto wie? Może zawsze.

- Musisz wiedzieć. Masz dać mi twoją profesjonalną ocenę.

- Raczej prędzej niż później. Miał adwokata. Tak czy inaczej ten facet dotrze do czegoś.

- Czy mamy jakieś pojęcie, gdzie „to” może być?

Słowo „to” dotyczyło noża do papieru i spowodowało ciarki na plecach Russell. Kiedy prezydent poznał całą historię, popatrzył na nią. Po prostu na nią popatrzył. Nie padło żadne pytanie. Nie musiał pytać. Znał odpowiedź.

Burton zatarł dłonie zakłopotany.

- Nie, sir. Policja przeszukała jego dom, samochód. Gdyby znaleźli coś takiego, wiedziałbym.

- Ale wiedzą, że „to” zginęło z domu?

Burton skinął głową.

- Policja jest świadoma, że przedmiot ten ma jakieś znaczenie. Jeśli wpadnie im w ręce, będą wiedzieli, co z nim zrobić.

Prezydent wstał i zaczął się bawić wyjątkowo ohydny krysztalem z kolekcji wystawionej na jednym ze stolików. Kolekcja należała do jego żony. Obok stało w ramce rodzinne zdjęcie. Właściwie nigdy mu się nie przyjrzał. Ich oblicza interesowały go wyłącznie w kategoriach przydatności dla jego urzędu. Nagle twarz mu poczerwieniała, jakby odbijała się w niej niewidzialna pożoga. Jego misja dziejowa jest poważnie zagrożona, wszystko przez jakąś tanią panienkę i nadmiar ambicji tej kretyнки Russell.

- Domyślamy się, kogo zatrudnił Sullivan?

Burton udzielił informacji. Na Russell w czasie tamtej rozmowy nie zwracano uwagi, a Collin miał tylko robić, co mu każą.

- To jeden z tych dwudziestu-trzydziestu doskonale opłaconych zawodowców. Ktokolwiek to był, dawno już go tu nie ma.

- Ale podsunąłeś tę myśl naszemu przyjacielowi detektywowi?

- Wie, że pan „niewinnie” wspomniał Walterowi Sullivanowi gdzie i kiedy. Frank jest wystarczająco inteligentny, żeby się na to złapać.

Prezydent nagle wziął jeden kryształ do ręki i rąbnął nim o ścianę. Drobne kawałeczki dzwoniły, spadając na podłogę i rozsypując się po całym pokoju. Na twarzy odmalowały mu się taka złość i nienawiść, że Burton aż się wzdrygnął.

- Cholera, szkoda, że chybił, wszystko poszłoby idealnie.

Russell popatrzyła na drobne odłamki kryształu na dywanie. Tak wygląda jej życie. Te wszystkie lata nauki, pracy, ciężkiej harówki po sto godzin tygodniowo. Na nic.

- Policja pójdzie tropem Sullivana - ciągnął Burton. - On wszystkiemu zaprzeczy. Nic mu nie udowodnią. Nie wiem, do czego to doprowadzi, sir.

Richmond przechadzał się po pokoju. Wyglądał, jakby przygotowywał przemówienie albo szykował się do spotkania z delegacją skautów z któregoś ze stanów Środkowego Zachodu. W rzeczywistości z zimną krwią kalkulował, jak zamordować kogoś w taki sposób, żeby nie padł na niego najmniejszy cień podejrzenia.

- A gdyby spróbował jeszcze raz? I tym razem skutecznie? Burton nie od razu chwycił.

- Ale jaki mamy wpływ na to, co zrobi Sullivan?

- Robiąc to sami.

Przez parę minut nikt nie odezwał się ani słowem. Russell patrzyła na swojego szefa z niedowierzaniem. Całe jej życie diabli wzięli, a teraz jest zmuszona do udziału w spisku na czyjeś życie. Miała wrażenie, że została poddana emocjonalnemu znieczuleniu, odkąd to się stało. Była przekonana, że jej sytuacja nie może już ulec dalszemu pogorszeniu. Całkowicie się myliła.

Wreszcie Burton zaryzykował analizę propozycji.

- Nie jestem pewien, czy policja uwierzy, że Sullivan do tego stopnia oszalał. Musi wiedzieć, że mają go na oku, ale nie mogą nic udowodnić. Jeśli sprzątniemy Whitneya, mogą nie węszyć przy Sullivanie.

Prezydent przerwał przechadzkę. Stał dokładnie przed Burtonem.

- Możemy policji ułatwić wyciągnięcie wniosków.

Prawda jest taka, że Sullivan nie był mu już potrzebny, żeby się utrzymać w Białym Domu. Tu tkwił haczyk. A, co ważniejsze, był to świetny sposób, żeby się pozbyć zobowiązań wobec Sullivana i skończyć z popieraniem Ukrainy przeciw Rosji, co stawało się coraz niewygodniejsze. Jeśli na Sullivana padnie choćby najlżejsze podejrzenie o związek ze sprawą zabójstwa mordercy jego żony, będzie skończony jako strona międzynarodowych transakcji handlowych o tej skali. Poparcie Richmonda zostanie dyskretnie wycofane. Każdy, kto umie liczyć, zrozumie ten cichy odwrót.

- Alan, chcesz wplątać Sullivana w morderstwo? - To były pierwsze słowa, jakie tamtego dnia wypowiedziała Russell. Jej oblicze zdradzało bezgraniczne niedowierzanie. Popatrzył na nią z nieskrywaną pogardą w oczach. - Alan, pomyśl, co ty mówisz. To przecież Walter Sullivan, a nie jakiś łachudra, za którego nikt nie da złamanego grosza.

Richmond uśmiechnął się. Jej głupota go bawiła. A wydawała się taka błyskotliwa, taka niewiarygodnie zdolna, kiedy ją przyjął na pokład. Pomylił się. Teraz to widział. Jej zdolności są poważnie ograniczone. Nie chciało mu się nawet czegokolwiek jej tłumaczyć, nawet do niej zwracać. Sullivan sobie poradzi, to duży chłopiec. A ma tylko trzydzieści procent szans, że go dopadną za to

zabójstwo. A jeśli mu się nie uda? Trudno, od czego są więzienia? Popatrzył na Burtona.

- Burton, ty rozumiesz?

Burton spędził ostatnie dwie minuty na dokładnym przeglądzie poprzednich dwudziestu lat swojego życia. Cena za utrzymanie rezultatów tych lat nagle wzrosła niebotycznie. Czy warto ją zapłacić? Czy jest gotów ją zapłacić? Może pójść na policję. Powiedzieć im wszystko. Jego kariera będzie zakończona, nie jest głupkiem. Zarzucą mu utrudnianie śledztwa, spisek w celu popełnienia morderstwa, może także spowodowanie śmierci Christine Sullivan i jeszcze parę drobiazgów. Jak się to wszystko zsumuje, będzie dosyć. Nawet przy pójściu na układ z prokuraturą, czeka go niezła odsiadka. Jest twardy, odsiedzi wyrok. Przetrzywa też skandal. To całe gówno, którym go obrzucają gazety. Przejdzie do historii jako przestępca. Zostanie nieodwołalnie powiązany z potwornie skorumpowanymi rządami Richmonda. Ale i to by zniósł, gdyby do tego doszło. Jedyne, czego twardy jak skała Burton nie zdoła znieść, to wyrzutu w oczach swoich dzieci. I nigdy już nie ujrzy dumy, miłości i bezgranicznego zaufania, tej wiary, że ich tatuś, ten wielki facet, bez żadnej wątpliwości, bez żadnej dyskusji należy do „tych dobrych”. To było coś, co nawet dla niego byłoby nie do zniesienia. Podniósł wzrok i powiedział spokojnie:

- Rozumiem.

Następne dwie godziny poświęcono planowaniu. Kiedy obaj agenci wyszli, prezydent popatrzył na szefową personelu.

- Więc powiedz mi, Glorio, co się stało z pieniędzmi?

Russell popatrzyła mu prosto w oczy.

- Zostało przekazane jako anonimowy dar na konto amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Jest to największa jednorazowa donacja, jaką kiedykolwiek otrzymali.

Drzwi się zamknęły, a prezydent się uśmiechnął. Niezły strzał na pożegnanie. Ciesz się, Lutherze Whitneyu. Ciesz się, póki możesz, ty nieważne, małe zero.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Rozsiadł się w fotelu z książką, ale jej nie otworzył. Umysł Waltera Sullivana wędrował swoimi drogami. Wrócił do wydarzeń, które wydawały się tak nierealne, tak kompletnie niezwiązane z jego osobą, jak tylko można sobie wyobrazić. Wynajął płatnego mordercę, żeby zabił kogoś, kto został oskarżony o zamordowanie jego żony. Robota została spaprana. Sullivan był za to wdzięczny Bogu. Doznał tyle smutku, że zrozumiał, że to, co zamierzał, było niesłuszne. Cywilizowane społeczeństwo musi przestrzegać pewnych reguł, bo przestanie być cywilizowane. I niezależnie od tego, jak bardzo jest to bolesne, on jest człowiekiem cywilizowanym. Będzie przestrzegał reguł.

Wtedy popatrzył na gazetę. Mimo że pochodziła sprzed wielu dni, jej treść nie dawała mu spokoju. Wielkie, tłuste litery krzyczały z białego tła stronicy. Im bardziej zwracał na nie uwagę, tym bardziej krystalizowało mu się w głowie mgliste podejrzenie. Walter Sullivan był nie tylko miliarderem, miał też błyskotliwy i spostrzegawczy umysł. Umiał widzieć zarówno szczegóły, jak i cały pejzaż.

Luther Whitney nie żyje. Policja nie ma żadnych podejrzanych. Sullivan sprawdził jedną oczywistą rzecz. McCarty tego dnia był w Hongkongu. Ostatnie polecenie Sullivana zostało więc wykonane. Ale Walter Sullivan odwołał polowanie. Natomiast ktoś inny podjął łowy w jego miejsce, to pewne.

Popatrzył na swój stary zegarek. Dopiero siódma rano, a on był na nogach już od czterech godzin.

Dwudziestoczwierogodzinna doba nie znaczyła już dla niego wiele. Im był starszy, tym mniej ważne były dla niego pory dnia. Potrafił być rześki o czwartej rano w samolocie nad Pacyfikiem, a o drugiej po południu spać jak suseł.

Jego umysł sprawnie przesiewał fakty. Ostatnie badanie tomograficzne mózgu wykazało, że dysponuje narządem dwudziestolatka. Ten wspaniały umysł przetwarzał teraz informacje, snując rozmaite zagmatwane spekulacje, oparte na kilku niezaprzeczalnych faktach. Wszystkie te przemyślenia prowadziły nieodparcie do konkluzji, która go oszołomiła.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer, przyglądając się połyskującej mahoniowej boazerii dekorującej jego gabinet.

Szybko połączono go z Sethem Frankiem. Nie zrobił na nim wrażenia fakt, że mimo wczesnej pory tamten jest już na posterunku. Burkliwie pogratulował mu aresztowania Luthera Whitneya. A co dalej?

- Dziękuję panu, panie Sullivan, czym mógłbym panu służyć?

Sullivan odchrząknął. W jego głosie zabrzmiała pokorna nuta, która tak bardzo nie pasowała do jego normalnego tonu, że nawet Frank to zauważył.

- Mam pewne pytanie, dotyczące informacji, której panu udzieliłem wcześniej w sprawie nagłej rezygnacji Christy, znaczy Christine, z lotu na Barbados.

Frank wyprostował się w krześle.

- Czy przypomniało się panu coś jeszcze?

- Właściwie to chciałem tylko sprawdzić, czy powiedziałem panu, jaka była przyczyna jej rezygnacji z wyjazdu.

- Nie bardzo rozumiem.

- Cóż, zdaje się, że się starzeję. Nie tylko kości odmawiają mi posłuszeństwa, obawiam się. Ale konkretnie, zdaje mi się, że powiedziałem panu, że ona się rozchorowała. Przynajmniej wydaje mi się, że to panu powiedziałem.

Sethowi zajęło trochę czasu znalezienie właściwego miejsca w aktach sprawy, chociaż od początku pewien był odpowiedzi.

- Powiedział pan, że nie podała żadnej przyczyny, panie Sullivan. Po prostu oznajmiła, że nie jedzie, a pan nie naciskał.

- Aha, no to wszystko wiadomo. Dziękuję, panie poruczniku.

Frank się podniósł. Wziął do ręki filiżankę z kawą, po czym ją odłożył.

- Chwileczkę, panie Sullivan. Dlaczego pan sądził, że powiedział mi pan, iż pańska małżonka się rozchorowała? Była chora?

Sullivan milczał chwilę.

- Właściwie nie, poruczniku. Była zdrowa jak ryba. Mówiąc prawdę, myślałem, że udzieliłem panu innej odpowiedzi, bo (pominąwszy moje drobne kłopoty z pamięcią) przez ostatnie parę miesięcy sam siebie próbowałem przekonać, że Christina miała jakiś powód, żeby zostać. Jakikolwiek.

- Nie rozumiem.

- Żeby w mojej głowie uzasadnić to, co się stało. Że to nie był po prostu czysty przypadek. Nie wierzę w przeznaczenie, poruczniku. Dla mnie każde zdarzenie ma swój cel. Myślę, że chciałem przekonać samego siebie, że to pozostanie Christine w kraju miało właśnie jakiś cel.

- Aha.

- Niech mi pan wybaczy, jeśli głupie pomysły starego człowieka wprawiły pana w zakłopotanie.

- Ależ nie, panie Sullivan.

Frank odłożył słuchawkę i przez bite pięć minut gapił się na ścianę. O co tu, do cholery, chodzi? Frank sprawdził dyskretnie ruchy Sullivana w czasie zabójstwa Luthera Whitneya, chociaż nie miał złudzeń, że jego alibi będzie murowane. Przecież to nie on pociągnął za spust tej broni, której pocisk wysłał Luthera Whitneya w zaświaty. Zlecenie morderstwa płatnemu zabójcy to szczególnie paskudny postępek, chociaż detektyw rozumiał motywy miliardera. Problem w tym, że najprawdopodobniej dostał nie ten facet co trzeba. Ta ostatnia rozmowa z Sullivanem nasunęła detektywowi jeszcze więcej pytań, a nie dostarczyła żadnych odpowiedzi. Usiadł i przez chwilę zastanawiał się, czy ta koszmarna sprawa kiedykolwiek się zakończy.

Pół godziny później Sullivan odbył rozmowę z lokalną stacją telewizyjną, której - tak się składało - posiadał kontrolny pakiet akcji. Jego żądanie było proste i konkretne. W ciągu godziny dostarczono mu przesyłkę do drzwi. Przedstawicielka stacji wręczyła mu prostokątne pudełeczko, podziękował jej i zamknął się na klucz w pokoju. Przycisnął niewidoczny włącznik w ścianie. Ukazała się niezwykle wyszukana aparatura audiowizualna wbudowana w ścianę. Christine Sullivan zażyczyła sobie najnowocześniejszego sprzętu, który zobaczyła pewnego dnia w jakimś magazynie i po prostu musiała mieć, mimo że jej upodobania mieściły się gdzieś między filmami porno a operami mydlanymi, które wcale nie wymagały ostatniego krzyku elektroniki, jakim był ten sprzęt.

Sullivan ostrożnie rozpakował kasetę magnetofonową i włożył ją do odtwarzacza. Kieszeń zamknęła się automatycznie i taśma ruszyła. Sullivan słuchał przez parę chwil. Gdy usłyszał te słowa, żadne emocje nie ujawniły się na jego twarzy. Spodziewał się je usłyszeć. Bezcelnie skłamał porucznikowi. Pamięć miał doskonałą. Gdybyż miał choć w połowie taki wzrok. A zaślepiony był jak głupiec. Emocją, która wreszcie pokazała się w nieodgadnionej linii ust i głębokiej szarości przenikliwych oczu, był gniew. Gniew taki, jakiego nie czuł już od dawna. Nie z powodu śmierci Christy. Gniew, który można ukoić jedynie działaniem. Sullivan wierzył niezachwianie, że pierwsza salwa musi być ostatnią, bo albo ty, albo oni. A on nie należy do ludzi, którzy mają zwyczaj przegrywać.

Pogrzeb był skromny, poza księdzem wzięły w nim udział jedynie trzy osoby. Taka dyskrekcja była konieczna, żeby uniknąć armii dziennikarzy. Trumna Luthera była zamknięta. Najbliżsi na ogół nie życzą sobie zachować wspomnienia o zmarłym na podstawie jego wyglądu po gwałtownej śmierci z powodu rozwalenia głowy.

Sługi bożego nie interesował ani rodzaj śmierci, ani przeszłość zmarłego, nabożeństwo odbyło się z należytym namaszczeniem. Droga na cmentarz nie była daleka. Jack i Kate jechali razem, za nimi Seth Frank. W kościele usiadł z tyłu, niezręcznie i w zakłopotaniu. Jack uściśnął mu rękę, Kate udawała, że go nie widzi.

Jack oparł się o samochód i obserwował Kate, siedzącą na składanym metalowym krzeselku koło jamy w ziemi, która właśnie przyjęła jej ojca. Rozejrzał się wokół. Na tym cmentarzu nie było wystawnych pomników. Rzadko coś więcej niż mogiła z tabliczką z nazwiskiem, datami początku i końca ziemskiej wędrówki, czasem pożegnalne słowa.

Jack obejrzał się na Kate i zobaczył, że Seth Frank rusza w jej kierunku, potem najwyraźniej zmienia zdanie i podchodzi do niego.

- Ładne nabożeństwo - powiedział, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

Jack się wzdrygnął.

- To nic przyjemnego zostać zabitym. - Wprawdzie nie podzielał stanowiska Kate w tej sprawie, lecz i on nie do końca wybaczył detektywowi, że pozwolił Lutherowi zginąć w ten sposób.

Frank zamilkł, przyglądał się lakierowi lexusa, wyciągnął papierosa, zrezygnował. Wsadził ręce do kieszeni. Brał udział w sekcji Luthera Whitneya. Uraz głowy był ogromny. Fala uderzeniowa, która rozchodziła się promieniście od kanału pocisku, była tak silna, że rozwalila dwie trzecie mózgu denata. Nic dziwnego. Pocisk, który wyciągnęli z siedzenia policyjnej furgonetki był imponujący. Magnum kalibru .460. Kula uderzyła w głowę Whitneya z prędkością tysiąca ośmiuset mil na godzinę z olbrzymią energią. Frank nie widział jeszcze czegoś takiego. To tak jakby na biedaka spadł samolot. A zdarzyło to się na jego służbie, tuż przed nosem. Nigdy tego nie zapomni.

Frank rozglądał się po zielonej przestrzeni miejsca ostatecznego spoczynku około dwudziestu tysięcy nieodżałowanych zmarłych. Jack oparł się o samochód i podążył za spojrzeniem Franka.

- Jakież poszlaki?

- Kilka. Wszystkie prowadzą donikąd.

Kate wstała, położyła mały bukiet na mogile, nie ruszała się z miejsca, wpatrując się w dal. Wiatr się uciszył, słońce świeciło jasno i przygrzewało mimo mrozu.

Jack zapiął płaszcz.

- I co teraz? Umorzenie? Nikt nie będzie miał ci za złe.

Frank uśmiechnął się, uznał, że jednak zapali.

- Takiego wała.

- Więc co chcesz zrobić?

Kate odwróciła się i zaczęła iść w kierunku samochodu. Seth Frank nałożył kapelusz, wyciągnął kluczyki od swojego auta.

- Proste. Znaleźć mordercę.

- Kate, wiem, co czujesz, ale musisz mi uwierzyć. On nie miał ci za złe. To nie była twoja wina. Jak mówiłaś, zostałaś wciągnięta w to wbrew swojej woli. Nie prosiłaś się o to wszystko. Luther to rozumiał.

Jechali samochodem Jacka z powrotem do miasta. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Siedzieli w jego samochodzie na cmentarzu prawie dwie godziny, bo nie chciała wyjeżdżać. Jakby się spodziewała, że jeśli jeszcze trochę poczekają, to on wyjdzie ze swojego grobu i do nich dołączy.

Odsunęła szybę i wąski strumień powietrza wypełnił wnętrze, rozpraszając zapach nowego samochodu gęstym wilgotnym powietrzem, które zapowiadało kolejną burzę.

- Frank myśli, że Sullivan nie popełnił samobójstwa.

Popatrzyła na niego wreszcie.

- Zupełnie mnie nie interesuje, co on myśli. - Dotknęła opuchniętego i zaczerwienionego nosa.

- Daj spokój, Kate. Przecież ten facet nie chciał, żeby Luther został zastrzelony.

- Czyżby? Oskarżenie było pełne dziur, można je było rozwalić w pył i wszyscy, w tym detektyw prowadzący śledztwo, wyszliby na idiotów. Zamiast tego mamy zwłoki i zamkniętą sprawę. No i powiedz, czy to nie to, o czym detektyw mógłby marzyć?

Jack zatrzymał się na czerwonym świetle i opadł na oparcie fotela. On wie. Wie, że Frank jest z nim szczerzy. Ale nie ma pod słońcem takiego sposobu, żeby o tym przekonać Kate.

Światła się zmieniły i ruszył przez skrzyżowanie. Sprawdził godzinę. Musi wracać do biura, jeśli jeszcze ma jakieś biuro.

- Kate, uważam, że nie powinnaś być teraz sama. Może przeniosę się do ciebie na parę dni? Będiesz rano parzyć kawę, a ja zadbam o kolację. Zgoda?

Spodziewał się natychmiastowej reakcji negatywnej i z góry przygotował się na jej odparcie.

- Jesteś pewien?

Obejrzał się na nią i ujrzał wpatrzone w siebie szeroko otwarte podpuchnięte oczy. Wydawało się, że każdy nerw jej ciała gotów jest krzyknąć. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że zupełnie nie może ogarnąć ogromu bólu i poczucia winy, które ona musi czuć. Oszłołomiło go to bardziej niż tamten strzał, który usłyszał,

siedząc przy niej i trzymając rękę na jej dłoni. Kiedy wiedział, zanim jeszcze ich palce się rozstały, że to się stało. Że Luther nie żyje.

- Jestem pewien.

W nocy ułożył się na sofie, opatulony kocem, bo wiało od szpary w oknie. Usłyszał skrzypnięcie drzwi. Wyszła z sypialni. Miała na sobie ten sam szlafrok co poprzednio, włosy związała w ciasny węzeł. Twarz wyglądała świeżo i czysto, tylko lekki czerwonawy cień na policzkach zdradzał wewnętrzny ból.

- Potrzebujesz czegoś?

- Jest w porządku. Kanapa jest znacznie wygodniejsza niż sądziłem. Ja mam wciąż tę samą, która stała w naszym mieszkaniu w Charlottesville. Chyba nie ocalała już żadna sprężyna. Wszystkie dały za wygraną. - Nie uśmiechnęła się, ale usiadła koło niego.

Kiedy mieszkali razem, brała kąpiel co wieczór. Przychodząc do łóżka, pachniała tak wspaniale, że doprowadzała go prawie do szaleństwa. Jak oddech noworodka, absolutna doskonałość. Miała w zwyczaju droczyć się z nim, a kiedy wyczerpany leżał na niej, uśmiechała się przekornie i głaskała go, a on przez długie minuty rozważał, że nic dziwnego w tym, że kobiety rządzą światem.

Oparła głowę na jego ramieniu, a on poczuł, że budzą się w nim pierwotne instynkty. Jednakże jej zmęczenie i całkowita apatia szybko przekształciły jego ziemskie żądze w poczucie winy.

- Chyba nie stanowią dziś najlepszego towarzystwa.

Czyżby wyczuła jego stan? W jaki sposób? Jej umysł musi teraz błądzić daleko.

- Nie jestem tu, żebyś mnie zabawiała. Poradzę sobie, Kate.

- Cieszę się, że jesteś ze mną.

- Nie ma dla mnie nic ważniejszego.

Ścisnęła go za rękę. Kiedy wstawała, szlafrok rozchylił się, ukazując długie, szczupłe nogi i troszkę więcej; w tej sytuacji dobrze się składa, że będzie spała w innym pokoju, pomyślał. Całą noc przewracał się z boku na bok, śniąc o szlachetnych rycerzach walczących w obronie czci nieskazitelných i śpiących samotnie prawniczek.

Trzeciego wieczoru znów ułożył się na kanapie. Ona jak poprzednio wyszła z sypialni. Słyszac ciche skrzypnięcie drzwi, odłożył magazyn, który czytał. Tym razem nie przyszła do niego. Wreszcie obejrzał się i stwierdził, że mu się przygląda. I że dziś nie wygląda apatycznie. I że dziś nie ma na sobie szlafroka. Odwróciła się i weszła z powrotem do sypialni. Drzwi pozostały otwarte.

Przez chwilę nie mógł się poruszyć. Potem wstał, podszedł do drzwi i zajrzał. W ciemnościach mógł tylko zgadywać, że Kate leży w łóżku. Kołdra spadła na podłogę. Zarys jej ciała był mu tak dobrze znany.

Patrzyła na niego. Nie wyciągała do niego ręki, przypomniał sobie, że nigdy tego nie robiła.

- Jesteś pewna? - Czuł się zmuszony zadać to pytanie. Nie chciał żadnych zranionych uczuć rano, żadnego zmieszania, zakłopotania.

Zamiast odpowiedzieć, podniosła się i pociągnęła go na łóżko. Materac był twardy i ciepły w miejscu, gdzie leżała. W jednej chwili był nagi jak ona. W jej szeroko otwartych oczach nie było tym razem łez, nie były podpuchnięte, wyglądały tak jak kiedyś, jak chciałby, żeby wyglądały zawsze. Powoli objął ją ramieniem.

Dom Waltera Sullivana gościł już dygnitarzy najwyższych szczebli. Ale dzisiejszy wieczór był wyjątkowy, nawet jak na dom Sullivana.

Alan Richmond wznosił kieliszek z winem i wygłosił zwięzły, ale kwiecisty toast na cześć gospodarza, a cztery starannie wybrane pary zadzwoniły swoimi kieliszkami. Pierwsza Dama, olśniewająca w prostej, czarnej sukni, z popielatoblond fryzurą i twarzą, która zadziwiająco dobrze znosiła ataki czasu, uśmiechała się szeroko do miliardera. Mimo że przyzwyczajona do towarzystwa ludzi zamożnych i inteligentnych, była, jak większość ludzi, pod wrażeniem bogactwa i bystrości umysłu Sullivana.

Formalnie nadal w żałobie, Sullivan był dziś nastawiony szczególnie towarzysko i z wyraźną przyjemnością oprowadził gości po swojej kolekcji dzieł sztuki, jednej z największych, jakie znajdują się w prywatnych rękach. Przy aromatycznej kawie w przestronnej bibliotece rozmowa biegła od perspektyw gospodarki światowej i posunięć banku centralnego do wyników niedzielnego meczu. Potem zeszła na temat zbliżających się wyborów. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że Alan Richmond nie będzie musiał szukać nowej pracy, kiedy zakończy się liczenie głosów.

Z wyjątkiem jednej osoby.

Podczas pożegnania prezydent pochylił się ku Walterowi Sullivanowi, żeby go objąć. Starzec śmiał się z dowcipów prezydenta. Nagle potknął się lekko, ale zaraz odzyskał równowagę, chwytając się jego ramienia.

Kiedy goście wyszli, Sullivan zapalił cygaro w swoim niewielkim gabinecie. Podeszedł do okna i patrzył, jak znikają światła kawalkady prezydenckich samochodów. Mimowolnie się uśmiechnął. Przypomnienie grymasu bólu na twarzy prezydenta, gdy chwycił go za przedramię, przepełniło Sullivana triumfem. Nóż musiał wbić się głębiej, niż sądziła policja. Prawdopodobnie uszkodził nerw. Powierzchnowa rana już by się dawno zagoiła.

Ale nawet jeśli ból wywołany uchwytem Sullivana nie był silny, to - podobnie jak przy ataku serca - po lekkim bólu przychodzi znacznie cięższy.

Z wierzchołka wzgórza Walter Sullivan przypatrywał się małemu, drewnianemu domkowi, krytemu zaśniedziałą miedzianą blachą. Owinął się szczelniej szalikiem i ruszył w dół, podpierając się grubą laską. Ziąb wśród wzgórz południowo-zachodniej Wirginii bywa kąśliwy o tej porze roku. Synoptycy zapowiadali śnieg, i to dużo śniegu.

Schodził po zamrzniętym na kamień gruncie. Dom był w doskonałym stanie, dzięki zasobnej kieszeni Sullivana oraz głębokiej nostalgii, która wznagała się, w miarę jak zbliżał się do chwili, kiedy jego życie będzie już całkiem sprawą przeszłości. W Białym Domu urzędował Woodrow Wilson, a świat pogrążony był zamęciem Wielkiej Wojny, kiedy Walter Patrick Sullivan po raz pierwszy tu właśnie ujrzał światło dzienne, dzięki pomocy położnej i stanowczemu uporowi jego matki, Millie, która straciła troje poprzednich dzieci, z czego dwoje podczas porodu.

Jego ojciec, górnik - wydaje się, że w tamtych czasach, w tej części Wirginii wszyscy mieli ojców górników - dożył do dwunastych urodzin syna, po czym nagle odszedł, powalony ciężką chorobą wynikłą z nadmiaru pyłu węglowego i niedostatku odpoczynku. Przez lata przyszły miliarder przyglądał się, jak tata dzień w dzień przychodzi do domu ledwie żywy ze zmęczenia, z twarzą czarną jak diabeł i zwała się na wąskie łóżko, nie mając siły nawet na posiłek, a co dopiero na zabawę z małym chłopcem, który czekał z nadzieją na odrobinę uwagi ze strony ojca.

Jego matka natomiast dożyła czasów, kiedy jej syn stał się jednym z najbogatszych ludzi na świecie i robił wszystko, żeby zapewnić jej wszelkie wygody. W hołdzie swojemu zmarłemu ojcu kupił kopalnię,

która go zabiła. Pięć milionów w gotówce. Każdemu górnikowi wypłacił pięćdziesiąt tysięcy dolarów premii, a następnie z wielką pompą zamknął kopalnię.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Piec gazowy ogrzewał wnętrze, toteż nie trzeba było rozpałać kominka. Spizarnia zawierała zapasy jedzenia, które wystarczyłyby na pół roku. Tu był całkowicie samowystarczalny. Nigdy nikogo nie zapraszał w to miejsce. Tu był u siebie w domu. Wszyscy, którzy mieli prawo tu przebywać, oprócz niego samego - już nie żyli. Został sam i wcale mu to nie przeszkadzało.

Przygotował sobie prosty posiłek i zjadł go niespiesznie, patrząc przez okno, jak bezlistne wiązy w zapadającym mroku kołyszają rytmicznie gałęziami.

Wnętrze domu nie przypominało tego z czasów jego dzieciństwa. Owszem, urodził się tu, ale dzieciństwo, jakie tu przeżył w biedzie, nie było szczęśliwe. Wyniósł stąd siłę napędową, która była motorem jego kariery, dała mu wytrwałość, przed którą padały wszelkie przeszkody.

Umył naczynia i przeszedł do pokoiku będącym niegdyś sypialną rodziców. Obecnie znajdował się tu wygodny fotel, stół i kilka półek zawierających staranny wybór lektur. W kącie stała kozetka, jako że pokój służył także do spania.

Sullivan podniósł słuchawkę wyjątkowo skomplikowanego telefonu komórkowego, wybrał numer znany zaledwie garstce ludzi. Odezwał się głos, polecił Sullivanowi czekać, po czym odezwał się drugi głos.

- Na litość boską, Walter, wiem, że się nie oszczędzasz, ale mógłbyś trochę zwolnić tempo. Wiesz, która godzina?

- W moim wieku nie można zwolnić tempa, bo potem już się człowiek nie rozkręci. Wolę raczej jeszcze odpalić parę fajerwerków, niż pograć się łagodnie we mgłę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w niczym ważnym?

- Kryzys światowy może poczekać. W czym mógłbym ci pomóc?

Sullivan uruchomił miniaturowy magnetofon przy aparacie telefonicznym. Nigdy nic nie wiadomo.

- Mam tylko jedno pytanie, Alan. - Sullivan przerwał. Przyszło mu do głowy, że właściwie bawi go to wszystko. Potem przypomniał sobie twarz Christine w kostnicy i posmutniał.

- Jakie?

- Dlaczego tak długo zwlekaleś z zabiciem tego człowieka?

W ciszy, która zapadła, Sullivan słyszał oddech po drugiej stronie linii. Trzeba przyznać Alanowi Richmondowi, że nie zaczął gwałtownie łapać powietrza, prawdę mówiąc, jego oddech pozostał normalny. Sullivan był nieco rozczarowany.

- Co ty mówisz?

- Gdyby twój człowiek chybił, mógłbyś właśnie mieć spotkanie z adwokatem w sprawie twojej obrony. Musisz przyznać, że ledwo ci się udało.

- Walter, dobrze się czujesz? Czy coś ci się stało? Gdzie jesteś?

Sullivan odsunął słuchawkę od ucha. Telefon był wyposażony w urządzenie, które uniemożliwiało jego lokalizację. Jeśli teraz właśnie próbują odnaleźć jego pozycję, a miał podstawy przypuszczać, że tak właśnie jest, to otrzymają kilkanaście lokalizacji, skąd może wychodzić ta rozmowa, a żadna z nich nawet w przybliżeniu nie odpowiada rzeczywistości. Urządzenie kosztowało go pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cóż, to tylko pieniądze. Uśmiechnął się znowu. Może rozmawiać tak długo, jak mu się podoba.

- Już dawno tak świetnie się nie czułem.

- Walter, to, co mówisz, jest bez sensu. Kto został zabity?

- Wiesz, wcale nie byłem zdziwiony, że Christy nie chciała jechać na Barbados. Szczerze mówiąc, byłem pewien, że chce zostać i pobaraszkować trochę z paroma tymi młodzieńcami, których namierzyła w ciągu lata. Ubawiłem się, kiedy powiedziała, że kiepsko się czuje. Pamiętam, siedziała w limuzynie i zastanawiała się, jaką by tu wymówkę wymyślić. Nie była specjalnie pomysłowa, biedactwo. Ten jej kaszel brzmiał wyjątkowo nieudolnie. Myślę, że w szkole co drugi raz tłumaczyła się, że pies zjadł jej pracę domową.

- Walt...

- Ciekawostka polega na tym, że kiedy policja mnie przesłuchiwała, nie powiedziałem im, że wymówiła się chorobą. Może przypominasz sobie, że chodziły wtedy w gazetach plotki o jej romansach. Wiedziałem: jeśli powiem, że się źle czuła, to prasa brukowa zaraz zrobi z tego ciążę z innym mężczyzną, nawet jeśli sekcja tego nie potwierdziła. Ludzie uwielbiają podejrzewać najgorsze, najbrudniejsze sprawy, wiesz, jak to jest, Alan. Jak zostaniesz aresztowany, to też będą podejrzewać najgorsze, oczywiście. I będą mieli rację.

- Walter, czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jesteś? Najwyraźniej nie czujesz się dobrze.

- Chcesz, żebym ci puścił taśmę, Alan? Tę z konferencji prasowej, na której tak wzruszająco mówiłeś o bezsensowności przypadku? Ładnie to powiedziałeś. Taka osobista uwaga do starego przyjaciela, która została podchwycona przez wszystkie okoliczne stacje radiowe i telewizyjne. Powiedziałeś do mnie, że gdyby Christine się nie rozchorowała, to nie zostałaby zabita. Że pojechałaby ze mną na wyspę i żyłaby do dziś. Tylko mnie Christine powiedziała, że jest chora, Alan. A ja nie powiedziałem tego nawet policji. Więc skąd wiedziałeś?

- Musiałeś mi sam powiedzieć.

- Nie widziałem się z tobą ani nie rozmawiałem przed konferencją. To można łatwo sprawdzić. Wszystkie moje zajęcia są zaplanowane i rejestrowane co do minuty. Twoje zresztą również. Na ogół. Mówię na ogół, bo tej nocy, kiedy zginęła Christine, pewnie nie były. Byłeś w moim domu, a co więcej, w mojej sypialni. A wszystko, co zostało powiedziane na konferencji prasowej, jest nagrane. Nie dowiedziałeś się ode mnie, Alan.

- Walter, naprawdę nie chcę kontynuować tej rozmowy. Proszę, powiedz mi, gdzie jesteś. Chcę ci jakoś pomóc.

- Christy nie była szczególnie szczerą. Musiała się cieszyć, że wyprowadziła mnie w pole. Chwaliła się przed tobą, co? Jak zrobiła w konia starego, prawda? Bo jedyną osobą na świecie, która mogła ci powiedzieć o tej swojej dyplomatycznej chorobie, była moja świętej pamięci żona. A ty bezmyślnie uroniłeś słówko za dużo. Nie wiem, dlaczego tak długo dochodziłem do prawdy. Myślę, że tak obsesyjnie chciałem znaleźć mordercę Christy, że dałem się nabrać na teorię o włamaniu. Może moja podświadomość nie chciała przyjąć do wiadomości prawdy. Bo szczerze mówiąc, podejrzewałem, że Christy ma na ciebie chrapkę. Ale nie mogłem uwierzyć, że mógłbyś mi to zrobić. Po prostu, nie mieściło mi się to w głowie. Powinienem był podejrzewać naturę ludzką o najgorsze, nie rozczarowałbym się. Ale, jak to mówią, lepiej późno niż wcale.

- Walter, po co do mnie zadzwoniłeś?

Głos Sullivana złagodniał, nie tracąc jednak nic ze swej siły.

- Ponieważ, draniu, chcę być pierwszym, który oznajmi ci, co cię czeka. Czekają cię prawnicy, sądy i taki rozgłos, o jakim nawet nie śniłeś. Ponieważ nie chcę, żebyś był zaskoczony, jak policja zapuka do twoich drzwi. I ponieważ chcę, żebyś dokładnie wiedział, komu to wszystko zawdzięczasz.

Głos prezydenta stwardniał.

- Walter, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, to zrobię. Ale jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych i mimo że należysz do moich starych przyjaciół, nie mogę tolerować takich oskarżeń ani z twoich ust, ani żadnych innych.

- W porządku, Alan, w porządku. Przypuszczasz, że mogę nagrywać tę rozmowę. Ale to nie ma już znaczenia. - Sullivan przerwał na chwilę, po czym ciągnął. - Alanie, mój protegowany. Nauczyłem cię wszystkiego, co sam umiałem, a ty byłeś pojętym uczniem. Na tyle pojętym, żeby uzyskać najwyższe stanowisko w tym kraju. Spadniesz z wysokiego konia.

- Walter, żyłeś ostatnio w stresie. Po raz ostatni proszę, daj sobie pomóc.

- Zabawne, Alan. Radziłbym ci dokładnie to samo.

Sullivan rozłączył rozmowę i wyłączył magnetofon. Bicie serca miał nienormalnie przyspieszone. Położył rękę na piersi, zmusił się do odprężenia. Nie ma w planach zawału. Musi zobaczyć ostatnią rundę.

Wyjrzał przez okno, po czym rozejrzał się po wnętrzu. Jego własne siedlisko. Ojciec umarł w tym właśnie pokoju. Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę.

Ułożył się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Rano zadzwoni na policję. Powie im wszystko i da im taśmę. Potem będzie czekał i obserwował. Nawet jeśli nie skażą Richmonda, jego kariera jest skończona. Co znaczy, że równie dobrze mógłby nie żyć. To śmierć zawodowa, duchowa, umysłowa. A komuż zależy na tym, że jego ciało jeszcze trwa. Sullivan się uśmiechnął. Przysiągł, że pomści śmierć swojej żony. I dokona tego.

Nagle uczucie, że jego ręka unosi się w bok, zmusiło go do otwarcia oczu. Potem jego dłoń została zamknięta na jakimś zimnym, twardym przedmiocie. Naprawdę zareagował dopiero wtedy, gdy lufa dotknęła jego skroni. Wtedy było już za późno.

Prezydent popatrzył na aparat telefoniczny i sprawdził czas. Mniej więcej teraz jest po wszystkim. Sullivan był dobrym nauczycielem. Zbyt dobrym, jak się okazało, z jego własnego punktu widzenia. Richmond był prawie pewien, że Sullivan będzie się chciał skontaktować z nim osobiście, zanim obwieści światu o winie prezydenta. To znacznie upraszczało sprawę. Richmond wstał i poszedł na górę do pomieszczeń prywatnych. Myśl o zmarłym Walterze Sullivanie już mu nie zaprzętała głowy. Nie ma sensu zatrzymywać się na dłużej przy powalonym wrogu. Trzeba patrzeć w przyszłość, na nowe wyzwania. Tego też nauczył go Sullivan.

Młodszy mężczyzna patrzył na dom. Jego oczy połyskiwały w zorzy poranka. Słyszał strzał, ale nawet nie drgnął, obserwując uważnie okna.

Bill Burton dołączył do Collina po krótkiej chwili. Przez całe swoje życie nie czuł większego obrzydzenia. Brzydził się sobą, brzydził się wszystkimi, którzy go otaczali. Nawet nie spojrzął na swojego towarzysza. Dwaj wyszkoleni i pełni poświęcenia agenci Secret Service, zabójcy kobiet i starców. Pięknie.

Opadł na siedzenie samochodu. Wreszcie po wszystkim. Trzy osoby zabite, licząc Christine Sullivan. A niby dlaczego jej nie liczyć? Od niej zaczął się ten cały koszmar.

Burton popatrzył na swoją dłoń, wciąż nie dowierzając, że to ona właśnie przed chwilą zamknęła czyjeś palce na kolbie pistoletu i nacisnęła na spust, odbierając człowiekowi życie.

Gdy przesłuchiwał taśmę z podsłuchu telefonu Franka i trafił na rozmowę z Sullivanem, nie miał pojęcia, o co chodzi staremu z „chorobą” Christine Sullivan. Lecz gdy zrelacjonował informację szefowi, ten zbladł i wyglądał kilka minut przez okno. Następnie zadzwonił do departamentu środków masowego przekazu. Za parę minut obaj słuchali taśmy z pierwszej konferencji prasowej na stopniach budynku

sądowego w Middleton. Prezydent współczuje staremu przyjacielowi, mówi o roli przypadku w życiu, o tym, że Christine Sullivan żyłaby nadal, gdyby nie zachorowała. Zapominał o tym, że Christine Sullivan sama mu o tym powiedziała w dniu, w którym zginęła. Fakt możliwy do udowodnienia. Fakt mogący zrujnować ich wszystkich. I informacja o tym w rękach człowieka, który może ją wykorzystać.

Burton osunął się głębiej w fotelu i wpatrywał się w swojego szefa, który w milczeniu patrzył na taśmę, jakby próbował skasować myślami z nagrania własne słowa. Burton kręcił głową z niedowierzaniem. Wpuścić się w taki kanał przez własną sentymentalną gadaninę. Jak jakiś dumny polityk. A Sullivan nie daruje. Załatwi po drodze ich wszystkich.

- I co teraz zrobimy, szefie? Wskoczymy w Air Force One i pryśniemy? - Burton tylko połowicznie żartował. Siedział ze wzrokiem wbitym w dywan. Nie mógł logicznie myśleć. Czuł się jak kulka w automacie bilardowym odbijana w różne strony. Będzie potrzebował poważnej psychoterapii, gdy się wreszcie z tego wygrzebie. Ale co powie? „Panie doktorze, muszę panu opowiedzieć o sprawie tych morderstw i spisku prezydenta, słucha mnie pan, doktorze?”. Chyba nie do tego stopnia wierzy w przestrzeganie tajemnicy lekarskiej. Zwłaszcza jeśli psychiatra może dostać parę milionów dolarów za tę opowieść. Wszyscy ludzie są tacy sami. Kiedyś myślał, że sam jest inny, ale nie jest. Może śmierdzi trochę mniej, co nie znaczy, że smrodu nie ma.

Podniósł wzrok i zobaczył, że prezydent patrzy na niego uważnie.

- Walter Sullivan to jedyna osoba poza nami, która zna tę informację.

Burton wstał z fotela i spojrzał prezydentowi prosto w oczy.

- Nie jestem płatnym mordercą. Nie mogę rozważać ludzi tylko dlatego, że mi pan każe.

Prezydent nie odrywał wzroku od twarzy Burтона.

- Walter Sullivan stanowi dla nas bezpośrednie zagrożenie. Poza tym chce nas zrobić w konia, a ja nie lubię ludzi, którzy próbują zrobić mnie w konia. A ty?

- Ma cholernie poważne powody, nie sądzi pan?

Richmond podniósł z biurka wieczne pióro i obracał je w palcach.

- Jeśli Sullivan puści parę z gęby, jesteśmy przegrani. Całkowicie i bezapelacyjnie. - Prezydent wskazał na Burтона. - Ty. Ja. Wszystko, co zbudowaliśmy przez te lata. Stracone w jednej chwili. Nie wyobrażam sobie, jak to będzie. Ale wiem, że musimy zrobić wszystko, żeby temu zapobiec. Bo jeśli to się stanie, to żaden z nas nie ocali niczego.

Burton opadł na fotel, czując nagle pieczenie w żołądku.

- Skąd pan wie, że on już komuś tego nie wyśpiewał?

- Bo znam Waltera - powiedział prezydent po prostu. - Zrobi to po swojemu. To będzie coś spektakularnego. Wyrozumowanego. To nie jest człowiek, który działa w pośpiechu. Ale jak ruszy do akcji, to rezultaty są natychmiastowe i oszałamiające.

- Świetnie. - Burton objął dłońmi głowę, myśli pędziły szybciej, niż wydawało mu się to możliwe. Lata szkolenia wyrobiły w nim umiejętność błyskawicznego przetwarzania informacji, myślenia w biegu, działania w ciągu milisekund, szybciej niż ktokolwiek inny. W tej chwili jednak jego umysł tkwił w zamęcie, przypominał mętną, gęstą, zwietrzałą zupę. Podniósł wzrok.

- Zabić go?

- Gwarantuję ci, że właśnie w tej sekundzie Walter Sullivan myśli o tym, jak nas najskuteczniej zniszczyć. Nie wzbudza to mojej sympatii. - Prezydent odchylił się na oparcie fotela. - Mówiąc najprościej, ten człowiek zdecydował się wypowiedzieć nam wojnę. A konsekwencje decyzji trzeba ponosić. Walter Sullivan

wie to lepiej niż ktokolwiek inny. - Wzrok prezydenta przeszył Burtona jak laser. - Pytanie brzmi, czy my gotowi jesteśmy odeprzeć atak.

Odpowiedź przyszła szybko, choć nie była łatwa. Collin i Burton przez trzy ostatnie dni śledzili Waltera Sullivana. Kiedy wysiadł z samochodu na bezludziu, Burton nie mógł uwierzyć we własne szczęście, a równocześnie poczuł głębokie współczucie dla ofiary, który teraz stanowiła równie łatwy cel jak kaczka na środku stawu.

Prosty zamek nie sprawił mu kłopotu. Przeszedł po cichu kilka pomieszczeń i wreszcie zobaczył sylwetkę Sullivana. Wysłuchał rozmowy z Richmondem. Następnie zrobił to, co miał do zrobienia. Zabił wroga. Richmond miał rację. Sullivan działał z rozmysłem, choć tylko pośpiech mógł go ocalić. Ta myśl wcale nie ułatwiała pociągnięcia za spust. Przynajmniej nie widział wyrazu twarzy starca. Nie był pewien, czy zdołałby się wtedy powstrzymać przed włożeniem lufy pistoletu we własne usta. Nie brakowało mu do tego wiele i wcale go to nie dziwiło.

A więc żona i mąż załatwieni. W samochodzie pędzącym z powrotem do stolicy Burton nieświadomie wycierał rękę, jakby próbując zetrzeć brud, który czuł w każdym porze skóry. Chłód go przenikał na myśl, że nigdy nie pozbędzie się uczuć, które się w nim kłębiły, świadomości tego, co uczynił. Wewnętrzny, najgłębszy barometr emocjonalny pozostanie z nim do końca życia. Przehandlował czyjeś życie za własne. Jeszcze raz. W rezultacie jest słaby. Jego kręgosłup, przez tak wiele lat twardy jak stal, roztopił się w żalną gumę. Życie postawiło przed nim najwyższe wyzwania, a on im nie sprostał.

Wbił palce w poręcz siedzenia i patrzył w ciemność za oknem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Samobójstwo Waltera Sullivana wstrząsnęło nie tylko światem finansjery. W pogrzebie wzięli udział dygnitarze i grube ryby z całego świata. Na ceremonii w katedrze św. Mateusza, która miała odpowiednio uroczysty i wystawny przebieg, sześć wybitnych osobistości wygłosiło mowy pożegnalne. Najslynniejsza z nich mówiła bite dwadzieścia minut o tym, jakim wybitnym przedstawicielem ludzkości był Walter Sullivan, oraz o ciosach, które na niego spadły, tak bolesnych, że nie mógł ich znieść. Kiedy Alan Richmond skończył przemówienie, łzy ściekały po wszystkich policzkach, nie wyłączając jego własnych. Talenty oratorskie Richmonda robiły na nim samym wielkie wrażenie.

Długi kondukt pogrzebowy wyruszył z katedry i po trzech i pół godziny dotarł do małego domku, w którym Walter Sullivan rozpoczął i zakończył swój żywot. Limuzyny tłoczyły się na wąskiej, zaśniewanej drodze, Waltera spuszczone w dół i przysypano ziemią tuż obok jego rodziców. Na małym wzgórzu, którego jedynym bogactwem był widok na dolinę.

Kiedy trumnę już przykryto ziemią, a przyjaciele Waltera Sullivana wracali do świata żyjących, Seth Frank obserwował badawczo każdą twarz. Patrzył, jak prezydent wraca do limuzyny. Bill Burton zdziwił się na jego widok, po czym skinął mu głową. Frank się odklonił. Kiedy wszyscy żałobnicy odjechali, swoją uwagę skierował na mały domek. Wokół wciąż wisały żółte taśmy policyjne, a dwóch umundurowanych funkcjonariuszy trzymało straż.

Frank zbliżył się, błysnął swoją odznaką i wszedł do środka. Cóż za ironia losu, że najbogatszy człowiek na świecie wybrał sobie takie miejsce, żeby umrzeć. Walter Sullivan, żywa ilustracja do opowiadań Horatio Algera*. Frank podziwiał tego człowieka, który wniósł się dzięki własnym zdolnościom, determinacji i odwadze. Któż go nie podziwiał?

* Horatio Alger (1832-99), pisarz amerykański, autor opowiadań o biednych chłopcach, którzy zdobyli majątek i zrobili karierę dzięki ciężkiej pracy i umiejętnemu wykorzystaniu sprzyjających okoliczności.

Popatrzył na fotel, w którym znaleziono ciało, a obok broń. Pistolet wypalił w lewą skroń. Rana wlotowa, kontaktowa, duża i poszarpana. Broń upadła na podłogę po lewej stronie. Na dłoni denata ślady prochu. To wszystko spowodowało, że lokalna policja zakwalifikowała sprawę jako samobójstwo. Wniosek nasuwał się sam. Walter Sullivan, pogrążony w smutku po śmierci żony, pomścił ją, a następnie odebrał sobie życie. Jego współpracownicy potwierdzili, że z Sullivanem nie można się było skontaktować od kilku dni, co jak na niego było niewiarygodnie długim okresem. Rzadko udawał się do swojego azylu w starym domku i zawsze ktoś wiedział, gdzie się znajduje. Znaleziono przy nim gazetę z artykułem o śmierci człowieka podejrzanego o zabójstwo jego żony. Wszystko wskazywało, że postanowił odebrać sobie życie.

Franka martwił jeden drobny fakt, którym celowo nie podzielił się z nikim. Ze spotkań z Sullivanem zapamiętał, że był on praworęczny. Samo w sobie to jeszcze nic takiego. Sullivan mógł wziąć broń w lewą rękę z wielu powodów. Jego odciski palców na broni były ostre i wyraźne. Może za wyraźne, jak na gust Franka.

No i ta broń. Nie do identyfikacji: numery seryjne zostały profesjonalnie zatarte. Absolutnie sterylna broń. Takiej broni można spodziewać się na miejscu zbrodni. Lecz dlaczego Sullivan użył takiej broni, żeby się zabić? Co go obchodziło, czy zostanie zidentyfikowana, czy nie? Ale to też o niczym nie świadczy. Być może ktoś, kto mu dostarczył tę broń, zdobył ją nielegalnie. Dziwne, bo Wirginia jest jednym z tych stanów, w których - ku zmartwieniu policji - nabycie broni ręcznej nie nasuwa większych trudności.

Frank skończył przegląd wnętrza i obszedł budynek. Śnieg okrywał ziemię grubą warstwą. Sullivan zginął, zanim zaczęło sypać, potwierdziła to sekcja. Został znaleziony dwanaście godzin po śmierci przez swoich współpracowników, zaniepokojonych jego zniknięciem.

Śnieg nie mógł pomóc Frankowi. Cała ta okolica jest taka bezludna, że nie ma kogo zapytać, czy nie widział czegoś podejrzanego w nocy, gdy zginął Sullivan.

Podjechał prowadzący śledztwo oficer z biura szeryfa hrabstwa. Wsiadł z samochodu i pośpiesznie zbliżył się do Franka. Miał ze sobą skoroszyt z jakimiś papierami. Rozmawiali przez chwilę, po czym Frank mu podziękował, wsiadł do swojego samochodu i odjechał.

W protokole sekcji napisano, że Walter Sullivan zmarł między jedenastą a pierwszą w nocy. Ale o dwunastej dziesiątej Walter Sullivan do kogoś telefonował.

Korytarze firmy Patton, Shaw & Lord były niepokojąco ciche. Zdrowe funkcjonowanie organizmu kancelarii prawnej objawia się dzwonieniem telefonów, szumem faksów, kłopotem klawiatur, poruszaniem się ust. Lucinda, mimo że poszczególni współpracownicy mieli bezpośrednie telefony, na ogół odbierała osiem rozmów telefonicznych na minutę. Dziś leniwie kartkowała egzemplarz „Vogue”. Drzwi większości gabinetów były pozamykane, a za nimi prowadzono ożywione, a często gorączkowe dyskusje.

Drzwi gabinetu Sandy'ego Lorda były zamknięte na klucz. Tych kilku współpracowników, którzy mieli czelność, żeby zapukać do ciężkich wrót, samotny i najwidoczniej w nie najlepszym nastroju lokator gabinetu zalał takim potokiem wyzwisk, że więcej nie próbowali.

Siedział w fotelu ze stopami w skarpetkach na wypolerowanym biurku, bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem, nieogolony, z butelką mocnego trunku w zasięgu ręki. Oczy Sandy'ego Lorda stanowiły w tej chwili dwie krwawe plamy. W kościele długo wpatrywał się nimi w trumnę zawierającą zwłoki

Sullivana; prawdę mówiąc, zawierała doczesne szczątki ich obydwu.

Od wielu lat Lord wiedział, że śmierć Sullivana nadejdzie i z pomocą tuzina specjalistów z firmy wypracował skomplikowany system zabezpieczeń, do którego należało zdobywanie życzliwości i lojalności dyrektorów z rady zarządzającej holdingu Sullivana, co miało zapewnić na przyszłość firmie PS&L, a Lordowi w szczególności, stały dopływ zleceń z ogromnej sieci przedsiębiorstw magnata finansowego. Życie toczy się dalej. Firma, a z nią jej główna lokomotywa, pociągnie dalej ten pociąg z nową energią. Niestety zaszły nieprzewidziane okoliczności.

To, że śmierć Sullivana jest nieunikniona, było dla rynków finansowych zrozumiałe. Ale kręgi gospodarcze najwidoczniej nie umiały zaakceptować informacji, że odebrał sobie życie, oraz coraz głośniejszych plotek, które twierdziły, że Sullivan zlecił morderstwo podejrzanego o zabicie żony, i fakt ten doprowadził go w końcu do samobójstwa. Rynki nie były przygotowane na takie rewelacje. A zaskoczony rynek reaguje, o czym wiedzą ekonomiści, w sposób gwałtowny i nieprzewidywalny. Ekonomiści i tym razem mieli rację. Akcje Sullivan Enterprises poleciały w dół o sześćdziesiąt jeden procent na giełdzie nowojorskiej w dzień po odkryciu zwłok Sullivana. Był to najwyższy spadek akcji notowany od dziesięciu lat.

Akcie sprzedawane po całe cztery dolary poniżej ich wartości księgowej natychmiast zwabiły giełdowe sępy.

Dyrektorzy odrzucili za radą Lorda ofertę zakupu pakietu kontrolnego złożoną przez Centrus Corporation, natomiast nie pogardzili nią drobni akcjonariusze, którzy z przerażeniem zauważyli, że duża część ich oszczędności wyparowała w ciągu jednej nocy. Przejęcie zwierzchności nad byłym imperium Sullivana nie potrwa dłużej niż dwa miesiące. Firma Rhoads, Director & Minor, zajmująca się sprawami Centrus Corporation, jest jedną z największych kancelarii prawnych w kraju, świetnie znającą się na wszystkich dziedzinach doradztwa prawnego.

Rezultat jest oczywisty. Firma PS&L przestanie być potrzebna. Jej największy klient, dający ponad dwadzieścia milionów dolarów, czyli ponad jedną trzecią jej dochodów - wypadnie. Z firmy już zaczęły znikać akta. Grupy robocze firmy próbowały dogadać się z Rhoadsem, wnosząc jako swój atut orientację w interesach Sullivana, co pozwoli nowemu pełnomocnikowi prawnemu oszczędzić wysokich kosztów zaznajamiania się z nowymi sprawami. Dwadzieścia procent lojalnych dotychczas pracowników firmy złożyło już wypowiedzenia i nic nie wskazywało na to, że fala ta się odwróci w niedalekiej przyszłości.

Ręka błędziła po blacie biurka, aż znalazła butelkę whisky, w której szybko błysnęło dno. Lord okręcił się w fotelu, popatrzył na ponury zimowy poranek za oknem i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

On nie ma czego szukać w firmie Rhoads, Director & Minor, na żadne układy z nim nie pójdą. Stało się to, co się miało stać: Lord okazał się wrażliwy na cios. Był świadkiem niejednej klęski w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Łatwo o nią, kiedy jest się miliarderem na papierze. Nie przepuszczał jednak, że jeśli to się przytrafi jemu, stanie się to tak przerażająco nagle i tak nieodwracalnie.

Oto skutki, jeśli się ma ośmiocyfrowego goryla za klienta. Zabiera cały twój czas i uwagę. Starzy klienci wyschli i pomarli. O nowych klientów się nie dbało. Teraz się to mści.

Przeliczył szybko. Przez dwadzieścia ostatnich lat zarobił netto z grubsza trzydzieści milionów dolarów. Talent do interesów, jaki objawiał w pracy, nie służył mu w życiu osobistym. Jakoś udało mu się wydać nie tylko te trzydzieści milionów, ale jeszcze dużo więcej. Miał wiele luksusowych domów, letnią rezydencję w Hilton Head, dyskretną garsonierę w Nowym Jorku, dokąd wabił ofiary swoich seksualnych podbojów. Waszyngtońskie mieszkanie kwalifikowało się na strony magazynu „Jak mieszkać luksusowo”, a hipoteka do spłacenia była olbrzymia. Samochody, kolekcje sztuki, których jako człowiek

określonej pozycji i o określonym smaku nie mógł nie gromadzić, niewielka, lecz niezwykle wykwintna piwniczka win, własny helikopter - owszem, posiadał to wszystko, lecz trzy rozwody, a żaden z nich nie był łatwy, uszczupliły zasadniczo jego podstawowe aktywa. I jedyną rzeczą, której mu rzeczywiście brakowało, była gotówka. Utracił płynność finansową, a w firmie PS&L tylko to, co sam upolujesz, jest twoje, wspólnicy PS&L nie mają zwyczaju dzielić się zdobyczą. Przecież właśnie dlatego dochody Lorda były znacznie wyższe niż czyjekolwiek inne. Teraz, po korekcie, okaże się, że jego dochody z ledwością pokryją wydatki z kart kredytowych. Rachunki z samej American Express zazwyczaj sięgały kwot pięciocyfrowych.

Na chwilę zaprzął swoje szare komórki do myślenia o innych klientach niż Sullivan. Przybliżony szacunek dawał mu w najlepszym razie pół miliona, i to jeśli dobrze by ich nacisnął i wziął się ostro do pracy, na co nie miał najmniejszej ochoty. To poniżej jego godności. A przynajmniej było tak, zanim stary, poczciwy Walter nie postanowił, że nie warto żyć mimo kilkunastu miliardów na koncie. Jezu Chryste! I wszystko przez jedną durną kurewkę.

Pięćset patyków! To nawet mniej niż ma ten mały kutas Kirksen. Lord skrzywił się na to odkrycie.

Podjechał z krzesłem pod ścianę i przyjrzał się obrazowi, który tam wisiał. Między pociągnięciami pędzla drugorzędnego dziewiętnastowiecznego artysty znalazł coś, co kazało mu się jeszcze raz uśmiechnąć. Została mu jeszcze jedna możliwość. Wprawdzie jego największy klient zupełnie zrujnował mu życie, lecz tłustemu specjalistcie od sporządzania umów została jeszcze jeden atut do zagrania. Złapał za telefon.

Fred Martin pchał swój wózek korytarzem. To był dopiero jego trzeci dzień w pracy, a pierwszy doręczania korespondencji urzędnikom. Martinowi zależało na tym, żeby wykonać swoje zadanie szybko i dokładnie. Był jednym z dziesięciu gońców zatrudnianych przez firmę i odczuwał nacisk swojego zwierzchnika, żeby przyspieszył tempo pracy. Po szlifowaniu bruków przez cztery miesiące z dyplomem bakałarza historii z uczelni w Georgetown, Martin wymyślił, że jego jedyną szansą są studia prawnicze. A gdzie znajdzie się lepsze miejsce, by rozpoznać możliwości kariery w tym fachu, niż w jednej z najbardziej prestiżowych stołecznych firm? Dziesiątki rozmów wstępnych w sprawie pracy uświadomiły mu, że zacząć trzeba od wyrobienia sobie znajomości.

Popatrzył na plan budynku z nazwiskiem prawnika przy każdym kwadraciku oznaczającym gabinet. Martin złapał ten plan z biurka w swojej pakamerze i nie zauważył, że jego uaktualniona wersja wsunęła się pod gruby plik dokumentów, które miał oprawić po południu.

Skreślił za róg, zatrzymał się i spojrzął na zamknięte drzwi. Dzisiaj wszystkie drzwi są zamknięte. Wziął pakiet w firmowym pudełku firmy kurierskiej Federal Express, sprawdził nazwisko na planie i wypisane odręcznie na nalepce na pudełku. Zgadza się. Zapukał, odczekał chwilę, zapukał jeszcze raz i nacisnął klamkę.

Rozejrzał się. Straszny bałagan. Pełno pudeł na podłodze, meble w nieładzie. Jakieś papiery rozrzucone na biurku. Pierwszy odruch nakazywał skonsultować się ze zwierzchnikiem. Może jakaś pomyłka. Popatrzył na zegarek. Już ma dziesięć minut spóźnienia. Złapał za telefon wykręcił numer zwierzchnika. Nikt nie podnosi słuchawki. Potem zobaczył zdjęcie kobiety na biurku. Wysoka, kruczowłosa, elegancko ubrana. To musi być gabinet mężczyzny. Pewnie dopiero się tu wprowadza. Kto by zostawił takie zdjęcie, gdyby to była wyprawdzka? Przekonany Fred starannie położył pakiet na krześle, gdzie na pewno zostanie znaleziony. Wychodząc, zamknął drzwi.

- Przykro mi z powodu Waltera, Sandy. Naprawdę. - Jack wyjrzał przez okno. Apartament na szczycie wieżowca w północno-zachodniej dzielnicy musiał kosztować majątek, a drugie tyle wyposażenie wnętrza. Gdziekolwiek spojrzął, oryginalne dzieła sztuki, miękka skóra i rzeźbione marmury. No cóż, niewielu Sandych Lordów jest na świecie i muszą gdzieś mieszkać.

Lord siedział przy ogniu, który trzaskał wesoło na kominku, tłuste cielsko owinął luźnym wzorzystym szlafrokiem, bosa stopy wysunął ze skórzanych pantofli. W ogromne tafle okien tłukł zimny deszcz. Jack przysunął się do ognia, jego umysł był niespokojny jak płomień. Iskierka upadła na marmurową płytę przed kominkiem i zgasła. Jack zakołysał swoim drinkiem i popatrzył na współnika.

Tego telefonu właściwie się spodziewał: „Musimy pogadać, Jack. Im prędzej tym lepiej. Dla mnie. Nie w biurze”.

Kiedy przyjechał, został przyjęty przez starszawego lokaja Lorda i dyskretnie wprowadzony w głąb mieszkania.

Obaj siedzieli teraz w mahoniowym gabinecie Lorda, królestwie męskiego luksusu, na którego widok Jack poczuł zmieszane z poczuciem winy ukłucie zazdrości. Przypomnił sobie kolosalną kamienną fasadę domu z ogromnym ogrodem. Była tam podobna biblioteka. Z wysiłkiem skupił się znów na słowach Lorda.

- Zostałem wyrolowany, Jack. - Pierwsze słowa z ust Lorda spowodowały, że Jack miał ochotę się uśmiechnąć. Facet nie owija w bawełnę. Ale się powstrzymał. Należało mieć wzgląd na ton głosu Lorda.

- Firma da sobie radę, Sandy. Nie stracimy już więcej. Wynajmiemy komuś trochę powierzchni biurowej, nie ma sprawy.

Lord się podniósł i podszedł do dobrze zaopatrzonego barku w kącie. Napenił szklankę po brzegi i przelknął jej zawartość wprawnym ruchem.

- Wybacz, Jack, może nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Dla firmy to cios, ale nie nokaut. Masz rację. Patton i Shaw jakoś to przetrwają. A ja mówię o tym, czy Patton, Shaw i Lord się z tego podniosą.

Przeszedł na drugą stronę pokoju i bezwładnie zwałił się na skórzaną kanapę. Jack z troską spojrzął na gęsty rząd mosiężnych ćwieków mocujących skórę do ramy mebla. Łyknął drinka i przyjrzał się ociężałej twarzy. Oczy nie były szersze niż szparki na żeton w automacie.

- Jesteś przywódcą firmy, Sandy, nie sądzę, żeby to się miało zmienić, nawet jeśli zainkasowałeś cios z powodu uszczuplenia twojej podstawowej klienteli.

Sandy jęknął, pólżąc.

- Cios?! Cios?! Dostałem w dupę bombą atomową, Jack. Mistrz świata wagi ciężkiej nie mógłby mi zadać mocniejszego ciosu. Leżę na obu łopatkach. Sępy już krążą, Lord będzie ich głównym daniem. Nadziewane proszę z jabłkiem w pysku i tarczą strzelniczą na tyłku.

- Kirksen?

- Kirksen, Packard, Mullins, pieprzony Townsend. Licz, Jack, koniec liczenia przyjdzie, jak dotrzemy do końca listy współników. Muszę przyznać, że moje stosunki ze współnikami są wyłącznie nienawistne.

- Ale nie z Grahamem, Sandy. Nie z Grahamem.

Lord z wolna się dźwignął, wspierając się na sflaczałym ramieniu.

Jack zastanawiał się, dlaczego tak bardzo lubi tego faceta. Odpowiedzi trzeba by szukać pewnie gdzieś dawno, w czasie tamtego lunchu u Fillmore'a. Żadnego pieprzenia bez sensu. Kop mnie w dupę, ale nie pieprz bez sensu. Taki chrzest inicjujący życie w realnym świecie, w którym słowo potrafi stać się żądłem. Doznajesz skurczu wnętrzości, a twój mózg generuje odpowiedzi, których nigdy nie będziesz miał odwagi powiedzieć na głos. W mieście słynącym ze sztuki prawniczego bełkotu Lord był

odświeżająco odmienny. Dzięki temu można było znieść wiele jego pozostałych cech, o których powiedzieć, że są przykre, to stanowczo za mało. Może tak właśnie wygląda urok w dzisiejszych czasach. Teraz ten człowiek jest w kłopotach. Jack umiał go ochronić. A może tylko mu się tak wydaje, jego związek z Baldwinami nie był obecnie szczególnie solidny. Zresztą zależy, jak na to patrzeć. Pod pewnymi względami był idealny.

- Sandy, jeśli oni chcą się do ciebie dobrać, będą musieli najpierw załatwić mnie. - Powiedział to. I nie były to słowa na wiatr. Przecież to Lord dał mu szansę zabłysnąć wśród najgrubszych ryb. Jack został wrzucony na głęboką wodę. W jaki sposób mógłby się przekonać, czy sobie poradzi? Udało mu się. To doświadczenie było czegoś warte. Zawdzięczał to Lordowi. Nie wiedział, czy jest zachwycony tą konkluzją, czy nie. Ale była to jedyna uczciwa konkluzja, jaka mu przychodziła do głowy.

- Ruffy czekają na nas obu, Jack.

- Dobrze pływasz, Sandy. A poza tym nie posadzaj mnie o bezinteresowność. Jesteś inwestycją. Masz talent do łapania nadzianych klientów. Jesteś w dołku, prawda, ale nie zostaniesz tam na zawsze. Dziś masz pięćset patyków, ale to znaczy, że za rok będziesz znów numerem jeden. Nie zamierzam wypuścić takiego atutu z ręki.

- Nie zapomnę tego, Jack.

- Nie dam ci zapomnieć, Sandy.

Po wyjściu Jacka Lord zaczął nalewać sobie następną szklaneczkę, ale zatrzymał się. Popatrzył na swoje roztrzęsione ręce i z wolna odstawił butelkę. Udało mu się dotrzeć do kanapy, zanim kolana się pod nim załamały. Wielkie lustro nad kominkiem pokazało jego odbicie. Od dwudziestu lat na jego twarzy nie pokazała się jedna łza. Od śmierci matki. Dziś płynęły nieprzerwanie. Oplakiwał swojego przyjaciela, Waltera Sullivana. Przez całe lata Lord wmawiał sobie, że ten człowiek jest tylko jego złotą żyłą. Cenę za to przyszło zapłacić na pogrzebie, kiedy Lord rozplakał się tak gwałtownie, że musiał uciec do samochodu, zanim ceremonia dobiegła końca.

Teraz wytarł opuchnięte policzki ze słonego płynu. Pieprzony szczeniak. Lord zaplanował wszystko do ostatniego szczegółu. To miał być majstersztyk. Przewidział każdą możliwą odpowiedź, z wyjątkiem tej, która padła. Pomylił się co do tego młodzieńca. Lord założył, że Jack zrobi to samo, co zrobiłby sam Lord: że będzie chciał wycisnąć każdą korzyść, jaką się tylko da, za tę ogromną przysługę, o jaką się go prosi.

Dopał do go nie poczucie winy, tylko wstyd. Zdał sobie z tego sprawę, kiedy nabrał do płuc haust świeżego powietrza i w ataku astmy zgiał się nad grubym, gąbczastym dywanem. Wstyd. Nie czuł go od tak dawna. Od czasu do czasu budziły się w nim ludzkie uczucia, mimo konsekwentnej podróży ku całkowitemu zubożeniu. Doskonała maszyna do sporządzania umów, pozbawiona uczuć i trosk, niepowstrzymana. Atak minął, a on jeszcze raz spojrzął na wrak w lustrze. I obiecał sobie, że nie rozczaruje Jacka. Że z powrotem dostanie się na szczyt. I że nie zapomni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Frank nigdy nawet nie śnił, że przyjdzie mu tutaj się znaleźć. W tym pokoju. Rozejrzał się dokoła i szybko stwierdził, że naprawdę jest owalny w kształcie. Umeblowanie raczej konserwatywne, solidne, ale dostrzec można tu i ówdzie coś kolorowego, jak parę drogich adidasów ustawionych równo na najniższej półce, co wskazywało, że bywalec tego pokoju nie wybiera się jeszcze na emeryturę. Frank przelknął z

trudem i zmusił się do normalnego oddechu. Jest policjantem z dużym doświadczeniem, a to tylko kolejne rutynowe przesłuchanie z niekończącej się serii przesłuchań. Po prostu zbiera poszlaki związane z jednym z tropów, to wszystko. Za parę minut będzie po wszystkim.

Mózg jednak przypominał mu, że osoba, którą ma właśnie przesłuchać, to urzędujący prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zalała go kolejna fala tremy i wtedy otworzyły się drzwi. Szybko stanął, odwrócił się i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w wyciągniętą rękę, nim wreszcie ogarniając sytuację, wyciągnął swoją na spotkanie.

- Miło mi, że pofatygował się pan do mnie, poruczniku.

- Żaden kłopot, sir. Pan prezydent ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż stać w korkach. Chociaż wydaje mi się, że pan prezydent nigdy nie stoi w korkach, nieprawdaż?

Richmond usadowił się za biurkiem i gestem wskazał Frankowi krzesło. Niewzruszony Burton, który ukazał się Frankowi dopiero teraz, zamknął drzwi.

- Moje przejazdy są chyba z góry przygotowane. To prawda, że nie utykam w korkach, ale to pozbawia życie spontaniczności. - Prezydent się uśmiechnął, a Frank poczuł, jak jego usta automatycznie rozciągają się w uśmiechu. Ma facet magnetyczny urok, miały rację te wszystkie baby tam, w komendzie.

Prezydent pochylił się i popatrzył mu prosto w oczy. Złożył ręce, zmarszczył czoło i w jednej chwili przeszedł od jowialności do powagi.

- Chciałbym panu podziękować. Bill mówił mi, że bardzo się pan zaangażował w dochodzenie w sprawie śmierci Christine Sullivan. Doceniam to, Seth. - Rzucił okiem na Burtona. - Ktoś inny mógłby nie chcieć tak ściśle współpracować z nami albo dla własnej korzyści zwróciłby się do mediów. Wiedziałem, że po panu można się spodziewać czegoś lepszego i nie zawiodłem się. Jeszcze raz dziękuję.

Frank rozpromienił się, jakby dostał odznakę „Wzorowy uczeń”.

- To straszne - ciągnął prezydent. - To samobójstwo Sullivana. I ten, ten zbrodniarz zastrzelony. Czy ma pan już jakieś określone poszlaki łączące oba zdarzenia?

Frank otrząsnął się z samozadowolenia i wbił nieruchomy wzrok w twarz prezydenta.

- No, poruczniku, niech pan powie. Cały oficjalny i nieoficjalny Waszyngton huczy od spekulacji, że Walter Sullivan wynajął płatnego zabójcę, żeby pomścić śmierć swojej żony, a potem odebrał sobie życie. Nie powstrzyma pan plotek. Chciałbym się dowiedzieć, czy w toku śledztwa wyszły na jaw jakieś fakty, które to ponad wszelką wątpliwość potwierdzają.

- Obawiam się, że nic nie mogę powiedzieć, sir. Mam nadzieję, że zrozumie pan, śledztwo jest w toku.

- Niech się pan nie przejmuj, poruczniku, nie zamierzam się wtrącać. Ale musi pan zrozumieć, że te ostatnie wydarzenia bardzo mną wstrząsnęły. Pomyśleć, że Walter Sullivan odbierze sobie życie. Nieprawdopodobne. Jeden z najbardziej błyskotliwych i utalentowanych ludzi naszych czasów, wszech czasów.

- Taką się cieszył opinią.

- Ale tak między nami, znałem Waltera dobrze i powiem panu, że nie można wykluczyć, że podjął konkretne kroki, żeby... załatwić mordercę swojej żony.

- Podejrzanego o morderstwo, panie prezydencie. Człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni się mu winy.

Prezydent popatrzył na Burtona.

- Ale wydawało mi się, że oskarżenie opierało się na żelaznych podstawach.

- Niektórzy adwokaci uwielbiają żelazne podstawy, sir. Wie pan, jak się poleje wodą i trochę poczeka,

to żelazo rdzewieje i zanim się człowiek obejrzy, pełno w nim dziur.

- A ten jego adwokat to właśnie taki typ?

- Nie tylko on. Nie lubię się zakładać, ale nie dałbym więcej niż czterdzieści procent szans na skazanie.

Zanosilo się na prawdziwą bitwę.

Prezydent opadł na oparcie fotela i przetrawiał informację. Potem popatrzył na Franka.

Frank zauważył wreszcie wyczekujący wyraz na jego twarzy i otworzył swój notatnik. Tętno wróciło do normy, kiedy zagłębił się w znajome bazgroły.

- Czy pan prezydent wie, że tuż przed śmiercią Walter Sullivan zadzwonił tutaj?

- Rozmawiałem z nim, ale nie zdawałem sobie sprawy, że zaraz potem zmarł, nie.

- Chyba domyśla się pan, że jestem nieco zaskoczony, iż wcześniej nie ujawnił pan tej informacji.

Mina prezydenta wydłużyla się.

- Wiem. Chyba sam jestem tym trochę zaskoczony. Zdaje się, że nie chciałem narażać Waltera, przynajmniej jego pamięci, na dalszy uszczerbek. Przecież wiedziałem, że policja i tak odkryje, że przeprowadzono tę rozmowę... Przykro mi, poruczniku.

- Chciałbym poznać szczegóły tej rozmowy.

- Napije się pan czegoś, Seth?

- Filiżankę kawy, jeśli można.

Burton jakby tylko na to czekał, podniósł słuchawkę telefonu w kącie i minutę później wniesiono srebrną tacę z kawą.

Kawa była gorąca i aromatyczna. Prezydent popatrzył na zegarek, spostrzegł, że Frank mu się przygląda.

- Przepraszam, Seth, traktuję twoją wizytę z należąca powagą. Jednakże mam delegację Kongresu na lunchu za parę minut, a szczerze mówiąc, wcale się na to nie cieszę. Może to zabrzmie śmiesznie, ale nie przepadam za politykami.

- Rozumiem. To zajmie tylko parę minut. Po co dzwonił?

Prezydent odchylił się do tyłu, jakby podsumowując swoje myśli.

- Scharakteryzowałbym tę rozmowę jako desperacką. Nie był sobą. Wydawał się wytrącony z równowagi, jakby stracił panowanie nad sobą. Długo milczał. Bardzo niepodobne do Waltera Sullivana.

- O czym mówił?

- O wszystkim i o niczym. Czasami po prostu bełkotał. Mówił o śmierci Christine. Potem o tym człowieku, o człowieku, którego pan aresztował za morderstwo. O tym, jak go nienawidzi, o tym, że zrujnował mu życie. Strasznie się tego słuchało.

- A co pan mu powiedział?

- Ciągle go prosiłem, żeby powiedział, gdzie jest. Chciałem go odnaleźć, jakoś pomóc. Ale mi nie powiedział. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy cokolwiek słyszał z tego, co mówiłem. Był w strasznym stanie.

- A więc uważa pan, że mówił jak człowiek, który zamierza popełnić samobójstwo, sir?

- Nie jestem psychiatrą, poruczniku, ale jeśli miałbym jako laik zgadywać, w jakim był stanie psychicznym, to tak, zdecydowanie powiedziałbym, że Walter Sullivan mówił jak ktoś, kto pragnie odebrać sobie życie. To była jedna z tych nielicznych sytuacji za mojej prezydentury, kiedy czułem się naprawdę bezradny. Mówiąc szczerze, po tej rozmowie wcale nie byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że nie żyje. - Richmond spojrział na kamienną twarz Burтона, potem popatrzył na detektywa.

Frank zwrócił się do Burtona.

- Pewnie nie ma pan nagrania tej rozmowy. Wiem, że niektóre rozmowy są nagrywane.

Odpowiedział prezydent.

- Sullivan użył mojej prywatnej linii, poruczniku. To kanał zastrzeżony i nagrania rozmów na tej linii nie są nagrywane.

- Rozumiem. Czy dał panu do zrozumienia, że ma jakiś związek ze śmiercią Luthera Whitneya?

- Nie bezpośrednio. Najwyraźniej nie myślał jasno. Ale można było wyczytać coś między wierszami, ta cała nienawiść. Trudno mi to mówić o człowieku, który nie żyje, ale sądzę, że to całkiem jasne, że to on doprowadził do śmierci tego człowieka. Nie mam oczywiście dowodów, ale takie odnoszę wrażenie.

Frank pokręcił głową.

- Cóż to była za kłopotliwa rozmowa.

- Tak, tak, bardzo kłopotliwa. A teraz, poruczniku - powiedział Richmond podnosząc się - obawiam się, że wzywają mnie obowiązki wagi państwowej.

Frank ani drgnął.

- A dlaczego, jak pan sądzi, zadzwonił do pana? O tej porze?

Prezydent usiadł z powrotem i rzucił kolejne szybkie spojrzenie Burtonowi.

- Walter był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Kładł się bardzo późno, ja zresztą też. Nie było nic nadzwyczajnego, że zadzwonił o tej porze. Od paru miesięcy nie kontaktowaliśmy się za często. Jak pan wie, miał ciężkie przejścia osobiste. A Walter należał do tych osób, które cierpią w milczeniu. No, Seth, jeśli pozwolisz...

- Ciekawi mnie, dlaczego spośród wszystkich ludzi, do których mógł zadzwonić, zadzwonił właśnie do pana. Chodzi mi o to, że nawet zastać pana miał małe szanse. Prezydent ma przecież bardzo napięty plan zajęć. Zastanawia mnie, co sobie myślał.

Prezydent odchylił się do tyłu, zetknął palce obu rąk i spojrzał w sufit. Ten gliniarz chce mi pokazać, jaki jest sprytny. Popatrzył znów na Franka i uśmiechnął się.

- Gdybym umiał czytać ludziom w myślach, nie musiałbym tak bardzo polegać na specjach od sondazy popularności.

Frank uśmiechnął się.

- Nie trzeba być telepatą, żeby wiedzieć, że ma pan ten fotel na następne cztery lata, sir.

- Dziękuję za szczerą, poruczniku. Mogę panu tylko powiedzieć, że Walter do mnie zadzwonił. Jeśli planował odebrać sobie życie, do kogo miał zadzwonić? Rodzina zerwała z nim, kiedy ożenił się z Christine. Miał wielu znajomych w kręgach gospodarczych, ale zaledwie paru, których mógłby nazwać przyjaciółmi. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to nieskromnie, ale byłem jedynym prezydentem, którego Walter znał dobrze. Znaliśmy się od lat, właściwie, uważałem go za przybranego ojca. W sprawę zabójstwa jego żony bardzo się zaangażowałem, jak pan wie. To wszystko razem może wyjaśnić, dlaczego chciał rozmawiać właśnie ze mną, zwłaszcza jeśli zamierzał odebrać sobie życie. To wszystko, co wiem, naprawdę. Przykro mi, że nie mogę bardziej panu pomóc.

Otworzyły się drzwi, Frank nie zauważył, że przedtem prezydent przycisnął mały guzik pod blatem biurka. Prezydent popatrzył na sekretarkę.

- Już idę, Lois. Poruczniku, jeśli mógłbym jeszcze coś dla pana zrobić, proszę zawiadomić Billa.

Frank zatrzasnął notatnik.

- Dziękuję, sir.

Richmond po wyjściu Franka wpatrywał się w drzwi przez całą minutę.

- Jak się nazywał ten adwokat Whitneya, Burton?

Burton zastanowił się chwilę.

- Graham. Jack Graham.

- Nazwisko brzmi mi znajomo.

- Pracuje u Pattona, Shawa & Lorda. Jest tam współnikiem. - Prezydent nie odrywał wzroku od twarzy agenta. - O co chodzi?

- Nie jestem pewien. - Richmond otworzył notatnik, który założył do tej drobnej nadprogramowej sprawy. - Nie trać z oczu faktu, Burton, że jeden niezwykle ważny dowód rzeczowy, za który przyszło nam zapłacić pięć milionów dolarów, nie trafił do nas. - Popatrzył na kartkę. Były tam nazwiska osób związanych w różnym stopniu z ich małym dramatem. Gdy jego umysł przetwarzał bloki informacji i możliwe scenariusze, nagle jedno nazwisko wyskoczyło na pierwszy plan. Jedna osoba, której dotąd w ogóle się nie brało pod uwagę.

Edwina Broome.

Jack jedną rękę zajęta miał torbą z jedzeniem na wynos, w drugiej trzymał swój neseser, mimo to udało mu się jakoś wysupłać z kieszeni klucze. Miał je właśnie wsunąć w zamek, gdy drzwi się otworzyły.

- Nie spodziewałem się, że już wrócisz do domu - zdziwił się.

- Nie musiałeś się zatrzymywać. Upichciłabym coś.

Jack wszedł, rzucił neseser na ławę i pomaszerował do kuchni. Kate odprowadziła go wzrokiem.

- Przecież też pracujesz cały dzień. Dlaczego miałabyś gotować?

- Kobiety robią to codziennie, Jack. Wystarczy rozejrzeć się dookoła.

Wychylił się z kuchni.

- Nie ma się o co kłócić. Chcesz słodko-kwaśną wieprzowinę czy porcję moo goo gai? Na dodatek wzięłem krokiety.

- Ty wybieraj. Nie jestem bardzo głodna.

Cofnął się i wynurzył z dwoma pełnymi talerzami.

- Jedz, bo jak tak dalej pójdzie, to cię wiatr porwie. Będę ci musiał napychać kieszenie kamieniami.

Usiadł po turecku przy niej na podłodze. Wzięła swój talerz, a on pochłaniał swoją porcję.

- Jak tam w pracy? Trzeba było wziąć parę dni wolnego. Zawsze za wiele od siebie wymagasz.

- I kto to mówi!? - Wzięła krokietę, a potem odłożyła z powrotem.

Opuścił widelec i popatrzył na nią.

- Więc słucham.

- Od kiedy?

- Kate, zawsze słucham, jeśli masz coś do powiedzenia. Wiem, że to był dla ciebie okropny szok. Ale poczułbym się dużo lepiej, gdybyś przynajmniej ze mną o tym porozmawiała.

Przeniosła się na kanapę, palcami bawiła się naszyjnikami. Nie przebrała się jeszcze po pracy, wyglądała na wyczerpaną, jak kwiat zwiędły na wietrze.

- Mnóstwo myślałam o tym, co zrobiłam Lutherowi.

- Kate...

- Jack, daj mi skończyć. Chciałeś słuchać, to słuchaj. - Jej głos smagnał go jak bicz. Po chwili rysy jej twarzy złagodniały. Kontynuowała spokojniej. - Doszłam do wniosku, że nigdy sobie tego do końca nie wybaczę, więc właściwie muszę zaakceptować to, co się stało. Być może to, co zrobiłam, nie było złe, z wielu powodów. Ale z jednego powodu było zdecydowanie złe. To był mój ojciec. I cokolwiek by mówić,

to powinien być powód decydujący. - Ukręciła naszyjnik, paciorki rozsypały się na podłodze. - Zdaje się, że bycie prawnikiem, a przynajmniej takim prawnikiem, jakim jestem, zrobiło ze mnie osobę, której tak naprawdę strasznie nie lubię. To niezbyt przyjemne spostrzeżenie, gdy się dobiega trzydziestki.

Jack wyciągnął rękę, żeby powstrzymać drżenie Kate. Nie poruszyła się. Czuł krew tętniącą w jej żyłach. Pod palcami czuł gorąco, prawie parzyło.

- Biorąc to wszystko pod uwagę, dojrzałam do radykalnej zmiany. W życiu, w pracy, wszędzie.

- Co ty? - Wstał z podłogi i usiadł koło niej. Czuł przyspieszający puls, gdy jego myśli zaczęły przewidywać, w jakim kierunku idzie jej rozumowanie.

- Nie chcę już być prokuratorem, Jack. Właściwie nie chcę w ogóle być prawnikiem. Dziś rano złożyłam wymówienie. Muszę przyznać, że byli mocno wstrząśnięci. Powiedzieli, żebym to przemyślała. Odparłam, że już to zrobiłam. Więcej nie mam zamiaru.

Niedowierzanie biło z jego głosu i miny.

- Rzucasz robotę? Jezu, Kate, przecież od cholery wysiłku włożyłaś w swoją karierę. Nie możesz tego po prostu wyrzucić na śmietnik.

Wstała nagle i wyjrzała przez okno.

- Tak po prostu jest, Jack. Niczego nie wyrzucam na śmietnik. Wspomnienia z ostatnich czterech lat pracy to horror, który wystarczy mi do końca życia. To nie to, co sobie wyobrażałam jako pierwszoroczniczka, siedząc na seminariach z prawa konstytucyjnego i dyskutując o zasadach sprawiedliwości.

- Nie doceniasz się. Przecież ulice są znacznie bezpieczniejsze dzięki twojej robocie.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Czyżby, Jack? Wskaźnik zabójstw jest trzykrotnie wyższy, niż był wtedy, kiedy zaczynałam. Wszystkie statystyki dotyczące brutalnej przestępczości co najmniej podwoiły się w ciągu tych czterech lat. Nie zatamuję tej powodzi. Zostałam już dawno zmyta do morza. Nawet brzegu już nie widzę.

- Co będziesz robić? Przecież jesteś prawniczką.

- Nie, nie masz racji. Prawo to tylko niewielki fragment mojego życiorysu. Przedtem życie podobało mi się znacznie bardziej.

Jack prawie się z tym zgodził, ale następne jej słowa go poruszyły.

- Wyprowadzam się stąd, Jack. Jeszcze nie bardzo wiem dokąd. Mam trochę oszczędności. Może na południowy zachód. Albo do Kolorado. Tam gdzie będzie zupełnie inaczej niż tutaj. Od tego zacznę.

- Wyprowadzka. - Jack powiedział to słowo bardziej do siebie niż do niej. W dzieciństwie ciągle tak się zdarza, że masz przyjaciela, którego tata zostaje przeniesiony i wyprowadzają się. Tęsknisz za nim, ale w końcu się z tym godzisz, a nowi przyjaciele przybywają, żeby zająć zwolnione miejsce. Ale z dorosłymi tak nie jest. - Wyprowadzka. - Powtórzył to słowo, jakby chciał je w ten sposób odegnąć albo zinterpretować w inny sposób, nie tak boleśnie jak teraz.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

- Nic mnie tu przecież nie trzyma.

Spojrzał na nią i bardziej poczuł, niż usłyszał gniewną odpowiedź, która wyrwała mu się z ust.

- Niech cię szlag trafi! Jak możesz tak mówić?

Popatrzyła w bok, po czym wróciła spojrzeniem. Prawie widać było, jak ściskają za gardło, gdy mówiła:

- Lepiej już idź.

Jack usiadł przy swoim biurku, nie mając najmniejszej chęci zmierzyć się ze stertą roboty, stosem różowych karteczek z wiadomościami i zastanawiał się, czy jego życie mogłoby być jeszcze gorsze. W tym momencie wszedł Dan Kirksen. Jack jęknął w duchu.

- Dan, naprawdę nie mam...

- Nie było cię na zebraniu wspólników dziś rano.

- Nikt mnie o nim nie powiadomił.

- Informację wysłano według rozdzielnika, ale ostatnio twoje godziny pracy są, powiedzmy, ruchome.

- Popatrzył z dezaprobatą na bałagan na biurku Jacka. Na jego własnym panował zawsze nieskazitelny porządek, nawiasem mówiąc, był to najlepszy dowód, że nie kala się żadną pracą.

- W tej chwili jestem w pracy.

- Zdaje się, że ty i Sandy spotkaliście się u niego w domu.

Jack przyjrzał mu się uważnie.

- Prowadzimy śledztwo?

Kirksen zarumienił się z gniewu.

- Sprawy dotyczące wspólników powinny być omawiane w obecności wszystkich wspólników. Nie potrzebujemy tutaj frakcji, które mogą jeszcze bardziej osłabić naszą firmę.

Jack niemal roześmiał się w głos. Dan Kirksen, niekwestionowany król frakcyjnej roboty.

- Myślę, że najgorsze już za nami.

- Naprawdę, Jack? Rzeczywiście tak myślisz? - Kirksen skrzywił się kpiąco. - Nie wiedziałem, że masz tyle doświadczenia w takich sprawach.

- Dan, jeśli tak cię to martwi, to czemu sam nie odejdziesz?

Kpina błyskawicznie wyparowała z twarzy człowieka.

- Pracuję w tej firmie prawie dwadzieścia lat.

- Więc czas coś zmienić. Dobrze by ci zrobiło.

Kirksen usiadł, usunął jakąś smugę ze szkła okularów.

- Przyjacielska rada, Jack. Nie polegaj na Sandym. To wielki błąd. On jest załatwiony.

- Dziękuję za radę.

- Mówię poważnie, Jack, nie zagroź własnej pozycji przez jakieś chybione, choć wynikające z dobrych chęci próby ratowania go.

- Zagrozić mojej pozycji? Chodzi ci o pozycję Baldwina?

- To twój klient... na razie.

- Planujesz zmianę na mostku kapitańskim? Jeśli tak, to powodzenia. Wytrzymasz może z minutę.

Kirksen wstał.

- Nic nie trwa wiecznie, Jack. Sandy Lord sam ci to powie, tak jak każdy. Rzeczy i ludzie przychodzą i odchodzą. Nie pal za sobą mostów, uważaj.

Jack przeszedł dookoła biurka, stanął nad Kirksenem.

- Czy byłeś taki od małego, czy dopiero teraz tak spleśniałeś?

Kirksen skrzywił się i ruszył do wyjścia.

- Jak już mówiłem, nigdy nie wiadomo, Jack. Związki z klientami to zawsze delikatna rzecz. Weźmy taki przykład. Twój związek z Baldwinem oparty jest na planach matrymonialnych Jennifer Ryce Baldwin. A jeśli do panny Baldwin dojdzie przypadkowo na przykład taka informacja, że ty nie nocowałeś w swoim domu, ale dzieliłeś kwaterę z pewną młodą damą, to jej tatuś może być mniej skłonny, żeby zlecać ci sprawy do prowadzenia, a ona tym mniej zechce zostać twoją żoną.

To się stało błyskawicznie. Kirksen stał rozplaszczony przy ścianie, a Jack był tak blisko przy nim, że okulary Kirksena zaszyły mgłą od jego oddechu.

- Nie rób głupstw, Jack. Niezależnie od twojej pozycji, rada wspólników nie spojrzy przychylnym okiem na młodszego wspólnika, który napada na starszego. Nadal obowiązują w tej firmie jakieś zwyczaje.

- Nigdy już nie próbuj wpięprzać się w moje życie, Kirksen. Nigdy. - Jack bez wysiłku pchnął go na drzwi i odwrócił się do niego plecami.

Kirksen poprawił koszulę i uśmiechnął się do siebie. Cóż za podatność na manipulację. Te wszystkie wielkie, wysokie, przystojne chłopy. Silne jak muły i równie głupie. Skomplikowani jak cegły.

- Wiesz, Jack, powinieneś sobie zdawać sprawę, co tu jest grane. Nie wiadomo, dlaczego bezgranicznie ufasz Sandemu Lordowi. A czy powiedział ci prawdę o Barrym Alvisie? Może przypadkowo to zrobił?

Jack odwrócił się z wolna i tępo popatrzył na niego. Kirksen ciągnął:

- Czy tłumaczył to tym, że z niego jest tylko urzędas, który nie potrafi znaleźć nowego klienta, czy też powiedział ci, że Alvis schrzanił jakąś grubszą robotę?

Jack nie odrywał od niego wzroku. Kirksen uśmiechnął się triumfalnie.

- Jeden telefon, Jack. Córeczka z narzekaniem, że pan Alvis dokucza pupilkowi córeczki i tatusia. I Barry Alvis znika. To tu jest grane. Może nie chcesz w to grać? Droga wolna, nikt cię tu nie zatrzymuje, sam możesz odejść.

Kirksen szykował swoją intrygę już od jakiegoś czasu. Firma prowadziła tyle spraw Baldwina, że bez trudu wydoi z niego parę milionów dolarów przez następne pół roku. Przez ten czas, jak wyobrażał sobie Kirksen, Jack zerwie zaręczyny z córeczką, a Kirksen, który już poświęcił sporo czasu na orientację w interesach Ransoma Baldwina, będzie na miejscu, żeby z miłą chęcią przejąć co się da. Oczywiście, że Jack zerwie. Jego zasady są silniejsze niż zdrowy rozsądek. Zasady to w języku Kirksena synonim naiwności. Nie porzuca się złotej żyły, niezależnie od tego, co ma się jej do zarzucenia. Ale Jackiem rządzą zasady, Kirksen to wyczuwał. Tak, z pewnością zerwie z Baldwinami.

A teraz, kiedy nie ma już Sullivana, może obiecać Baldwinowi, że jego sprawy staną się dla firmy priorytetowe, a Kirksen nadal ma najlepszą armię prawników w tym mieście. A prowadzenie spraw za cztery miliony dolarów, plus to, co dotychczas prowadzi, robi z niego najgrubszą rybę w firmie. I nazwisko Kirksena pojawi się wreszcie na szyldzie, w miejsce tego, które zostanie bezceremonialnie usunięte.

- Może ci się to nie podobać, Jack, ale to prawda. Jesteś już dużym chłopcem, musisz sobie z tym poradzić.

Kirksen zamknął drzwi za sobą. Jack stał przez chwilę, po czym zwałił się na fotel. Pochylił się do przodu, oczyścił biurko kilkoma szybkimi ruchami, a następnie powoli położył na nim głowę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Seth Frank patrzył na mężczyznę w podeszłym wieku. Niski, w miękkim filcowym kapeluszu, ubrany w sztruksowe spodnie, gruby sweter i zimowe buty, był równocześnie zakłopotany i podniecony wizytą w komendzie policji. W ręku trzymał prostokątny przedmiot zawinięty w papier pakowy.

- Nie bardzo wiem, o co panu chodzi, panie Flanders.

- No wie pan, byłem tam. Przed gmachem sądu, wtedy. No, kiedy zabili tego człowieka. Wyszędłem zobaczyć, co się tam dzieje. Całe życie tam mieszkam, nigdy czegoś takiego nie widziałem, mówię panu.

- Rozumiem - rzekł Frank sucho.

- Złapałem moją nową kamerę wideo, fajna zabawka, wszystkie bajery. No i małżonka mówi, że powinienem tu przyjść.

- Wspaniale, panie Flanders. Ale w jakim celu? - Frank przyglądał mu się pytająco.

Na twarzy Flandersa rozlało się zrozumienie sytuacji.

- Ach, przepraszam, poruczniku. Stoję i gładzę, mam do tego skłonność, niech pan zapyta mojej żony. Jestem na emeryturze od roku. W pracy nie miałem z kim gadać. Robiłem na taśmie. Teraz lubię pogadać. I posłuchać. Dużo czasu spędzam w kafejce, tam koło banku. Dają dobrą kawę, no i pączki, palce lizać, żadne tam dietetyczne świństwa.

Frank sprawiał wrażenie zrezygnowanego. Flanders zaczął się spieszyć.

- No i przyszedłem tutaj, żeby to panu pokazać. A właściwie dać. Bo, oczywiście, zrobiłem sobie kopię. - Wręczył paczkę. Frank otworzył i popatrzył na kasetę wideo.

- Parę świetnych ujęć, jak mówiłem. Prezydent, no i jak ten facet dostał. Wszystko mam. Poszedłem za prezydentem i wlałem w sam środek tych fajerwerków.

Frank wpatrywał się w mężczyznę.

- Wszystko tu jest, poruczniku. Zobacz pan. Może się przyda. - Spojrzał na zegarek. - O rany, muszę lecieć. Spóźnię się na lunch. Małżonka tego nie lubi. - Odwrócił się do wyjścia.

Seth Frank usiadł, wpatrując się w kasetę.

- Aha, poruczniku, jeszcze jedno.

- Tak?

- Jeśli coś ważnego znalazło się na tej taśmie, jak pan myśli, czy napiszą o mnie?

Frank potrząsnął głową.

- Napiszą?

Starszy człowiek wyglądał na podekscytowanego.

- Tak. Wie pan, historycy. Nazwą to „Taśmą Flandersa”, co? Albo coś w tym rodzaju. Może „Wideo Flandersa”, wie pan, jak kiedyś.

Frank ze znużeniem potarł skronie. - Jak kiedyś?

- No, wie pan, poruczniku. Jak Zapruder z Kennedym.

Frank wreszcie chwycił, o co chodzi.

- Oczywiście, że im powiem, panie Flanders. Dla potomności.

- No to świetnie. - Flanders podniósł kciuk. - Potomność, to mi się podoba. Miłego dnia, poruczniku.

- Alan?

Richmond z roztargnieniem skinął na Russell i jeszcze raz zajrzał do leżącego przed nim notatnika. Zamknął go i popatrzył na swoją szefową personelu.

Russell zawahała się, spuściła oczy, po czym raczej osunęła się, niż usiadła na jednym z krzeseł.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, Alan. Naprawdę. Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie było niewytłumaczalne, absolutnie niewłaściwie. Coś mi się rzuciło na mózg, chętnie wystąpiłabym o orzeczenie czasowej niepoczytalności, gdybym mogła.

- Więc nie masz zamiaru próbować tłumaczyć tego moim własnym dobrze pojętym interesem?

- Nie, w żadnym razie. Jestem do twojej dyspozycji, w każdej chwili złożę rezygnację.

Prezydent uśmiechnął się.

- Chyba rzeczywiście cię nie doceniałem, Glorio. - Wstał, obszedł biurko i oparł się o nie naprzeciwko niej. - Wiesz, wbrew temu, co mówisz, twoje zachowanie było absolutnie właściwe. Na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Podniosła na niego wzrok. Jej mina zdradzała osłupienie.

- Nie zrozum mnie źle, Glorio, ja wymagam lojalności jak każdy przywódca. Jednakże nie wymagam, aby ludzie byli kimkolwiek więcej niż tylko ludźmi, ze wszystkimi swoimi słabościami i instynktami. Jesteśmy, w głębi, zwierzętami. Osiągnąłem to stanowisko dlatego, że nigdy nie traciłem z oczu faktu, że najważniejszą osobą na świecie jestem ja sam. W żadnej sytuacji, niezależnie od przeszkód i ewentualnych rezultatów rozważanego działania czy niedziałania, nigdy, przenigdy nie traciłem z oczu tej prostej prawdy. To, co zrobiłaś tamtej nocy, pokazuje, że ty także, być może nieświadomie, podzielasz to przekonanie.

- Wiesz, co miałam zamiar zrobić?

- Oczywiście, że tak. I wiesz, Glorio, że nie potępiam cię za to, że chciałaś maksymalnie wykorzystać sytuację. Mój Boże, takie myślenie jest podstawą, na której ten kraj i to miasto zbudowały swoją potęgę.

- Ale kiedy Burton ci powiedział...

Richmond uniósł rękę.

- Wybacz mi, też jestem tylko człowiekiem. Przyznaję, że pewne emocje mną zawładnęły. Poczulem się zdradzony, to przede wszystkim. Ale z czasem doszedłem do wniosku, że to, co zrobiłaś, świadczyło o sile, nie o słabości charakteru.

Russell zastanawiała się usilnie, do czego to prowadzi.

- Więc nie chcesz, żebym złożyła rezygnację?

Prezydent pochylił się, wziął ją za rękę.

- Nawet o tym nie wspominaj, Glorio. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy zerwać nasz związek teraz, kiedy tak dobrze się poznaliśmy. Zostawmy to.

Russell wstała, żeby wyjść. Prezydent wrócił za biurko.

- Ach, Glorio. Mam mnóstwo spraw do omówienia z tobą jeszcze dzisiaj. Rodzina wyjechała za miasto. Więc może popracowalibyśmy wieczorem u mnie, w prywatnej części?

Russell obejrzała się.

- To może potrwać do późna, Glorio. Weź ze sobą ubranie na zmianę. - Nawet się nie uśmiechnął. Przeszył ją spojrzeniem i wrócił do pracy.

Ręka Russell drżała na klamce, gdy zamykała drzwi.

Jack walił w drzwi tak silnie, że drewno poobcierało mu kostki.

Gospodyni otworzyła drzwi, Jack przemknął obok niej, zanim powiedziała słowo.

Jennifer Baldwin zbiegła z szerokich krętych schodów do marmurowego westybulu. Ubrana w kolejną nową, drogą wieczorową suknię, rozpuszczone włosy spływały z ramion.

- Jack, co ty tu robisz?

- Chcę z tobą pogadać.

- Jack, mam inne plany. Będziesz musiał z tym poczekać.

- NIE!!! - Chwycił ją za rękę, pchnął ciężkie drzwi i wciągnął do biblioteki, zatrzaszkując drzwi za sobą.

Wyszarpnęła rękę.

- Oszalałeś, Jack?

Rozejrzał się wokół po ciężkich regałach z książkami, uginającymi się od pierwszych wydań w twardych oprawach. Wszystko na pokaz, żadnej z nich nawet nie przekartkowano. Wszystko na pokaz. Słusznie.

- Tylko jedno proste pytanie, a potem sobie pójdę.

- Jack...

- JEDNO PYTANIE. A potem wychodzę. Zerknęła na niego podejrzliwie, skrzyżowała ręce.

- Jakie?

- Czy zadzwoniłaś do mojej firmy i powiedziałaś im, żeby wylali Barry'ego Alvisa, bo przez niego musiałem pracować w nocy wtedy, kiedy byliśmy w Białym Domu, czy też nie?

- Kto ci to powiedział?

- Po prostu odpowiedz na pytanie, Jenn.

- Jack, dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Więc kazałaś go wylać?

- Jack, chciałabym, żebyś przestał o tym myśleć i zaczął myśleć o naszej przyszłości. Jeśli mamy...

- Odpowiedz na to cholerne pytanie.

Wybuchnęła:

- TAK! Kazałam go wylać. I co z tego? Zasłużył sobie. Traktował cię jak podwładnego. I pomylił się. Był nikim. Igrał z ogniem i poparzył się. Nawet odrobinę mu nie współczuję. - Popatrzyła na niego z nadąsaną miną. Bez śladu żalu czy poczucia winy.

Usłysawszy odpowiedź, której się spodziewał, Jack usiadł na fotelu i wpatrzył się w potężne biurko z drugiej strony pokoju. Obity skórą fotel biurowy z wysokim oparciem stał tyłem do nich. Jack popatrzył na oryginalne obrazy olejne zdobiące ściany, wielkie okna ze starannie udrapowanymi zasłonami, które pewnie kosztowały więcej, niż mógłby się spodziewać, na misternie rzeźbioną stolarkę, wszechobecne rzeźby z brązu i marmuru. Przekłęty strop z maszerującym po nim jeszcze jednym legionem średniowiecznych postaci. Świat Baldwinów. Tu są u siebie.

Jennifer odgarnęła włosy, popatrzyła na niego z więcej niż cieniem niepokoju w oczach. Po chwili wahania podeszła do niego, uklękła, dotknęła jego ramienia. Aromat jej uperfumowanego ciała spłynął na Jacka jak wodospad. Mówiła cicho, z twarzą przy jego twarzy. Jej oddech muskał mu ucho.

- Jack, już ci mówiłam, nie musisz cierpieć tego rodzaju zachowania. A ta idiotyczna sprawa z morderstwem to coś zupełnie niepasującego do naszego życia.

Nasz dom jest prawie gotowy, jest genialny, naprawdę. I nasze plany małżeńskie. Kochanie, teraz wszystko może wrócić do normalności. - Dotknęła jego twarzy, odwróciła ku sobie. Popatrzyła na niego w wyjątkowo łożkowy sposób, pocałowała go, długo, soczyście i z ociąganiem oderwała swoje wargi od jego ust. Szybko poszukała jego wzroku. Nie znalazła tego, co spodziewała się znaleźć.

- Masz rację, Jenn. Już po tej idiotycznej sprawie z morderstwem. Człowiek, którego szanowałem i lubiłem, ma odstrzeloną głowę. Sprawa zamknięta, ruszamy dalej. Majątek czeka.

- Wiesz, o co mi chodzi. Po pierwsze nigdy nie powinieneś być angażować się w tę sprawę. To nie był twój problem. Gdybyś tylko otworzył oczy, zorientowałbyś się, że jesteś ponad to, Jack.

- Chciałabyś, co? - Jack gwałtownie wstał. Przede wszystkim widać było po nim znużenie. - Życzę ci wspaniałego życia, Jenn. Powiedziałbym „do zobaczenia”, ale nie bardzo sobie wyobrażam, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Ruszył do wyjścia. Złapała go za rękaw.

- Jack, czy byłbyś łaskaw powiedzieć mi, co ja takiego okropnego zrobiłam?

Zawahał się, po czym odwrócił do niej.

- To, że pytasz, mówi mi więcej niż trzeba. Zrujnowałaś życie człowiekowi, człowiekowi, którego nawet nie znasz. Dlaczego? Bo coś, co zrobił, było „dokuczliwe”. Więc jednym ruchem utraciłaś czyjeś dziesięć lat kariery zawodowej. Jednym telefonem. Nigdy nie pomyślałaś, jakie będą tego skutki dla niego, jego rodziny. Może popełni samobójstwo, może rozwiedzie się z nim żona, kto to wie. Nie obchodzi cię to. Pewnie nawet o tym nie pomyślałaś. A chodzi o to, że nie mogę kochać kogoś, kto coś takiego zrobił, nie mogę z takim kimś spędzić całego życia. Jeśli tego nie rozumiesz, jeśli naprawdę myślisz, że w tym, co zrobiłaś, nie było nic złego, to jest to jeszcze jeden powód, żebyśmy powiedzieli sobie teraz „żegnaj”. Lepiej, żeby to było przed ślubem. Oszczędzi wszystkim mnóstwo czasu i kłopotu.

Nacisnął klamkę i uśmiechnął się.

- Wszyscy znajomi najprawdopodobniej pomyślą, że zwariowałem. Że jesteś idealną kobietą, inteligentną, bogatą, piękną. I to prawda, jesteś taka. Powiedzą, że mogliśmy stanowić doskonałą parę na całe życie. Że mielibyśmy wszystko. Jak mielibyśmy nie być szczęśliwi? Problem w tym, że nie mógłbym cię uszczęśliwić, bo nie obchodzi mnie to, co dla ciebie jest ważne. Nie obchodzą mnie milionowe transakcje i domy jednorodzinne wielkości kamienicy, ani samochody w cenie rocznych dochodów. Nie podoba mi się ten dom, nie podoba mi się twój styl życia, nie podobają mi się twoi znajomi. A więc chyba, w rezultacie, nie lubię ciebie. Mówię to, bo w swojej naiwności sądzę, że nie zasługujesz na kłamstwo. Spójrzmy prawdzie w oczy, za parę dni z tuzin gości znacznie lepszych ode mnie zapuka do twoich drzwi. Nie będziesz samotna.

Popatrzył na nią i poczuł ukłucie bólu, gdy zobaczył wyraz całkowitego osłupienia na jej twarzy.

- Gdyby ktoś pytał, Jenn, to ty mnie rzuciłaś. Bo nie dorosłem do norm Baldwinów. Nie nadawałem się. Żegnaj, Jenn.

Jeszcze pięć minut po jego wyjściu nie ruszała się z miejsca. Cała gama uczuć odmalowała się na jej twarzy, żadne z nich nie zdobyło jednak przewagi. Wreszcie wyszła. Stukanie jej obcasów na marmurowej podłodze umilkło, gdy znalazła się dywanem pokrywającym schody.

Przez następne parę minut w bibliotece panował spokój. Potem fotel biurowy przekręcił się, a Ransom Baldwin popatrzył na drzwi, za którymi przed chwilą znikła jego córka.

Jack wyrzwał przez wizjer, na pół spodziewając się widoku Jennifer z pistoletem w dłoni. Zdziwił się trochę, kiedy zobaczył, kto to.

Seth Frank wszedł, zrzucił płaszcz i rozejrzał się z uznaniem po zagraconej kawalerce Jacka.

- Człowieku, ale to nasuwa mi wspomnienia moich dawnych dobrych czasów. Ciesz się tym, chłopie, póki możesz. Tyle że żadna kobieta nie zgodzi się na takie warunki.

- No to na razie mam szczęście.

Jack zniknął w kuchni i wrócił z paroma puszkami piwa Sam Adams.

Usadowili się wygodnie i przez chwilę zapoznawali bliżej z zawartością swoich puszek.

- Jakieś kłopoty na horyzoncie matrymonialnym?

- W skali od jednego do dziesięciu jeden albo dziesięć, zależy, z której strony patrzeć.

- Nie wiem dlaczego, ale myślę, że ta Baldwinówna nie jest dla ciebie.

- Nigdy nie przestajesz być detektywem?

- Zboczenie zawodowe. Nie chcesz o tym rozmawiać?

Jack pokręcił głową.

- Chętnie innym razem, dziś nie.

Frank wzruszył ramionami.

- Daj znać, jak będziesz chciał, przyniosę parę piw.

Jack zauważył paczkę na kolanach Franka.

- Prezent?

Frank wyciągnął kasetę.

- Przypuszczam, że masz gdzieś magnetowid pod tymi zwałami?

Jack wyciągnął wideo, a Frank popatrzył na niego.

- Jack, to twardy kawałek. Nie dla dzieci. Powiem z góry, pokazuje wszystko, łącznie z tym, co się stało z Lutherem. Idziesz na to?

- Mam nadzieję.

- To i ja.

Mimo że uprzedzony, Jack nie był przygotowany na to, co miał zobaczyć. Frank przyglądał mu się uważnie, w miarę jak zbliżał się ten moment. Kiedy rozległ się strzał, Jack mimowolnie szarpnął się w tył, z oczami rozszerzonymi z przerażenia.

Frank zatrzymał kasetę.

- Zaczekajmy, chłopie. Ostrzegalem cię.

Jack oklapł w fotelu. Oddech miał urywany, czoło zroszone potem. Drżał na całym ciele przez chwilę, a potem powoli doszedł do siebie. Otarł czoło.

- Jezu Chryste.

Aluzja Flandersa do materiałów z zamachu na Kennedy'ego nie była bezpodstawna.

- Nie musimy dalej oglądać, Jack.

Jack zacisnął usta w zdecydowaną linię.

- Jasne!

Jack cofnął taśmę. Oglądali ją chyba dziesiąty raz. Nie było lekko patrzeć, jak głowa przyjaciela rozpryskuje się w kawałki. Zadanie to ułatwiał jednak gniew, który narastał w Jacku przy każdym kolejnym oglądaniu tego fragmentu taśmy.

Frank pokręcił głową.

- Szkoda, że facet nie filmował tego, co jest z tamtej strony. Może zobaczylibyśmy błysk strzału. Za dobrze by było. Masz kawę?

- Jest świeża w ekspresie w kuchni, przynieś i mnie filiżankę. Naczynia są nad zlewem.

Frank wrócił z dwiema parującymi filiżankami, a Jack przewinął taśmę do fragmentu, gdzie Alan Richmond wygłaszał swoje kwestie z zaimprovizowanego podium przed gmachem sądu.

- Ten gość ma parę.

Frank popatrzył na ekran.

- Rozmawiałem z nim.

- Tak? Ja też. To było w czasach, kiedy zamierzałem się wżenić w wyższe sfery.

- Co o nim sądzisz?

Jack przełknął kawę, sięgnął do paczki krakersów, która leżała na kanapie i poczęstował Franka. Detektyw z przyjemnością oddawał się atmosferze kawalerskiego życia.

- Bo ja wiem. Jest prezydentem, nadaje się do tego. A ty co myślisz?

- Bystry facet. Łebski. Taki łeb, co to lepiej się nie wdawać w pojedynki intelektualne, chyba że ma się zaufanie do własnej mózgowicy.

- Dobrze, że jest po stronie Ameryki.

- Tak. - Popatrzyl na ekran. - Co cie tak zafrapowalo?

Jack przycisnal guzik na pilocie.

- Jedna rzecz. Popatrz sam.

Tasma ruszyla na szybkim przewijaniu. Postacie biegaly jak aktorzy w niemym filmie.

- Popatrz na to.

Luther wysiadal z furgonetki. Oczy wbite w ziemie, kajdany najwidoczniej utrudnialy mu chodzenie. Nagle grupa ludzi z prezydentem na czele weszla z boku na pierwszy plan. Luther zostal czesciowo zasloniety. Jack zatrzymal klatke.

- Patrz.

Frank skrupulatnie przegladal obraz, zujac z roztargnieniem krakersa i popijajac kawe. Pokrecil glowa. Jack popatrzyl na niego.

- Spojrz na twarz Luthera. Widac ja miedzy tymi garniturami. Patrz na twarz.

Frank pochylil sie, prawie dotykajac ekranu nosem. Cofnal sie.

- Jakby cos mowil.

- Raczej, jakby mowil do kogos.

Frank rzucil spojrzenie Jackowi.

- Twierdzisz, ze kogos rozpoznal, moze faceta, ktory go rabnal?

- To nie wyglada na towarzyska pogawedke z jakimis nieznanym.

Frank wroutil do ekranu, studiujac go z napieciem. Wreszcie pokrecil glowa.

- Bedzie nam do tego potrzebny specjalista. - Wstal. - Chodz. Jack zlupal plaszcz.

- Dokad?

Frank usmiechnal sie tajemniczo, przewinal tasmę do poczatku i nalozyl kapelusz.

- No, ale najpierw stawiam kolacje. Jestem zonaty, a takze starszy i grubszy. W związku z tym krakersy na kolacje u mnie nie załatwiają sprawy. Potem pojedziemy na komende. Mam kogos, kogo zechcesz poznac.

Dwie godziny pozniej z pelnymi brzuchami wchodzili do komendy policji Middleton. Laurie Simons siedziala w laboratorium, aparatura byla juz przygotowana.

Po wstepnych formalnosciami Laurie wsunela kasetę w odtwarzacz i przygasila swiatla. Na czterdziestosciocalowym ekranie w kacie laboratorium pojawily sie obrazy. Przewineli do wlasciwego miejsca.

- Tu - Jack pokazal. - Wlasnie tu.

Laurie zasiadla za klawiatura i wystukiwala polecenia. Klatka zatrzymala sie. Obraz zaczal sie powiekszac, jak nadmuchiwany balon. Za chwile twarz Luthera zajela cale czterdzieci sześć cali.

- Dalej juz w zasadzie sie nie da. - Laurie okrecila sie na krzesle i popatrzyla na ekran. Wdusila kolejny przycisk i obraz znów ozyl.

Dzwiek byl niewyraźny, z szumami, krzykami, strzałami, hałasem ruchu ulicznego i zmieszanyimi głosami ludzkimi. To wszystko uniemożliwialo odcyfrowanie słów Luthera. Patrzyli na ruch warg.

- Jest wkurzony. Cokolwiek mowi, nie jest to nic milego. - Frank wyciagnal papierosa, zauwazyl potepiajace spojrzenie Simons, schowal go z powrotem.

- Kto umie czytac z ruchu warg? - Laurie popatrzyla na kazdego z nich.

Jack wpatrywal sie w monitor. Cóz takiego mowil stary czlowiek. Ta mina. Jack juz to widzial, kiedyś, zeby tylko sobie przypomniec. To bylo niedawno, na pewno.

- Widzisz cos, czego my nie widzimy? - Jack sie obejrzel i zobaczyl, ze Frank uwaźnie mu sie

przypatruje.

Pokręcił głową, przetarł twarz.

- Nie wiem. Coś mi majaczy, ale nie mam pojęcia co.

Frank skinął na Simons, która wyłączyła aparaturę. Światła się zapaliły. Frank wstał i przeciągnął się.

- Dobra, prześpij się z tym. Jak ci coś przyjdzie do głowy, daj znać. Dzięki, że przyszedłeś, Laurie.

Obaj mężczyźni wyszli razem. Frank obejrzał się na Jacka, potem potarł się po karku.

- Jezu, wyglądasz jak odbezpieczony granat.

- Zupełnie nie wiem dlaczego. Nie żenię się z kobietą, z którą miałem się ożenić, kobieta, z którą chcę się ożenić, powiedziała mi, żebym wynosił się z jej życia, i z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę zakładać, że rano będę już bezrobotny. Ach, i nie wspomnę, że ktoś zamordował człowieka, którego bardzo lubiłem, i prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, kto to zrobił. Wyobrażasz sobie lepszą sytuację?

- No, może teraz los się odwróci.

Jack otworzył lexusa.

- Może, ale tak przy okazji, jakbyś znalazł kogoś, kto chciałby kupić prawie nowy samochód, to daj mi znać.

Frank mrugnął do Jacka.

- Przykro mi, nie znam nikogo, kogo byłoby stać na taki wóz.

- Ani ja - odparł z uśmiechem Jack.

W drodze powrotnej Jack spojrzął na zegar w samochodzie. Prawie północ. Minął biura Pattona, Shawa & Lorda, popatrzył na ciemne okna, zakręcił i zjechał do garażu. Wsunął kartę w szczelinę identyfikator, machnął do kamery systemu bezpieczeństwa zainstalowanej nad drzwiami garażu i w za chwilę jechał windą na górę. Nie wiedział właściwie, po co tu jest. Nie ma wątpliwości, że jego dni w firmie są policzone. Bez Baldwina jako klienta zostanie natychmiast wywalony przez Kirksena. Było mu trochę przykro z powodu Lorda. Obiecał, że go ochroni. Ale nie zamierza ożenić się z Jennifer Baldwin tylko po to, żeby zapewnić Lordowi przyszłość. A poza tym okłamał go. Lord spadnie i tak na cztery łapy. Niejedna firma podkupi go bez zastanowienia. Jeśli chodzi o perspektywę zawodowe, jego przyszłość jest znacznie pewniejsza niż Jacka.

Jack obiecał sobie, że pogada z Sandym, wyjaśni mu. Może zrozumie, choć to raczej wątpliwe. Jack uśmiechnął się na myśl o dramatycznych zmianach, jakie zachodzą w jego życiu.

Drzwi windy otworzyły się i Jack wkroczył do poczekalni. Lampki awaryjne na ścianach rzucały tylko mdłe światło i mroczne cienie robiły ponure wrażenie. Pogrążony w myślach nie zwracał na to uwagi. Szedł korytarzem do swojego biura. Zatrzymał się przy kuchence i wziął butelkę wody sodowej. Zazwyczaj nawet o tej porze jacyś ludzie wysilaliby mózgi, chcąc dotrzymać jakiegoś terminu, ale dziś panowała cisza jak makiem zasiał.

Zapalił światło i zamknął drzwi gabinetu. Rozejrzał się dookoła. Jego królestwo, choćby tylko do jutra. Robiło wrażenie. Wysokiej jakości ciężkie meble. Podszedł do swoich dyplomów. Niektóre zdobyte ciężką pracą, inne uzyskane bez trudu. Zauważył, że ktoś pozbierał porozrzucane papiery. Skrupulatna i niekiedy nadgorliwa ekipa porządkowa, uodporniona na zły humor i okazjonalne wybuchy gniewu urzędników.

Usiadł i rozparł się w fotelu. W miękkiej skórze chyba wygodniej niż we własnym łóżku. Obejrzał sufit. Mógł sobie wyobrazić rozmowę Jennifer z ojcem. Oblicze Ransoma Baldwina oblewa się szkarłatem na wieść o niewybaczalnej obrazie, jaka dotknęła jego najdroższą córeczkę. Jutro rano facet

podniesie słuchawkę i kariera Jacka jako radcy prawnego będzie skończona.

Ale nic go to nie obchodzi. Żałował tylko, że nie zrobił tego wcześniej. Miejmy nadzieję, że w biurze obrońcy z urzędu przyjmą go z otwartymi ramionami. Tam jego miejsce. Nikt go nie powstrzyma. Tak, prawdziwe kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy próbował być kimś innym. Nigdy więcej nie popełni tego błędu.

Zaczął myśleć o Kate. Dokąd ona pojedzie? Czy rzeczywiście chce rzucić pracę? Jack przypomniał sobie jej minę i uznał, że mówiła serio. Prosił ją znów, błagał. Jak cztery lata temu. Błagał, żeby nie wyjeżdżała, żeby znów nie odchodziła z jego życia. Ale nie udało mu się przebić. Czy przez to przeogromne poczucie winy, które miała, kto wie. Może po prostu go nie kocha? Czy kiedykolwiek brał pod uwagę tę ewentualność? Prawdę mówiąc, nigdy. Świadomie, nie. Możliwość, że przeraziła go śmiertelnie. Ale właściwie, jaka to teraz różnica?

Luther nie żyje. Kate się wyprowadza. Jego życie właściwie wcale się tak bardzo nie zmieniło mimo ostatnich wydarzeń. Whitneyowie ostatecznie i nieodwracalnie zniknęli z jego życia.

Popatrzył na stosik różowych karteczek z wiadomościami. Rutyna. Przycisnął guzik na aparacie telefonicznym, żeby sprawdzić nagraną wiadomość. Firma Pathon, Shaw & Lord umożliwiała swoim klientom wybór między staroświeckim zostawieniem wiadomości przez sekretarkę a nagraniem na automatycznej sekretarce. Bardziej wymagający klienci uwielbiali to. Mogli przynajmniej nawrzeszczeć. Dwa telefony od Tarra Crimsona. Będzie musiał znaleźć Tarrowi innego radcę prawnego. Ta firma i tak była dla niego za droga. Kilka spraw związanych z interesami Baldwina. W porządku. Mogą poczekać na następną ofiarę Jennifer Baldwin. Ostatnia wiadomość wszakże go poderwała. Głos kobiety. Cienki, pełen wahania, głos starej kobiety, najwyraźniej zakłopotanej, że ma się nagrywać. Jack puścił nagranie jeszcze raz.

- Panie Graham, nie zna mnie pan. Nazywam się Edwina Broome. Byłam znajomą Luthera Whitneya. - Broome? Nazwisko skądś zna. Kobieta mówiła dalej. - Luther powiedział mi, że gdyby mu się cokolwiek stało, mam trochę poczekać, a następnie wysłać do pana tę paczkę. Powiedział, żebym nie otwierała i nie zrobiłam tego. Powiedział, że to puszka Pandory. Jeśli się zajrzy, ma się kłopoty. Niech spoczywa w pokoju, Luther był dobrym człowiekiem. Nie odezwał się pan, chociaż właściwie tego nie oczekiwałam. Po prostu przyszło mi do głowy, że powinnam zadzwonić i upewnić się, czy pan to dostał. Nigdy czegoś takiego nie wysyłałam, to się nazywa przesyłka kurierska. Myślę, że dobrze zrobiłam, ale nie wiem. Jeśli pan tego nie dostał, niech pan do mnie zadzwoni. Luther mówił, że to ważne. A Luther nigdy nie powiedział niczego, co nie byłoby szczerą prawdą.

Jack wysłuchał numeru telefonu i zapisał go. Sprawdził, kiedy rozmowa została nagrana. Wczoraj rano. Szybko przeszukał gabinet. Żadnej przesyłki. Pobiegł korytarzem do sekretariatu. Również nic. Wrócił do gabinetu. Boże, paczka od Luthera. Edwina Broome? Przeszesł włosy, podrapał się po głowie, zmusił do myślenia. Nagle przypomniało mu się. Matka kobiety, która popełniła samobójstwo. Tej, o której mówił Frank. Domniemanej współpracownicy Luthera.

Jack podniósł słuchawkę. Wydawało się, że czekanie trwa wiecznie.

- Halo? - Głos był zaszpany, dobiegał z oddali.

- Pani Broome? Tu Jack Graham. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Pan Graham? - Senność znikła. Głos stał się czujny, ostry. Jack mógł sobie prawie wyobrazić, jak siada na łóżku, chwytając koszulę nocną, patrzy z niepokojem na słuchawkę.

- Przepraszam, dopiero teraz dostałem wiadomość od pani. Nie dostałem tej przesyłki, pani Broome. Kiedy ją pani wysłała?

- Chwileczkę, niech się zastanowię. - Jack słyszał ciężki oddech. - No, licząc dzisiaj, to będzie pięć dni temu.

- Ma pani pokwitowanie z numerem?

- Ten człowiek dał mi jakąś kartkę. Muszę wstać i poszukać.

- Poczekam.

Stukał palcami w biurko i próbował uspokoić szaleńczy bieg myśli. Spokojnie, Jack, czekaj spokojnie.

- Mam, panie Graham.

- Proszę mi mówić Jack. Czy wysłała pani przez Federal Express?

- Tak jest.

- Jaki jest numer przesyłki?

- A gdzie to jest?

- W prawym górnym rogu kartki. Długa seria cyfr.

- Aha. - Podala mu. Nagryzmołił je na kartce, przeczytał, żeby potwierdziła.

- Jack, czy to faktycznie coś bardzo poważnego? No bo Luther zginął i w ogóle.

- Czy ktokolwiek dzwonił do pani, ktokolwiek, kogo pani nie zna? Oprócz mnie.

- Nie.

- W porządku, gdyby ktoś dzwonił, niech pani zawiadomi Seta Franka z komendy policji w Middleton.

- Znam go.

- To porządny facet, pani Broome. Można mu zaufać.

- Dobrze, Jack.

Rozłączył się i zadzwonił do Federal Express. Słyszał stukot klawiatury komputera po tamtej stronie linii. Głos był profesjonalny i zwięzły.

- Tak, panie Graham, została doręczona do biur kancelarii prawnej Patton, Shaw & Lord we czwartek o dziesiątej dwie rano, odbiór podpisała pani Lucinda Alvarez.

- Dziękuję, to znaczy, że pewnie gdzieś jest. - Zdziwiony już miał odłożyć słuchawkę.

- Czy są jakieś szczególne problemy z tą paczką, panie Graham?

Jack zdziwił się jeszcze bardziej.

- Szczególne? Nie, dlaczego? .

- No bo mam zarejestrowane w komputerze, że ktoś już się o nią dzisiaj dopytywał.

Całe ciało Jacka się napięło.

- Dzisiaj? O której?

- Wpół do siódmej wieczorem.

- Podał nazwisko?

- Cóż, to właśnie jest dziwne. Według tego, co tu mam, ta osoba przedstawiła się jako Jack Graham. - Z tonu urzędniczki jasno wynikało, że ma poważne wątpliwości co do tożsamości Jacka.

Jack poczuł zimno wnikające we wszystkie członki.

Powoli odłożył słuchawkę. Ktoś się bardzo interesuje tą paczką, cokolwiek to jest. I ktoś wiedział, że ma do niego przyjść. Ręce mu się trzęsły, gdy jeszcze raz sięgał do telefonu. Zadzwonił do biura Seta Franka, ale detektyw, oczywiście, poszedł do domu. Domowego numeru nie mogą mu podać, a Jack zostawił go u siebie w domu. Przeklął w duchu. Rozmowa z biurem numerów nie przyniosła rezultatu, numer jest zastrzeżony.

Jack opadł na oparcie fotela, oddech miał przyspieszony. Czuł, że serce nie mieści się w klatce

piersiowej. Zawsze uważał się za człowieka odważnego. W tej chwili wcale nie był tego pewien.

Mózg pracował szaleńczo. Paczka została dostarczona. Lucinda podpisała odbiór. W firmie obieg korespondencji był świetnie zorganizowany, to krwiobieg firmy. Wszystkie przesyłki kurierskie przekazywane są do zespołu gońców, którzy roznoszą ją wraz z pocztą po gabinetach. Wożą ją takim wózkiem. Wszyscy wiedzą, gdzie jest gabinet Jacka. Nawet jeśli ktoś nie wiedział, firma drukuje plan informacyjny, aktualizowany co miesiąc. Więc jeśli plan jest właściwy...

Jack rzucił się biegiem ku drzwiom, otworzył je na oścież i sprintem ruszył korytarzem. Nie miał pojęcia, że tuż za rogiem, w biurze Sandy'ego Lorda zapaliła się lampa.

Jack pstryknął światło i ogarnął spojrzeniem pokój. Gorączkowo przeszukał biurko, wyciągnął krzesło, żeby usiąść i zobaczyć pakunek. Wziął go do ręki. Odruchowo obejrzał się za siebie, zauważył odsłonięte rolety i pośpiesznie je zasunął.

Przeczytał nalepkę. Nadawca Edwina Broome, odbiorca Jack Graham. To to. Opakowanie sztywne, ale lekkie. Mówiła, że wewnątrz pudełka jest drugie. Zaczął otwierać, ale powstrzymał się. Oni wiedzą, że paczka została doręczona. Kim są oni? Kimkolwiek są, wiedzą wiele. Jeśli wiedzą, że paczka jest tutaj, właśnie dziś się o tym dowiedzieli, to co zrobią? Skoro jej zawartość jest taka ważna, to gdyby została już otwarta, dowiedzieliby się pewnie o tym. Z faktu, że nic się nie stało, mogą wnioskować, że paczka nie została jak dotąd otwarta. Więc co ci „oni” zrobią?

Jack biegiem ruszył do swojego biura, z paczką pod pachą. Zarzucił płaszcz, złapał kluczyki, omal nie zrzucając szklanki z niedopitą wodą sodową, i odwrócił się do wyjścia. Zamarł.

Hałas. Nie wiedział skąd. Dźwięk odbił się miękkim echem w korytarzu, jakby szum wody. Nie słyszał windy. Był pewien, że usłyszałby. Ale czy na pewno? To wielki budynek, człowiek przyzwyczajają się do codziennych hałasów. I był skoncentrowany na telefonie. Nie może być pewien.. Poza tym może to jeden z urzędników firmy wpadł coś zabrać albo popracować w nocy. Wszystkie instynkty mówiły mu, że to nie jest słuszny wniosek. Ale przecież budynek jest strzeżony. Ale jaka to trudność poradzić sobie z systemem zabezpieczającym? Cicho zamknął drzwi gabinetu.

Znowu. Próbował zlokalizować źródło dźwięku, nie udało się. Ktokolwiek to był, poruszał się powoli, ukradkiem. Nikt, kto tu pracuje, tak by się nie zachowywał. Podpełzł do ściany i zgasił światło, czekał przez chwilę i ostrożnie otworzył drzwi. Wyjrzał. Korytarz pusty. Ale jak długo? Problem taktyczny jest oczywisty. Wnętrze firmy jest tak ukształtowane, że jeśli już ruszysz jedną drogą, to jesteś na nią mniej lub bardziej skazany. A w korytarzu będzie absolutnie odkryty, nie stoi tu nic. Jeśli się na kogoś natknie, będzie bez szans.

Przyszło mu coś do głowy. Rozejrzał się w ciemności po gabinecie. Wreszcie wzrok mu się zatrzymał na przycisku do papieru z granitu, jednym z rozlicznych bibelotów, jakie otrzymał z okazji zostania współnikiem. Wspólnikiem. To chyba było ze sto lat temu. Teraz, w aktualnej sytuacji, to wszystko wydawało się śmieszne. Ale przynajmniej przycisk do papieru jest ciężki. Można narobić prawdziwej szkody, jeśli się go właściwie użyje. A Jack był pewien, że to potrafi. Nie sprzeda życia tanio. Poczekał następnych parę sekund i zaryzykował wystawienie głowy na korytarz. Ktokolwiek to był, najpewniej systematycznie szuka jego gabinetu. Nazwiska prawników znajdowały się na małych mosiężnych tabliczkach przy drzwiach. Mocowane były w ten sposób, że można je było wysuwać, co ułatwiało zmianę w razie przesunięć. Przypominał sobie puste miejsce przy drzwiach Barry'ego Alvisa tamtego dnia. Dziesięć lat w jednym miejscu, a potem tabliczkę usunięto w dziesięć sekund. W tym fachu nie ma się wiele poczucia bezpieczeństwa.

Ukucnął, zbliżając się do rogu. Żałował, że nie jest całkiem ciemno. Atramentowa czerń, to by mu się

przydało. Wziął głęboki wdech i rozejrzał się. Droga wolna, przynajmniej na razie. Myślał szybko. Jeśli jest ich więcej, prawdopodobnie się rozdzielili, żeby przyspieszyć poszukiwania. Czy w ogóle wiedzą, że jest w budynku? Może go śledzili. Ta myśl była szczególnie niepokojąca. Może właśnie w tej chwili oskrzydlają go, nadchodzą z dwóch stron.

Dźwięki się zbliżały. Kroki pojedynczego człowieka. Jack maksymalnie wyteżył słuch. Dobiegł go oddech tej osoby, a przynajmniej tak mu się zdawało. Musi dokonać wyboru. Zobaczył coś na ścianie, coś, co błyskało do niego. Alarm pożarowy.

Już miał skoczyć w tamtym kierunku, kiedy zobaczył nogę wystającą zza rogu. Jack cofnął się, nie czekając, aż pokaże się reszta ciała. Szybko oddalił się i skręcił za następny róg, podszedł do drzwi i szarpnął je. Głośne skrzypnięcie prawie go ogłuszyło. Usłyszał tupot.

- Cholera! - Jack zatrzasnął drzwi za sobą i z łoskotem ruszył w dół metalowych schodów.

Zza rogu wyskoczył mężczyzna w czarnej kominiarce zasłaniającej twarz. W prawym ręku trzymał pistolet.

Otworzyły się drzwi jednego z gabinetów i pokazał się Sandy Lord ubrany jedynie w podkoszulek, w slipach opuszczonych do kolan. Mężczyzna wpadł na niego. Ciężko obaj upadli. Lord, chwytając równowagę, niechcący złapał za maskę i ściągnął ją.

Lord pozbiierał się na kolana, wciągając głośno do nosa płynącą krew.

- Co tu się dzieje, do jasnej cholery? Kim pan jest, do diabła? - Lord ze złością patrzył na mężczyznę. Nagle zobaczył pistolet i zamarł.

Tim Collin obejrzał się na niego, pokręcił głową częściowo z niedowierzaniem, częściowo z niesmakiem. Teraz nie miał już wyjścia. Podniósł broń.

- Jezu Chryste! Nie! Proszę! - Lord zachwiał się i upadł. Broń wypaliła i krew trysnęła ze środka podkoszulka. Lord stęknął raz, spojrzenie zasnęło mu się mgłą, a ciało opadło na drzwi. Te się otwały na oścież, ukazując nagą postać młodej dziewczyny, która wstrząśnięta patrzyła na martwego Lorda. Collin zaklął cicho. Popatrzył na nią. Wiedziała, co ją czeka, zobaczył to w jej przerażonych oczach.

Niewłaściwy czas, niewłaściwe miejsce. Przykro mi, szanowna pani.

Broń wypaliła po raz drugi. Impet rzucił jej szczupłe ciało w głąb pokoju. Nogi ugięły się, palce zacisnęły, martwo popatrzyła w sufit. Zamiast nocy zabaw i przyjemności ostatnia noc na ziemi.

Bill Burton podbiegł do klęczącego partnera i obserwował scenę rzezi z niedowierzaniem, które szybko przeszło w gniew.

- Czy ty, psiakrew, zwariował? - wybuchnął.

- Widzieli moją twarz, co miałem zrobić. Poprosić, żeby nikomu nie mówili? Niech to szlag.

Nerwy obu mężczyzn były na granicy wytrzymałości. Collin uchwycił mocniej pistolet.

- Gdzie on jest?

- Zdaje się, że zbiegał po schodach pożarowych.

- Więc zwiął.

Collin popatrzył na niego i wstał.

- Jeszcze nie. Nie po to zabiłem dwoje ludzi, żeby on się wymknął. - Ruszył naprzód.

- Poczekaj chwilę. - Collin obejrzał się. - Daj mi swoją broń, Tim.

- Do cholery, Bill, zwariowałeś?

Burton pokręcił głową, wyciągnął swój pistolet i wręczył mu go. Wziął broń Collina.

- Teraz go łap. Spróbuję tutaj trochę ograniczyć straty.

Collin podbiegł do drzwi i zniknął na schodach.

Burton popatrzył na dwa martwe ciała. Rozpoznał Sandy'ego Lorda i z sykiem wciągnął powietrze.

- Psiakrew, psiakrew - powtarzał.

Odwrócił się i szybko poszedł do biura Jacka. Znalazł je właśnie wtedy, kiedy rozległ się pierwszy strzał. Otworzył drzwi i zapalił światło. Przejrzał szybko wnętrze. Facet musiał wziąć paczkę ze sobą. To jasne. Kurczę, byli tak blisko. Kto mógł się spodziewać, że on albo ktokolwiek inny będzie tu o tej porze. Ta czarna dziura stale się rozrasta.

Jeszcze raz przeczesał wzrokiem pokój. Zatrzymał się na biurku. Plan był gotowy w sekundę. No, może wreszcie łut szczęścia. Podeszedł do biurka.

Jack dotarł na parter i sięgnął do klamki. Drzwi nie drgnęły. Serce mu stanęło. Mieli już kiedyś z tym kłopot. W czasie ćwiczebnego alarmu pożarowego. Zamknięte na klucz. Zarząd budynku twierdził, że usunęli problem. Akurat! Bzdura! Tylko że tym razem ich błąd może go kosztować życie. I to nie wskutek pożaru.

Popatrzył w górę na schody. Zbliżali się szybko, cisza dawno się skończyła. Jack ruszył na piętro, pomodlił w duchu, złapał klamkę spoconą ręką i załapała go fala ulgi. Skręcił za róg, rzucił się do wind, nacisnął przycisk. Obejrzał się za siebie, odbiegł w bok i kucnął w ukryciu. Szybciej. Słyszał zbliżającą się windę. Nagle naszała go okropna myśl. Któryś z jego prześladowców mógł przewidzieć jego posunięcie i być w tej windzie.

Kabina się zatrzymała. Drzwi się rozsunęły, a Jack równocześnie usłyszał trzaśnięcie o ścianę drzwi prowadzących na schody pożarowe. Wskoczył do kabiny, nacisnął guzik garażu. Cholera, zamykajcie się. Zamknijcie się!

Poczuł czyjąś obecność, przyspieszony oddech. Zobaczył błysk czerni, potem broń. Rzucił przyciskiem do papieru i odskoczył w kąt.

Usłyszał jęk bólu, drzwi się wreszcie zamknęły.

Biegł po ciemnym podziemnym parkingu, znalazł swój samochód i po kilku chwilach był już za automatycznymi drzwiami i wciskał gaz do dechy. Samochód pędził ulicami. Jack się obejrzał. Nic. Przejrzał się w lusterku. Twarz ociekała mu potem. Całe ciało to jeden bolący węzeł. Roztarł ramię, którym uderzył się w ścianę windy. Jezuu, ledwo umknął. O włos.

Dokąd jechać? Znają go, wiedzą o nim wszystko. Do domu nie można. Więc dokąd? Na policję? Nie. Nie wie, kto go ściga. Kto zdołał zabić Luthera mimo tych wszystkich gliniarzy dokoła? Kto wiedział wszystko to, co wiedzą gliny? Dzisiejszą noc musi spędzić na mieście. Ma ze sobą karty kredytowe. Z samego rana skontaktuje się z Frankiem. Wtedy wszystko będzie dobrze. Zerknął na pudełko. Dziś musi zobaczyć, co to za rzecz, która omal nie kosztowała go życia. Lexus pruł do przodu. Wkrótce był już tylko daleką plamką czerwieni, a potem zniknął.

Russell leżała pod kołdrą. Richmond właśnie skończył swoją robotę. Bez słowa zsunął się z niej i wyszedł z pokoju zaspokojony. Masowała nadgarstki, za które ją ścisnął. Czowała się pocięta, opuchnięta. Piersi bolały ją od ugniatania. Przypomniała sobie ostrzeżenie Burтона. Christine Sullivan odniosła obrażenia, zanim dosięgły ją kule agentów.

Gloria powoli poruszyła głowę, próbując powstrzymać łzy. Tak bardzo tego chciała. Chciała, żeby Alan Richmond się z nią kochał, wyobrażała sobie, że będzie to takie romantyczne, idylliczne. Dwoje inteligentnych, wpływowych, dynamicznych ludzi. Para doskonała. Jak powinno być cudownie. Wspomnienie tego człowieka przywołało ją do rzeczywistości. Wziął ją, jakby się onanizował w toalecie z najnowszym numerem „Penthouse'a”. Nawet jej nie pocałował. Nawet nie powiedział słówka. Ściągnął

z niej ubranie, wsadził swój stwardniały organ, a potem poszedł. Zajęło to najwyżej dziesięć minut. A teraz jest sama. Szefowa personelu! Raczej dziwka.

Łzy popłynęły na poduszkę, a ona przeklinała siebie za słabość i płakała znowu. Była taka pewna swoich zdolności, taka pewna, że zdoła nim sterować. Boże, jakże się myliła, jakaż była głupia. Ten człowiek kazał zabijać. Waltera Sullivana. Walter Sullivan zabity, zamordowany, za wiedzę, z błogosławieństwem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy Richmond jej powiedział, nie mogła uwierzyć. Powiedział, że chce, aby była w pełni poinformowana. W porządku. W pełni zastraszona, to lepiej. Nie miała pojęcia, co on teraz zamierza. Nie znajdowała się już w centrum tej kampanii i dziękowała Bogu, że tak jest.

Usiadła w łóżku, obciągnęła koszulę nocną na drżącym ciele. Ogarnął ją wstyd. Oczywiście, że teraz jest jego osobistą dziwką. A wynagrodzeniem za to jest jego niewypowiedziana obietnica, że jej nie zniszczy. Tylko tyle? Czy to naprawdę wszystko?

Otułiła się kocem i popatrzyła w ciemność pokoju. Jest współsprawczynią. Ale jest jeszcze coś. Jest naocznym świadkiem. Luther Whitney też był naocznym świadkiem. Teraz nie żyje. A Richmond spokojnie rozkazał zamordować swojego najstarszego i najdroższego przyjaciela. Jeśli to zrobił, to ile warte jest jej życie? Odpowiedź na to pytanie jest szokująco jasna.

Wbiła zęby w dłoń, aż zabolalo. Popatrzyła na drzwi, za którymi zniknął. Był tam? Słuchał w ciemności? Myślał, co z nią zrobić? Ogarnął ją zimny dreszcz lęku i nie chciał opuścić. Jest w potrzasku. Pierwszy raz w życiu nie ma wyboru. A nawet nie jest pewna, czy przeżyje.

Jack upuścił pudełko na łóżko, zdjął płaszcz, wyjrzał przez hotelowe okno i usiadł. Był prawie pewien, że nikt go nie śledził. Tak szybko odjechał. W ostatniej chwili sobie przypomniał, żeby zostawić samochód. Nie miał pewności, kto go prześladowuje, ale zakładał, że mogą wyśledzić jego samochód.

Sprawdził godzinę. Taksówka wyrzuciła go przed hotelem zaledwie piętnaście minut temu. Nierzucające się w oczy miejsce, tani hotel zajmowany przez niezamożnych turystów, którzy wędrują po stolicy, aby łyknąć historii kraju.

Popatrzył na pudełko i uznał, że czekał już dosyć. Po chwili patrzył na przedmiot w torebce z folii.

Nóż? Przyjrzał się bliżej. Nie, staromodny otwieracz do kopert. Trzymał torebkę za róg i oglądał przedmiot dokładnie. Nie był wyszkolonym kryminologiem, więc nie wiedział, że czarne plamy na rączce i ostrzu są w rzeczywistości śladami dawno zakrzepłej krwi. Nie widział też odcisków palców.

Odłożył torebkę ostrożnie i rozsiadł się na krześle. To ma związek z zabójstwem tej kobiety. Tego był pewien. Ale jaki? Popatrzył jeszcze raz. Najwyraźniej ważny dowód rzeczowy. To nie narzędzie zbrodni; Christine Sullivan została zastrzelona. Ale Luther uważał to za coś o kluczowym znaczeniu.

Jack podskoczył. To coś musi identyfikować zabójcę Christine Sullivan! Schwycił torebkę i popatrzył pod światło, przeszukując wzrokiem każdy cal powierzchni. Teraz widział. Niewyraźne, jak płatanina czarnych nici. Odciski palców. To jest to. Jack spojrział uważniej na ostrze. Krew. Na rączce też. To musi być to. Co powiedział Frank? Próbował sobie przypomnieć. Sullivan prawdopodobnie zraniła napastnika. W ramię lub w nogę.

Ostrożnie odłożył torebkę do pudełka i wsunął pod łóżko.

Poszedł do okna i znów wyjrzał. Wiatr się wzmagił. Tanie okno drżało w podmuchach.

Gdyby tylko Luther mu powiedział, zaufał mu. Ale bał się o Kate. Jak mogli się dostać do Kate? Jak dali znać Lutherowi, że do niej się do niej?

Cofnął się myślami. Luther w więzieniu nie otrzymał żadnej wiadomości, tego Jack był pewien. Więc

kiedy? Podeszedł ktoś do niego i powiedział mu prosto z mostu: jak puścisz parę z gęby, to twoja córka zginie? Skąd wiedzieli, że ma córkę? Nigdy się ze sobą nie spotykali.

Jack położył się na łóżku, zamknął oczy. Nie, mylił się. Był moment, kiedy to było możliwe. Dzień, w którym aresztowano Luthera. Tylko wtedy ojciec i córka byli razem. Możliwe, że nawet bez słów ktoś mógł dać mu to jasno do zrozumienia. Bez wątpliwości, jednym spojrzeniem. Jack wiedział, że to więcej niż prawdopodobne. Prowadził dziesiątki spraw, które zostały umorzone, bo świadkowie bali się zeznawać. Nikt nie powiedział im ani słowa. Cicha, bezsłowna groźba, znana sprawa.

Kto tam mógł być? Kto mógł doręczyć wiadomość, po której Luther nie puścił pary z ust? Przecież były tam tylko gliny. Chyba że ten ktoś, kto do niego strzelał. Ale ten by się tam nie kręcił. Przecież nie wpadłby do lokalu i nie popatrzył na Luthera, bo wzbudziłby podejrzenia. Jack otworzył oczy.

Chyba że ta osoba to gliniarz. Myśl, która mu teraz przyszła do głowy, prawie go oszołomiła.

Seth Frank.

Nie, to niemożliwe. Nie ma motywu, nawet śladu. Nie mógł sobie wyobrazić detektywa i Christine Sullivan na jakiejś schadzce, bo przecież to tak musiałyby być. Zabił ją jej kochanek, a Luther to widział. To nie mógł być Seth Frank. Na miłość boską, to nie może być Seth Frank, bo to jedyna osoba, która go może z wyciągnąć z tego bagna. A jeśli to są odciski Franka? A jeśli jutro rano Jack dostarczy Frankowi tę właśnie rzecz, której ten rozpaczliwie szuka? Upuścił to, oddalił się, Luther wyszedł z ukrycia, zabrał i uciekł. To możliwe. I to miejsce, tak dobrze oczyszczone. To musiał być fachowiec. Doświadczony detektyw z wydziału zabójstw.

Jack pokręcił głową. Nie! Do diabła, nie! Musi komuś wierzyć. To ktoś inny. Musi być inaczej. Jest zmęczony. Te jego próby dedukcji są żalodne. Seth Frank nie jest mordercą.

Zamknął oczy. Teraz przynajmniej jest bezpieczny. Jutro czeka go bitwa. Za parę minut spał już niespokojnym snem.

Świt wstawał pogodny i mroźny. Nocna burza oczyściła powietrze.

Jack był już na nogach. Spał w ubraniu, co było widać. Umył twarz w małej łazience, przyczesał włosy, zgasił światło i wrócił do pokoju. Usiadł na łóżku i popatrzył na zegarek. Franka jeszcze nie będzie, ale to już niedługo. Wyciągnął pudełko spod łóżka, położył koło siebie. Jak bomba zegarowa. Zaraz wybuchnie.

Włączył mały telewizor stojący w kącie pokoju. Nadawali poranne wiadomości. Dziarska blondyneczka bez wątpienia wzmocniła się solidną dawką kofeiny przed wejściem na antenę, a teraz relacjonowała najświeższe sensacje.

Jack spodziewał się zwykłej litanii światowych kłopotów. Bliski Wschód miał codzienny abonament przynajmniej na minutę. Może nowe trzęsienie ziemi w południowej Kalifornii. Zmagania prezydenta z Kongresem.

Ale dziś rano była tylko jedna główna sensacja. Jack aż się wychylił z fotela, kiedy na ekranie zobaczył znajome wnętrze.

Patton, Shaw & Lord. Poczekalnia. Co mówi ta kobieta? Zabici? Sandy Lord nie żyje?! Zamordowany? Zastrzelony? Jack podskoczył do odbiornika i podkręcił głoś. Zdumiony patrzył na dwa ciała wytaczane na wózkach z budynku. W prawym górnym rogu ekranu pokazało się zdjęcie Lorda. Zrelacjonowano w skrócie jego błyskotliwą karierę. Nie żyje, bez wątpienia nie żyje. Zginął w swoim gabinecie, ktoś go zastrzelił.

Jack opadł na łóżko. Sandy był tam w nocy? Kim była ta druga osoba? Ta przykryta prześcieradłem. Nie ma pojęcia. Ale chyba wie, co się stało. Ten facet, który go ścigał, ten z bronią. Lord musiał się jakoś

na niego napatoczyć. Gonili Jacka, a Lord to przypadkowa ofiara.

Wyłączył telewizor i poszedł do łazienki. Oblał twarz zimną wodą. Ręce mu się trzęsły, kolana ugięły się. Nie do wiary, że to wszystko się zdarzyło. Tak szybko. To przecież nie przez niego, ale Jack nie mógł powstrzymać ogarniającego go poczucia winy. Poczucie winy, jak u Kate. Było druzgocące.

Chwycił za słuchawkę i wybrał numer.

Frank był w biurze już od godziny. Dostał już sygnał z wydziału zabójstw Dystryktu Kolumbii w sprawie podwójnego morderstwa w kancelarii prawnej. Frank nie miał pojęcia, czy ma to jakiś związek z Sullivanem. Ale jest tu jeden wspólny mianownik. Wspólny mianownik, który przyprawił go o potworny ból głowy, mimo że była zaledwie siódma rano.

Zadzwoił telefon bezpośredni. Podniósł słuchawkę, brwi uniosły mu się w wyrazie niedowierzania.

- Jack? Gdzie, do diabła, jesteś?

W głosie detektywa brzmiał twardy ton, którego Jack się nie spodziewał.

- Nie przywitasz się?

- Jack, wiesz, co się stało?

- Właśnie widziałem w wiadomościach. Byłem tam, Seth. Szukali mnie, nie wiem, jak to się stało, ale Sandy musiał się na nich wpakować i zabili go.

- Kto? Kto go zabił?

- Nie wiem! Byłem w biurze, usłyszałem szmer. Potem ktoś uzbrojony mnie ścigał po całym budynku, cudem uszedłem z życiem. Czy policja ma jakieś poszlaki?

Frank wziął głęboki wdech. Historia brzmiała zupełnie fantastycznie. Wierzył Jackowi, ufał mu. Ale za kogo można dać głowę w dzisiejszych czasach.

- Seth, Seth?

Frank obgryzał paznokcie, myśląc szaleńczo. W zależności od tego, co teraz zrobi, wydarzenia potoczą się w jednym z dwóch zupełnie różnych kierunków. Przez moment pomyślał o Kate Whitney. O siódmach, które zastawił na nią i jej ojca. Jeszcze tego nie przebolewał. Ten szloch w telefonie, aż się serce krajało. Może i jest glina, ale przede wszystkim jest człowiekiem. Chyba zostało mu jeszcze trochę ludzkich uczuć.

- Jack, policja ma tylko jedną poszlakę i to bardzo porządną. Jediną, jaką się zajęli.

- Dobra, jaką?

Frank zamilkł na chwilę.

- Ciebie, Jack. To ty jesteś tą poszlaką. W tej chwili wszystkie siły policyjne Dystryktu Kolumbii przeczesują miasto, szukając ciebie.

Słuchawka wyslizgnęła się powoli z dłoni Jacka. Krew jakby zamarła mu w żyłach.

- Jack! Jack, do cholery, powiedz coś. - Słowa detektywa nie dotarły do adresata. Jack wyjrzał przez okno. Tam, na zewnątrz go szukają.

Ludzie, którzy chcą go zabić, i ludzie, którzy chcą go aresztować za zabójstwo. Pełno ich tam.

- Jack!

Wreszcie, z wysiłkiem, Jack się odezwał. Słowa wyrzucał z trudem.

- Nikogo nie zabiłem, Seth.

Frank usłyszał to, co rozpaczliwie pragnął usłyszeć. I nie szło o słowa. Winowajcy zawsze kłamią. Ważny był ton, którym to powiedziano. Pobrzmiwała w nim rozpacz, niedowierzanie, przerażenie, wszystko naraz.

- Wierzę ci, Jack.

- Co się dzieje, Seth?

- Z tego, co mi powiedziano, gliny mają cię na taśmie wideo, jak wchodzisz do garażu koło północy. Najwidoczniej Lord i jego panienska byli tam przed tobą.

- W ogóle ich nie widziałem.

- Cóż, zdaje się, że starali się nie rzucać w oczy. - Pokręcił głową i ciągnął: - Zdaje się, że znaleziono ich w stroju co najmniej niekompletnym, zwłaszcza kobietę. Chyba właśnie skończyli numerkę, kiedy ich to spotkało.

- Jezus Maria!

- A potem znowu mają cię na wideo, jak wypadasz z garażu, najwyraźniej po tym, jak oni zostali zabici.

- A co z bronią? Znalezli broń?

- Znalezli. W pojemniku na śmieci w garażu.

- I?

- I twoje odciski na broni, Jack. Jedyne odciski, jakie są na tym pistolecie. Zidentyfikowali cię na podstawie stanowego rejestru odcisków palców prawników. Są twoje na sto procent, tak mi powiedziano.

Jack osunął się na krzesło.

- Nie dotykałem żadnego pistoletu, Seth. Ktoś mnie próbował zabić, a ja uciekałem. Trafiłem gościa przyciskiem do papieru, który załapałem z biurka. To wszystko, co wiem. - Przerwał. - Co teraz?

Frank wiedział, że to pytanie padnie. I kompletnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Formalnie rzecz biorąc, człowiek, który z nim rozmawiał, był poszukiwany pod zarzutem morderstwa. Jako oficer aparatu ścigania powinien mieć pełną jasność, co robić. Sęk w tym, że jej nie miał.

- Gdziekolwiek jesteś, zostań tam. Sprawdź wszystko. Pod żadnym pozorem nigdzie nie wychodź. Oddzwoń za trzy godziny. Okay?

Jack odłożył słuchawkę i pogrążył się w rozmyśleniach. Policja poszukuje go jako zabójcy dwojga ludzi. Jego odciski palców są na broni, której nawet nie tknął. Ścigany przez wymiar sprawiedliwości. Uśmiechnął się mdło. Ścigany. Jego nazwisko w telewizji, w gazetach. Jack Graham, podejrzany o morderstwo. Może Ransom Baldwin doczeka się wreszcie swojego zawału. A może skacze do góry z radości, bo jego córeczka nie jest już oficjalnie zaręczona.

Ścigany. A przed chwilą rozmawiał z policjantem. Frank nie pytał, gdzie jest. Ale mogli zlokalizować, skąd dzwonił. Bez trudu. Tylko że Frank nie zrobiłby tego. A potem Jack pomyślał o Kate.

Gliny nigdy nie mówią całej prawdy. Ten detektyw wyrolował już Kate. Było mu co prawda potem przykro, ale może tylko tak mówił.

Na dworze zawyła syrena i serce Jacka zatrzymało się na moment. Podbiegł do okna i wyjrzał, ale radiowóz przejechał, nie zatrzymując się; migające koguty znikły w oddali.

Ale mogą już po niego jechać. Właśnie w tej chwili. Chwycił płaszcz i zarzucił na siebie. Potem popatrzył na łóżko.

Pudełko.

Nie powiedział Frankowi o tym cholernym przedmiocie. Jeszcze wczoraj była to dla niego najważniejsza rzecz, teraz zeszła na dalszy plan.

- Nie masz dość roboty w tej swojej sielskiej okolicy? - Craig Miller był detektywem wydziału zabójstw Dystryktu Kolumbii od niepamiętnych czasów. Potężny, o grubych, falujących, czarnych włosach i obliczu, które zdradzało jego upodobanie do dobrej whisky, był znajomym Franka od lat. Ich

związek wynikał z przyjaźni i wspólnego poglądu, iż morderstwo musi zawsze zostać ukarane.

- Dosyć, ale zawsze znajdzie się czas, żeby wpaść i zobaczyć, co też dobrego słychać u ciebie - odparł Frank. Miller uśmiechnął się. Znajdowali się w gabinecie Jacka. Ekipa dochodzeniowa właśnie kończyła swoją robotę. Frank rozejrzał się po przestronnym wnętrzu. Teraz Jack ma daleko do takich luksusów, pomyślał. Miller popatrzył na niego.

- Ten Graham chyba miał coś wspólnego z tą twoją sprawą Sullivana?

Frank skinął głową.

- Obrońca głównego podejrzanego.

- Racja. Ale zamiana ról. Z obrońcy na podsądnego. Nieźle. - Miller się uśmiechnął.

- Kto znalazł ciała?

- Sprzątaczką. Przychodzi około piątej rano.

- Wyglówkowałaś już jakiś motyw?

Miller zerknął na przyjaciela.

- Stary, gadaj, o co chodzi. Jest ósma rano. Przyjechałeś kawał drogi z tej swojej wiochy, żeby wypytać, co mi chodzi po głowie. Co kombinujesz?

Frank wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Poznałem dobrze faceta, prowadząc tamtą sprawę. Zatkalo mnie, jak zobaczyłem jego gębę w porannych wiadomościach. Nie wiem co, ale coś mnie tknęło.

Miller przyglądał mu się badawczo przez następnych parę sekund, po czym uznał, że nie warto dalej naciskać.

- Motyw wydaje się całkiem jasny. Walter Sullivan był największym klientem zmarłego. Ten Graham, nie mówiąc nic nikomu w firmie, wyskakuje z obroną tego gościa, który jest oskarżony o zabójstwo żony Sullivana. To, oczywiście, nie bardzo pasuje Lordowi. Okazało się, że ci dwaj spotkali się w mieszkaniu Lorda. Może próbowali jakoś się dogadać, ale pewnie im się nie udało.

- Skąd tak dobrze wiesz, co tu się dzieje?

- Wspólnik zarządzający. - Miller przekartkował swój notes. - Daniel J. Kirksen. Naprawdę wiele mi pomógł.

- Ale w jaki sposób doprowadza nas to do Grahama, który przychodzi tutaj i załatwia dwie osoby?

- Nie twierdzą, że zrobił to z premedytacją. Materiały nagrane na wideo systemu zabezpieczenia budynku wskazują, że zabity przybył tu parę godzin przed Grahamem.

- A więc?

- A więc tych dwoje nie wiedziało, że on jest tutaj. Być może Graham zobaczył światło w oknie gabinetu Lorda, kiedy tędy przejeżdżał. To okno wychodzi na ulicę, można łatwo zobaczyć, kto jest w środku.

- Tak, tyle że jeśli mężczyzna i kobieta zajmują się wiesz czym, to raczej nie pokazują się całemu miastu.

- Racja, ale Lord raczej nie był w szczytowej kondycji, więc nie sądzę, żeby robili to cały czas. Światło w gabinecie było zapalone, kiedy ich znaleziono. Tak czy siak, przypadkowo czy nie, obaj spotykają się tutaj. Spór odżywa. Emocje rosną, padają jakieś groźby. I - bum! W afekcie. Może to była broń Lorda. Walczą, młodszy i silniejszy wyrywa broń. Wypala. Kobieta widzi to wszystko i też dostaje. W parę sekund jest po wszystkim.

Frank pokręcił głową.

- Przepraszam, że się wtrącam, Craig, ale to strasznie kiepsko trzyma się kupy.

- Ach, czyżby? Przecież mamy tego gościa, kiedy biały jak chusta wieje z budynku. Kamera widzi wszystko. Oglądałem tę taśmę, facetowi krew odpłynęła z twarzy do ostatniej kropli, mówię ci, Seth.

- Dlaczego straż nie sprawdziła wszystkiego od razu?

- Straż? Gówno nie straż. Ci goście głównie śpią i nawet nie rzucą okiem na monitor. Wszystko im się nagrywa, a oni nawet nie trudzą się, żeby systematycznie przeglądać taśmy. Powiem ci, że bez żadnego trudu można się do takiego budynku dostać po godzinach urzędowania.

- Więc może jeszcze ktoś tu był.

Miller pokręcił głową z uśmiechem.

- Nie sądzę, Seth. To twój problem. Lubisz komplikować proste rzeczy.

- Więc skąd pojawiła się ta tajemnicza broń?

- Znam wielu prawników, którzy trzymają broń w swoich biurach.

- Wielu? To znaczy ilu, Craig?

- Zdziwiłbyś się, Seth.

- Żebyś ty się nie zdziwił!

Miller zrobił zdziwioną minę.

- Co cię tak gnębi ta sprawa?

Frank nie spojrzał na przyjaciela. Patrzył na blat biurka.

- Nie wiem. Mówiłem ci, znam tego gościa. Nie wygląda mi na takiego. Więc masz jego odciski na broni?

- Dwa. Idealne. Prawy kciuk i wskazujący. Nigdy nie widziałem wyraźniej szych.

Coś w słowach przyjaciela poderwało Franka. Patrzył na blat na wysoki połysk. Brudny. Widać wyraźnie okrągły ślad po mokrej szklance.

- Gdzie szklanka?

- Co?!

Frank pokazał na plamę.

- To ślad po szklance. Masz ją?

Miller wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się.

- Jeszcze nie sprawdziłem zmywarki w kuchence, jeśli ci o to chodzi. Możesz mi pomóc.

Miller odwrócił się, żeby podpisać raport. Frank wykorzystał moment, żeby lepiej przyjrzeć się biurku. Pośrodku blatu widniał prostokątny ślad bez kurzu. Coś tu leżało. Trzy na trzy cale. Przycisk do papieru.

Parę chwil później Frank siedł korytarzem. Odciski palców na pistolecie były doskonałe. Zbyt doskonałe, prawdę mówiąc. Frank pozwolił sobie na uśmiech. Miał rację, robiąc to, co zrobił, a właściwie, czego nie zrobił.

Jack Graham mówił prawdę. Nikogo nie zabił.

Frank widział także broń i raport policyjny na jej temat. Kaliber .44, numery seryjne zatarte, broń nie do zidentyfikowania.

Tak jak pistolet znaleziony przy Walterze Sullivanie.

- Wiesz, Burton, już jestem trochę zmęczony tym, że muszę tej sprawie poświęcać tyle czasu i uwagi. Mam kraj do rządzenia, może zapomniałeś. - Richmond siedział w fotelu naprzeciw płonącego w kominku ognia. Oczy miał zamknięte; palce splecione.

Zanim Burton zdążył odpowiedzieć, prezydent dodał:

- Zamiast zabezpieczyć wiadomy obiekt, zdołaliście jedynie dołożyć dwie pozycje do rejestru zabójstw

prowadzonego przez policję miejską i wypuścić obrońcę Whitneya z dowodem rzeczowym, który może załatwić nas wszystkich. Oszalaniające rezultaty.

- Jack Graham nie zgłosił się na policję, to pewne, chyba że przepada za więziennym wiktem. - Burton patrzył na nieruchomego prezydenta. On, Burton, tyle tego gówna musiał wziąć na siebie, żeby uratować mu tyłek, gdy ten siedział tu sobie bezpiecznie. A teraz jeszcze krytykuje. Jakby dla starego agenta fakt, że zginęły jeszcze dwie niewinne osoby, był naprawdę powodem do radości.

- Rzeczywiście, muszę wam pogratulować tego posunięcia. Wykazałeś się szybkim pomysłem. Ale obawiam się, że możemy uznać to jedynie za rozwiązanie tymczasowe. Jeśli policja aresztuje Grahama, ten z pewnością pokaże im ten przedmiot, jeśli go ma, żeby ocalić własną skórę.

- Ale zyskałszy trochę czasu.

Prezydent wstał, chwycił Burтона za potężne barki.

- I wykorzystasz ten czas, żeby zlokalizować Jacka Grahama i przekonać go, że podjęcie jakiegokolwiek akcji przeciwko nam nie leży w jego dobrze pojętym interesie.

- Czy życzy pan sobie, abym powiedział mu to przedtem, czy po tym, jak wpakuję mu kulkę w łeb?

Prezydent uśmiechnął się.

- Pozostawiam to do twojego uznania.

Odwrócił się do biurka. Burton popatrzył na plecy prezydenta. Przez chwilę wyobraził sobie, że pakuje cały magazynek z pistoletu w kark prezydenta. Żeby skończyć od razu i raz na zawsze z tą całą bzdurą. Jeśli ktokolwiek na to zasługuje, to właśnie ten facet. Jeden strzał. Ale Bill Burton zbyt długo był agentem Secret Service. Myśl tylko przemknęła mu przez głowę, a dłoń nawet nie sięgnęła do kabury.

- Domyślasz się, gdzie on może być?

Burton pokręcił głową.

- Nie, ale mamy wiarygodne źródło informacji. - Nie wspomniał o porannym telefonie Jacka do Setha Franka. Prędzej czy później Jack powie detektywowi, gdzie się zadekował. I wtedy przyjdzie kolej na ruch Burтона.

Wziął głęboki wdech. Jeśli ktoś lubi pełne napięcie wyzwania, to nie znalazłby nic lepszego. Ostatnia runda, siły wyrównane, czy uda mu się zakończyć walkę nokautem?

Miał nadzieję, że tak.

Seth Frank czekał przy swoim biurku, nie spuszczać oka z zegara. Sekundnik minął dwunastkę. Telefon zadzwonił. W samą porę.

Jack tkwił w budce telefonicznej. Dziękował Bogu, że jest tak zimno. Obszerny skafander z kapturem spadającym na oczy, który kupił dziś rano, pasował do pogody. I tak miał nieodparte wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają.

Frank usłyszał uliczny hałas w tle.

- Gdzie jesteś, u diabła? Mówiłem, żebyś się nigdzie nie ruszał.

Jack nie odpowiedział od razu.

- Jack?

- Słuchaj, Seth, nie będę siedział i czekał, aż mnie dopadną. I w mojej sytuacji nie mogę na nikim do końca polegać. Rozumiemy się?

Frank chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Facet ma rację, nie da się ukryć.

- W porządku. Chcesz usłyszeć, co wykombinowali?

- Dawaj.

- Na twoim biurku stała brudna szklanka. Najwidoczniej coś piłeś. Pamiętasz?

- Tak, cołę, i co z tego?

- To, że ten, kto cię ścigał, wpadł na Lorda i tę kobietę, jak sam się domyśliłeś, i załatwił ich. Ty zwiąłeś. Wiedzieli, że kamera z garażu zarejestrowała twoją ucieczkę zaraz po śmierci tych dwojga. Zdjęli twoje odciski palców ze szklanki i przenieśli je na broń.

- To da się zrobić?

- Jeśli się wie, jak do tego podejść, i ma odpowiednie wyposażenie. Gdybyśmy znaleźli szklankę, moglibyśmy udowodnić, że to mistyfikacja. Tak jak odciski różnych osób się różnią, tak samo dwa odciski tego samego palca na różnych przedmiotach nie mogą być całkowicie identyczne.

- Czy policja waszyngtońska na to wpadła?

Frank się niemal roześmiał.

- Nie liczyłbym na to, Jack. Naprawdę. Szukają tylko ciebie. Nic innego ich nie obchodzi.

- Świetnie. Więc co mam robić?

- Po kolei. Przede wszystkim, dlaczego ktoś cię ściga?

Jack prawie wymierzył sobie policzek. Popatrzył na pudełko.

- Dostałem od kogoś specjalną przesyłkę. Od Edwiny Broome. Wiele byś dał, żeby to zobaczyć.

Seth się podniósł, żalując, że nie może sięgnąć ręką na drugą stronę linii.

- Co to takiego?

Jack mu powiedział.

Frank myślał szybko. Krew i odciski palców. Frajda dla Simons.

- Mogę się spotkać z tobą gdziekolwiek chcesz i o każdej porze.

Jack pomyślał prędko. Ironia polega na tym, że miejsca uczęszczane wydają się bardziej niebezpieczne niż odludne.

- Może na stacji metra Farragut West, przy wyjściu na ulicę L, około jedenastej wieczorem?

Frank zanotował.

- Będę.

Jack odwiesił słuchawkę. Stawi się na stacji przed czasem. Na wszelki wypadek. Jeśli zobaczy coś, co nasuwa najłżejsze podejrzenie, zakopie się pod ziemię najgłębiej, jak się da. Sprawdzą, ile ma pieniędzy. Gotówka na ukończeniu. O kartach kredytowych lepiej tymczasem zapomnieć. Może zaryzykować bankomat? To mu da parę setek. Powinno na razie wystarczyć.

Wyszedł z budki, przyjrzał się tłumowi. Typowy, pośpieszny ruch na Union Station. Nikt nie wydawał się nim w najmniejszym stopniu zainteresowany. Jack drgnął lekko. Naprzeciw szła para funkcjonariuszy policji. Jack schował się z powrotem do budki, póki nie przeszli.

Kupił hamburgera z frytkami w kiosku i złapał taksówkę. Pogryzając swój posiłek po drodze, zastanawiał się nad możliwymi drogami wyjścia z sytuacji. Czy jeśli dostarczy nóż do papieru Frankowi, jego kłopoty naprawdę się zakończą? Należy podejrzewać, że odciski palców i ślady krwi należą do osoby, która była w domu Sullivana tamtej nocy. Tu włączył się Jackowi sposób myślenia obrońcy procesowego. I ten zaczął mnożyć trudności i przeszkody niemal nie do pokonania. Po pierwsze dowód rzeczowy może się okazać niewystarczający. Może nie uda się zidentyfikować odcisków i DNA, bo ta osoba nie jest notowana w kartotece. Jack przypomniał sobie znowu wyraz twarzy Luthera tamtej nocy, kiedy spotkali się na Mailu. Tu chodzi o kogoś ważnego, kogoś, kogo ludzie znają. A to kolejna przeszkoda. Jeśli rzuca się podejrzenie na kogoś takiego, lepiej mieć żelazne dowody, albo człowiek jest skończony.

Po drugie, przed nimi niekończący się łańcuch problemów. Czy zdołają udowodnić, że nóż do papieru pochodzi z domu Sullivana? Pewnie trzymała go Christine Sullivan. Luther przechowywał go kilka miesięcy. Teraz ma go Jack i liczy na to, że wkrótce przekaze go policji w osobie Setha Franka. Nagle coś sobie uświadomił i aż go zmroziło.

Wartość dowodowa noża jest równa zeru. Nawet jeśli uda się zidentyfikować właściciela odcisków palców i krwi, zdolny adwokat roznieśie na strzępy wiarygodność tego dowodu. Do cholery, na tej podstawie nie uda się nawet postawić nikogo w stan oskarżenia. „Nieczysty” dowód to żaden dowód.

Przerwał jedzenie i opadł na wyściełane tanim plastikiem oparcie. Wyjrzał przez okno, gdzie pogoda była równie ponura jak jego nastrój.

Ale jednak! Chcą to dostać z powrotem. Zabili, żeby to dostać. Byli gotowi zabić Jacka, żeby to zdobyć. Nóż musi być dla nich ważny. A więc niezależnie od wagi dowodowej przed sądem, nóż ma wartość. A coś, co ma wartość, można wykorzystać. Może jednak istnieje jakaś szansa.

Była dziesiąta, gdy Jack dotarł do windy zjeżdżającej na stację metra Farragut West. Na obsługującej linie pomarańczową i niebieską waszyngtońskiego metra stacji Farragut West w ciągu dnia roiło się jak w ulu, ze względu na jej położenie w pobliżu śródmiejskiej dzielnicy biurowców, z niezliczonymi kancelariami i biurami rachunkowymi, przedstawicielstwami handlowymi i dyrekcjami korporacji. O dziesiątej wieczorem jednak było tu raczej pusto i cicho.

Jack wysiadł z windy i rozejrzał się po okolicy. Stacja metra jest właściwie wielkim tunelem o łukowatym sklepieniu i podłodze z kamiennych płyt. Szeroki korytarz obwieszony reklamami papierosów, z rzędem automatów do biletów po jednej stronie, prowadził do oszklonej budki z obrotowymi bramkami po obu stronach. Dalej, nad dwoma automatami telefonicznymi w osłonach, wisiała ogromna kolorowa mapa sieci metra, rozkład jazdy i informacja taryfowa.

Za szybami budki znużony pracownik metra bujał się sennie w fotelu. Od czasu do czasu mijał Jacka jakiś spóźniony pasażer. Jack rozejrzał się i zauważył zegar na frontowej ścianie budki. Nagle zamarł. Z windy wysiadał policjant. Jack wysiłkiem woli powstrzymał odruch rzucenia się do ucieczki. Najbardziej swobodnym krokiem, na jaki go było stać, podszedł do automatu telefonicznego i schował się w jego osłonie. Kiedy odzyskał oddech, zaryzykował spojrzenie na zewnątrz. Policjant podszedł do automatu z biletami, skinął pracownikowi metra w budce i popatrzył w kierunku wejścia na stację. Jack schował się z powrotem. Teraz widać było tylko jego nogi. Poczekaj. Facet zaraz sobie pójdzie. Musi.

Minęło parę minut. Myśli Jacka przerwał donośny głos. Wyjrzał. Z windy wysiadał człowiek, najwidoczniej bezdomny. Ubranie w strzępach, na ramieniu gruby zwój koca. Broda i włosy matowe i rozczochrane. Twarz ogorzała i wymęczona. Na dworze jest zimno. Stacja metra może być miłym i ciepłym schronieniem, póki człowieka nie wygonią. Metalowe kraty przed wejściami do wind mają trzymać takich ludzi na zewnątrz. Zamyka się je o północy. Kolejne krótkowzroczne rozwiązanie, jakie znalazło to miasto dla jednego ze swoich ustawicznych problemów.

Jack się rozejrzał. Funkcjonariusz policji zniknął. Może patroluje perony. Wpadł tylko pokazać się facetowi z budki. Jack popatrzył w tamtym kierunku. Ten też zniknął.

Jack spojrzał z powrotem na bezdomnego, który mościł sobie legowisko w kąci, zacierając nieustannie zmarznęte gołe ręce. Jacka ukłuło poczucie winy. To wstrząsające, ilu jest takich ludzi w śródmieściu. Ktoś hojny może między jedną przecznicą a drugą rozdać wszystko, co ma w kieszeniach. Jack nieraz tak robił. Na cóż miałby wydawać swoje horrendalne dochody?

Jeszcze raz rozejrzał się po okolicy. Nikogo. Do najbliższego pociągu jeszcze jakiś kwadrans. Wyszedł

spod osłony i popatrzył na bezdomnego. Ten zdawał się nie zauważać Jacka, całą uwagę skupiał na swoim małym świcie, jakże dalekim od normalnej rzeczywistości. Jack pomyślał, że jego własna rzeczywistość też jest jak najdalsza od normalności. I on, i ten żalony strzęp człowieka naprzeciwko wplątani są w swoją szczególną walkę. I śmierć może w każdej chwili upomnieć się o każdego z nich. Tyle że koniec Jacka będzie prawdopodobnie bardziej gwałtowny. Może to i lepsze niż powolne i ciężkie odchodzenie tego drugiego.

Otrząsnął się. Takie myśli nie prowadzą do niczego dobrego. Jeśli ma przeżyć, musi się skupić, musi uwierzyć, że da radę siłom, które się przeciwko niemu sprzysięgły.

Ruszył naprzód i zatrzymał się. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Nagłe uderzenie adrenaliny spowodowało, że głowę miał lekką.

Bezdomny miał na sobie nowe buty. O miękkiej podeszwie, z brązowej skóry, kosztowały na pewno ponad sto pięćdziesiąt dolców. Wystawały spod zwałów brudnych szmat jak lśniący brylant na piasku.

Wtedy ten człowiek podniósł na niego wzrok i utkwiał go w twarzy Jacka. Znajome oczy. Spoza zmarszczek, tłustych włosów i ogorzałych policzków patrzyły oczy, które widział już kiedyś, na pewno. Człowiek zaczął się podnosić z podłogi. Wydawał się mieć teraz znacznie więcej sił niż wtedy, kiedy wkuśtykał na stację.

Jack rozejrzał się gorączkowo. Pusto jak w grobie. Jego grobie. Miejscu wiecznego spoczynku. Obejrzał się. Człowiek ruszył w jego kierunku. Jack się cofnął, przyciskając pudełko do piersi. Pomyślał o ucieczce do windy. Broń. Zaraz pokaże się broń. Wycelowana prosto w niego. I nawet nie usłyszy wystrzału. Mózg nie zdąży tego zarejestrować, nim się zatrzyma. Już na zawsze.

Jack cofał się tunelem w stronę budki. Człowiek włożył rękę za pazuchę. Okutana zjawa gubiła teraz swoje szmaciane okrycia przy każdym kroku. Jack się obejrzał. Usłyszał kroki. Ktoś nadchodził. Kiedy się pojawił, Jack prawie krzyknął z ulgą.

Zza rogu wyszedł policjant. Jack podbiegł do niego, pokazując za siebie do tunelu, na bezdomnego, który teraz stanął jak zamurowany po środku korytarza.

- Ten człowiek to fałszywy bezdomny! - Przez myśl przeszło mu, że policjant może go rozpoznać, chociaż mina młodego funkcjonariusza na to nie wskazywała.

- Co? - zdezorientowany gliniarz gapił się na Jacka.

- Niech pan popatrzy na jego buty. Przebrał się. Chyba mnie goni. - Jack zdał sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt sensownie, ale co miał zrobić? Opowiedzieć wszystko? Jest przecież poszukiwany. Ma wokół samych wrogów. Ten chłopak może awansować na sierżanta, jeśli złapie Jacka.

Policjant popatrzył w głąb tunelu, zobaczył stojącego mężczyznę, który wykrzywił twarz w grymas. Zakłopotany, wrócił do rutynowych pytań.

- Czy osobnik ten zaczepiał pana?

Jack zawahał się.

- Tak - powiedział w końcu.

- Hej! - policjant krzyknął do przebierańca.

Jack patrzył, jak gliniarz rzucił się do biegu. Bezdomny odwrócił się i zaczął uciekać. Dotarł do windy, zobaczył, że jest już wyłączona, jeszcze raz się odwrócił i pobiegł tunelem, skręcił za róg i zniknął. Policjant tuż za nim. Jack został sam. Zajrzał do budki. Pracownik metra nie wrócił.

Wzdrygnął się. Usłyszał coś. Jakby ktoś krzyknął z bólu. Stamtąd, gdzie zniknęli obaj mężczyźni. Ruszył w tamtym kierunku. Zza rogu wyskoczył policjant, zadyszany. Popatrzył na Jacka i skinął, żeby podszedł. Wyglądał, jakby właśnie widział albo zrobił coś, co go napawało niesmakiem.

Jack pośpiesznie podszedł do niego. Policjant łapał powietrze.

- Cholera! Nie wiem, co tu jest grane, koleś. - Z trudem odzyskiwał oddech. Oparł się ręką o ścianę, żeby się uspokoić.

- Złapał go pan?

Gliniarz skinął głową.

- Miał pan rację.

- Co się stało?

- Trzeba to zobaczyć. Muszę wezwać pomoc. - Policjant wyprostował się i ostrzegawczo wycelował palec w Jacka. - Niech się pan stąd nie rusza. Potrzebny pan będzie do udzielenia wyjaśnień, a wygląda na to, że wie pan znacznie więcej, niż pan mówi. Zrozumiano?

Jack skinął szybko głową. Policjant oddalił się szybko. Jack poszedł za róg. Chwileczkę. Gliniarz mówił, żeby czekać. Czekać, aż przyjdą go aresztować. Teraz powinien wiać. Ale nie może. Musi zobaczyć, kto to był. Znał tego gościa. Musi zobaczyć.

Jack popatrzył przed siebie. To był korytarz służbowy, używany wyłącznie przez personel metra. W ciemności, daleko w tunelu, widać było pokaźny kłęb szmat. W przyćmionym świetle Jack starał się zobaczyć coś więcej. Podszedł bliżej i zobaczył, że to ten bezdomny. Przez parę chwil Jack pozostawał bez ruchu. Chciał, żeby pokazali się policjanci. Jest tak cicho, tak ciemno. Kłęb się nie poruszał. Jack nie słyszał oddechu. Nie żyje? Policjant musiał go zabić? Wreszcie Jack się pochylił. Ukląkł obok. Jaka doskonała charakterystyka. Jack dotknął zmatowiałych włosów. Nawet ciężki odór włóczędzy ulicznego był autentyczny. Nagle Jack zobaczył strugę krwi, spływającą po szyi mężczyzny. Odsunął włosy. Głębokie nacięcie. Stąd był ten dźwięk, który słyszał. Rozegrała się walka i policjant zadał cios. Już po wszystkim. Chcieli nabrać Jacka, ale sami wpadli. Miał ochotę ściągnąć perukę i inne elementy charakterystyki, żeby zobaczyć, kim był jego prześladowca. Ale to musi poczekać. Trzeba zaczekać. Może to i lepiej, że odda się w ręce policji. Powie im wszystko. Da im nóż do papieru. Musi im zaufać.

Wstał, odwrócił się i zobaczył policjanta, sprężyste idącego korytarzem. Pokręcił głową. Ale robi chłopakowi niespodziankę. To będzie jego wielki dzień.

Jack podszedł do policjanta i zatrzymał się, widząc wycelowaną w siebie lufę dziewiątki.

Gliniarz patrzył mu w oczy.

- Pan Graham.

Jack wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Zidentyfikował go wreszcie.

- We własnej osobie. - Podniósł pudełko. - Mam coś dla pana.

- Wiem, że masz, Jack. I to jest właśnie to, czego szukam. Dziękuję za współpracę.

Tim Collin patrzył, jak uśmiech znika z warg Jacka. Poprawił palec na spuście i ruszył do przodu.

Seth Frank czuł, jak przyspiesza mu tętno, gdy zbliżał się do stacji. Wreszcie będzie to miał. Mógł sobie wyobrazić, jak Laurie Simons rzuci się na ten dowód rzeczowy. I Frank miał prawie sto procent pewności, że w jakiejś bazie danych trafią na właściciela śladów. Wówczas sprawa stanie się jasna jak słońce. I wreszcie znajdzie się odpowiedź na te wszystkie pytania.

Jack patrzył na twarz, chłonąc każdy szczegół. Nic dobrego z tego dlań nie wynikało.

- Facet nie żyje. Zabił go pan.

- Daj mi pudełko, Jack.

- Kim pan jest, do diabła?

- To przecież nie ma znaczenia, prawda? - Collin odpiął pojemnik u pasa i wyjął tłumik, który szybko

nakręcił na lufę pistoletu.

Jack zerknął na wycelowaną w jego pierś lufę. Pomyślał o wózkach, na których wywieziono Lorda i tę kobietę. W jutrzejszych gazetach na niego kolej. Jack Graham i jakiś bezdomny. Dwa wózki. Oczywiście wyjdzie na to, że to Jack wykończył tego biedaka. Jack Graham - od współnika u Pattona, Shaw & Lorda do mordercy bezdomnych.

I to wszystko w ciągu tygodnia. To jakiś rekord. Rekord, ale w jakiej dyscyplinie?

- Dla mnie ma.

- Więc? - Collin zrobił krok do przodu i obiema rękami objął kolbę pistoletu.

- Pieprz się, masz! - Jack rzucił pudełkiem w głowę Collina dokładnie w chwili, kiedy rozległ się stłumiony strzał. Pocisk uderzył w krawędź pudełka i utkwiał w betonowej ścianie. W tej samej chwili Jack rzucił się całym ciałem na Collina. Collin był solidnie zbudowany, ale i z Jacka nie był ułomek. Jack czuł, że facet całkiem stracił dech, kiedy bark Jacka utkwiał mu prosto w przeponie. Instykt przypomniał mu dawno nieużywane chwytaki zapasów. Podniósł Collina i rzucił w niegościnnie ramiona kamiennej posadzki. Zanim Collin się pozbierał, Jack znikł już za rogiem.

Collin złapał broń i pudełko. Mdłości zatrzymały go jeszcze na moment. Głowa bolała od uderzenia w posadzkę. Ukląkł, starając się odzyskać równowagę. Jack dawno uciekł, ale przynajmniej jest to. Wreszcie. Palce Collina zacisnęły się na pudełku.

Jack przebiegł koło budki, obrócił bramkę, popędził do windy i na platformę. Mglisto docierało do niego, że widzą go ludzie. Kaptur zsunął mu się z głowy.

Twarz miał całkiem odsłoniętą. Rozległ się za nim krzyk. To facet z budki. Jack nadal biegł i opuścił stację wyjściem od strony Siedemnastej Ulicy. Ten człowiek na pewno nie był sam. A ostatnia rzecz, której teraz potrzebował, to jakiś ogon. Pewnie nie obstawili obu wyjść. Nie wzięli pod uwagę, że opuści stację o własnych siłach. Ramię go bolało od zderzenia, a oddech łąpał z trudem. Zimne powietrze paliło w płuca. Minął biegiem jeszcze dwie przecznice, po czym zwolnił kroku. Szczelnie owinął się skafandrem. Potem sobie przypomniał. Popatrzył na swoje puste ręce. Pudełko! Zostawił to cholerne pudełko. Oparł się bezwładnie o szybę ciemnego teraz McDonalda. Jego ostatnia szansa. Przepadła. Ma szczęście, że żyje, ale co to za życie.

Pokazały się światła samochodu. Jack szybko schował się za rogiem. Za parę minut będzie miał autobus. Nie bardzo wiedział dokąd.

Samochód skręcił w Ulicę L, potem w Dziewiętnastą. Seth Frank pojechał ulicą Eye, potem skręcił w Osiemnastą. Zaparkował za rogiem, koło stacji metra, wysiadł i podszedł do ruchomych schodów.

Po drugiej stronie ulicy, ukryty za pojemnikami na śmieci i metalową barierką, stał Bill Burton. Klnąc bezgłośnie, zgasił papierosa, sprawdził, czy nikogo nie widać i szybko ruszył w kierunku ruchomych schodów.

Frank rozejrzał się i sprawdził czas. Myślał, że dotrze wcześniej. Popatrzył na kupę śmieci pod jedną ze ścian. Potem powędrował spojrzeniem ku pustej budce. Żywego ducha wokół. Cicho. Za cicho. W głowie Franka zapaliło się czerwone światełko. Wykrywacz zagrożenia trenowany od lat był nieomyślny. Automatycznym ruchem wyciągnął broń. Usłyszał jakiś dźwięk z prawej. Ruszył szybko korytarzem, w przeciwną stronę od obrotowych bramek. Tam czekał na niego ciemnawy korytarz. Zajrzał i z początku nic nie zobaczył. Potem, gdy wzrok przyzwyczaił się do słabego oświetlenia, ujrzał dwie rzeczy. Jedna poruszała się, druga nie.

Mężczyzna podnosił się z wolna na nogi. Był oszołomiony. Oczy Franka zobaczyły pudełko. To nie Jack. Facet jest w mundurze. Facet ma broń. Frank zacisnął ręce na własnej broni. Gliniarz. Co mówił

Jack? Wygląda na to, że wiedzą. Że wiedzą wszystko, co wie policja. Przeciek. Musi być przeciek.

Frank zaczął się skradać. Dawno tego nie robił. Obraz żony i trzech córek przemknął mu przez głowę, ale go odpędził. Musi się skoncentrować.

Wreszcie znalazł się wystarczająco blisko. Modlił się, żeby go nie zdradził przyspieszony oddech. Opuścił pistolet ku szerokim plecocom.

- Nie ruszać się! Policja!

Mężczyzna zamarł bez ruchu.

- Odłóż broń, kolbą naprzód. Jak zobaczę twój palec w pobliżu spustu, to zrobię ci dziurkę w głowie. No, dalej.

Broń powoli powędrowała na podłogę. Frank odprowadzał ją wzrokiem, cał po calu. Wtem wzrok mu się zamącił. Zachwiał się i upadł bezwładnie na posadzkę. Collin, słysząc coś, obejrzał się i zobaczył Billa Burтона, stojącego z pistoletem trzymanym za lufę. Patrzył na ziemię, na Franka.

- Spadamy, Tim.

Collin wstał na drżących nogach, popatrzył na leżącego funkcjonariusza i przyłożył mu lufę do głowy. Ciężka dłoń Burтона go powstrzymała.

- To policjant. Nie zabijamy policjantów. Nie zabijamy już nikogo więcej, Tim. - Burton popatrzył na kolegę. Nieprzyjemne myśli krążyły mu po głowie na temat łatwości i spokoju, z jakimi młodszy kolega wszedł w rolę mordercy bez skrupułów. Collin wrzucił ramionami i schował broń. Burton wziął pudełko, popatrzył na detektywa, a potem na drugą pokurczoną sylwetkę ludzką. Pokręcił głową z ubolewaniem i popatrzył karcąco na swojego współnika.

Minęło kilka minut, Seth Frank jęknął głośno, spróbował wstać, po czym zapadł z powrotem w bezświadomość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kate leżała w łóżku, ale nie mogła zasnąć. Sufit jej sypialni zastąpiły skłębione obrazy, jeden bardziej przerażający od drugiego. Popatrzyła na zegarek na szafce nocnej. Trzecia nad ranem. Podniesiona roleta w oknie ukazywała atramentową czerń na zewnątrz. Słyszała bębnienie deszczu o szybę. Ten dźwięk, zazwyczaj usypiający, teraz dołączał się niespokojnie do dudnienia w głowie.

Kiedy zadzwonił telefon, najpierw się nie poruszyła. Kończyny zdawały się zbyt ciężkie, żeby drgnąć. Jakby we wszystkich naraz zamarło krążenie. Przez jeden okropny moment pomyślała, że ją sparaliżowało. Wreszcie po piątym dzwonku udało jej się podnieść słuchawkę.

- Halo? - Głos jej drżał, jakby była o krok od omdlenia; nerwy miała całkowicie zszargane.

- Kate, potrzebuję pomocy.

Cztery godziny później siedzieli w małej kafejce w Founder's Park, tej samej, w której spotkali się pierwszy raz po wieloletniej rozłące. Pogoda zepsuła się całkiem, gęsta śnieżna kasza prawie uniemożliwiała prowadzenie samochodu i sprawiała, że na piechotę wyruszali tylko najzuchwalsi śmiałkowie.

Jack popatrzył na nią przez stół. Zdjął skafander z kapturem, ale pozostał w narciarce na głowie, która w połączeniu z kilkudniowym zarostem i parą okularów w grubiej oprawie na tyle zmieniła jego wygląd, że Kate musiała spojrzeć na niego dwa razy, zanim go rozpoznała.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził? - Spojrzał na nią z niepokojem. Para unosząca się z filiżanek z

gorącą kawą trochę zamazywała jego rysy, ale Kate dostrzegła napięcie na jego twarzy, co oznaczało, że jest na granicy załamania.

- Zrobiłam, jak kazałeś. Metro, dwie taksówki i autobus. Gdyby ktoś utrzymał się za mną w taką pogodę, to musiałby być nadczłowiekiem.

Jack odstawił kawę.

- Z tego, co widziałem, to niecałkiem wykluczone.

Nie wymienił przez telefon miejsca, gdzie mieli się spotkać. W tej chwili zakładał, że podsłuchują wszystkich, którzy mają z nim jakikolwiek związek. Powiedział, że w „zwykłym miejscu”, pewien, że Kate zrozumie, i nie pomylił się. Wyjrzał przez okno. Każda przechodząca postać mogła nieść ze sobą zagrożenie. Pchnął przez stolik egzemplarz „Washington Post”. Na stronie tytułowej umieszczono wielki nagłówek. Jack zatrząsł się ze złości, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

Seth Frank ze wstrząśnieniem mózgu, ale w niegroźnym stanie, leży w Klinice Jerzego Waszyngtona. Bezdomny, dotychczas niezidentyfikowany, miał mniej szczęścia. Ale głównym bohaterem sensacji jest Jack Graham, jednoosobowy syndykat zbrodni. Popatrzyła na niego, przeczytawszy artykuł.

- Musimy działać. - Spojrzał na nią i skończył swoją kawę. Wstała.

Jeśli jest jakiś jaśniejszy punkt w tej całej katastrofie, to ten, że Kate bez wahania mu pomogła. Nigdy nie miała nawet cienia podejrzenia, że Jack może być winny.

Taksówka wyrzuciła ich przy motelu Jacka na przedmieściach starego miasta Alexandria Rzucił spojrzeniem na prawo, lewo i za siebie, kiedy szli do jego pokoju. Zamknąwszy i zaryglowawszy drzwi, zdjął narciarkę i okulary.

- Boże, Jack, tak mi przykro, że wplątałeś się w to wszystko. - Trzęsła się, widział to z daleka. Nie czekając, objął ją, czując, jak jej ciało uspokaja się, odpręża. Popatrzył na Kate.

- Wplątałem się w to na własne życzenie. Teraz muszę się tylko wyplątać. - Spróbował się uśmiechnąć, ale to nie zmniejszyło jej obaw, tego okropnego lęku, że Jack może wkrótce dołączyć do jej ojca.

- Zostawiłam z tuzin wiadomości na twojej automatycznej sekretarce.

- Nawet nie pomyślałem, żeby ją przesłuchać, Kate. - W ciągu następnej półgodziny opowiedział jej wypadki ostatnich paru dni. W jej oczach odbijało się przerażenie narastające z każdą nową rewelacją.

- O Boże.

Zamilkli na chwilę.

- Jack, masz jakiś pomysł, kto się za tym kryje? To wygląda na rozgałęziony spisec, a ty znalazłeś się w środku.

Jack pokręcił głową, wydał lekki jęk.

- Jakieś luźne podejrzenia kołaczą mi się po głowie, ale nic na razie nie trzyma się kupy. Mam nadzieję, że to się zmieni. Wkrótce.

Uderzył ją fatalizm, z jakim wypowiedział ostatnie słowo, resztę powiedziały jego oczy. Sprawa jest jasna jak słońce. Mimo wszelkich środków ostrożności, wyszukanych zabezpieczeń, mimo wszelkich wrodzonych zdolności i talentów, jakie mógł wykorzystać na polu walki, oni go znajdą. Czy to gliny, czy ktokolwiek, kto chce go zabić. To tylko kwestia czasu.

- Ale przynajmniej mają z powrotem to, czego szukali? - Głos jej się załamywał, patrzyła na niego nieomal błagalnie.

Położył się na wznak na łóżku, wyciągnął zmęczone kończyny, które zdawały się nie należeć już do niego.

- Nie można liczyć na to, że teraz mi dadzą spokój. - Usiadł i popatrzył na ścianę pokoju. Tani obrazek z Jezusem wisiał na ścianie. Tak, przydałaby mu się jakaś interwencja boskiej opatrności. Wystarczyłby niewielki cud.

- Przecież nikogo nie zabiłeś, Jack. Frank już się tego domyślił. Policja waszyngtońska też do tego dojdzie.

- Czyżby? Frank mnie zna, Kate. Zna mnie, a mimo to usłyszałem z początku w jego głosie wątpliwość. Uczepił się tej szklanki, ale nie ma żadnych dowodów, że ktoś coś kombinował z nią albo z bronią. Z drugiej strony murowane dowody wskazują na mnie jako mordercę dwóch osób. Trzech, jeśli dołączyć wczorajszy wieczór. Mój adwokat doradzałby mi przyznanie się do winy i negocjowanie układu w nadziei na dwadzieścia lat albo dożywocie z możliwością zwolnienia warunkowego. Sam bym coś takiego doradzał. Jeśli doszłoby do procesu, nie miałbym szans. Jedynie garstka spekulacji na temat związku Luthera, Waltera Sullivana i całej reszty z jakimś monstrualnym spiskiem. Kto w to uwierzy? Sędzia pęknie ze śmiechu. Przysięgli nawet nie będą słuchać. Prawdę mówiąc, nie ma czego słuchać. - Wstał i oparł się o ścianę, ręce wepchnął w kieszenie. Nie patrzył na nią. Wszystkie jego krótko- i długoterminowe plany wzięły w łeb.

- Umrę w więzieniu jako starzec, Kate, jeśli w ogóle dożyję starości.

Usiadła na łóżku z rękami na podolku. Głębokie westchnienie uwięzło jej w gardle; przygniotło ją ciężkie jak kamień poczucie bezsilności.

Seth Frank otworzył oczy. Z początku nie udało mu się wyostrzyć obrazu. Jego umysł zarejestrował coś, co przypominało wielkie białe prześcieradło, na które wylewano litrami czarną, białą i szarą farbę, tworząc jakąś nieregularną łamigłówkę. Po paru niepokojących chwilach udało mu się wyłowić z tego zarysy szpitalnej izolatki, ze wszystkimi olśniewającymi bielami, błyszczącymi chromami i ostrymi kątami. Spróbował usiąść, ale jakaś ręka zdecydowanie przytrzymała go za ramię.

- Ho, ho, poruczniku. Nie tak prędko. - Frank popatrzył w oblicze Laurie Simons. Uśmiech nie do końca zamaskował wyraz zmartwienia na jej twarzy. Westchnienie ulgi słysząc było wyraźnie. - Żona właśnie wyszła zająć się dziećmi. Siedziała tu całą noc.

- Gdzie jestem?

- Klinika Jerzego Waszyngtona. Dobrze, że wybrałeś sobie miejsce niedaleko szpitala, żeby dostać w łeb. - Simons pochylała się nad nim, tak że nie musiał wykręcać głowy, żeby ją widzieć. Wpatrywał się w nią. - Seth, pamiętasz, co się stało?

Frank pomyślał o wczorajszym wieczorze. Czy to było wczoraj?

- Jaki dziś dzień?

- Czwartek.

- Więc to się stało wczoraj?

- Około jedenastej. W każdym razie wtedy cię znaleźli. I tego drugiego.

- Drugiego? - Frank szarpnął głową, żeby się rozejrzeć. Ból przeszył mu kark.

- Spokojnie, Seth. - Simons poprawiła mu poduszkę.

- Był jeszcze jeden facet. Bezdomny. Jeszcze go nie zidentyfikowali. Takie samo uderzenie w tył głowy. Najpewniej zginął na miejscu. Miałeś szczęście.

Frank uważnie dotknął obolałych skroni. Nie czuł się szczególnym szczęściarzem.

- Ktoś jeszcze?

- Co?

- Jeszcze kogoś znaleźli?

- Ach, nie. Ale nie uwierzysz, co jeszcze. Pamiętasz tego adwokata, który oglądał z nami kasetę?

Frank zeszywniał.

- Tak, Jack Graham.

- Właśnie. Ten gość zabił dwoje ludzi w swojej kancelarii, a później widziano go, jak zwiewał ze stacji metra zaraz potem, jak ty i ten facet dostaliście. Ten facet to jakiś potwór. A wyglądał tak zwyczajnie.

- Znaleźli go? Jacka? Na pewno uciekł?

Laurie popatrzyła na niego dziwnie.

- Zwiął ze stacji metra, jeśli ci o to chodzi. Ale to tylko kwestia czasu, znajdą go. - Wyrzała przez okno, sięgnęła po torebkę. - Policja waszyngtońska chce z tobą pogadać, jak tylko dojdiesz do siebie.

- Nie jestem pewien, czy mogę im dużo pomóc. Niewiele pamiętam.

- Chwilowa amnezja. Przypomnisz sobie. - Włożyła żakiet. - Muszę iść. Ktoś musi strzec majątku i spokoju hrabstwa Middleton, podczas gdy ty będziesz się tu wylegiwał. - Uśmiechnęła się. - Nie przyzwyczaj się do tego za bardzo, Seth. Martwiliśmy się, że będziemy musieli zatrudnić nowego detektywa.

- Gdzie byście znaleźli drugiego takiego?

Laurie wybuchnęła śmiechem.

- Twoja żona wróci mniej więcej za godzinę. Należy ci się trochę odpoczynku. - Odwróciła się ku drzwiom. - A właściwie to co robiłeś na stacji metra Farragut West o tak późnej porze?

Frank nie odpowiedział od razu. Nie miał amnezji. Dokładnie przypominał sobie wydarzenia wczorajszego dnia.

- No, Seth?

- Nie bardzo wiem, Laurie. - Zamknął oczy i otworzył je jeszcze raz. - Po prostu nie pamiętam.

- Nie przejmuj się. Pamięć wróci. Tymczasem złapią Grahama. Wtedy prawdopodobnie wszystko się wyjaśni.

Po wyjściu Simons Frank nie odpoczywał. Jack gdzieś tam się błąka. I prawdopodobnie myśli, że to Frank zastawił na niego pułapkę, chociaż jeśli czytał gazety, to pewnie wie, że i detektyw wpadł prosto w zasadzkę.

Ale to oni mają teraz ten nóż. To on był w tym pudełku. Na pewno. A bez niego, jakie mają szansę przygwoździć tych ludzi?

Frank jeszcze raz spróbował się podnieść. Do przedramienia miał podłączoną kroplówkę. Ucisk w głowie kazał mu natychmiast opaść na łóżko. Musi się stąd wydostać. I skontaktować z Jackiem. Nie wie tylko, jak tego dokonać.

- Przecież powiedziałeś, że potrzebujesz mojej pomocy. Co mam zrobić? - Kate patrzyła mu prosto w oczy.

Jack usiadł na łóżku koło niej. Był skołatany.

- Mam naprawdę poważne wątpliwości, czy powinienem cię w to wszystko mieszać. Prawdę mówiąc, wątpię, czy dobrze zrobiłem, dzwoniąc do ciebie.

- Jack, przez ostatnie cztery lata otaczali mnie gwałciciele, uzbrojeni bandyci i mordercy.

- Wiem, ale przynajmniej wiedziałaś, z kim masz do czynienia. A tutaj kompletna niewiadoma. Zabijają ludzi na prawo i lewo, Kate. To poważna sprawa.

- Nie odejdę, muszę ci pomóc. - Jack zawahał się, odwrócił wzrok. - Jack, jeśli się nie zgodzisz, sypnę

cię. Bezpieczniej ci będzie na policji.

Popatrzył na nią.

- Zrobiłabyś to, prawda?

- Bez chwili wahania. Łamię wszystkie zasady, siedząc tutaj z tobą. Albo pozwolisz mi działać, albo...

W jej oczach dostrzegł coś takiego, że mimo całej okropności swojej sytuacji poczuł się w tym jednym momencie szczęściarzem. Bogu dzięki, że ma przy sobie tę kobietę. Można na niej polegać tak samo jak na jej ojcu. Te same oczy. Jeśli coś obiecała, to masz to jak w banku. Tę cechę Jack wysoko cenił, zwłaszcza teraz.

- W porządku. Będziesz moją łączniczką z Sethem. Poza tobą to jedyna osoba, której mogę ufać.

- Ale nie masz swojej paczki. W jaki sposób on ci pomoże? - Kate nie potrafiła do końca ukryć swojej niechęci do detektywa.

Jack wstał i zaczął się przechadzać. Wreszcie zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Wiesz, że twój ojciec miał hopla na punkcie planowania? Zawsze opracowywał plan awaryjny.

Kate oznajmiła sucho:

- Pamiętam.

- Liczę na to.

- Na co liczysz?

- Na to, że Luther i w tej sprawie miał plan awaryjny.

Wlepiała w niego zdumiony wzrok.

- Pani Broome?

Drzwi się uchyliły, wyjrzała Edwina Broome.

- Tak?

- Nazywam się Kate Whitney. Luther Whitney był moim ojcem.

Kate odprężyła się, widząc powitalny uśmiech staruszki.

- Wiem, widziałam panią kiedyś. Luther mi pokazywał pani zdjęcie. W naturze jest pani jeszcze ładniejsza.

- Dziękuję.

Edwina otworzyła drzwi na oścież.

- Ach, gdzie moja głowa. Musiała pani skostnieć z zimna. Proszę, proszę.

Poprowadziła ją do saloniku, gdzie trójka kotów wylegiwała się wygodnie na meblach.

- Zaparzę kawy. Napije się pani?

Kate zawahała się. Czasu ma niewiele. Potem rozejrzała się po ciasnym wnętrzu domu. Cały świat tej kobiety. Mąż nie żyje od dawna, córka zmarła. Nieczęsto ktoś ją odwiedza.

- Dziękuję, chętnie.

Obie kobiety usadowiły się w starych, ale wygodnych fotelach. Kate sączyła mocną kawę i poczuła wreszcie, że trochę jej cieplej. Nie spała od niepamiętnych czasów. Odgarnęła włosy z twarzy i zerknęła na starszą panią, znajdując wpatrzona w siebie oczy.

- Współczuję z powodu pani ojca, Kate. Naprawdę. Wiem, że dzieliło was wiele, ale Luther był dobrym człowiekiem, najlepszym, jakiego w życiu spotkałam.

Kate poczuła, że robi się jej jeszcze cieplej.

- Dziękuję.

Wzrok Edwiny pobiegł w kierunku stolika przy oknie. Kate popatrzyła za nią. Stało tam kilka

fotografii, ołtarzyk pamięci Wandy Broome. Była podobna do matki.

Ołtarzyk. Aż podskoczyła, przypominając sobie kolekcję swoich zdjęć u ojca.

Edwina znów na nią patrzyła. Kate odstawiała kawę.

- Pani Broome, przepraszam, że wracam do bolesnych spraw, ale prawda jest taka, że nie mam wiele czasu.

Edwina pochyliła się ku niej wyczekująco.

- Chodzi o śmierć Luthera i mojej córki, prawda? Kate wydawała się zdziwiona.

- Dlaczego pani tak myśli?

Edwina pochyliła się jeszcze bardziej, zniżyła głos do szeptu.

- Bo ja wiem, że Luther nie zabił pani Sullivan. Dałabym za to głowę.

Kate zrobiła zaintrygowaną minę.

- Domyśla się pani, kto...

Edwina już kręciła głową ze smutkiem.

- Nie, nie mam pojęcia.

- Więc skąd pani wie, że nie zrobił tego mój ojciec?

Edwina wyraźnie się zawahała. Opadła na oparcie fotela i zamknęła oczy. Kiedy je wreszcie otworzyła, Kate nie drgnął nawet jeden mięsień.

- Jest pani córką Luthera i myślę, że powinna znać pani prawdę. - Przerwała, napiła się kawy, osuszyła wargi serwetką i usadowiła się wygodniej w fotelu. Czarny pers przedelfilował przez pokój i ułożył się do snu na jej kolanach. - Znałam pani ojca. Jego przeszłość, że tak powiem. On i Wanda poznali się. Ona narobiła sobie kłopotów wiele lat temu, a Luther jej pomógł. Pomógł jej stanąć na nogi i wrócić do normalnego życia. Zawsze będę mu za to wdzięczna. Zawsze był przy nas, gdy ja albo Wanda czegoś potrzebowaliśmy. Prawda jest taka, Kate, że to tylko przez Wandę pani ojciec znalazł się w tamtym domu owej nocy.

Edwina opowiadała kilka minut. Kiedy skończyła, Kate zdała sobie sprawę z tego, że cały czas wstrzymywała oddech. Jej westchnienie rozległo się echem w pokoju.

Edwina nic nie powiedziała, tylko przyglądała się młodej kobiecie swoimi wielkimi, smutnymi oczami. Wreszcie poruszyła się. Pomarszczona dłoń poklepała Kate po kolanie.

- Luther kochał cię, dziecinko. Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

- Zdaję sobie sprawę...

Edwina z wolna pokręciła głową.

- Nigdy nie obwiniał cię, że zachowujesz się tak, a nie inaczej. Prawdę mówiąc uważał, że masz pełne prawo odczuwać to właśnie tak.

- Tak powiedział?

- Był z ciebie dumny, z tego, że jesteś prawnikiem i w ogóle. Mawiał: „Moja córka jest prawnikiem, i to cholernie dobrym. Sprawiedliwość leży jej na sercu, i tak powinno być, ma rację”.

Kate zaczęło się kręcić w głowie. Miotły ją uczucia, na które nie była teraz przygotowana. Potarła sobie kark i przez chwilę wyglądała za okno. Czarny samochód przejechał ulicą, po czym zniknął. Szybko znów spojrzała na Edwinę.

- Pani Broome, dziękuję, że powiedziała mi pani to wszystko. Ale właściwie przyszedłam w innej sprawie. Potrzebuję pani pomocy.

- Zrobię, co będę mogła.

- Ojciec przysłał pani paczkę.

- Tak. A ja odesłałam ją panu Grahamowi, tak jak kazał mi Luther.

- Wiem. Jack dostał tę przesyłkę. Ale ktoś mu ją odebrał. Teraz zastanawiamy się, czy ojciec nie przysłał pani jeszcze czegoś, czegoś, co mogłoby nam pomóc?

Oczy Edwiny przestały być smutne. Zaiskrzyły. Patrzyła na coś z tyłu za Kate.

- Za tobą, Kate. W górnej szufladzie biurka. Pod papierami.

Kate wysunęła szufladę, poszperała chwilę i wyciągnęła pakiet. Popatrzyła nań.

- Luther należał do najlepiej zorganizowanych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałam. Powiedział, że gdyby coś nie wyszło z tą paczką dla pana Grahama, mam mu to doręczyć. Właśnie miałam to zrobić, kiedy przeczytałam o nim w gazetach. Czy mam rację, że on nie zrobił nic z tych rzeczy, które o nim wypisują?

Kate skinęła głową.

- Szkoda, że wszyscy nie myślą tak jak pani.

Kate zaczęła otwierać paczkę. Głos Edwiny był ostry.

- Nie rób tego dziecko. Twój ojciec powiedział, że zawartość przeznaczona jest wyłącznie dla pana Grahama. Do rąk własnych. Najlepiej będzie, jak zrobimy dokładnie to, o co nas prosił.

Kate zawahała się, walcząc z naturalną ciekawością, po czym zamknęła pakiet.

- Czy mówił pani coś jeszcze? Czy wiedział, kto zabił Christine Sullivan.

- Wiedział.

Kate popatrzyła na nią bystro.

- Ale nie powiedział?

Edwina energicznie zaprzeczyła.

- Powiedział tylko jedno.

- Co takiego?

- Powiedział, że gdybym usłyszała od niego, kto to zrobił, tobym mu nie uwierzyła.

Kate opadła na fotel i rozmyślała przez chwilę niespokojnie.

- Co takiego mógł mieć na myśli?

- No, zdziwiłam się bardzo, jak to usłyszałam.

- Dlaczego? Dlaczego to panią zdziwiło?

- Bo Luther był najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Uwierzyłam mu we wszystko, cokolwiek by powiedział. Przyjęłabym jak prawdę objawioną.

- A więc cokolwiek widział, kogokolwiek, to musiało być coś zupełnie nie do uwierzenia. Nawet dla pani.

- Otóż to. Tak właśnie pomyślałam.

Kate wstała.

- Dziękuję pani, pani Broome.

- Proszę mówić mi po imieniu. Edwina. Śmieszne imię, prawda, ale nie mam innego.

Kate uśmiechnęła się.

- Jak to wszystko się skończy, chciałabym cię odwiedzić, Edwino. Pogadać trochę.

- Z rozkoszą. Starość ma swoje wady i zalety. Ale samotna starość ma same wady.

Kate włożyła płaszcz i podeszła do drzwi. Wsadziła pakiet do torebki.

- To powinno ci ułatwić poszukiwania, prawda, Kate?

Kate odwróciła się.

- Co?

- Poszukiwania tego kogoś nie do uwierzenia. Nie ma ich tak wielu na świecie.

Strażnik był wysoki, tęgi i okropnie zmieszany.

- Nie bardzo wiem, jak to się stało. Nie było mnie najwyżej trzy minuty.

- Nie wolno było panu opuszczać posterunku, Monroe. - Maleńkiego wzrostu zwierzchnik patrzył na Monroego surowo. Potężny mężczyzna pocił się obficie.

- Już mówiłem, ta pani poprosiła o pomoc przy niesieniu torby, więc jej pomogłem.

- Jaka pani?

- Mówiłem, jakaś pani. Młoda, ładna, elegancko ubrana. - Zwierzchnik odwrócił się z niesmakiem. Nie mógł wiedzieć, iż ową panią była Kate Whitney i że Seth Frank jest już pięć przecznic dalej, w samochodzie Kate.

- Boli? - W głosie ani w wyrazie twarzy Kate nie było zbyt wiele współczucia.

Frank delikatnie dotknął bandaża na głowie.

- Żartuje pani? Moja sześciolatka córka walnęłaby mnie mocniej. - Rozejrzał się po samochodzie. -

Ma pani coś do palenia? W tych cholernych szpitalach wolno palić.

Poszperała w torebce i rzuciła mu otwartą paczkę. Zapalił i zerknął na nią zza chmury dymu.

- Nieźle załatwiła pani tego strażnika. Powinna grać pani w filmach.

- Świetnie! Właśnie chcę zmienić zawód.

- Jak tam pani chłopak?

- Bezpieczny. Na razie. I nie zmieniamy tego.

Skręciła za róg. Popatrzyła na niego twardo.

- Wie pani, śmierć pani ojca nie leżała w moich planach.

- To samo mówi Jack.

- A pani mu nie wierzy?

- Czy to ważne, w co ja wierzę?

- Dla mnie ważne.

Zatrzymała się na czerwonym świetle.

- W porządku. Powiedzmy, że dopuszczam myśl, że pan nie chciał, by to się stało. Może być?

- Nie bardzo, ale na razie musi wystarczyć.

- To dobrze, bo nic więcej teraz pan nie uzyska.

Jack skręcił za róg i spróbował się odprężyć. Front atmosferyczny wreszcie oddalił się od stolicy. Lodowaty śnieg przestał co prawda sypać, ale termometr nadal wskazywał minus siedem stopni Celsjusza, a wiatr wrócił ze zdwojoną siłą. Pochuchał na zeszywniałe palce i przetaił niewyspane oczy. Na czarnej zaspie nieba wisiał sierp księżycy, łagodny i świetlisty. Jack sprawdził otoczenie. Budynek po drugiej stronie ulicy stał czarny i pusty. Po tej stronie także były zamknięte drzwi i ciemne okna. Nieliczni przechodnie spieszyli do domów, przez długie chwile Jack nie widział żywego ducha. Schronił się przy drzwiach budynku. Czekał.

Trzy przecznice dalej zardzewiała taksówka zatrzymała się przy krawężniku, otworzyły się tylne drzwi, na cementowych płytach chodnika stanęły buty na płaskim obcasie. Taksówka ruszyła natychmiast i za moment na ulicy znów zapadła cisza. Kate opatulila się szczelniej paltem i ruszyła spieszenie. Kiedy mijała następną przecznice, inny samochód, ze zgaszonymi światłami, skręcił za róg i podążał za nią w oddaleniu. Pogrążona w myślach o tym, co ją czeka, nie obejrzała się za siebie.

Zobaczył ją, jak wychodzi zza rogu. Rozejrzał się na wszystkie strony, zanim zrobił krok, z nawyku, który szybko stał się jego drugą naturą, choć miał nadzieję, że wkrótce nie będzie mu konieczny Ruszył jej na spotkanie. Ulica była spokojna. Ani Kate, ani Jack nie widzieli maski samochodu, która wychyliła się zza budynku. Siedzący wewnątrz kierowca skierował na parę noktowizor, reklamowany w katalogu sprzedaży wysyłkowej, jako najnowszy krzyk rosyjskiej techniki. A wprawdzie byli komuniści najwyraźniej nie mieli pojęcia, jak rządzić demokratycznym, kapitalistycznym społeczeństwem, lecz na ogół umieli konstruować solidny sprzęt wojskowy.

- Jezu, skostniałeś, jak długo czekasz? - Kate wzięła Jacka za rękę i aż się wzdrygnęła na lodowate dotknięcie.

- Dłużej, niż to było konieczne. W pokoju dostaję klaustrofobii. Musiałem wyjść. Kiepsko zapowiadam się jako więzień. Załatwiłaś?

Kate otworzyła torebkę. Dzwoniła przedtem do Jacka z automatu. Powiedziała mu, że coś ma, choć nie mogła mu powiedzieć co. Jack zgodził się z Edwina Broome, że skoro trzeba podjąć ryzyko, to on weźmie większość na siebie. Kate i tak zrobiła dosyć.

Jack chwycił paczkę. Nietrudno było zgadnąć, co zawiera. Fotografie.

Dzięki Bogu, Luther, nie rozczarowałem się.

- Nic ci nie jest? - Jack przyjrzał się jej badawczo.

- Prawie.

- Gdzie jest Seth?

- Niedaleko. Zawiezie mnie do domu.

Popatrzyli sobie w oczy. Jack wiedział, że najlepiej będzie dla Kate, jeśli wyjedzie, może nawet na jakiś czas za granicę, dopóki cała sprawa nie przycichnie albo on nie zostanie skazany za morderstwo. W tym drugim wypadku jej plan, żeby zacząć życie od nowa gdzieś daleko stąd, okazałby się najlepszym rozwiązaniem.

Ale nie chciał się z nią rozstać.

- Dziękuję. - Te słowa wydawały się zupełnie nie na miejscu, jakby zaprosiła go na lunch albo przyniosła mu rzeczy z pralni chemicznej.

- Jack, co teraz zamierzasz zrobić?

- Jeszcze nie do końca wszystko przemyślałem. Ale już coś mi świta. Nie poddam się bez walki.

- Tak, tyle że nawet nie wiesz, z kim masz do czynienia. Tu nie ma miejsca na fair play.

- Kto mówił, że to będzie fair?

Uśmiechnął się do niej, a wiatr pędził ulicą starą gazetę.

- Lepiej już idź. Tu nie jest bezpiecznie.

- Mam ze sobą gaz łzawiący.

- Grzeczna dziewczynka.

Odwróciła się, żeby odejść, ale jeszcze chwyciła go za ramię.

- Jack, proszę cię, uważaj na siebie.

- Dobrze, będę nosił szalik i czapkę.

- Jack, ja nie żartuję.

Wzruszył ramionami.

- Wiem. Obiecuję, że będę bardzo ostrożny. - Podszedł do niej i zdjął kaptur.

Lornetka zatrzymała się na jego twarzy. Drżąca ręka chwyciła komórkowy telefon w samochodzie.

Przywarli do siebie w uścisku. Jack miał ochotę pocałować ją mocno, ale w tej sytuacji musnął jedynie

wargami jej szyję. Oderwali się od siebie, w oczach Kate pojawiły się łzy. Jack odwrócił się i szybko odszedł.

Kate ruszyła z powrotem. Samochód zauważyła dopiero, gdy wjechał koło niej na chodnik. Cofnęła się, widząc otwierające się drzwi. Niedaleko odezwało się wycie syren policyjnych, wszystkie zmierzały w jednym kierunku. W kierunku Jacka. Obejrzała się odruchowo. Nie widać go. Musiał już uciec. Musiał. Kiedy odwróciła się z powrotem, spojrzała w parę oczu skrytych pod krzaczastymi brwiami.

- Domyślałem się, że nasze ścieżki się spotkają jeszcze raz, panno Whitney. - Kate wpatrywała się w człowieka, ale nie rozpoznała go. Wydawał się tym rozczarowany.

- Bob Gavin. „Washington Post”.

Popatrzyła na jego samochód. Widziała go już. Przejeżdżał koło domu Edwiny Broome.

- Śledził mnie pan.

- Owszem, proszę pani, śledziłem. Wykombinowałem sobie, że doprowadzi mnie pani w końcu do Grahama.

- Policja? - Odwróciła gwałtownie głowę, widząc radiowóz na sygnale, który zmierzał w ich kierunku.

- Pan ich wezwał.

Gavin skinął głową uśmiechnięty. Najwyraźniej był zadowolony z siebie.

- Teraz, zanim gliny się nami zajmą, myślę, że możemy zawrzeć drobną umowę. Pani da mi wywiad na wyłączność o Jacku Grahamie, a ja nie pisnę słowa o tym, że siedzi pani po uszy w tej sprawie.

Kate utkwiała w nim spojrzenie, wściekłość kipiała w niej, narastała od wielu tygodni. A Bob Gavin, nawet o tym nie wiedząc, znalazł się tuż przy epicentrum.

Gavin popatrzył na zbliżający się radiowóz. Dalej jeszcze dwa wozy policyjne jechały w ich kierunku.

- No, dalej Kate, nie masz wiele czasu. Ciebie uchronię przed kryminałem, a sam dostanę zasłużonego Pulitzera i piętnaście minut sławy. Zgoda?

Zgrzytnęła zębami i zadziwiająco spokojnie, jakby trenowała to od miesięcy, powiedziała:

- Nie, panie Gavin. Piętnaście minut bólu. - Na jego oczach wyciągnęła z torebki kieszonkowy pojemnik z gazem, skierowała mu prosto w twarz i nacisnęła kapturek. Zanim policjanci wyskoczyli z samochodu, Bob Gavin związał się na chodniku z rękami przy twarzy, na próżno próbując sobie zetrzeć z oczu piekące drobinki.

Na pierwszy daleki odgłos syreny Jack rzucił się do sprintu w boczną uliczkę. Teraz rozpląszczył się przy ścianie budynku, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Czuł ból w piersi, mróz szczypał w policzki. Pustka na ulicach mu nie sprzyjała. Mógł się ruszać, ale wyglądał jak mrówka na białej kartce. Syreny zbliżały się, nie był pewny z której strony.

Naprawdę dochodziły ze wszystkich stron. I były coraz bliżej. Ruszył ostro do najbliższego rogu, zatrzymał się i wyrżał ostrożnie. Widok nie napawał optymizmem. Policyjna blokada przegradzała ulicę. Ich strategia nie budziła wątpliwości. Wiedzieli, gdzie mniej więcej jest. Odgrodzą teren w dużym promieniu i systematycznie będą zacieśniać krąg. Mają czas i ludzi, a on nie.

Ale on za to dobrze zna okolicę. Wielu jego klientów pochodziło z tej dzielnicy. Nie marzyli o studiach, dobrych posadach, udanej rodzinie i apartamencie na przedmieściu, ale o tym, żeby wyrwać jak najwięcej kasy za działkę koki, żeby przeżyć dzisiejszy dzień, nie myśląc o jutrze. Przetrwąć. Instynkt przetrwania. Jack miał nadzieję, że go nie zawiedzie.

Pędząc uliczką, nie miał pojęcia, co go czeka, choć przypuszczał, że paskudna pogoda zatrzyma w domach paru miejscowych przestępców. Prawie się roześmiał. Nikt z jego byłych współników u Pattona, Shawa & Lorda nie zbliżyłby się do tego miejsca nawet w eskorcie batalionu piechoty. Dla nich równie

dobrze mógłby biegać po powierzchni Plutona.

Przeskoczył prowizoryczne ogrodzenie i zachwiał się lekko. Dla złapania równowagi oparł się o odrapaną ścianę z cegieł i usłyszał dwa dźwięki. Swój ciężki oddech i tupot biegnących stóp. Kilka par. Zauważyli go, oskrzydłają. Zaraz spuszcza psy, a przed nimi nie da się uciec. Wyskoczył z zaułka i ruszył w stronę Indiana Avenue. Co za ironia, dwie przecznice dalej mieści się sąd najwyższy Dystryktu Kolumbii, taśmowo wymierzający nie najwyższej klasy sprawiedliwość według wokand tak długich, że największym pesymistom nawet by się nie śniło. Do tego sądu Jack pojedzie policyjnym wozem. Ale jeszcze nie teraz.

Jack skręcił w kolejną uliczkę. Usłyszał pisk opon. Już tu na niego czekają, to tylko kwestia czasu. Namacał w kieszeni pakiet. Co z tym robi? Nikomu już nie ufa. Formalnie zrobią listę przedmiotów, które aresztant ma przy sobie, zabiorą mu je, oczywiście za pokwitowaniem, i zabezpieczą. Co oczywiście nic nie znaczy. Ktoś, kto mógł zabić w tłumie funkcjonariuszy policji i zniknąć bez śladu, nie będzie miał trudności z wydobyciem rzeczy osobistych aresztanta z depozytu policyjnego. To, co ma w kieszeni, to jego jedyna szansa. W Dystrykcie Kolumbii zniesiono co prawda karę śmierci, ale dożywocie bez prawa do przedterminowego zwolnienia nie jest wcale lepsze, a pod pewnymi względami znacznie gorsze od kary śmierci.

Wbiegł między budynki, zanurkował między pojemnikami na śmieci i runął na chodnik. Pozbierał się i przeturlał, rozcierając łokieć. Czuł w nim palący ból, a w kolanie jakiś dziwny luz, którego nie znał. Policyjny kogut oślepił go prawie, a koła zatrzymały się parę cali od jego głowy. Oklapł na asfalcie. Nie miał siły nawet się ruszyć. Już po wszystkim.

Otworzyły się drzwi samochodu. Jack popatrzył zdumiony. Drzwi obok kierowcy. Potem drzwi kierowcy. Silne ręce chwyciły go pod pachami.

- Do cholery, Jack, rusz dupę!

Jack spojrzał w oczy Setha Franka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Bill Burton wsadził głowę do kwatery Secret Service. Tim Collin siedział przy jednym z biurk, przeglądając raport.

- Chodź, Tim.

Tim podniósł wzrok zaintrygowany.

- Osaczyli go koło budynków sądu. Chcę tam być. Na wszelki wypadek.

Auto mknęło, wymuszając niebieskim kogutem respekt innych użytkowników drogi.

- Gdzie jest Kate? - Jack leżał na tylnym siedzeniu, przykryty kocem.

- W tej chwili właśnie wysłuchuje, jakie przysługują jej prawa. Potem wytoczą jej sprawę o pomoc zbiegowi.

Jack podskoczył.

- Musimy wracać, Seth. Oddam się w ręce policji. Muszą ją wypuścić.

- No jasne.

- Nie żartuję, Seth. - Jack przeciskał się do przodu między fotelami.

- Ani ja, Jack. Jeśli wrócisz i ujawnisz się, nie pomożesz Kate nie a nic, a sam stracisz wszystko.

- Ale Kate...

- Zajmę się Kate. Już dzwoniłem do kumpla w policji Dystryktu Kolumbii. Będzie na nią czekał. To porządny facet.

Jack opadł na siedzenie.

- Cholera.

Frank otworzył okno, sięgnął na dach, zdjął koguta i rzucił go na siedzenie obok

- Co się stało, do cholery?

Frank rzucił okiem w lusterko wsteczne.

- Nie bardzo wiem. Domyślam się, że Kate złapała gdzieś ogon. Mieliśmy się spotkać w Convention Center po waszym spotkaniu. Podśluchałem przez moje radio, że cię namierzyli. Śledziłem przez radio obławę, starałem się zgadnąć, dokąd mogłeś uciekać. Miałem fart. Jak zobaczyłem cię wypadającego z zaułka, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Ledwo zwałeś. Jak się czujemy?

- Świetnie. Powinienem robić coś takiego dwa razy do roku, tak dla kondycji. W ramach przygotowań olimpijskich.

Frank zachichotał.

- Widzę, że nie upadasz na duchu. Dziękuj Bogu. Dostałeś swój prezencik?

Jack przeklął w duchu. Był tak zajęty ucieczką, że nawet nie popatrzył, co dostał. Wyciągnął pakiet.

- Masz światło?

Frank pstryknął lampkę. Jack przerzucił zdjęcia. Frank patrzył w lusterko.

- I co my tu mamy?

- Fotki. Tego noża do papieru czy co tam było.

- Aha. Można się było domyślić. Widać coś?

Jack przyjrzał się uważniej w kiepskim świetle.

- Nie bardzo. Może macie jakieś specjalne metody.

Frank westchnął.

- Będę z tobą szczery, Jack. Zdjęcia nie na wiele się zdadzą. Nawet jeśli zobaczymy coś, co wygląda na odcisk palca, to i tak nie wiadomo, skąd się tam wziął. I nie da się zrobić badania DNA nawet z dobrego zdjęcia.

- Wiem. Nie na próżno byłem cztery lata adwokatem.

Seth zwolnił. Znajdowali się na Pennsylvania Avenue, ruch zgęstniał.

- Masz jakiś pomysł?

Jack przygładził włosy palcami. Podniósł się, ale ból w kolanie kazał mu opaść z powrotem na siedzenie.

- Ktokolwiek się za tym kryje, bardzo mu zależało na tym nożu do papieru. Tak bardzo, że zdecydował się zabić mnie, ciebie i każdego, kto mu wszedł w drogę. Szczyt paranoi.

- Co pasuje do naszej teorii, że to jakaś gruba ryba, która ma mnóstwo do stracenia, jeśli sprawa wyjdzie na jaw. No i co? Dostali swoją zabawkę. Dokąd to nas prowadzi?

- Luther nie robił tych zdjęć po to, żeby zastąpiły rzeczywisty przedmiot.

- Co masz na myśli?

- Wrócił do kraju, Seth, pamiętasz? Nie wiedzieliśmy dlaczego.

Frank stanął na czerwonym świetle. Odwrócił się do tyłu.

- Racja. Wrócił. Myślisz, że wiesz dlaczego?

Jack ostrożnie usiadł, nie wychylając głowy ponad krawędź okien.

- Zdaje mi się, że tak. Pamiętasz, powiedziałem ci, że Luther to nie taki facet, który zostawiłby taką rzecz bez konsekwencji. Jeśli mógł, musiał coś z tym zrobić.

- Ale wyjechał z kraju. Najpierw.

- Wiem. Może taki miał pierwotny plan. Może miał tak zrobić, gdyby skok poszedł zgodnie z planem. Ale wrócił. Coś spowodowało, że zmienił zdanie i wrócił. I miał te zdjęcia. - Jack rozłożył je jak wachlarz kart. Zatrąbił klakson, Frank usiadł prosto i ruszył.

- Nie chwytam, Jack. Jeśli chciał przygoździć gościa, to czemu nie przekazał wszystkiego policji?

- Myślę, że taki miał plan ostateczny. Edwinie Broome powiedział, że gdyby ujawnił, kto to jest, ona by mu nie uwierzyła. Skoro uważał, że ona, bliska przyjaciółka, by mu nie uwierzyła, to znaczy, że nikt by mu nie uwierzył. Sądził, że jego wiarygodność jest równa zeru.

- Okay, więc miał problem z wiarygodnością. A co z fotografiami?

- Powiedzmy, że idziesz na wymianę. Gotówka za jakiś przedmiot. Jaka część operacji jest najtrudniejsza?

Odpowiedź Franka była natychmiastowa.

- Okup. Jak chapnąć forszę i nie dać się zabić albo złapać. Instrukcje, gdzie znaleźć przedmiot, możesz przekazać później. Najtrudniej jest z forszą. Oto dlaczego nie udaje się większość porwań dla okupu.

- Więc jakbyś to zrobił?

Frank pomyślał chwilę.

- Ponieważ mamy do czynienia z ludźmi, którzy zapłacą okup i nie pójdą na policję, uważałbym, że najważniejszym czynnikiem jest szybkość. Minimum ryzyka osobistego, najwięcej czasu na ucieczkę.

- Więc jak?

- ETF. Elektroniczny transfer funduszy. Przekaz telegraficzny. Miałem z tym do czynienia przy sprawie defraudacji w banku, jeszcze w Nowym Jorku. Facet dokonał tego poprzez dział przekazów telegraficznych własnego banku. Nie uwierzyłbyś, ile dolarów przefruwa codziennie w ten sposób. Nie uwierzysz, ile tego ginie po drodze. Dobry cwaniak potrafi co nieco tu i ówdzie urwać, a zanim go złapią, jest daleko. Wysyłasz instrukcję. Przelewa się forszę. Zajmuje to zaledwie parę minut. To znacznie lepsze niż szperanie w pojemniku na śmieci w parku, gdzie można dostać kulkę w łeb.

- Ale nadawca może śledzić szlak przesyłki.

- Pewnie. Musisz zidentyfikować, do jakiego banku to idzie, znać numer trasy, musisz mieć rachunek w tym banku. Sporo kłopotu.

- Ale zakładając, że nadawca zada sobie trochę trudu, mogą prześledzić drogę przesyłki. I co wtedy?

- Wtedy dotrą do konta przeznaczenia i nawet mogą zdobyć o nim trochę informacji. Chociaż nikt nie będzie taki głupi, żeby użyć własnego nazwiska albo numeru ubezpieczenia społecznego. Poza tym taki naprawdę sprytny facet jak Whitney prawdopodobnie zostawi z góry cały łańcuch instrukcji. Jak tylko kwota trafi do pierwszego banku, zostanie przekazana do następnego i tak dalej, parę razy. W którymś miejscu trop się urywa. To błyskawiczne pieniądze. Natychmiast można je wypłacić.

- No dobra. Założę się, że Luther zrobił coś takiego.

Frank ostrożnie podrapał się po brzegach bandaża. Kapelusz zrobił się za ciasny i było mu bardzo niewygodnie.

- Ale nie rozumiem, po co to wszystko miałyby robić. Nie potrzebował pieniędzy po skoku u Sullivana. Mógł po prostu się gdzieś zaszyć. Cała sprawa by przycichła. Uznano by, że zrezygnował z dalszych skoków i daliby mu spokój.

- Masz rację. Mógł tak zrobić. Przejść na emeryturę. Zrezygnować. Ale wrócił, a co więcej

najwyraźniej zaszantażował mordercę Christine Sullivan. Zakładając, że nie zrobił tego dla pieniędzy, to po co?

Detektyw pomyślał chwilę.

- Żeby go nastraszyć. Żeby wiedział, że on tu jest i o tym wie. Że ma dowód rzeczowy mogący go zniszczyć.

- Ale nie był pewien, czy sam dowód rzeczowy wystarczy.

- Bo zbrodniarz był kimś niezwykle szanowanym.

- Słusznie. Co zrobiłbyś w tej sytuacji?

Frank podjechał do krawężnika i zatrzymał auto. Odwrócił się.

- Starałbym się złapać go jeszcze na czymś. To bym zrobił.

- Jak? Skoro kogoś szantażujesz?

Frank podniósł ręce do góry.

- Poddaję się.

- Powiedziałeś, że przekaz telegraficzny może być śledzony przez nadawcę.

- I co z tego?

- A jak w drugą stronę? Odbiorca może wysledzić nadawcę?

- Co za idiota! - Frank zapomniał o wstrząśnięciu mózgu i plasnął się dłonią w czoło. - Whitney zostawił polecenie śledzenia przelewu w odwrotną stronę! Sprawca wysłał pieniądze, myśląc, że bawi się w kotka i myszkę z Lutherem. Że on jest kotem, a Luther myszą. Że on się kryje, gotów do ucieczki.

- Tylko że to Luther był kotem. Odwrócenie ról.

- A więc jeśli uda się wysledzić, kto wysłał pieniądze, to mamy nasz czarny charakter. Sam fakt wysłania przelewu do Luthera kompromituje nadawcę. Jeśli się poda glinom nazwisko nadawcy, oni to sprawdzą...

- I nagle niewiarygodne staje się łatwe do uwierzenia. Przelewy telegraficzne nie kłamią. Forsa została wysłana. Jeśli to było dużo pieniędzy, a jestem pewien, że to było cholernie dużo pieniędzy, to nie uda mu się z tego wyłgać. I już mamy prawie murowany dowód. Wpadną w pułapkę.

- Jeszcze coś pomyślałem.

Jack spojrzał na niego.

- Jeśli Whitney gromadził dowody przeciwko tym ludziom, to znaczy, że planował w końcu zgłosić się na policję. Zamierzał po prostu przyjść i oddać się w ręce policji razem ze swoimi dowodami.

Jack skinął głową.

- Po to byłem mu potrzebny. Tyle że oni zdążyli go ostrzec, że zaatakują Kate, jeśli puści parę z gęby. Potem uciszyli go na zawsze.

- A więc i tak miał zamiar się oddać w nasze ręce.

- Racja.

Frank podrapał się po brodzie.

- Wiesz, co myślę?

Jack odpowiedział natychmiast.

- On wiedział, co się szykuje. - Obaj mężczyźni popatrzyli po sobie. Frank przemówił pierwszy, cicho, prawie szeptem. - Wiedział, że Kate jest przynętą. I przyszedł mimo to. A ja myślałem, że jestem taki cholernie cwany.

- Prawdopodobnie zdawało mu się, że tylko w ten sposób może się z nią spotkać.

- Kurde, wiem, że ten gość to kryminalista, ale mówię ci, szanuję go coraz bardziej.

- Wiem, o co ci chodzi.

Frank znów wrzucił bieg i ruszył.

- Okay, więc dokąd nas te spekulacje prowadzą?

Jack pokręcił głową i opadł z powrotem na oparcie.

- Nie bardzo wiem.

- Dopóki nie mamy jakiejś wskazówki co do tej osoby, to nic nie możemy zrobić.

Jack poderwał się.

- Przecież mamy wskazówki. - Usiadł znowu, jakby cała energia z niego wyparowała. - Tylko nie potrafimy ich sensownie zinterpretować.

Następne parę minut przejechali w milczeniu.

- Jack, wiem, że to prawdopodobnie dziwnie brzmi w ustach policjanta, ale chyba powinniśmy zastanowić się, jak masz stąd zwiąć. Masz jakieś oszczędności? Może to ty powinieneś pomyśleć o wcześniejszej emeryturze.

- I co, zostawić Kate z tym całym bigosem? Jeśli nie dopadniemy tych typów, wiesz, co ją czeka? Dziesięć do piętnastu lat za współudział. Nie wydaje mi się, żebym mógł uciekać. Nigdy, przenigdy, choćby mnie smażyli w smole.

- Masz rację. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałem.

Seth spojrział w lusterko, a tymczasem samochód jadący obok próbował zawrócić tuż przed ich nosem. Frank nacisnął gwałtownie hamulec, samochodem zarzuciło, uderzyli silnie w krawężnik. Pojazd przed nimi, który przed chwilą omal na nich nie wpadł, znikł szybko w ruchu ulicznym.

- Pieprzony skurwiel! - Frank mocniej uchwycił kierownicę, oddychał ciężko. Pasy werżnęły mu się boleśnie w ciało. W obolałej głowie dudniło. - PIEPRZONY SKURWIEL! - ryknął Frank jeszcze raz do nikogo w szczególności. Nagle przypomniał sobie o pasażerze i popatrzył z niepokojem do tyłu.

- Jack, Jack, nic ci się nie stało?

Jacka przyciskał twarz do okna. Był przytomny, wpatrywał się w coś z ogromnym napięciem.

- Jack. - Frank odpiął pas i chwycił Jacka za ramię. - Nic ci nie jest? JACK!

Jack popatrzył na Franka, a potem z powrotem przez okno. Frank zaczął podejrzewać, że wstrząs wytrącił przyjaciela ze zdrowych zmysłów. Odruchowo obejrzał głowę w poszukiwaniu urazów, ale ręka Jacka powstrzymała go i wskazała za okno. Frank wyjrzał.

Nawet jego stalowe nerwy drgnęły.

Całą perspektywę zamykał Biały Dom. Górował, przytłaczając wszystko inne. Na chwilę całe życie znikło mu z pamięci, po czym Seth Frank zaczął dopuszczać do myśli rzeczy zupełnie niemożliwe. Nocny telefon od Waltera Sullivana właśnie do tego budynku, na który teraz patrzą. Ten starzec się domyślił. To nie on stał za zabójstwem Luthera, on się domyślił, kto to był. I kto był w sypialni z jego żoną tamtej nocy. A Bill Burton? Bill Burton rolował go cały czas. Jak dzieciaka. Frank poczuł rumieniec gniewu na twarzy.

W czasie przesłuchania prezydent odpowiedział w zasadzie na wszystkie pytania, ale pozostawił Franka z poczuciem, że coś jest nie w porządku, coś tu nie pasuje. Frank pokręcił głową, kiedy zdumienie i wściekłość przerodziły się w prawie nieodpartą chęć wybiegnięcia na ulicę z krzykiem. Czy to może być prawda?

Umysł Jacka pracował jak procesor Pentium na pełnych obrotach. Wspomnienie prezydenta, jak cofnął ramię przy Jennifer Baldwin, narzekając na kontuzję doznaną podczas gry w tenisa. A może to pewien nóż do papieru spowodował ów uraz i zapoczątkował tę całą szaloną historię? Niezwykle zainteresowanie

prezydenta i Secret Service dochodzeniem w sprawie zabójstwa Christine Sullivan?

Punktualne pojawienie się Richmonda na rozprawie wstępnej Luthera. Zaprowadził mnie prosto do niego. Tak powiedział detektywowi ten człowiek, który zarejestrował tę kasetę wideo. Zaprowadził mnie prosto do niego. To także wyjaśnia sprawę zabójcy, który strzela w otoczeniu setek funkcjonariuszy aparatu ścigania i ucieka bez śladu. Któż zatrzyma agenta Secret Service, który ochrania prezydenta? Nikt. Nic dziwnego, że Luther uważał, że nikt mu nie uwierzy. Prezydent Stanów Zjednoczonych.

I było znaczące wydarzenie tuż przed powrotem Luthera do kraju. Alan Richmond zorganizował konferencję prasową, na której powiedział opinii publicznej, jak bardzo jest wstrząśnięty tragicznym zabójstwem Christine Sullivan. Pieprzył żonę tego faceta, jakoś doprowadził do tego, że zginęła, a potem zbijał polityczny kapitał, pokazując się jako współczujący przyjaciel, jako człowiek, który zatrzyma fałę zbrodni. Co za śliska kreatura. Co za przedstawienie. Ani słowa prawdy. Roztrąbione po całym świecie. Co musiał pomyśleć sobie Luther, kiedy to zobaczył? Jack się domyślił. Właśnie dlatego Luther wrócił. Żeby wyrównać rachunki.

Na Jacka spłynęło objawienie. Wszystkie elementy układanki miał gotowe w głowie, czekały tylko na odpowiedni katalizator.

Spojrzał jeszcze raz w kierunku tego katalizatora. Tam właśnie Tim Collin wyjrzał jeszcze raz na ulicę, na jakąś drobną kolizję drogową, ale nie widział szczegółów w świetle reflektorów samochodów nadjeżdżających z przeciwnika. Wzruszył ramionami i zakręcił okno czarnej limuzyny. Bill Burton założył koguta na dach, włączył syrenę, przejechał przez bramę Białego Domu i ruszył w kierunku gmachu sądu najwyższego Dystryktu Kolumbii.

Jack popatrzył na Setha Franka i uśmiechnął się ponuro. Ta rzucona gazeta. Uśmiechnięty prezydent na pierwszej stronie. I słowa, które padły z ust Luthera tuż przed śmiercią. Patrzył prosto na tego człowieka i wyrwało mu się przekleństwo.

- Pieprzony skurwiel - powiedział Jack.

Alan Richmond stał przy oknie i zastanawiał się, dlaczego wciąż ma do czynienia z ludźmi niekompetentnymi. Gloria Russell siedziała naburmuszona w fotelu naprzeciw niego. Spał z nią parę razy i kompletnie stracił dla niej zainteresowanie. Wykopie ją na bruk w swoim czasie. Jego następna ekipa będzie złożona ze znacznie kompetentniejszych ludzi. Z podwładnych, którzy pozwolą mu skupić się na jego wizji rozwoju państwa. Nie po to dążył do prezydentury, żeby dłużyć w szczegółach.

- Widzę, że ani trochę nie poprawiliśmy wyników w sondażach.

- Nie patrzył na nią. Przewidział jej słabe tłumaczenia.

- Naprawdę sprawa ci różnicę, czy dostaniesz sześćdziesiąt procent głosów, czy siedemdziesiąt?

Odwrócił się na pięcie.

- Tak - syknął. - Tak, cholerną różnicę.

Przygryzła wargę i poddała się.

- Zdwóję wysiłki, Alan. Może uda nam się zdobyć większą przewagę w kolegium elektorów.

- To nam się musi udać.

Spuściła wzrok. Jest całkowicie zależna. Tak by chciała się zwolnić. Pojechałaby w podróż, dookoła świata. Do miejsc, gdzie nikt jej nie zna i ona nie zna nikogo. Zacząć od nowa. Tego jej potrzeba. Potem wszystko się ułoży.

- No, przynajmniej rozwiązaliśmy nasz mały problem. - Patrzył na nią z rękami założonymi na plecach. Wysoki, szczupły, nienagannie ubrany i uczesany. Wygląda jak dowódca niezwycięzonej

armady. Ale historia udowodniła, że niezwyciężone armady są znacznie bardziej podatne na ciosy, niż sobie wyobrażano.

- Zniszczyłeś to?

- Nie, Glorio, mam w swoim biurku, chcesz zobaczyć? Może znów chciałabyś go wykraść? - Ton wyższości był tak nie do zniesienia, że miała ochotę wyjść natychmiast. Wstała.

- Czy jestem jeszcze potrzebna?

Pokręcił głową i wrócił do okna. Położyła ręce na klamce i w tym momencie drzwi się otworzyły.

- Mamy problem. - Bill Burton spojrzał na nich oboje.

- Więc czego chce? - Prezydent popatrzył na fotografię.

- Tego nie pisze. Domyślam się, że w jego sytuacji, z glinami na karku, potrzeba mu szybko forsy.

Prezydent zerknął na Russell.

- Jestem zaskoczony, że Jack Graham wpadł na to, żeby przysłać tę fotografię tutaj.

Burton zauważył spojrzenie prezydenta. Nie zamierzał bronić Russell, ale nie mieli czasu na rozgrywki wewnętrzne. Poza tym Russell miała pazury przycięte już na stałe.

- Prawdopodobnie Whitney mu powiedział.

- Skoro tak, to dlaczego czekał tak długo, zanim zaczął gierkę z nami?

- Whitney mógł nie powiedzieć mu bezpośrednio. Mógł sam się domyślić. Poskładać do kupy informacje. Seth Frank to też nie idiota. A ci dwaj trzymają się razem z tego, co wiem.

Prezydent rzucił fotografię na ziemię. Russell szybko odwróciła wzrok. Sam widok tej rzeczy ją paraliżował.

- Burton, do jakiego stopnia takie coś może nam zaszkodzić? - Prezydent wpatrywał się w niego, jakby próbował wdrzeć się do mózgu.

Burton usiadł, potarł ręką szczękę.

- Myślałem o tym. Tonący brzytwą się chwyta. Sam jest w krytycznej sytuacji. A jego przyjaciółka siedzi w celi. Musi być gotów na wszystko. Doznał nagłego olśnienia i zaryzykował wysłanie tego do nas, licząc, że zapłacimy za to tyle, ile to dla nas warte.

Prezydent wstał.

- Jest jakiś sposób, żeby go znaleźć i to szybko?

- Zawsze są sposoby. Ale ile to zajmie, nie wiem.

- A jeśli zignorujemy wiadomość od niego?

- Może nic nie zrobić, po prostu zwać i zrezygnować ze sprawy.

- Ale jak go złapie policja, to...

- To może wszystko wyśpiewać - Burton skończył zdanie za prezydenta. - Tak, istnieje taka możliwość. I to realna.

Prezydent podniósł zdjęcie.

- Mając tylko to na poparcie swojej opowieści, nie zdziała wiele. Więc czym tu się przejmować?

- To nie wartość dowodowa tego zdjęcia mnie niepokoi.

- Niepokoi cię to, że jego oskarżenia w połączeniu z jakimiś pomysłami albo poszlakami mogą sprowadzić na nas ciężkie chwile. Niewygodne pytania.

- Coś w tym rodzaju. Proszę pamiętać, że same podejrzenia mogą pana zabić. Szykuje się pan do ponownych wyborów. On z pewnością uważa to za swój atut.

Prezydent zastanawiał się chwilę. Nic i nikt nie przeszkodzi mu w ponownym zwycięstwie w wyborach.

- Okup dla niego nie rozwiązuje sprawy. Wiesz o tym dobrze. - Richmond obejrzał się na Russell, która cały czas siedziała z rękami założonymi na podołku, ze spuszczonym wzrokiem. Uśmiechnął się. Ale słabo.

- Więc co pan proponuje, sir?

- Bardzo skutecznie pozbył się pan podobnych problemów już poprzednio, Burton. Nie wydaje mi się, żeby jeszcze jeden sprawił jakąś różnicę.

- A więc żąda pan, byśmy znaleźli Grahama i zabili?

- Chcę, żebyście wyeliminowali to, co uważam za przeszkodę na naszej drodze do trwałego szczęścia. I chcę, żebyście to zrobili szybko.

Frank popatrzył na zegar na ścianie, podszedł do drzwi i zamknął je, po czym wziął do ręki słuchawkę. Głowa nadal go bolała, ale lekarze nie spodziewali się komplikacji.

- Hotel Executive Inn? Poproszę z pokojem dwieście trzydzieści trzy.

- Chwileczkę.

Sekundy mijały, a Frank zaczął się niepokoić. Jack miał czekać w swoim pokoju.

- Halo?

- To ja.

- Jak się żyje?

- Założę się, że lepiej niż tobie.

- Co u Kate?

- Wyszła za kaucją. Doprowadziłem do tego, że przekazali ją pod moją jurysdykcję.

- Na pewno jest zachwycona.

- To nie jest najwłaściwsze określenie. Słuchaj, zbliża się decydujący moment. Co masz zamiar zrobić?

- Pracuję nad tym.

- To tylko kwestia czasu, Jack. Ja też ryzykuję głowę. Posłuchaj mojej rady i wiesz stąd. Teraz tracisz tylko cenny czas.

- Kate...

- Pomyślałem o tym. Mają zeznanie raptem jednego faceta, który próbował wyciągnąć od niej wywiad na wyłączność. Jego słowo przeciwko jej słowu. Nikt inny nawet cię nie widział. Wyłga się z tego bez żadnego problemu. Mówię ci. Rozmawiałem z asystentem prokuratora. Myśli poważnie o umorzeniu sprawy.

- Nie byłbym taki pewien.

- Jack, do jasnej cholery. Kate wykaraska się z tego na pewno i to w znacznie lepszym stanie niż ty, jeśli nie zaczniesz myśleć o tym, co cię czeka. Musisz stąd wiać. To nie tylko moje zdanie. Jej też.

- Kate?

- Dziś się z nią widziałem. W wielu sprawach się nie zgadzamy, ale akurat w tej tak.

Jack odprężył się.

- Okay, więc dokąd mam jechać i jak się tam dostać?

- O dziewiątej schodzę z dyżuru. O dziesiątej będę u ciebie. Spakuj się. Resztą się zajmę. A na razie nie ruszaj się stamtąd.

Frank odwiesił słuchawkę i odetchnął głęboko. Lepiej nie myśleć, jakie ryzyko bierze na siebie.

Jack sprawdził godzinę i popatrzył na torbę na łóżku. Niewiele bierze ze sobą w świat. Spojrzał na telewizor w kącie pokoju, ale nie interesowało go nic, co mogliby pokazać. Zachciało mu się pić,

wyciągnął drobniki z kieszeni, otworzył drzwi, wyjrzał. Automat z napojami stał w końcu korytarza. Nasunął na czoło

czapkę baseballową i wyslizgnął się na korytarz. Nie usłyszał, że drzwi przy schodach z drugiej strony korytarza się otworzyły. Nie zamknął też na klucz swojego pokoju.

Kiedy wsuwał się z powrotem, zdziwił się, że w pokoju jest ciemno. Wychodząc, zostawił zapalone światło. Wyciągnął rękę do włącznika, gdy drzwi za nim się zatrzasnęły, a on został pchnięty na łóżko. Szybko przeturlał się na wznak, poczekał, aż oczy przyzwyczają się do światła i zobaczył dwóch mężczyzn. Tym razem nie mieli na twarzach masek, ten fakt mówił sam za siebie.

Jack chciał się zerwać, ale zobaczył wycelowane w siebie dwie lufy. Usiadł, przyjrzał się badawczo twarzom.

- Cóż za zbieg okoliczności. Miałem już przyjemność poznać każdego z panów, ale oddzielnie. - Wskazał na Collina. - Pan próbował mi wpakować kulę w łeb. - Odwrócił się do Burtona. - A pan? Burton, prawda? Bill Burton. Zawsze zapamiętuj nazwiska. - Popatrzył na Collina. - Ale pańskie mi umknęło.

Collin popatrzył na Burtona, potem znów na Jacka.

- Agent Secret Service Tim Collin. Nieźle mnie wtedy huknąłeś, Jack. W szkole musiałeś nieźle grać w futbol.

- Tak, mój bark wciąż cię pamięta.

Burton usiadł na łóżku.

Jack popatrzył na niego.

- Myślałem, że nieźle zatarłem za sobą ślady. Trochę się dziwię, jak mnie znaleźliście.

Burton popatrzył w sufit.

- Usłyszałem głos ptaszyny, Jack.

- Wiecie, że to oszczędzi wszystkim mnóstwa kłopotów, jeśli prezydent po prostu zapłaci za te fotki i moje milczenie. Nie chcę go wydawać. Mam trochę ograniczone możliwości. Wrobiliście mnie w te zabójstwa dość paskudnie.

Burton popatrzył na Jacka przez dłuższą chwilę, jego profesjonalny instynkt włączył wszystkie dzwonki alarmowe. Odłożył pistolet, wstał, chwycił Jacka i rozpląsał go przy ścianie. Zrewidował go od stóp do głów. Następne dziesięć minut sprawdzał każdy cal kwadratowy pokoju, nie omijając torby Jacka. Wyciągnął z niej fotografie i wsadził za pazuchę.

- Przepraszam, ale w mojej robocie nie obejdziesz się bez lekkiej obsesji.

- Może i byśmy cię puścili, Jack. Ale prezydent jest innego zdania. To taki typ, który lubi załatwiać sprawy do końca.

- Na przykład zabić Christine Sullivan? I Luthera Whitneyego? I Waltera Sullivana?

Burton znów usiadł. Z niewiadomych względów ogarnęła go przemożna potrzeba, żeby się wytłumaczyć przed tym człowiekiem.

Może coś w rodzaju nieformalnej spowiedzi? Burton poczuł się nagle zmęczony.

- Z Christine Sullivan to był wypadek. Rozbaraszkowali się trochę za bardzo i omal nie zadźgała prezydenta. Więc musieliśmy ją zastrzelić. Wypełniliśmy swój obowiązek i tyle. Ale powiem ci, Richmond sprął ją przedtem paskudnie. Ślady duszenia? To jego sprawa. Z Whitneyem nie było wyjścia. Wszystko widział. Trzeba go było sprzątnąć. Walter Sullivan to genialny pomysł Richmonda. Facet się wszystkiego domyślił, też go trzeba było załatwić. Richmond uważał, że samobójstwo starego zamknie sprawę. Stracił żonę, kazał załatwić mordercę, nie chciał dalej żyć z wyrzutami sumienia. I po sprawie.

- Jezus, Maria, dlaczego po prostu nie zgłosiliście śmierci Christine Sullivan? Żaden z was dwóch nie popełnił nic złego.

- Masz rację. - Collin wpatrywał się w Jacka. - Zrobiliśmy wtedy, co do nas należało. Do cholery, jeszcze zasłużyliśmy na medal.

Burton wstał.

- Racja. Ale byłem dumny, Jack. Ta dziwka z piekła rodem, szefowa personelu zamotała mi w głowie.

- Gloria Russell?

- No. Zapakowała nóż upaprany w krwi Richmonda i cały w jego odciskach palców, żeby go zabrać i wykorzystać do zrealizowania jej politycznych ambicji. Whitney to gwizdnął przy ucieczce i zaczął się mój koszmar.

- Wyjechał z kraju. I zostałby tam, gdyby nie wkurzył się tą konferencją prasową.

- Kurde. Wiedziałem, że to był błąd. - Popatrzył na Jacka. - Podłączyłem się do Setha Franka, żeby mieć rękę na pulsie. To moja ptaszyna. Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć, że kiedy on się tu pokaże, wywiąże się między wami drobna strzelanina. Uciekający morderca i ścigający go zawzięcie glina. W rezultacie obaj dostaniecie po kulce w łeb. I koniec koszmaru.

- Nie musiałeś zabijać mojego współnika i tej dziewczyny. Nic nie wiedzieli.

- Widzieli moją twarz. To nie ich wina, po prostu stało się. - Collin zrobił krnąbrną minę. - Zrobiłem to bez przyjemności.

- A ten bezdomny?

- Nie uderzyłem go tak mocno. Po prostu był osłabiony.

Jack odwrócił wzrok z niesmakiem.

- Dobra robota, chłopaki. Secret Service. Jestem pewien, że wszyscy mogą spać spokojnie, wiedząc, że wy obaj czuwacie. Kogo załatwicie w następnej kolejności? Papieża?

Collin ruszył ku niemu, ale Burton powstrzymał go ruchem ręki.

- Słuchaj, Jack, nie szukam u ciebie rozgrzeszenia. Nie planowałem tego całego gówna. To prezydent pociąga za sznurki. Na pozór wspaniały gość z niego, ale powiem ci, gdyby ten facet nie zajął się polityką, byłby z niego seryjny morderca, wampir grasujący po całym kraju. Jest niebezpieczny. Po wszystkim będę musiał zabezpieczyć sobie tyły na wypadek, gdyby uznał, że stanowią dla niego zagrożenie.

- Mam szczęście, że nie będę musiał się tym przejmować.

Burton wstał i popatrzył na zegarek.

- Przykro mi, Jack. Naprawdę. Pewnie wydaje ci się to śmiechu warte, ale naprawdę tak czuję. Całe dorosłe życie zajmowałem się ochroną życia ludzkiego. I nienawidzę tego, co stało się z moim życiem. Nienawidzę tego jeszcze bardziej, niż nienawidzę prezydenta, a to cholernie dużo. - Popatrzył na Collina, który gestem nakazał Jackowi położyć się na łóżku. Jack powoli opadł na plecy i patrzył na coraz bliższą lufę. Wyobrażał sobie pocisk, który wystrzeli szybciej, niż może zarejestrować to oko.

Rozległo się potężne uderzenie w drzwi. Collin odwrócił się na pięcie. Pod następnym uderzeniem drzwi rozleciały się na kawałki i do pokoju wpadło pół tuzina umundurowanych funkcjonariuszy policji Dystryktu Kolumbii z bronią w rękę.

- Nie ruszać się! Wszyscy nie ruszać się. Rzuć broń! Natychmiast.

Collin i Burton szybko położyli pistolety na podłodze. Jack nie ruszał się z łóżka, oczy miał zamknięte. Dotknął klatki piersiowej, w której serce łomotało, jakby chciało się wyrwać na zewnątrz.

Burton popatrzył na mundurowych.

- Jesteśmy agentami Secret Service. Nasze dowody tożsamości są w wewnętrznych kieszeniach.

Wytropiliśmy tego człowieka. Groził prezydentowi. Właśnie mieliśmy go aresztować.

Policjanci ostrożnie wyciągnęli legitymacje agentów i skrupulatnie je obejrzeni. Dwóch innych podniosło Jacka. Jeden zaczął odczytywać mu jego prawa. Założono mu kajdanki.

Oddano agentom legitymacje.

- Cóż, agencje Burton, musicie poczekać, dopóki my nie załatwimy sprawy z panem Grahamem. Morderstwo ma pierwszeństwo nawet przed groźbami wobec prezydenta. Może się okazać, że się nie doczekacie, chyba że facet ma więcej niż jedno życie.

Gliniarz popatrzył na Jacka, a potem na torbę na łóżku.

- Trzeba było wiać, kiedy miałeś szansę, Graham. Prędzej czy później musieliśmy cię dopaść. - Pokazał swoim ludziom, żeby zabrali Jacka.

Obejrzał się na zaskoczonych agentów.

- Mieliśmy donos, że tu jest. Większość donosów jest gównem warta. Ten nie. Ten przyniesie mi awans, którego od dawna oczekiwałem. Miłego dnia, panowie. Pozdrówcie ode mnie prezydenta.

Pokój opustoszał. Burton popatrzył na Collina. Wyciągnął zdjęcia. Teraz Graham nie ma nic. Może powtórzyć wszystko, co właśnie od nich usłyszał, to go zamkną w pokoju bez klamek. Biedny kutas. Kulka w łeb byłaby lepsza niż to, co go czeka. Agenci zabrali swoją broń i poszli.

W pokoju zapadła cisza. Pół godziny później otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i jakaś postać wślizgnęła się do pokoju Jacka. Odwróciła stojący w rogu odbiornik telewizyjny i wymontowała z niego zrzęcznie i cicho kamerę wideo, a następnie wypchnęła przez otwór w ścianie kable, aż zniknęły z oczu.

Postać wróciła do sąsiedniego pokoju. Na stoliku przy ścianie stał magnetowid. Kable zostały zwinięte i schowane do torby. Postać przycisnęła odpowiedni guzik i kasetę wysunęła się na zewnątrz.

Dziesięć minut później mężczyzna z dużym plecakiem wyszedł drzwiami frontowymi hotelu Executive Inn, skręcił w lewo i poszedł na koniec parkingu, gdzie stał samochód z zapalonym silnikiem. Tarr Crimson minął samochód, od niechcenia wrzucił kasetę wideo przez otwarte okno na przednie siedzenie. Następnie podszedł do harleya davidsona, radości swojego życia, wsiadł, kopnął starter i odjechał z hukiem. Założenie aparatury wideo było dziecinną zabawką. Kamera aktywowana głosem. Magnetowid włączał się w tym samym momencie co kamera. Standardowa kasetę VHS. Nie wiedział, co było na taśmie, ale musiało to być coś cholernie ważnego. Jack obiecał mu za to rok darmowych usług prawnych. Pędząc autostradą, Tarr uśmiechnął się na wspomnienie ostatniego spotkania z Jackiem, kiedy ten wysuwał swoje obiekcje wobec nowych technik inwigilacji.

Tymczasem na parkingu samochód ruszył, kierowca jedną ręką trzymał kierownicę, drugą ochronnym gestem przykrywał kasetę. Seth Frank włączył się do ruchu. Nie był miłośnikiem kina, ale na oglądanie tej kasety nie mógł się doczekać.

Bill Burton siedział w małej, lecz przytulnej sypialni, którą dzielił ze swoją żoną od dwudziestu czterech lat. Kochali się tu mnóstwo razy, spłodzili czwórkę ukochanych dzieci. W kąci przy oknie siadywał na sfatygowanym fotelu i karmił kolejne pociechy przed wyjściem na poranny dyżur, darując wyczerpanej żonie parę minut tak potrzebnego wypoczynku.

To były dobre lata. Nigdy nie zrobił wielkiego majątku, ale nie martwili się tym. Żona skończyła studia pielęgniarstwa i wróciła do pracy, kiedy ich najmłodsze poszło do szkoły średniej. Jej dochody stanowiły miły dodatek, ale najważniejsze było to, że mogła realizować swoje osobiste ambicje po tak wielu latach spędzonych na poświęcaniu się dla innych. W sumie było to wspaniałe życie. Miły dom w spokojnej, malowniczej dzielnicy, z dala od niepokojów wielkiego miasta. Oczywiście zawsze zdarzają się źli ludzie,

ale zawsze znajdą się tacy jak Bill Burton, żeby im się przeciwstawić. A raczej tacy, jak dawniejszy Bill Burton.

Wyjrzał przez okno sypialni. Dziś ma wolny dzień. W dżinsach, czerwonej flanelowej koszuli i wysokich butach można go było wziąć za jakiegoś drwała osiłka. Żona wyjmując zakupy z samochodu. To dzień zakupów spożywczych. Od dwudziestu lat zawsze robi je tego samego dnia. Popatrzył z podziwem na jej postać, kiedy schylała się po torby. Chris, piętnastolatek, i Sidney, długonoga dziewiętnastolatka, prawdziwa piękność, studentka drugiego roku college'u Johna Hopkinsa, wybierająca się na medycynę, pomagali matce. Pozostała dwójka jest już na swoim i powodzi im się dobrze. Od czasu do czasu dzwonią do staruszków po radę, kiedy kupują nowy samochód albo dom. Dobrze ustawieni zawodowo. Kochał każdą minutę rodzinnego życia. Udało im się z żoną.

Usiadł przy biurku w kącie, otworzył kluczem szufladę i wyciągnął pudełko. Podniósł wieczko i ustawił stos z pięciu kaset magnetofonowych na blacie, koło listu, który napisał wczorajszego wieczoru. Nazwisko na kopercie napisane było dużymi, wyraźnymi literami. „Seth Frank”. Winien to jest temu facetowi.

Z dworu doleciał śmiech, znów podszedł do okna. Sidney i Chris rozpętali hałaśliwą bitwę na śnieżki, w której centrum znalazła się jego żona Sherry. Wybuchy śmiechu były głośne, w rezultacie cała trójka wylądowała na kupie śniegu, odgarniętego z podjazdu.

Odwrócił się od okna i zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił. Dziesięć lat był gliną, kiedyś dziecko zmarło mu na rękach, pobite przez tych, którzy mieli go chronić i kochać, dzień w dzień oglądał naturę ludzką od najgorszej strony. Łzy były słone. Nie ocierał ich. Płynęły strumieniem. Rodzina zaraz tu przyjdzie. Dziś mieli wybrać się na obiad do lokalu, bo wypadły jego czterdzieste piąte urodziny.

Wyciągnął z kabury pistolet. W szybę uderzyła śnieżka. Chcieliby, żeby tata wyszedł i pobawił się z nimi.

Przepraszam. Kocham was. Chciałbym być z wami. Przepraszam za wszystko, co zrobiłem. Proszę, wybaczone tatusiowi. Nie czekając, aż rozklei się całkiem, wepchnął sobie lufę trzystapięćdziesiątkisiódemki głęboko w usta. Była ciężka i zimna. Działo zaczęło mu krwawić.

Bill Burton zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby nikt nie dowiedział się prawdy. Że sam popełnił zbrodnię, że zabił niewinną osobę i wmieszany był w pięć innych zabójstw. A teraz, kiedy wypłynął na czyste wody, wszystkie strachy zostawił za sobą, po miesiącach narastającego niesmaku do siebie i po bezsennej nocy u boku kobiety, którą kochał z całego serca przez ponad dwie dekady, Bill Burton zdał sobie sprawę, że nie zdoła pogodzić się z tym, co zrobił i że nie może żyć z taką świadomością.

Prosta sprawa, naprawdę. Z zimną krwią obserwował egzekucje ludzi, którzy zrobili to samo albo mniej niż on. Jest tylko skorupą swojego dawnego ja. Nie umie żyć bez szacunku do samego siebie, bez dumy. A bezwarunkowa miłość całej rodziny niczego tu nie ułatwia, pogarsza tylko sprawę. Bo wie, że nie zasługuje na nią. I nigdy już nie będzie zasługiwał. Nikt nie znajdzie wytłumaczenia jego zachowania ani nie zdejmie z niego odpowiedzialności za to, co zrobił. Wie, że jego „szczęście”, lęk, że jego dzieci dowiedzą się, że nie jest rycerzem bez skazy, nigdy nie usprawiedliwią rozlanej przez niego i Collina krwi. Nic tego nie usprawiedliwia.

Popatrzył na stertę kaset. To jego polisa ubezpieczeniowa, jego testament, epitafium. Wyniknie z tego coś dobrego. Dzięki Bogu. Usta wygięły mu się w ledwo widocznym uśmiechu. Palec znalazł się na spuście.

Jeszcze jedna śnieżka uderzyła w okno. Dobiegły go głosy dzieci. Łzy popłynęły znów, gdy pomyślał

o tym, co zostawia za sobą.

Przepraszam. Nie znienawidźcie mnie. Proszę Boga, nie znienawidźcie mnie.

Na odgłos strzału zabawa zamarła, a sześcioro oczu zwróciło się w stronę domu. Po sekundzie byli w środku. Po kolejnej rozległy się krzyki. Cicha dzielnicza przestała być cicha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Pukanie do drzwi było niespodziewane. Prezydent Alan Richmond odbywał nerwową konferencję z członkami swojego gabinetu. Prasa ostatnio wściekle atakowała politykę wewnętrzną administracji, a on chciał wiedzieć dlaczego. Nie żeby polityka wewnętrzna szczególnie go interesowała. Chodziło mu raczej o to, jakie to wywiera wrażenie. Wrażenie to wszystko, co ma znaczenie. Oto polityka.

- Kto tam, do jasnej cholery? - Prezydent popatrzył z wściekłością na sekretarkę. - Ktokolwiek to jest, nie jest na dzisiaj umówiony. - Rozejrzał się wokół stołu. Cholera, szefowa personelu nie raczyła się stawić dziś do pracy. Może poszła po rozum do głowy i łyknęła flaszeczkę proszków. To przyniosłoby krótkoterminową szkodę, ale on już ma dalekosiężny plan na wypadek jej samobójstwa. Poza tym zjedną rzeczą miała rację: ma taką przewagę w sondażach, że nic mu nie może zaszkodzić.

Sekretarka lekko wślizgnęła się do sali. Widać było jej rosnące zakłopotanie.

- To duża grupa ludzi, panie prezydencie. Pan Bayliss z FBI, kilkunastu policjantów i jakiś pan z Wirginii, nie przedstawił się.

- Policja? Powiedz im, żeby wyszli i zostawili wniosek o spotkanie ze mną. Powiedz Baylissowi, żeby zadzwonił do mnie wieczorem. Siedziałby teraz w jakiejś zapadłej dziurze, gdybym nie poparł jego nominacji na dyrektora. Nie będę tolerował takiego braku szacunku.

- Kiedy bardzo nalegają, panie prezydencie.

Prezydent oblał się rumieńcem i wstał.

- Powiedz im, żeby się wynosili do diabła, jestem zajęty, idiotko.

Kobieta prędko umknęła. Zanim doszła do drzwi, te się otworzyły.

Weszło czterech agentów Secret Service, wśród nich Johnson i Varney, za nimi grupa funkcjonariuszy policji Dystryktu Kolumbii, w tym komendant główny Nathan Brimmer, poza tym dyrektor FBI Bayliss, niski, krępy mężczyzna w dwurzędowej marynarce, z obliczem bielszym niż budynek, w którym się aktualnie znajdowali. Pochód zamykał Seth Frank, który po cichu zamknął drzwi. W rękę trzymał zwykłą brązową aktówkę. Richmond popatrzył na każdego z nich, jego oczy wreszcie spoczęły na detektywie do spraw zabójstw.

- Detektyw... Frank, tak? Jeśli pan nie wie, to przerywacie właśnie poufne posiedzenie gabinetu. Muszę was poprosić o opuszczenie tego pomieszczenia. - Popatrzył na czterech agentów i unosząc brwi, ruchem głowy pokazał na drzwi. Mężczyźni nie odwracali wzroku i ani drgnęli.

Frank postąpił krok do przodu. Spokojnie wyciągnął kartkę papieru z kieszeni płaszcza, rozłożył ją i wręczył prezydentowi. Richmond popatrzył na nią, a członkowie gabinetu zamarli w osłupieniu. Richmond wreszcie podniósł wzrok na detektywa.

- Czy to jakiś żart?

- To wezwanie na przesłuchanie w charakterze podejrzanego o morderstwo i inne zbrodnie popełnione na terenie stanu Wirginia. Komendant Brimmer ma podobny nakaz za współdziałanie w morderstwie popełnionym na terenie Dystryktu Kolumbii. Ale to po tym, jak stan Wirginia z panem skończy swoje

sprawy.

Prezydent obejrzał się na Brimmera, który popatrzył mu w oczy i surowo skinął głową. W oczach funkcjonariuszy był jakiś chłód, który wyraźnie mówił o tym, co czują w stosunku do głowy państwa.

- Ty idioto! Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych i możesz mi najwyżej podać kawę. A teraz wynocha! - Prezydent odwrócił się i poszedł na swoje miejsce.

- Formalnie jeszcze jest pan prezydentem. Ale po postawieniu w stan oskarżenia przestanie pan być prezydentem Alanem Richmondem, będzie pan po prostu Alanem Richmondem. I wtedy wrócę. Proszę nie mieć wątpliwości.

Prezydent odwrócił się z pobladłą twarzą.

- Stan oskarżenia?

Frank podszedł jeszcze, aż stanął oko w oko z tym człowiekiem. Zazwyczaj takie działanie wywołałoby natychmiastową akcję ze strony Secret Service. Teraz stali bez ruchu. Nie pokazywali po sobie, że wrze w nich gniew z powodu straty szanowanego kolegi. A ten, kto był temu winien, stał teraz przed nimi.

- Skończmy z bzdurami - powiedział Seth Frank. - Tima Collina i Głorię Russell mamy już pod kluczem. Oboje zgodzili się zeznawać i mamy już ich obszernie relacje na temat wypadków związanych z zabójstwami Christine Sullivan, Luthera Whitneya, Waltera Sullivana oraz dwóch osób z kancelarii Patton, Shaw & Lord. Zdaje się, że właśnie w tej chwili idą na ugodę z oskarżycielami. Ci jednak interesują się głównie panem. Taka sprawa to naprawdę odskocznia do kariery dla każdego prokuratora, mówię panu.

Prezydent zachwiał się, cofnął o krok, po czym złapał równowagę.

Frank otworzył teczkę i wyciągnął kasetę wideo i pięć kaset magnetofonowych.

- Jestem pewien, że pański adwokat będzie chciał się z tym zapoznać. Na wideo są agenci Burton i Collin podczas próby zabójstwa Jacka Grahama. Na nagraniach magnetofonowych mamy kilkanaście spotkań, na których w pana obecności planowano najróżniejsze przestępstwa. Ponad sześć godzin materiału, panie prezydencie. Kopie dostarczono na Kapitol, do FBI, CIA, „Washington Post”, prokuratora generalnego, radcy prawnego Białego Domu i jeszcze paru osób... Nie ma tam żadnych luk. Z pozdrowieniami od Billa Burtona.

- A gdzie Burton? - W głosie prezydenta gotowała się złość.

- W szpitalu Fairfax orzeczono zgon wskutek samobójczego postrzału. Dziś o dziesiątej trzydzieści.

Richmond z trudem dotarł do swojego krzesła. Nikt nie pospieszył mu z pomocą. Podniósł oczy na Franka. - Jeszcze coś?

- Tak. Burton zostawił jeszcze jeden dokument. Upoważnienie do głosowania w jego imieniu w najbliższych wyborach. Przykro mi, ale wygląda na to, że wolał głosować na kogoś innego, nie na pana.

Członkowie gabinetu po kolei wstali i wyszli. Nikt nie miał zamiaru dla towarzystwa popełnić politycznego samobójstwa. Policjanci i agenci Secret Service wyszli za nimi. Prezydent został sam. Patrzył bezmyślnie w ścianę.

Seth Frank wetknął głowę z powrotem przez drzwi.

- Proszę pamiętać, do zobaczenia wkrótce. - Zamknął drzwi.

EPILOG

Pory roku w Waszyngtonie zmieniały się zgodnie z planem i po kilku tygodniach wiosny z temperaturami do zniesienia i wilgotnością poniżej pięćdziesięciu procent temperatura skoczyła gwałtownie, a wilgotność osiągnęła poziom, przy którym każde wyjście na zewnątrz równało się prysznicowi. Do lipca przeciętny waszyngtończyk przyzwyczał się wdychać powietrze, którym nie da się oddychać, i poruszać na tyle wolno, żeby nie oblewać się potem przy każdym kroku. Ale w tym całym nieszczęściu zdarzały się wieczory, których nie rujnowały gwałtowne ulewy z błyskawicami i grzmotami wstrząsającymi ziemię. Wieczorami powiewał chłodny wietrzyk, powietrze pachniało słodko, a na niebie świeciły gwiazdy. Dziś był właśnie taki wieczór.

Jack siedział na brzegu basenu. Z szortów koloru khaki wystawały muskularne, opalone nogi. Włosy skręciły mu się na słońcu w loki. Był w kondycji lepszej niż kiedykolwiek, przez kilka miesięcy fizycznego wysiłku znikły ostatnie ślady biurowego tłuszczu. Węzły mięśni przeżyły się pod białym podkoszulkiem. Włosy miał obcięte krótko, a twarz opaloną na brąz jak nogi. Nagą stopą pluskał w wodzie. Patrzył na niebo i oddychał głęboko. Jeszcze trzy godziny temu to miejsce było zatłoczone bladymi, sflaczałymi ciałami urzędników oddających się kojącemu działaniu ciepłej wody. Teraz Jack był sam. Nie ciągnęło go do łóżka. Żaden budzik nie przerwie mu rano snu.

Drzwi pływalni skrzypnęły cicho. Jack odwrócił się i zobaczył beżowy letni garnitur, wygnieciony i z wyglądu niewygodny. Mężczyzna niósł brązową papierową torbę.

- Dozorca powiedział mi, że wróciłeś. - Seth Frank uśmiechnął się.
- Nie masz nic przeciwko towarzystwu?
- Nie, zwłaszcza jeśli w torbie masz to, co myślę.

Frank rozsiadł się i rzucił piwo Jackowi. Otworzyli puszkę i pociągnęli po długim łyku.

- No i jak było tam, gdzie się udałeś?
- Nieźle. Dobrze było wyrwać się trochę. I dobrze wrócić. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
- Miłe miejsce na medytację.
- Robi się tłok około siódmej i trwa potem ze dwie godziny. Poza tym jest na ogół tak jak teraz.

Frank popatrzył pożądliwie na basen, po czym zaczął zdejmować buty.

- Nie przeszkadza ci?
- Czuj się jak u siebie w domu.

Frank podwinął spodnie, wepchnął skarpetki do butów, usiadł koło Jacka i zanurzył mlecznobiałe nogi w wodzie.

- Ale fajnie. Prowincjonalni detektywi z trzema córkami na utrzymaniu i kredytem budowlanym do spłacenia rzadko mają do czynienia z basenami.

- Podobno.

Frank podrapał się po łydce i zerknął na przyjaciela.

- Widzę, że ci służy próżniacze życie. Nie zamierzasz tego zmienić?
- Coraz bardziej mi się podoba.

Frank zauważył kopertę, która leżała koło Jacka.

- Coś ważnego? - Pokazał palcem.

Jack podniósł ją, rzucił jeszcze raz okiem na zawartość.

- Pamiętasz Ransoma Baldwina?

Frank skinął głową.

- Co, pozwał cię za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa z jego córką?

Jack pokręcił głową i uśmiechnął się. Skończył piwo i zanurkował do torby po następne. Rzucił jeszcze

jedno Frankowi.

- Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Facet twierdzi, że właściwie to jestem za dobry dla Jennifer. Przynajmniej na razie. Że ona musi jeszcze dorosnąć. Wysłał ją na jakąś placówkę misjonarską Fundacji Charytatywnej Baldwina na rok czy coś takiego. Pisze, że jakbym czegoś potrzebował, to mam się z nim skontaktować. Do cholery, nawet twierdzi, że podziwia mnie i szanuje.

Frank łyknął piwa.

- Cholera, nie mogło być lepiej.

- Ale jest. Baldwin zrobił Barry'ego Alvisa swoim etatowym radcą prawnym. Alvis to ten facet, którego Jennifer kazała wylać od Pattona i Shawa. Alvis wmaszerował do gabinetu Dana Kirksena i wyciągnął wszystkie dokumenty Baldwina. Zdaje się, że Dana ostatnio widziano na parapecie na ostatnim piętrze wysokiego budynku.

- Czytałem, że firma zamknęła swe podwoje.

- Wszyscy adwokaci z prawdziwego zdarzenia prysnęli od razu. Kiepscy będą musieli poszukać zajęcia. Budynek został wynajęty. Cała firma znikła bez śladu.

- Cóż, to samo trafiło się dinozaurom. Z prawnikami trwa to trochę dłużej. - Poklepał Jacka po ramieniu.

Jack roześmiał się.

- Dziękuję, że przyszedłeś mnie podnieść na duchu.

- Szkoda, że cię tu nie było.

Jack popatrzył na niego, twarz mu się zachmurzyła.

- Więc jak to poszło?

- Nie mów mi, że nie czytałeś tam gazet.

- Przez parę miesięcy. Po huraganowym ataku reporterów, gospodarzy talk-show, drużynach oskarżycieli posiłkowych, producentów hollywoodzkich i twojej ciekawości miałem dość wszystkiego. Zmieniłem numer telefonu z tuzin razy, a te dranie ciągle go znajdowały. Dlatego ostatnie dwa miesiące były takie słodkie. Nikt mnie nie znał.

- Podsumujmy: Collin przyznał się do spisku przestępczego, dwukrotnego morderstwa, utrudniania śledztwa i jeszcze paru pomniejszych przestępstw. To w Dystrykcie Kolumbii. Zdaje się, że sędziemu było go szkoda. Collin to były żołnierz piechoty morskiej, wiejski chłopak z Kansas, agent Secret Service. Wypełniał rozkazy. Taka mentalność: prezydent kazał, trzeba wykonać. Dostał dwadzieścia lat; moim zdaniem, potraktowali go ulgowo. Ale złożył pełne zeznania przed prokuratorem. Może i zasłużył sobie. Wyjdzie przed pięćdziesiątymi urodzinami. Stan Wirginia zrezygnował oskarżenia w zamian za współpracę Collina w sprawie Richmonda.

- A co z Russell?

Frank zakrzuszył się piwem.

- Jezu, tej babie gęba się po prostu nie zamykała. Udało się jej najlepiej ze wszystkich. Nie poszła siedzieć. Tysiąc godzin robót publicznych i dziesięć lat w zawieszeniu. Za pieprzony spisek w sprawie popełnienia zabójstwa. Uwierzysz? Między nami mówiąc, uważam, że niewiele brakuje, by ześwirowała. Mieli biegłego psychiatrę. Zdaje się, że potrzymają ją parę lat w domu wariatów. To Richmond ją wykończył. Emocjonalnie i fizycznie. Jeśli chociaż połowa z tego, co wygadywała, jest prawdą, to szkoda gadać.

- A co z Richmondem ?

- Chyba był na Marsie. Proces tysiąclecia, a ty go przespałeś.

- Ktoś musiał.

- Bronił się do końca, trzeba to przyznać. Wydał chyba ostatniego centa na adwokatów. I tylko sobie zaszkodził. Był taki arogancki, lgał bez zmruczenia oka. Rozszarpali go na kawałki, skurwiela. Niebezpieczny i chory typ, tyle ci powiem.

- A miał dostęp do kodów rakiet jądrowych. Boże uchowaj. Ile dostał?

Frank zagapił się na zmarszczki na powierzchni wody.

- Karę śmierci, Jack.

Jack osłupiał.

- Bzdura. Jak im się to udało?

- Taki kruczek prawny, formalnie rzecz biorąc. Oskarżyli go z paragrafu o wynajęcie płatnego mordercy. To jedyna sytuacja, kiedy odpowiada nie tylko bezpośredni zabójca.

- Jak to podciągnęli pod morderstwo na zlecenie?

- Argumentowali, że Burton i Collin byli jego płatnymi podwładnymi, których jedynym zadaniem było wykonywać to, co im kazał. Rozkazał im zabić. Zabili jak płatni zabójcy na usługach mafii. Trochę to naciągane, ale sędzia nie zaprotestował, przysięgli wydali werdykt i wyrok zapadł.

- Jezu Chryste!

- Słuchaj, tylko dlatego, że facet jest prezydentem, nie może być traktowany inaczej niż każdy obywatel. Nie wiem, dlaczego jesteście tacy zaskoczeni. Ty wiesz, kim trzeba być, żeby startować w wyborach prezydenckich? Nienormalnym. Zaczynają zwyczajnie, ale kiedy dochodzą na szczyt, zaprzędali już duszę diabłu tyle razy i przeszli po tylu trupach, że przestają być podobni do takich ludzi jak ty czyja. Cóż, oto współczesna wersja amerykańskiego snu. - Frank przyglądał się głębinie basenu, wreszcie poruszył się. - Ale nie wykonają wyroku.

- Dlaczego?

- Jego prawnicy wniosą apelację, organizacje praw człowieka zaprotestują wraz z innymi przeciwnikami kary śmierci, z całego świata napłyną wnioski o ułaskawienie. Ten facet może i stracił na popularności, ale wciąż ma potężnych przyjaciół. Znajdą jakiś sposób. Poza tym kraj może zgodzić się na osądzenie drania, ale nie przypuszczam, żeby Stany Zjednoczone mogły wykonać egzekucję na człowieku, który wygrał wybory prezydenckie. To nie wygląda też dobrze na świecie. Sam nie czuję się z tym zbyt wygodnie, chociaż moim zdaniem ten kutas zasłużył sobie.

- Cieszę się, że jest już po wszystkim.

- Człowieku, jego partia jest w rozsypce. Próbują znaleźć jakiegoś frajera, żeby kandydował w listopadzie. Opozycja ma murowane zwycięstwo, i to na długie lata.

Jack zagarnął dłonią trochę wody i polał sobie ramiona. Popatrzył w noc.

- Ale wyszło z tego i parę dobrych rzeczy. Fairfax chce mnie zrobić szefem wydziału. Dostałem propozycje od tuzina chyba miast, żeby zostać u nich komendantem policji. Główny oskarżyciel w sprawie Richmonda ma szansę zostać prokuratorem generalnym w następnych wyborach. - Frank popatrzył życzliwie na Jacka. - A co z tobą, Jack? To ty doprowadziłeś do tego wszystkiego. Pułapka na Burtona to był twój pomysł. Chłopie, jak znalazłem ten podsłuch w naszej skrzynce telefonicznej, to myślałem, że oszaleję. Miałeś rację. I co masz z tego wszystkiego?

Jack popatrzył na przyjaciela i powiedział po prostu:

- Żyję. Nie zajmuję się prawem dla bogaczy u Pattona, Shawa & Lorda. Nie żenię się z Jennifer Baldwin. To w zupełności wystarczy.

Frank przyglądał się błękitnym żyłkom na swoich nogach.

- Miałaś wiadomości od Kate?

Jack wziął kolejny łyk piwa, zanim odpowiedział.

- Jest w Atlancie. Chyba. A przynajmniej była tam, kiedy do mnie pisała.

- I chce tam zostać na stałe?

Jack wzruszył ramionami.

- Sama nie wie. Jej list nie był całkiem jasny. - Jack przerwał. - Luther zapisał jej dom w testamencie.

- Zdziwiłbym się, gdyby go przyjęła. Zyski z nieuczciwego procederu, te rzeczy.

- To spadek po ojcu Luthera. Uczciwie nabyty i splecony. Luther znał swoją córkę. Myślę, że chciała, by miała... coś. Dom to niezła rzecz na początek.

- Tak? Do domu trzeba dwojga, tak uważam. A potem ten cały zestaw z brudnymi pieluchami i tak dalej. Cholera jasna, Jack, jesteście dla siebie stworzeni, mówię ci.

- Nie jestem pewien, czy to ma jakieś znaczenie, Seth. - Starł krople wody z ramion. - Dużo przeszła. Może za dużo. Ja się jej kojarzę z tymi wszystkimi strasznymi sprawami. Nie winię jej za to, że chce się od tego uwolnić. Zetrzeć to do czysta.

- To nie z tobą miała problem, Jack. Z tego, co widziałem, to ze wszystkim innym, ale nie z tobą.

Jack spojrział na helikopter krążący po niebie.

- Jestem trochę zmęczony tym, że to zawsze ja robię pierwszy krok. Wiesz Seth, o co mi chodzi?.

- Domyślam się.

Frank popatrzył na zegarek. Jack to zauważył.

- Spieszysz się gdzieś?

- Pomyślałem, że przydałoby się nam coś znacznie mocniejszego niż piwo. Znam taki mały miły lokal koło lotniska Dullesa. Dają tam pyszne żeberka i kukurydź w kolbach, do picia tequilę, a otwarte mają do białego rana. I kelnerki są niebrzydkie; jeśli miałbyś na nie ochotę, to popatrzę z daleka, jako człowiek żonaty, jak się wygłupiasz.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Zamawiam na kiedy indziej.

- Na pewno?

- Tak, Seth, dziękuję.

- Masz jak w banku. - Frank wstał, spuścił nogawki i sięgnął po buty i skarpetki.

- Hej, a co powiesz na to, żeby przyjść do mnie w sobotę? Robimy grilla, wiesz - hamburgery, frytki, kielbaski.

- Załatwione.

Frank wstał i ruszył w kierunku drzwi. Obejrzał się.

- Hej, Jack, nie rozmyślaj za dużo, dobra? Czasem to szkodzi.

Jack podniósł swoją puszkę.

- Dzięki za piwo.

Po wyjściu Franka Jack położył się na betonowym nabrzeżu i patrzył w niebo, które wydawało się wypełnione gwiazdami bardziej niż zwykle. Czasami zasypiał i śnił dziwne rzeczy. Niektóre z nich przydarzyły mu się naprawdę. A najdziwniejsze było to, że wciąż odczuwał zmieszanie, które w jego wieku dawno już powinno przeminąć.

Półtorej godziny lotu samolotem na południe prawdopodobnie leżała najpewniejsza odpowiedź na jego bolączki. Kate Whitney może wróci, a może nie. Wiedział na pewno jedno - tym razem nie może pojechać za nią. Tym razem to ona musi wziąć odpowiedzialność za powrót do jego życia. I to nie gorycz

dyktowała Jackowi takie postanowienie. Kate musi zdecydować sama o tym, jak chce spędzić swoje życie. Przeżyła tragedię, napełniającą ją poczuciem winy i żalu. Ta kobieta ma wiele do przemyślenia. I jasno dała do zrozumienia, że chce przez to przejść sama. Prawdopodobnie miała rację.

Zdjął T-shirt, wślizgnął się do wody i szybko przepłynął trzy długości basenu. Jego ramiona silnie przecinały wodę. Potem wyskoczył z powrotem na kafelki nabrzeża. Złapał ręcznik i owinał się nim. Nocne powietrze było chłodne i każda kropelka ziębiła skórę jak miniaturowe urządzenie klimatyzacyjne. Znowu spojrzął na niebo. Żadnych fresków w zasięgu wzroku. Ale i Kate nie ma.

Właśnie postanowił wracać z powrotem do swojego mieszkania, żeby złapać trochę snu, kiedy drzwi znowu skrzypnęły. Pewnie Frank czegoś zapomniał. Obejrzał się. Przez kilka sekund nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, po prostu siedział owinięty ręcznikiem. To, co się działo, to zapewne tylko sen. Kolejny sen, który pryśnie z pierwszym blaskiem słońca. Skóra była bledsza niż wtedy, kiedy się widzieli ostatni raz. Włosy krótsze. Ale kiedy badawczo przyglądał się twarzy, błysnął na niej zawadiacki uśmiech i Kate Whitney wyglądała dokładnie tak samo jak dwudziestoletnia miss college'u, w której się zakochał. Wstał powoli, woda ściekała mu po skórze. Ruszył w kierunku drzwi.

Na dole, na ulicy, Seth Frank popatrzył w górę i uśmiechnął się. Stał kilka minut przy swoim samochodzie, podziwiając piękny wieczór, wdychał powietrze, które bardziej pachniało świeżą wiosną niż dusznym latem. Nie będzie jeszcze tak późno, kiedy wróci do domu. Może pani Frank da się namówić na wyprawę do pobliskiej cukierni Dairy Queen. Tylko we dwoje. Słyszał dobre opinie o ich rożkach śmietankowych w polewie karmelowej. To byłoby miłe zakończenie dnia. Wsiadł do samochodu i ruszył.

Najpiękniejsze w życiu jest to, pomyślał, że nawet jeśli dzień dzisiejszy nie był szczególnie dobry, to zawsze istnieje szansa, że jutro będzie lepsze.